

PAMIĘTNIKI
JÓZEFA DRZEWIECKIEGO
(1772-1852)

WYDANE NA NOWO

PRZEZ

X. Dr. STEFANA PAWLICKIEGO C. R.
Profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego

KRAKÓW

KSIĘGARNIA G. GEBETHNERA I SP.

DRUKARNIA UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

pod zarządem A. M. Kosterkiewicza

1891.



Przedmowa Wydawcy.

Pamiętniki Józefa Drzewieckiego ukazały się po raz pierwszy w Wilnie r. 1858, nakładem zasłużonej firmy Zawadzkiego, za pozwoleniem cenzury rządowej. Ale wkrótce poszły w zapomnienie, bo gdy wyczerpał się zapas egzemplarzy odbitych, a nikt o nowem nie pomyślał wydaniu, książka, zrazu pilnie czytana, stała się bardzo rzadką: rzecz miła dla amatorów, mało dogodna dla czytającej publiczności. Nie dziw tedy, że osoby, które miały szczęście znać »p a n a s z e f a«, jak go nazywano za życia, lub w bliższych zostawały stosunkach z jego rodziną, narzekały często, że zamiast na półkach księgarskich, trzeba po straganach antykwarzy szukać cennego dziełka.

Aby zaradzić temu niedostatkowi, a przyjaciółom i rodzinie przypomnieć wizerunek sympatycznego obywatela, Helena Wołodkowiczowa, pani wzniosłego umysłu, cnót dziadowych zacna spadkobierczyni, postanowiła za mojem pośrednictwem ogłosić po raz wtóry to dziełko, obfite w ciekawe szczegóły i piękne, godne naśladowania przykłady. Pochwyciłem skwapliwie okazję, by choć w drobnej mierze przyczynić się do przechowania chlubnych wspomnień, a złożyć hołd wdzięczności w n u c z e Józefa Drzewieckiego, który sto lat temu, jako młodziutki deputat szlachty wołyńskiej, składał królowi podziękowanie za ogłoszoną konstytucję, potem jako legionista, bił się mężnie we Włoszech i Niemczech, nareszcie powróciwszy do kraju, obdarzony zaufaniem rządu i obywateli, piastował liczne urzędy, opiekował się szkołą krzemieniecką, dźwigał handel i rolnictwo, czynił dobrze wszędzie i każdemu, w całym tego słowa znaczeniu.

Wydanie niniejsze nie różni się niczem od wileńskiego, oprócz tej jednej zmiany, że krótkie wspomnienie, skreślone piórem genialnem J. I. Kraszewskiego, umieściłem na końcu. Właściwe pamiętniki Drzewieckiego sięgają tylko do r. 1802, resztę jego życia uzupełnił z listów i notatek, z wielką miłością i prawdziwie ciepłym stylem, nieodżałowany Kraszewski, nieboszczyka przyjaciel i wielbiciel.

P. Antoniemu Strzeleckiemu, słuchaczowi filozofii, za prowadzenie korekty wyrażam szczerą wdzięczność.

Kraków, 2. lipca 1891.

X. Dr. Stefan Paulicki

PAMIĘTNIKI JÓZEFA DRZEWIECKIEGO SPISANE PRZEZ NIEGO SAMEGO. (1772 — 1802).

Przeżyłem przeciąg lat długi, łzawem okiem widziałem schodzących ze świata rodziców, dobroczyńców, przyjaciół moich; opłakałem zgon żony, traciłem dzieci; — dla czegoż przecie z roskoszą o przeszłości wspominam, ku przeszłości się zwracam, i dopóki mi jeszcze siły i pamięć służą, chcę zbierać nawet wspomnienia moje i z życia mego zdać sprawę przed sobą?

Jestli to religijne uczucie wyznania swych błędów, z chęcią odpokutowania za nie, albo raczej wpływ towarzystwa i wieku, co tak chętnie wygrzebuje i wymarza nawet historję przeszłości?

Jesienną porą, chroniąc się od przykrego zimna, siedziałem przy dębowym kolbuszowskim stole, który obsługiwał jeszcze ojcu memu, a może i dawniejsze dowiódłby pochodzenie; siedziałem czytając ze skrucą modlitwy, które nam Woronicz i Dunin w pobożnej zostawili puściźnie, gdy mi niespodziany gość przybył. Krewny to mój, średnich lat jeszcze człowiek, głośny w świecie z pism swoich. Patrzałem na młode jego lata, ceniłem potem talent pisarski. Jakby zgadywał myśl, z którą walczyłem, odezwał się do mnie: Czy to się godzi, żebyś dożywając ósmego dziesiątka, w pośród najważniejszych zdarzeń krajowych zrodzony, świadek tych epok nadzwyczajnych, co tyle na los rodaków wpłynęły

— 2 —

nie zostawił po sobie śladu istnienia? Za cóż ci zostawiła Opatrzność jeszcze niezamilkłą pamięć? czyliż nie dzieliłeś szlachetnych uczuć tych olbrzymich postaci, co pod ten czas żyły? czyż się z nich wielu nie przypatrywałeś zbliska i z rozważą? Wszakże to ze szczegółów ogół się tworzy, one to są materyałem, z którego umysł dzielniejszy snuje osnowę swoją; a wreszcie i w domu nie zostawiszże pamiątki istnienia? może kiedyś potomek znajdzie tę ramotę twoją, w niej obraz czasów, w których żyłeś, a które się długo zapomnieć nie dadzą; i z wdzięcznością cię wspomni, z rozculeniem powie: mój to dziad tam był i patrzył na to!

Te słowa przejęły mnie i ducha rozgrzały, wzbudziły ochotę, choć nie wlały zapewne zdatności; bądź co bądź, piszmy.

Urodziłem się w roku 1772 w powiecie krzemienieckim we wsi Juśkowcach, gdzie mieszkali podówczas rodzice moi, Felicyan i Anna z Błędowskich Drzewieccy. Dobrzy to ludzie byli, żyli z sąsiadami, ojciec się wysługiwał obywatelstwu i przechodził powiatowe urzędy; a że był synem podkomorzego, wnukiem sędziego tego powiatu, miał więc dziedziczne zaufanie współobywateli. Niezbyt majątny i nieubogi też przecie; jego majątku nie powiększyły włości przez drugich zmarnowane, a tem mniej żeby w nim czyja krzywda być miała: wioski były dziedziczne, były i posagowe, bo matka moja do majątniejszych rodzin należała. Życie nie było z oglądem, więc dzielano je chętnie; i choć się już było wycieńczyło pomału, brat ojca, co był także sędzią krzemienieckim i na ten urząd po dziadzie swoim nastąpił, zostawił dość silną spuściznę, która się przydała do prowadzenia swobodnego i popularnego rodzaju życia.

Na łonie tej dobrej rodziny otrzymałem życie, a pierwsze wrażenie moje, ojcowie Jezuici, stali domu przyjaciele (bo dawniej fundusze dla ich Zgromadzenia w Krzemieńcu z hojnością nawet szafowane były), po swym upadku dzielili z nami spokojny żywot. Później nawet, już w Warszawie, ten stosunek sprowadził na mnie dobroć biskupa

— 3 —

Naruszewicza i Piramowicza; obadwaj nie zapomnieli przyjaznego domu, w którym przepędzili swą młodość.

W Krzemieńcu samym mieliśmy część sporą ziemi, zwaną Drzewieczczyzną, i na niej dom niemały, zamieszkały przez pradziada, dziada, ojca i stryja mego, którzy w nim urzędowali. Był to budynek wielki, dębowy, w nim sień potężna, a w tej nad olbrzymim kominem wymalowany kredencierz, co zapewne lat wiele ugasać przybyłych, bo na jego obrazie wysokie wazy, przybór do kawy i napojowe naczynia, a wskazywał ręką na wejście do jadalnej komnaty; na bokach dwa wielkie wchody do sypialni, a nad każdą godła malowane. Nad drzwiami izby, gdzie właściciel przebywał, dwie złożone pobożnie ręce z napisem: *Deo sic*; nad jadalnią przyjacielskie dłonie: *sic amico*; na wychodnich ręka złożona jak nazywają w figę, z napisem: *et sic inimico*.

Były to godła wiary, przyjaźni i siły.

W domu tym jak zapamiętam, brzmiały uczucia konfederacji barskiej, narzekania na złe czasy i t. d. Brat mój starszy przebywał w Warszawie i zadziwiał nas ozdobnością powozu i koni; raz, gdy zajeżdżał z trąbką, ojciec mój wyszedł w czarnym żupanie, podwiązany paskiem Ś. Franciszka, podśpiewując: tra ta ta, tra ta ta — ne ma hroszy u tata.

Siostry moje dawno już były zamężne, miały nawet dziatki odemnie starsze; starsza za Nowowiejskim starostą braclawskim. Dziwak to był niepospolity. Na pamiątkę pierwszej żony zapuścił brodę i długo urosłe włosy; jeździł karyolą całunem pokrytą, konie miał z błękitnymi grzywami albo tarantowate, na burtach trupie główki. Rajtarów czarno ubranych, laufra podobnie poprzedzającego ekwipaż; często wioski całe, gdy przejeżdżał przez nie, uciekały, powiadając o przejeździe jakiegoś ducha przez sioło. Były w tej ciężkiej żałobie ślady i ziemskich passyj: i tak pasy karyoli podtrzymywało czterech snycersko-wyrzniętych żydków z przykazaniem na głowie: była to pogardliwa zemsta na arendarzu, co się z nim procesem borukał. Sam był wesół i żartobliwego

— 4 —

humoru: pamiętam, jak raz w nocy pomalował konie nasze na srokato, a stajenni zbudzili ojca mówiąc, że dyabeł przebrał im konie po starościńsku.

Druga siostra była za Czarneckim, starostą duńczewskim, silnym na Polesiu właścicielem; przy nim dwór złożony z poleszuków, którzy w nasze czeladź wmawiali, że szyje obwiązują węzami, a ręką łapią kule na nich wystrzelone. I zajazd jeszcze pamiętam, w którym i oni i kozacy starosty braclawskiego występowali. Szło o to, iż gdy Zuzulińce i kilka innych wsi Ostrogskiej ordynacyi, w zastawnem posiadaniu stryja i ojca mego zostające, na mocy kolbuszowskich transakcyj we własność Sapiechów przeszły i ci milicje swe do zajęcia onych wysłali, rzecz naturalna, że i rodzice ze swej strony zbrojno wystąpić musieli. Wojska tedy zajęły pastewnik na pustiaku przy stawie i miało nazajutrz przyjść do walki, gdy szczęściem w nocy stadko osłów ojca mego, przyszedłszy jak zwykle na paszę, a zastawszy jakichś niezwykłych towarzyszy, zaryczało przeraźliwie. Wojska porwały się ze snu; Sapieżyńscy pomni, że poleszucy i węże i kule zamawiają, że i kozacy pod względem czarów nie lepszej używają reputacyi — w nogi. Nasi słysząc tumult, także sobie w nogi; a nazajutrz wspólni przyjaciele jak zwykle, polubownie spór prawny zakończyli.

Dalej staje mi przed oczyma olbrzymia postać starosty kaniowskiego, co przed koronacją Matki Boskiej w Poczajowie ojca mego odwiedził, na ten obchód jadąc; potem przechód regimentarza Stempkowskiego, który też nie minął domu naszego.

Pamiętam jeszcze jubileusz w Krzemieńcu i księdza misjonarza Chojeckiego, co mu przewodniczył; mniej mi przytomne religijne nauki, bom był dzieckiem; więcej figura podbitego pana podkomorzego Stempkowskiego, brata regimentarza, który mieszkał pod Krzemieńcem. Ksiądz misjonarz wiedząc, że źle z nim żonie w domu, skarcić go publicznie zapragnął. Mówił o potrzebie poszanowania dla żon, i gdy właśnie podkomorzy podpity wchodził w progi

— 5 —

kościół, porwawszy krzyż, który stał przed nim, zawołał głośno: między pogan go poniosę, gdy chrześcijanie z przepisów swojego zakonodawcy korzystać nie umieją. Tu z ambony schodzić się zdawał. W tem podkomorzy wielkim głosem zawołał: zostałeś tatku na swoim miejscu; tu nie ma pogan, a na rynku są tylko żydzi, którzy źle cię przyjmą zapewne, jeśli im co utargować nie dasz. Śmiech patetyczność zastąpił, a urażony kapłan opuścił ambonę.

W roku 1781 oddano mnie do szkół w Krzemieńcu. Malarz domowy na tym sextemie, na którym pisać zaczynałem, odmalował winietę i rok umieścił na niej; pamiętam ją, jak gdybym, dziś oglądał, tak pierwsze wrażenia są mocne i trwają do późnego wieku.

Czaplic, łowczy koronny, co miał za sobą siostrę ojca mojego, przysłał mi gdańszczanina za guwernera. Jego nazwisko Jenc i profesura w gimnazjum krzemienieckiem, synowie co starań ojcowskich nie zawiedli, będą dla niego najlepszym świadectwem; ja źle korzystałem z nauki, bom się języka nie nauczył, a wstręt, jaki w domu do niemczyzny był, zapewne największym tego powodem. Komisya edukacyjna publicznem wychowaniem zajęta ogarniała kraj wpływem swoim; szło to z trudnością. Jezuiści z wyższymi zdolnościami inne sobie przedsiębiorali cele; młodzi z ich zakonu alumni lub starcy niedołążni pozostali tylko. W Krzemieńcu pozostał był tylko ksiądz Leszniowski, który się wyłącznie wychowaniem Ignacego Leduchowskiego zatrudniał. Ksiądz Wedykowski nauczyciel wymowy, ksiądz Mysłowski fizyki, Dramiński języka łacińskiego; Synhajewski był kaznodzieją, a Gilawski spowiednikiem. Ostatni, człek już bardzo późnego wieku, żółciowego składu, tuzą często i przy ołtarzu, jeśli mu nie do rzeczy służyło, i przy konfesyjonałach za niestosowną odpowiedź; dobrze pamiętałem jeszcze postać jego. Spodziewano się, że wkrótce Akademia krakowska ze swej szkolnej bursy wyda sposobniejszych nauczycieli.

Tu mi się przedstawia przyjazd Stanisława Augusta do Wiszniowca dla spotkania cesarza Pawła z jego

— 6 —

małżonką dostojną. Brzmiały poezye, z tych jednej resztki w pamięci mi zostały:

Ozwij się lutni,
Suty wiersz utnij,
Śpiewaj pochwały
Na wjazd wspaniały
Monarchów....

Reszta uciekła. W Krzemieńcu pod przyjazd pamiętam także ciekawy transparent z napisem:

Najjaśniejszy Panie,
Masz na powitanie;
Składając poddanki,
Zwane Cyryniarki.

Poezya podobno nietęga.

Przy drugiej króla bytności miałem i ja po łacinie mowę, którą mi ksiądz Dramiński napisał; została mi z niej jedna myśl tylko, co mówiła o zdolnościach monarchy: *Rex fueras, antequam fieras*. Częścią komiczną były dla mnie wówczas dwie damy, co o wyższe dobijając się krzesło, walczyły posuwając się rogówkami. Król usunął się do gabinetu przyległego, póki się te amazonki bitne nie uspokoiły.

Tu dla mnie nowe zdarzenie następuje. Po wyjeździe króla moźni rozjechali się z Warszawy; książe Jabłonowski, kasztelan krakowski, przybył z żoną do Annopola. Żona jego, córka Czaplica, łowczego koronnego, urodzona z siostry ojca mojego, chciała odwiedzić dom wuja. Brat mój, co w ich domu w Warszawie przebywał i większych godów miał pojęcie, pośpieszył do rodziców, aby urządzić przyjęcie po swojemu. Jako też urządzone zostało. Mieszały się do odgłosów i moździerze, z których na Wielkanoc strzelano w Krzemieńcu; wyszły na jaw i dawne domu kobierce i staroświeckie powyciągano makaty; wszystko nową przybrało postać; było to wielkie święto, obchód dowodzący, jak magnaci nasi szanować umieli familijne z bracią szlachtą stosunki. Gdy księżna pani odjeżdżała, cała ją odprowadzała familia: karety, półkrytki, kolebki, bryczki, mnóstwo

— 7 —

powozów składało kawalkadę dnia tego. Gdyśmy bliskie miasteczko Jampol przejeżdżali, był w niem podtenczas, skromnym węgierskim wózkiem jadący adjutant cesarza Józefa II. jadącego do Kaniowa. Widząc ilość pojazdów, dowiadywał się o przyczynie takiego ich zgromadzenia; a o przejeździe księżnej zasłyszawszy, znajomy jej położenia na wiedeńskim dworze, sam jej osobiście znany, pośpieszył do powozu wzywając, aby się na moment na przyjazd cesarza zatrzymała, że mu w tym kraju dawną znajomość znaleźć będzie najmilej. Ale księżna, której i powóz był podróżny i ubiór zapewne nie taki, jakiego na dworze używała, i tumult koło niej różnokształtnych powozów, kazała ruszyć śpiesznie, mnie tylko zostawując w swojej karecie. Dogonił nas w polu jadący śpieszno cesarz, wzywając mocnym głosem księżną, że się z nią widzieć pragnie, i toż samo wymijając powtarzał. Nakoniec stanęliśmy i wysiedli do rozmowy; a gdym się usuwał na widok cesarza, księżna mu mnie, jako kuzyna swego polecała. Przywołał mnie, wpadając na myśl zobowiązania księżnej, biorąc na wychowanie w Terezyańskim kolegium w Wiedniu, gdzie, mówił, nie zabraknie na środkach wydoskonalenia. Była to chwila, w której życie moje nowy mógł wziąć i niespodziany kierunek, ale rodzice moi nie życzyli sobie tego. Widziałem tedy i monarchę, co się kraj swój odrodzić starał, skromnie jednym powozem jadącego na spotkanie cesarzowej Katarzyny, z którą wspólnie losy państw może rozstrzygać mieli. W życiu prywatnego człowieka stanowi to pamiątkę, której niepodobna pominąć.

Odtąd kończyłem szkoły w Krzemieńcu. Akademia krakowska przysłała nam swoich wychowawców, a pierwszymi byli: Antoni Jarkowski, któregośmy nazwali pan Prawa, Mirowski profesor matematyki, a Oczwiejowski fizyki; reszta do późniejszego transportu należała. Zjawienie się młodych akademików w pończochy i trzewiki ubranych, z zawieszonymi na plecach płaszczykami, zasępiło twarze ex-jezuitów, obudziło różne domysły i mniemania. Wkrótce jednak przyjazd poważnych wizytatorów, księdza Boguckiego i Garyckiego,

— 8 —

Akademii profesorów, oblekł młodych niejakaś powagą w oczach rodziców; osobiste ich prowadzenie się oswoiło z nimi obywateli i wyrobiło się zaufanie wzajemne. Później przysłano więcej nauczycieli, ci tańczyli nawet! to im nadało cechę towarzyskości; zacniejsze domy wzywały ich na zgromadzenia, a akademickie płaszczyki unosił wietrzyk, gdy z panienkami walcowali. Chmurzył się na to stary Jezuita, ale ojcowie familij już się nie zrażali ich świecką postawą. W uczących się nie było

może wielkiego postępu, lecz nowa forma naukowa przyswajać się zaczęła. Alwar utracił na powadze, Kopczyński jej nabierał; fizykę i mechanikę wykładali z kajetów, które z sobą przywieźli; matematykę podług Luilera. Wychodzić zaczynały z druku książki elementarne, jako: Nauka moralna Piramowicza, która się ogólnie podobała i rodzicom i uczącej się dziatwie. Ekonomię polityczną wykładano ze Stojnowskiego; łacina była nisko; prawo natury ze swego kajetu wykladał Jarkowski, a w jego ustach codziennie jedno brzmiało słowo, że nie ma powinności bez swej należytości (point de droits sans devoirs):

Jak powszechnie bywa przy zmianie publicznego wychowania, myśmy się za mądrzejszych mieli, a Jezuici i ich wychowawcy łaciną wyżsi od nas zdawali się nad losem naszym litować. Młodzi nauczyciele w dniach świąt większych korzystali z Jezuickich zwyczajów, mieli rozprawy w swych przedmiotach, kiedy się tamci szczególnie duchownym rzeczom tylko poświęcali. Nauka języków była zupełnie w kolebce.

Taki był stan rzeczy, kiedy ruch polityczny przebiegł iskrą elektryczną województwa nasze. Warszawa obsypywała nowemi myślami o potrzebie reformy w rządzie, a kraj na różne mniemania i partje podzielony został. Przypominam sobie, że gdy wyszły uwagi nad życiem Jana Zamojskiego, nie było zakąta, gdzieby nie mówiono o nich. Wystąpiły potem na czytelną powszechną: Życie Chodkiewicza i sławnych Polaków; była to jutrzienka, co zwiastowała przyjście Wielkiego Sejmu w Warszawie. Fakcye wyłączne swoją

— 9 —

rozwijały działalność; nazywano u nas jedne królewską, drugą hetmana Branickiego, której Kurdwanowski przewodniczył. Wybór posłów na sejm był w Łucku; pojechał nań ojciec mój jako podkomorzy powiatu. Prowadzenie partyi zwanej królewską powierzono damie, księżnie Sanguszkowej, żonie strażnika koronnego. Fakcya przeciwna miała wyborową zręczność, miała za hasło wolność szlachecką, poila, brzmiała i obfita w drobną szlachtę uzbrojoną w zuchwałych przewodników, nawet osobom zagrażać się zdała. Był w Łucku Młocki, kasztelan wołyński, był i Zagórski, podkomorzy łucki; do nich supremacya i prowadzenie wyborów należały.

Złej przecie usłuchali narady; wynieśli się do Czeknia, własności partykularnej, tam obrady założyli i posłów swoich wybrali. Oburzeni nielegalnością pozostali obywatele, otoczyli ojca mego, wzięli go za przewodnika wyborów i posłów podwójnych naznaczyli.

Wybór to był legalny, lecz mu stronnictwa dano cechę, bo wyższy urzędnik w Czekniu przewodniczył. Upadł dobry obywatel pod ciężarem potwarzy i w powrocie z Łucka, nocując w Krzemieńcu w mej studenckiej chatce, apopleksya ruszony, ratowany natychmiast, skończył na sparaliżowaniu prawej strony ciała od głowy do nóg, co mu do śmierci pozostało. Sejm się zebrał, skasowano czekieńskie wybory, wiedzano los ojca mego i wezwano dla niego nagrody od króla, który mu też przez ręce Mniszcha, marszałka koronnego, order Orła Białego przysłał. W chęci publicznego dobra zaczęli się bliżej przyglądać obywatele wołyńscy duchowi fakcyi, opatrywać jej cele i Wołyń odszczepieńcem ogłoszono; on przecie pojął, co krajowi szlachetniej sprzyjało i z dobrem jego przyszlę było zgodne, lecz wybrani wprzód posłowie w części znacznej dzielili przesady fakcyi swojej. W dniu pamiętnym Uchwały z dnia 3 Maja część posłów wołyńskich przy opozycji została; wzięto zatem środek przedstawienia narodowi do potwierdzenia, co już uczynionem było. Zwołano sejmiki w Krzemieńcu, wezwano mego schorzałego ojca, aby im przewodniczył. Późna to była

— 10 —

jesień, a dla mnie był to rok ukończonej szkoły; dano mi medal złoty do srebrnego, com go był sobie wprzód zasłużył. Brat mój był w Warszawie, asystując sejmowi; jam tedy ojcu memu towarzyszył. Lecz siły jego chorobą zwątlone, język paraliżem osłabiony uczyniły mu trudnem głośne wysłowienie się w liczmem zgromadzeniu; kazano mi mówić w imieniu jego i on sam dał mi zlecenia swoje. Czułem stanowisko starca, który spełnił, co mu nakazywało prawo, padł potem ofiarą bojaźliwego sumienia i życiem je przypłacał, którego postępowanie Sejm Wielki usprawiedliwił, król wynagrodził obelgę, a teraz obywatele do przewodniczenia wzywając, reprezentantem województwa uczynili. Musiałem przemówić z serca; przyczynił się do wrazenia i widok osłabionego starca, bo mnie jednomyślnie delegowanym wybrano na drugi roczny dzień 3 maja, zatwierdzeniu Uchwały poświęcony. Józef Wyleżyński do tego wyboru należał.

Pierwszy raz uczułem szczęście, zaczynając obywatelskie życie wyborem w mych oczach, w świetnym czasie dopełnionym. Brat mój przyjechał z Warszawy, bo go komisarzem cywilno-wojskowym wybrano, a tegoczesny wybór przyjmowały najznakomitsze województwa osoby. Był prezesem Przyłuski, kasztelan; Sanguszek, strażnik i starosta krzemieniecki, jej członkiem; Kaczkowski, biskup, z duchowieństwa. Brat mój tedy do stolicy mnie odwoził; i pierwszy to raz po ukończeniu szkół miałem widzieć Warszawę i ten sejm, który w mej młodzieńczej wyobraźni z senatem rzymskim jedynie równałem. Ruch umysłów w całym podniesiony kraju rozżarzał się ogniskiem w umysłach młodzi; zjawienie się dziennika, któremu Niemcewicz przewodniczył, śpiewy narodowe, widoki teatralne, przyjęcie uprzejme, jakiego od króla i znakomitych osób delegowani doznawali, wszystko to powiększało uniesienie.

Odchodziłem od siebie, czując się jednym z aktorów tak wielkiej sceny, i dziś o tem, choć w przeszłości spełzło, bez uczucia wspomnieć nie mogę. Czemże to była

— 11 —

w owym czasie Warszawa! Kraj się zbiegał, aby ją widział; cudzoziemcy pobyt w niej uważali za najbardziej podobny do pobytu w Zjednoczonych Stanach Ameryki; codziennie przychodzili posłannicy od ludów, co się pod nowe prawa kraju tego przesiedlać pragnęli. To uszczęśliwienie mieszczan, których stan się podnosił; ubieganie się szlachty, aby ofiarą przywilejów wzmogła się krajowa siła; dobijanie się o szczęście zostania członkiem średniego stanu, który tak lekce przed kilku laty wazono, z zapałem i z nowo pozyskanem przekonaniem: dziwnym i poruszającym były widokiem. Żadnego śladu rozhukanych namiętności, zazdrości żadnej; jedynie dobro publiczne na widoku, a chęć służenia krajowi na celu. Świetne czasy! czemużście dłużej nie potrwały! jam was widział w kwiecie życia i siły, a pamiątka ta rozjaśnia czoło, choć już do grobu zbliżone. Breza, później ministrem za czasów Saskich mianowany, a do działań Uchwały czynnie wypływający, przedstawiał mnie królowi. Ten mnie przyjął, jak ojciec rodziny przyjąłby odległego krewnego, który mu się przedstawia raz pierwszy; zachęcał do pocziwego obywatelskiego życia, jakie się z nowej Uchwały rozwinąć miało; chciał nawet ozdobić mnie znakiem zasłużonych, alem w oczach jego zadrżał na wspomnienie nagrody, której jeszcze godzien nie byłem. Wszedł w uczucia moje i pochwalił je.

Że się dzień reprezentacyi zbliżał, wygotowałem bakalarską mowę w imieniu województwa mojego: było w niej uczucie, które chwasty przesadnego wyśłowienia pokrywały. Przerobił ją Breza na krótkie przemówienie się, gdzie pozostało, co młody obywatel czuł, a co student figurami retorycznymi oszpecił, wyrzucono. Wyszedł na koniec program uroczystości, gdzie dwóch tylko mówić miało, a reszta złożyć głosy swoje. Sandomierskiemu i Krakowskiemu mówić przeznaczono. W kościele Świętego Krzyża zbierano się na ten narodowy obrzęd: po prawnej i po lewej stronie nawy urządzono stopniowe ławy dla senatu, posłów, delegowanych i dla widzów. Najwyżej w głębi świecił tron króla,

— 12 —

otoczonego zagranicznymi posłami; bliżej mieścił się dwór jego. Korpus kadetów przez księcia Adama Czartoryskiego przyprowadzony, był tronu stróżem; kapłani okrywali boki wielkiego ołtarza. Zdawało się, że Rafael tę nawę tak świetnie ozdobił, tak uszanowaniem przejęci, nieporuszeni, w cichości oczekiwali wszyscy ofiary Bogu poświęconej, Bogu, z którego łaski tak wielkiego spodziewali się daru. Chór śpiewaków i muzyki był liczny, a w mem pierwszym na świat wyjściu niezliczony być się wydawał; na olbrzymi ich odgłos wstrząsnęłam się cała i nie postrzegłam się, jak mój przeskoczyłam przedział, aż mnie ostrzegł poseł, że to moje miejsce nie było. Nigdy podobno wiara i ufność mocniej w mem sercu nie były: odchodziłam od siebie. Po skończonej ofierze, której król uklękawszy słuchał, wrócił na stopnie swojego tronu i do narodu przemówił; pokrótce wyliczył dobrodziejstwa Uchwały, poświęcone ogólnemu przyjęciem i szczęściem, które czytał na twarzach reprezentantów. Mówili jeszcze dwaj wyznaczeni; a później wszyscy do ucałowania ręki jego wezwani, złożyliśmy na piśmie przemówienia się nasze i dane nam od województwa umocowania. Zabrzmiła pieśń pochwalna Bogu i zdawało mi się, że ją miliony śpiewały na cześć Najwyższego. Król ruszył w wyznaczonym porządku zakładać kościół Opatrzności. Od Świętego Krzyża aż do tego miejsca wznosił się pomost w łuk urządzony, co malowniczo czyniło widok. Przewodniczyli litą szatą okryci kapłani, Prymasa mając na czele; kawalerowie orderów w bogatych strojach, senat; za nimi ministrowie krajowi i zagraniczni; król, za nim Izba poselska; delegowani województw

zamykali ten pochód, który kadeci dzielili od reszty ludu, twarzą i postawą dającego oznaki radości. Lecz wśród tryumfalnego przejścia wicher nadzwyczajny zerwawszy się nie wiedzieć skąd, smutne obudził przeczucie, choć silnej nie osłabił woli. Po modlitwach kapłanów król kielnią złotą narzucił wapno na pierwszy kamień, rzemieślnicy kładli materyały, a kolejną każdy do budowlu należał. Po ukończeniu król oddał złotą kielnię panu Chojcekiemu, z województwa

— 13 —

kijowskiego delegowanemu; w jego bowiem instrukcjach województwo na budowę kościoła znaczny przeznaczyło fundusz. Trzy kolory, błękitny, pąsowy i biały, jako narodowe, były ubiorem całej płci pięknej; zdobiła ona zrobione dla niej umyślnie w ulicy przechodowej łoże, a wieść niosła, że pan Ch....., który pierwszy przewidział dążność do tych barw, został panem, sprzedając wcześniej sprowadzone w tych kolorach materye.

Prymas ugaszcział delegowanych; nazajutrz do królewskiego stołu wezwani byliśmy. Po zebraniu się naszym, gdyśmy okolili króla z rozkazu jego, on mówiąc do nas, przypominał dzień wczorajszy: »Powiedźcie obywatelom, że wśród narodowego obchodu spotkała nas burza okropna, myśmy ją wytrzymałością zwyciężyli. Będzieli tak istotnie, powstaną burze? przejdą, a my będziemy szczęśliwi«. Co się działo na teatrze! Krakowiaki i Powrót Posła grano wśród ciągłej wrzawy oklasków; godziny przeciągały się znacznie, a zdawały krótkie; dla mnie przynajmniej było to pierwsze wielkie uczucie, którego doznałem.

Dniem później jużśmy widzieli, że się zanosilo na zapowiedzianą burzę. Wojsko zebrane odbywało królewski przegląd; jedną część jego wiodł książę Józef Poniatowski w ukraińskie stepy, drugą książę Wirtemberski do Litwy miał odprowadzić; artyleria także szła na miejsce przeznaczenia, a stara kolasa wiozła poważnego Kalkreutha, przybywającego z Berlina. O nim różne krążyły mniemania: myślano, że armia pruska w pomoc przychodzi; inni utrzymywali, że on jedynie obejrzeć przyjechał i przekonać się o krajowych siłach, a jeśliby dostatecznymi je osądził, ofiarować pośrednictwo swego pana, aby je sparaliżować do reszty. W miarę odmiennych przekonań rozsiewano rozmaite wieści. Tymczasem mnie do pana podkanclerzego Kołłątaja przywołano: opór niektórych wołyńskich posłów nie był jeszcze zwyciężony; jeden z posłów naszych, później senator Stojnowski, miał mnie wieść do nich i okazać instrukcję moją. Nie zapomnę miny tych panów na moje do nich

— 14 —

przybycie, bo mnie wszyscy jeszcze studentem zostawili. Żarty odpierałem żartami, a umocowanie w imieniu prawa przemawiało. Mój poważny przewodnik nie mógł w nich obudzić przekonania, milczeć jednak musieli; wkrótce zaś w konfederację targowicką wcieleni, osobiste popierali przekonanie.

Smutny był powrót z Warszawy; właśnie obywatele zebrani byli w Krzemieńcu na wybór Sądów granicznych w myśl prawodawczej ustawy. Zdałem sprawę ze skromnego posłannictwa mojego; obrano mnie komisarzem cywilno-wojskowym, bo mój brat do komisji pogranicznej wezwany został; polecono mi, abym w przechodach wojska przez wołyńskie województwo w imieniu komisji paletami rozporządzał, nawet mu towarzyszył dla ułatwienia przejścia i wskazania stanowisk. Wkrótce zabrzmiła wieść o wejściu Kochowskiego w granice; pierwszy wojsk tych przechód materyalnie nawet nadto dotykał każdego, żeby się z niego mógł weselić. Nowy zapal przykrzejsze jeszcze obudził uczucie, a młodzież nawet zapragnęła wojennej chwały. Szły rzeczy spieszenie i nic się rozwinąć nie mogło. Kościusko, jak powiadał, życzył wysłać partyzancki oddział dla obudzenia współczucia w dawnej braci; odrzucono myśl jego. Szczeniowski, obywatel braclawski, co raz do obozu się udał, aby w nim obywatela powinność z bronią w rękę spełnił, twierdził, że go lud ukraiński wzywał, mówiąc: na co wam paniczów przeciwko chłopom posyłać, nam dajcie broń w ręce i dobrego przewodnika, a my się poborukamy z niemi, nasze plecy nie węższe od nich. Przekładał to księciu Poniatowskiemu, ale ten się więcej poruszenia ludu, niż przytomnej wojny lękał; było to także przekonaniem Stanisława Augusta, któremu sejm rozwiązujący się swoją powierzył władzę. Sołtyk mówił, wskazując mu jego obowiązki: głos jego rozczerlił, ale przekonania nie złamał; wspaniałość rosyjskiej monarchini i wdanie się zagranicznych dworów uznano za dostateczny środek ocalenia. Tymczasem konfederacja targowicka miała w ustach przywileje szlachty, pewnoś,

— 15 —

że kraj i pięćdziesiąt ziem nie utraci, że tu idzie o zwalczenie zuchwałej partyi, co w Prusiech, a nie w Rosyi szuka ocalenia kraju, a tym sposobem sławę wielkiej monarchini czerni; że lepiej ufać potężnemu mocarstwu, któremu cnota i wspaniałość przewodniczą i t. d. Trudniej było pokonać ducha, co wojsko ożywiało; obmyślono cofanie się porządne, aby ocalić honor żołnierza, który wśród

mało znaczących walk przemagającej sile ustępował. Środek ten zaspokoił miłość własną wodza, drażliwość umysłów złagodził, lecz do niczego doprowadzić nie mógł.

Nie moja rzecz mówić o tem, czegom nie widział i dla tego, skąd to wiedziałem, umieściłem. Trwoga nastąpiła w prowincjach, do których się wojsko obce zbliżało; umykano z żonami i dziećmi do Galicyi; wsi i miasteczka pełne były ukraińskich rodzin. Bitwa pod Zieleńcami krótką była pociechą, bo się wojska cofały ciągle; i myśmy się też do Podkamienia schronili.

Tam poznałem księdza Marka sławionego w konfederacyi barskiej; nie był to fanatyk i prorok, za jakiego go brano; był to człek rozsądny i gorliwy, który przyjął to godło, aby z niem pożyteczniejszym zostać. W dzieciństwie mojem jeszcze widziałem, jaką w nim ufność miała rodzina moja; stare jego habity przerabiano na sukienki dla dzieci, mniemając, że je od wszelkiego złego ocalić miały; ja sam nawet w ubiorze karmelity z habitu jego pierwsze przepędziłem lata. Dzielił on nasze pomieszkanie, przewodniczył modlitwie, lecz nic w tem nadzwyczajnego nie było. Przychodzono do niego po uzdrowienie; on się modlił z proszącymi i w modlitwie dla nich upatrywał ocalenia. Widziałem młode, podobno niesforne małżeństwo skarżące się, że nie miało dzieci. Był on po obiedzie przy skromnym kieliszku wina, który w rękę trzymał; dał im obojgu napić się z niego, mówiąc: pijcie z jednego naczynia, łamcie jeden kawał chleba, miejcie oboje jedne stosunki, oboje pilnujcie domu, razem błagając Boga, a on was i dziećmi obdarzy. W tym rodzaju były wszystkie odpowiedzi, które przychodzącym

— 16 —

dawał. Tu się wstecz cofnąć proszę szperaczów przeszłości; proszę Nowoszyckiego, co akta przegląda, aby na to zwrócił uwagę. W czasie Wielkiego Sejmu trwoga opanowała Wołyń; w Kuryłówce, wsi pani Pruszyńskiej pod Ozohowcami, uknuto spisek na jej życie. Wkrótce wieść ogólnej rzezi przyjętą wszędzie została; do Krzemieńca zwożono wielu i księży i z pospólstwa o to posądzanych. Księża zamknięci w kaplicy, a później w sali gimnazjalnej, ciągle śpiewali swe modły; myśmy się przechadzając, z uczuciem litości ich słuchali. W Dubnie w znacznej ilości zatrzymano zwoszczyków. W Krzemieńcu sąd grodzki, któremu

Zagórski sędzia przewodniczył, na dwóch wyjazdach z miasta wzniosł po dwie szubienice i wisielcami nappełnił. Przywożono z Warszawy złowionego Kuryłę, co miał być spisku autorem; woził go i odwoził generał Kniażewicz, będąc natenczas porucznikiem fizylierów; przejeżdżał z Warszawy poseł Świętosławski; utworzono milicję konną, którą zebraną i uzbrojoną widziałem: lecz to wszystko znikło z usunięciem się wojska. Możeby inkwizycje odczytane z tych, co ich wieszano, rzetelne rzuciły światło. Przed mojem usunięciem się z Krzemieńca odesłałem, jak było przepisano, pieniądze pod opiekę wojska; przyjął je pułkownik Pakosz, który przy taborze wojskowym pod Włodzimierzem zabity został. Zdało mi się z urzędu wówczas wzywać obywateli w odezwach do duchowieństwa, do ludu i szlachty czynionych. Powinność przedewszystkiem, to zawsze było hasło moje.

Znajome są reformy Józefa II, przeznaczone dla Galicyi; znajomy skutek podobnych w Belgii i potężny wpływ adwokatów tego kraju. Imiona Vanderburcha i kolegów jego odbiły się w sercu galicyjskich prawników, którzy także zapragnęli wznieść się. Przy każdej gwałtownej zmianie prawodawstwa gotuje się obfite żniwo dla prawników, co je pojąć umieli. Adwokaci galicyjscy poszli zaraz w górę pod względem materyalnym, a pojawiwszy ducha czasu, z belgijskimi iść chcieli w zawody. Wielkie ich stowarzyszenie we Lwowie już moralnej nabierało siły; a ci, co do postępu

— 17 —

rościli prawo, do nich się z ochotą garnęli. Pragnąłem zajrzeć do tej nowej świątyni; z niej mnie nie odpychano, bośmy posiadali nad Seretem majątność Bilcze, kupioną wprawdzie z zastrzeżeniem prawem dziesięcioletniego wykupna, co nas wkońcu w bankructwo papierów krajowych zamieszało. W tym rzeczy stanie związek z adwokatami stał się nieuchronny: Dzierzkowski, Węgliński we Lwowie, Antoni Bieńkowski w Stanisławowie, byli stróżami naszego majątku, a po części i opinii przewodnikami. Hafniarski błyszczał dorobkiem, Nowakowski wziął Radziwiłłową.

U nich to zbierało się poważne towarzystwo literackie, u nich składy pomników starożytności przy zmarnotrawieniu bibliotek zakonnych zgromadzone, w ich progach ludzie niegdyś moźni stawali z prośbą, przez nich działali nabywcy dóbr krajowych lub wymieniający dobra swe solne za obszerniejsze ziemie; dla nich był wyłączny wzgląd władz rządowych i opieka dla uciekających się obywateli naszych, tych szczególnie, co by się z prowincyj naszych wynieść pragnęli albo w dwóch krajach mieli swe posiadłości. Słowem był to klub dla widoków wyższych z polecenia władz protegowany, o którym później mówić mi obszerniej wypadało. Już natenczas Dubienka została ostatnim błyskiem chwały oręża, pod Markuszowem zginął Iliński w szermierce z kozakami, kiedy książę Józef wołę króla oznajmił i wejście wojsk rosyjskich do stolicy swych za niezbędne zapowiedział.

Każdy wtedy pomyślał o swem i majątku ocaleniu, a cała emigracyjna karawana do swych się skierowała domów; i myśmy z ojcem wrócili. Nadiągnęła konfederacya targowicka; w Dubnie Pułaski rozpoczął sądownictwo i mnie się stawić nakazano. Byłem pewny, że pamięć na ojca mojego dla mnie tarczą zostanie; lecz dotkliwszego na mnie użyto środka, bo mi kazano dostawić kasę, jaka się przy komisji cywilno-wojskowej zostać była powinna, gdyż ostatni ją opuściłem. Pakosz zabity, co ją w opiekę przyjął; zresztą rzecz szła o pieniądze i mogła różne wywołać mniemania. Nadszedł czas kontraktowy; liczni obywatele przybyli

— 18 —

do Dubna, a w przyległym pokoju JW W. konsyliarze zasiedli na sądy! W kłopotcie moim pobiegłem do księcia Michała Lubomirskiego, w którego komendzie był Pakosz w czasie ich marszu, i z jakąż nie usłyszałem pociechą, że kiedy inne drobne zbiory na potrzebę wojska użyto, kufer dostawiony przezemnie w całości pozostał!

Stawiłem się w tedy zuchwale. W izbie kontraktowej dość było powiedzieć, że jestem przed sąd konfederacyi zapozwany. Nie mogę zapomnieć szlachetnej twarzy księcia Czartoryskiego, właściciela Korca, z jakim mnie uściskał uczuciem, jak biegł słyszeć tłómaczenie się moje. Stawiłem się przed sąd ów i rzekłem: Panowie ukształciliście się w sądowniczą na mnie magistraturę, kiedy ja w imieniu aktualnej magistratury wyborem obywateli zaszczyconej, a z prawa sejmu egzystującej, przychodzę nie jako obwiniony, ale jako urzędnik tylko, co was zainformować pragnie. I tego nie uczyniłbym może, gdyby tu nie szło o pieniądź, z którego zdać kiedyś musicie także rachunek w oczach publiczności tu przytomnej, a o stanie kwestyi oświeconej. Lecz że zdaję sprawę w imieniu magistratury, proszę o przyzwoite miejsce.

Świętosławski, przyjaciel ojca mego, natychmiast mi usunąwszy się, przy Pułaskim wskazał siedzenie, a jam dokończył: Chciała Opatrzność nawet od lekkomyślnej obmowy mnie ocalić; oddałem kasę pod opiekę wojska, bo mi tak kazało prawo; los ją ocalił i zdaje ją na odpowiedzialność wasza. Tu wręczyłem świadectwo księcia Michała Lubomirskiego.

Wychodziłem, gdy w izbie kontraktowej powstały odgłosy serdeczności, powinszowania; tak się skończył mój ambaras, bo zamilczano o cyrkularzach. Jednak mój ojciec życzył mi uchronić się na czas; wyjechałem więc do majątku jego w cyrkuł zaleszczycki; a będąc w Stanisławowie dla interesu naszego, korzystałem z tej przejażdżki, pozyskując sobie życzliwość Antoniego Bienkowskiego, który tam prowadził obywatelskie interesa. Z nim odwiedziłem przyległe karpackie

— 19 —

góry od Delatyna i Nadwórnej; widziałem wodospad Prutu i Doboszczukowe skały, słyszałem powiastki o tym niepospolitym opryszk, na którego całe regimenty używane były. Lud go błogosławił, bo obdzierał niżej położone miasteczka, a zdobył dzielnie między ubogich górali. Podziwiałem tam piękność nietrwałą kobiet, które nikną wcześniej wskutek słabości, którą tam wojska Rakoczego dziedziczną prawie uczyniły; tak mi przynajmniej opowiadali podróżujący. Śpiew górali pasących swe trzody miał coś zachwycającego przez echa gór powtarzany; zdało mi się być w kraju koczującego ludu, lecz uczucie odmienne niżeli to, którego doznaję na widok naszego stepu. Tu natura chroni mieszkańca w skałach od burzy, okrywa od skwaru cieniem jodeł, czyni go zwinny i lekkim, bo przebiega góry, a głos piszczałki jego znany, u każdego prawie różny, rodzinie i znajomym rozpoznać go daje; po nim poznają obroty jego. Pół tu uprawiają mało, dziki je często spasają bezkarnie; na wierzchołkach gór wypasy, Połoniny zwane, wypasają bydło. Sery ich, jak w Szwajcaryi, z całej razem trzody zbierane później do podziału idą, a serwatka jest skutecznym dla zdrowia napojem, na którą przybywają latem liczne rodziny, wioząc z sobą schorzałych; sami też górale obficie ją piją dla polepszenia zdrowia. W tę porę i ja z zebranymi znajomymi przybyłem. Jesienią hucuł zabiera woły, ładuje mażę solą i wymienia ją na zboże w obfitych żniwach galicyjskiego Podola; tak przynajmniej wtenczas bywało.

Wracać mi do słabego ojca i powinność i serce kazało; zastałem go osłabionego, niedołężnego, lecz spokojność i pogoda duszy łagodziła cierpienia. Prowadzono natenczas nową granicę Polski, zostawując jej część tylko Wołyń od granicy galicyjskiej położonego. Wkrótce jednak zaszła zmiana, a majątek rodziców moich już do przyłączonego kraju należał. W miasteczku Lachowcach stał generał-lejtnant Lewanidow i tam obywatelom miejsce do przysięgi naznaczył; chciał, żeby się ta odbywała w kościele. Ksiądz przeor stosownie przygotował przemówienie; lecz jakież było

— 20 —

zdziwienie wszystkich, gdy inny kapłan wszedł, zamykając za sobą ambonę i klucz biorąc do kieszeni, i począł od przekleństw, klątwy i najgwałtowniejszych wyrzutów.

Generał zdziwiony posyła, aby przestał mówić; ambona zaparta, mówiący korzysta z czasu, aby się pozbył swej żółci. Drzwi odemknęto nareszcie, on zszedł; był to nieszczęśliwy, co zwaryował, wkrótce nawet ukończyły się dni cierpień jego. Mój ojciec stawić się osobiście nie mógł, bo się na śmierć gotował; zjechał zatem przysłany pułkownik, który stan jego obejrzał i z największą dyskretyą spełnił polecenie swoje. Czuły ojciec miał litość nad rodziną, znał jej boleść i oszczędzić jej pragnął. Przypadała za dni dwa dzień Porcyunkuli, który zarazem był dniem imienin księżnej Sanguszkowej w Zasławiu. Dla nas był to dzień pamiątek: księżna z domu zacnego Ledóchowskich była wprzód za dziadem naszym już w późnym jego wieku. Szlachetna jej dusza przyjazną była całej swojej niegdyś rodzinie; przy świetnej zmianie losu zachowała pamięć pierwotnego związku, a cześć jej winna była potrzebą serca całego naszego domu. Drogi mój ojciec powziął stąd zamiar oddalenia nas wszystkich z domu, bo już swój zgon przeczuwał; kazawszy napisać list winszujący, odwieść nam go do Zasławia polecił. Jego siła duszy wycieńczona cierpieniem opierała się bolesnemu oddaleniu naszemu, my przecuciem wiedzeni pospieszaliśmy napowrót nazajutrz rano do domu, gdy płacz biegnącego ku dworowi ludu wiejskiego wskazał nam, że już nie żyje. Co się ze mną działo, ten tylko pojmie, kto kochał rodziców i miał tak dobrych dla siebie; znalazłbym w pamięci obraz tego uczucia, lecz go zostawuję sobie, niech mi towarzyszy do grobu. Zwyczajem dawnym mieliśmy grobowiec nasz familijny przy kościele księży Franciszkanów w Krzemieńcu; tamśmy go odwieźli. Lecz z jakimże zdziwieniem naszym w miasteczku Katerburgu, gdzie czasowo granica przechodziła, wymagano paszportu od jadących z Rosyi do polskiego kraju, a ścisłość była już taka zaprowadzona, że Czosnowski starostwo mający z tamtej strony za to, że

— 21 —

siedząc na rekolekcyach u księży Reformatów w Krzemieńcu do wsi na termin nie powrócił, miał sobie wieś Ceceniówkę odebraną.

Po tej stracie wyjechałem do Galicyi jako poddany dwu krajów; podwójny smutek z położenia mego wynikły wszystko mi okrywał. Tułałem się, a mając z sobą Jana i Piotra Kochanowskiego, uczyłem się ich pieśni na pamięć, własne nawet wymarzyłem treny, które doznały losu, jakiego bodaj i to pismo nie zasłużyło. Wkrótce wieść o rewolucyi w Krakowie doszła do nas. Major Błędowski po rozwiązaniu wojska jednej ze mną myśli będący, razem ze mną do Lublina się udał. Tu zastałem generała Grochowskiego z wojskiem już pod Szczekociny ciągnącym i okalającym go wiele poważnych osób. Doniesiono raportem o przybyciu naszym, a że zwiększanie wojska było w widoku naczelnika, przysłał mi patent na pułkownika wołyńskiej milicyi i formować ją natychmiast polecił. Udałem się zatem do Lwowa pod opiekę tam stowarzyszonych ziomków, bo między nową granicą a galicyjską uważałem tę czynność za ułatwioną dla siebie. Już wtedy stowarzyszenie lwowskie przybrało pewniejsze formy: Dzieduszycki stanął na czele, Dzierzkowski, Leszczyński, Walewski, Węgliński, Strzałkowski doradcami byli. Krieger, deputowany miast, łączył ich z Warszawą; stosunki z Stambulem generał Rymkiewicz tam bawiący utrzymywał, Wegetynowski (pseudonim) z Francją i Włochami, Ogiński senator z Paryżem, Prozor z Litwą, Kociel z Wenecją. Dostałem u tych panów posłuchanie, dali mi radę nie taić mego posłannictwa rządowi. Byłem wprowadzony do generała Arnokur komenderującego w Galicyi; uznał, że robię roztropnie powierzając mu misję moją, że póki tylko to ze spokojnością Galicyi mieć nie będzie związku, rząd nie weźmie za złe mych zamiarów; mówił mi, że przysposobienie siodła skutecznie można przez Brody, kosy są rzeczą handlu, broni głośno szukać nie należy, lecz częściowo ją dostawać, na co będą zamknięte oczy, dopóki nie tkniemy spokoju kraju. W tychże prawie wyrazach była

— 22 —

odpowiedź Kalemberga gubernatora, z dodatkiem tylko: może WPan zabierzesz z sobą tutejszą na bruku wojującą młodzież, która nam tylko niepokoju przymnaża.

Posrednictwo powyższych osób zdawało mi się być rękojmią skutku i bezpieczeństwa ze strony rządu. Udałem się do Brodów; nasłano mi zaraz kilkunastu młodych ludzi, co się rozbiegli po kraju, szukając związku z gorliwymi; lecz gdzie lud opinii nie dzieli, ruch wielki być nie może i idzie tylko w stosunku siły, która go w pierwszym zbieraniu się osłaniać jest w stanie. Jedyna nadzieja była w determinacji, jaką weźmie wojsko, do którego rozbrojenia na Ukrainie przystępowano; lecz jego rozkład był tak ułożony, że je regimenty rosyjskie systematycznie przedzielały i dla tego ta strona Wołynia ogołoconą z nich była. Zaczęła się wiązać młodzież, a nawet obywatele wiekiem i majątkiem znaczniejsi: major Błędowski, Czosnowski, strażnik koronny i Orła białego kawaler, przystąpili do związku i każdy wrócił do domu, aby się uzbroić był w stanie. Młodzież pojedyncza kryła w Radziwiłłowskich lasach nad granicami Galicyi zebrania swoje; było już paręset związkowych. Głównokomenderujący generał Sołtyków miał w tę stronę obrócone oczy, ścigał strzelców i kawalerię do nich, aby te lasy spłądować; tym czasem przegrana pod Szczekocinami odmieniła na czas i rządu austriackiego postępowanie. Kazano mnie uwięzić; Rosyanie w lasach patrolować zaczęli, zabito kilku broniących się, a reszta wciskając się w granice Galicyi, lekko tylko poszukiwaną była. Jednej nocy weszli do domu mojego Austriacy, a przy łóżku postawiwszy sztyldwacha zapowiedzieli szydersko, że panu pułkownikowi straż honorową stawiają. Z brzaskiem dnia pokazał się w mieście strażnik Czosnowski i równego ze mną doczekał się honoru; za nim majora Błędowskiego ten sam los spotkał. Posłałem do Lwowa; przybiegł hrabia Leszczyński, lecz przyjechał i generał Schnejdauer, jako prezes wojennego na nas sądu, a mnie lekko okuć kazano. Leszczyński nas uspokoił, że to jest satysfakcja, którą rząd daje na wezwanie księcia Sołtykowa,

— 23 —

ale że ta nie poprowadzi za sobą ostrości większych. Przed sądem tłumaczyłem się, że nie przewiniłem przeciwko krajowi, bom uwiadomił wprzód o moich zamiarach. On mi odpowiedział, że pan Lechnicki werbował w kraju, a prawa wojskowe śmiercią karzą tego rodzaju werbunek; że zaś Lechnicki wyznał, iż do mojego werbuje pułku, zatem ja jego występki podzielam.

Poszedł wyrok Kriegsgerichtu pod rozpoznanie; uznano, że sąd cywilno-wojskowy był właściwszem do tego rodzaju sprawy sądownictwem, a zatem nas do Lwowa przeniesiono; lecz tu powstanie w Warszawie, przyścisłem wojsk pod nią wzmocnione, znów osłabiło ścisłość względem nas rządu austriackiego. Po przywiezieniu nas do Lwowa osadzono w domu i otoczono Kroatami, z którymi się rozmówić nie mogłem; lecz ciągły ruch powozów, dam i osób poważnych cieszył mnie współczuciem miejscowem. Wkrótce wieczorem wychodzić mi pozwolono za biletem policyi, który sobie osoby przychylne wyrabiały, a to w asystencyi żołnierza; potem już mnie samemu ten bilet powierzano i moi Kroaci zapomnieli nawet twarzy więźnia i nieraz tym, co u mnie byli, utrudniali powrót, myśląc, że ja wychodzę. Stosunki moje zwiększały się codziennie i gdybym w tedy mój pisał dziennik, byłby interesowniejszy rozmaitością samą. Raz dozwolono mi wyjechać do Tarnopola dla zbliżenia się do matki i zasięgnięcia wiadomości o niej; dowiedzieli się współaresztowani i pozazdrościli tej swobody. Posłano za mną, odebrano pozwalający papier, łajano nawet, jak gdybym bez wiadomości wyjechał, lecz wieczornymi wychody osładzano tę przykrość tak dalece, że mnie nieraz spotykał gubernator, który udawał, że nie poznaje, kto jestem. Kościuszkowski pisał, żądając oswobodzenia naszego; przyszedł nakoniec z Wiednia oczekiwany wyrok: kazano nam wyjechać za granicę, a mnie w granice państwa powracać zabroniono. Dano mi jednak paszport na wszystkie osoby, na którem go mieć żądał; ośmieliłem się prosić go dla szesnastu, a tak na koniach, w mundurach jechaliśmy do Lublina, będąc

— 24 —

przedmiotem podziwu dla armii austriackiej, która się też ku Lublinowi posunęła i wysłała nas z eskortą do forpoczt awangardy trzymany przez pułkownika Urbanowskiego, który tam pułk kozaków formował.

Zdałem sprawę naczelnikowi z całego niepowodzenia i co mi doradcy lwowscy powierzyli; Kościuszkowski będąc uprzedzony, ostrożności moje z rządem i stosunki moje z obywatelami za dobre uznał. Wiedział, że były składki, które go nie dochodziły, potrzebował je wydobyć i we mnie upatrywał skutecznego agenta. Tłumaczyłem się zapadłym na mnie wyrokiem. On mi powiedział: wydano cię na żądanie generała Sołtykowa; jako syn galicyjskiego obywatela, masz prawo pobytu, który ci ułatwi naszej sprawy przyjaciela, i wielką oddasz usługę. Nie śmiałem jej odmówić. Mało byłem w Warszawie, lecz byłem właśnie na ów

święty Ignacy u generała Kamińskiego, gdzie prosto od stołu na koń i na baterie szwedzkie uderzono; był tam i Ledóchowski Ignacy, a że na wielkim siedział koniu, choć sam malutki, Prusak nie dostrzegłszy jeźdźcy myślał, że koń swobodnie bieży, i złapać go pragnął, lecz spostrzegł z zadziwieniem maleńkiego pana, dopiero gdy ten strzelił do niego. Był też i książę Jabłonowski, co przyszedł z brygadą Łaznińskiego, śmiały, ubrany dziwacznie zawsze; w tym dniu miał długą karmazynową szarfę, siedział na zuchwałym koniu od Sierpieńskiego pożyczonym, który go niósł mimowolnie przed batalion pruskich strzelców. Szarfa rozpuściła

się długo, a on przeleciał szczęśliwie, jak kometa z ogonem, choć ją rozrywały kule. Koń się spostrzegł, że to nie jest jego zwyczajne stanowisko, zwrócił się też samą drogą nazad pod temiż strzałami, a wojsko nieprzyjacielskie awanturującego się rycerza oklaskami okryło. Było to przecież dzieło kasztanowatego rumaka pana Sierpieńskiego, którego żaden nie przełamał jeździec, a on go, jak mówiono naówczas, na figiel księciu ofiarował.

Dwa obozy stanęły pod bronią, każdy myśl nieprzyjaciela odgadnąć pragnął. Gdy się rzecz wyjaśniła, naczelnik

— 25 —

przywołał do siebie, karmił zuchwałość, do karności wzywał, a po tej ojcowskiej przestrodze słuchał każdego, co mu swoje opowiadał przygody. Więc brygadyer Zwizda, którego głos cienki był każdemu znany, skarżył się, że pod nim cztery konie ubito w tej sprawie. Możnaż być tak nieuważnym, odrzekł naczelnik, żeby czterema końmi na baterię wjeżdżać? To się już przykleiło do wszystkich; powtarzano w obozie całym i pamiętne były głośnie imieniny generała i dowcipna odpowiedź Kościuszki.

Dawał się już widzieć naówczas duch skrytych towarzystw, które się do nas z Francyi wcisnęły, technac demagogicznymi zasadami; z tego to źródła rozszerzało się mniemanie uwłaczające wielkim przymiotom Kościuszki, podnoszące talenta Kołłątaja i dzielność Jasińskiego, uznające ich zdolniejszymi do prowadzenia rządu rewolucyjnego. Niejaki pan Zdanowski wkręcił się do mnie i pod swój zaciąg usposobić pragnął; nie pojąłem jego teorii, a mając polecenie stosowniejsze dla siebie, chciałem je spełnić

należycie. Przywołano mnie na nowo do Kołłątaja; mówił on, lecz z ostrożnością, jakby należało rozegrać wszystek naród, aby się razem chwycił do oręża; lekko nadmienił, że i na Galicyę przychodzi pora za podsunieniem się zbrojnej siły aż pod Lublin; mówił o odebraniu środków rządowi rewolucyjnemu, działania nawet w jego dawnym obrębie; że wysłanie na Wołyń Liberackiego równie spełzło jak moje, że jednak o Wołyniu zapomnieć trudno, że z Liberackim przybył pan Joachim Denysko, człek mężny, który się tej podejmuje wyprawy, że trzeba, abym i ja temu nowemu poświęcił się przedsięwzięciu; że mi naczelnik nie w samym tylko zapowiedzianym celu tam jechać każe, lecz da mi słowne polecenie, jak się mam sprawić, i że z korpusu Ponińskiego stosowny oddział powierzony zostanie Denysce, a gdy on brygadyerem wołyńskiej brygady zostaje, mnie patent na wicebrygadyera z woli jego wręcza. Tak tedy dwie misye razem gorliwości mojej powierzono, zresztą już były posłane wezwania do galicyjskich obywateli, o których mnie oni

— 26 —

zainformować mieli, a takąż samą wyprawę w pomoc obywatelom poznańskim Dąbrowski miał przedsięwziąć.

Opuściłem Warszawę, właśnie kiedy przyszła wiadomość, że pod Jarosławkiem Mniecki kasztelan powstał i zatopił amunicyę do armii pruskiej przeznaczoną. Ze mną przybyłe konie mych ludzi i wyprowadzonych z Galicyi ochotników poruczyłem panu Denysce, a sam do Galicyi się udałem. Byłem w drodze woźnicą, później lokajem i tak nakoniec we Lwowie stanąłem jako służący pana hrabiego Leszczyńskiego, tak wchodziłem do klubów. Widziałem zebranych znajomych mi obywateli, co wiedzieli o mnie, lecz kiedy którego nie zastałem w domu, potracali służebni źle ubranego lokaja. Panie najczęściej dziwiły się, co za interes do ich mężów mieć mogą, a mocniej jeszcze, gdy za ich przybyciem śmielszej nabierałem postaci i na narady mnie brano. Wygzeknowałem zaległe grosze, które zaraz przez Strzałkowskiego, pułkownika królewskiej gwardyi, do Warszawy odesłałem; mówiłem w klubach o ogólnej potrzebie i środkach zbliżenia się do ludu, aby przyszedł w pomoc sprawie ogólnej. Zapał był powszechny, lecz się nad środkami do wykonania oglądano; mnie uważano za zapaleńca, ale nie wątpiono, że to mówię, po co mnie wyżsi wysłali.

Był wówczas we Lwowie książę Jabłonowski, kasztelan krakowski, u którego najszczerze otrzymałem przyjęcie. Kiedym się jednego wieczora u niego znajdował, odźwierny doniósł, że Kalemberg gubernator przyjechał do niego. — Ach! zapomniałem, — zawołał książę — że on tu u mnie dzisiaj być przyrzekł; schroń się do przyległego pokoju. Lecz niecierpliwemu księciu za długiem zdało się potem moje odosobnienie i zawołał, drzwi otworzywszy: wyjdź tu, panie Józefie. Jak to ta młodzież ubiera się teraz, rzekł, kiedy w lokajskim wszedłem stroju. Zmarszczył brwi gubernator, przypomniawszy wydany na mnie wyrok i co tu porabiam, zapytał.

— 27 —

— Tam mi niedobrze, — odpowiedziałem — a że jestem bez grosza, wcisnąłem się do znajomych po pomoc.

— Niech i tak będzie — odpowiedział gubernator — byłoby dla wácpána nieszczęściem, gdyby cię policya odkryła, lecz ja nie chcę jego zguby; winszuj sobie, że cię w domu księcia spotykam. Nie widzę innej rady: daję ci dwie doby czasu, umykaj sobie, bo cię wszędzie potem szukać każę. Książę mu odpowiedział: ja go odeszlę do mojej żony do Zamościa, a stamtąd go kobiety przeprawią. Uśmiechnął się na to gubernator; książę kazał mi dać świadectwo jako służącemu swemu, poczta zaszła i Lwów opuściłem. W Zamościu stało się, jak przepowiedział; księżna przetrzymać zdołała wysłane rozkazy, ja wjechałem w armię austriacką jak miejscowy i znalazłem się na drodze do Warszawy.

Już wtedy Sierakowski, co pod Krupczycami zyskał wojenną sławę, a stracił ją pod Brześciem Litewskim, cofał się ku Okrzei i Żelechowu, żeby Ponińskiemu, co stał w Dęblinie, dać potrzebną siłę do oparcia się przejściu Fersena, który podtenczas lewym brzegiem Wisły od oblężenia Warszawy ustępował. Po odejściu Prusaków, po cofnięciu się Rosyan naczelnik mając siłę do rozporządzenia, urządził wyprawę Dąbrowskiego do Wielkopolski. Mianował generałem Książewicza i do korpusu Sierakowskiego z posiłkami wyprawiwszy, sam w towarzystwie Niemcewicza i Fiszera w tęż co oni puścił się drogę. Z tej strony Warszawy, lecz nie pamiętam miejsca, spotkałem ich jadących; zdałem sprawę z misyi, jaka mi przeznaczoną była, i oddałem papiery, które mi wręczono; śmiałem się też zapytać, czy pułkownik Strzałkowski dostał się z zebranymi pieniędzmi. — Odebrano je i umiałem ocenić wácpána delikatność, że swego dołożywszy starania, powierzyłeś ich oddanie więcej zasłużonemu. Z zwykłą sobie zimną krwią zapytywał o szczegóły i śmiał się, jak wpadłem w ręce gubernatora. Kazał mi jechać z sobą, mówiąc: Podjazd, co na Wołyń idzie i gdzie wácpána przeznaczyłem, o tyle będzie skuteczny, o ile go moje powodzenie ułatwić zdoła;

— 28 —

będzie dosyć czasu do tego, abyś się tym stawił. A wezwawszy oficera od posterunku miejscowego, co dla mnie konie przygotowywał, prosił o jednego więcej dla niego. Był to właśnie Przesmycki, co później Lubomlem, następnie Białocerkwią pożytecznie i tak pocziwie rządził 1826 roku, kiedym z Warszawy przez Luboml wracał, od niegom się o tym szczególe dowiedział. Pospieszaliśmy skoro, a w czasie sfolgowanej jazdy naczelnik badał mnie ciągle o Galicyi; czasem lubił wspierać uwagami swemi, które od niego w umyśle młodym wrażliwając się, dotąd zatarte nie zostały, już dając mi wyobrażenie prawdziwego szczęścia, które zakładał w spełnieniu powinności. — Wszystko jest zresztą podrzędne, chwała najczęściej podnieca próżność, a nawet z drogi obowiązków sprowadzić może. Pełń twoje przeznaczenie z ochotą, a reszty czekaj, sumienie stanie ci za szczęście; nie szukaj zbytku, bo go znajdziesz w mierności; chcesz miłego spoczynku, nabądź go pracą — jak się to wtedy odpoczywa z rozkoszą! Jeśli dobry stół cię łechce, po trudach i głodzie użyj pokarmu, to jest najlepsza przyprawa. Sądź ciągle twoje postępowanie, a jeśli cudze złem się wydaje, powiedz sobie, że twoje odmiennem być powinno. Nie sądz ostro drugich, oni cię sądzić nie będą i nie obudzisz zawiści. Pracuj, o ile możesz, strzeż się próżnowania, a resztę powierz Bogu; jeśliś przeznaczony do szczęścia, ono ci się samo nastroczy, jeśli masz cierpieć, żadnym obrotem nie wykręcisz się z tego. Sumienie jest jak koszula przy ciele, od niego szukaj porady i w niemniej świadka i stróża spokojności swojej.

Zbiegali się ciągle posłannicy od komend, które o jego wiedziały ruchu; doniesiono mu, że złapano oficera z małym oddziałem, który go w Żelechowie czeka, a tam już i korpus Sierakowskiego dochodzi. Powiększył pęd konia i wkrótce widzieliśmy formujący się obóz, do którego wstąpił wysłany generał Książewicz z posiłkiem z Warszawy wyprawionym. Wkrótce po przyjeździe stawiono pojmanego oficera: był to Polak, inżynier w służbie rosyjskiej, miał przy sobie opis stanu armii Fersena, bo jego przeznaczeniem było

odkrywać drogę, którą udać się miano dla połączenia z armią Suwarowa. Nad wieczór dnia tego przyjechał pułkownik Radziwiński, co pułk lubelski formował, od księcia Ponińskiego wysłany.

Radziwiński rozprawiał o obronie przeprawy na Wiśle, wyliczał arcydzieła odwagi i straty pewne korpusu Fersena, o czym i raport generała twierdził; lecz nakoniec doniósł, że się już Fersen przeprawił, że szuka Suwarowa, że ucierpiał w przeprawie, że jest obciążony, bo ma działa do szturmów Warszawy użyte, że Poniński utrudniać będzie pochód jego.

Korzystać z tego wypadało i nazajutrz pod Maciejowice marsz nakazano; przyszliśmy nakoniec w to miejsce, gdzie się nasz zaczął upadek. Na prawym skrzydle zameczek był główną kwaterą. Leży on na wzgórku, błota go od niedalekiej Wisły dzieliły; wyższe położenia zostały obozem pieszych regimentów, na lewym skrzydle usypano baterię, którą osadzono armatami i w komendę generałowi Kniażewiczowi oddano; resztę artylerii na wzgórzu między piechotą umieszczono z kawalerią, dla której rozwinięcia za mało było miejsca; na lewym skrzydle dragony Mirowskich regimentu. Brygada zaś Kopcia, regiment ułanów królewskich, milicya brzeska były na odwrotnej pochyłości wzgórka umieszczone i nieprzyjacielowi i armatom jego ukryte tak, że tylko rykoszujące kule do nich się dostać mogły. Płaszczynę na przodzie obozu okoloną siwym borem od strony nieprzyjaciela zajmowała awangarda z pułku księcia Józefa Lubomirskiego, którą generał Kamiński komenderował. Ze to był mój znajomy z Wołynia, jam się do jego udał szafasu i tam moją kwaterę miałem. Ponieważ dniem przedtem był mu nadzór obozu powierzony, ogół wojska naszego był mu znajomy. Mieliliśmy wszystkiego sześć tysięcy dwieście ludzi i dwadzieścia cztery działa. Z tego zaś, co nam później wiedzieć nie było trudno, oprócz wielkiej ilości armat, jaka była potrzebna przy oblężeniu Warszawy, korpus Fersena 18.000 liczył. W dniu 10 października o godzinie siódmej zrana widzieliśmy wychodzące z lasu kolumny Fersena;

wszędzie przed piechotą brzmiała wojskowa muzyka, lecz postęp ich był bardzo powolny, bo nas przez skrzydła okolić chciano, a na lewym naszym obchód był długi. Na prawym faszynami sobie uścielano drogę; nasze działa znacznie wyniesione, zdała raziły ich mocno, co dawało widomie ruch niesforny całej linii, lecz dla ułatwienia armatnim strzałom pułk Kamińskiego już się do obozu cofał: tak trwało do południa prawie. W tym czasie kawaleria była nieczynna; wszyscy potrzebę cofania się widzieli; inni nadzieję w przejściu na lewe nasze skrzydło Ponińskiego i w nim przewagę naszej strony upatrywali. Byłem z wielu przy Naczelniku do przenoszenia rozkazów jego, a on już lewego skrzydła pilnował, gdy z prawego Sierakowski przybiegł i o przedzieraniu się Rosyan przez błota, a o odcięciu od Wisły mówił. Te jego pamiętam słowa: Już mnie tam kula w grzbiet uderzyła, wszystko własnymi widziałem oczyma, zdaje mi się, że jeszcze czas do cofania się mamy. — Nie masz tu miejsca rejterady, tu się zagrzebać albo zwyciężyć potrzeba, odparł naczelnik. W tem nadbiegł Kopeć, schwycił go za nogi i ze łzami do cofania się wzywał, mówiąc, że od lewego skrzydła przebieżeni jesteście i silno kozacy i kawaleria następują. Naczelnik zbliżył się do linii bojowej; kula armatnia szła blisko jego boku i między nami, a on z zimną krwią do Niemcewicza powiedział: Szczęściem, że nie bliżej, o mało nie zginąłem. W tem mu donoszą, że pułk królewskich ułanów ruszył cały do Warszawy, a pan Wojciechowski pułkownik oświadczyć kazał, że mu sumienie każe go odprowadzić królowi, bo tu by zginął niezawodnie. Za jego przykładem pojedynczo kawaleria gnała w tę stronę, wołając jeden na drugiego: Bójcie się Boga, zatrzymajcie się, zbierzmy się, bo nas pojedynczo wykołają. Naczelnik obrócił się do nas: Biegnijcie wspanowie, zbierzcie tych tchorzów, bo to właśnie czas, gdzie kawaleria uderzyć może. Puściliśmy się w tę stronę; Niemcewicz zaraz w rękę postrzelony, kazał mi ją ścisnąć chustką, aby go ujęcie krwi nie osłabiło. Spełniłem jego żądanie; chciwy pamiętki po sobie, rozkazał mi, jeśliby

zginął, zawiadomić każdego, że go pierwsza rana spotkała, gdy Brześcian do ataku prowadził. Pospieszaliśmy wśród krzyku uciekających, którzy wołali na tych, co przed nimi byli, aby się zatrzymali, kiedy nas samych już Dońcy obścapił. Prosił o pardon Niemcewicz, do niego się rzucono; mój koń zuchwalszy przebił się dalej i między głogi uniósł mnie znacznie; lecz po zdrapaniu twarzy i odzienia i mnie też sama spotkała kolej. Odarto mnie do koszuli, a gdy chustka ciasna z szyi zdejmować się nie dawała, dobrze przyduszone. Opiekuńczym moim aniołem w tej chwili był szef sztabu Fersena pułkownik Tołstoj, który mnie obronił; a gdy mu powiedział, że byłem przy sztabie Naczelnika, związano mi w tył ręce i nie zszadając z konia, prowadzono brzegiem lewego skrzydła, gdzie piechota zrębana i wystrzelana prawie w bojowym szyku na swych padła szeregach. Dragoński pułk Czeczeryna złamał ją ostatecznie. Naprzód był się wysunął pułkownik Krzycki, mąż odważny, który kosynierów prowadził i zginął, a kosynierowie właśnie piechocie broniącej się zawalili drogę.

Jako więzień Tołstoja prowadzony byłem za nim, bo chciał naczelnika znaleźć i ze mnie spodziewał się w tem mieć pomoc. Byliśmy na jednej polance w lesie, na której wiele trupów leżało; mówił do mnie: to są generałowie wasi, proszę mi ich każdego wymienić; lecz w nich nie poznałem żadnego. Po wąsach szukałem Kamińskiego, po otyłości Sierakowskiego, bo na krwią oblanym trupach, a tem bardziej mnie nieznanym, tej tylko oznaki upatrywałem; gdy mnie wtem groźnie zapytał Tołstoj o naczelnika, co się tam miał znajdować. Podczas tego poszukiwania prowadzono połamanych więźniów; między nimi jeden z regimentu Mirowskim

zwanego bolesnym wykrzyknął głosem: Naczelniku, mój naczelniku! i ty już nie żyjesz! Tołstoj spojrzał na mnie ostro, żem go dostrzec nie chciał; powiedziałem mu, że w tej stronie łąki nie byłem, i on mi się przybliżyć kazał.

Leżał człowiek z większego odzienia odarty, głowa na ręce oparta, krew nasączyła włosy jego długie, bo był w głowę ranny, kaftan jesienny ciemnego koloru był jeszcze na nim, buty nawet były zdjęte, tem bardziej zegarek, co go na złotym łańcuszku nosił, a na rękę miewał zawsze kilka pierścieni z napisami stosownymi, którymi jako jedyną nagrodą walecznych na placu boju obdarzał. Nic tego nie było, ale po omyciu twarzy smutna przepowiednia żołnierza zdała mi się niezawodną. Tołstoj natenczas rozwiązać mnie kazał, zalecił zostać, a żołnierzom i oficerowi polecił mieć wzgląd na położenie moje. Uklęknałem, szukając w nim śladu życia, pytałem, co mi rozkaże: pierwsze życia świadectwo było, że słabo wymówił: szklankę wody. Prosiłem o nią, lecz się im zdało, że wódka byłaby skuteczniejszym lekarstwem; przynieśli mi ją w naczyniu, ale jej użyć nie śmiałem. Wkrótce sprowadzono wóz paru wołami, aby go zabrać, gdy stary kozak, co miał ochotę podnieść jego powieki i oko zobaczyć, zawołał, że się tak generała choć nieprzyjacielskiego nie posyła. Związano zatem po kilka ratyszczów kozackich, pasami je przewiązano, siano nasłano, ja mój płaszcz stary, który mi kozak za rozkazem Tołstoja wrócił, rozesłałem; nieśli kozacy, a mnie zwiąawszy w tył

ręce znowu, gdy wsiadł na konia, w tyle tych noszów za cugle prowadzono. Tak wjechaliśmy przed zameczek; tymczasem wynoszono rzeczy jenerała, aby umieścić Kościuszkę w tejże samej izbie, gdzie dniem wprzód jako naczelnik wojska kwaterował. Dół cały domu był poświęcony rannym oficerom, a żem był mocno pokrywawiony od cierniów, i mnie tam wtrącono.

Prosiłem felczera o wodę i krew obmywałem, gdy wszedł Tolstoj; zawołał mnie i na górę poprowadził. Pytano mnie o szczegóły osoby Kościuszki dotyczące, jakie mógł mieć przy sobie sprzęty, gdzie są papiery jego, a na koniec jak był w tym dniu ubrany. Mówiłem, że miał szarą czamarkę krakowską, zielonymi sznurkami obszytą. Czyż to był mundur? jeden mnie z boku zapytał. — Odpowiedziałem, że tego koloru i kroju był ubiór ludu, który się najpierwszy

— 33 —

uzbroił, a zielone sznurki kolorem nadziei, które po zbieciu Tormansowa kazał sobie ponaszywać. Słuchający rzucił się do mnie z gwałtownością, aż mnie swą osobą Fersen od niego zasłonił, pytając, czybym kiedy jenerała Tormansowa widział. Przekonał się, że go nawet znać nie mogłem. Jenerał łajał i złorzeczył mi, zaciskając pięści; ja zaś nie wiedziałem wcale, kogo mam przed sobą, domyślając się tylko po gniewie, który obudziłem niechęć. Zweryfikowano na osobie Kościuszki będące sprzęty wedle mego opowiadania i natychmiast do kwatery głównej zniesiono; wszystkie się w całości znalazły, mnie odejść kazano. Oddzielono w tym dniu jeszcze Kopcia brygadiera, jenerałów i wyższych oficerów, między którymi był Niemcewicz; tych odprowadzono do osobnego mieszkania. Niemcewicz żądał, żeby go każdy majorem nazywał, bojąc się jako cywilny przykrego z sobą obejścia. Naczelnicy pułków rosyjscy ubiegali się, ofiarując namioty swoje jenerałom; Daszkow, pułkownik kijowskiego grenadyerskiego pułku, wziął jenerała Kamińskiego, pułkownika Sobeckiego i mnie do kwatery swojej; przy sztabie zostawiono Niemcewicza, Sierakowskiego i Fiszerę. Tak się dla mnie skończył ten dzień nieszczęsny. W pierwszych chwilach niebezpieczeństwa przebyte, widoki okropne, później ludzkość zwycięscy, a najwięcej nadzieja, co zwykle pociesza nieszczęśliwych, dość silnie osłaniały położenie, w jakim zostawaliśmy.

Naczelnik nabierał siły, jenerałowie skarżyli się jeden na nieudolność drugiego, jak to powszechnie bywa. Mówiono, że i naczelnik żalił się na Kamińskiego i kawalerię, która nie była dość czynną; na Ponińskiego, którego przyście na tył wojsk przeciwnych zwycięstwo przeważyć by mogło. Mówią, że w Warszawie badał to sąd wojenny, lecz bez skutku się skończyło, bo każdy myślał o swoim ocaleniu.

Nas dni kilka zatrzymano w spoczynku: z Warszawy przyjechał Lafontaine lekarz, co pragnął naczelnikowi w losie jego towarzyszyć; przysłano dwa tysiące dukatów, które on z nami podzielił i trochę kosztowniejszych ofiar w sprzętach,

— 34 —

którego w niedostatku wspierać mogły. Spisano etat zabranych: było nas dwa tysiące, w tem wyżej stu oficerów; drugie tyle poległo w polu, reszta zbiegła do warszawskich obozów; kosynierowie rozeszli się ku swoim domom. Dokąd nas poprowadzą, nie było jeszcze rozporządzenia; mniemało wielu, że ku Litwie i Smoleńskowi. Nie było nam bardzo dobrze, strawa ledwie do utrzymywania służyła; lecz ci, których na swoją porękę wyżsi oficerowie pobrali, nawet uskarżać się nie mieliby prawa, bo się z nimi po ludzku i bez żadnej pogardy obchodzono. Pierwsze dni były spokojne; wielu pieszo gnano, bo w kraju wojną zniszczonym, gdzie się rozbiegli i ukrywali właściciele, z położenia samego było to koniecznem. Kilku znacznych uchroniło się ucieczką; wzięto ten krok za powód zbytnej ostrożności, inna wszakże mogła być przyczyna. Podjazd Denyski na Wołyń wysłany o którym wyżej wspomniałem, przebywał w swym marszu bliskie okolice; wieść się rozniosła, że huzarów formowano z przybywającej majątniejszej młodzieży, a gwardją naczelnika nazywano, że ta z wielu ochotnikami przebijała się, uwolnić go pragnąc. Zdaje mi się, że takie wieści przechodem Denyski podniecone, były rzetelną większych względem nas ostrożności pobudką. Tak nas prowadzono przez Okszę ku Włodawie, gdzieśmy rzekę Bug przebywali; ten kierunek, co mnie oddalał od części Wołynia, w której od rodziny jakąś pomoc mieć mógłbym, smutniejszy był dla mnie. Ale już nasze przeznaczenie zmienione zostało; w miejscu Smoleńska wyznaczono nam Kijów, droga wiodła na Łuck i Zasław. Jenerał Chruszczow był komendantem oddziału; prowadził nas pułk kijowski grenadyerski piechotny, a jego pułkownikiem był Daszkow. Bagrejow komenderował pułkiem kimburskim dragońskim, trochę przytem było kozaków.

Daszków był człowiek ludzki, dzielił z nami swój stół i zachowywał dobroduszość żołnierską, szanując w drugich niedolę. Naczelnik zawsze jechał w swym koczku, co go mu z Warszawy przysłali, w towarzystwie majora Tytowa, który troskliwie z nim się obchodził. Z tyłu murzyn, co był na

— 35 —

jego usługach; inni w powozach w kraju zabranych, w dobre opatrzonych konie. Spotkali nas z wycieczek wracający kozacy, przepełnieni zdobyczą; niektórym zawadzały książki, które najczęściej im większe były, tem je za lepsze uważali. Znudzeni na koniec niemi ciskali nam je w powozy, a jeśli kto dostał guza lub łapczywie chwycił, było dla nich szczerego śmiechu powodem. Niechęć wielką nam uczynili przysługę na długie jesienne wieczory: był to gojący balsam na tęsknotę naszą. Niektóre z tych ksiąg nosiły cechę biblioteki pańskiej, niektóre z nich do maciejowickiej należały.

Wkrótce opuścił nas Daszkow, bo choć w późniejszym wieku, miłość była w nim jeszcze przemagającym uczuciem. Stojąc w Warszawie garnizonem, pokochał tam osobę piękną, pannę Sycz, córkę architekta królewskiego; ta go odpierała całą siłą, na jaką się mogła zdobyć, kochając innego. Dla państwa Sycz pułkownik był partyą dobrą, dla córki oficer młody i rodak sercu był luby. Nastąpiło zdobycie Pragi i odwet za rewolucję warszawską. Suwarow był w Warszawie, kochanek zagrzebał się w ruinach Pragi, pułkownik sądził, że miał prawo ze zwycięstwa korzystać i udał się do Warszawy. Oddano mu panienkę za żonę, ale konwulsye, których dostała, najlepiej świadczyły o miłości jej dla zabitego. Wrócił z nią do nas, kochał ją mocno, lecz mało który dzień przeszedł, żeby nią nie rzuciły spazmy, a w nich trzymających ją grenadyerów odpychała od siebie z łatwością. Była to osoba starannie wychowana, służyła mężowi znajomością języków i gdy się później dosłużył jenerał-gubernatorstwa w Taganrogu, była dla niego sekretarzem do korespondencji zagranicznych. Co do nas, stanąwszy w Kisielinie, jużśmy współczucia doświadczać zaczęli; żona jenerała Kamińskiego przyniosła mu śliczne dziatki. Niemcewicz zawsze żartobliwy, kolega jenerała w korpusie kadetów, prosił ją, aby gdy jeszcze jedno młodziankę mieć będzie, darowała mu dla pociechy. I mnie tam lepsza spotkała dola. Brat mój przywiózł mi skromny zapas, a w pomoc dwa zegarki, które się znalazły w domu, oba repetyery;

— 36 —

cieszyłem się nimi jak dziecko, kiedy pierwszą zabawkę odbiera, zasnąć nie mogłem, przyciskając kolejno, aby mi wybijały godzinę.

W tem właśnie miasteczku przybyła sześciokonna karetka z młodym człowiekiem i przed jenerała Chruszczowa zajechała. Był to mieszkający w okolicy syn podstolego koronnego pan Kar.....; żądał od jenerała, aby mu pana Kościuszkę widzieć pozwolił. Nie odmówił mu tego myśląc, że jest znajomy; ale Kościuszko, gdy przed nim stanął, spytał go o cel wizyty, a gdy w niej jedynie ciekawość widzenia go spostrzegł, odpowiedział, że czas długi krajowi służąc, tam na znajomości czekał i z pociechą poznawał się z przybywającymi; w dzisiejszem zaś przykrem położeniu potrzebuje spokoju, a zatem go żegna. Obejrzał się młody, że nieroztropnie postąpił; a gdy co najprędzej odjechać pragnie, Dońcy mu już cug siwych wyprzęgli i do stajni jeneralskiej zaprowadzili.

Nie darował tego wieczorem jenerałowi Niemcewicz; lubił z nim niekiedy mówić i dysputować Chruszczow; ostro mu więc porównaniem ze Spartanami przyciął, za co nie tylko że się nie pogniewał, ale żadnej niegrzeczności nie dopuścił. Poszliśmy ztamtąd do Łucka, gdzie ja zapomóżony oporządziłem się trochę. Przed dojściem do Zaslawia nic sobie przypomnieć nie mogę.

W Zaslawiu przyszedł rozkaz, aby naczelnika i Niemcewicza wieść wprost do Petersburga; zwołał on nas do siebie, którzyśmy się z nim liczyli i los z nim chcieli podzielać. Wybrał Fiszerę, mówiąc do mnie: Tyś jeszcze młody, możesz się szczęśliwszych doczekać kolei, niżli te, które są przed nami; pożegnajcie odemnie towarzyszy oręża, bo sądzę, że mnie się z nimi widzieć nie będzie wolno. Jakoż wkrótce wywiezieni zostali do Łabunia, gdzie stał Sołtykow główno-komenderujący, który go osobiście widzieć pragnął. Staliśmy dni kilka w Zaslawiu; dostojni gospodarze starali się osłodzić nam pobyt: bawiono jenerała, aby nam w zamku bywać dozwalał, a jenerał Sierakowski zyskał ich przychyłność,

— 37 —

że mu dozór wychowania synów powierzyć pragnęli. Za mną posłali prośbę do feldmarszałka Romanzowa, żeby na ich poręce do domu matki powrócić i w nim zamieszkać mi dozwolił. W końcu nas oficerów w okolicy Berdyczowa rozlokować, a jenerałów do Kijowa zaprowadzić odebrano polecenie. Jakoż udaliśmy się w tę drogę. Litewscy więźniowie dążyli w nasze strony, jenerał Izidor Krasieński był posłany do Romanzowa. Młody wtenczas, a najmniej z naszych jenerałów usposobiony, nie zrobił na nim wrażenia i reszty widzieć już nie żądał. My na nowych naszych kwaterach doświadczaliśmy życzliwości, a w Berdyczowie ochotnego przyjęcia. Zjeżdżały się znakomite damy, aby nas widzieć, ofiarowywali się obywatele dawać za nas rękojmię dla przebywania w ich domach, a chociaż sam książę, wychowaniec petersburskiego korpusu kadetów, sympaty dla nas nie miał, żona jego czyniła wszystko, co mogła, by nam współczucia dowieść, i dom ich był rodzicielskim dla nas przytułkiem. Nie wiem, czy nam jenerałowie umieszczeni w Kijowie położenia naszego nie pozazdrościli.

Kiedy w tem piśmie zbieram moje wspomnienia, sądzę, że mi i o sobie mówić się godzi. Ojciec księcia Radziwiłła wiekiem i podagrą zmęczony zamyślał o ożenieniu. Na Wołyniu bywał w domu Kamińskich, obywateli wychowanych w domu Radziwiłłów i im przyjaznych; w ich też rodzinie żonę sobie upatrzył. Byli to bliscy nasi krewni i sąsiedzi dziada mojego. Radziwiłł, jako majątny a bezdzietny, obudził zawiść spadkobierców, którzy na ożenienie jego zezwolić nie byli radzi. Tak nawet, szły rzeczy, że się napadu

na dom Kamińskich spodziewano; w tej obawie uwięziono narzeczoną, jako bliską krewną, do domu dziada mojego i tam ją z Radziwiłłem poślubiono. Syna odumiał ojciec w dzieciństwie, matka z sierotą oddała się do Warszawy; a że potęgą posłów rosyjskich była wyższa nad familijne krajowców usiłowania, poseł przyjąwszy dziecię w opiekę monarchini, za jej rozkazem do korpusu kadetów do Petersburga odesłał, a siłą znaczenia swego majątek od napaści

— 38 —

spadkobierców zabezpieczył. Z takiego to skolidowania Radziwiłł kuzynkiem mnie nazywał, więc nienatrętnie mogłem korzystać z ich dobroci. Książę Mateusz niedawno pojął był żonę z domu poważnego i majątnego obywatela, jenerała Zakrzewskiego, co w czasie koronacji Stanisława Augusta już swego znaczenia i brawury próbował i o nim Ségur w dziele swoim wspomina. Miała ona i siostrę, której pierwsze w sercu uczucia były dla pułkownika Krzyckiego, zabitego pod Maciejowicami; przyjemnie było tym damom okazywać współczucie dla tych, co bój z nim dzielili, w którym on szlachetnie ukończył życie. Ani dom ten zatem nie był dla nas obojętnym ani my obcymi dla niego. Stąd powstało wiele stosunków między obywatelami, którzy uczęszczali do jedyne go w prowincyi miasta, w którym się zbierano licznie, a oficerami przebywającymi tam z położenia swego wskutek wyższych rozkazów. Mało który z ówczesnych plennych nie miałby co przydać do pamiętników czasu tego i poświadczyłby, że się dla nas dobre wróciły czasy, a do korzystania z nich ze strony komendy najmniejszej nie mieliśmy przeszkody.

Lecz wracam do mojego osobistego położenia, o którym pisać postanowiłem sobie. Na mocy wysłanej z Zaslawia prośby przyjęto wstawienie się domu książąt i mnie być w Taszanach u feldmarszałka kazano. Prędko a cicho odbyłem tę podróż, bo mi tak polecono; widziałem tę wspaniałą postać olbrzymiem podtenczas znaczeniem wslawioną; oddałem listy równie domu książąt, jako i wuja mego Łukasza Strutyńskiego, u którego kiedyś przed feldmarszałkowstwem Romanzow w Lipowcu kwaterował. Człek ten poważny miał spodnią szczękę osłabioną i podwijał ją czarną chustką na wierzchu głowy związaną; postać znacząca, lecz dobroci pełna. Po odebraniu listu przypominał sobie swe dawne stosunki i powiedział z łagodnością:

— W Lipowcu stałem w wygodnym parochu domu, na jednej stronie ja, z drugiej strony kancelarya moja; nigdy lepiej usłużony nie byłem, z łatwością mi było przywołać

— 39 —

każdego i przypilnować wykonania rozkazów. Miałem spokojność i w domu i w duszy, nie znałem zazdrośnych, pełniąc tylko moją powinność. Dobrze to były godziny życia mego i pamiętam je jeszcze. Pytał mnie potem o szczegóły bitwy, jak był Kościuszko wzięty, i kiedym mu to ze łzami opowiadał, rzekł z uczuciem:

— Gdyby tam skończył życie, kazałbym zrobić portret jego i umieściłbym na pamiątkę u siebie; lecz żyje, jest więźniem, jak dotrwa i co się z nim stanie, zagadką jeszcze, a cnoty człowieka po śmierci dopiero najpełniej poznać się i ocenić dają.

W tej chwili uwiadomiono go, że nowo mianowany feldmarszałek Suwarow odwiedzić go przyjeżdża, a niedaleko złamał się jego powóz. Romanzow natychmiast swój podesłał rozkaz, gdy przez okna na dziedziniec wychodzące ujrano już Suwarowa wjeżdżającego na koniu zwoszcyka z chomątem na szyi, w wielkiej swej godności mundurze i orderami okrytego. Feldmarszałek

cofnął się do swego pokoju, wszedł Suwarow i co chwila niespokojny dopytywał, kiedy wyjdzie. Wyszedł nareszcie nie w surducie, w jakim był przed chwilą, ale w rodzaju szlafroka z sobolami.

— Przepraszam — rzekł do gościa swego — nie wdziałem munduru, bom chory, a to odzienie zaszczyt mój, bo mi go w nagrodę cesarzowa pani dawnym zwyczajem narodowym za przejście Dunaju przysłała.

Rozmawiali, a tymczasem z usilnością i pośpiechem powóz jego naprawiano. Suwarow niecierpliwie przez okno wyglądał. Próżno go prosił gospodarz, ofiarując gościnność; jak tylko doniesiono, że skończony, pożegnał i w dalszą puścił się drogę. Mnie oddano już napisane uwolnienie na porękę, a feldmarszałek dodał: jeśliby generałowie mogli mieć porękę, wolno im będzie oddalić się z Kijowa.

Było to wielką dla nich pociechą; ja tem bardziej zasłużyłem na ich względy, że jako wolny do odbycia podróży wyjednać im takowe poręczenia byłem w stanie, byle mnie uwiadomił na kogo liczyć mogą. Sierakowski wskazał

— 40 —

mi dom książąt Sanguszków; Kamiński księcia Józefa Lubomirskiego, a Kniażewicz kolegę wychowania i służby, pana Dulskiego, Podolanina. Zająłem się tą posługą z przyjemnością, dopełniono jej uprzejmie, a oni wyjazd z Kijowa za wielką łaskę poczytywali. Odtąd moje z nimi ugruntowały się stosunki, a przyjaźń generała Kniażewicza pozyskałem na dalszy bieg życia. Niemcewicz nas Kastorem i Poluxem nazywał; do grobu mi przyjaźń tę dochował i ja go do śmierci opłakiwać nie przestanę, bom w nim stracił przewodnika mej młodości, wodza, któremu lat tyle towarzyszył, człowieka, co mi wskazywał, jak spełniać miałem włożone na mnie obowiązki, który mi dał stosunki chlubne i dnie najmiłsze życia późniejszego ozdobił, jak niżej opiszę.

Wtedy nam zabłyśły przyjemności towarzyskiego życia z obywatelami, którzy nas w swych domach szczerem sercem witali, z hojnością ugaszczali i szacunku dawali dowody. Stąd mnóstwo stosunków nowych i nowych wspomnień źródła, a nawet i komicznych nie brakło.

Poważny starzec, człek możny i obraz istotny już ubiegłych czasów był generał Zakrzewski. Mieszkał on w Szepetówce. Poufały, gościnny, otwarty, przyjął nas jakby jeszcze za czasów ostatnich Sasów. Dom jego pobożny i staropolski wspaniale obdarzył podróżnych, szczególnie oficerów, których ilość znaczna bez chleba pozostała. Na ten rachunek cisnęli się oszuści, co z jego wspaniałości korzystali. Przyszedł jeden z nich natenczas, mówiąc: z pod Maciejowic jestem a dziś wspomnienia proszę. Wesoły generał kazał mu sobie o tym boju mówić, Oszust zaczął od tego: zdrada, panie, zgubiła nas, generałowie nas zdradzili. Zadrżeli przytomni, lecz mu nie przerywali.

— Znałeś generałów swoich? — spytał go gospodarz. — A jakże nie znałem, oni mnie czasem do swej rady wzywali, nawet i pan naczelnik, bom ja dawny wojak, bo takimi nie pogardzają; doświadczenie za naukę stanie. — Mówże nam waść o tej przygodzie; ciekawe to rzeczy. — Oto tak było: oprócz naczelnika wszyscy już przekupieni

— 41 —

byli; on się tego tylko domyślał, a myśmy to dawno przewidzieli. — Cóż tam porabiał Sierakowski? — Wyniósł się natychmiast. — A Kamiński? — Za nim. — A Kniażewicz? — To tchórz wierutny, już mu w łeb strzelić miałem, kiedy nas opuszczał.

Ze wszystkich najniecierpliwszy Kniażewicz, posłyszawszy to, rzucił się na niego ze swą olbrzymią postacią:

— Kłam sobie, co chcesz, ale łżesz, kiedy mnie tchórzem wystawiasz. Gdzieżeś ty był, kiedy nas spotkała niewola? widzisz tu nas wszystkich, co cię do rady wzywali, a żadnego poznać nie mogłeś? mów, kto jesteś!

Zmieszany odpowiedział: Jestem trębacz z pułku Karwickiego. — Wszakże ten pułk z nami nie był?

— Ja to mówię, co się pod Dubienką działo. — Zasługujesz, żeby wziąć w trąbę, trutniu; trąb, kiedy umiesz, ale zamknij gębę, bo nią bezbożności głosisz. Gospodarz osłoniwszy go, dał mu jałmużnę, mówiąc: To waści za Dubienkę, ale więcej nie przychodzi do domu mojego.

Od rządu żadnej przykrości nie doświadczałyśmy, zdobywcy łagodnością uspokajali umysły. Czas jakiś nie naglono o podatki; żołnierzy wzywano do służby, oficerów przyjmowano jednym stopniem niżej, mówiono o formacji pułków nowych pod nazwiskiem dawnych województw i w nich nas pomieścić obiecywano. Iliński, później senator, a którego pamiętniki z tych czasów na szczególną zasługiwały uwagę, przynosił te obietnice. Tym czasem Tutulmin, reprezentujący monarchię, otwierał gubernie nowe w Żytomierzu, Kamieńcu i w Litwie. Ze zjazdów tych, na które zapraszano i naglono osobliwie damy dla dodania im świetności, najpierwszy był w Żytomierzu. Znalazł się tu i Fersen nasz zwycięzca, on nas swoją okrywał opieką, ile razy przykrości

w domu Tutulmina dostrzegał. Syn młody Tutulmina, niesforny i niespokojny człowiek, widząc mnie w moim mundurze dobrze widzianego w towarzystwie, chciał mi wyrządzić jakąś policyjną psotę. Nie uszło to oka Fersena: wśród sali zbliżył się do mnie poufale i radził mi, abym go nie

— 42 —

opuszczał, mówiąc: Ci panowie cywilni, co nie wachali prochu, lekce sobie ważą żołnierza; uważałem, że wćpan nie chybiasz nikomu, a że cię swoi przyjmują z dobrocią, toby nawet dziwić nie powinno. Bądź jednak ostrożny, a w każdym razie odwołaj się do mnie jako plenny; ja ich ostrzegę że cię pod moją biorę opiekę. Dziękowałem mu szczerze, chciałem się usunąć nawet, ale nikogo z kobiet i męszczyzn, co na bal wszedł, stojące warty przed skończeniem balu nie wypuszczały. Wtedy gubernatorem zwyczajnym był Szeremetjew, z którego obchodzenia wszyscy kontenci byli. Że się w Żytomierzu nie znajdował generał Zakrzewski i za złe mu to poczytano, chciał być w Kamieńcu; a że część Wołynia, w której zamieszkałem, do Kamieńca należała, mnie za towarzysza podróży wezwał. Widziałem więc i ten obchód; bale były świetne, jedna tam tylko okoliczność szczególna mi się przedstawiła. W Kamieńcu mieszkali dawni tłumacze do interesów tureckich używani; wyprawiono ich do Chocima i polecono wyprawić do Tutulmina poselstwo. Prośbą i staraniem zebrano na ten cel kilkadziesiąt osób; ci na nędznych szkapach, mizernie wreszcie odziani do Kamieńca przybyli. Tu dla nich świetne zgotowano przyjęcie, wezwano kobiety, proszono o wspaniałość w ich ubiorze i w dwa rzędy na sali postawiono. Za nimi umudurowani obywatele oczekiwali; weszła zaproszona zgraja; przechodząc środkiem kobiet byli pewni, że to jest jeneralski seraj, podziwiali więc ich piękność, blisko im w oczy zaglądając. Tłumacze mieli trudność zwabić ich do podnóżka tronu, na którym Tutulmin jako zastępca monarchini przed jej portretem siedział. Obojętnem to dla nich było, choć tłumacze w ich imieniu prawili, a z tronu im Tutulmin odpowiadał; zostali pod wpływem mniemanego seraju, przekonani, że na oględziny jego ich wezwano; poczem obdarzeni, nazad do Chocima wrócili.

Do podziękowania za zajęcie tych prowincyj w ich imieniu wyznaczali byli, o ile przypominam sobie, wojewoda bełzki Potocki z synem i Iliński, już podówczas szambelan dworu, reszty nie pamiętam. Gubernatorem był

— 43 —

Werderowski, którego powierzchowność zdradzała nowe dla niego położenie. Gdy mu z kolei i mnie prezentowano, przyjął mnie w szczególny sposób, mówiąc, że pierwszą osobą, którą ukochał, była gdzieś w Rosyi krasawica panna Drzewiecka; z tego tytułu i mnie za przyjaciela mieć pragnął, pytając, czy by to nie była siostra moja. Nie miałem wcale ochoty przyznawać się do tego pokrewieństwa.

Jenerał Tutulmin oddawał wizyty wszystkim w ogólności, posyłając tylko karetę ośmiokonną, która z przystawem opatrzonym w registr kwatery objeżdżała... Jenerał Zakrzewski niecierpliwił się sposobem życia, jaki prowadziliśmy, wyglądał momentu wyjazdu, a jak tylko było podobna, wyruszyliśmy z Kamieńca. Już wtenczas przypominam sobie, że mówiono o zbieraniu się powstania w lasach pod przewodztwem Denyski, już przypinano do domów kartki: kto kocha ojczyznę, niech idzie na Wołoszczyznę. Być też mogło, że tę ambasadę jako antydot urządzono, grożąc, że zbierający się wydani zostaną rządowi. Nastąpiła jesień i kontrakty, te już z Dubna do Zaslawia przeniesiono; wielu z oficerów naszych do wojska rosyjskiego przeszło i hojnie obdarzeni zostali. Był między nimi Lubowidzki brygadyer, już wtedy jenerał, i ozdobiony gwiazdami błyszczał. Kiedy na drugą stronę szmer się rozchodził o Wołoszczyznę i legiach, co się we Włoszech formować zaczynały, byli śmielsi, co się na narady zbierali, byli ciekawi, co wieści roznosili, zawsze to jednak pod sekretem powierzając. Chodziły listy, proklamacye, ale im jeszcze nie dawano wiary. Przyszedłem na kontraktową salę źle ubrany, bo w wytartym płaszczu, do którego przywiązywałem wartość; był to ten sam, którym rannego na placu boju naczelnika podesłałem, co krwi jego miał na sobie ślady, tem samem relikwii dla mnie. Ruchy moje były śmiałe, powitania kamrackie, każdy je wedle swego usposobienia przyjmował; błyszczący swym mundurem jenerał nierad był sympatyzować ze mną, chociaż mnie przystojnie odzianego często jak kuzyna witał. Ja zbliżyłem

— 44 —

się do niego, on szyderskim okiem mnie zmierzył. Ja go jak krewnego witałem.

— A toż, kuzynku, — rzekł — wszedłeś tu między ludzi ubrany, jakbyś żebrać przyszedł. Sąsiednie twarze zwróciły się ku nam, na czym się to skończy. Odpowiedziałem, żem przyszedł spróbować, kogo z nas dwóch piękniej ubranym znajduję, dodając, że płaszcz mój krew Kościuszki zboczyła.

To mówiąc, pokazałem dużą plamę, która na nim była; twarze otaczających nas zajaśniały; jenerał zakręcił się i wyszedł z sali, a szlachetnej postaci męszczyzna nieznajomy mi przyszedł poznać się ze mną. Był to Michał Sobański. Żem z nim później tyle lat przepędził, żem go poważał, dzień ten pierwszy naszej znajomości jest mi żywo pamiętny; on mi go też potem wiele razy przypominał. Młodzież hulała i ja z nią; znamienitsze imiona towarzyszyły biesiadom, Seweryn Rzewuski dostarczał rubasznych śpiewów; a że takowe uczty często ogołacały z młodzieży poważne zamkowe wieczory, krzywiono się na nas i mnie jak domowego nieraz kobiety połażały. Wszak to są prywatne wspomnienia, dla czegoż o tem zamilczeć miałem!

Opowiem nawet i ten żart późniejszy, co mnie mógł drogo kosztować. Latem księstwo z zamku na bliską się wieś przenieśli; zbieraliśmy się tam na wieczory i poufałą rozmowę, która do poufalszych doprowadzała żartów. Była tam osoba poważna, człowieka znamienitego żona, matka dzieciom, gorliwa, lecz łatwowierna; synowie jej ze mną się wychowywali, starszy już był w służbie majorem, a równie jak nasza, była to rodzina przychylna i poufała domowi właścicieli. Jednego wieczora mówiono tęskno o przygodach krajowych; ona się do łez litowała nad młodzieżą, mówiąc: Drzewiecki i mój tak są często smutni, tak się zdają biedni, że mnie strach przechodzi, aby nie powaryowali. Młodsze kobiety myśl tę schwyciły i nuże do mnie, żebym wariata udawał. Przyjąłem rolę, do której mi piękne towarzyszki wtórowały. Za pierwszą sposobnością, gdy mówiono o miłości kraju i o żalu, jaki nas trapił, ja usiadłszy na ziemi, zacząłem

— 45 —

nawpół śpiewając, mówić z Krasickiego: Święta miłości.....

Na to sędzina: a nie mówiłam, że się to na tem skończy, że nasze dzieci poszaleją. Towarzysze wieczoru zaczęli jej myśl popierać, a we mnie chęć dokończenia tej zabawy wzniecać. Powiedziałem jej, że się udam ze skargą do Boga Ojca i zamyśliwszy się długo, potem jakby z natchnienia zawołałem, że mi rozkazano pozarynać jej córeczki, bo od Abrahama Bóg także ofiary żądał. Że to było lato, a okna blisko ziemi, matka je przez okna wyrzuciła, a sama po stróżów zamkowych pobiegła, żeby mnie do kwatery mojej odprowadzili. Nauczyłem, coby wracającej mówić miano, i sądziłem, że się tak ukończy nasza zabawa. Lecz z pierwszym dnia brzaskiem całe miasto o mojej mniemanej wiedziało niedoli; zaczęto przez lekko otwarte drzwi przeziierać, czy spokojnie siedzę, czem mocno wzruszony zostałem. Dalej poważne osoby zebrane na trybunał, który był do Zaslawia przeniesiony, po kolei przyszły; przyszli i panowie sędziowie, a w ostatku i też same damy, które mnie do tego żartu namówiły. Słowem, że sam wierzyć swemu nieszczęściu poczynałem. Proszono mnie w imieniu książąt, abym z nimi na wieś wyjechał, co rad przyjąłem; lecz wszyscy mówili do mnie z nieufnością, starali się mnie nie drażnić, a obejście to mieszało mnie do ostatka. Po przyjeździe moim na wieś nadjechał powóz i doktor Kitel ze Sławuty; że był mi znajomy, witając mnie na stronę odprowadził, abym sam na sam z nim został i wszyscy nas odstąpili. Z trudnością myśl mi zebrać przyszło, ostrzegłem go zaraz wszakże, iż to był żart umówiony; on z nieufnością słuchał, krew puścić radził, pottrzymał za puls, a mnie do ostatka nieufnością swą i ostrzeganiem domęczał. Całą dnia resztę mnie dozierał, kazał pić rzeczy chłodzące, a gdym się uspokoił, zdrową dał radę nie wdawać się nigdy w podobne żarty, tem bardziej, gdy wzburzony umysł łatwo tę słabość przyjąć jest w stanie.

— 46 —

Cóżby dalej do wspomnień przyłączyć można? Chyba same drobnostki prywatnego życia, bo już mi wolno było wzywać towarzyszków broni do domu mojego. W bliskości też zamieszkał jenerał Kamiński we wsi Butyniu pod Wiszniowcem i nas razem kilku bawiło: pułkownik Sobecki, Kamiński, brat jenerała, major Tomaszewski, z placu boju przyjaciel i przyjaciel do śmierci, Węgrzecki, syn prezydenta Warszawy, i Szmid, oficer od artylerji. Jeździliśmy kuligiem po znajomych i hulaliśmy z nimi. Raz na takiej uczcie u brata mojego byli między innymi Bazylianin z Począjowa i człek młody, dzielny jeździec, a zawsze krótko i w ostrogi

przybrany. W starym a obszernym domu były ustronne komnaty. Ksiądz i młody jeździec pijąc, pierwsi z nóg spadli, a zebrani hulacze radzili, żeby ich rozebrać i jednego za drugiego przestroić, czekając przebudzenia. Zupełnie się to udało; przeszła noc, już wszyscy powstawali wszyscy, gdy nam czeladź doniosła, że się i oni ruszają. Myśmy tam pośpieszyli i spokojnie w przyległym usiedli pokoju. Bazylianin pierwszy się rozmarzył, spojrzał, że obok niego zakonnik leżał i to jeszcze z jego klasztoru i pomruczał pod nosem: Ksiądz kasyer, niewierny Tomasz, wczoraj mnie tu po procent wyprawił i zaraz za mną przyjechał; niechże go sobie odbiera, kiedy nie wierzy drugim. Wtem obejrzał się po sobie, że był kuso ubrany, poruszył nogą i poczuł ostrogi na niej; przeżegnał się, obrócił i zasnąć pragnął, mówiąc: Sen mara, Pan Bóg wiara, sprawa to dyabła, coś mi się zamarzyło. Lecz się i drugi rozbudził.

— Ja Bazylianinem! kiedyż to być mogło — wilk w owczej sukience! to niepodobne do mnie, sen to być musi! Niecierpliwi zaśmieli się słuchacze w drugim pokoju, a śpiący rozbudzili się należycie, gdy pan Szaciński przyjaciel domu zawołał: Klin wybijac klinem: napijcie się, bo już i śniadanie na stole. Węgrzecki miał się za poetę, tłumaczył sielanki Gessnera, czytał i o nich ciągle rozprawiał. W dniu jednym przedsięwzięliśmy przy mrozie i śniegu odwiedzić generała Kamińskiego we wsi Butyniu.

— 47 —

Ochoczo ze stron wszystkich obsiedliśmy sanie, ile tylko miejsca wystarczyć mogło. Niedaleko już miasteczka Wiszniowca spotkaliśmy podeszłą wieśniaczkę idącą z garnkiem mleka i pękiem jagód kaliny, który na targ niosła. Rozczulił się poeta Węgrzecki jej położeniem, ofiarując jej swojego miejsca ustąpić, a z tyłu sani stanąć. Wstrzymano się, baba wsiadła dziękując dobroczyńcy swemu; lecz wkrótce w zatokę poszły sanie i wywracają się z nami (gdyż Węgrzecki przeważał je sobą), a baba kozła daje; padając, twarzą przyciska jagody, garnek z mlekiem rozlewa! Twarz jej czerwona zdawała się grozić kalectwem, a tem się Węgrzecki nanowo rozczulił; lecz baba myśląc, że to jej umyślnie przygotował, resztą garnka i przekleństwom go okryła. Zaspokoiliśmy jej szkodę, a między sobą mieliśmy dobry powód do żartów z zawsze rozczulonego poety.

Był pomiędzy nami pan Szmid, oficer od artylerii; z ciężkością on znosił pamięć mogącego go spotkać losu, bo ubogi, nie wiedział, dokądby się udał. Był to marzec i dzień świętego Józefa; po dniu pięknym wyjechali koledzy na koniach użyć cieplejszego słońca; ja zostałem, bom odpisywał bratu, który mi przysłał parę kuchenrajterskich pistoletów na wiązanie. Szmid wschodzi, broń ogląda i pyta mnie, czybym jej nie chciał spróbować. Sam zatrudniony, prosiłem go, aby to uskutecznił; on mi uszczypliwie odpowiedział:

— A pan się boisz?

— Dla czegoż to pytanie? — odparłem — wszak do spróbowania potrzeba jednego tylko, a pan to zrobisz zręcznie odemnie.

Twarz mu się rozogniła. Bo ja się chcę z panem strzelać — rzekł — ale w dobrym bycie jesteś i wymóc tego od ciebie niepodobna.

— Czym panu w czem uchybił?

— Niech się pan o to nie pyta, a jeśliś nie tchórz, to wychodź zaraz.

— Może choć na kolegów poczekamy?

— 48 —

— Pan w nich ufasz, odpowiedział z gniewem, a ja właśnie pragnę, żeby ich nie było.

Musiałem mu zadość uczynić i on mnie za dom ścieżką wiszniami osadzoną wyprowadziwszy, pistolety nabił i rzecze:

— Zaczynaj, boś wyzwany.

Odpowiedziałem mu, że nie widzę żadnej do pojedynku przyczyny ani się obrażonym być sędzę, chcę mu tylko dowieść, że się kuli nie lękam, i zaczynać proszę. On mnie od stóp do głowy z mierzył, wołając znów:

— Zaczynaj, bo późno będzie, jak ci w łeb palnę.

Wtem wracający z przejażdżki spostrzegli nas i domyślili się, że się na coś zanosi; pułkownik Sobecki zdaleka zawołał: Stój, Szmid, póki nie przyjadę; zbrodnia bez sekundanta!

On rękę opuścił, lecz mnie ciągle do wystrzelenia wzywał. Gdy się zbiegli, pytali o przyczynę obrazy.

— Obraza jest w moim losie, chciałem lepiej z jego ręki, niż później z głodu umierać. Gdyśmy tę rzecz rozbiegali, już go nie było i gdzieby się podział, nie wiadomo. Później powracając z legionów, spotkałem go w Uściługu, a w roku 1809 w Krakowie w teście broni służącego, o czem niżej.

Był to rok 1796, w którym cesarzowa JM. Katarzyna II. skończyła życie, a cesarz Paweł zajaśniał dobrodziejstwem Kościuszcze wyświadczonem i nas po nim uwolnił. Już Dąbrowski legie zbierać zaczynał, a Wołoszczyzna werbowwała do siebie. Szły odezwy ze stron obudwóch; dochodziły one do kraju, myśmy się naradzali, co nam począć należało. W znacznej liczbie koledzy zebrali się u mnie w czasie kontraktów; spokojni obywatele źle to widzieli, a Walewski wojewoda ostro nas karmił za tę nieroztropność, która obrażała dobroczynną dążność monarchii i nas wszystkich narazić miała niezawodnie. Z taką radą powróciłem do domu, gdy do mnie generał Książewicz zjechał, powiadając, że ma już paszport w Lubelskie do Wojcieszkowa, gdzie miał dawniej posesję od kasztelana Suchodolskiego i gdzie dotąd macocha,

— 49 —

którą on jak matkę kochał, przebywała. Wydobyłem, aby mu pokazać, z ukrycia różne pisma, których mi nasłano; zgromił mnie za lekkość w przyjmowaniu ich okazaną, że się narażam na kłopot, a może i zgubę, ostatecznie radził mi się do Galicyi wynieść, a jeśli bym znalazł dostateczny fundusz, odjechać do Włoch, aby tam rzeczy zbliższe zobaczyć, a wreszcie, jeśli bym chciał, i pozostać. W ostatku powiedział, że i on toż samo uczyni, a mnie bierze ze sobą, miejsce zjechania się zostawiając mi do wyboru. Wtedy właśnie wyjeżdżał do Kamińca mój przyjaciel i szwagier Przybyszewski, jemu tedy wyrobienie mi paszportu poleciłem. W rozmowie z wice-gubernatorem Werderowskim, widząc, że jest jakieś podejrzenie, niesprawdzone dotąd, na jakiegoś wice-brygadiera zbierającego dawnych wojskowych dla narad, Przybyszewski wskazał Dederkałę, mieszkającego w okolicy dawnego kawalerzystę. Zanotował go sobie gubernator, a mnie jako dwukrajowemu mieszkańcowi podpisał paszport. Kiedy Dederkała zdziwiony do Kamińca jechał, ja granicę przebyłem i wprost się do Lwowa udałem. W klubie w ten czas wszechwładnie opinią kierującym rozbiegano szkody i pożytki z napadu zebranych na Wołoszczyźnie, których Aubert du Bayet, poseł francuski w Konstantynopolu, naglił do tej wyprawy. Pisał nawet do stowarzyszonych przez Ogińskiego, najściślej jednak polecając, żeby nie naruszali posiadłości cesarza rosyjskiego, którego łagodne rozporządzenia mogą zbliżyć ściśle stosunki z Francuzami. Ten list przeraził galicyjskie zebrania i szczerze temu, lecz ostrożnie przeszkodzić byli radzi. Widzieli we mnie, jako szwagrze Denyski,

sposób do porozumienia się z nim, lecz jechać wprost odmówiłem; pisałem tylko z ich polecenia, posyłając mu złocistą karabelę, sprzęt po ojcu wzięty, który przywiozłem z sobą.

Zgromadzenie wołoskie było z terrorystów złożone i niepewne dla spokojnych obywateli; dało tego dowód na Sierpińskim, którego uważając za szpiega przysłanego od Stanisława Augusta, bo on się jego młodością opiekował,

— 50 —

zamordowano hufnalami w głowę zabijanemi, zyskawszy wprzód pozwolenie osadzenia go pod wartą ludzi przy konsulu francuskim w Jassach będących. Zadrżał każdy na gwałtowność taką, lecz opierać się jej nie śmiano. Gdym nakoniec myśl jechania z jenerałem Kniażewiczem im odkrył i że miejsce zjechania się naszego do mego zostawił wyboru, przyrzeczono mi wyrobienie nam paszportu, jeśli go do Lwowa sprowadzę. W istocie było ich zamiarem postawić go na czele i uczynić jenerałem aktualnym, jeśli by do zaburzeń przyjść miało. Chciano w ten sposób zapobiec pretensjom Wołochów do zawiadania wojskową siłą. Wyrobiono mi paszport do Warszawy tak dla wadzenia się z jenerałem, jak i dla pewności stosunków z dawną stolicą. Niespodzianie udać się musiałem w tę stronę, zalecono mi jednak nie o przedsięwzięciu dalszem jenerałowi nie mówić. Tymczasem przysłani z Wołoszczyzny rozwijali swą działalność. Krieger opatrzył mnie wiadomością, z kim w Warszawie traktować mogłem; przyjechałem do Warszawy, a dzieląc rzecz na dwie strony, założyłem w księgarni Nowarskiego klub miejski. Poważny starzec Krasiński, co miał za sobą Ossolińską, otworzył był swój dom ku tej potrzebie. Przystępujący związani byli przysięgą i zostawioną im organizacją, którą oddawszy, do Wojcieszkowa pojechałem, naznaczając wioskę naszą pod Lubieniem, Leszniowice, za punkt zebrania się naszego; wody Lubienia za pozór dostateczny służyły. Ja sam do Lwowa wróciłem. Zjechał jenerał, lecz w żadne towarzystwa wchodzić nie chciał; rząd austriacki przygotował ostrożności od Czerniowiec. Denysko Dniestr przepłynął pod ich oczyma, choć tylko we dwieście koni. Sznejdauer miał dwa tysiące, lecz zgromadzona oblawa z ludu więcej znacznie uczynić mogła. Oni się cofnęli napowrót zaraz, połapanych zaś siedemnastu powieszono. Kapitan Melfort do powieszonych należał. Gdy wieść ta doszła jenerała, wściekał się na mnie; wyrobiono paszport do Wiednia. Pseudonim służącego był dla Kniażewicza osłoną. Pani Pilichowska na dewocyi będąca tysiąc mi dukatów pożyczyła i w spiesznej ruszyliśmy

— 51 —

podróż, nie spotykając żadnej przeszkody. W Krakowie zastałem prezesem Trybunału pana Wojnę, dawniej ministra polskiego w Wiedniu; przyjął mnie ostrożnie, lecz jako krewnemu żony nie odmówił rady. Wskazał księżnę Jabłonowską podówczas tam zamieszkałą za tarczę bezpieczną. Z Kniażewiczem poznawać się nie chciał i tak nie bawiąc udaliśmy się w dalszą drogę. Kniażewicz niecierpliwiał się rolą podrzędną służącego, bo na każdej poczcie bryczkę przepakowywać i nasz tłumoczek przenosić musiał, w czym go rzadko poczytylion jaki zastąpił. Jużeśmy w Wiedniu stanęli na Leopoldstadt; Kniażewicz udał się na Josefstadt do księcia Józefa Poniatowskiego, ja do domu księżny Jabłonowskiej. Odwiedził nas nazajutrz książę Sapieha, marszałek Litwy na Wielkim Sejmie, i wielu tam będących. Tak paręśmy dni przebyli, które najwięcej w domu księżnej strawiłem. Dnia trzeciego weszła pani Alexandrowiczowa, której dawniej nie znałem, i opowiadała jej o przyjeździe naszym. Mówiła, że rząd zawsze łaskawy chce im naprzód ofiarować służbę, a jeśli by jej nie przyjęli, to już będzie ich wina, bo się oni zapewne do Włoch przebijają, ale to im się nie uda.

Rozmowa skończyła się bez wyjawienia, że byłem osobą interesowaną w niej; wzięto natychmiast paszport odemnie. Lekarz, ordynaryusz domu, napisał swą konsultacyę, w której sądził, że na moją słabość korzystać należy z pory i do wód Karlsbadzkich jechać; tak w kilka godzin paszport upoważniający mnie do tej podróży przyniesiono. Uważano bowiem, że Karlsbad mający przybyszów z tyłu stron, a od Saxonii bliski, wskaże nam najłatwiejszy środek do przejazdu. Wróciłem do naszej oberży i znalazłem jenerała niespokojnym. Policja przyprowadziła nam najemnego lokaja na usługę, powiadając, że to było z ostrożności, aby nas obcy nie oszwał. Zdałem sprawę jenerałowi z tego, com słyszał, i domyślaliśmy się, że dla nadzoru był nam dodany; przyjęliśmy go z zapłatą dzienną, którąś mu dali z góry, a że był wieczór, nasz zamiar odłożyliśmy do rana. Jenerał napisał list do księcia Józefa odlegle na Josefstadt mieszkającego,

— 52 —

którego nasza spokojność interesowała, sam poszedł na pocztę, naznaczywszy godzinę przyścia koni; wyprawił z listem lokaja, a gdy ten się oddalił, my w naszą puściliśmy się podróż. Nie przypominam sobie nic w niej ważnego, aż przyjechawszy do Pragi paszport do głównej policji zanieść wypadło. Tam dyrektor wdawszy się w rozmowę z Kniażewiczem, zdawał się powątpiewać, żeby to mógł być prosty sługa choremu towarzyszący. Długo się nad nim zastanawiał, ale że w paszporcie nic nie było wątpliwego, powiedział mu tylko: Zdaje mi się, że nie jesteś pospolicity człowiek, chyba niepospolicity oszust.

W Karlsbadzie zastaliśmy mnóstwo rodaków. Ignacy Potocki i marszałek sejmu Małachowski byli znamienitsi; poszliśmy do nich po radę, jakby dalej postąpić należało. Życzyli, aby się udać do Lipska, tam powziąć informacyę miejsc, w których był natenczas rozciągnięty kordon neutralny, a jeśli byśmy go przebywać nie chcieli, łatwo jechać do Frankfurtu nad Menem, gdzie nam przejazd osoby tam będące urządzać mogły. W tym celu wyjednano nam paszport do Frankfurtu; a nim on się dał wyrobić, obie te znakomite osoby mówiły nam o swem położeniu, o nadzorze nad sobą i o przyrzeczeniu, jakie złożyć musiały, że z kraju się nie oddalą. Myśmy nie tracąc czasu do Lipska wyjechali. Już wtedy Kniażewicz przybrał rolę kupca jadącego na jarmark do Frankfurtu w nadziei sprzedania tam futer, które za nami prowadzono, i połączył się z Czechem jadącym z Pragi w też drogę dla sprzedania kamieni i kosztowności. Ja nieznający języka byłem z kolei ich sługą: oni zasiedli w lanckoczu, mnie ledwie na imperyale skromne zostawili miejsce. Takeśmy ku Erfurtowi ruszyli. Lecz w kraju górzystym i leśnym spotkaliśmy dużą lipską brykę, na której gdzie kto mógł, siedziało z ośmiu Polaków w też samą udających się stronę. Każdy z nich prawie inaczej ubrany, forma czapek z różnych okolic, niektórzy w kaszkiecikach, co je w Ukrainie kuśnierze suwarowskiemi nazywali. Gdzieś to im powiedziano, żeśmy się my przebijali i radzi byli połączyć

— 53 —

się z nami. Kiedy kupcy w lanckoczu poważnie o handlu rozprawiają, zaledwie ja do jadących przemówiłem, rzucili się ze swej bryki na powitanie jenerała; a koledzy jego wzięli to za napad rozbójników. Zaspokoił ich twogę Kniażewicz, mówiąc, że to są handlarze, za którymi konie prowadzą na jarmark; potem prosił ich, powitawszy, aby dla naszego i swojego bezpieczeństwa więcej się z nami nie łączyli, póki swego nie dopniemy celu, a mnie potężnie za nieostrożność wyłajał.

Stanęliśmy nareszcie w miejscu, skąd się dwie do Frankfurtu rozchodziły drogi: jedna bliższa, gdzie się na posterunku francuskim meldować potrzeba było i którą jako krótszą lubili furmani, druga znacznie dłuższa, ale samymi austriackimi posterunkami zasłonięta, na której kupcy więcej upatrywali bezpieczeństwa. Na popasie zyskał Książewicz ufność furmana, powiedział mu, że gorąco pragnie widzieć Francuza, a że i furman nic w tem nie znajdował złego, a wziął za to talara, chętnie go przewieść przyrzekł drogą krótszą. Część pasażerów miała potrzebę zostać w tem miasteczku, gdzieśmy popasali, Czech jeden tylko z brylantami odbywał z nami wspólną drogę.

Na posterunku francuskim zrobił się szmer, kiedyśmy powiedzieli o naszym przeznaczeniu; wysłano raport do generała brygady Soult'a do Lauterbach, a nam dwóch szaserów do konwojowania dano. Gdy generał z oficerem straży rozmawiał, a Czech się od furmana dowiedział, że on go na tę drogę uprosił, płakał i łajał niezmiernie, najbardziej konwój dodany zobaczywszy. Gdyśmy do generała wchodził była obiadowa godzina; posadzono nas do stołu, ugaszczano hojnie wraz z Czechem, bo go za jednego z oficerów brali. Gdy wszystko szło wesoło, a generał opowiadać zaczął, jak się pod pozorem kupca futer przyłączył do jadącego z Pragi handlarza, Soult tem grzeczniej przyjmował Czecha i ujął go sobie pragnąc, nazwisko sobie zapisać kazał, przyrzekając, że gdy wejdą do Pragi, u niego jako u znajomego gościnne sobie przyjęcie zamawia; teraz zaś bezpieczny przejazd do

— 54 —

Frankfurtu zapewni. Ucieszył się Czech z tak poważnych znajomości i szczerze za łajanie Książewicza przeproszał; niedługo wszakże trwała radość, bo gdy się chwalił w mieście i powiedziano mu, że pan generał tak wspaniale żyje kosztem gospodarza swego, wołał, żeby o nim zapomniał.

Tu wspomnieć mogę, że mi się wiele przypomina, z jakim szacunkiem i czcią był marszałek francuski dla Książewicza, a trwało to do śmierci. W wigilię zgonu jeszcze był ugaszczanym przez niego, były to ostatnie gody, jakich użył na ziemi. W powrocie skończył wieczór w domu rodaków, a nazajutrz już nie żył.

Nazajutrz nas skierowano do Giessen, gdzie generał dywizji Championnet miał kwaterę; ten nas zatrzymał, bo rewia korpusu jego odbywać się miała. Generał en chef Hoche zjechał na nią. Pierwszy to raz widzieliśmy armię, która się za niezwyciężoną miała, i artylerję konną jeszcze nam nieznaną dotąd. Osobista uprzejmość wodzów i ich dla nas sympatya nadewszystko zajmowała i wzbudzała wdzięczność. Obiadowi większa część oficerów korpusu towarzyszyła; zaczęto od toastu na naszą intencję. Z wielką energią dotykały się kielichy z musującym szampanem; w końcu był toast braterstwa i uroczyste zobowiązanie się posiłkowania nam... Taka armia, taki wódz na jej czele — jakżeśmy otuchy i nadziei nabrać nie mieli? Nakoniec generał en chef wezwał nas do swojej kwatery do W..., skąd miał nas dalej wyprawiać, obiecując swym rozognionym towarzyszom broni, że w ich imieniu do Bonapartego pisać będzie za nami, czego i dotrzymał, dając list na ręce nasze. Wkrótce doświadczyliśmy, że nowe we Francji knuły się zamieszania.

Bytność u Hoche'a była gościnna; jego pismo w podróż nam dane obejmowało dla nas najkorzystniejsze warunki. Płaca podług rangi, rozkaz gościnnego przyjmowania nas w armii, wezwanie do innych korpusów, którebyśmy spotkali we Francji i za jej granicami, gdzie się tylko wojska francuskie znajdują. T o nas ośmieliło, żeśmy część fortec belgijskich widzieć zapragnęli i naprzód do Koblenz, potem

— 55 —

do Luxemburga, Tionville i Landau, na których swą sławę opierał Vauban, wstępowaliśmy. Słusznie zdziwić się musieliśmy, gdyśmy przejeżdżając w Grassie granicę Francji, całkiem odmiennego dostarczyli przyjęcia.

Nie tylko że nam odmówiono doświadczeń wygod i pomocy, ale nawet drogo płacąc, ledwie ich dostać od niechętnych mogliśmy. Gdyśmy się odwoływali na to, że jesteśmy republikanie, z gniewem odpowiadano: jeśli podobni naszym, to bodajbyście nie przyjeżdżali do nas. Był to skutek gotującego się w kraju zamieszania: niechęć do dyrektoryatu, zbliżanie się emigrantów do Szwajcaryi i przeczuwanie rewolucyi, na której czele stanąć miał Pichegru. Po takim wjeździe do kraju trzeba było myśleć, jak się z niego wyrwać najspieszniej; lecz że widzenie Lunevillu i Nancy bardzo dla nas Polaków pożądane było, tą drogą ku Szwajcaryi skierowaliśmy podróż naszą. W Nancy szukaliśmy napróżno pamiątek, jakie rządu Leszczyńskiego zostawiła: dom jego ozdobny był zrabowany, grób zgwałcony, a zwłoki wyrzucone, place z dawnych ozdób odarte. Zajechaliliśmy do oberży, nie wiedząc, że tam było zebranie nowo-zawiązanego klubu. Co za postaci srogie, jakie hałasy nieprzystojne, namowy do powstania gwałtowne, potwarze na rządzących, krzyki o zwalenie istniejącego porządku! Opisać trudno. Nie powiedzieliśmy, skąd jedziemy, lecz z porządku posłaliśmy nasze papiery do generała Balon, komendanta placu i wojska, prosząc, aby nam wskazał godzinę widzenia się z sobą. Już po obiedzie rozeszli się zebrani, a myśmy ze strapionym gospodarzem rozmawiali, kiedy on podniósł się na powitanie generała w cywilny surdut przybranego. Wziął on naprzód informację od gospodarza o klubie, potem zbliżywszy się do nas, mówił o grożących nowych rozruchach, o osobach z ostatnich klas społeczeństwa, jakie się do związków wciskają, o przykrem swoim położeniu, bo mu się najostrożniej z nimi obchodzić polecano. Radził nam, żebyśmy się mieli na ostrożności, nie mówiąc o celu podróży, a drogę na Zurich do Włoch za najlepszą nam

— 56 —

wskazywał. Dodał nareszcie, że gdy Augereau z Włoch wyprawiony dojdzie na ochronę Paryża, wrzaski po departamentach same z siebie upaść muszą. Jeszcześmy tu spotkali osoby i imiona z polskich przekształcone, pamiątki rządów Leszczyńskiego nie wygasłe, osobliwie w majątniejszych rodzinach. Lecz narzekania wszystkich rozczarowały naszą uludę, z jakąśmy Francję ujrząc się spodziewali; a w ogólności powszechne były przeciwko rewolucyom żale.

Ponieważ jużśmy się nie spodziewali podobnego jak w początku przyjęcia, skromniej dalszą obmyślaliśmy podróż. Stanąwszy na samej granicy Francji, gdzie od emigrantów najściślejsze środki ostrożności przedsiębrane były, wprowadzono nas do osobnej izby dla odbycia rewizyi nawet w odzieniu naszymi najpierwsze zrobiono pytanie, czy mamy pieniądze? Ja to nierozsądnie wziąłem za bojaźń, żebyśmy od nich przyrzeczonego nie żądali wsparcia; część, co na wierzchu była, okazałem, z gniewem mówiąc, że nie potrzebujemy nic od nich. Lecz zdziwiłem się niepomału, gdy mi je skonfiskowano, pod pozorem, że to się może dla emigrantów przewozić zasoby; tłumaczyłem się, że to było nie krajowe, ale zagraniczne złoto. Odpowiedziano, że wjeżdżając należało o tem oznajmić ministrowi spraw wewnętrznych, a onby na nie wydał pozwolenie. Po przeglądzie papierów naszych przegląd osób porzucono i świadectwo na wzięte pieniądze dano, a że szczęściem nie był to nasz cały fundusz, pozostała do jechania nadzieja.

Zupełnie odmienną miało dla nas postać społeczeństwo w Zurich z masy emigrantów złożone, których długi czas główną kwaterą było Dubno; przekreślali oni najchętniej imiona nasze, wioski, miejsca, a nawet dam, z którymi mieli znajomość.

— Co się dzieje z rodziną Czaki (Czackich)? Czy w Biskupisi (Biskupiczach) zawsze się dobrze bawią? Czy pani Wilgi (Wilżyna) jest w Lokaczy (Łokaczach)? i t. p. Otrzymałszy potrzebne do podróży informacje, ledwieśmy stamtąd ruszyli, gdy nas stara niemiecka spotkała karetą,

— 57 —

Była w niej żona generała Dąbrowskiego jadąca z synem i córką swoją do niego. Już nam o jej przejeździe mówiono w kwaterze generała Hoche'a, ale ona z saskim paszportem przez Salzburg się udała.

To spotkanie utrudziło naszą podróż; naprzód że powóz był ogromny, a potem że generałowa na odgłos nowego położenia męża, nie z funduszem, ale po fundusze wyruszyła do niego za lekko, a podobno nawet nie na jego zaprosiny. Należało jej być usłużnym i toby się bardzo było przydało, co nam na komorze zabrano. Jechaliśmy przy jej karocy razem.

W okolicy Lozanny uderzył mnie wielki wodospad Pisse-Vache zwany, bom wprzód podobnych nie widywał. Było to w czasie popasu woźnicy; pobiegłem na górę aż do miejsca, skąd się poczyną, cieszyłem się nowością, która mnie nowym miała nabawić kłopotem. W spodniach, po prostu mówiąc, miałem pojedynczo pozaszywane rulony, fundusz mojej podróży składające; nie rzuciałem ich nigdy z siebie, żeby straty nie doznać. Jeden z nich przedrzeć musiał płótno swym ciężarem, bo mi się w biegu wysunął, czegom nie spostrzegł nawet. Powróciłem zadowolony z mojej wycieczki; pojechaliśmy w drogę dalszą i w Lozannie zastaliśmy jarmark na spędzone z gór szwajcarskich bydło. Gdy furman oberżę wybierał, jam oglądał olbrzymie krowy, jakich nigdy nie widziałem; pytałem o wartość potężnych kręgów sera, który w Polsce w kawałkach tylko lub cienko pokrajany na pańskich widywałem stołach. Tą nowością znowu zajęty, nie wiedziałem, co się koło mnie działo i szukałem oberży, w której weturyn nasz nocleg przygotował. Przedemną ktoś się znalazł, co z moim krokiem mierzył swój pośpiech, i dwóch żołnierzy szło za mną. To mnie nie dziwiło wcale; lecz obok wielkiego domu, gdzie municypalność miała swe posiedzenia, wstrzymał mnie idący przodem i do domu wejść kazał. Spytałem go, czy tu weturyn stanął; odpowiedziano, że wniknąć muszę. Wszedłem; po zdanej na boku sprawie odszedł ten, co mi niewiedomie

— 58 —

towarzyszył, a mnie do stołu sądowego przystąpić kazano. Na pytanie, ktoby był, odpowiedziałem, jak było, ale szyderski uśmiech ujrzałem na twarzach i jeden z nich przerwał mi, mówiąc, że napróżno łamię sobie język udając cudzoziemca, bo oni wiedzą, kto jestem, i wiedzą, że eskamotowałem woreczek z pieniędzmi wekslarza, koło którego przechodziłem. Tum się oburzył — ale mi odpowiedziano, że bezpieczniej jest wyznać winę, niż się napróżno gniewać i lepiej mówić czyściej po francusku, będąc francuzem. Myślałem, że się nie zbędę kłopotu, i prosiłem, żeby mnie z wartą do oberży wiedziono, gdzie się papierami potrafię usprawiedliwić.

Ale na moje szczęście porwano i przyprowadzono winnego; był on w istocie zupełnie jak ja ubrany i nawet wzrostem podobny. Przepraszał mnie ten, co mię wprowadził, i municypalni z swojej strony, pytając, czy mi jakiej nie uczyniono przykrości; a za przypadek prosząc o przebaczenie. Tak jakoś uszedłem biedy, na jaką mnie moja ciekawość naraziła. — Staliśmy z generałową w jednej oberży i wieczór na rozmowie przechodził; małeńka jej córeczka podziwiała piękność bydła, mówiąc: gdybym taką miała krówkę, to bym ją sama doila dla papy do kawy, którą tak lubi. Ja blisko siedząc Kniażewicza, szepnąłem do ucha: to ja jej krowę kupię.

— Kiedyś goły, od komory mało ci zostało.

— Zostało jeszcze! i macnałem zaszyte rulony; a wtem spostrzegłem, że mi już jednego brakowało. Żał mi się zrobiło, lecz Kniażewicz resztę pod swój dozór zabrał, abyśmy bez grosza nie osiedli.

Nazajutrz gdyśmy w Lozannie stali, nadjechało kilku oficerów polskich w też samą udających się drogę, a gdy każdy swe podróżne opowiadał przygody, jeden począł o swoim szczęściu, że kiedy już nie miał o czym dojechać i od kolegów prosił pomocy, a i ci mało zamożni byli, poszedł zwiedzić kaskadę i tam fundusz znalazł. Tu mu przerwał generał: nie powiadaj wiele. Potem kazał mi o mej stracie mówić i jak był ułożony ładunek, Powiedziałem, że było

— 59 —

sto dukatów w ładunku z papieru od cukru sklejonym. — Ten sam, odpowiedział szlachetny oficer, i ja do niego nie mam prawa.

Lecz generał inaczej roz sądził: życzył, żebyśmy go rozłamali, co się komu dostanie. Takeśmy uczynili; godny człowiek starał się, aby najmniejszą dostał połowę, jakoż mu się tylko trzydzieści kilka dukatów odłamało, lecz że i to wystarczyć mogło, przyjął z wdzięcznością za dar przyjaznego losu.

Puściliśmy się w drogę przez górę świętego Bernarda; myśmy ją na mułach przebyli, porzuciwszy powóz, którego przenoszenie wartość by jego przechodziło. Generałowa koniecznie swą starą karetę z sobą mieć chciała, co też wiele kosztowało. Doszliśmy do klasztoru zmęczeniu, zmokli i radzi gościnnemu, jakiego doświadczyliśmy, przyjęciu. Powszechnie tu wszystkich tak przyjmują; dziwiłem się, jak na to wystarczyć mogą, najwięcej jest bowiem ubogich, co tam tędy przechodzą. Odpowiedzieli mi, że mają na to zapisane folwarki korzystne, osobliwie w Szwajcaryi, i w przybocznych krajach obfite wspomaganie. Rzadko gościnność bywa tak korzystną, osobliwie w krajach, gdzie jest ogólnym mieszkańców przymiotem. Trudno też nie używać tak potrzebnej podróżnemu gościnności, bo brak jej częstoby życiem przyplacił. Jadąc bowiem, zaczyna się od krainy winogron, później są lasy, dalej pustynie i skały sterczą marmuru lekko różowe; wierzchołki ich pokrywają śniegi, tu kuropatwy białe i zające, jakby w głębokiej Północy. Psy mnichów są podziwienia godne; nie wdając się w to, skąd pochodzą, wiem, że ich zmyślność zbliża się do wspaniałego uczucia

litości. Zawieszają na ich szyi butelkę małą wódki; one idą i tropią nieszczęśliwych węchem, a opodal dążący zakonnik ma na oku ich drogę. W czasie naszej podróży leżał jeden przejeżdżający w powrocie ze Szwajcaryi do Novaleza; bałwan śniegu z koniem go ze ścieżki zrzucił, obwinał sobą i zagrzebał w przepaści. Koń dopóki nie zdechł, ogrzewał go swem ciepłem; ciepło nawet ich obu przetopilo w śniegu

— 60 —

mały otwór, przez który go psy zwąchały. Odgrzebano go z tej bryły z wielką trudnością i ułożono w klasztorze. W mniejszych zdarzeniach pies pozwala sobie zdjąć z szyi wódkę i nią pokrzepić siły, a sam bieży szukać przewodnika swego, aby mu ofiarował pomoc. Rozmowa z zakonnikami bardzo zajmująca, bo o wielu przygodach mają co mówić; mileśmy z nimi czas pędzili, a

tymczasem odzienie nasze przy ogniu suszono. Damy na noszach pojedynczo przenieśli, lecz to wiele kosztuje; pod powóz potrzebowano dość mułów, które trudniący się najmem ich dostarczyli. Założycielem tego szpitala miał być święty Bernard, którego zwłoki w Vercelli spoczywają. Leży to miejsce od strony Włoch i ku niemu naszą obróciliśmy podróż. Tam weturyna najeliśmy; szło o przeprawę Tagliamentu, rzeki dużej z gór alpejskich płynącej. Do niej dojeżdża się długa groblą wśród zarośli i miejsc trudnych do przebycia, bo tam już włoskie włości zasiadają. Nasz weturyn spocząć chciał koniom w oberży na tej stronie położonej, gdzie zastaliśmy kuryera do armii dążącego. Mała karetka na dwóch kołach dowodziła, że to nie był człowiek lekko wyprawiony; właśnie nabijał broń, którą potrzebną być mniemał, i nas bezbronnych wzywał, żebyśmy pod jego opieką przebywali niebezpieczne miejsca. Ale weturyn popasał jeszcze, a on się zatrzymać nie mógł.

Później nadjechaliśmy na niego; szedł pieszo i obdarty, prosząc od nas pomocy, a bardziej prosząc, abyśmy go podwieźli do przewozu, gdzie się straż wojskowa znajdowała. Opowiedział nam, jak się to stało. Dwóch strzelców otroczonych ptactwem szło z dwóch stron jego powozu; pocztylion skoczył, aby coś poprawić, gdy z obu stron już były dwie broni przy piersiach jego i krzyk, ażeby wysiadł, jeżeli zabitym być nie chce. Łatwo się na to zgodził; broń mu i pieniądze zabrano, pocztylion z końmi uciekł, a napastnicy schronili się od mogącej ich ścigać pogoni. Myśmy tedy przejechali spokojnie i przewieźli tego, co nas niedawno pod swą opieką przeprowadzać się ofiarowywał.

— 61 —

Z naszą wielką pociechą znaleźliśmy oficera krajowca i naszych oddział przy przeprawie rzeki. Tuśmy dopiero zapragnęli i znajomości z nim i szczegółów od niego. Jenerałowa szczególnie o powodzeniu męża wiedzieć była rada, ale mało on co wiedział i powiedzieć jej mógł, bo jenerał znajdował się w Bolonii i on go dawno nie widział. Jenerałowej bardzo szło o byt jego materyalny, pytała, czy ma karete i jak wielu ludzi na usługę swojej. Odpowiedział, że widział go na dobrym koniu, lecz huzar, z którym przyjechał, służył piechotą, ale mu już się podobno o podjeżdżka postarano. Zapłakała jenerałowa, a myśmy przeczuli, że mu przywozimy ciężar, i tak ciężkie jego położenie utrudnić mający. Tak ciągnęliśmy do Medyolanu, gdzieśmy zastali jenerała Wielhorskiego i wielu oficerów. Był między nimi Konopka i Dębowski, których w Warszawie w kancelarii Kołłątaja widywałem, a których posądzano, że należeli do ruchu ludu, kiedy Kossakowskiego biskupa i hetmana Ożarowskiego wieszano. Tu dopiero mogliśmy się dowiedzieć, co się z legiami dzieje. Co tylko umundurować zdołano, zaraz Dąbrowski do armii poprowadził. Były to trzy bataliony: pierwszym Białowiejski, drugim Forestier, a trzecim Zabłocki komenderował; wtedy pod Wenecją w Mestri kwaterowały, bo było zawieszenie broni. Opowiadali mi także o losie Liberackiego, który po mnie przyszedł na Wołyń ze swym oddziałem; ja go w powrocie przez Galicję poznałem. Utkwiło opowiadanie w pamięci mojej.

Liberacki był rodem z Podola i miał przez całą młodość stosunki z domem Grabianki, człeka możnego, który się osiedzić nie mógł i całe życie podróżował. Mistycyzm napróżd opanował mu głowę, a później do Iluministów się wcielił. Że wtenczas Awinion był ich ogniskiem, przeto i on tam z nimi przebywał, mając wiarę i szczególną ufność w marzeniach jednego z ich proroków, o którym mówiono, że przepowiedział, jakoby Francuzi do pewnego doszedłszy punktu, z Awinionu się cofną i więcej w nim nie postaną, co się przy pokoju tolentyńskim zupełnie miało sprawdzić.

— 62 —

Czy Liberacki równie wiarę przykładął do tego, czy tylko przy możnym przyjacielu zabawić pragnął czas dłuższy, nie wiem, ale w Awinionie siedział. Był on w Polsce majorem kawalerii, użyty później do prowadzenia wyprawy, po której się spodziewano stanowczych skutków. Słowem oficer, o którym mówiono wiele, żołnierz, którego imię brzmiało za życia i pamięć po nim została. Nie był on skory do wzięcia na się nowych obowiązków, ale go korciło przecież zobaczyć dawnych towarzyszy broni, widzieć formujący się korpus, a może i poprobać szczęścia dla otrzymania wyższego stopnia.

Lecz prorok złowieszczy przepowiadał mu, że od pierwszej zginie kuli, a pan Grabianka nie chciał puszczać przyjaciela. Stanęło na tem nareszcie, że tylko jako podróżny zwiedzi Włochy i powróci do nich. Przyjechał on do Medyolanu wtedy, gdy Bonaparte był już pod Wiedniem, a dla utrudzenia czynności jego jenerał Laudon puścił się z Tyrolu ku Włochom i do Werony się zbliżał. Mieli tam Austriacy swoich stronników; Werona się podniosła, a za nią i po całych Włoszech poruszeń się obawiano. Jenerał komenderujący w Mantui obmyślił środek, udając się do Medyolanu, gdzie się zbierali oficerowie, którzy pragnęli w legiach służyć, żądając, aby tacy, których imiona wyższy za sobą miały odgłos w Kościuszkowskich wyprawach, przybyli do niego. Polscy żołnierze zabrani przez Austriaków w czasie rozwiązania się, w znacznej liczbie byli między więźniami; tych, jako już sposobnych żołnierzy, zwerbować i do tej nagłej wyprawy użyć można było. Imion w wojsku znajomych nie było wtenczas, bo je Dąbrowski z sobą pozabierał; Liberacki był najgłośniejszy i do niego się udano. Ten miał właśnie list od proroka z Awinionu, który spodziewając się, że go ostrzeżenie zawczasu dojdzie, powtarzał, jaki go los czeka, i od służby odstręczał. Potrzeba nagła, postrach bez zasady, kapitulują więc i zgadzają się, żeby tylko dla werbunku pojechał. Werbunek był skuteczny, wiarusy znalazły się znajome. Nie chce gwałtownie w służbę wziętych,

— 63 —

więc ruch między 24 tysiącami więźniów, którzy tam zamknięci byli i 2.600 naszych występuje. Dają im broń z arsenału, a komendę Liberackiemu z rozkazem, aby Weronę atakował. Chciał się wzbraniać, ale mu się ufność żołnierza podobała; wzniósł się nad pogroźki proroka, wszedł do Werony i tam zabity zarobił na pomnik, który mu w Mantui postawiono na tymże samym placu, na którym stoi pamiątka rzymskiego niegdyś wieszczka. Chwała pamięci, która nam przysporzyła sławy. Myśmy podróż naszą dalej rozpoczęli, a zostawiwszy jenerałową w Bolonii, pośpieszyliśmy do Mestri nad brzeg morskiego wylewu, który to miasto z Wenecją łączył, a gdzie natenczas legia odpoczywała. Z tego to punktu, jak poważni świadkowie twierdzili, odbyło się dzieło zniszczenia tyle wieków istniejącej rzeczypospolitej, tylu znakomitami dziełami sławnej, zadziwiającej swem położeniem, a za pamiętnej wyprawy Jana Sobieskiego pod Wiedniem sojuszem z nami związanej.

Armie francuskie już były nad brzegami morza, czekały na Brencie barki do ich przewozu; nie był wysłany żaden z przeważnych wodzów, Sułkowski tylko, przy boku Bonapartego adjutant i przyjaciel jego. On samotrzeć do Wenecyi pojechał z niezłomną tylko wolą; kapitulowano, a później, jak do swojego miasta, armia francuska wysiadła bez najmniejszego oporu.

W czasie kiedyśmy do Mestri przybyli, ruch był wielki z powodu przybycia wielu oficerów z kraju. Uwolnienie przez cesarza JM. Pawła jeńców maciejowickich i ich kierunek do Włoch zagrzał krajowców, zwłaszcza młodzież, która się z wielu stron ruszyła. Doniósł o tem Dąbrowski głównej kwaterze stojącej pod Campo-Formio. Pisał Sułkowski, że jest życzeniem Bonapartego widzieć nowoprzybyłego jenerała, i my natychmiast naszą przedsięwzięliśmy podróż. Przybywszy do Passiniano, mundurem i

czapkami różni od drugih, spotkaliśmy w surducie jadącego oficera, który nas spytał, z jakiego miejsca jedziemy, i wskazał, gdzie się udać i oczekiwać na generała en chef mamy. Weszliśmy na piętro

— 64 —

do obszernej sali; mnogość generałów z korną postacią oczekiwała z nami, przy kominie tylko dwóch adjutantów skądś przybyłych osuszało zmokłe podróżne odzienia. Z nich jeden widząc nasz mundur, zapytał generała o nazwisko jego i oświadczył, że był pożądanym. Że po polsku mówił, zgadliśmy, że to był Sułkowski; dostrzegliśmy tu i zagranicznych, bo ich nieznane wówczas we Francji ordery zdobyły; a kilku w albańskim i greckim stroju. Otwierają się podwoje, wchodzi Bonaparte, ten sam właśnie, który nam pokazywał przed chwilą, gdzie się udać mamy; zimno przywitawszy zagranicznych, pozdrowiwszy generałów, wprost się do Książewicza zbliżył i w głęboką framugę okna go poprowadził. Z uszanowaniem wypróżniła się ta część pokoju, kiedy się rozpoczęła rozmowa.

— Wiem o ruchu w waszym kraju, rzekł, świadczy o nim licznie przybywająca młodzież i Wpan, co z wnętrza jego tu dążysz; radbym dopomóc szczerze, ale żadnej reprezentacji nie widzę, z nikim traktować nie mogę. Gdzież jest Małachowski, Sapieha, gdzie członkowie ostatniego sejmku? pragnąłem ich zebrać w Medyolanie. — Wszyscy nieswobodni — rzekł Książewicz — Małachowskiego i Ignacego Potockiego w Karlsbadzie pod nadzorem widziałem, Sapiehę w Wiedniu. Inni zapewne równego doznali losu.

— Wkrótce zawieszenie broni wychodzi, postąpię do Węgier, które nas wzywają, równie jak Grecya i wyspy; widzisz tu Wpan ich posłanników. Mogę brzeg Karpat opanować. — Na to generał: Druga ich strona sama się podniesie niezawodnie. — Dobrze, lecz skądże broń, artylerya? choć wprawdzie Turcy może nam je przesłać dozwolą, ale czy się to da w jednym czasie skutecznie? — Broń dostaniem z rąk nieprzyjaciela, imię twoje dopomoże do zwycięstwa. — Poszlę was w awangardzie, a generał B..., który nią komenderuje, zrobi wasz przegląd; z tą wiadomością wracajcie do swoich. — Po nas Greków i Węgrów przywołał.

Oddał mu generał list Hoche'a, przebiegł go oczyma:

— 65 —

— Na tego to liczyć można, ja go szczególnie uważam.

Chwilę zatrzymaliśmy się w sali; pytałem o nazwiska osób: byli tu Kleber, Dessaix, Bernadotte, Massena, Augereau, Murat i inni. Z cudzoziemców Kobenzel i austriaccy posłowie do zawarcia traktatu umocowani. Zbliżył się do nich Bonaparte, cisnął papier, który trzymał w ręku, i na cały głos zawołał: Co to za warunki? nie masz pokoju, aż go w waszej stolicy podyktujemy. Lekki szmer poszedł po sali; każdy wierzył w nowe boje i w zwycięstwa nowe, w nas także żołnierska krew zawrzała, radzi byliśmy nowinę wojny jak najrychlej zanieść swoim. Pośpieszaliśmy; przyjazd nasz pełen był nadziei i zaraz się do zaleconego przeglądu gotowano. Było czem zapełnić szereg oficerów nad liczbę ustanowioną przez komisję pod prezydencją generała Wielhorskiego dla porządku w ich przyjmowaniu. Książewiczowi komendę pierwszej legii oddano; drugą w Medyolanie rozpoczęto. Pułk formujący się artylerji pieszej dano Axamitowskiemu; jeden batalion w Coni z Kosińskim, drugi w Medyolanie z Dębowskim zaraz się rozpoczynać miały. Za nami przyszedł i rozkaz wyruszenia legii; w jej marszu Beregedilliers przyjechał, towarzyszyła mu piękna żona chcąc z nim dzielić przygody. Rewia przy niej coś czarującego miała; mówię to z faktów, bo Tremo, adjutant Dąbrowskiego, w nią się wpatrując, zapomniał, że stał nad kanałem, wpadł z koniem w wodę i z trudnością został uratowany. W ciągu marszu co za zmiana! Jednego wieczora przylatuje adjutant Bonapartego z własnoręcznym jego listem: Ja pokój zawieram, zapewne krótkotrwały; wojsko wasze jest z żołnierzy austriackich złożone, na ten odgłos możeby swoje chorągwie opuściło; w chwili odebrania rozkazu wyruszaj Wpan forsownym marszem i aż w Bolonii się zatrzymasz i tym się sposobem ocalisz.

Generałowie potracili głowy: puszczone krew Wielhorskiemu, zachorował Dąbrowski, Książewicz z połowę swej energii utracił, legię jednak poprowadził. W tym

— 66 —

odwrocie żał mi było Wenecyi nie widzieć; dostałem urlop i pośpieszyłem do niej. Słaby był w niej garnizon, a z naszych w części złożony: były to kompanie strzelców pod komendą majora Chłopickiego. W mieście niepokój, garnizon pod bronią, w jednym prawie czasie dwa zdarzenia. Zamknięto teatru, na plac świętego Marka nie puszczano nikogo, a przeznaczeni do tego z pomocą żołnierzy naszych spuścili konie przed frontem kościoła stojące, brzozy wielkiej sławy z pięknych czasów sztuki. Wenecyanie w Konstantynopolu je byli zabrali. Że niebezpieczeństwo groziło, wszyscy oficerowie, których sprowadziła ciekawość, byli przy wojskowej, acz skromnej sile, która się na placu znajdowała. Zamknięto drzwi kawiarni w godzinach, w których najliczniej się w nich zbierano. Działa stały na wstępie ulic; jak się to bez rozruchu obeszło, pojąc nie mogliśmy. W tem jakaś osoba znamienita przyszła z rozkazem, aby kilkunastu pewnych żołnierzy i kilku oficerów dać pod jej rozkazy, czego jeśliby nie spełniono, groziła najsroższa odpowiedzialność. Ciekawość tej tajemniczej wyprawy dała mi ochotę towarzyszenia jej. Prowadzono nas do gmachu, gdzie władze rządowe miały posiedzenia, lecz tak ciasnym wchodem, że ledwie jeden za drugim mógł postępować. Oficer wprowadził do przedpokoju, w którym nikogo nie było, wymagając od nas, aby zaraz opanować tego, którego wyprowadzi, związać mu ręce w tył i wtrącić na schody, gdzie stali żołnierze, którzy już go mają sprowadzić do przygotowanej gondoli, a nią do zamku świętego Michała na jednej z wysepek w lagunie będących odwieść. Było to ustronne miejsce, w którym nas umieścił, aby wychodzący przy otwarciu drzwi nas nie spostrzegł; sam do sali dyrektoryatu poszedł.

Niedługo tam zabawiwszy, wyprowadził olbrzymiego wzrostu męszczyznę w płaszczu dyrektorskim i kapeluszu z piórami; był to ubiór zwyczajny tych, co rząd najwyższy sprawowali. Gdy drzwi zamknął za sobą, pomocy naszej zawołał; wybiegliśmy z ukrycia, lecz że sala przyległa była pełna weneckiego żołnierza straż przy dyrektoryacie pełniącego,

— 67 —

wyprowadzony całym głosem: Do broni! zawołał, nas odpychał, a do swoich przedrzeć się usiłował. Lecz nie puściliśmy go, a żołnierze, co wpadli, dokończyli. Ten, który nas przyprowadził, wbiegł do żołnierskiej sali i broń złożyć rozkazał, mówiąc, że zdracę biorą. Poszedł więzień i niósł prawie na sobie tych, co go jak pijawki obsiedli: tak siła jego była wielka i postać olbrzymia; wysiadając podziw wyraził, że choć go pokonano, nikt ani kosztownych jego pierścieni ani złota, które unosił z sobą,

nie pragnął. Był on rodem z wysp Sklawońskich; myślał o zamieszaniu i ilość znaczną ludzi w tym celu dniem przedtem zgromadził; o dalszej jego historii nikt mnie objaśnić nie umiał.

Marsz do Bolonii był obrazem zniechęcenia i nieładu; żołnierz się rabunku dopuszczał, mieszkaniowiec własności bronił. Najwięcej winograpy od przechodzących ucierpiał. Na tę wieś miasto i wieś wzięty się do broni; myśm się zdemoralizowali potężnie. Lecz Bonaparte z żoną do Medyolanu jadąc, kazał stanąć pod bronią, przywrócił karność i zakończył pochlebną dla nas, acz trochę oddaloną nadzieją odprowadzenia nas do kraju. Żona oderwała pióro od kapelusza męża i oficerów niem na pamiątkę dzieliła. Dobrze i to było w braku lepszego; oficerowie, z których już każdy myślał, którą drogą do swego powrócił domu, zebrawi się w koło, zaręczając sobie nawzajem do lat trzech czekać i służby nie porzucić. Dąbrowski do Medyolanu pojechał za jenerałem, a Książewicz legię do Rimini odprowadził. Bonaparte swą osobą do Leoben wyjeżdża, komendę przy jenerale Bertier zostawuje. Dąbrowski bierze od niego instrukcyje, kończy układy z rządem cysalpińskim o formacyę drugiej legii i sam do Rimini powraca. Powiększono go postronnem wojskiem włoskiem cysalpińskim, którem pojedynczo jenerałowie Triulci i Julien komenderowali, bo minister

— 68 —

obu legii łączyć żadną miarą dozwolić nie chciał. W przygodach ważnych może się godzi i drobnostkę umieścić, kiedy ta ma barwę swemu wiekowi właściwą. Przyjechał w te strony z Paryża szarlatan niejaki pan Zaremba. Jak on potrafił ludzi zwieść w Paryżu, tego nikt nie pojmował; miał przecie posłannictwo jako admirał polski i w tym charakterze przez Rimini do Ancony jechał, a tam flotę oglądał. Rozkazy wyższe musiały go do tego upoważniać, kiedy mu na posterunkach polskich winne jego randze oddawano honory; choćśmy wiedzieli dobrze, że Polska admirała nie miała, należało spełniać wyższe polecenia. Później już stojąc załogą w stolicy państwa papieskiego, widzieliśmy go niskiej rangi oficerem francuskim. Mówiono, że oszust ten był wprzód księdzem; gdy się dowiedziano, że admirałem być nie mógł tam, gdzie admirała nie było, wałęsał się po Rzymie, biegając po kościołach za mszą płatną i takich, mówię, kilka każdego dnia odprawiając, utrzymywał się niemi. Jakiemi drzwiami potem do służby trafił, nie wiem; musiał mieć wyższe usposobienie na oszusta, kiedy mu się tak udawało. W Rimini kwaterowaliśmy długo. Niedaleko wzniosła góra Apeninu na swym grzbiecie nosiła osadę historyczną od wielu wieków głośną, która udzielnej rzeczypospolitej San Marino nosiła imię. Kilka tysięcy ludności składało ją całą; ustawy oddzielne różniły ją wybitnie od sąsiadów. W tej epoce, gdy Włochy dzielono na nowe państwa, drżała słusznie o swe istnienie, leżąc między papieskim krajem, a nowo postanowioną rzeczpospolitą cysalpińską. Biła czołem zwycięscy i jego opieką ocalona, przy swych została się prawach. Przysłała ona delegacyę do Dąbrowskiego, witając wojsko nasze i pochlebiając sobie, że my na naszą przeszłość pomni, nie dopuścimy się użyć na opanowanie ich. I nie zawiodła się na tem; oficerowie bowiem głośno się oświadczyli, że do zagłady San Marino przyczyniać się nie chcą. Dąbrowski zaś nie mając polecenia przeciwko nim i chcąc się im odplacić wzajemnością, a uczuciom oficerów swoich dogodzić, posłał mnie do nich,

— 69 —

zlecając podziękować za ufność i zapewniając, że groźnych nie ma rozkazów. Puściłem się na tę górę, na którą drogi powozowej nie było, na osiołku, który na mnie czekał u jej spodu; wysłani mi towarzyszyli.

Znalazłem na grzbiecie góry szpaler lip, przez któryśmy na plac publiczny weszli, gdzie się i cała ludność zebrała. Kościół S. Marino podług nich w końcu trzeciego wieku (?) przez ich patrona zbudowany jako ozdoba miał obraz jego przez Guercino da Cento malowany, wreszcie wszystko bardzo skromne i jeszcze uboższe, niż w naszych żebrzących klasztorach. Dzwon przy nim wielki był hasłem czy do zebrania ludności, czy na wybory urzędników lub na naradę w ogólnej sprawie. Byli też i zamożniejsi trochę mieszkańcy, ale wszyscy prawie odzienie mieli jednakowe, a wzajemne ich stosunki okazywały równość zupełną, a niegrubiańską. Statut ich prawodawczy w drewnianej szafie w kościele złożony, każdy przychodzący uczył. Dwaj urzędnicy władzę wykonawczą piastowali; wreszcie lud zgromadzony rozwiązywał spory. Po skończonych przemówieniach pokazano mi księgę, w której się podróżni wpisują. Liczne tam były nazwiska Anglików, Amerykanów i Polaków, a rodzina podczaszego Czackiego była ostatnią.

Proszono mnie na skromny obiad, który tem się od zwykłych różnił, że żadnej widocznej służby nie było. Stół miał wszystkie półmiski na sobie; a na przyległym sztućce, napoje, farfurki, które każdy w potrzebie brał i odmieniał. Zdało mi się, że do dawnych przeniósł się wieków i że pierwotnych republik widzę zarody. Rozmowa szła z zapałem; mówili prawodawcy o prawach, o znamienitych ludziach swego kraiku, o przygodach, o wojnach z wojskiem papieża, co ich podbić pragnęli.

Lecz ostatnia chwila była dla mnie tryumfem; przyniesiono pismo przyjmujące mnie do obywatelstwa i kopię statutu przez najwyższych urzędników podpisaną. Pieściłem się z tym darem, lecz gdy nas Neapolitanie z Rzymu wygnali, straciłem go, bo był złożony u pewnej rzymskiej matrony,

— 70 —

która przy wyszukiwaniu wszelkiej własności francuskiej oddała go wraz z rzeczami memi. Nazad wracałem już w potężną i chłodną ulewę, która mnie febrę nabawiła.

Płynął pod miastem Rubikon, tak znany w dziejach, co go przechodząc Cezar, depreczując prawa narodu, kończąc życie obywatela, zapragnął wszechwładztwa; gdzie z bohatera panem być zaczął, a skończył potem od sztyletu Brutusa, niegdyś wychowanka swojego. W mieście pamiątką wieków średnich z panowania Malatestów pozostał kościół wspaniały gotycki, który wiele zajmujących zawierał pamiątek. (Tu się zjazd duchowny odbywał pod nieprzychylnym Kościołowi wpływem i wywołał emigracyę do pobliskiej wioski, która odtąd Catolica przybrała nazwisko).

Wiele napisów kościelnych z nazwiskami podobnemi do słowiańskich i naszych polskich cieszyły nas swem na *ski* zakończeniu. Morze Adryatyckie dotykało miasta. Ogromne działa osadzone na jego brzegu niegdyś potrzebne być musiały, lecz znaków portu nie było. Mówiono, że się cofnęło Adryatyckie morze i tylko pozostał zalew. Od niego barki rybackie odpływały i jak łabędzie snuły się po morzu z białymi żaglami. Jedna Apeninu odnoga dzieliła ten kraj od rzymskiego państwa. Nad wysokie góry wyższa jeszcze Stromi zdaleka nad nie wznosiła swój wierzchołek. Nad nią piętrzyły się skały w postaci

podobną koronie i mieszkańcy ją też »Koroną Cesarską« zwali. Lud tam mieszka ubogi, lecz swobodny; od końca trzeciego wieku przetrwał wewnętrzne burze włoskiej ziemi i obronił się papieżom, którzy go podbić chcieli. Założyciel osady tej dawniej w liczbę świętych przyjęty i odludne jej położenie kazałyby się domyślać, że tam naprzód jacyś pustelnicy mieszkać musieli. Od San Marino opodal na wysokich górach błyszczały mury zamku, który dawniej za niezdobyty uważano; takim go skaliste góry czyniły. Była to twierdza papieska San Leo.

— 71 —

S. Marino i S. Leo, oba miejsca z imionami świętych, jakże się charakterem różniły! S. Leo przeznaczone było na więzienie: podziemne jaskinie w skale kute służyły na zamknięcie winowajców; lecz właściwiej miejsce to było składem oręża, środkiem utrzymania w posłuszeństwie górali i przednią strażą rzymskiego państwa.

Ludność S. Marino nie przechodziła kilku tysięcy; możniejsi mieszkańcy mieli swe ziemie we Włoszech, a co więcej, wpływ osobiwszy między ludem uboższym, bo wszyscy znajdowali współzucie u mieszkańców S. Marino w czasach rozruchów. W czasie zaburzeń Gwelfów i Gibelinów oni byli użyteczni, unieważniając wpływ kościelnego państwa, siłę jego odpierając siłą i położeniem swem. Że byli ubodzy, nie obudzali chciwości; zostawiono ich przy niepodległości, za którą krew przelewali, i tak przetrwali do czasu, gdyśmy przyszedli w ich sąsiedztwo. Lecz wkońcu już były nowej wojny obawy i przygotowania do niej. W dniu jednym widziałem, jak kilka nadmorskich dział wkładano na koła i tam je przyrządzano. Kazano stawać pod bronią, zapowiadziano

marsz nocny, nie oznajmiając o jego celu. Szliśmy po drózkach do naszych ścieżek podobnych, darliśmy się na góry ponad przepaściami. Prowadzenie ogromnych dział najczęściej odbywało się siłą żołnierza; wielu z nich z pracy omdlewało, lecz ich innymi zmieniano. Z brzaskiem dnia ujrzałem moją ulubioną rzeczpospolitą, której mogłem być obywatelem; zadrżałem, czy to nie na nią nasza idzie wyprawa, lecz mnie wkrótce pocieszył widok San Leo. Jużśmy się z gór przebiali, potrzeba było spoczynku, póki nie ściągnął pojedynczo wlokący się żołnierz, póki nie doszły działa. Uszykowano nas doborowo: grenadyerom kazano zawiesić ozdobne czapki z wysokimi pasowami kitkami na bagnietach swoich i przeznaczono kompanie, co do szturmować miały. Była w ich liczbie i ta, w której byłem kapitanem; poszedłem do niej, a żem wówczas służył przy sztabie, w wolnych godzinach składałem śpiewki dla naszych wiarusów. Downarowicz, jeden z kolegów, zawołał: To właśnie miejsce

— 72 —

dla ciebie, poeto, bo to jest coś nakształt Parnasu, ale za wysoki trochę.

— Wejdzimy nań, wdramy się, kolego, bo nas tu honor wzywa, a na wierchołku zaśpiewamy swą piosnkę...

Z hałasem wielkim szliśmy do szturmów, a czapki na bagnietach, olbrzymią wojsku nadawały postać. Strzelono kilka razy z zamku, lecz we dwie godziny później wywieszono białą chorągiew i do kapitulacji przystąpiono. Był to już wieczór; opatrzone bramy, a myśmy na wzgórkach obozem stanęli. Weszliśmy do twierdzy rano, a gdy spisano pozostałość zamku, który nam Szwajcar oficer zdawał, niektórzy z nas i ja z nimi puściliśmy się na oględziny zamienionych więzień. Na ten raz sami prawie złoczyńcy i kilku tylko było Żydów; jeden z nich, Żyd polski, przybył, aby koniecznie dysputować w Rzymie z teologami Kościoła, co mu dozwolone było w nadziei nawrócenia. Dni kilka odbywała się ta dysputa religijna, a gdy Żyd uporczywiej, niż przyczyn rozumnych miał za sobą, wzięto go w areszt i do San Leo odesłano. Zostawiając innych późniejszemu rozporządzeniu, generał Dąbrowski uwolnić go kazał. Widzieliśmy i miejsce, gdzie Cagliostro odbywał więzienie; ściany jego były rysunkami okryte, nadzwyczajne postaci, koła i gwiazdy, napisy nawet nic nas nie nauczyły. Wreszcie mało co było do widzenia w zamku, gdzie szczęśliwy wybór miejsca całą stanowił ważność, bo oprócz jednego obronnego wjazdu reszta była sterczącą wysoką skałą. Tak tedy nasza skończyła się wyprawa i myśmy do Rimini wrócili.

Był szmer cichy, że mimo przedugodnych punktów do nowej wojny przyjść może. W Rastadt zwlekano przy traktowaniu o pokój. Neapol uzbrajał się widocznie i wojsko do 80.000 zwiększone silnie w materyalne przybory opatrywano. W Rzymie brat Bonapartego był posłem rzeczypospolitej francuskiej. Jego posłańcy czasem się i o Dąbrowskiego ocierali. Kiedy najmniej spodziewać się należało, nadejżdża poważny praelat z Rzymu do Mediolanu wysłany, który

— 73 —

urzędownie Dąbrowskiego pyta, czy go wyższe rozkazy do napadnięcia na fortecę i kraj papieski upoważniły.

Zdawało się, że przynajmniej to nie było od cysalpińskiego rządu, który zadrżał na postępki generała i tłumaczyć mu się z tej wyprawy nakazywał. Przyjazd rzymskiego posłańnika i rozkazy ministra zbiegły się razem. Dąbrowski powiedzieć mógł posłanemu, że wiedząc o tem, iż się papież wzbrania uznać exystencję polityczną rzeczypospolitej cysalpińskiej, potrzebował przedsięwziąć kroki ostrożności, bo później więcejby to ludzi i starań kosztowało. Rzeczą jest rządu kazać mu z zabranej fortecy ustąpić. Zaledwie praelat wyjechał, myśmy wyszli pod samą granicę rzymskiego państwa, którą z naszej strony miasteczko Catolica stanowiło, i tegoż jeszcze wieczora następny obmyślano środek wojennego podejścia. W Pezaro, pierwszym mieście papieskiego kraju, przemieszczał kardynał Saluzzo, ten sam, co przed niewiele laty był nuncyuszem w Warszawie, nawet cały dwór jego oswojony był z językiem naszym. Dąbrowski z pomiędzy włoskich żołnierzy kazał wybrać najrzęczniejszych do tego i ubrać w odzież na ten cel od wieśniaków zebraną. Dał im za naczelnika Bagutego, felczera w drugim batalionie w służbie naszej będącego, z potrzebną informacją: był bowiem znajomy z miejscowością. Nie było trudno obejść posterunek rzymski; wpadł on do miasta, zaśpiewał piosnkę może już nawet nieobcą góralom księstwa Urbino, których reprezentował, wstrząsnął tym sposobem miasteczkiem i opanował wprzód bramę, którą garstka tylko wojska przeciwko nam strzegła. Gdy wszystkich opanowała trwoga, zmienił rolę; dostał się do pałacu do kardynała jako miejscowy, prosił, aby mu z nim widzieć się było wolno. Przypuszczony opłakiwał swą niedolę, narzekając, że już był zrabowany i zna okrucieństwo i złość dowódców zamieszania i wie, co się z miastem stać może, gdy w ostatku i żołnierze własni połączą się dla rabunku z powstańcami, i dodał, że jeden tylko widzi ratunek, aby kardynał wezwał generała Dąbrowskiego, by miasto przyjacielskiego kraju od zniszczenia osłonił.

— 74 —

Zebrani u kardynała mieszkańcy miasta, którzy najwięcej do stracenia mieli, wołali, żeby to uskutecznić bez zwłoki i wysłać co najprędzej do Dąbrowskiego. W mieście prócz hałasu nie było żadnych gwałtów; kardynał Saluzzo list do Dąbrowskiego wygotował i z nim swego w Polsce jeszcze sekretarza wraz z Bagutim wyprawił. Znalazł czas Baguti ostrzec swoich, aby swą

drogą zemknęli, lecz zawsze w mieście myślano, że się tylko w inną jego przenieśli stronę. Ledwie Baguti z sekretarzem w Catolica stanęli, generał, który z niecierpliwością oczekiwał skutku, tak się zdradził, że Bagutego ucałował. Natychmiast stanęliśmy pod bronią, wzięwszy sekretarza z sobą w jeneralskim jadącego powozie; przeszliśmy słaby posterunek papieski, odesławszy wprzód list do posłannika papieskiego do Medyolanu wraz z listem kardynała, wskazując, dla czego gwałtowne przedsięwzięto środki, bo i potrzeba gwałtowna była. Pojechał z tym kurierem wysłany oficer. Generał stawiał się przed kardynałem; znikła już była obawa, zostało podziwienie tylko. Wieść się rozeszła o naszym na ratunek ich przybyciu, karność dowodziła dobrych chęci, a mieszkańcy byli w tej ułudzie, że to ich Austriacy, nie Francuzi osłaniają. Wielkie stąd dla nas okrzyki. Generał wysłał posterunki do innych miast, do Urbino nawet, bo zapragnął zająć razem historyczne i ważne stanowisko nad jeziorem Trazymeńskim, gdzie niegdyś Hannibal obozował. Pierwej, niżeli przyszła odpowiedź z Medyolanu, wstrzęsła się papieska ziemia; w stolicy nawet napadnięto na francuskiego posła. Zginął w tem zamieszaniu generał Dufort, pomnikiem uczczony; księżę Józef Bonaparte przez Ankone się usuwał i Dąbrowskiemu za ten marsz podziękował, bo pod jego zasłoną cofnąć się już mu nie było trudno. Tak się tedy ta napaść odbyła; rząd się jej cysalpiński wyrzekł, a niespodziewane okoliczności usprawiedliwiły. Już tedy Dąbrowski nie opuścił swych pozycji, które zagarnął, a że go lud sprawcą swej spokojności być mniemał, nie byliśmy od nikogo napastowani, aż do następnych zdarzeń.

— 75 —

Generał posunął kwaterę swą do Fano, aby być jak najbliżej Urbino. W dniu jednym, kiedyśmy właśnie u obiadu siedzieli, szmer w mieście powstaje i zajeżdża Bertier, generał główną armią włoską dowodzący. Natychmiast generała Dąbrowskiego do osobnego z sobą wiedzie pokoju i groźnie zapytuje, co go do tego przywiodło, by bez odnoszenia się do niego zajmował państwo papieskie.

Generał pismo posła francuskiego złożył i o wezwaniu siebie przez kardynała donosi, dodając, że ważne militarne pozycje zajął bez krwi rozlewu. Mówił Dąbrowski, że na twarzy Bertiera nie gniew, ale uczucie zazdrości czytał; wkrótce Bertier znowu surową przybrał postać, za nieroztropność go karmił, dodając w końcu jakby z szyderstwem: Czy to się wćpan zostawisz naczelnikiem tak niewielkiej garstki, na zdobycze puszczać zamyślasz? Nie rozważyłeś, ciągnął dalej, że 80.000 Neapolitańczyków mogło wkroczyć i połknąć cię od razu; skompromitowałbyś armię całą dotąd niezwyciężoną.

Na co Dąbrowski odparł, że się takich wyrzutów nie spodziewał od towarzysza broni Bonaparte, który dowiódł, że kraje się zdobywają nie liczbą wojska, ale zręcznością i odwagą.

Po tej rozmowie wrócili do nas; Dąbrowski przedstawiał Bertierowi generała Kniażewicza i zebranych oficerów, ale on jakby niespokojny, o pokój dla siebie prosił i tam rozkazy dyktował. Kazano Dąbrowskiemu ani krokiem nie posuwać się dalej, czekać na będącą w ruchu armię włoską, którą pocztami wieziono, a gdy ta zabrane przez nas miejsce opanuje, wrócić natychmiast do Rimini na dawny swój posterunek i tam nowych oczekiwać rozkazów. Tak nasze nadzieje i owoce zręczności naszej zginęły dla nas. Biegli Francuzi marszem gwałtownym na etapach; już dla nich pieczono woły, przygotowywano wina dla pokrzepienia sił straconych; za nimi zbierano podwozy, aby podwozić słabszych. Pocztą także trochę dostawiono dział. Myśmy po przyjeździe ich spełnili dany rozkaz, cofając się na dawne

— 76 —

stanowisko; lecz lud sfanatyzowany ścigał w nich odszczepieńców i każdy, co się znalazł oddzielony od kolumny swojej, mógł być pewnym strzału od pierwszego mieszkańca, byle zręczność była po temu.

Jednak opór przeciwko ich męstwu, zręczności i sławie był nadaremny; stolica ubiezoną została; a my ciekawi wiedzieć, co się tam dzieje, posłyszeliśmy o losach Rzymu. Mówiono, że Rzym gnuśnością rządu znudzony przechowywał w sobie wielu zwolenników Francji nawet między najznakomitszymi; Borghezowie i liczni książęta miejscowi tchnęli żywą dla Francuzów sympatią. Na Kapitołińskim placu przypięto trójkolorową kokardę posągowi Marka Aureliusza wśród śpiewów jasnego bardzo znaczenia. Papież cofnął się do Sienny; rząd konsularny z osób dostojniejszych złożony zawładnął zaraz miastem. Urok pamiątki dawnej Rzymu świetności zawrzał we krwi wszystkich; byli zapewne i tacy, co płakali, widząc przygotowany upadek wiary. Wszystko to słyszałem tylko z opowiadania. To zaś było pewnością, że gdy przysłani od dyrektoryatu ordynatorowie nawet kościelne bogactwa spisywać mieli, wojsko się na to oburzyło. Bertier i Massena z wyższym sztabem z Rzymu do Monterossi umknęli; byłoby zaszło dalej, ale lud zbrojny zebrany pod Terracino szedł do Rzymu, potrzeba bezpieczeństwa wskazała jedyny środek wybrać z pomiędzy siebie dyktatorów, aby utrzymać się w Rzymie. Wysłano przeciw powstaniu potrzebną siłę, a dyktatura egzystowała, dopóki generał Gouvion Saint Cyr z instrukcjami nie nadjechał z Paryża i nie ujął armii w kluby karności. Winniejsze nawet półbrigady całe ucierpiały i później do wyprawy do Egiptu płynącej przez Civita Vecchia wysłane były. Tak się pierwsze zdobycie odbyło.

Podobno to było skutkiem tej wyprawy, że Rzym ogołocony z wojska potrzebował załogi, którą formować na naszą legię przyszła kolej. Jakoż w marsz ruszyliśmy natychmiast; wielu z nas pocieszyła nadzieja widzenia kraju i nieśmiertelnego miasta, którego i dawne znamienite ostatki

— 77 —

przeszłości i nowe gmachy do najwspanialszych na świecie się liczą. Pierwsze wrażenie, jakie o nas powzięto, nie znikło zupełnie; miano nas przynajmniej za chrześcian i pojedynczo nie zabijano; szliśmy wolnym marszem; niektóre zdarzenia nie wygasły jeszcze z pamięci mojej. W Pezaro przyjął nas gościnnie kardynał Saluzzo; on i ci, co go otaczali, pamiętali Warszawę; przypominali nazwiska osób, gościnność polską wielbili, bogobojność podziwiali, siebie i Rzym polecając jako dawnym znajomym, licząc na wyniesione z kraju uczucia. Lud po kościołach nas widział, do których jednego domowa pobożność, innych sztuk pięknych zamięłowanie kupami wiodło; dawano nam listy do znajomych w Rzymie. W każdym miasteczku coś uwagę naszą ścigało.

W Pezaro chłodnik z kunsztownie urządzonych wytrysków wody, tak że pod nią przechodzić było można, a woda spadała obok nie maczając przechodzącego, bo ją siła sztuki parła w tę stronę; w Fano teatr wielkością znamienity; dalej grota Forli, którą wykuli w skałach Rzymianie dla wygodniejszego przejazdu: wszystko to nowe dla nas było i ciekawe. Takeśmy doszli do miasteczka Immoli, gdzie przebywał człowiek później z wielu względów znakomity i wielki: był to kardynał Claramonti, później papież Pius VII. Tam nas zatrzymano na pewien czas, bo jakieś poruszenia ludu w tej stronie wymagały tej ostrożności; dano nam

kwaterę w pałacu kardynała. Poważny kapłan mieszkał w obszernym gmachu, tak że się nas tam wielu pomieścić mogło oprócz kwaterującego generała. Bał się on niespokojności ludu w okolicy, który się w tłumy zbierać zaczął; przewidywano napad; wiedział, że jego imię było głośne i od wyższych władz szanowane; nas uważał, żeśmy z kraju wynieśli ducha wiary i uszanowanie Kościoła; czuł się bezpiecznym, bo siebie broniąc, i jegośmy zasłaniali. Spokojny dom jego był dla nas przyjacielską kwaterą: ukochał Dąbrowskiego, a nas często do siebie wzywał w miarę, jak się z kim bardziej oswoił. Dla mnie kardynał był uroczą postacią i widział to w mej twarzy i w sercu mem

— 78 —

czytał. Okiem pasterza spoglądający na owieczki swoje rad był wiedzieć co chwila o ich losie. Ja, żem był najbliższy generała, gdy go każde uderzenie bębna trwożyło, o wszystkim odemnie chciał wiedzieć; z każdego ruchu odemnie żądał zdania sprawy. Z uszanowaniem zaspakałem jego wolę; on zaś ze swej strony przy rozmowie okazywał przyjacielskie uczucia, najczęściej na filiżankę czekolady zapraszał, a zawsze coś o losie Polski mówiąc, rad był swoją sympatię dla nas okazać. W obszernej, lecz niebogato przystrojonej sali przy ogniu wielkiego marmurowego komina stało wygodne jego krzesło; blisko stojący taboret był dla

wezwanego. Fioletowa czapeczka jedyną była cechą wyraźną ubioru jego; bo choć dawniej był mnichem, nosił frak czarny, nawet fioletowych pończoch nie przypominam sobie. Nigdy od niego nie słyszał nic twardego o nieprzyjaciółach wiary, lecz gdy o rozwołnieniu obyczajów mówił, często dodawał: Widzę skutki lekceważenia wiary, znikła ufność między podwładnymi a rządem, który w każdym widzi niechętnego, a ów w każdej władzy ciemność. Wiara tylko łączyć ich mogła, rozróżniając, co jest wolą Boga, a co namiętności ludzkiej dziełem; ta uczy, jak pierwsze znosić i jak drugie z serca każdemu wykorzeniać należy, czy on wielką, czy małą posadę na tej ziemi otrzymał.

Przyszedł nareszcie rozkaz dalszego marszu, myśmy go żegnali z czułością i on nas po ojcowsku błogosławił. Zjechałem na bok dla widzenia wodospadu w Terni najświetniejszego z tych, jakie we Włoszech widzieć można. Przed wieki rzeka Velino stała się jeziorem, tam ręką Rzymian skierowana; przebito skały i otworzono kanał, którym do morza toczyć się miała z wysokości wielkiej. Z wodami jej uniesione części alabastrowe wyższych pokładów w tysiącnych latach osadzając się, potworzyły sopłe podobne do tych, jakie u nas zima na krajach dachu zawiesza. Wiekami formowały się one w skały i rozmaicie piętrzyły. Rzeka lecąc z góry, rozbija się o te skały i w mgłę przemienia, w której promienie słońca wyrabiają tęcze, czarownie

— 79 —

przedstawiające się oku. W końcu rzeka uderza w wody płynącej pod samą skałą Neri, ta się jej opiera, pieni i sroży, lecz ulega sile i w kręte smugi wywijając się, wraca znów do swego dawnego łóżyska, płynąc dalej rokoszną łaką.

Wielkie i miłe na nas uczynił wrażenie ten najpiękniejszy, bo najwięcej malowniczy wodospad włoskiej krainy. Lecz wracam do marszu naszego. Opuszczając jeszcze Rimini, każdy swą przyszłość z innego widział stanowiska: jedni pragnęli widzieć Rzym dawny, inni pamiątki kunsztu, jakie się w nim zebrały, inni wielkie miasto, w którym tyle uciech przemieszkiwa; chciwi rokoszy słuchali, jak ona tam łatwo przychodzi. Każdemu się zdało, że go już piękna Rzymianka wybiera, bo słyszał, że jasnowłosy młodzieniec północy najłatwiej im do serca przemawia. To było i w kwaterze generała, bo i on w uczuciach gwałtowny, ufny w swe wyższe położenie, jeszcze w swym kraju zalotny, sądził, że to go ominąć nie może. Wszakże nie chciał się puszczać na lada miłości, chciałby znaczenia w kochance, którego w boju szukał, choć postać marsowa, głos mocny, co zawsze rozkazywać pragnął, nie był dla kobiet włoskich zaletą. Był też z nami z Ukrainy zamożny młodzian poszukiwany po możnych dworach, w których go do towarzystwa wciągano jako dostatniego człowieka; a gdy on o córkach domu marzył, podstawiano mu protegowane urodziwe dziewczęta, aby ubogim los zabezpieczyć. Rzucił się on w ten emigracyjny odmet; jechał na Paryż, by z większego przybywać świata i przywieść z sobą ozdobną garderobę, najświeższe przybrać formy i tak dopiero po Włoszech bujać. Był to niebezpieczny dla generała rywal, bo i młody i strojny i wymowniejszy od niego. W zawodzie swoim on na nas wcale nie zważał, a gdy generał wzywał, aby mu w jego zalotach nie przeszkadzał, gniewał się szczerze, bo w tem gwałt swobody osobistej i ślady feudalnego ucisku spostrzegał. W takich myślach szliśmy do Rzymu, a ja z wycieczki do kaskady w Terni stanąłem połową dnia przed nimi. W Terni szukam kwatery generała; kwaterujący mi ją wskazuje, dodając:

— 80 —

dogodziłem generałowi — wdówka i mieszka w Rzymie. Przejrzałem listy, któreśmy od znajomych do znajomych mieli; znalazłem na jednym podpis, którego by się i Ariosto wymyślając imiona swym bohaterom nie powstydział: *Pandolfina Compagnoni Sceripanti*; oddałem list głuchemu starcowi, który przyszedł na moje usługi, nie zgadując, żem trafił na jej powiernika. On mnie wkrótce do swej pani przywołał; zaczęła się rozmowa poufala, jakbyśmy sobie od wieków przeznaczeni byli. Mówiła zaraz, że jej przyjaciel tak jej opisał generała i otaczających go, jakby ich sama widziała. — Wasz generał wąsaty, jak Mars srogi, a szuka przecie miłości kobiet, choć ją lekceważy; jest tam i drugi młody przy nim, pewny, że go każda pokochać musi, a on tylko wybierać będzie. — Ja mój list z nich wszystkich najskromniej oddałem, dodając: jesteś pani bez Cavaliero servente, życzę ci go wybrać. Śmialiśmy się oboje z naszego przeznaczenia. Powiedziałem jej, że nie chciałbym jednak ani z moim generałem ani z kolegą się poróżnić, choć widzę, jakby mnie uszczęśliwił bliższy z nią stosunek. — Ja to biorę na siebie, odpowiedziała, i zrobić potrafię. Potem pytała mnie o zwyczaje i humor generała i czemuby próżność kolegi mego zaspokoić najlepiej. Po ratyfikacji naszych układów dano znać, że nadeszło wojsko, a generał do kwatery jedzie. Wysła zaraz do niego zręczna wdowa i powiedziała mu, że jedzie do Rzymu, że chce sobie zaskarbić przyjaźń jego i szczęśliwą jest, że takiego człowieka w swym domu przyjmuje. Wszedł za generałem i mój kolega, tego także grzecznie przyjęła; a gdy generał mówił jej o krótkim pobycie swoim w Terni, odparła: Jeśli marsz nie jest gwałtowny, możeby Wépan tu znalazł swobodniejszy spoczynek, a ja przyjemność bliższego z nim poznania. Ze dowódzca nasz był wówczas w Spoleto, przeto polecił generał memu koledze napisać do niego, a ten z grzecznością paryską porwał się zaraz, chcąc wolę gospodyni spełnić; jam się usunął z pokoju, przez drzwi tylko na ich ruchy spoglądając. Wdowa wysłała sztafety, zapewniając,

— 81 —

że odległość nie była wielka, a generał Dąbrowski dwa dni dla wypoczynku tu naznaczył.

Gdyśmy się do siebie cofnęli, generał szwarcował wąsy, a mój kolega szukał w garderobie najkształtniejszego mundur; generał już swą przyszlą zdobycz uwielbiał, a kolega mówił z przekąsem, że mu się także podobała.

— Sądzę, że mi przeszkadzać nie będziesz, rzekł generał. Ten się zmarszczył i odparł: Miłość nie ma żadnego związku ze służbą, w niej szczęśliwszy zwycięscą.

Gdy tak się z sobą ucierali, mój głuchy powiernik pani nie widziany od nich wskazał mi, żebym szedł za nim, co mi nie było trudno, bom się nie przebierał; wprowadził mnie do niej skrytymi drzwiami. Zastałem ją śmiejącą się, że jej tak dobrze poszło na tej pierwszej próbie. Układała plan życia w Rzymie, obiecywała mi, że karetę da na moje usługi, że z nią razem obiady, przechadzki podzielę, że mi da starożytnika, co by mnie po mieście obwodził, że ma architekta przyjaciela, co mi okaże gmachy i piękności sztuki wskaże i oświeci o nich. Tak mi to dogadzało niezmiernie, że chociaż serce w rodzinie i kraju zostawiłem wyłącznie, nie gniewałem się wcale na to zdarzenie, bo ono mi do mej chęci nauczania się i poznania sławnego Rzymu wielką obiecywało być pomocą. Nazajutrz wielki obiad u mojej wdowy: pierwsi mieszkańcy proszeni, generał ze wciąż ugoszczony, twarz ma pogodną i rozbiera w myśli następne przyjemności. Sam na sam z nią będąc, opowiada jej o swem szczęściu do kobiet w kraju, idealizuje swe stosunki z niemi, oświadcza ognistą miłość, której i ona spodziewać się może. Pomimo to wszystko Włoszka dotrzymuje umowy; wybór był jeszcze nadto świeży, żeby go tak rychło porzucić miała. Generał do swej wojskowej potrzeby już mnie nie wzywa wcale, bo ma na widoku utrzymać kolegę mego w ciąglem zatrudnieniu, aby mu nawet czasu do mówienia z wdową nie zostawić. Kiedy on do swego powracał pokoju, schodzili się naczelnicy batalionów dla odebrania poleceń od niego. Grabiński był szefem trzeciego; dworak, bywalec,

— 82 —

miał oko bystre na odkrycie miłosnych intryg. Po rozejściu się naszem głuchy pani powiernik dał mi znak, że mnie jejmość prosi; wyszedłem do wielkiej sieni, a stamtąd na ukryte schodki, któremi służba do niej przychodziła. Grabiński mnie dostrzegł, jam go nie widział. Udał się do generała potem, kolega mój pisał rozkazy, a oni weszli do osobnego pokoju.

— Grabiński, trafia mi się gratka, której się nie spodziewałem; wdowa ta ma nawet pałac w Rzymie, już jej zawróciłem głowę, mówi że majątna i żyje dobrze, będzie z nią wygodnie. Dotąd te łajdaczki Włoszki uciekały od moich wąsów i marsowatej twarzy, ale ta się jej nie ulękła wcale. Będzie przynajmniej gdzie czas wolny od służby przepędzić.

— Ej! czy ona sobie nie opatrzy młodszego!

— Już ja dałem na to radę! O... zaczął się przysuwać do niej, alem go do roboty zasadził i nie puszcę, aż stąd ruszymy.

— A Drzewiecki?

— Wyszedł zapewne i gdzieś się nad pięknym kościołem zagawronił.

— A onby generałowi nie mógł figla wystroić?

— On fryc do tego, wyjechał z kraju jak szalony i marzy o pierwszych miłościach, z których i tam korzystać nie umiał.

— Lecz go nauczyć mogą; niech no generał pójdzie ze mną, ja na to szczerwany, może się co ciekawego dowiemy.

Wyszli po cichu na te schodki, gdzie mnie widział wchodzącego i pod drzwiami stanęli. Wdowa donośnym głosem opowiadała zaloty generała i śmieliśmy się oboje; generał zniecierpliwił się i wrócił z chęcią odwetu. Mało mówił z wdową i na jej prośby zatrzymania się już z przegryzkiem odpowiadał, a mnie także do jakiejś roboty zasadził. Trwało to do późnego wieczora; rozchodzili się z salonu, a mnie głuchy powiernik znakami swemi doniósł, że mam się udać za nim. Czekałem aż usnie generał, a on żeby

— 83 —

mnie oszukał, chrapać nieznosnie począł. Pewny swojego, poszedłem na pożegnanie: mówiliśmy o Rzymie, o środkach poznania go dokładnie, o gotowych dla mnie pomocach i uprzyjemnieniach pobytu, jakie mi przygotować myśli. Skończyliśmy nakoniec obietnicą zobaczenia się jeszcze przed wyjściem. Cicho wróciłem i zabierałem się do spoczynku, by w nim siły znaleźć do długiego i niewygodnego marszu; gdy generał przeczekawszy, pókim smaczno nie usnął, zbudził mnie nagle, dał rozkaz w ręce i zaraz jechać dla obejrzenia następnych kwater wszystkich batalionów rozkazał. Dowiedziałem się, że koń i ordynans byli przed progiem; noc, choć kwietniowa, ale chłodna, droga nieznojona i niebezpieczna, nawet deszcz kropić zaczynał. Pytałem o przewodnika, odpowiedziano mi: Znajdziesz go na końcu języka. Należało milczeć i wykonać rozkaz. Zaledwie z miasta wyjechał, aż mnie tam i przewodnik czeka i to samotrzeć z ludzi wybranych i uzbrojonych. Domyśliłem się potrochu, jak się rzecz miała, i szczerze żałowałem przygody, co nas do wzajemnej nieufności przywiodła. Spełniłem wszystko, co mi rozkazano, i wyjechałem naprzeciw generała na miejsce, gdzie się bataliony rozłączać miały.

On mnie tam zastawszy, po przyjacielsku powitał i rozporządziwszy wojsko, śmiał się szczerze z oddanego odwetu.

Kierunek drogi prowadził nas do Loretu, a chrześcijańska dusza cieszyła się oglądaniem jego. Gdyśmy tam stanęli, już był i generał Dąbrowski i przygotowano narodową fetę, o której nikt z nas wprzód nie pomyślał. Gdyśmy się w czworobok sformowali, wywieszono z kościoła chorągiew Mahometa i ten sam pałasz, co go Jan III po wygranej pod Wiedniem, zwycięzca swej Opiekunce w hołdzie ofiarował, a rząd francuski legiom polskim jako narodową pamiątkę oddać polecił. Nie mógł być już trafniejszy środek obmyślony dla rozognienia umysłów, jak wznowienie pamiątki narodowej sławy. Jakoż był to dzień wielki, obchód narodowy, choć na cudzej ziemi, i szczerze, szczerze zapłakaliśmy

— 84 —

naszej przeszłości. Piersiami całemi zaśpiewaliśmy pieśń naszą; głos to był ludu, co miłosierdzia zebrał u Opiekunki swojej.

Zbliżaliśmy się do Rzymu. Już się kończył kwiecień, a myśmy przecie nie spostrzegli, że oprócz Rzymu nowy nas oczekiwał urok. Staraliśmy się przybrać okazałą postać, nowe mundury oblekły na się bataliony, broń wyczyszczona błyszczała; każdy twarz swą poważnym marsowym wyrazem zdobił, silną nogą stąpając po gruzach znakomitej przeszłości. Pragnęliśmy być widziani, jakoż na widzach nie zbywało; nowy to lud przychodził, inny język brzmiał w jego ustach, niżeli dotąd słyszany, różne o tem chodziły między ludem wieści. Motłoch nas za wojsko cesarza rzymskiego uważał, kapłani za lud kościołowi przychylny, a zawsze

zbierający się pod chorągiew Maryi, inni za pogrom Muzułmanów, za towarzyszków ostatnich krzyżowych wypraw, teraz przychodzących na obronę krzyża i wiary jego. Byli i zasmuceni, jakby mówić chcieli: dopełniają ucisku naszego! ale to byli ludzie myślący, a takich w tłumie niewielu. Dzień był najpiękniejszy, ozdobny włoskiem słońcem, okna kobietami strojnymi ubrane; myśmy szli w trzech kolumnach na kapitolijną górę. Trzy są wejścia na nią: każdy batalion oddzielnem wchodził; potem

rozwinęliśmy się w szeregi, a w środku posąg Marka Aureliusza z podniesioną ręką zdawał się naszym być wodzem. Gdyśmy się dokoła niego uszykowali, Dąbrowski mówił do nas:

— Stanęliście na szczycie góry, na której tyle wieków sława błyszczała; ona i wam towarzyszy. Pomnijcie w jakim to dniu wstępujecie tutaj, w dniu drogiej dla was pamiątki. Niech godło sławy i miłości kraju w sercach waszych na zawsze pozostanie.

Nikt nie wejdzie na tę górę bez wzruszenia, komu dzieje Rzymian świadome; w nas podwójne obudzało się wspomnienie i każdy uczył się głęboko przejętym. Klasztor Ara Coeli dany na koszary żołnierzom, w pałacu senatorskim

— 85 —

Kniażewiczowi naznaczono mieszkanie dla bliższego służby dozoru.

Tak odbyło się wnieście nasze do Rzymu.

Pałac zajmowany przez nas był bardzo obszerny; wchodziło się do niego schodami marmurem wysłanymi; ogromny posąg wyobrażający Tyber oparty na naczyniu, z którego wylewał swe wody, leżał tuż blisko; z boku zaraz ślady tarpejskiej skały, z której Rzymianie zdrajców kraju stracali; na prawej stronie widać było wielkie muzeum starożytności, przed którego drzwiami wilczyca Romula i Rema piersiami karmiąca i bronzowe gęsi, co Rzymian o Gallów napadzie ostrzegły; w sieniach kolumna rostralna na pamiątkę ich morskiej siły; wnętrza już opisywać nie będę. Z drugiej strony klasztor Ara Coeli ze schody marmurowymi, wytartymi

kolanami pobożnych pielgrzymów, którzy je na klęczkach przebywali; gmach ten na koszary, jakem powiedział, oddano. Z piętrowych sal widok pełen wspomnień przeszłości się odkrywał: tu miejsce owej legendy, gdzie bohater wskoczył, aby sobą zaprzec otchłań, co miała pochłoniąć braci; tu ruiny pałaców cesarskich, dwa łuki Trajana i Konstantyna, tam kolumny świątyni Pokoju, a wpośrodku piętrzą się ruiny Colosseum. W lewo Mamertyńskie więzienie, w którym pierwsi opowiadacze wiary kończyli męczeńskie życie. Całe wieki występują przed oczy myślącego człowieka. Znajdźże wspanialszą kwaterę na świecie! Przecież wcale wygodną nie była. Gmach ten mógłby pomieścić tysiące, a w nim nas trzech tylko i przy każdym jeden żołnierz, co mu posługiwał. Dwa tylko konie całej parady; jeneralski dość lichy, cóż powiedzieć o moim? każdy nasz ekonom na lepszym się po polu ugania. Sale potężne szły rzędem i jeśli się pożartować godzi, powiem, jak nam tam było. Gdy się jenerał znudził i rozgderał, można było w drugim końcu nie słyszeć nawet, że na nas woła; często się puścił

— 86 —

za nami, a niepewny, czyśmy w kwaterze, mruzczał wracając daremnie, kiedyśmy szli spełnić rozkazy jego. Sprzęty wyniesione, słowem były to murowane stopy, opustoszone już przed przybyciem naszym; taka to sprzeczność zarazem! Wiele pamiątek, a wygody nic. Ale za to po odbytej służbie ile widoków, ile ciekawości dla nas; a potem gdy się koledzy zeszli, ile opowiadań o pałacach, w których mieszkali!

Dnia jednego przybiegł do mnie pan Świstacki, kosynier z pod Racławic, a podporucznik w kompanii mojej, i uskarżał się na swoją niedolę, że mu w pałacu dano kwaterę. Wodził go lokaj po obszernych pokojach i pokazywał łóżko do spania, lecz gdy go opuścił, szukał łóżka nadaremnie i w pokojach go znaleźć nie mógł, a rozmówić się nie umiał. Poszedłem mu w pomoc, pokazano łóżko znowu.

— Tak to i wprzód było, odezwał się, a skoro pan mnie opuścisz, znowu łóżka nie stanie. W istocie łóżko było w niszy, którą blejtram jednego ze ścianą pokoiów koloru zasłaniał, czego Świstacki pojąć nie mógł.

Zaczęliśmy się obeznawać z Rzymem, a uczucia religijne obudziły się w sercu każdego żołnierza. Co za szczęście, gdy się do kościoła świętego Piotra dostali, tem więcej gdy się dowiedzieli, że tam ksiądz polski spowiada, a potem dotyka laską na znak odpuszczenia grzechów. Dawno w obcych krajach nie było sposobności dopełnić tego obowiązku religijnego, szli też tłumem do niego. Włosi zdziwieni zbiegali się, aby to widzieć, a że nas więcej, niż Francuzów na załodze było, pomyśleli, że się ludzie pobożni złączą z nimi. Spowiednikiem był ksiądz Fałęcki, Franciszkanin; nieostrożny człowiek, począł wyklądać, że my nie wiedząc o tem własną uciskamy wiarę, że mieszkańców chrześcian-katolików nienawidzić się nam nie godzi, kochać raczej należy. Aż po kilku dniach spowiedzi żołnierze nasi między sobą naradzać się zaczęli i pójść z tem do jenerała umyśleli koleją. Wchodził jeden po drugim i wszyscy jedno powtarzali. Meldują jenerałowi, że ksiądz na spowiedzi kazał kochać Baurów

— 87 —

(tak mieszkańców zwali), bo oni lepsi chrześcianie od Francuzów. Po długim takim meldunku jenerał uznał potrzebnem uspokoić tę obawę; pojechał do jenerała en chef, przełożył mu nie skarżąc nikogo, że widzi potrzebę oddalenia polskiego spowiednika, bo to mogłoby usłać drogę propagandzie fałszywych wyobrażeń. Przyjęto uwagę, a jenerałowi wręczono rozkaz, aby się ksiądz Fałęcki przeniósł do Loretu. Posłał mnie z tem jenerał do niego ze skromnym zasiłkiem na podróż. Ale ksiądz był zapaśnieszyszy od nas i rzecz zrozumiawszy, coby go czekać mogło, szczerze za ocalenie dziękował, a natychmiast wyjechał. Ta myśl jednak upowszechniać się zdawała między mieszkańcami, że Polaków odłamać należy, bo później było wielkie poszukiwanie, do którego naszych przywoływano żołnierzy, i kilku mieszkańców rozstrzelano. Dla tych nieszczęśliwych było mocne współczucie, bo po ich śmierci rzucano chustki w zakrwawione miejsca i rozdzierano je, jako po męczennikach za wiarę relikwie.

Jużeśmy osiedli nakoniec, a Polacy z kraju przybywali. Ci, co jechali na Paryż, mieli najczęściej skrzywione pojęcia naszego położenia; gdyż ci, co tam mieszkali, zwyczajem czasu na dwa się kluby dzielili, a każdy rad był przodować. Bars, adwokat z Warszawy, którego jeszcze Kościuszkę jako swego posłannika upoważnił, przez czas długiego pobytu utorował sobie niejako oficjalne drogi i za agenta polskiego był uważany. W każdym tedy wypadku, gdzie szło o wsparcie w potrzebie lub informację o przejeżdżających, udawano się do niego; rząd nawet miał wzgląd na jego położenie. Jenerał Dąbrowski miał w nim korespondenta. Po przyjeździe swym do Paryża Wybicki z nim się połączył i ich razem agencją nazywano. Lecz że zamieszkał podtenczas i Mniewski, obywatel znamienity w rewolucyi zniszczeniem amunicji pruskiej pod Jarosławkiem i kasztelan, człek

zaczyni, skupili się koło niego Wielkopolanie; Niemojewski i Wojczyński, generałowie, później generał-inspektor Grabowski i ksiądz Dmochowski, uczynili związek między sobą i miano deputacy

— 88 —

polskiej przyjęli. Sekretarzem wybrali Szaniawskiego; obszerne stosunki z klubami wśród kraju znajdującymi się zawiązując, chcieli pomaleńku i legiami zawładać. Dąbrowski, co wojskowej karności potrzebował, a legie za jedyny na przyszłość dźwignienia się środek uważał, krzywił się na to przywłaszczanie, bronił się zręcznie od moralnego ich wpływu i niechętnie przyjmował osoby, które z nimi miały związek. Stosunki dla tego pozostały i były silne, bo dobroczynne składki, jakie gorliwsi obywatele w kraju czynili, na ich stronę przeważały. Generałowie bezczynni, co z nimi mieli stosunki, zazdrościli położenia Dąbrowskiemu i jego niepodległość za brak patriotyzmu uważali. Postanowiono w deputacyi wyprawić do Włoch posłanników zręcznych, którzyby oficerów połączwszy w klub porządną, związali ich z tą narodową władzą. Przyjechali do Rzymu Neyman, później pułkownik, i Turski, co się tej misji podjęli, a za nimi Grabowski, generał-inspektor, i Jabłonowski wychowany w jednej szkole z Bonapartem, a nawet dobrze usposobiony. Dąbrowski widział w tem wszystkim dla siebie powody obawy; ażeby je zniszczyć w zarodzie, sprosił do siebie na obiad tych właśnie sztaboficerów, których się lękać miał prawo, i ugościwszy proponował, żeby z nim razem generała en chef odwiedzili. Radzi oni byli z nim się poznać, a może w tem i widoki jakie wyższe mieli. Gdy się znaleźli w salonie głównie komenderującego, Dąbrowski go na bok odprowadził, rzecz objaśnił i o niebezpieczeństwie podkopania karności wojskowej ostrzegł. A że to za radą najlepszych swych oficerów był przedsięwziął i ich z sobą przywiódł, generał chciał z nimi o tem mówić, ale żaden się po francusku z łatwością nie tłómaczył. Podziękował im zatem za to ich do służby przywiązanie i gorliwość o zachowanie spokoju w legionach. Oni to za dobrą monetę wszyscy wzięli, aż gdy z Dąbrowskim wrócili, dopiero się dowiedzieli, że Neymana i Turskiego żandarmami aż za Alpy odprowadzić rozkaz mieli. Przyszli generałowie od władzy narodowej wybrani jak na łodzie usiedli i z biedy w służbę Rzeczypospolitej

— 89 —

rzymskiej powchodzili. Lecz rzucona iskra tłała powoli i wzajemna nieufność pierwszym jej była skutkiem. Generał Dąbrowski miał przy sobie przy zawiązaniu legii z polskiej jeszcze wyprawy towarzysza pułkownika Zabłockiego i jemu trzeci batalion powierzył, zaczynając go formować. Później nadjechał Grabiński, który z kraju miał jakieś stosunki z Sułkowskim, adjutantem Bonapartego; on tak usilnie Dąbrowskiego za Grabińskim prosił, że mu odmówić nie śmiał, a że miejsca innego nie miał, dał mu trzeci batalion, którym Zabłocki dowodził. Dla Zabłockiego zaś nową rangę uprosił majora legii i ta mu bez jego wiedzy dana została. Stąd między nim a Grabińskim iskra się zazdrości zajęła. Grabiński był służbista i zręczny, Dąbrowski liczył na jego osobistą przychylność, wynosząc go kosztem usunionego przyjaciela. Do tego batalionu posyłał na oficerów przybywającą dostatniejszą i dobrze wychowaną młodzież i ten batalion odróżniał się piękniejszą powierzchownością, nawet większą oficerów grzecznością. Tuby dodać należało, że przy formacyi legii włoskiej były widoki jej rozwinięcia i że każdy batalion miał oddzielny mundur z kolorami odrębnymi regimentów polskich. Ten, o którym mowa, miał kołnierz i okłady paliowe, a Dąbrowski go swoją *polentą* nazywał. Wkrótce ten żart poufały narobił biedy, niechęć bowiem Zabłockiego do szefa batalionu wzbudziła nowo-przybywających oficerów. Raz w kwaterze generała przywitał ich major: Jak się masz, polento! Odpowiedział mu kapitan Hauman, że to od generała znoszą, bo on ich tak z przychylności nazywa, a jego prosząc o to, co do służby należy, żartów żadnych nie przyjmują.

Zabłocki wyzwał go natychmiast; mówią, że Grabiński rozdmuchiwał ogień. Villa Borghezi była miejscem wyznaczonem; Chłopiński sekundował. Zabłocki śmiertelnie ranny kazał mnie do siebie przywołać, prosząc, bym o tem doniósł generałowi, a kolegom powiedział, że ostatnią jego prośbą jest, by się strzegli nienawiści osobistych, pomnąc na święty cel swego zebrania. Wkrótce potem życie skończył; zdawało

— 90 —

się, że krew kipiała w sercu oficerów, tak że generał nie znalazł innego środka uspokojenia, jak Grabińskiego, Haumana i sekundanta Szumlańskiego ze służby oddalić. Żeby zaś nie stracić zdatnych oficerów, przedstawił ich do służby w armii odpływającej do Egiptu, gdzie przyjęci zostali. Nazajutrz i Haumana i Szumlańskiego powszechnie żałować zaczęto, ale oni obrażeni pozostać w legii nie chcieli. Na miejsce Grabińskiego postąpił Sejdritz, co niegdyś w kraju pułkiem Działyńskich dowodził.

Na pogrzebie Zabłockiego mówiłem mowę: łatwa była, bom w niej rozwijał pamiętne jego słowa ostatnie, do zgody i miłości zachęcające; ofiara niechęci leżąca na marach silnie ze mną przemawiała. Pogrzebiony został w ruinach niegdyś świątyni Pokoju. Nie wiem z pewnością, czy generał pomnik mu wystawić kazał, lecz zdaje mi się, że egzystuje. Oprócz uszykowanego wojska mnóstwo ludu włoskiego zbiegło się na ten obrzęd; każdy się słowom przysłuchiwał, jak gdyby język nasz rozumiał, a gdy ich później pytano, com mówił, odpowiadali, że wyrazów nie pojmują, ale czytali w twarzach i dobrze w powtarzaniem imieniu *Marya* zachęcanie do modlitwy wyrozumieli. Upowszechnione o naszej pobożności mniemanie niejednego z nas może od sztyletu ocaliło. Co się tyczy czytania w twarzy, to w istocie Włosi między sobą mówiąc, tyle ruchu fizyognomii nadają, że z niej łatwo myśl wyrozumieć można.

Już się choć w Rzymie znudziło. Generał Dąbrowski wyprawiał do Medyolanu Chamana i majorem legii na miejscu Zabłockiego naznaczył; a że zatwierdzenia od ministra wojny potrzebował, samemu po nie jechać radził. Byłem mu dodany do tej podróży i uprosiłem sobie, żeśmy nowym dla mnie krajem przez Florencyą jechali. On już wiele po święcie jeździł, pięknie po francusku mówił, bo ród jego pochodził z tego kraju i młodość przepędził w wojsku i z Książewiczem

— 91 —

w regimencie fizylierów służył. Lubił mówić i dobrze mówił; podróż była ożywiona wielu powiastkami z jego młodszego wieku. »Znasz Książewicza, — opowiadał mi — jak jest żywy, cóż dopiero, gdy był młody; myśmy razem służyli i w jednej izbie sypiali czas długi. On biegał po mieście i grać nawet lubił, jam był samotny, kochałem się i wierszem klecił; Książewiczowi po śmierci ojca spadł drobny zasób pieniędzy, który mu wiernie macocha odesłała. Zdało mu się, że pohulać może, wlaźł między bywalców,

a ci go oszwalili porządnie; w nocy powraca do domu, kiedy ja przy stoliku piszę i na niego nie zważam, choć się silnym krokiem przechadza. Właściem wtenczas wiersze moje układał; czy to jego wejście, czy moja zła głowa była tego powodem, dość że do ulubionej myśli końcówki mi zabrakło i wyszukiwałem jej, gdy Książewicz czule się na los swój skarżąc coś zamruczał, co mi do ukończenia wiersza wybornie przypadło. Prosiłem go, aby słowa powtórzył. — Dla czego? ostro mnie zapytał. — Boś mi dał końcówkę, której w mej głowie nie znalazłem, alem jej nie dosłuchał dobrze. — Książewicz porywa mnie za ramię, mówiąc: Ty szydzisz z mojego nieszczęścia, mnie do ostatniego zgrano, a ty się naigrawasz jeszcze, przypłacisz za ten żart srogi, bij się ze mną zaraz. — Mimo żeśmy kamracką przez czas długi zachowywali przyjaźń, tłumaczenie łatwe nie było i z trudnością go uspokoić potrafiłem.« Korzystałem ze zrzeczności, by się dowiedzieć o początkach życia generała Książewicza, do którego się namiętnie przywiązałem, a on mi je opowiadał. Ojciec generała był przystojnego majątku obywatel z okolic Mitawy, stracił żonę i pojął drugą, bo matki dla swojego syna potrzebował. Dobrze też trafił, bo mu najczulszą była. Miał wiele rozumu, lecz i nieumiarkowaną spekulacyjną żądzę, rzucił się do towarzystwa asekurujących żeglugę, poszło mu to nieźle z początku i to go zrobiło nieostrożnym; podszedł go oszust, znaczną obiecując korzyść i wziął zabezpieczenie formalne na okręt, którego podobno przewidział zgubę i do niej się przygotował; po zatonięciu

— 92 —

nielitościwym go procesem obarczył i majątek mu zabrał. To w grób wpędziło pierwszą żonę. Potem książę Stanisław Poniatowski będąc w Rydze, szukał człowieka do zarządu dóbr, które miał w Kurlandyi, ale człowieka ze sprytem i znajomością handlu miejscowego. Zalecono mu do tego Książewicza, on go z całą zabrał rodziną i zaraz wpływem swoim syna w korpusie kadetów umieścił. Nie umiał on słowa po polsku i szło mu twardo z początku, lecz pracą przemógł trudności. Potem go porucznikiem u fizylierów zrobiono, co mu także szło twardo, bo twardy był charakter. W czasie pierwszej wojny wziął go był Kościuszko do swojego sztabu, ale to jakoś spełzło bez korzyści, gdyż nazad do regimentu powrócił. Bił się jak lew pod Boruszkowcami, co na niego oko zwróciło; pod Dubienką był użyteczny i do rangi majora podniesiony. Lecz z pierwszą wojną skończoną, gdy wszystkich na ich wracano miejsca i on w dawnej randze do fizylierów powrócił. Kościuszko, co go znał osobiście, kiedy Izidorowi Krasieńskiemu regiment formować polecał, dał mu za podpułkownika Książewicza, a później go Zajączek do swego wezwał sztabu i w czasie bitwy pod Gołkowem wyższe w nim przymioty ocenił. Naczelnik po pobiciu Sierakowskiego generał-majorem go naznaczył i z sukursem wyprawił. »Dalej — kończył Chaman — wiesz lepiej odemnie, bo was niepróżno Wybicki Kastorem i Polluxem nazywa«. Tu opowiadałem mu mój w Wojcieszkowie pobyt i czule macochy i pasierba przywiązanie; on mnie pytał, czy byłem w domu kasztelanów i co tam było tajemniczego, bo on jej rysy co chwila wystrzygał, nawet nie patrząc na swą robotę, a zawsze bardzo podobnie; a ona macochę jego wypiaستowała do śmierci przy sobie. Była to dobra i czuła osoba, a on był ladaco.

Przerwaliśmy rozmowę, bośmy nad jezioro Bolsena jechali, gdzie sterczące skały całe złożone z lawy o bytności dawnego wulkanu świadczyły; towarzysz podróży opowiadał mi powiastkę ludu, który wierzy, że na niem łabędzie śpiewające słyszano, a wkrótce widzieliśmy Monte-Fiascone, gdzie

— 93 —

wino wyborne, i mój pułkownik posilić się niem pragnął. Zanim nam coś w oberży przygotowano, zaprowadził mnie pod okazały pomnik; był to grób jednego z biskupów niemieckich, co miał zwyczaj nakazywać gońcowi, żeby mu tam kwaterę wybierał, gdzieby najlepsze wino upatrzył, a na znak zostawiał na drzwiach oberży *Est*, aby tam biskup przystanek sobie naznaczył. Ten wybór słusznie padł na Monte-Fiascone, biskup trochę sobie pozwolił i tu życie skończył, a ten, co go pomnikiem obdarzył, napisał na nim:

Est. Est. Est.

Propter minium Est, Dominus mens mortuus est.

Takie przynajmniej jest tłumaczenie napisu.

Z tego miejsca dążyliśmy do Sienny, do której listy polecająceśmy mieli. Noc całą byliśmy w drodze, a z brzaskiem dnia letniego w miastośmy wjeżdżali, bośmy się papieżowi Piusowi Braschi w tym dniu prezentować pragnęli. Jakież nas ogarnęło zdziwienie, gdy o tak ранней godzinie ujrzeliśmy tłumy ludu uganiające się po ulicach; zaledwie okryte kobiety, każda w rękę z tem, co pochwyć mogła na prędce, mężczyźni, jak który z łóżka wyskoczył. Wołaliśmy na pocztyliona, aby się wstrzymał, on blisko znał

oberżę i do niej cwałem popędził. Z niej wyszedł spokojny Szwajcar i zagadał do nas po francusku: zastanowiło nas, żeśmy go pierwszego nie przejętego trwogą ujrzeli. Opowiedział nam, że okropne trzęsienie ziemi przed godziną wstrząsnęło gmachami miasta; rysy ich zapowiadają upadek, jeśli się, jak to bywa, jeszcze raz powtórzy. Niedawno, dodał, wyniesiono papieża na ten plac wielki przed kościół świętego Augustyna; patrzcie, jak go lud okolił i płacze. — Dlaczegoż tyś jeden tak spokojny? spytałyśmy.

— Bo wierzę w przeznaczenie, odpowiedział i spytał zaraz, czy śniadanie mieć chcemy. Bardzo się ono nam przydało. Poszliśmy tymczasem na plac, gdzie na krześle siedział Ojciec święty, aby go zdała przynajmniej widzieć. Lecz wtem

— 94 —

nowy popłoch: spostrzeżono ogromną szczelinę, jaką zrządziło wstrząśnienie na bardzo wysokiej wieży, niegdyś w czasie domowych zatargów do obrony miejsca służącej. Pobożni naprzód o papieżu pomyśleli, bo był w niedalekiej od wieży odległości; nie wiedzano, gdzieby go schronić. Ktoś zapewnił, że dom Galeranich nienaruszony, i tam go mimo nas przenieśli. Był wzrostu znacznego i dosyć otyły; z trudnością obracał głowę, lud jednak błogosławił ciągle; twarz późny już wiek oznaczała, ale rysy jej były spokojne. Zapewne nie o przeznaczeniu dumał, ale w litości Najwyższego miał zaufanie. Już też i każdy ku domowi dążył ocenić straty i zobaczyć, czy w nim bezpiecznie przebywać może; myśmy do oberży wrócili. Przypadkiem trafiło się, żeśmy właśnie listy polecające do Galeranich mieli, aby oni nam prezentację u Ojca świętego wyjednali; odesłaliśmy je natychmiast, a samiśmy ledwie mundury przywdziewszy, wkrótce odebrali odpowiedź, że nam się papież widzieć dozwala, ale się spieszyć należy, bo się natychmiast do Acertosa wybiera; korzystaliśmy z tego i zaraz nas do niego wpuszczono. Mówił on z żalem, iż tego przynajmniej nigdy pomyśleć nie mógł, aby Polacy, których ojcowie żyli w miłości Maryi, co Jej tyle postavili świątyń, o których

i teraz go zapewniano, że w wierze katolickiej żyją i władzę głowy Kościoła uznają: mieli z tak daleka lecieć, o broń prosić i walczyć z Rzymem, który ich tyle razy wspierał.....

Jakby urok jaki, spadły Ojca świętego słowa na nas; przez część podróży żaden nie przemówił i słowa te tylko powtarzały się w uszach naszych, bośmy nie wiedzieli, jak je tłómaczyć sobie: czy były kłętwą, czy błogosławieństwem zawieszonem nad naszą głową?

Jużeśmy we Florencyi stanęli, a mnie się wynijść nie chciało, ale nas zawołano. Manfredini, minister księcia Toskanii, chciał widzieć się i pomówić z nami. Cóż bo to za rząd patryarchalny, jaka ludzkość, jakie wyrozumienie swego położenia! Szliśmy, jak do ministra, ale on siedział przy bramie pałacu swego, a tysiące ludu go okalało. Godził

— 95 —

skłóconych, opatrywał nieszczęśliwych, dawał rady i pomocy artystom, z uczonymi rozmawiał, bez okazałości, bez próżnego blasku pracując dla dobra kraju. Gdyśmy przyszli, powitał nas poufale, przeprosił, że nas utrudzał i jak ze znajomymi rozmawiać począł. — Wyście stali w Fanno w domu moim, — mówił — jest to moja ojczyzna; wiem, co was po świecie goni, uczucie piękne, ale je zaspokoić trudno. Byłem na wiedeńskim dworze w czasie podziału. Gdyście w Rzymie stali, miałem was na oku, bo nie wiecie, co mówiono? mówiono, że chcecie sobie zdobywać kraj nowy, nową ojczyznę, straszono Toskanią waszym napadem; śmiałem się z tego. Toskania nadto jest pięknym i ukochanym nam krajem, byśmy ją obcym oddali. Wszystko to przeszło, mówim otwarcie, jak przyjaciele. Powiedzcie mi, czy kiedy ta myśl przeszła wam przez głowę?

— Nadtośmy słabi, żeśmy zdobywcami krajów być chcieli; a swój kochamy tak, że gdyby to uczucie wymazać z serc żołnierskich, nieby nas w służbie zatrzymać nie zdołało.

— I ja tak myślałem; cieszę się, że się nie mylił. Włochom zawsze się snują ich wrażenia, innych mieć nie umieją; we wszystkich widzą swych dawnych wodzów, co z najemnym żołnierzem wojując, księstwa postwarzali. Zapominają, że to byli knechtowie najemni; a wy wzdychacie do waszego kraju, milszego nad nasze wysadzone pałacami.

Nie bez wrażenia opuściliśmy ministra; a Chaman wyrzekł z ostrożnością, że do Korfu jeździł jeszcze przed wejściem w służbę, bo się to Francuzom marzyło, że nas morzem do kraju zbliżą. Dąbrowski jednak tej myśli nie przyjął, gdy mu ją powierzono. Powiedziałem, że jednak Zawadzki takąż samą odbywał podróż.

To było dlatego tylko, żeby się nie sprzeciwiać marzeniom starszych. Wiedziałem, że Chaman był powiernikiem Dąbrowskiego w początkach zakładania legij, a jako Francuz rodem i język swój doskonale posiadający, do korespondencji był użyty. Każde jego słowo utkwilo mi w pamięci

— 96 —

i przetrwało w niej przez lat czterdzieści kilka, gdy te wspomnienia pisać zacząłem. Mówił mi w ciągu rozmowy: »Jakież to towarzyszyły trudności w uskutecznieniu myśli, którą powziął Dąbrowski: utworzenia zakładu, do którego by się mogli ściągać rozproszeni ziomkowie. Myśl ta od samego upadku rewolucyi poczęła się rozwijać w głowie jego i w tym celu napisawszy rozprawę o wyprawach swoich, chciał w niej okazać obraz swoich zdolności. Że ją po niemiecku napisał, chętnie od wojskowych czytana była; dawszy się już poznać, co mu się udało, chciał korzystać z nieporozumienia, jakie przed spełnieniem rozbioru między dwoma mocarstwami powstawało. Suwarow był go przy sobie zatrzymał w Warszawie, a gdy generałowie pruscy przyjeżdżali do niego, sadzał Dąbrowskiego wyżej od nich, mówiąc: To mu się należy, boć był waszym zwycięscą. Generałowie pruscy poznawszy się z nim, radzić mu poczęli, żeby do Berlina jechał; a on im myśl poddał, że formując pod swą opieką wojsko krajowe, ogólną przychylność mieliby za sobą. Uważano to na chwilę za podobne do uskutecznienia. Pojechał Dąbrowski do Berlina, łudzono go dość długo, nareszcie odprawiono z niczem. Śmiała myśl jego doradzała mu puścić się do Francji; odległość stała na przeszkodzie projektom. Lecz gdy się do generała Hoche dostał, oprócz politycznych własnych powodów wskazał mu tę korzyść dla Francji, że uformowanie legij mogło w wojsku austriackim wywołać znaczną dezercyę, mianowicie wszystkich gwałtem zaciągniętych z Galicyi, którzyby woleli służyć razem z krajowcami, mówić własnym językiem w obozie, koszarach i służbie, nie tak srogiej ulegać karność i współuczestniczyć w zwycięstwach armii francuskiej. Hoche, który zrozumiał to przedsięwzięcie, chciał je w Niemczech rozwinąć, bo w nich wojował; lecz zarazem widział trudności, jakie miał spotkać w rządzie i opinii, we Francji bowiem samo narodowe wojsko mieć chciano.

Zdał więc spełnienie tej myśli na Bonapartego, który nowe we Włoszech tworząc państwa, mógł ten ciężar na ich

— 97 —

koszt złożyć, a oneby go łatwiej przyjęły, bo Włosi wstręt do służby wojskowej czują i do żołnierza obcego od wieków przywykli. Opatrzywszy Dąbrowskiego listem, Hoche wyprawił go do Bonapartego. Stanęliśmy na miejscu, mówił Chaman dalej, młody bohater pojął i ocenił myśl głęboką, w której przyszłości widział nasiona, lecz chciał niedługiego czasu do ogłoszenia swej woli. Zniósł się zapewne z władzami, może i dyktoryat chciał o tem uwiadomić, a do nas często Sułkowskiego przysyłał. Sułkowski był człowiekiem wyższych pojęć i zdolności, obszernej nauki, słowem do ludzi znamienitych swego wieku liczyć się mogący; mówiono przecież, że uczucie przywiązania do kraju oziębło w nim trochę. Ten krótko wystawiał Dąbrowskiemu przykładami z dziejów, jak każde przedsięwzięcie nasze z zapalem rozpoczęte, niknie wytrwałości brakiem; co tu tem bardziej miejsce mieć musiało, bo w obcym i odległym kraju skąd się zasiląć, by trwać dłużej, skąd mieć oficerów, coby przy wojskowych francuskich cieniem tylko nie byli i szacunkiem wyjednanym dla siebie przychylność okazaną ugruntowali? Lecz Dąbrowski wytrwały w swej myśli, znalazł na to odpowiedź: że między zabranymi Austryakami znajdziemy współziomków, że jest ich też dosyć w służbie książąt włoskich, że w Polsce też nie ma spokoju i każdy oficer będzie się starał do nas dostać. Kazał wygotować swoje do rządu włoskiego odniesienie, mówił nawet o formie układów i podyktował legie auxyliarne Rzeczypospolitej cysalpińskiej. Przyjęto projekt wewnętrznej organizacyi, nas do Mediolanu wyprawiono: toczyły się układy, a wieść o nich rozbiegła się po świecie. Wielu oficerów, co we Francji napróżno służby szukali, przylecieli do Włoch, z nich wybrano umocowanych rozkazami, którzy po księstwach się rozbiegli. Stawiono im książęce wojska, wzywali krajowców, a każdy chętnie z szeregów się oddał i z nimi się łączył. Tak czarodziejską ręką stworzony powstał batalion grenadierów i ubrany, zbrojny pokazał się francuskiej armii. Lud to był olbrzymi, bo werbownicy wybierali ich z grenadierów

— 98 —

austryackich po większej części. Pierwsze lody były przełamane; nie tylko uwierzono w legie nasze, ale nawet przesadzano w nadziejach: dezercya w wojsku austriackiem się obudziła, wszyscy biegli ku nam i co się Francuzom podobało, w boju nawet wołali, że są Polacy, aby ich nie zabijano.

Nie myśl jednak, mówił Chaman, by tak dobry początek przyszedł Dąbrowskiemu bez wielkich przykrości; przygotowano dla niego potwarz szczególną. Przejmują Francuzi poczty, nie przebacząc i ministeryalnemu pismom; jeden z generałów łapie przechodzącą do ministra jednego z potężnych, lecz w wojnie jeszcze nie będących dworów depeszę i otwiera ją. Dziwne, lecz w całej formie urzędowe znajduje polecenie: uda się do Wpana generał Dąbrowski o pieniężną pomoc; na wielkość jej zważać nie masz ani przed kosztami w dosłaniu nie wzdrygać się, ale spełń najściślej i sekret zachowaj, bo taka jest wola monarsza. Generał wykrzyknął: zdrajcę odkryłem! i pośpieszył do głównej kwatery; tam wprzód o tem zebrany generałom opowiedział, którzy się wszyscy potężnie wzruszyli. Bonaparte spokojnie depeszę przeczytał i rzekł do przynoszącego ją: Bardzo to wszystko niezręcznie sklecone; gdyby tak było w istocie, depesza nie szłaby przez posterunek Wpana, bo wiedzą, że ich pieczęci łamiesz. Wrażenie jednak pozostało i każdy go miał ochotę podejrzewać. Kiedy pod Leoben zawieszenie broni stanęło, przyjechał do nas Zajączek. Generał z uszanowaniem go przyjął i wezwał do obejrzenia żołnierza. Nie chciał Zajączek, by dla niego występowano i w spokojnych koszarach pragnął tylko zobaczyć wiarusów, a dopytać się u nich o starych towarzyszy broni. Udał się tam sam z oficerem niższej

rangi. Żołnierz leżał w obszernym kościele, a na jego marmurowej posadzce rosł sobie i kaszę warzył; dla przybywających zaś pozostał obojętny, bo często ich widywał. Oficer towarzyszący, chcąc wydobyć hura! dla generała, rzekł do żołnierzy: Wiecież wy wiara, kogo przed sobą macie? jest to pierwszy nasz po Kościuszcze generał, zowie się Zajączek;

— 99 —

zapewne go pamiętacie, którzyście pod nim służyli, zbierzcie się do niego: jedzie od Bonapartego i z wami widzieć się pragnął.

Ta przemowa przeciwny i niespodziewany zrobiła skutek: zamilkli wszyscy, a na dalsze wezwanie ktoś jeszcze zamruczał: Pięknie on obronił Pragę, może nam go dać myślicie? ale my się bez niego obejdziemy; z Dąbrowskiegośmy kontenci i innego nie chcemy. Odgłos ten powiększał się coraz śmieiej, a generał powrócił milczący i zaszępioty. A że u nas nic po prostu, jak jest, wiedzieć nie chcą, puszczo no wieść, że Brzechwa, co był tego dnia w koszarach przy nagładzie, taką generałowi przygotował scenę. Wrażenie

tej chwili uczyniło generała Zajączka nieprzychylnym dla nas i ile razy jako dowódca w służbie francuskiej stykał się z nami, nieraż był, gdy go generałem polskim nazywano.

Dojechalśmy w końcu do Medyolanu. Oprócz własnego miał sobie Chaman powierzone interesa legij, którym minister oddał się sumiennie i naradzały się z nim osoby rządowe; pisałem jego zdanie sprawy. Wszystkim się zdawało, że do zupełnego ukończenia formacji batalionów i artylerii przydłuższa jego bytność była koniecznie potrzebną. Dzień zbiegał na obchodzie osobliwości miasta, a dla mnie wieczór schodził na pisanie, bo po trudzie dziennym włożyć mi się nie chciało. Chaman miał tu stosunki.

Raz już utrudzony spocząć chciałem, gdy Chaman powrócił i śmiechem mnie wielkim przebudził; spytałem go o przyczynę. Miał mopsa bardzo swawolnego, który za nim wszędzie wybiegał, tak że go zawrócić już nie mógł; tego dnia wyszedł w mundurze i ciasnym kapeluszu stosowanym na głowie. Gdy już do salonu znajomych sobie miał wchodzić, a widząc drzwi otwierające się, chciał kapelusz co prędzej zdjąć, sprzączka mu utrzymująca perukę pękła, peruka spadła na ziemię, a swawolny mops pochwyciwszy ją, wleciał do salonu, nim mu ją odebrać zdołał. Wejść mu już wtedy wypadło i samemu się wytłomaczyć, co tem bardziej

— 100 —

rozśmieszyło wszystkich, że go nikt z początku nie poznał, bo o łysinie jego nie wiadano. Choć poważniejszą poczynano rozmowę, kobiety ciągle się śmiały, a księżna Lamertini śmiech swój tłómacząc opowiadała, że nie z Chamana już, ale z Wielohorskiego się śmieje. Wielohorski w czasie, gdy przypodobać jej się starał, choć młody jeszcze, mocno siwieć począł; księżna często żartowała z jego szpakowatych włosów, a osobliwie z siwiejącego wąsa przy młodej twarzy. Będzie on czarny, jeśli się tak księżnie podoba, rzekł Wielohorski i nazajutrz udał się do jednego szarlatana o czarną pomadę czy wodę, coby włos siwy ubarwić mogła na długo. Ten dał mu kosmetyk jakiś, który twarz poczerniwszy, do włosów nie przystał, i wąż na dzień hebanowem został rudy, a biedny generał w wielkim był kłopotcie, by choć do dawnego siwego powrócić. Śmiano się naówczas z nieboraka, lecz był to człowiek tak dobrego towarzystwa, tak wymowny i dowcipny, że go księżna zapomnieć nie mogła pomimo śmieszności.

Spiesznie powróciliśmy do Rzymu; skarb cysalpiński był wycieńczony, a Francuzi wybraną kontrybucyę na wyprawę Bonapartego obrócili; nas nie płacono, żołnierz sarkał potrochu. Dąbrowski chciał zaradzić temu, wiedząc, że były ogromne zbiory zboża na gruntach wyrobionych z pod dawnych błot Pontyńskich i że tam po talarze pracującym dziennie płacono; chciał z kolei wszystkich tam dopuścić żołnierzy naszych do wiejskich robót wprawnych, aby się nieco zapomogli. To mu się zdawało być arcydziełem administracyi, lecz wcale inaczej okazał skutek. Łakomy tak znacznego zarobku żołnierz nie dbał na południowe skwary, nużył się przesiloną pracą i gorączki go zmiatać poczęły. Myślano, że przyczyną tego był brak kwasów, do których Polacy przywykli, nakupiono kapusty i buraków i kwaszono je w olbrzymich kadziach; poczęto otwierając umierających, śledzić przyczyn śmierci i w żołądkach razem z kapustą i kwasami znaleziono gangrenę. Hałas w mieście, a Dąbrowskiego nieprzyjaciele Bóg wie co gadać poczęli. Ściągnięto

— 101 —

żołnierza do koszar, gdzie znowu zdrowi narzekali, że sobie nic zarobić nie mogli.

Jedno tu szczególne zdarzenie wspomnieć nie zawadzi. Przyjechał do Rzymu wprost z Litwy Chack....cz, człek zepsuty, lecz wyższych zdolności; zapomógłszy się w Wilnie znaczniejszą w karty wygraną, chciał jej za granicą użyć. Jasiński w czasie wileńskiego powstania skutecznie go tam używał, podpułkownikiem i adjutantem swoim mianował. Gdy w Wilnie K..... wieszano, on do Warszawy z raportem go wysłał; tu Chac..... między ludem się kręcił, podburzał, zajątrzał i pytał: »Czy to wam konopi brakuje? to ich Litwa dostawi«, przyczynił się do zamieszek warszawskich. Jego przybycie, zamożność przeraziły Dąbrowskiego, może nawet większe wzbudziły podejrzenia; od służby zręcznie się go starano pozbyć tem, że stosownego dla niego nie było miejsca, bo napływ oficerów był wielki. Chacwkrótce powyszukiwał znajomych, co z nim w Polsce grywali,

między nimi pułkownika Au, którego dość bezwstydnie ojcem swoim ogłaszał, bo się pozbył wszelkich uczuć skromności i przyzwoitości. Au miał tak skromną i łagodną postać, że go prędzej za naczelnika mnichów, niżli przewodnika graczków uważać było można. Chack..... w dni kilka wyrozumiał, jakie kto miał myśli, pojął, że przybyli bez miejsca jenerałowie pragnęli pokazać się światu rzymskiemu jako możni polscy obywatele. Sam potrzebował także do większego dobrać się świata, by bogatszych w grze obłowić. Przekładał więc Grabowskiemu, że tu Polaków za lichotę mają i że on to uwadczające mniemanie zniszczyć może, otworzywszy dom i zbratawszy się z jenerałami armii i książętami Rzymu, że Dąbrowski i Książewicz pójdą na dół, bo nie ma patrzeć na kogo, a jego wezwą na czoło legij, jako dostatniego, a starszego w kraju jenerała. Ta myśl rozeszła się i między naszymi, bo ją na dobrych podawano obiadach. Grabowski z początku szlachetną ostrożność pokazywał, choć obraz ten okazały chęćce popularności jego pochlebiać się zdawał. Chack..... w oczach jego momentu tylko słabości upatrywał;

— 102 —

mówił mu: Ty się bronisz jenerale, myśląc, że gdy koszt na twą okazałość wyłożę, korzystać z tego zapragnę; daję ci więc słowo honoru, że karty w rękę nie wezmę; na zebraniu u siebie pozwól mi pierwszą urządzić próbę, a ja wyłożę na nią, bo mam z czego.

Propozycja przyjęta została. Jenerał Grabowski stał w pałacu książąt Borghesich; pozwolono mu świetnych pokojów, on zaprasza do siebie znakomitych mieszkańców Rzymu, jenerałowie francuscy nie odmawiają także zaproszeń. Młodzież checiwa zabawy sama się nastęrcza, kobiety sprzyjają zebraniu, bo go już dawno nie było, znakomity cudzoziemiec możny w swym kraju, wysypuje hojnie zapasy; każdemu to miło, wielu nawet uważa za środek zbratania się z narodem otaczającym. Chack..... nie szczędzi grosza, a w Rzymie nie zbywa na środkach, by to pięknie i dobrze urządzić. Z naszej młodzieży ci, co w kraju używali i używać mogli, kupią się do towarzystwa, w którym pierwsze znajdują osoby, a pod hasłem gospodarza i z panem Ch..... się bratają. Ten dobry kamrat, człek dowcipny, wesoły, umie pogodzić uprzejmość dworaka i trafność gospodarskiego pomocnika z uszanowaniem dla wyższych, z rubaszością, która oswaja młodzież. Dąbrowskiego tam nie ma; zatrudniony w domu, może nawet przeczuwa, na co się to kroi; Książewicz z żołnierzem w koszarach albo manewrów swoich oficerów uczy — to ludzie nietowarzyscy wcale i tak też o nich na balu mówią. Jenerał Grabowski najwięcej gry się boi, lecz trudno parę stolików nie zastawić dla tych, co nie tańczą; sam nawet jenerałów z sobą do gry prosi, ale się coraz ogląda, co tam z drugimi się dzieje; nie widąc przy nich Chack....., rad już, że mu dotrzymał słowa. Większa część nocy na ochoczej przeszła zabawie i już się starsi cofać pragną; jenerałowie grę porzucili, młodzież w swoje wstępując prawa, trochę hulać zaczyna; ci, co do gry przywykli, z ukosa patrzą na porzucone karty, które dotąd do poważnej i umiarkowanej służyły zabawy. Pułkownik Au okiem ich tylko mierzy, a gdy któryś założył banczek, skromnie

— 103 —

się do stolika zbliża. Młodzież się zbiega, bank rozchwytny, a że on najwięcej wygrał, przeto na niego wypada kolej; do wygranej dorzuca złotą, łatwy więc rewanż. Każdy się odegrać pragnie, lecz nie tak łatwa wygrana; wtem i drugi stolik nie próżnuje, już przy nim Mirosławski siedzi. Bal się ukończył, rozeszły się damy i gospodarz opuścił salon. Rano mu dopiero powiedziano, że zgrano rzymską młodzież i wielu odeszło niechętnych, bo jakieś w nich podejrzenie utkwilo. Jenerał Chack.....a przywołuje; on nie grał, cóż mu powiedzieć? — Ale ci panowie, — rzecze — może to wpana towarzysze? — Oni do gry gotowej przyszli, odparł Chack..... — Uniósł się jenerał i coś mu niegrzecznego powiedział. Chack....., do którego właśnie po zapłatę przychodzili kupcy, skończywszy rozrachunki, które trzysta dukatów wynosiły, jenerałowi je przedstawił do zaspokojenia. Hałas za podejście, ale kapitulować było potrzeba; a pan Ch..... grę za warunek położył. Grabowski nie chciał mu na to swego pożyczać imienia i tak się skończyły bale; gra do Chack..... się przeniosła i na amatorach nie zbywało.

Ważniejsze zatrudnienia spadły na jenerałów. Od Terracino do Albano prawie zuchwali mieszkańcy wzięli się do broni; przebycie błot Pontyńskich niepodobnem się stawało, wysłanym nawet do rozproszenia powstańców oddziałom naszym stawiono czoło. Pierwszą ofiarą oprócz żołnierza padł oficer od artylerji Podoski, w rewolucji Kościuszkowskiej słynny. Marsz był w zasadzkach cały, obok kanałów murowanej Pontyńskiej drogi błota i chrósty kryły zbuntowanych, którzy idących, razili swemi postrzałami. Wysłano kilka kompanii do Velletri, a Terracino szturmem nawet zdobywać musiano; choć nie bez wielkiej szkody, rzecz się oczyściła z większego, lecz lada nieugaszona iskra nowy rozpoczynała pożar. Brak sił chciano zastąpić postrachem; kara śmierci na każdego, którego schwytano z bronią w rękę, na każdego spiskowego. Stąd naturalnie weszły nadużycia. Objężdżając posterunki w Velletri, gdzie stał pan porucznik

— 104 —

Wilner, zastaję go zajętego bardzo; pytam, a on na sąd wojenny się zbiera i do mnie poważnie mówi:

— Od dni kilku nie mam spokoju, bo mi po nocach dzwonią; posyłałem do arcybiskupa; odpowiedział mi, że to są dni, w których corocznie obchód poświęcenia kościoła okazale się i uroczyscie odbywa. Nie czekałem, aż się Baurzy zgromadzą; dałem księdzu wartę, bo on zapewne myśli o powstaniu, a jak mu w łeb strzelę, to się ukończy wszystko. — Bój się Boga, zawołałem, jakże to ośmielasz się spełnić bez wyższej władzy? — Ta władza przy mnie. — Gdzie sąd? — Ja i mój feldfebel jużemy go złożyli. — A to i ja do niego należę, bo tu po służbie przyjechałem i zaraz do Rzymu posyłam, a odpowiedzialność na siebie biorę. — Jakoż posłałem zaraz i przysłało oficera francuskiego, adjutanta od głównego sztabu, mnie z nim połączywszy. Rzecz się wyjaśniła i warty od biskupa ściągniono. Pan Wilner był to dragon z regimentu Mirowskich; w braku początkowym oficerem zrobiony, zresztą służbista, lecz na mieszkańców zawzięty: takich było wielu między Francuzami nawet.

Następował dzień świętych Piotra i Pawła; jenerał Macdonald objął był komendę, a jenerała Championet jako głównokomenderującego co chwila się spodziewano, bo się coś na wojnę zabierało. Jenerał Macdonald zapragnął widzieć świetność dnia tego i odmówić mu nie śmiano. Najpierwszej tylko brakowało mu ozdoby, bo nie było papieża ani tego ożywczego ducha, który w tym dniu mieszkańców Rzymu unosi. Iluminacja tutejsza jest wspaniałością swą całkiem odrębna i podobnej w żadnym z wielkich miast Europy nie widziałem; przysposobienia do niej powstać musiały, zdaje się, z samym kościołem świętego Piotra. Gdzież użyć można kilkuset ludzi dla zrobienia czarodziejskiego uderzającego efektu, gdy nagle, w mgnieniu oka prawie, zapalają się światła tysiące wielkością i kolorem różnych? Wszystkie linie tej olbrzymiej budowy silnemi naprzód lampami się oświetlają. W przemianie ogni drobne, a niezliczone lampy każdy gzymsik, każdą ozdobę architektoniczną w najdrobniejszych

— 105 —

załamaniach jakby nicią światła obwodzą; światła te w wodotryskach bliskich i rozbitych w parę wodach czarodziejsko błyszczą, wspaniały tworząc widok, na który poglądając, ledwie mu wierzy zdumione oko. W trzeciej zmianie lecący piorunem ogień na wierzch zamku świętego Anioła zapala razem fejerwerk, z którego rac tysiące spadają w wody Tybru i tonąc w nim gasną. Most wielkich rozmiarów wiodący do zamku, kolosalnymi ozdobiony posągami, około których najznakomitsi mistrze pracowali, jaśniej nagle jakby w świetle dnia najpiękniejszego i powiększa obraz uroczy. Słusznie iluminację świętego Piotra podróźni liczą do najwspanialszych widowisk; miasto i jego ludność wylewająca się na ulice, ruch powszechny do ożywienia przyczyniający się, nieporównanem je czynią.

Dla nas musiało i to być na uwadze, czy się z tego natłoku i ruchu zamieszanie jakie nie wykluje; pod pozorem manewrów różnych bataliony były ciągle pod bronią, a najczęściej manewrowały na placu świętego Piotra, aby lud o przytomności wojsk pamiętał i burzyć się nie śmiał. Część kraju, co od Terracino się rozciągała, ciągle była w poruszeniu. W końcu zbliża się wojna, już i wojska francuskie ze środka Włoch nadchodzić zaczynają, lecz nie przez Rzym, ale potrochu od strony Abruzzi idą; zamek świętego Anioła francuskim garnizonem obsadzony, nasz jeden tylko batalion pozostaje na miejscu, dwa do Terracino wychodzą. Właśnie generał Dąbrowski był wtedy do Medyolanu przywołany, a bataliony przy Książewiczu zostały, kiedy go Macdonald do siebie przywołał i rzekł:

— Mój jenerale, miło mi powinszować wam ducha, jaki między wami panuje; wyszedł dopiero odemnie oficer nieumieszczony jeszcze, ma dowody, że podpułkownikiem służył, chce przecież jako podporucznik z nami kampanią robić, prosi tylko, by go natychmiast do służby wprowadzić, a on jeszcze kompanią jedną własnym kosztem odzieje. Jak można najprędzej, bo czasu do tracenia nie mamy, proszę jenerała umieścić go natychmiast.

— 106 —

Tak się tedy wejście Chack..... do legionów odbyło; ruch wielki w mieście, krawcy szyją mundury, a zazdrośni żołnierze głośno wołają: Czemu nam Dąbrowski takich z kraju nie wypisuje oficerów, a nie tak jak nasi gołych, od których się zapomóc ani nadziei.

W Rzymie tymczasem rozwija się wyraźniej niechęć podburzonych mieszkańców, tłumy się zbierają, krzyczą, ale bezbronni. Dnia tego byłem właśnie na pożegnaniu u Duca d'Altamis, komendanta gwardyi narodowej sekcji Brutusa, blisko placu Navonna, gdzie obok i moja mieszkała wdowa; wracałem sam jeden przez plac del Governo zwany, gdy mnie mnóstwo pospólstwa otoczyło, wrzeszcząc: Uciekaj łotrze, bo zginiesz! Z okna mojej damy widać było, co się na placu dzieje, a w niem ona stała; pobiegła zaraz do Duca, ten do swej gwardyi pośpieszył, wdowa na plac wybiegła. Widziałem, że bylebym się ruszył, w ucieczce stracę życie, stałem więc spokojnie i zacząłem mówić do ludu. Z drugiej strony wdowa wołała: To chrześcianin, jeśli się go tkniecie, biada waszym domom, bo je Francuzi zniszczą! Przetrwałem burzę, gdy d'Altamis z wartą z placu nadbiegł i ze swej strony do ludu o spokojność zawołał, a tak ocalonego wypuścił bocznemi uliczkami aż do kapitołińskiego pałacu. Sądziłem się bezpiecznym, gdy widzę, że nasi pod bronią, i krzyczą, że ognia dadzą. Wśród tej wrzawy wsunąłem się jakoś do swoich i zastałem rozkaz wychodzenia z miasta do obozu: Szliśmy jak w boju w czworobok sformowani, otaczającej nas mniejszej sile nadstawiając bagnety,

większą ogniem strasząc. Ściany ulic były nam obroną, bo pałace zamknęły się spokojnie. Zuchwalsi mieszkańcy uprzedzili nas wyjściem z miasta i od bram się w masie stawili, ale strzałów nie było; naczelnicy tego poruszenia nie chcieli się bić z nami, ale tylko usprawiedliwić się żądali przed nadchodzącymi Neapolitańczykami, że i oni coś ze swej strony zrobili także. Zawiedli się, bo z bramy uderzyła na nich kawaleria ostrożnie z obozu podesłana, a myśmy ich bagnietami rozpędziwszy, cali z Rzymu wyszli. Nie długo

— 107 —

staliśmy w obozie, bo przeciwko kilku tysiącom naszych ośmdziesiąt tysięcy Neapolitańczyków szło pod wodzą samego króla, któremu dodany był generał Mack od dworu wiedeńskiego dla pilnowania, aby ogólny plan kampanii tej dochowany został. Oni już byli przeszli granice, lecz radzi nie zaczynać boju, wzywali do ewakuacji Rzymu, jako kraju sąsiedniego państwu neapolitańskiemu, który oni wojskiem swem obsadzić chcieli. Słabi liczbą Francuzi nie mieli ochoty ryzykować potyczki, posiłków z armii włoskiej nie mogli się rychło spodziewać i kapitulacja została podpisana. Francuzi na czas niedługi zatrzymać mieli zamek świętego Anioła, tam szpitale swe i składy zostawiając, Rzym zaś natychmiast ewakuować obowiązali się. Rozkazy natychmiast nam wydano iść przez Rzym i nad Tybrem pod Civita Castellana wziąć pozycję, Francuzi poza Rzymem do tegoż samego dążyli miejsca. Weszliśmy wieczorem w mury miasta, nie zaglądając nawet do własnych kwater, ciągnęliśmy na plac Navonna zwany, z którego z zamkiem świętego Anioła mieliśmy komunikację. Miasto całe krzyczało na wchodzących, lecz byli przy nas generałowie neapolitańscy, do wzięcia w posiadanie Rzymu wyznaczeni. Generał Książewicz zajął kwaterę w pałacu wdowy, a myśmy przez noc całą wśród zamieszania między ludem trwającego czuwali nad bezpieczeństwem własnem lub zbierali prowizye potrzebne do wygody.

Już do Monterossi dochodząc widzieliśmy, że generał Championet główną bierze komendę, Kellerman na czele brygady przybywa i ze dwudziestu tysiącami wojska francuskiego zbliża się do obozu naszego; dnia drugiego pod tem przyjaznem godłem obóz nasz stał się weselszym; my pierwsi doszliśmy do niego. Książewicz potrzebę zmiany uważał, Macdonald słuchał przedstawienia, za słuszne uwagi jego uznał i wykonanie ich mu powierzył. Prawe jego skrzydło ku Toskanii obrócono, lewe miały przychodzące zajmować wojska, nam zaś dostał się środek do trzymania. Ledwieśmy się doczekali zbliżającego się wojska, kiedy się już rzeczy

— 108 —

zmieniły. Kellerman z dziesięciu tysiącami ludzi wstecz ku Rzymowi podchodzi, królewskie wojska w marszu pod Monterossi spotyka, rozbija awangardę, a nie zapuszczając się dalej, do obozu powraca, na który z trzech stron nieprzyjacieli wymierzył atak. Jakoż z prawego skrzydła Chevalier de Saxe od Toskanii przychodzi i już się naszych posterunków dotyka. Championet do naszego przyjeżdża obozu i do Książewicza mówi:

— Nie będę wchodził w rozporządzenie i to Wćpanu pozostawiam. Masz zrobić, jak generał Kellerman, pójść, pobić i nazad powrócić; lecz nas i z lewego skrzydła obejść pragną.

Z jednym batalionem piechoty, szwadronem jazdy i dwoma armatami lecimy pod Falari, gdzie ośmiotysięczny obóz w kolumnie jednej kilkunastu armatami mocny, obejść nas pragnie; przeznaczeniem jego było nas okolić. Z tyłu Książewicz w

jeden szereg batalion stanowi, na skrzydle kawalerią, z lewego boku armatki. Jeszcze nieprzyjaciel się nie rozwinął, aż go chmura tyralierów natarczywie otacza; natenczas dowodzący kolumnę swą rozwinąć i armaty w czynność wprawić zamierza. Książewicz tyralierami dowodząc zagrzewa, a żołnierz neapolitański słabego ducha pod tak bliskimi strzałami rozwinąć się nie umie. Szuka w nim Chevalier de Saxe śmielszych i tyralierów usiłuje rozproszyć. Na czele szwadronu leci Książewicz, bo to była chwila stanowcza przechylającego się na jedne strony zwycięstwa; jeden z tyralierów naszych przychodzi mu w pomoc, kula jego Chevalier de Saxe'a rani, on spada z konia, który sam ku nam ucieka, a wojsko strwożone, co w nim pokładało nadzieję, łamie się i dzieli. Artyleria ucieka drogą, jaką przysła, bo ją nie ma gonić komu; piechota zbija się niespokojnie w wiry i za nią pod zasłoną swej kawalerii się cofa. My mając jeszcze w tym dniu do walczenia, uporządkowani do naszego obozu wracamy. Cel dopięty, rozkaz spełniony i dotrzymane słowo ściągnęły uwagę francuskich

— 109 —

jenerałów i następnie mniemanie dobre o Książewiczu spowodowały.

Został jeszcze nieporażony nieprzyjaciel w tyle naszym pod Maliano, który nawet napadł na złożony tam szpital i z nim się obszedł okrutnie; rozpoznać go należało. Lecz na lewym skrzydle obozu, które rzeka Teverone oblewała, z obu stron olbrzymie skały, a z innych wrzawa pojedynczych strzałów słyszeć się daje: nasz się tam batalion uciera; niewiadomo tylko, czy się nieprzyjaciel z tej strony dobiera, czy nasi tę dolinę oczyszczają. Jenerał en chef po naszym przyjeździe z pod Falari każe mi dotrzeć, dowiedzieć się, co nasz batalion czyni, a do tyralierów francuskich posłać. W tym celu dodaje mi dwóch ordynansów. Wdarliśmy się z końmi z trudnością, gdzie się piechota ucierała, nieprzyjaciel znalazłszy miejsce postawienia armaty, której strzały skupionemu batalionowi szkodziły, chciał go stamtąd wyparować; batalion się rozsypał w strzelców i po armaty dał się. Już było podobieństwo, że leżąc za skałami, bez wielkiej straty zdobędzie je nakoniec, rażąc kanonierów z ręcznej broni. Armaty kartaczami sypały, gdyśmy się ku miejscu zbliżali, a kartacze ślizgając się po skałach dochodziły do nas. Jeden w piersi mnie uderzył, jam się pochylił i krzyknął

z bólu, ordynans cugle złapał i konia prowadził, bo ja rękami chwyciłem się za miejsce uderzone. Drugi tymczasem ordynans pobiegł zdać sprawę z tego, jak zabity zostałem. Przez parę staj przekonany byłem, że silnie raniony, ale krwi nie widząc, odsłoniłem ręce jedne po drugiej, abym się przekonał lepiej. Ból od kontuzji był mocny, kartacz zapewne oziębził się lub odbity od skały dostał się do mnie i niewiele mi zaszkodził. Powróciłem po doniesieniu, że zabity, i zdałem z posłannictwa sprawę. Tejże nocy major Chłopicki wysłany z kilku kompaniami na rozpoznanie wojska pod Maliano stojącego, że już wprzód rozpoznął pierwsze posterunki, obszedł je manowcami ubocznymi i sformował się przed obozem, podszedłszy aż pod cicho. Tu dawszy nagle ognia, wpadł z krzykiem na obóz.

— 110 —

Skutek był niepospolity, uciekał Neapolitanin od swych ognisk, przy których dostatnie pożywienie gotował, tak że z trudnością po nocy zebrać ich znów było można. Zdobywcy obozu powrócili z niemalą zdobyczą kociołków, a nawet kołder, które do obozu naszego przynieśli; później nie wiedząc, co z tem robić, między kolegów dzielili i rzucali je nawet, bo ciężar wożenia się z tą zdobyczą utrudniał. Po tej tak ważnej próbie przedsięwzięto na nich wyprawę i uwolniono nasze lewe skrzydło od naciskającego nieprzyjaciela, który obejść nas zamierzał. Jenerał en chef sam przyjechał do nas i z Książewiczem się rozminął, który wprost do niego po rozkazy pojechał. Nie czekając powrotu jenerała, sam się u nas rozporządzał; kazał Sejdłitzowi z trzecim batalionem iść wprost do szturm miasta, a Sejdłitz to zrozumiałszy — *Bon, mon Général* odpowiedział. Jenerał mu długo tłumaczył, że z tyłu batalion francuski ma okolicę i z nimże do wyprawy należeć. Tego już nie rozumiał, ale śmiało swoje *Bon* wyrzekł. Jenerał chcąc ukarać miasto, które się na lazaret rzuciło, postanowił je spalić i już narzędzia do podpalenia ciągnęły za nim. Chack... przyjął ten komis na siebie. Rad był jenerał odbić to zapomocą Polaków. Wtem Książewicz nadjechał i Chack... do niego mówi: Mam rozkaz oświecić mieszkańców tej ziemi, aby zdolni byli do przyjęcia oczekujących ich swobód. — Wyprawa doszła przeznaczenia swego następnej nocy. Sejdłitz szedł do szturm, lecz o niewiele go Francuzi uprzedzili, a wojsko neapolitańskie już uciekało przed nimi. Sejdłitz w prostocie ducha biorąc Francuzów za Neapolitanów, ogniem ich raził i podobno nie obeszło się bez szkody, choć się zrozumieli nakoniec. Jenerał en chef chciał ukarać Sejdłitz, że tak źle spełnił polecenie jego, ale później dowiedział się, że nie mógł go zrozumieć, bo języka nie umiał. Gdyby był powierzył swą wolę Książewiczowi, byłby uszedł pomyłki. Z tego powodu polecił, aby mu wybrano oficera język francuski dobrze rozumiejącego i do swego boku dodać rozkazał, z tem żeby miał dobre konie do tej posługi. To właśnie

— 111 —

wielu przechodziło możność. Chack... jeden, co wyjechał z zapasem, nietylko konie miał, ale swój furgon ładowny winami i przysmakami nawet, którymi się z adiutantami głównej kwatery dzielił; ich tedy głos był za nim i jenerał en chef wybrać go sobie za przybocznego rozkazał.

Wojsko neapolitańskie, co nas okalać i zabrać miało, pod Falari i Maliano spędzono, awangardę królewską odparł Kellerman; król, który w Rzymie na okolenie wojska oczekiwał, widząc się zawiedzionym, chciał odparte korpusy połączyć z sobą i dopiero na Francuzów uderzyć, gdy ci znaczny z Włoch środkowych odebrawszy posiłek, wojnę już zaczęłą wieść przedsiębrali.

Ruch przez Abruzzo był znaczny i myśmy do połączenia się z nimi z lewej strony Rzymu naprzód posuwać się zaczęli; potrwożone wojsko neapolitańskie słabo się tylko opierało, a król, co się korpusowi Chevalier de Saxe'a przez Rzym cofać kazał, na niego jedynie oczekiwał. Widząc jednak, że marsz jego przez nas przecięty być może, przyspieszył trochę ewakuację Rzymu i w swoich granicach stanąć miał do swej obrony. Ledwieśmy się zrównali z Rzymem, jenerał chcąc korzystać z przestrachu miasta z jednym batalionem Francuzów i szwadronem kawalerii wszedł do niego tuż po wyjściu z głównej kwatery króla, ale połączył się zaraz z słabym wprawdzie garnizonem w zamku świętego Anioła zostawionym. Korpus Chevalier de Saxe'a tymczasem nadchodził i już był bliski Porta del Popolo; król uwiadomiony o tem marsz swój wstrzymał i silny oddział do Rzymu wyprowadził. Ratowała wtedy liczna drużyna osób do komisaryatu należących, która się za jenerałem puściła, i wielu Francuzów, co mieli konie do zboczenia z drogi. Nie byli tam wprawdzie przeznaczeni, ale sam nieporządek w marszu przydał się natenczas. Jenerał nie tracąc przytomności i odwagi, postawił w bramie do Neapolu wiodącej przybyły z nim batalion i do upadłego bronić mu się polecił; a z garnizonem, z szwadronem i z tłumem jeźdźców niewojсковych wyszedł za bramę del Popolo i sam dobywszy pałasza,

— 112 —

poprowadził do boju. Niespodziana obrona miasta, w którym się króla z wojskiem zastać spodziewano, a może sam widok znajdującej się tu już głównej kwatery poddały myśl cofnięcia się drogą do Livorno, do którego morzem z Neapolu przybyli. Jenerał postrzegłszy odwód, atakował zuchwale, a część tyralierów i kawalerii zostawiwszy, aby nagłażała na ich poruszenia, z resztą konnych udał się do bramy, do której oddział królewski szturmował. Ta rzecz szła zawzięcie z jednej i z drugiej strony, już nawet artyleria neapolitańska dochodziła, gdy niespodziane zdarzenie niespodzianie ją rozwiązało. Od Abruzzo generał Rusca dwa regimenty kawalerii prowadził; mówi, że do Rzymu przed wojskiem dostać się gorąco pragnął, bo się już o cofaniu armii królewskiej dowiedział. Droga, którą szedł forsownym marszem, łączyła się z tą, którą artyleria neapolitańska zdążała do Rzymu; nie pozostawało mu przeto nic innego do uczynienia, jak uderzyć na nią. Dwa regimenty asekurujące armaty były w oczy; rozbiwszy je i osłaniających zabezpieczywszy strażą, leciał ku bramie, gdzie się zawzięcie potykało. Championet właśnie przyszedł z kawalerią swoją, kiedy ich z tyłu jenerał Rusca napadał. To zwycięstwo ukończyło dzień, w którym Rzym na nowo zajęty został.

Kawaleria zaraz do ścigania króla wyznaczoną została i kiedy on w Albano do zastawionego przystępował stołu, musiał od niego uciekać; mówiono nawet, że Francuzi nakrytym go jeszcze znaleźli i dostannie sobie sprawili gody. Myśmy nie byli w Rzymie i szliśmy pogonią, która się ciągłym bojem odznaczała. Przyszliśmy nareszcie do tej znakomitej drogi, którą Pius VI swoje panowanie uświetnił, którą Rzym naprawił, ułatwiając podróżującym pośpiech, jedyny środek ocalenia zdrowia, a często nawet życia. Obrona Neapolitańczykom łatwiejszą była tem bardziej, że im lud miejscowy sprzyjał. Dwa kanały drogę otaczające do przebycia niełatwe, zarosłe i za niemi do zasadzek sposobne miejsca. Z początku dobrzy strzelcy miejscowi wybierali oficerów za cel wystrzałów, lecz na to wynaleziono środek.

— 113 —

Dwa lekkie działa kartaczami nabite oczyszczały zasadzki, a przeprawieni tyralierzy później nawet szkodę w tylnej straży neapolitańskiej robili. Aż do Terracino ciągleśmy się bili doznając oporu; Terracino kończy Pontyńskie błota, a za niem niedaleko pasmo gór trudnych do przebycia panuje. Odwieczne dawniej wojny wprowadziły pewne użyteczne urządzenia, np. każda osada ludu miała grzbiet gór przeznaczony do obrony. Prawo to przez czas długi w zwyczaj się zmieniło i korzystnem było bardzo, lecz pokój dłuższy zatarł je w pamięci ludzi, a zmiękczenie obyczajów, wpływ może falky w tak nagłym razie z dawnego zwyczaju korzystać nie dozwalał. Ta ustawa nosiła nazwę *Lega forzata*, że do niej zmuszano; przypominało to świetne niegdyś nasze pospolite ruszenie, później niezgód i nieporządków zwykłe ognisko. W Terracino był punkt dojścia wojsk naszych i kilkunniowe ich obozowanie. Już też nas i jenerał Dąbrowski dogonił. Każdego by to może zastanowiło, co mi nieraz naówczas przychodziło na myśl: Francuzi mieli za godło swobodę ludów, lud przecie był z ich nieprzyjaciółmi; oni u siebie arystokracją zgnębili, a do ich falky najznakomitsze imiona w państwie neapolitańskim należały. Mogło się to nieco tłómaczyć tem, że królowa i Acton, który jej przewodniczył, mieli osobistą do osób możniejszych odrazę; a możni przesiąknieni nienawiścią i nowych wyobrażeń chciwi, z cudzoziemcami i z filozofią się bratali. Acton chciał ich upokorzyć, pochlebając ubogiemu ludowi, chciał może i ducha partii zneutralizować; budzono lud, prowadząc na ich dostatki, a napady gwałtowne często się w samej stolicy i po willach okolicznych (po naszymu folwarkach) zdarzały.

Lecz powróćmy do wojennych działań. Przejście prowadzącą do kraju neapolitańskiego drogą wiodło między dwie strome skały z łańcuchem Apeninu złączone; tam bateria działami wielkiego kalibru zbrojna broniła komory i zwyczajnego przejazdu. Tu Neapolitanie zamierzali dać silny opór, jakby mówili silnemu morzu: Tu przyjdiesz i rozbijesz wzburzone wały swoje.

— 114 —

W czasie pobytu w Terracino zastanawiano się nad usunięciem tej przeszkody; major Chłopicki z strzelcami batalionu swego podjął się tak trudnego działania; skutek podobnym być musiał, kiedy nań armia pod bronią czekała. Jakoż o samym brzasku zorzy już z tyłu baterii łamali się bohaterowie nasi z małym odwodem zasłaniającym Neapolitanów, bo armia królewska już się ku Kapui wolnym marszem posunęła. Zaczęli Francuzi ze swych armat do baterii strzelać; bomby ich w środek jej wpadały, a trwoga opanowała obrońców. W miarę jak się ogień zmniejszał, bieżono do szturmowania bramy i ledwie słońce oświecać zaczęło okolicę, jużśmy ją petardą o tworzyli. Neapolitanie zostawili działa swoje zagwożdżone, a garnizon drogą do Kapui się puścił, bo drugą, co do Gaety prowadziła, nasi strzelcy zatarasowali niezłomną piersią swoją. Armia francuska przeciągnęła za idącymi do Kapui, a naszym jenerałem iść pod Gaetę kazano. Szczęśliwym dla nas losem i skutkiem ostrożności majora Chłopickiego wieść nawet nie doszła do nich. Myśmy szli nad brzegiem morza, patrzyliśmy na maszty okrętowe i doszliśmy nie spotkawszy nikogo aż do przedmieścia, kiedy na morzu ruch gotujących się do odpłynięcia okrętów spostrzeżono. Dano nam dwa działa, z tych Książewicz do okrętów ognia dać kazał, a Dąbrowski na rozpoznanie położenia się puścił, i tam dopiero do niego strzelać poczęto. Nasze bataliony zasłoniły się budowlami przedmieścia, aby nie stać na celu, i nie były od nikogo spędzane; tymczasem Dąbrowski trębaczami wysyłał, do poddania się wzywał i do szturmowania razem gotował. Było to szczególniejsze zdarzenie w dziejach wojny, żeby pierwszego rzędu twierdza, którą w późniejszych latach Massena po kilkomiesięcznem dopiero wziął oblężeniu, dostać się miała kilku tysiącom naszych, dwoma tylko armatkami opatrzonym. Było to skutkiem nierozsądnego zarożumienia powziętego w początku wojny: ośmdziesiąt tysięcy Neapolitanów wchodząc w państwo rzymskie, osadzone ledwie tylu garnizonami, ile potrzeba było na utrzymanie w spokojności mieszkańców,

— 115 —

wcześniej się mieli za zwycięsców. Wielka przeciw północnym Włochom koalicja wymagała zebrania tam sił całych; wszyscy się w datach pomylili. Armia, co się do koalicyjnej wojny obok sprzymierzeńców dopiero kształcić miała, upadała pod orężem doświadczonego w boju żołnierza. Jakież było zdziwienie nasze, gdy nas tylko o kilkogodzinny rozejm proszono, aby okręta rządowe odpłynąć mogły spokojnie, a wieczorem dnia tegoż oddano nam bramy i kapitulację podpisano. Nie weszliśmy do środka miasta, nie ufając naszej sile. Rano dopiero widok obszernej twierdzy i rozległego morza, tyle pobożnych i bohaterskich wspomnień, jakie temu miejscu przyznają, szlachetnym nas owionęły zapalem. Zdawało mi się, że z Czarnieckim jestem na szwedzkich bojach, gdy do spisania pozostałych okrętów i ogromnego zapasu wojennego przeznaczony zostałem. Uwiadomiono o tem nieodległe idącą armię, z której na garnizon dnia tego przyszedł wysłany oddział z jenerałem komenderującym. Żołnierze neapolitańscy zaraz się z żołnierzami francuskimi pokątnie zbratali. Szwajcar bowiem, co nam fortecę oddawał, potrzebował parę dni czasu, aby z garnizonem wyjść podług kapitulacji i ze swą armią się połączyć. Z tego się złodziejski zawiązał spisek; ci, co tak dobrze znali miejscowość, bo długi tu trzymali garnizon, na przewodzców się udali. W nocy Francuzi rabować poczęli Gaetę.

I do naszych trafiono; lecz że sprytniejsi byli na czele spisku, oddano naszym zapasy słońiny, garnizonowych kołder i grubego sprzętu, a sobie kościoły i domy możniejszych mieszkańców na zdobycz zostawili, naszych naprzód przy zaczęciu wyprawy zatrudniwszy. Alarm w mieście od mieszkańców się zaczął, lecz wkrótce w bębny uderzono, aby każdy żołnierz stawał pod bronią; oni spełnili to łatwo, bo przy rabunku nie spali. Na placu już byli jenerałowie, kiedy się żołnierz powoli jeszcze ściągał. Nasi, co połciów słońiny i broni razem unieśćby nie mogli, powyrzynali dziury, przez które głowy powysadzać mogli, żołnierz francuski miał mantelzaki zapięte i trochę odte płaszcze. Sprzeczka powstaje między

— 116 —

jenerałami, z których jedni Francuzów, drudzy naszych o rabunek obwiniają. Nie potrzebuje sprawdzać podejrzania na swoich Książewicz, bo wszystko widzi na wierzchu; przeto do zupełnego zebrania odwołuje się i tego mu odmówić nie śmieją. Po odczytaniu kontroli prosi o pojedyncze obrewidowanie; Francuzi krzyczą, że to hańbi żołnierza, na co szukać winowajców, gdy ci widoczni! Na to nadjeżdża Dąbrowski i w tej chwili będąc wyższy stopniem, rewizyi się domaga. Zaczęto od prawego skrzydła, gdzie Francuzi stali. W pierwszym mantelzaku kielich i patena, w następnym worek ze złotem, dalej wtroczone monstrancy; tak poszło i dalej. Wściekał się komendant Francuzów i do rewizyi naszych rad był przystąpić jak najprędzej. Lecz tu rabunek na wierzchu: połeć słońiny na szyi, kołdra z koszar w mantelzaku, a ani grosza w kieszeni; szło tak i u następnych: para butów lub prześcieradło najdroższą były zdobyczą. Zbiegali się i ci, co ich odarto, poświadczając, że w swych domach albo Neapolitanów albo Francuzów widzieli. Zebrani Neapolitanie, gdy się do kija wzięto, nocną konspiracyę wyśpiewali. Tak tedy myśmy się okazali czystymi od rabunku i wrócić nam za armią kazano, a Francuzi załogą tu pozostali.

Poszliśmy do Traettu; tam nasza kwatera była u poważnego lecz trwożliwego biskupa, który nas z ludzkością przyjmował, a drżał na odgłos powstania. Ja mem uszanowaniem zarobiłem na jego ufność, która mu się fatalną stała i mnie napełniła smutkiem. Myśmy już do Sessi postąpili, kiedy okoliczni górale na to miasteczko napadli, jako do obrony sposobne, i mieszkańcy się z nimi połączyli. Tremo, poufały adjutant jenerała Dąbrowskiego, mniemał, że mieszkańcy niechcivi powstania dopomogą do wypędzenia postronnych, a miasteczko obok wielkiej drogi na górze osiadłe, mogło i wojsku, a więcej podróżnym robić psoty; prosił

— 117 —

zatem o kilkunastu jedynie dragonów, bo resztę przekonaniem skutecznieć pragnął. Widząc tak małą siłę, przybyłcy zbuntowani do miasta go wpuścili, a nie bacząc na prośby mieszkańców, powiązali w ciasnych uliczkach, pod pachy przez okna rozciągnęli sznurami, a spodem ogień zapalili. Tak się ich zbrodnia spełniła, uciekający mieszkańcy opowiadali to nieszczęście. Jenerał en chef kazał nam wyruszyć z Sessi, a z drugiej strony od Gaety atakować, zniszczyć całą osadę i położyć pamiątkę na głazie: Tu była Traetta; wzburzyła się przeciwko francuskiemu wojsku i już jej nie ma. Mnie się chciało biskupa ocalić, a zbuntowani myśleli, że o ich postępkach z Tremonem nie wiemy i mały jakiś oddział schwytać byli radzi. Kiedym się z trębaczem zbliżył, wysłali do mnie, bym z tem, co im mam mówić, wszedł do miasta, byle z niewielu ludźmi, bo oni napastować nie myślą, ale bronić się będą. Chciałem mówić z jednym biskupem; żądali, by przy tej rozmowie uzbrojeni stali zdaleka z każdej strony. Zezwolono. Mówiono później, że przybyłcy pozbyć się go chcieli, bo im nie dopomagał wcale owszem mieszkańcom spokojnymi być radził. Wkrótce zszedł z góry szanowny kapłan, a ledwo o rzeczy opowiedział, zapragnął, abyśmy mówiąc szli ku posterunkom naszym. Okiem zmierzył za sobą odległość, chciał, abym przywołał w pomoc ludzi, a sam zdobywszy się na siły biegł, co mógł wystarczyć. Uszliśmy z nim nienapastowani; uwiłdowił nas, że lud obcy w wielkiej masie czeka zasłonięty murami i że bez pomocy dział i jakiego wyłomu wiele, zdobywając miasteczko, utracilibyśmy ludzi. Jenerał francuski, co z Gaety na wykonanie rozkazu był wysłany, radził biskupa do Gaety odesłać i działa sprowadzić. Lecz się rzecz źle skończyła. Biskup nie potrzebował mocnej eskorty, bo sam jechać pragnął. Pospólstwo wzburzone otoczyło go dokoła, a obaczywszy powóz łatwy do zrabowania, rzuciło się na niego; jadący z nim podoficer obawiając się, by mu biskupa nie odebrano, życie mu skrócił.

— 118 —

Uspokojenie Traetty powierzono Francuzom, a myśmy się do Sessi wrócili. Armia francuska łamiąc zdeorganizowane wojsko neapolitańskie, na karku mu siedziała i zostawiwszy oddział, któryby Kapui pilnował, nie wstrzymała się w swym tak korzystnym napadzie. W Neapolu trwoga, a zamieszanie w tyle francuskiego wojska. Do tego czasu odnosi się następne zdarzenie. W Rzymie między stronnikami francuskimi same tylko najświetniejsze błyszczały nadzieje; podróżni spieszą, słuchając przysłowia: *Vedi Napoli e poi muori* (zobacz tylko Neapol, a potem umrzyj). Żony oficerów i z prawej i z lewej ręki spieszą za mężami swymi i w niebezpieczeństwo podróży nie wierzą. Chack....., co w tyle pozostał, mając sobie zlecone konie, wraz z jednym komisarzem ordynatorem puszcza się w drogę. Kilka powozów kobiet uprzedza ich przejazd przez jedną nadmorską wioskę i w wielkiej części od rozhukanego ludu padają ofiarą. Wojsko ostrzeżone, że się tam ruch wznieca i mordy spełniają, spieszy od przeciwnej strony, chcąc skarcić powstanie, lud całą gromadą w tę stronę ku obronie leci; wjeżdżając podróżni do pustej wioski i zastają trupów po drodze. Żle koło nich; wchodzą do pustego domu, gdzie tylko dwoje starców zastają w komnacie pierwszego piętra; dom ze środka zatarasowują potężnie, kładą swą broń przy sobie, a wtem lud, chociaż odparł przysłany oddział, spodziewając się silniejszego napadu, struchlały powrót do domu. Widzi opuszczony powóz i do rabunku się nie bierze, lecz nowe dla nich zjawisko: widzą dwie głowy starców, a z poza nich głos silny Francuza. Ten się im oznajmia jenerałem wiodącym za sobą silne wojsko i przepowiadającym nieszczęścia i zemstę, ocalenie osób szukających schronienia za jedynym środkiem przebaczenia całej osadzie przedstawiając. Zaręcza im to jeneralskim słowem. Przybiegają naczelnicy faksyi i przystają na te warunki. Odwieziemy ich, powiadają, przynajmniej królowi, niech widzi gorliwość naszą, stamtąd Francuzom; weźmiemy przynajmniej zakładników, że nas nikt napastować nie może. Dowódzca powstania bierze na siebie

— 119 —

tę powinność. Barka nad morzem stoi jedna; kobieta z poprzedniego morderstwa o litość dla siebie prosi. Trzy te osoby do Neapolu morzem odwożą. Stanęli tam podróżni, gdy dwór i monarcha strwożeni wyjechać przedsiębrali. Przybycie było

szcześliwie; wysławszy parlamentarza z pojmanymi jenerałami do wojsk francuskich, proszono przy tej zręczności o rozejm. Parlamentarz neapolitański wioził z sobą jenerałów mniemanych, a za nim szli ci, co im życie ocalili. Kobięte przy dozorczyńni teatru S. Carlo zostawiono. Gdy w obozie Championeta stanęli, rad był ich ocaleniu, a może i misy, z którą przybyli; pochwalił ich zręczność i odwagę. Z Francuzem rozmawiając, odwrócił się Championet do Chack..... — Ażeby nagrodzić ci niebezpieczeństwo, na jakie narażony byleś, pozwalam ci zrobić z tymi Włochami, którzy was dostawili, co ci się podoba. — Na nieszczęście Włochów Chack..... spostrzegł na jednym z nich kamizelkę, którą swemu ojcu, pułkownikowi Au, był dawniej ofiarował, bo bagaż pułkownika znajdował się podobno w powozach wprzód zrabowanych. Tem rozjątrzony prosił o kilku grenadierów i obu Włochom w łby postrzelać kazał, a parlamentarza odesłano z wiadomością, że wprzód Neapol wziętym być musi, niżeli do jakiego przyjdzie rozejmu.

W Neapolu panowała trwoga; rząd rzucił się w objęcia i pod opiekę ludu, lud obawiając się zdrady wojska leci tysiącami na obronę kraju. Ruszają nadmorskie do swej potrzeby osadzone działa. Kół przy nich nie było; sprowadzają z okolicy dwukolne wozy i na nich je kładą. Ze ich kilkaset było, wiozą je na drogę od Kapui wiodącą i po dwa stawiają w odległościach takich, by jedne drugim nie przeszkadzały. Lud zgromadzony oczyszczał drogę, wołając na wojsko: *Traditori!* Było ich siedmnaście tysięcy do tej wyprawy. Gdy się o tem w obozie dowiedziano, jenerał Mack od cesarza austriackiego przysłany, naprzód zwątpił o sobie i rzecz rozebrawszy, wołał być więźniem Francuzów, niż ofiarą wściekłości neapolitańskiego ludu; uciekł więc po prostu i sam się oddał w niewolę. Odesłano go zaraz do

— 120 —

Sessi, gdzieśmy załogę trzymali, polecając winną część dla jeńca, co się nam z zaufaniem powierzał. Był on podówczas chory i doznawał niejakej ulgi, gdy nogi jego zwieszone były, cośmy mu natychmiast przyrządzili. Po dwudniowym spoczynku pozwalał bywać u siebie, opowiadał, ile dwór austriacki zadał sobie pracy, aby go do tego skłonić, nie tań, że to miało związek z koalicją monarchów. Lecz kiedy rozpoczynał, był pewny, że się drugie armie poruszają, że Francuzi z Włoch północnych jednego człeka ruszyć nie będą w stanie, że on nas okoli i zabierze, że surowa armia tym sposobem nabierze ducha i posuwając się w tył armii północnych Włoch, ułatwi działania koalicji całej. Lecz zróbże co z tchórzami, dodawał, choćbyś im najlepsze podawał rady! Mówił ochotczo o swych wielkich wiadomościach, o pomysłach wojennych, które jego rząd przyjmował, ale wykonać nie umiał; porównywał Francuzów z Niemcami, pierwszym genialność i bohatyrską odwagę przyznając, drugich w wyrachowaniu środków i części administracyjno-wojskowej nierównie wyższymi być sądząc. Ganił zwyczaj mieszania narodowości, tak że się oficer z żołnierzem zrozumieć nie mogą i dlatego jeden dla drugiego żadnej nie czuje sympatii; uwielbiał kawalerię austriacką, Węgrów największą podporą armii rachując, a to w każdej broni i w artylerji, gdzie nauką i wprawą najwyżej połączonemi, podług niego pierwsze w Europie miejsce zajmowali. Rad mówił o swych stosunkach z dworem i ministrami, rozbiór naszego kraju naganiając Austrii. Mniemał, że sam się dobrowolnie poddawszy, zyska prawo do powrotu, ale go w Paryżu przez całą przetrzymano wojnę, nawet wkońcu podobno się ucieczką ratował. Odesłano go po oczyszczeniu dróg w dni kilkanaście do Rzymu, a stamtąd do Paryża.

Tymczasem wojsko francuskie niweczyło działalność olbrzymich armat, bo tyralierzy szli bokami albo się rowów przybocznych trzymali, a kolumny w pewnej postępowaly odległości. Brzmia ogromne kule, a jeśli gdzie znajdą zawadę, odskakują szalenie; biada temu, kto na ich drodze, ale

— 121 —

wkrótce umilkły. Pierwsza armata już wywrócona. Lud ile razy naprzód przed nie się wysforuje, miesza się z Francuzami i działa milczeć muszą, by swoich nie raziły; ile zaś razy posuną się naprzód Francuzi, działa odbierają. Tak szła rzecz powoli, ale szła ciągle, a po kilkudniowym boju już się Francuzi na brzegu Neapolu znajdowali i tu się skupili razem. Zamek grał armatami swemi, a kule jego nie Francuzów, lecz cofających się lazaronów raziły. Nie poznają naszych, za Francuzów ich biorą, woła lud; ale mniemana omyłka nie ustaje, bo książę Molitorno, co zamkiem dowodził, był z Francuzami w stosunkach. Trwoga do miasta bieć radzi; a gdy przebiegły chmury ludu i wystrzały z zamku ustały, lud ciśnie się na domy, napada je, okna i dachy obsadza. Francuzi ze swej strony w jeden szereg pod linię domów się cisną, przeciwległą stronę gradem kul obsypują, gdzie kogo zająrzeć mogą, i tak ciągle posuwają się naprzód. Lud straciwszy nadzieję, ucieka, zamki kapitulują, a Molitorno na czele fakcji staje, uspokaja, godzi i radzi, jak lazaronów na swoje przeciągnąć stronę. Jest to szczególniejszy odłam ludności wielkiego miasta, który z niem nic się wspólnego mieć nie zdaje. Oni mają nad sobą pałace, pod niemi i pod gołym niebem leżą, a własnej chaty zapragnąć niezdolni; patrzą na dostatki, a żyją, byle życie utrzymać; handel ich otacza, oni biegną do portu, porywają na głowę ciężary, z nieposzlakowaną wiernością je odnoszą, lecz jak tylko skromne dzienne zarobią utrzymanie, gdybyś ich obsypał złotem, nie pójdą pracować, aby więcej zarobić. Religia lazaronowi w znoszeniu ubóstwa nie przewodniczy, bo on czyni wszystko z zastarzałych tylko i niezrozumiałych przesądów, ślepo się niemi kierując. Zgub kieszkę złotą, on za tobą biegnie, by ci znalezione powrócił; nagradzaj, zda mu się, że sztychsz z niego; ma jakieś wyższe o sobie mniemanie, lekce sobie bogatych waży, cześci tylko między sobą wybranych; po pańsku jeden z nich drugiego wizytuje wzajemnie, pyta się nawet, czy jego wizyta nie jest niewczesną; choć pod gołym niebem, pod wystawą pańskich pałaców

— 122 —

leży, nikt go nie ruszy, boby go okryły kamienie. Nie zna praw, a cała religia w jednym się dla niego świętym zamyka, a tym jest Św. Januariusz. On do innego nie wchodzi kościoła, bo Jemu wyłącznie służy; kiedy krew Jego się burzy, to godłem szczęścia dla niego, jeśli zastygnie, to rozpacz. Rzuca się wtedy zuchwale na wszystko, co burzeniem krwi poświęconem nie jest; tą drogą prowadzą go do boju, a utrata życia go nie przestrasza, bo je lekceważy.

Francuzi poszli w tę stronę, zyskawszy naczelników kilku, zdali się na sąd świętego i ich świadkami swej dobrej strony mieć chcieli. Wezwano biskupa, aby do tej przystąpił próby. Championet jechał w królewskim powozie ośmiu końmi ciągnionym, a obok niego stary lazaron w długiej koszuli z pałką ogromną w ręku, lecz na koszuli miał jeneralski mundur i kapelusz trójkolorową kitą błyszczący. Weszli do kościoła, klękli przed ołtarzem pokornie; po prawej stronie stała dziwaczna postać lazarona. Chociaż wojsko

francuskie kościół okala, ale wszystkie obrzędy, jakie wojsko krajowe w tych zdarzeniach zachowuje, spełnia uroczystie. Wychodzi drżący biskup, bo wie, że jeśli rzecz źle pójdzie, rozstrzelanym być może; odbywa świętą ofiarę, dobywa naczynie krwią świętego napełnione, choć drżącą ręką, ale je jak może ściska; tysiące ludu patrzy, wyglądając i oczekując wyroczni. Krew

zakipiała nakoniec, lud zadziwiony, a Molitorno ze swoimi woła: Vivat Rzeczpospolita Partenopy i Francuzi, co nam ją dają! Lud był w osłupieniu, lecz stronnictwo z nim się łączy i korzyści nowego położenia dowodzi; jenerał do pałacu powraca, a postawieni krzykacze imię nowej rzeczypospolitej ogłaszają. Kazano przyjąć jednemu z batalionów naszych, z nim przemaszerowaliśmy z Książewiczem i podług zwyczaju przybiłem wielką kartę, jako znak mieszkania jenerała.

Nazajutrz zrana wchodzi dwie kobiety i o posłuchanie proszą: jedna poważna i kształtnej postaci, była to primadonna teatru S. Carlo, druga młoda i piękna, która mi się z twarzy znajomą już dawniej być zdała. Była to żona

— 123 —

porucznika Dz..... żona legalna, bo pod drzewem swobody ślubowała mu wiarę i miała na to urzędowe świadectwo. Rzewnie płakała pytając, gdzie się jej ukochany Dziu..... znajduje, błagała i zaklinała, aby go o niej uwiadomić albo odesłać do niego, opowiadała o morderstwach, jakie popełniono w miejscu, gdzie komisarz ordynator z Chack..... później wzięci byli; o swym losie, że jej ocalonej z nimi odpłynąć pozwolono, o litości, jakiej w Neapolu doznała, kiedy ją w opiekę tej pani zlecono i t. d. Przyrzekłem jej, że ją mężowi dostawimy, który wedle rozporządzeń wojskowych zapewne w Gaecie kwaterować musi. Wrócił Książewicz z kwatery głównej i ja mu o tem mówiłem, radziśmy się naśmiali, gdzie się to młodej i pięknej osoby miłość umieściła! A że była wolna chwila, opowiedziałem jenerałowi, jak się to zawiązało. Pan Dziu..... był synem jednego z sukienników pierwiastkowo do Korca sprowadzonych; doszedłszy przyzwoitego wieku, poszedł na wędrowkę rzemieślnikom zwykłą do Niemiec, bo ten język nie był mu obcym i miał też do nauczania się języków niejako mechaniczną łatwość. Wpadł na komendę werbującą i ta pociągnęła go z sobą; od wojska do wojska przechodził; był w Hiszpanii i w wojsku księcia parmeńskiego, jakiś czas i przy Francuzach wisiał, aż się do legii dostał, że mówił kilku językami, był użyteczny, został oficerem, pełnił swój obowiązek dobrze, lecz się potrochu napijał. Związał się z podporucznikiem Zdorą i z nim kamrackie pędzili życie. Po naszym przyjeździe pokazała się i ta piękna osoba, mówiono, że jeden sztabsoficer francuski zdobył ją sobie w klasztorze na granicach Toskanii, gdzie przez swych rodziców na wychowanie oddana była. Francuz, co ją do Rzymu przywiózł, straciwszy swój zasób na jej utrzymanie, gdy mu się stała ciężarem, uciekł do półbrygady we Francji konsystującej, gdzie rodzice jego mieszkali, a jej nie zostawił żadnego sposobu utrzymania się. Ta z rozpacz nie wiedząc, co czynić, po kościołach biegała, litości Bożej wzywając, bo do rodziców powracać i wstyd jej było i kara oczekująca wstrzymywała

— 124 —

od tego kroku. Zdało się jej, że pocieszona wyszła z kościoła, choć cieszyć się nie było z czego; na ulicy spotkała Dziu..... i Zdorę: obaj ubrani na nowo ze śniadania podochoćceni wracali. Dziu..... mówiący po włosku, powiedział jej, że jest zakochany, że jak ją w tym oto przyległym kościele widział, serce mu i rozum opanowała. Był to istotnie kościół, z którego od modlitwy właśnie wychodziła, przeto zawołała: Otoż i pociecha moja! Spytała potem, czy jest oficerem, czy ją utrzymać jest w stanie i czy ślub formalny zaraz nastąpić może. Gdy to Dziu..... załatwił, już się z nim została. — Nie uwierzysz jenerale, dodałem, ilu tam z naszej

młodzieży próbowało szczęścia nadaremnie, teraz gdybyś wiedział, jak szłocha za nim szczerze! — Wiem, odparł jenerał, że to łotr kobieciarz, ale skąd mu tak piękna żona? Stary, koszlawy, podobno się upija, szkoda tej biednej. — Wyrobiliśmy dla niej powóz i do Gaety odesłaną została.

Od tego czasu Championet zdobywcą się królestwa mienił i o swych tryumfach w Paryżu mówił; zazdrość trawiła podrzędných jenerałów. Championet chciał sam jechać, ale bez pozwolenia z Paryża się lękał; posyłać zaś także się boi, by nieprzyjaciele zazdrośni nie ubliżali jego sławie. Przedstawia mu się znowu, ilu to w zdobytym mieście dostatków jest panem, któreby mógł sobie przywłaszczyć; ale sto oczów patrzy na niego, a tu tajemnicy potrzeba. Na to znalazł się środek: do niego użyto pewnego Francuza przybocznego Chack.... Miano gotową listę, którą fakcja republikańska w Neapolu ułożyła: na niej byli ci wszyscy, co z królem uszli zapisani, na niej przyjaciele ubiegłego dworu, a podobno wszyscy, co do tej fakcji nie należeli. Każdego dom, mienie i co w niem najkorzystniejszego i najpiękniejszego do zabrania było, zanotowano. Chack..... miał sobie daną kompanię polską pod bezpośrednie swe władanie; w nocy otacza domy, obwinionego zatrzymuje, zarzuty mu czyta, a tymczasem, co lepszego w domu, ze ścisłością zabiera i wiernie oddaje. Żołnierz ani nie zna celu ni środków użytych ani tego Francuzom, nieumiejąc języka, zwierzyć

— 125 —

nie może; kara śmierci każdego zastrasza i wykupić się woli. Trafiały się wprawdzie i omyłki, o których później mówiono. Przychodzą na przykład do gospodarza, co go być z królem sądzono, on powiada, że przed nimi stoi, że nie wyjeżdżał nigdzie, że jest tensam i tak się od urodzenia nazywał. Na to krótka odpowiedź: Wiemy, że gospodarza nie ma, tyś oszust i imię jego tylko przybierasz. Żegnał się Włoch i do przysięgi zabierał, gdy tymczasem kosztowne jego sprzęty od fakcji przygotowani ludzie zabierali i pakowali, a żołnierze w przeznaczone odnosili miejsce. Działo się to nocami i tak cicho z początku, że nikt z mieszkalców obdzieranych w początku głosu podnieść nie śmiał; mało o tem mówiono, a chociaż wyżsi jenerałowie paryskich przyjaciół ostrzegali

dla swej zniewagi, jednak wieści te zdawały się nie zasługiwać na wiarę i jak fałszywe je odpierano. Mówiono jednak, że jenerał Augereau w Medyolanie stojący zasiadł się był na te dostatki, jeśliby do Francji kierować je miano; chciał się sam z bogactw, Championetowi tylko winę bez korzyści zostawiając, ale mu się to przecie nie udało, o czem niżej. W tych zatargach jenerałów, chociaż pokrytych wzajemnej grzeczności formami, głównie-komenderujący wzięwszy za powód uczestnictwo w boju i legii zasługi, posłać jenerała Książewicza ze sztandarami do Paryża umyślił i tak na czas wzajemną zawiść uspokoił. Były to liczne trofea i znaki królewskie zdobiące władzę, któreśmy odwieść mieli. Jenerał Dąbrowski powierzał nam syna, który w Paryżu potrzebnej mu oglądy nabyć pragnął. On zatem, Kossecki i ja, jako świta jeneralska, ruszyliśmy do Rzymu; silna eskorta towarzyszyła bogatym upominkom sławy, nowem zwycięstwem nabytym. W Rzymie badaliśmy, co się po naszym opuszczeniu działo; król jednego z państw włoskich swe wojsko w Watykanie rozłożył, żołnierz kładł ognie w wspaniałych jego salach i okurzał dymem pomniki geniuszu Rafaela i Michała Anioła. Co tylko błyszczało, odzierano i widzieliśmy stół kosztownej roboty od Józefa drugiego ofiarowany, ze złocistych odarty bronzów i wiele innych szkód

— 126 —

arcydziełom sztuki poczynionych. W bibliotece kosztowne książki okłady obdarto, wszędzie ślady niekarność wojska i małej dbałości zwierzchniej władzy. Spotkałem smutnie przechadzającego się przyjaciela mojego architekta Massi ze łzawem okiem mówiącego: Francuzi przenosili arcydzieła, ci jak barbarzyńcy je niszczą.

Odwiedziłem i moją wdowę szczerze ucieszoną, że cały z wojny powracam; żaliła się, że w tej chwili nie miała za co odbyć od dawna pożądanej do Francji podróży, a instynktem wiedziała radziła, abym wziął z sobą co z jej kosztowniejszych sprzętów, mówiąc: W przygodzie w banku to zastawić można, a potem wykupić; wiem, że mi to oddasz, bo ja do was przyjadę, wreszcie i ja wtedy nie będę bez grosza, gdyby go tobie brakowało. Po długim z mojej strony oporze dała mi dwa dość kosztowne pierścienie, mówiąc: czy będziesz w teatrze, czy na zgromadzeniu, skoro je włożysz, nikt cię za potrzebującego i ubogiego nie weźmie. Powierzonych mi w ten sposób klejnotów pilnowałem szczerze, a że mnie później nabawiły trwogi, dla tego o nich wspominam.

Opuściliśmy Rzym; w Ronciglione zastaliśmy generała Grabowskiego, który z nowo-uformowanym wojskiem rzymskim tu kwaterował. On nas uwiadomił o powstaniu w kraju, który przebywać mieliśmy, i że biskup w Viterbo miał nim kierować, że zabijano Francuzów, ale podróżnych oszczędzano. Radził nam pocztą nie jechać i schować stroje wojskowe jako jedyny środek choć i tak niepewnego przejazdu. Dostano nam koni do powozu z ludźmi zabezpieczonymi, że nas nie wydadzą, bo właściciele tam zamieszkałi za zakładników służyć mieli. Cofać się już było trudno i puściliśmy się tą drogą, bo państwo Toskanii niedaleko było. A żeśmy do podróży mieli cywilne odzienie, przeto pochowaliśmy wszystko, coby nas jako Francuzów wydać mogło. Widzieliśmy po drodze smutne ofiary pojedynczych mordów, a zbliżając się do Viterbo, śmierci zajrzeliśmy w oczy, gdy się nagle zatrzymał powóz i krzyk, aby nie jechać dalej,

— 127 —

dał się słyszeć. Człek to jakiś w odzieniu kościelnego sługi zatrzymał nas, lecz że był jeden, bać się go nie trzeba było. On się do karety zbliżył, mówił, że wie, kto i dokąd jedzie, a biskup o tem zawiadomiony, przodem go wysłał celem przestrzeżenia, by się generał posłem hiszpańskim jadącym z Rzymu nazywał, że go tak zwać będą przed zbrojnym ludem, który miasto napęłnia. Miał nas doprowadzić do biskupa, jakoż usiadł na koźle z nami. Widzieliśmy gdzieś ciała pobitych, mówiono powszechnie, że biskup stał na czele powstania, myśl nam więc przychodziła, że w nas zapewne szukać będzie znakomitszej ofiary. Otóż i miasto, pokazując się zdała uzbrojone tłumy, wjeżdżamy w nie, a nasz organista zapewne większej części znany woła ciągle: Posel hiszpański z Rzymu do biskupa! — Ustępują, ciekawsi się nam przyglądają, aż do drzwiczek się cisnąc; wchodzimy do pałacu biskupiego wszyscy. Nie mieliśmy służących, coby nas obcym mówiąc językiem zdradzili, furmani byli pewni, lud się od nich o niczem dowiedzieć nie mógł. Biskup się zmarszczył. Próżny był sekret, powiada, wiem o waszem przeznaczeniu; i generała na osobność wezwał. — Jenerale, rzekł, obydwaj zajmujemy fałszywe położenie; co ciebie dziś, to mnie ju trochę czekać może, ratujmy się wzajemnie. Ja się o wasze bezpieczeństwo postaram, jeśli mi podpiszecie świadectwo, żeście mnie jedynie winni życie. Sądzę, że zgubić mnie, jenerale, nie zechcesz, rozgłaszając, że cię ocalił, lecz tajemnie tylko o tem generała en chef uwiadomisz. — Zaprzężono nam pocztowe świeże konie, wyszedł biskup i widząc Kosseckiego młodzieuchnego i mizernego, wziął go za przebraną kobietę, przyniesiono dla niego cukierków i mniemanej dziewczynce radził, aby przestraszona napiła się wody, upewniając, że jej się nic złego nie stanie. Podpisał cyrograf, który ubezpieczał nasz przejazd, z organistą dodanym nam, zawsze jako Hiszpanie, gnaliśmy aż do granicy księstwa tokańskiego. Mieliśmy znowu przed sobą zbrojne kupy, ale przebywszy główną ich kwaterę, spokojnie resztę odbyliśmy drogi.

— 128 —

Cóż to było za szczęście stanąć na spokojnej i gościnnej ziemi po takim trwogi upale! Powóz nam wytrzymał dotąd, lecz już potrzebował naprawy, stanęliśmy w tym celu w Siennie. Rzemieślnicy jeli się gorliwie roboty, my tym czasem pożywić się musieliśmy. Było wielu u tegoż, co my, stołu, z nich jeden z jakąś szczególną spoglądał na nas bacnością. Przyniesiono regestr popraw, jakich nasz powóz potrzebował, a oddający nam go widocznie był zakłopotany. Ucieszeni pośpiechem jużemy wcale o ceny się nie spierali, kiedy ów jeden z towarzyszków stołu zbliżył się do generała i o pokazanie rejestru prosił. Rzemieślnik, co go przyniósł, podchwycił, że na nagłość roboty mieć wzgląd należy, a podróżni wcale się na ceny nie skarżą. Pomimo to dobył nieznamy ołówek i cyfry zmienił, a o znaczną część zmniejszony rachunek podał generałowi do zapłacenia. Był to urzędnik umyślnie wyznaczony do zachowania podróżnych od zdzierstwa i na to jedynie postawiony. Generał wybrał środek, a obracając się do nas, po polsku powiedział: Krakowskim targiem przeciąłem na połowę, co ten pan ujął rzemieślnikowi. Trwała czas jakiś rozmowa z urzędnikiem, który nam o wielu podobnych rozporządzeniach mówił, dodając: Na naszego księcia podróżny skarżyć się nie będzie.

Udaliśmy się do Florencji, w której że dotąd generał nie był jeszcze, dzień cały obejrzeniu miasta został poświęcony; tamżeśmy w domu Roncionich, który nas gościnnie przyjął, znaleźli możnego rodaka, a domu tego przyjaciela, marszałka Rzewuskiego. Mieszkał on wówczas w Pizie, ale się we Florencji czasowo znajdował. Miło nam było go poznać, prawdziwie polskiem przyjął nas sercem. W późniejszych latach byłem z nim zbliżony, dlatego nie zapominałem pierwszego z nim poznania. Stamtąd na Bolonią obróciwszy drogę, zastaliśmy tam generała Moreau; znany nam był ze sławy, aleśmy go jeszcze nigdy nie widzieli. Był on inspektorem armii włoskiej, bo popadł w niełaskę, przyjął choć niższe miejsce, bo je podnieść był pewnym; jakoż gdy się kampania zaczęła, ocalił armią rozbitą po zabiciu generała

— 129 —

Jouberta. Oddaliśmy mu uszanowanie, a on nas także natychmiast odwiedził i dość długo bawiąc, mówił o kampanii neapolitańskiej z tak drobnymi szczegółami o położeniu miejsc, jakby się tam urodził. Każdy ruch, każdy wzgórek, na którym rozstawione armaty byłyby przyspieszyły skutek, z największą opisywał dokładnością, tak że się Książewiczowi, choć z boju powracał, mało co do powiedzenia zostało. Mówił wiele generałowi o użyteczności legionów, okazywał zalety Książewicza, które mu słuszną robiły sławę, oglądał nasze trofea i wiedział już nawet, które przy Championecie zostały, napomykając o wzburzonej przeciw niemu zazdrości w Paryżu, która mu upadkiem grozi. Mówił i o fakcji, która go wspierała, a jeśli ta górę weźmie, przepowiadał, że z sobą go wynieść zapragnie; słowem więcej nam daleko mówił, niżeliśmy w pierwszych czasach w Paryżu usłyszeć mogli. Przejęci dla niego czcią, na jaką zasługiwał, ruszyliśmy stąd do Mediolanu; tu się część rządowi należała, bośmy byli z legionów auxyliarnych cysalpińskich. Minister wojny przyjął nas z godnością, pochwalał naszą użyteczną służbę, lecz żeby coś powiedzieć więcej, wspominał, że nadto wolno jedziemy, bo już gazety paryskie piszą o naszej z Neapolu wyprawie, gdyśmy

dopiero w Medyolanie stanęli. Dla zaspokojenia jego troskliwości mniemanej wyjechaliśmy natychmiast, nie zatrzymując się wcale. Stanęliśmy w Turynie;

tu widziałem arcydzieło cierpliwości, ogromnie dużo czasu kosztujące. Pracowity artysta lat dwadzieścia poświęcił wyrobieniu drzewa, którego pień był starą Europą, gałęzie narodami, a listek każdy miał na sobie troskliwie wyrobiony medalion osób panującej rodziny. Wykonano z największą dokładnością wizerunki według medalów królewskiego gabinetu i ułożono w ten sposób, że drzewo całe historią Europy przedstawiało. Czas, praca i nakład artysty w oczach jego podnosił wysoko cenę tej sztuki, za którą rząd francuski dawał sto tysięcy liwrow; ale on to miał za małą zapłatę. Co się z tem później stało, nie wiem.

— 130 —

Alpy przejechaliśmy przez Mont-Cenis. Nim karetę rozebrano na muły, spotkałem kilku ludzi z Novalese, którzy mnie w krótkim czasie z góry spuścić się obowiązywali. Śnieg na wierzchołku Alp i na odwrotnej ich stronie był wielki; rozpytywałem, czy tu bezpiecznie; mówiono mi, że bywały zdarzenia zasypania lawiną, ale jeszcze nie zawiało zbyt mocno śniegami i z gór nie lecą bałwany, śmiało więc puścić się można. Chciałem spróbować tej podróży, którą tam nazywają *se ramasser en traîneau*. Wyciągnął przewoźcy na najwyższe miejsce góry drobniuchne saneczki, na których usiadłem, a on na nogach moich, abym się ani ruszyć nie

mógł. Dwie jego nogi ustrojone były kramponami nakszałt podkówek naszych, każda z nich trzema kolcami opatrzona; nogi jego kierowały podróżą, drugi jego towarzysz wyciągnął sanki za wierzchołek i zepchnął nas z góry. Ostrzeżony, że trwogę śmiercią przypłacić można, a ruch gwałtowny przynajmniej kalectwem, siedziałem jak martwy. Ciężko tu wszystkie opisać wrażenia: często gwałtowność lotu oslepiła niewprawne oczy, często przepaście o cal tylko od sanek widziane niesłychaną przerażały trwogą, zdawało się, że im miejsca zabraknie, chce się krzyknąć, lecz kara śmierci lub kalectwa zapowiedziana wstrzymuje; wtem niebezpieczeństwo lotem błyskawicy mija, następuje nadzieja, znów przychodzi drugie, lecz już widzimy miejsce przeznaczenia i pragniemy się zbliżyć do niego. Stanęliśmy nakoniec, kilka minut zastąpiło godziny zwykle tej drodze poświęcane; jaki tryumf z niebezpieczeństw przebytych w tak nadzwyczajnej podróży, gdy mi jeszcze przewoźcy powiedział, że w przyległej wiosce zimował Anglik dlatego jedynie przybyły żeby każdego dnia sposobnego wyjechawszy na mule na wierzchołek, mógł podobną drogę odbyć napowrót. Z czem to się oswoić nie można, dodawszy silną wolę w wykonaniu!— Nasza podróż była nagła; wjeżdżających do Francji otaczano nas, jako podróżnych już z gazet wcześniej wiadomych; byli wprawdzie i tacy, co chwały narodowej niesyci, cośby dowiedzieć się chcieli z krainy zwycięstw, lub o swoich,

— 131 —

o znajomych dopytać. Tych mało zaspokoić byliśmy w stanie. W Lyonie zapał ten zdawał się być tylko w osobach rządowej służby, a mieszkańcy głuchymi się okazali na odgłosy wojennej chwały. Tam pierwszy raz spocząć zapragnęliśmy; jeden z młodych ludzi dobrego towarzystwa chciał mnie na teatr zaprowadzić i chętnie skorzystałem z zaproszenia. W przerwie aktów chciał, bym był z nim w łoży krewnych jego, i tam mnie zaprowadził, jako jadącego z Włoch prezentując. Uprzejma rozmowa dam zagrzewała mnie, abym ją utrzymywał; zdało mi się, że mi to dopomoże, gdy powiem o naszym świetnym przeznaczeniu do tej podróży. — *Vous êtes donc de l'armée, Monsieur?* i konwersacya zlodowaciała natychmiast, a mój towarzysz o bliskim poczęciu następnego aktu wspomniawszy, dał mi uczuć wyjścia potrzebę. Potem mi w drodze mówił, jak wyższe towarzystwo chroni się stosunków z osobami do armii należącymi.

Jechaliśmy już nie zatrzymując się, do Paryża; zaledwie tu stanąwszy, grzecznością francuską otoczeni byliśmy; zanim nam urzędowe wizyty czynić polecono, obaczywszy, że się ubieramy w mundury, proszono, abyśmy się nie żenowali i byli we frakach podług miejscowego zwyczaju. Tak nas do osób dyrektoryat składających, ministrów miejscowych i posłów ściślej sprzymierzonych mocarstw zawieziono, t. j. do reprezentantów nowych rzeczypospolitych: holenderskiej, szwajcarskiej, cysalpińskiej, rzymskiej, partenopejskiej i potem do hiszpańskiego posła pana d'Azara, dla którego osoby szczególne miano względu. Skończywszy wszystko, czego wymagało od nas położenie służbowe, udaliśmy się do jenerała Kościuszki, w domu dawnego swojego agenta Barsa stojącego, i znaleźliśmy się między rodakami, co się tam ciągle zbierali. Rodzina kobiet polskich, patryarchalny naczelnik i osób kilkanaście, których imiona obce nam być nie mogły, coś dla nas miały uroczystego: Prozor, Majewski, familia brata jenerała Zajączka i jego żona, Sokolnicki i Fiszer świeżo z niewoli przybyły, Dmochowski

— 132 —

i Szaniawski i co tylko było Polaków w Paryżu, zbierali się tutaj. Z podróżnych byli bracia Czapscy, Mikołaj Sapieha i Wielkopolanów dosyć. Tu mi wspomnieć należy, że zaraz po przyjeździe Kościuszki do Paryża, jenerałowie nasi wygotowali solenny adres do niego, z Rzymu przez nich i oficerów podpisany, gdzie mu wyrazili, co czuli i co tylko wypowiedzieć mogli; ten adres posłany został Kościuszcze przez Zawadzkiego, adjutanta Dąbrowskiego. Przy nim odesłali mu pałasz Jana III legiom z Loretu oddany, z wyznaniem, że jego tylko ręka władać nim jest godna. Wzruszył się do łez starzec, widząc w Książewiczu dawnego adiutanta swego i żołnierza, którego ocenił zdolność i jenerałem uczynił. Okołoło go towarzystwo, a ci, co stosunków z Dąbrowskim nie mieli, widzieli w nim człowieka, co ich szlachetne cele pojmie, oceni i z legionami połączy duchem jednym. Słowem był to dzień dla nas uroczysty, był moment połączenia odłamów, które opinie różne lub miłość własna dzieliły. Wszyscyśmy wezwani na skromną ucztę, która im stół dawnego naczelnika narodu przypomniła, łamali chleb radośnie, sami tylko będąc ze swymi. Zaraz z obiadu udano się do naszej kwatery, a towarzystwo deputacyjnego odłamu, o którym wyżej wspominałem, kazało Szaniawskiemu złożyć akta zbierania się swego, co też on natychmiast dopełnił.

Tymczasem nadchodził dzień naszego publicznego posłuchania; w dawnym pałacu Burbonów okolono wzniesionemi na wiele stopni ławami siedzenia dyrektoryatu, z którego nas miał przyjmować. Miasto odgłosem dnia tego przepełnione było, a każdy pragnął być widzem uroczystości. Chcieli nas poznawać wprzód i ci, cośmy u nich z obowiązku byli, i ci, co z Kościuszką trzymali, przyjaciele amerykańskiego oswobodzenia, towarzysze lub zwolennicy Lafayette'a. Był też i podeszły Kellerman, co w Polsce wojował. On do swej pierwotnej sławy, do pierwszych wrażeń swej młodości, jakby do pierwszej kochanki, rad zwracał uczucia swoje; znał i pamiętał imiona, co mu w konfederacyi

— 133 —

barskiej towarzyszyły; czasem i o wadach mówił, lecz w żarcie jego wesołość i pamięć na ubiegłą przeszłość jedynie się przebijały. Wielu Francuzów, co w Warszawie ostatniej ambasadzie towarzyszyli i z przyjaźnią rozstali się ze znajomymi, Vido,

D.... z ambasady konstantynopolińskiej świeżo przybyły, który tam staroście szczyrzeckiemu był znajomy, co interesów naszych się wyuczył i ze znajomością rzeczy o nich mówił, a Kościuszkę kochał z zapalem, Ségur, co znał Książewicza w Białymstoku, kiedy u pani Ogińskiej gościł: byli to nasi codzienni towarzysze, przewodnicy na nieznajomym nam politycznym świecie i sprawy naszej

obrony. Tak szczęśliwy nam się tu pobyt otwierał. Czemuż nie wtenczas te pamiętniki pisałem! Niejedno wspomnienie, niejedną myśl wytrąciła połowa prawie wieku spędzona w odmiennych sprawach, choć w jednych zawsze uczuciach, a to okruchy są z przeszłości i jako okruchy tylko je podaję.

Przyszedł dzień prezentacji trofeów; proszono generała Książewicza, aby dał naprzód wiedzieć, co mówić pragnął; mowa jego była energiczną, a przygotowana na nią odpowiedź Barrasa zaledwie wspomniała o nas z daleka. Nie zaspokoilo to serca, ale trudno się było ucierać. Rozdano rodakom naszym miejsca, aby dzielili piękny widok tej uroczystości: Kościuszkę między ministrami posadzony został. Myśmy weszli z ministrem wojny, a nasz odrębny strój wojskowy, nasze czapki trójkolorowemu kitami ozdobne, srebrne szarfy, błyszczące ładownice swą nadzwyczajnością wielce się ludowi podobały. Po przemówieniu Książewicza i odpowiedzi Barrasa huczna orkiestra odezwała się hymnem narodowym francuskim, a przy wyjściu oklaski huczne zebranych widzów pochodowi naszemu towarzyszyły. Nastąpiły popisy okazałości i ogromne ucztę szły kolejną: zacząwszy od dyrektoryatu, ministrów i posłów mocarstw sprzymierzonych. Trwało to niedziel parę, w ciągu których za wysoko postawionych mniemać się mieliśmy prawo; pomału to ostygło i czas ogólnego ochłodzenia należało zużyteć

— 134 —

u osób rządowych. Podaliśmy projekt upowszechnienia legij naszym podobnych przy innych armiach, okazując wynikające z nich korzyści. Rząd je przyjął na tej, co i włoskie, zasadzie, aby one auxyliarnymi u utworzonych rzeczypospolitych na ich koszcie pozostały, i w tym celu do traktowania generała Książewicza z ministrami pełnomocnymi upoważniono. Zaczęto od Szwajcaryi, rzeczypospolitą helwecką zwanej; poszły wzajemne noty. Rząd tej rzeczypospolitej tłumaczył się, że oni własną ludność do wojny zdolną w cudze wysłali kraje, aby się tam umieścić mogła, a ubóstwo Szwajcaryi nie dozwala jej podobnej przyjąć myśli. Pan Schimmelpennig, poseł holenderski, zdawał się sprzyjać naszemu celowi i długo korespondencya trwała, nimeśmy stracili nadzieję; stosunki generała z tym ministrem były bardzo ścisłe.

Tu kilkumiesięczną przestrzeń czasu sprawami ówczesnymi zapełnić wypada. Rząd Championeta wyzuł z jego komendy, a on się do Delfinatu na mieszkanie usunął. Na oczekiwane jego dostatki próżno się generał Augereau oglądał, gdy tymczasem one się już do Paryża zbliżały i fakcye z samym ucierającą się rządem wkrótce miały wynieść do najwyższej potęgi. Z drugiej strony koalicya siłami rosyjskimi zwiększona, gotowała się na podbicie Włoch całych i nadzwyczajnego potrzebowała wysilenia w kraju, gdzie rząd swą powagę, a finanse kredyt widocznie traciły. Kwiat armii był w Egipcie, był tam i bohater, co wspaniale prowadził wojny. W Rastadt nie ukończono rzeczy, a napad i śmierć posłanników francuskich, wojskom austriackim przyznawana, zemstę narodową wywoływała. T rzeba też było ocucić martwego ducha ludu, co się już nużył co chwila odnoszonemi zwycięstwami. Armia już opuszczała świeżo zdobyty Neapol, Suwarow miał stanąć na włoskiej ziemi. Myślisz, że to wzruszało lud paryski? bynajmniej. Chłopcy, co roznosili gazety, pierwsi postrzegali obojętność ludu i wielu ich zmówiwszy się razem, wołać zaczęło, że roznoszą nowiny o zupełnem armii włoskiej zniesieniu, choć nic o tem słyhać

— 135 —

nie było; ciekawość ogólna, nowość dawno niesłychana, każdy kupuje i czyta, a sprzedający zmyka w inną stronę. Po przeczytaniu każdy ciska papier z gniewem, poznając, że z niego zażartowano, a chłopcy zbierają gazety, by niemi dalej tę samą sztukę na przedmieściu rozpocząć mogli.

Zabójstwo posłów w Rastadt obrócono w dramatyczną scenę i wspaniały dla nich pogrzeb gotowano, gdy tym czasem fakcye wewnętrzne głoszą, że ich zamordowali podstawieni umyślnie na to przez samych Francuzów: ci, co Bonapartego widoki popierali, mniemanie to w obieg puszczały. Przychodzi dzień pogrzebu uroczystego: wojsko się zbiera na placu Marsowym i szykuje, w środku dla dyrektoriatu wysokie rusztowanie nad poziomem się wznosi. Gdy karawany z ciałami męczenników idą, przed nimi muzyka śpiewem żałobnym oplakuje ich straty, skrwawione suknie leżą na wierzchu i o morderstwie świadczą; za nimi żony i dzieci trochę zanadto harmonijnie płaczą, o wielką brązową machinę uderzają młotem, aby jęk doszedł uszów każdego. Mówi jeden z dyrektorów żałobną mowę, wlatują gońcy z sztandarami na których napis: Wojna, wojna bez przebaczenia angielskiemu rządowi, twórcy nieszczęść Europy! Składają te chorągwie na ołtarzu kraju, porywają, aby je rozwieść armiom francuskim, a ulice obleczone są w afisze, powtarzające napis: wojna Anglii! Tak się ukończyła scena, a lud jakby z teatru powracał. Niektórzy między płaczkami chcieli dziewczęta z opery i baletu upatrywać, ale tak może tylko niechętni mówili.

Podniósł się i w Kościuszcze zapal zrzucenia z siebie ciężaru wdzięczności, jaką wspaniałości cesarza Pawła był winien; ciężył mu najwięcej na sercu dar pieniężny znaczny, który przy jego skromnem życiu mógł mu materyalną zabezpieczyć niepodległość; ten dar zwrócić zapragnął. Sam uczynek, jakkolwiek go sądząc, okazywał człowieka wyższego nad losy, lecz redakcyja listu towarzyszącego mu nie do niego należała. Réveillière le Pau, jeden z dyrektorów, był jego powiernikiem. Styl tego listu spełzł, bo od lat kilku

— 136 —

już Francya innym językiem mówić zaczynała, wyrażenia twarde i niestosowne dla uszu władcy, co w swym czynie szlachetną wspaniałomyślność widzieć miał prawo, obraza nie miała; i czas nie był po temu, aby tak atletyczną walkę rozpoczynać, gdy we Francyi wórożono sobie pozyskać właśnie polityczne z cesarzem stosunki. Nie mojej to siły rozwiązywać zagadki; zdawało mi się przecież, że dyrektor, co na ministra wojny Dubois Crance'go wyprowadził, który jeszcze z Septembrystów pozostał, pragnął obudzać uczucia, któreby wróciły, i pierwszą tęgość i nienawiść, jaką upadający we Francyi republikanie mieli do istniejącego rzeczy porządku, co wreszcie Europy trwał jeszcze. Wkrótce też i wstrząśnienie w samym dyrektoryacie nastąpiło; Réveillière le Pau wyrzucony, a na jego miejsce zręczny Sieyès, poseł przy dworze berlińskim, przywołany został; Talleyrand do interesów zewnętrznych wzięty, a Dubois przez Bernadotte'a zastąpiony. Byliśmy, kiedy się Sieyès jako dyrektor publiczności pokazał: Barras po innych prezentował mu generała Książewicza, jako Polaka z armii włoskiej przyslanego, co się tam ze swymi odznaczył. Sieyès na te pochlebne słowa odpowiedział grzecznie, że w Berlinie także powziął z opinii powszechnej przekonanie o talentach wojskowych naszych ziomków, i że w każdej służbie tę im oddają sprawiedliwość. Generała zabolala ta odpowiedź, bo

wtenczas właśnie przypuszczano podobieństwo, że nas na koscie francuskim formować miano, zawsze jednak z auxyliarności znamieniem.

Po tej w rządzie przemianie Championet oczyszczonym został, nawet do zaufania wrócony, bo go komendantem Paryża naznaczono. Tu mi wspomnieć wypada o drobnostce mającej z tem związek. Chack.... zyskał był sobie względy jenerała, bo mu wiernie i użytecznie usługiwał, kiedy się jenerał z Neapolu z dostatkami swemi cofał, a Augereau na nie zasadzał. Dąbrowski właśnie mundury dla legionów w Medyolanie przygotował i wszystkie wojskowe furgony po nie wyprawił, Chack.... mu w tem swoje ofiarował usługi; być mogło, że i jenerał en chef użył go jako

— 137 —

zręcznego pragnął. Wiedzano po cechach, do kogo one należały i wiadome było ich przeznaczenie. Przeszły kraj bez podejrzenia; mówiono przecie, że z nimi razem przewiezione zostały Championeta dostatki. To było niezawodnem, że on przed zmianą w rządzie już się w Paryżu znajdował, a jako polecony od jenerała en chef, odbierał nawet pewne wziętości oznaki. Mówiono, że przez niego się odbywały z Championetem stosunki; było nawet mniemanie, że Wołodkowicz, którego później w służbie francuskiej jenerałem Henri zwano, jako jadący do Włoch Polak niepodejrzany policyom, odwiózł mu stanowczą odpowiedź. Tośmy tylko pewno wiedzieli, że zaledwie nastąpiła zmiana, znalazł się jenerał Championet, a Wołodkowicz, którego znać wprzód nie mógł, przy jego świetle jako jenerał polski figurował pierwej, niżeli go w aktualnej służbie francuskiej umieszczono. Chack.... zaś, jako domowy i powiernik, poufałości nawet odbierał oznaki: a tak oni przy jednym ogniu, jak przysłowie niesie, i swoje pieczenie upiekli. W tym czasie i Kościuszko i Książewicz, niepewni, czy na formację nowej legii będzie zezwolonem, mistyfikowani przez Chack...., dręczeni się napróżno. Dla niego łatwo przychodziło otrzymywać rządowe paszporta, około niego zbierali się gry towarzysze, on ich rozsyłał do wielkich miast kraju za grą jedynie, a brał dla nich paszporta, jak dla oficerów polskich przeznaczonych do werbunku swoich, jeśliby się tam znajdowali. On takie paszporta pokazywał tym, co u jenerałów bywali, i dawał do zrozumienia, że legię formować będzie!! Jakaż to była bojaźń dla nich, że się coś ukrytego przed nimi knuło! Po powierzchownych oznakach i w stanie rzeczy istniejącym zdawało się to być podobne; trzeba się było do ministra udawać, a Bernadotte odpowiedział, że żadnej o tem nie miał wiadomości, że nie wiedział, jak to komu do głowy przyjść mogło.

Już się też wielkie boje zaczęły w Holandyi. Rosyanie z Anglikami wysiedli, Francuzi ich napadli, Anglicy na okręty wsiedli, a znaczna część Rosyan dostała się do niewoli.

— 138 —

Rząd chciał uspokoić Paryż, pokazując mu tego żołnierza północy, o którym lud miał wysokie pojęcie; komenda Paryża już wówczas w ręce Lefevre'a była przeszła. Gdy więźnia do Paryża przywiedziono, chciano oficerów ich ugościć i oswoić z sobą; zażądano od jenerałów naszych, aby dali wybranych oficerów, którzyby gościnność rządu francuskiego okazali. Nas kilku przyjęło to polecenie, a oni w Saint-Cloud umieszczeni być mieli. Kazano nam wozić oficerów po teatrach i okazywać osobliwości miasta, pilnować dostatecznej żołnierza wygody. W pierwszym celu mieliśmy asygnację do kas rządowych w Paryżu; lecz w przygotowaniu do wojny tak one wyczerpane zostały, żeśmy próżno do komendanta jenerała Lefevre wrócili, a on nam ze swoich wyliczyć kazał. Nazajutrz więźniów do Paryża wprowadzono, tak marszem kierując, aby ich na ważniejszych ulicach miasta widziano. Wezwano Kościuszkę i Książewicza, aby się na balkonie domu Kościuszki znajdowali, gdy oni przechodzić będą, i ostrzeżono prowadzonych, kto tam miał na nich poglądać; jakoż mu się z uszanowaniem i ciekawością przypatrywali, bo tam oddziały ich jakby dla krótkiego wypoczynku zatrzymywano.

Jednego z poranków, któreśmy powszechnie nad jaką robotą do nowej formacji potrzebną w kwaterze spędzali, wszedł do nas urzędnik i oświadczył, że był od dyrektoriatu posłany, który jenerałowi Książewiczowi broń honorową przysyła. Był to wówczas jedyny sposób wyższego wynagradzania i oznaka zadowolenia rządu. Pałasz miał na sobie napis świadczący, że go dyktoryat w nagrodę zasług ofiarował; przy nim była para pistoletów umieszczona w pięknej szkatułce z takimże napisem. Dar ten pochodził z fabryki rządowej w Wersalu, gdzie arcydzieła na dary dla monarchów sprzymierzonych służące wykonywano.

Pierwsza ta nagroda którą rodak odbierał, była wielką pociechą dla nas wszystkich mieszkających w Paryżu. Zebrał nas Kościuszko na skromny obiad, radość była powszechna, a przy spełnionym toaście naczelnik się odezwał:

— 139 —

»I ja z mej strony ten dzień uczcić pragnę; gdym z niewoli przez Sztokholm powracał, wysłano na przeciw mnie szalupę, którą do portu odpłynąć miałem; majtkami na niej byli oficerowie marynarki, co na ten raz swych stopni się wyrzekli i służbę najniższą dobrowolnie pełnili. Gdy mnie przed królem stawiono, dał mi w podarunku pałasz, mówiąc o dawnym narodu swego z naszym związku«. Kościuszko zakończył mowę tem, że się spodziewa, iż mu jego sprzęty wkrótce z Ameryki nadejdą, a on pragnie tym orężem Książewicza obdarzyć i ten mu dziś wobec przytomnych ofiaruje. W jednym dniu dwa tak piękne dary Książewiczowi ofiarowane zbyt głęboko utkwiły w mojej pamięci i nadto sercu były miłe, bym o nich mógł zapomnieć. Zdaje mi się jednak, że czy to z powodu nienadejścia rzeczy z Ameryki, czy dla osłabienia stosunków między jenerałami, czy z jakich innych powodów, ale żyjąc lat wiele z Książewiczem poufale, nigdy u niego pałasza tego nie widziałem. Wyszukaćby go należało, jako szacowną pamiątkę.

Miedzy rodakami naszymi znajdującymi się w Paryżu mało natenczas było osób, coby się wyłącznie naukom poświęcały; później jenerał Sokolnicki był najczynniejszym w tym względzie, i miał nawet zaszczyt zostać członkiem korespondentem Instytutu narodowego. Uważano go wówczas jedynie za podróżnego i przejeżdżającego; usposobiony wychowaniem i później w artyleryi służąc, postąpił w matematyce; architektura i rysunek były mu ulubionem zatrudnieniem w Paryżu, nauki fizyczne wyłącznym jego przedmiotem. Niegdyś z akademii krakowskiej wysłany przez prymasa Poniatowskiego Maliszewski osiadł w Paryżu; ożenienie dało mu stosunki, był komisarzem ordynatorem przy armii; ale i naukami się zajmował, do pism periodycznych pisał i artykuły jego chętnie przyjmowane były. Markowski w sztuce lekarskiej (także od akademii krakowskiej dla nauki przysłany) zaczął swój zawód przed rewolucją; przeznaczony do dozoru politycznych więźniów, zasłużył na uwagę tych, których pielęgnował, i zyskał sobie ich szacunek, który mu

— 140 —

i cesarzowa Józefina przed wyniesieniem swem okazywała. Człek łakomy nauki, przechodził od jednej do drugiej, szanowali go uczeni; pamiętam, bom był tego świadkiem, jak go Fourcroy z naleganiem wzywał na egzaminatora swych dzieci wracających z

Londynu, o ile w naukach postąpiły. Później był profesorem chemii w uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Z wojskowych Fiszer i Kossecki, ciągle oddani naukowej lub wojskowej naprzemian pracy, posuwali się do swego wyższego później stanowiska. Gawroński, podpułkownik artylerii, do nich się zaliczyć może; obyczajnie łagodne, charakter uprzejmy, ale bez tęgości ducha, nawykły do wygodnego bytu, zbyt łaskotliwym okazywał się na niedostatek, który drudzy ze stoiczną znosili cierpliwością. Później dla braku energii tragiczny spotkał go koniec.

Sokolnicki pragnął coś wykonać nowego, w czymby jego pomysły i uzbierane wiadomości zabłysnąć mogły; zajął się w tym celu ułożeniem planu fantastycznego domku, w którym nauką zdobyte czary miejsce dawnych zastąpić miały. W nim i codziennego życia potrzeby obok naukowych zajęć nie schodziły mu z oczów. Wieżyczka nad nim zamykać miała teleskopy i zwierciadła, w którychby widział, jak czeladź jego rolę uprawia; w domu ukryte w ścianach wkłęsłości odnosiły mowę ze wszystkich zakątków mieszkania do uszu pana, któryby nie potrzebował doniesienia o tem, co się u niego działo; mnóstwo podobnych inwencji czyniących ten domek zaczarowanym, wyszło mi już dziś z pamięci. On o nich mówiąc, pieścił się temi wynalazkami i obszernie tłumaczył ich cele i sposób dokonania. Wolno mi czasem było podzielać z nim godziny, prosił mnie nawet, bym mu upatrzył kogo możnego, coby swym nakładem myśl jego do skutku przyprowadził, a ja mu staranie moje uroczyście przyrzekłem.

Wtenczas właśnie improvizator Gianni pracował nad poematem: *Bonaparte in Italia*; jam z nim był ściśle związany, bom chciał skorzystać z jego społeczności. Fantastyczność rozwinięta później w literaturze XIX wieku, tlała już

— 141 —

w duszy włoskiego wieszczka. Zaniósłem mu o tym domku nowinę, a on postrzegł, że do wątku wypadków jego poematu przydać mu się ten pomysł może. Uprzedziłem Sokolnickiego, że jest bogacz, co jego pracę chce rozwinąć i urzeczywistnić, i artystę z magnatem zapoznałem. Im lepiej Gianni uczył się nadzwyczajności wynalazków Sokolnickiego, tem to wynalascę więcej cieszyło. Gianni istotnie zastosował myśl jego do poematu i wkrótce czasie przeczytał mu swój domek czarodziejski, wykonany z planu Sokolnickiego. Mówiono mi potem w Warszawie, że po powrocie do kraju siostra Sokolnickiego wykonać go chciała i całe swe mienie w to włożyła; lecz co poeta opisał, tego murarze i artyści polscy wykonać nie mogli i tak się tylko na stracie przez nią poniesionej skończyło.

Tento Gianni pobratał mnie z emigrantami włoskimi, którzy w Paryżu natenczas mieszkali. Ceracchi, znakomity rzeźbiarz, Morosi, geniusz w mechanice, mieli tu poważanie i wielkie stosunki. Lucyan Bonaparte był ich protektorem: przebywali często w domu Letycyi, matki jego. Arena należał do ich towarzystwa. Jakże nie miało być mi miło z ludźmi takimi zbliżyć się i zawiązać stosunki, codzień stające się silniejszymi. Mówili mi, że są członkami europejskiego klubu, który miał drogą poszanowania wszystkich narodowości połączyć je w jedno ciało, że każdy już naród ma w nim przedstawiających go członków i że mnie także przyłączyć do siebie pragną. Jakoż wprowadzili mnie z sobą; najgłębsza tajemnica była duszą czynności, jam nie był gadatliwy. Widziałem Lucyana Bonaparte, który przyjmował, Arenę, który rzecz wykladał, Ceracchi, co Filadelfię reprezentował, Engeströma, który w imieniu Szwedów mówił, jakże mi to pochlebiać nie miało? Każdy z członków mógł dwóch tylko asocjować i tak wszyscy następnie; oprócz na głównem zebraniu nikt z nikim więcej, jak ze swymi dwoma nie miał mówić o rzeczy.

Zdawało mi się, że w ten sposób urządzona propaganda była zupełnie bezpieczną, lecz gdym później do

— 142 —

Paryża wrócił, już Arena i Ceracchi, jako konspiratorowie rozstrzelani zostali, a mój Gianni, choć ocalony, na czwartem piętrze zamknął się od ludzi daleko i z trudnością widzieć się z nim mogłem. Żem się między swymi nie wydawał z niczem, skończyło się to na mojej własnej trwodze. Co do naszych rodaków, to ci się ciągle skarżyli na Dąbrowskiego, że z nimi ściślej unika stosunków, wołali, że potrzeba, aby Kościuszko na czele legionów stanął. Zajączek mianowicie, brat jenerała, ciągle o tem predykował, a nawet wiele rządowych osób tą myślą się przejmowało.

Pod tę właśnie porę Sokolnicki do Wielkopolski jeździł do rodziny swojej; wioził z sobą coś tokarskich robót naczelnika, bo to była najmilsza Kościuszki rozrywka, wioził też i wiele portretów Jeffersona, wytłoczonych blachą z rysunku naczelnika przez niego wyróżnietą, bo Kościuszko pragnął w ten sposób pamięć przyjaciela zachować i zespolić ze swoją. Sokolnicki nie zapomniał poozdabiać w Paryżu robót Kościuszki, poświęcając je nawet niektórym wyłącznie w kraju osobom, i powiózł je z sobą; stąd wieść urosła, że obudzone współczucie pobudziło do znacznych składek, z którymi Sokolnicki miał powrócić. Sama wieść o tem nieprzyjemne na naczelniku sprawiła wrażenie, cóż dopiero, gdy potrzebniejsi zbierać się zaczęli, dowodząc, że w tych składkach i dla nich powinien być udział. Kościuszko oświadczył, że nic nie pragnie dla siebie; inni oczekiwali przyjazdu Sokolnickiego niecierpliwie, z wierzycielami drobnymi do tego się czasu układając. Mógł był Sokolnicki mniemać, że go otaczało tak wielkie przywiązanie: tylu się zbiegło na odgłos jego przybycia, towarzyszyli mu nawet do mieszkania Kościuszki i zdziwieni, że jeszcze sum zebranych pomiędzy nich nie dzielił, odeszli zniecierpliwieni. Nazajutrz wysłali brata jenerała Zajączka, który mieszkając z liczną rodziną zapewne do potrzebniejszych należał; ten na Kościuszkę silnie nalegał, jak o własność publiczną domagając się. Kościuszko kazał prosić Sokolnickiego, a gdy ten przyszedł, oświadczył,

— 143 —

że ze składek nic korzystać nie ma potrzeby ani zamiaru i że je do podziału między potrzebniejszych przeznacza.

— Z jakich składek? spytał Sokolnicki.

— Z tych, które dla naczelnika zebrałeś.

— Byłem u mojej rodziny i co mi ta w pomoc ofiarowała, to dla siebie przywiozłem. — Zawiedzione nadzieje łatwo do zarzutów przywiodły, może też do zupełnie urojonych. Lecz to Kościuszkę od Sokolnickiego przykro odepchnęło, bo mu donoszono, że nie kilka naczelnika prac, ale wiele podstawionych ubocznych robót użył za upominki od niego i że się one nie samym osobom przez Kościuszkę wybranym dostać miały. Tę przykrą między naszymi wrzawę przerwała wiadomość, że uroczystem prawem formować mają legią. Nakazano ją złożyć ze czterech batalionów po 1.200 ludzi, z kompanii artylerii konnej i regimentu kawalerii; wodzem jej naznaczony był jenerał Kniażewicz. Cały więc ruch krajowców naszych obrócił się w tę stronę. Jednym szło o umieszczenie osób, wielu o polityczne jej znaczenie; znajdowano, że chybiono, nie zowiąc ją auxyliarną

rzeczypospolitej francuskiej, a bardziej jeszcze wołano na nazwanie jej naddunajską; inni za złe mieli, że nie jest dalszym ciągiem legionów włoskich, że się nie łączy z niemi i odszczepieństwo zaprowadza. Dokonanie jej legalne winniśmy byli wpływowi generała Joubert, pracującego gorliwie około uorganizowania sił krajowych, któremu powierzonym było zebranie sił francuskich, wielu bitwami rozproszonych; nad niemi nawet głównokomenderującym był mianowany.

Odtąd był wielki nacisk do umieszczenia przy początkowej pracy; generał Książewicz z własnych widoków zaspokojony wyższemi zdolnościami Kosseckiego, mnie z Fiszerem do formowania pierwszego depôt, jako szefów batalionu przeznaczył. Formacya ta otwierała wrota ocalenia dla wielu szlachetniejszych osób wznoślejszego ducha, co nędzę znosić wołały, niż prosić u kogo; a w jakim milczeniu i z jaką to czynili wytrwałością, niech mi się przykładem objaśnić to godzi. Fiszer szacowany od wszystkich, towarzyszył w dniach

— 144 —

niedoli Kościuszki, zawsze w zgromadzeniu wesoły, lecz nauce swego rzemiosła poświęcony, wielce był zamknięty i nigdy obiadów cudzych dzielić nie pragnął. Przyznawano to jego naturalnym usposobieniom lub w niewoli nabytej mizantropii; miał on dla mnie wiele przyjaźni, żem z jego światła korzystać pragnął. W bibliotece publicznej albo w jego domu, nad książką lub nad pracą przepędzaliśmy wiele godzin w milczeniu. Ja tłumaczyłem regulamin wojska francuskiego, lub to, co do służby polowej oficera ukształcać mogło, on chętnie moją przeglądał pracę. Mało kiedy do przechadzki z sobą wzywał, szedł zamyślony, a ja mu nie przeszkadzałem. W jednej z przechadzek zrobiło się słabo Fiszerowi, jam nie dochodził przyczyny; lecz że to było na ulicy fiaków, jeden, cośmy go mijali, zawołał: Pan jesteś osłabiony, oto powóz na usługi.

Fiszer mu odpowiedział porywczo: Jam dwa dni nie jadł, a ty chcesz, abym ci za przejażdżkę płacił? — Doszło to uszów moich, lecz się już Fiszer poskromił i coś pogodniejszego do mnie przemówił; zachowałem milczenie, a wróciwszy mówiłem generałowi o zdarzeniu.

— Źle umieszczona delikatność, odparł, ale on zawsze był takim. Niewiele mamy, podzielić trzeba, ale jak zrobić, żeby on to przyjął? — I wyniósł ładunek ze stu talarami. — Masz, a jak to zrobisz, zostawiam tobie. — Zdawało mi się, żem wynalazł środek: poszedłem do znajomej apteki, gdzie pieniądze obwinęto z napisem: »Do użycia Fiszera, mieszkającego przy ulicy... w domu...« Odniesiono do dozorczy bramy, aby mu to wręczył; ja zaś o zwykłej godzinie przyszedłem z tem, com wygotowałem w domu z tłumaczenia mego.

Na moje wnijsie rechwach: To twoja niechybnie sprawa być musi! — Postawiłem się zimno, a on zmieszany opowiedział mi, że go ktoś za jałmużnika bierze.

— Czekałem na ciebie, bo świadka mieć pragnąłem; pójdziesz ze mną do szpitala Ś. Łazarza, tam są potrzebniejsi odemnie, niech się za dającego modlą, kiedy ja

— 145 —

jałmużny odesłać nie mogę, bo nie znam śmiałka, co mnie nią potraktował. Ofiarowałem mu się towarzyszyć i to go wyprowadziło

z podejrzenia. W drodze przedstawiłem mu, że są i nasi w potrzebie i przypomniałem podpułkownika Gawrońskiego. Ale on nie przyjmie! zawołał. — Co to szkodzi? spróbujmy — rzekłem. Gdyśmy do domu weszli, Fiszer z takim się skarżył oburzeniem, jakby mu się sroga krzywda stała; pomiarkował Gawroński, bo znał przyjaciela i kolegę z drażliwości jego.

— Istotnie, rzekł, potrzebuję i przyjąłbym, bo to się zapewne uczciwy człowiek z nami dzieli, ale kiedy ty to sobie uważasz za krzywdę, jakąż mnie czynisz, jakbym ja zarówno z tobą niedostatku znieść nie umiał? Fiszer ochłonął i spytał: Cóż chcesz żebym z tem zrobił? — Przełam ładunek przez połowę, nie miej się za lepszego od drugich, bo jak potracimy siły w niedostatku, to się później na nic nie przydamy. Będziemy jeszcze mieli, to i my się z biedniejszymi podzielim. — Ostygnąwszy, przełamali ładunek i jakoś spokojniejsi się rozeszli.

Później zbliżywszy się do Fiszera, przekonałem się, że on już od miesiąca żył jeden dzień chlebem z serem, a drugi chlebem i wytłoczynami z winogrodu. Nikt się przecież nie domyślał jego położenia ani on go nikomu nie odkrył.

Źle szły rzeczy we Włoszech, gdzie się koalicja zgromadziła; Dąbrowski widział nękane legie, lecz ani energii nie stracił ani nadziei ich odbudowania. W Marsyli uformowawszy depôt, zgromadził, co pozostało i co się uzbierać dało, i odrodził je znakomicie, bo w miejscu sześciu tysięcy dziewięć na nowo sformował. Ważna epoka, zbliżał się powrót Bonapartego; chociaż zostawił w Egipcie Klebera i Dessaix, sam wystarczał na odrodzenie pomyślności. Co do nas, to mając o wszystko traktować, co do zaczęcia legij było nieodbitnie potrzebem, wysławszy po zakładach, gdzie jeńców wojennych mieszczono, by między nimi wyszukiwać rodaków, sami bawiliśmy w Paryżu, przypatrując się pilnie miejscowym wypadkom. Przybycie generała Bertier uprzedziło

— 146 —

o niewiele powrót Bonapartego: byli, co go u pani Visconti widzieli, bo z nią miał bliższe stosunki, i zapewnić mogli, że wieść o powrocie nie jest częścią pogłoską tylko. Nakoniec jest już w Paryżu; biegną najcenniejsi generałowie, co później nosili buławy marszałkowskie, na walną z nim naradę. Wielki militarny obiad przez radę pięciuset ma być dany; na niego Kościuszkę i Książewicza wezwano. Tymczasem Bonaparte dyrektoryat odwiedza; jedzie na zgromadzenie rady pięciuset; stamtąd prosto do Kościuszki wieść się każe. Była to godzina, gdyśmy właśnie u niego byli; wszedł bohater do naczelnika naszego, a pierwszym jego słowem było: Chciałem usilnie poznać bohatera Północy. Kościuszek odpowiedział mu skromnie, że jest szczęśliwy z widzenia zwycięscy Europy, bohatera Wschodu. Niedługo zapewne bawić miał potrzebę, a powiódłszy po nas oczyma, witał Książewicza, jako znajomego sobie. Stąd dopiero do rady starszych i do ministra wojny pojechał.

Zwyczajem znanym w Paryżu przekupki od składów żywności, jako korporacya cała wizytować zwykłe, przyszły i do niego. Naczelnicy fakcyj powszechnie przyjmowali je z uprzejmością, bo one w tłumnych zaburzeniach Paryża wielką grały rolę; tu pierwszy raz zapewne zawiedzione zostały. Bonaparte odparł je niespodzianie, mówiąc: Wyście witały z poklaskami Robespierre'a i przed Burbonami równie ochotnie płaszczyć się będziecie. Krótco potem Bonaparte mianowany został komendantem Paryża; skarb był wycieńczony, wojsko w upadku. On, co znał nadużycia w nieporządku popełniane i bogactwa krajowe w ręku administratorów zagrzeżłe, ściśle ich dostatków uczynił u siebie obliczenie i wyznaczył proporcję, wedle której do ratunku kraju przyczynić się byli powinni. Zapowiedział, że zażąda obwołania niebezpieczeństwa ojczyzny, które dawało

prawo do dyktatury, a ta do majątku i życia każdego. Tą drogą wycisnął przecie ogromne sumy, na uzbrojenie nieodbitcie potrzebne, i temi zaraz rozporządził dla armii, co pod Marengo zwyciężyć miała. Tymczasem pozyskawszy radę starszych, miał

— 147 —

rozporządzenie od niej, aby rada pięciuset, od której doznawał oporu, do Saint-Cloud przeniosła posiedzenia swoje. W wigilię przeniesienia tego, które się tajemnicą jeszcze być zdawało, kazano garnizonowi stanąć pod bronią i każdemu wojskowemu, co się znajdował w Paryżu, być tam przytomnym. Garnizon nie był wielki, ale oficerów liczba bardzo znaczna. Z większą częścią tych jenerałów, których imiona świetnie błyszczały, zdawało się, że Jourdan był fakcyi przeciwniej dowódcą. Na tę myśl naprowadzony zostałem z tego, co nam jako dowódca w Turynie później mówił.

Garnizon pod bronią. Gdy cały Paryż był zwykłym swym codziennym zajęciom domowym oddany, same tylko wojsko w ogrodzie Tuilleries żadnej nie zapowiadało niespokojności. Patrzyliśmy na zwycięscę, co się spokojnie przed szeregami przechadzał, nie przeglądając jego przyszłości. Pierwszy Sieyès, jeden z dyrektorów, jak prywatny człowiek z nim się przechadzał, naradzając godzinę może. Dopiero adjutant wielkim głosem zawołał: Barras w drodze do Belgii aresztowany na wyjeździe z Paryża, jak z nim dalej postąpić należy? zdało się, że rzecz poszła już w układy. Puścić! odpowiedział Bonaparte, tak żeśmy to nawet słyszeć mogli. Potem rozkaz dzienny, że armia ma natychmiast do Saint-Cloud maszerować, i obecni oficerowie są wezwani. Takeśmy ruszyli, pytając się wzajemnie, coby to znaczyć miało; gazeta wieczorna doniosła każdemu, że się tam władze prawodawcze na dzień następny przenoszą.

Nazajutrz z rana pałac Saint-Cloud był otoczony obozem; sala rady pięciuset miała i nas spokojnymi widzami, a Lucyan Bonaparte był jej prezesem naówczas. Przed dyskusją nawet już wrzawa i niepokój panowały między członkami; Bonaparte był na radzie starszych, gdzie rozwiązanie rady pięciuset i nową konstytucję konsularną układano. Po jej ukończeniu z papierem w ręku zbliżał się już pierwszy konsul ku sali; wrzawa w izbie do rozruchu się zbliżała, a Lucyan dla uspokojenia wedle formy nakładał kapelusz, bo gdy to prezes uczynił, podług egzystującego prawa nikt

— 148 —

mówić ani się ruszyć z miejsca legalnie nie mógł. Nasze oczy ku drzwiom zwrócone oczekiwały sceny.

Wszedł Bonaparte, lecąc ku niemu z wściekłością deputowani i Arena z pugnałem w ręku. I tu się biedny Polak zamieszał. Bawił w Paryżu niejaki pan Szalcer, Polak, utrzymywany z Warszawy hojnością niewiadomej nam osoby; on się najbliżej znalazł i piersią swoją Napoleona zasłonił. Bonaparte wchodził, pieniąc się ze złości na ten napad, nie był krwi zimnej wcale, ale bębny do szturmu były i Murat na czele grenadyerów z bagnetami do sali leciał. Był to napad legalny; prezes bowiem, nakrywszy głowę, widząc izbę w takim rozruchu, zszedł dobrowolnie z krzesła do wchodzącej warty i z nią się połączył.

Deputowani łamali okna wychodzące na otaczający izbę ogród. Każdy z nich swój płaszcz, ubranie obrzędowe i piórami ozdobioną czapkę ciskał, a sam szukał schronienia. Wojsko pod bronią stojące nie ścigało nikogo, rozręczano tysiącami biuletyn opowiadający o zmianie rządu przez radę starszych ogłoszoną. W Paryżu spokojnie to przyjęto, a nas powracających pytano tylko o część dramatyczną tej politycznej sceny. O poświęceniu się Szalcera żadne opisanie urzędowe nie wspomniało, choć o pugnałach pisano wiele.

Paryż pozostał spokojnym, a wkrótce wystawa płodów krajowych w Luwrze nastąpiła, którą rząd nowy uświetnił swą przytomnością. Na niej użyto wszelkich ostrożności po tak świeżej zmianie: docisnąłem się przecie, abym ja widział. Konsulowie w pąsowym haftowanym stroju, wyfryzowani, mieli głowy odkryte z potrzeby zachowania utrefienia swego. Pierwszy konsul ze swym czarnym krótkim włosom, sam jeden miał kapelusz wojskowy, frak jego był aksamitny, kiedy tam tych sukienne były, i wyglądał na jenerała, którego kancelarya otaczała z uszanowaniem. Jego wojskowi adjutanci wprzód każdy oddział badali, czy się w nim kto niepotrzebny nie znajduje, a po ich dopiero wyjściu publiczność z widoku wystawy korzystać miała pozwolenie. Tyle

— 149 —

tylko dziś w mojej pamięci pozostało, ale za to następna okoliczność, do której się coś naszego przymieszało, lepiej mi jest przytomna. Dom Kościuszki był zawsze zbiorem osób, które republikański miały pociąg; musiały się czasem wkradać indywidua szpiegujące, coby o nowej zmianie myśłano i mówiono. Kościuszkę pozwalał sobie otwarcie o tem mówić i choć widział korzyści tej zmiany, w wykonaniu zawsze przywłaszczyciela upatrywał. Miał on osobiste stosunki z osobami dyrektoryatu, może nawet upadek ich był mu bolesny; to przynajmniej pewna, że stosunki jego z nowym rządem nigdy przyjaźnie rozwiązać się nie dały, lecz tylko ubocznie i przez pośrednie osoby, co następne dowodzi zdarzenie. Senator Garat chciał się zbliżyć do naszych ziomków i o tem z Barsem mówił, że radby ich u niego zebranych widział. Dano mu obiad, na którym nam być pozwolono, uczta odbywała się przyjaźnie; kwestya była ważna. Mówił Garat, że pierwszy konsul widzi prędki środek odrodzenia dla nas i nam go powierza; wszyscyśmy bacznie słuchać poczęli.

— Wojny mają różną kolej, odległości są trudną do zwalczenia przeszkodą, lecz geniusz ma nadzwyczajne środki przed naszym prostym ukryte wzrokiem, i dla panów ich użyć pragnie. On pojął uczucia, energię i widoki cesarza Pawła; widzi, że pragnie uczynić coś wielkiego, coby jego panowanie uświetnić i wywyższyć mogło. Pierwszy konsul pozyskać go pragnie, chce go ogłosić pośrednikiem pokoju Europy, jako monarchę, który sojuszu z sąsiednimi ludźmi, nie podbojów pragnie. Konsul pewien jest dobrego skutku swoich zamiarów, w których wykonaniu wam najważniejszą rolę poleca, jeśli ją szczerze spełnić zechcecie. Ma około trzydziestu tysięcy (?) jeńców, ubierze ich, uzbroi i odeszle cesarzowi na znak przymierza. Jeśli myśl jego przyjąć zechcecie, on i was odeszle równie uposażonych, a we wspaniałomyślności cesarza widzi rękojmię waszego przyszłego bytu. Anglia, którą cesarz równie z nami uważa za przeciwniczkę, ujrzy nasze wspólne siły połączone, grożące

— 150 —

głównemu siedlisku ich bogactw, a może nad brzegami Indu roztoczone obozy nasze; resztę Europy umiarkowana polityka do ogólnego związku doprowadzi. Wyznajcie, że tak obszerną myśl jedynie tak wielki człowiek do skutku doprowadzić może....

W końcu już tej mowy rumieniła się twarz naczelnika, gdy Książewicz błyszczał nadzieją; zniecierpliwiony Kościuszko nie mogąc stłumić niechęci, wybuchnął gorąco, sprzeciwiając się tej myśli. W tem i Książewicz się burzy. — Jenerale, rzecz, nie sam jesteś całym narodem, pozwól nam o tem pomyśleć i własne mieć także mniemanie. — Tak się skończył obiad i powszechne nastąpiło milczenie. Garat nie rzekł i słowa, pożegnał się grzecznie, a reszta się spokojnie rozeszła. Naczelnik mnie i Fiszerowi pozostać z sobą kazał.

Powszechnie ludzie wielkim poświęceniem zamiarom, kiedy im się los sprzeciwia, szukają w przeszłości świadectw zemsty, jakiej nad tylu znakomitymi ludźmi przeciwnicy się dopuszczali, i widzą około siebie zdrady, zabójstwa, trucizny. Pod wpływem tak smutnego wrażenia naczelnik zostawał. Dzień piękny wywabił i kobiety z domu, samiśmy tylko przy nim z Fiszerem zostali, kiedy się do nas tak odezwał: Liczę na was, jako na ludzi uczciwych, a sam dyskrety waszej i wam się wyłącznie powierzam; upakujcie jak najprędzej, co tu jest mojego, najmiejcie fiaków, wynoszę się z tego domu. Tu nawykli do mojego pobytu skierują zapewne środki, jakie do pozbycia się mnie ułożą; zróbcie to natychmiast, dopóki nikogo nie ma. Najmniejsze spóźnienie dla mnie straszne; spieszcie się i milczcie, jakbyście o mnie nie wiedzieli. — Gdyśmy się krzatali, on się niecierpliwił niezmiernie, a gdy już wszystkie rzeczy były w gotowości, wynieśliśmy je do najętego powozu. Wtenczas odezwał się naczelnik: Lepiej jest, żebyście i wy nie wiedzieli o moim mieszkaniu, lecz ja z wami stosunków nie zrywam i każdego dnia o trzeciej z południa chcę się z wami spotkać na jakimś umówionym bulwarze; na dzień jutrzejszy naznaczam schadzkę koło pałaców rządowych na bulwarze Magdaleny. — Potem

— 151 —

się wieść rozkazał, a myśmy do naszych mieszkań odeszli. Gdy Bars do domu z rodziną powrócił, zastał dom ogołocony z człowieka, co był jego ozdobą; znosił zapytania odwiedzających osób, nie wiedząc, jaką im dać odpowiedź. Wieść obiegła ziomeków naszych i znakomych przyjaciół Kościuszki; wniósł ją do domu jenerał Książewicz, a moje położenie okropnem się stało. Przetrwiałem to spokojnie, on się domyślać nie mógł, żebym co wiedział, i łajał mnie, że tak spokojnie tego słuchałem.

— To może być tylko skutkiem zdziwienia; nie ręczę, czy już może nie wsiada w jakim porcie na okręt do Ameryki, tak jak wprzód, gdy wyjeżdżał ze Stanów Zjednoczonych, nikomu się nie zwierzył i porzucił Niemcewicza, co mu w niewoli towarzyszył. Nawet Washingtonowi nie zaufał, bo mu się zdawało, że i on do stronnictwa przeciwnego mu należy. Tak może teraz o niejednym z nas mniema. Któż mu winien, że płochemu Francuzowi dał za siebie pisać do cesarza? tam ten z bruku pozbiierał demagogów wyrażenia albo wykrzyki ówczesnych dramatów i to napuszone w liście umieścił.

Był ktoś z naszych, co się chciał ze swej strony do rozmowy wmieszać i odesłanie pieniędzy ganił, dowodząc, że gdy ich naczelnik nie przyjął, one do innych jego współziomeków należały. — W Panowie tylko na pieczone gołąbki czekacie, odparł Książewicz; macie dwie legie, co was wzywają i z bruków ciągną, macie broń, sławę i nadzieję, a czekacie, skądby wam jeszcze na restauracye i teatru dostarczono. Cesarz Paweł dał wspaniale, wolno było Kościuszcze daru nie przyjmować, ale nie należało zapominać, że winien był wdzięczność.

W dniu następnym byliśmy z Fiszerem na schadzce nam wyznaczonej: zastaliśmy Kościuszkę pewnego, że go nikt nie pozna, bo to nie było miejsce ogólnych przechadzek i rzadko się w tej znajdował stronie. Kazał wyszukać garkuchnię z osobnem miejscem, gdziebyśmy we trzech odłączyli obiadować mogli. Pytał nas, co o nim mówią. —

— 152 —

Mniemają, żeś się może do Ameryki puścił, nie opowiedziawszy nikomu, odrzekłem. — Gdyby to był Niemcewicz, byłbym pewien, że to jego domysł, bo ja go zostawiłem samego; wyznaję, że nieufny, ale dziwnaż to po tylu doświadczeniach? W Petersburgu, gdy byłem w niewoli, przyszedł do mnie Samoïłow, prokurator senacki, i zapytał mnie, co robił tajemnie w Paryżu po rozwiązaniu sejmu i armii. Tak byłem pewien, że o tem nikt nie wiedział, że się śmiało wszelkiej czynności zaparłem. Wtem on dobył papier moja pisany ręką, który ministrowi sam na sam wręczyłem; z naszych nikt nawet o tem w Paryżu nie wiedział oprócz Maliszewskiego, co mi do układania pomagał. Gdyby się rzecz na słowach była skończyła, byłbym go o lekkość posądził, ale to było własnoręczne pismo moje. W Ameryce byłem ostrożny, słabością tłómacząc odludność; tam się z całego świata włóczę ludzie ciekawi, są to mimowolne szpiegi, to mówią i piszą, co wddzieli i słyszeli. Niemcewicz, jako literat, był ich ciągłym towarzyszem; oni mniemali, że on jest moim doradcą lub mentorem, i wyznaję, że mnie to znudziło: więc gdy Jefferson osądził, że do porozumienia ich z Francją mógłbym być najdzielniejszym pośrednikiem, przyjąłem tę misję bez urzędowego upoważnienia. Liczyłem na pryncypia Jeffersona, przyjaciela mojego, stojącego na czele rządu, od którego się Washington usuwał. Nakoniec my oba z Washingtonem podobną mieliśmy rolę: jego szczęśliwym uwieńczona skutkiem, moja upadła. Wyższość z jego strony obudzała ciągle porównania łaskotliwe dla miłości własnej... Po wielkich miastach łatwo o łotra, co za małą kwotę podejmie się występku. To mnie i teraz zmusiło usunąć się do domu, w którym by na jakiś czas o mnie zapomniano. W niewoli leżałem dzień cały, jak na nogi kaleka, albo na krześle siedząc, toczyłem sobie, a w nocy uganiałem się po mojej izbie, aby tem brak ruchu nagrodzić. Dobrze jest towarzystwo ludzkie, ale w szczęściu; w złej doli biada temu, co sam sobie dostarczyć roztargnienia nie jest zdolny. Wreszcie środki moje coraz mniejsze oszczędniejszego wymagają

— 153 —

życia, bo to tylko mam, co mi przysłano za darowaną w Ameryce ziemię, którą teraz sprzedawałem, a chcę poprzestać na swoim

W ostatku przekonali się wszyscy nasi, że Kościuszko tylko przeniósł mieszkanie: odwiedzano go nawet, on nikogo, i szło o to ciekawym, jak czasem swym rozporządza. Pytano się, badano, nie wiedząc nic przecie. Nasze z nim schadzki trwały i w coraz innej stronie; dla Fiszera były dogodne, dla mnie kłopotliwe. Oddałem się pracy przykuty do izdebki mojej przez cały czas, który jenerał poświęcał swym w mieście zatrudnieniom. Dnia jednego wybrał taką godzinę Kościuszko, do drzwi moich zapukał i kto jest, oznajmił. Uczułem całą wielkość łaski i biegłem, aby mu otworzyć; lecz wszedł, nie żeby mnie odwiedzić, ale wyłajać. W życiu przykrzejszego nie miałem wyrzutu ani go też mocniej uczułem. — W Panu zdradziłeś moje zaufanie, rzekł, rzuciłeś kość niezgody, zrobiłeś plotkę z tego, co dla mnie jest potrzebą, i t. d. — Zbladłem, lecz ust otworzyć nie umiałem. — Panu jenerałowi Książewiczowi żartobliwie opowiedziałeś zapewne moje dla was ufność, już z tego dramatyczne osnują powiastki; mówią, że się rodaków boję, że się po przedmieściach kryję, że z wami po gargotach jadam. Fiszer nie widuje nikogo, to W Pan sam mogłeś porobić podobne zwierzenia.

— Nie mówiłem nic nikomu i zapewne na groźniejszy zarobię wyrzut od jenerała, z którym przyjechałem, a tam ten słusnie mi się należeć będzie. Tu zaś sumiennie ręczę, że dochowałem danego słowa święcie. — Nie spodziewałem się tego od rodaka i takiej zapłaty za zaufanie moje.

Były to ostatnie słowa, które mnie śmiertelnie raniły; z niemi odszedł naczelnik. Zrobiłem obrachunek z sumieniem, a to mnie o nieostrożność ani o wielomówstwo nie obwiniło. Po paru godzinach wchodzi Książewicz do swej izby: grzmi podłoga pod jego olbrzymim krokiem, kilka razy zbliża się i cofa od drzwi moich, wchodzi наконец i jeszcze nie mówi; ja wołałbym stokroć, żeby już jął.

— 154 —

— Gdzie WPan jadasz?

— Gdzie najtaniej, jenerale, żeby ci nie być ciężarem.

— Głupie pieniądze oszczędzasz, a zaufanie kaleczysz. — To mówiąc, wyszedł do siebie, przygotował się zapewne na perorę i powrócił zaraz; miałem za swoje!

— Zasłużyłemże na to, rzekł, żebyś odemnie uciekał, żebyś się wzbraniał ze mną łamać chleba? On dziwaczy, a WPan przyjmujesz to za rzecz słuszną i utwierdzasz go w tem postępowaniu, będąc w stosunkach ze mną w kraju, w podróży, we Włoszech. Możeszże tak źle o mnie trzymać, kryć się przedemną? Między drzwi wtykasz palce, a później skarżyć się będziesz, gdy ci je przycisną.

— Zrób, jenerale, co uważasz za stosowne; jestem w położeniu, którego zrozumieć nie jestem w stanie, o tem tylko upewnić cię mogę, że równo was obu szanuję i kocham i do rzucenia kości niezgody nie jestem sposobny. — To mówiąc, cofnąłem się do siebie; zabołałem po tak mocnem wrażeniu. Serce przyjazne mi Książewicza rozrzewniło się z łatwością; przyszedł nazajutrz, aby mnie uspokoić.

— To się jakieś babskie komeraże porobiły, rzekł. Fiszer i ty uciekacie odemnie, ja nie widzę tego przyczyny, i to mnie boli. Dziś byłem u Kościuszki, mówiłem, żeś słaby, powiadał, że cię odwiedzić przyjdzie. — Jakoż w tym samym dniu przyszedł do mnie naczelnik.

— Jeślim się przyczynił wyrzutami mojemu do słabości twojej, to z serca tego żałuję. Wiek to podobno najwięcej do podejrzeń podusza; wyznaj, że nas trzech tylko wiedziało o naszej umowie; Fiszer odosobniony, tobie zaś w towarzystwie jenerała łatwiej się wygadać było, a ja chciałem, aby nikt o tem nie wiedział.

— I nikt też o tem pewnie nie wiedział odemnie, odpowiedziałem. — Na to wchodząc Książewicz usłyszał ostatnie słowa. — Nic my od niego nie słyszeliśmy, rzekł, i mnie to właśnie zabołało; zmyłem mu głowę, ale jakim chorego zobaczył, byłbym dał wiele, żebym zamilczeć być umiał. — Możemy się obadwa do tego przyczynili, bo i ja okryłem

— 155 —

go wyrzutami dni kilka temu, rzekł Kościuszko. — Ja go prosiłem, żeby mnie objaśnił, i nie wydobyłem ani słowa, a to mnie najmocniej rozniewało, dodał Książewicz.

— No, kiedyśmy już do tego przyszli, począł naczelnik, skądże ta wieść roznieść się mogła, że ja się z nimi na ustroniu widuję? — Przed nikczemnymi nic się nie skryje; to już rzecz moja, abym powiedział, jak się to stało. Znasz może, panie naczelniku, tego Szalcera, co głosi, że pierwszego konsula osłonił w Saint-Cloud piersiami swemi? Jego to wieść doszła, żeś się umieścił w domu Cettnerów, którzy o tem milczeli. — Milczeli, bo tego po nich wymagałem. — Szalcer o brzasku dnia stanąwszy tak, żeby cię wychodzącego widział, dzień cały potem czuwał nad tobą. Koło trzeciej po południu widział cię wychodzącego, szedł w pewnej odległości, spostrzegł, gdyście się z Fiszerem i Drzewieckim zeszli, i tam na dole siadł do stołu, tak aby każdego przechodzącego widział. Jakoż w powrocie wzięłeś Drzewieckiego pod rękę, odedrzwiał go puściłeś przodem, aby cię swym wzrostem zakrył, i tak wyszliście na ulicę.

Na to naczelnik: To talent i cierpliwość doświadczonego szpiega i przyznajcie, że może zostać podejrliwym, kto się nad takimi zastanowi zdarzeniami, a ja wiele podobnych widziałem. — Tu dopiero oba pocieszyli mnie zapewnieniem przyjaźni i lepszego nie potrzebowałem lekarza, było dla mnie dość tego, żebym wyzdrowiał. Nigdy tak przyjaznych nie doświadczałem uczuć, jak te, które odtąd łączyły mnie z nimi.

Lecz już w Falzburgu dzień przeznaczony, na który zwerbowani zgromadzać się mieli, i myśmy tam z Fiszerem wyjechali; Książewicz wsparty zdolnościami Kosseckiego, z nim pozostał w Paryżu. Żyliśmy odtąd, jak członkowie jednej rodziny: nasz grosz, bielizna, stoł i skromne potrzeby, z jednego czerpały się worka. Fiszer poświęcił się administracji,

— 156 —

mnie dozór koszar i musztry się dostał, a do tej instrukcyi żołnierzy dodaliśmy wiadomość regulaminu i służby polowej, których tłómaczenie w Paryżu przygotowałem. Na pracy dzień cały przechodził, wieczór na oświecaniu siebie i swych podkomendnych. Koszary obszerne, stąd nietrudny dozór. Młodzież wielkopolska już się zbiegała z zapalem, byli dobrze wychowani i usposobieni: Suchodolscy, Suchorzewscy i t. d. Pamiętano o nas w Paryżu, abyśmy się na dobrych kraju obywateli ukształcili, i Wybicki do nas się przeniósł. Był to prawdziwy ojciec młodzieży, stróż dobrego publicznego ducha, obywatel, który służył jak anioł stróż legionom we Włoszech, podrzucał swe pisemka nieustannie, aby Francuzów z naszym oswajać położeniem. Gdy się legie włoskie reformować poszły, przeszedł do nas, chcąc utrzymać jednostajność celów, ducha i moralność prowadzenia się. Gdyby to jego wyszły pamiętniki, toby się tam owego czasu ludzie i wypadki w całem okazały świetle. Żałoby było także, jeśliby zaginać miały protokoły, zostające w ręku Szaniawskiego, co był w Paryżu sekretarzem deputacyi; tam rozliczność mniemań zawsze najcnotliwszych, choć najsprzeczniejszych i wiele ciekawych objawiłoby się okoliczności. Czytałem je wtenczas z uszanowaniem, kiedy Książewiczowi po jego do Paryża przyjeździe były przedstawione; jedna we mnie myśl utkwiła: to delegacya w interesie kraju do Napoleona. Ofiarowano mu jako nagrodę starostwo białocerkiewskie, leżące na krańcach naszego kraju. Były to marzenia tylko, bo dolą naszą podobno czcze są marzenia.

Lotem orla zbliżało się do skutku przedsięwzięcie nasze; zwycięstwo pod Zurich dało wysłanym przez nas wielką do werbunku łatwość. Znajdowali się i Małorosyanie, którzy się do nas garnęli, było ich podstatkiem. W Palatynacie bawił książę Karol, a jego dezterterowie z polskich prowincyj powiększali nasze liczbę. Szło to dobrze co do ludzi; lecz mały zasób środków ze strony rządu, wielkimi natenczas wydatkami na armię włoską obciążonego, opóźniał urządzenie się. Jużemy mieli wyżej dwóch tysięcy ludzi,

— 157 —

kiedy jeszcze mundurów, koszul i trzewików nawet nam nie dostawiono; często żołnierze, aby się z koszar za drzwi wychylić mogli, w koldry się swoje obwijali. Wkradły się choroby skórne i potężnie rozszerzały, a lazaret nie dostarczał do zapobieżenia im środków. Miejscowi obywatele byli nam przychylni i pomagali bielizną, lecz to miasteczko małe. Był tam urzędnik cywilny Parmentier, który nas szacował i ze swej strony przedstawiał położenie nasze; słowem, w ciężkich dość obrotach mieliśmy przyjemność pozyskać przynajmniej współczucie mieszkańców. Ale nam materialnych pomocy brakło i to sprawiło obawę, aby kto o dezercyi nie pomyślał. W takim rzeczy stanie chciano nas do Metz przenieść. Dla ułatwienia marszu przysłano jakieś kurteczki, któreby później pod mundury służyć mogły, dostarczono zaś płóciennych spodni i trzewików tyle tylko, coby ledwie dwom częściom pokryło nogi, i tak nam przejść do Metz polecono, kiedy pora była zimowa i ostra gruda panowała. Ponieważ część koszar i służby powierzona mi była i prowadzić ich należało, stanęliśmy na placu. Aż tu narzekanie powszechne. Wyszedłem przed front, wołając: My bos! Przywołałem pierwszego, co się skarżył, i rozzuć siebie kazałem. — Ubierz się w moje buty, mam jedne i te są twoje, rzekłem, a pełń powinność twoje. Zakomenderowałem i sam przed frontem boso idąc, wprędce od grudy do krwi się pokaleczyłem. Żołnierze buty moje odbierają, ale ja ich przyjąć nie chciałem.

Zebrałem skrzypków, dudziarzy i wszystkich, których po koszarach grających widziałem, rozstawiłem, aby grali, i nie tylkośmy nasz marsz pomyślnie zaczęli, aleśmy i po dniach kilkunastu w Metz bez dezterterów stanęli. Miasto przez swego naczelnika zapłaciło nam adresem pożegnania w gazetach ogłoszonym, porównyując nas co do poświęcenia się z emigrantami francuskimi, rozumie się korzystnie dla nas, gdy nas pochwalić chciano. Życie w koszarach pracowite, jednostajne, chęć poznania swej służby i obowiązków czas zajmowała. Wybicki starał się godnie o utrzymanie ducha

— 158 —

i uobyczajenie żołnierza. Chowam z uszanowaniem jego własnoręczne prace, w których mi metafizyki usiłował dać pojęcie; dobroć jego do śmierci mi będzie pamiętną. W wielkiem zebraniu i bez scen dziwacznych się nie obejdzie; przypominam sobie pojedynek Chryzantego Krasińskiego z Szerszeniowiczem. Strzelali się na wałach fortecy z pistoletów, od depôt karabinierów pożyczonych. Nie na zaletę ich broni i zręczności, bez sekundantów po razy siedm do siebie strzelali, a mimo najlepszej woli, żaden przecież nie trafił. Miałem czas przeszkodzić dalszemu marnotrawieniu ładunków, których mieli po paczce; a że zajście to spowodowane było raczej drażliwością, niż obrazą osobistą, i chodziło im tylko o okazanie osobistej odwagi, której dali dowody, łatwo się od krwi rozlewu powstrzymać mogli. Pamiętam i to, że oświeczone tego miasta niewiasty zaludniły nasz kraj guwernantkami, które później w znacznych domach spotykałem, lecz tylko panien Fix imię zatrzymałem w pamięci.

W Metz rośliśmy w siłę i w organizacyi postąpili: tam przybył nam później generał Sierawski i Wasilewski, a z kraju Jerzmanowski, Zdzitowiecki, Husarzewski, Narbut; wielu nie pamiętam. Dnia jednego zbiegły się dzieci do idącego powozu, oglądając go z zadziwieniem; był to małeńki kocyk dangleski, a żyd go polski z brodą, małeńkiemi naszymi końmi powoził: zajechał wprost w bramę koszar. Był to pułkownik Burzyński, jadący do Paryża ze znaczniejszym zapasem pieniędzy, któremi księżna Aleksandrowa Sapieżyna zaspokoić chciała potrzeby naczelnika. Pamiętam to dobrze, bo wiedząc żeśmy niepłatni, naczelnik przysłał nam ich połowę. Ścieśnieni w pierwszych życia potrzebach nawet, wszyscyśmy dobroczyńcom błogosławili. Uzbrojono nas w części przecie, umundurowano i do Strassburga wyprawiono. Bataliony postawione były w szanach w Kiel, a depôt w Strassburgu; odtąd zaczęło się wojenne nasze życie. Wojna z Austryą armię naszą ku rzece Inn posunęła. Sama długość linii dawała sposobność wysyłania podjazdów w Palatynat i te się aż pod Ren posuwały, tem bardziej, że forteca Filipsburg

— 159 —

miała koalicyjny garnizon i była punktem oparcia. Nasze przeznaczenie w Kiel było dla dania im odporu, ale zbyt małośmy mieli kawalerii, abyśmy się za nimi po kraju uganiać mogli. Niedaleko brzegów Renu bawiła ulotna kolumna pod komendą hrabiego Mira, pułkownika, Polaka, uważanego w wojsku austriackiem za wybornego partyzanta. Wszędzie go było pełno, wszędzie szkodził i zręcznie się od boju wywijał, a na wygnanie go z okolicy znacznegoby potrzeba było oddziału. Żeśmy kawalerii mało mieli, dano Fiszerowi batalion piechoty z jednym szwadronem kawalerii francuskiej i z temi puścił on się ku Altenburgowi. Migał mu się przed oczyma nieprzyjaciół, ale się doścignąć nie dał; dotarł na miejsce, gdy go już nie było, a w powrocie znalazł go już w tyle, bo go od Kiel odcinał. Fiszer czworobokiem stracił go ze swej drogi mniemał; szef szwadronu kawalerii francuskiej, o swoim tylko myśląc bezpieczeństwie, gdy piechotę otaczać poczęto, bój opuścił i miał sobie za dość, że swój szwadron uprowadził. Ujście kawalerii zmniejszyło odwagę piechoty: Fiszer nadstawał się z życiem, lecz lekko tylko raniony w niewolę się dostał. Energicznym językiem, jakiego w rozmowie z generałami austriackimi używał, i pogardą dla Polaków w służbie ich będących, pogorszył sobie los i już niejako za więźnia wojennego uważany, do więzień stanu w Czechach odesłany został. Ta pierwsza nasza wyprawa źle nam poszła; strata Fiszera niełatwo nagrodzić się mogła. Sokolnicki zastąpił jego miejsce, a myśmy się do fortyfikacyi w Kiel cofnęli. Już też i generał Kniażewicz przybył do Strassburga; już formacya kawalerii ściągnęła się dla uorganizowania pułku. Różniecki szwadron podnosił, a kompanią Jabłonowski i Ostrowski formowali. Przybył i Gawroński z Paryża z rangą majora legii pieszej; wcisnął się Turski, co jeszcze w Warszawie proces polityczny przeciwko Ponińskiemu rozwinął, później służył pod Dumourierem i generałem został; nareszcie był wysłany do Konstantynopola z mającymi formować wojsko tureckie oficerami i na rachunek tego we Francyi położenia szefem

— 160 —

brygady kawalerii naszej mianowany. To wszystko było w Strassburgu, a piechota jedynie w bateriach Kielu za Renem kwaterowała. Tameśmy cztery bataliony doformowywali, Kniażewicz pragnął koniecznie mieć ich szefem Chłopickiego, ten legii włoskiej odstąpić nie chciał; Kościuszko Gawrońskiego utrzymywał. Lecz wkrótce nasze dwa bataliony poszły pod Frankfurt nad Menem, który wprzód zdobyć chciano, aby przy bliskim rozejmie mieć dostatniejsze miejsce w posiadaniu i rozejmem je

zabezpieczyć. Książewicz poszedł z nami, S..... Francuzami komenderował. Wielu oficerów usuwało się od tej wyprawy, jedni źle wróżąc o nieplątnym i odzianym lichy żołnierzu, drudzy oczekując odmiany w legii, jeśli się jej nie powiedzie. Myśmy przeszli Moguncję i stanęliśmy pod Nero; bój przy jej przejściu był gorący, ale żołnierz go wytrzymał z zapalem. Mój batalion kawalerya atakowała na polach, lecz dobrze prowadzony ogień w bok ją odepchnął. Dzień ten do korzystnych dla nas zaliczono. Pod Berghheim zdobyliśmy armaty, pod Bornheim znieśliśmy Austriaków, nazajutrz wzięliśmy Offenbach. Frankfurt kapitulował, a gazety miasta ogłosiły sławne imiona i czyny. Drobną okoliczność przy wzięciu Offenbach nocą, wspomnieć nie zawadzi. Weszliśmy przed zaczęciem dnia, a przed wschodem jużśmy się na placach jego zbici w kolumny znajdowali, gdy z wielu okien zawołano: Wyście rodacy, wy nam nie zrobicie krzywdy! Nie byliśmy świadomi rzeczy i zdziwiliśmy się niepomału. Objasniono nas tedy, że we Lwowie i w Warszawie wielu ochrzczonych Żydów nową założywszy sektę i od Franka, swego naczelnika, przyjmawszy imię Frankistów, po świecie się rozbiegli. Oba Testamenta równie dla nich prawem Bożem zostały, święta z obu obchodzili. Żydzi dostatni upodobali sobie tolerancją, która ich do obu stron zbliżała, i tak się w zmożli, że rząd za sprawą biskupów pomyśleć musiał o ukróceniu rozszerzającej się ich sekty. Mówił mi ksiądz kanclerz Kołłątaj, że zaczynając swą karierę duchowną, sam się znajdował na zebraniach, gdzie się z nimi księża łacińscy spierali; mówił

— 161 —

także, że sekta ta byłaby może drogą, przez którą przeprowadzeni, nie byłiby Żydzi tak oporni do połączenia się z Kościołem. Prześladowani, ponieważ to byli po większej części ludzie możniejsi i kupcy, wynieśli się do Niemiec i w miasteczku Offenbach szczególnie zamieszkali. Żyli dworno, zachowując ubiór swój dawny polskich Żydów.

Syn tylko Franka już im przewodniczył; siostra jego bogata wielkie ze stolicą Rosyi miała stosunki, chlubiąc się niemi; przyjmowali nas jak rodaków, a jenerałów ze wspaniałością.

Jedno zdarzenie z tego czasu utkwilo mi w pamięci. Walka mogła się rozpocząć na nowo, a jenerał Laborde chciał szukać chluby z ubieżenia Filipsburga. Przywołał mnie w tym celu do siebie, okazał mi najściślej poczynione badania wojenne, dowodzące, że polowe fortyfikacje dopiero w lewym skrzydle przed fortecą robić zaczynało. Od zniszczenia ich zacząć myślał. Że to miało być dziełem batalionu, którym komenderowałem, chciał, żebym się z planem jego oswoił, a jeśli będzie można, wprzód miejscowość opatrzył. Kazał mi wygotować swe skargi do hr. Salma, komenderującego w Filipsburgu, dlaczego on wbrew opisom w zawieszeniu

bronii przyjętym lazarety z miasta wyprowadza, myśląc pewnie, by tem choroby wojsku francuskiemu komunikować; dodano, że byłem w tym celu upoważniony domagać się widzenia miejsca umieszczenia chorych, i o to urzędownie się zgłaszał Laborde. Cel właściwy był, abym mógł widzieć nowe roboty i przez to łatwiej trafić do założenia celu ich zniszczenia. Jakoż istotnie takie mi wskazano ścieżki, żem nie tylko do nich się dostał, ale nawet do bram fortecy dojechał niepostrzeżony. W bramach mnie dopiero aresztowano i przed hr. Salmem stawiono. Widziałem w nim osłabionego starca z silną jednak wolą na twarzy wyrytą, w głosie mającego coś rozkazującego. Strwożył mnie zapytaniem: Wpana oddział w Graben, Wpan tu przyjechałeś szpiegować i pod prawo szpiega podpadasz; jesteś wojennym jeńcem, dopóki wyrok sądu wojennego o losie jego nie postanowi. — Oddałem

— 162 —

mu expedycje jenerała, on ją z uśmiechem szyderskim przeczytał i spoglądając na mnie, rzekł: Młody jesteś i rozkaz dany ci spełniłeś, ale twój jenerał niezręczny wynalazł środek do oszukania starego wodza. Powiem na jego zawstydenie, że więcej wiem, co w waszej głównej kwaterze się dzieje, niżeli on, co mnie ma oblegać. Gdyby mnie atakował, odparłbym go niezawodnie, mimo przemysłów jego: nie zbywa mi ani na żywności ani na amunicji dostatecznej. Umocowuję Wpana, abyś mu doniósł o tem, coś na oczy swoje widział. — I rozkazał pułkownikowi, aby mnie po fortecy oprowadził.

Gdyśmy obchodzili, przywołano nas nazad na rozkaz jego. Innego już znalazłem w nim człowieka, szlachetnego i łagodnego starca, który mnie postacią i mową swoją oczarował: jakbym go wczoraj widział jeszcze. Mówił mi, że ma obszerne dobra we Francyi zebrane, że gmachy jego Paryż zdobył, żądał, żeby mu to wszystko oddano. »Nie zdradzę przeto Rzeszy niemieckiej, która mnie zaszczyliła swoją ufnością i dała w straż twierdzę swoje«. Powiadał potem jak Bernadotte'a od niej odparł i jak sobie nas lekceważył, dając do zrozumienia, że cesarz austriacki poświęcił Filipsburg interesom własnym. »Każe go zapewne oddać, rzekł, ale Salm go nie odda; Bóg mu dozwoli umrzeć wprzód i tej hańby nie doczekać. Szpitalów nie cofnę, bo mi je ludzkość w miejsca dla nich stosowniejsze wyprowadzić kazała, był to obowiązek sumienia. Krótco tam one pobędą, bo Filipsburg może w tych godzinach pada nowego rozejmu ofiarą. Wpan, którego z armii francuskiej może ostatniego widzieć, powiedz Francuzom odemnie, żem ich kochał i szacował; ale dla nich honoru mojego nie splamie.

Z tem odprawić mnie kazał. W dni kilka przyszła wiadomość o jego śmierci z jednej strony, gdy z drugiej rozkaz odebrania Filipsburga. Postąpiliśmy naprzód, aby oddać cześć zwłokom znakomitego człowieka, a tensam pułkownik, który mnie zapasy fortecy pokazywał, zdawał ją od

— 163 —

komenderowanym, między którymi i ja byłem. Widząc mnie z oczyma zapłakanemi, rzekł:

— Wpan go dzień jeden widziałeś, jam pod nim lat dwanaście służył! — i zalał się łzami.

Tak przed zdaniem nam Filipsburga; przeznaczeni na strzeżenie tej fortecy, zajmowaliśmy kraj od Karlsruhe do Mannheimu, pod komendą jenerała Laborde, który stał w Brukseli; ja czas jakiś stałem w Schweisingen, sławnem z ogrodu swego, później w Heidelbergu. Chodziły kolejno bataliony do strzeżenia Filipsburga, a wtedy wioska Graben w Badeńskim była kwaterą moją.

Opuścić i tego nie należy, o czem już wyżej napomknąłem, że kiedyśmy Strassburg, a bardziej Kiel opuszczali i do wzięcia Frankfurtu biegli, wielu z naszych oficerów, co się za biegleszych mieli, szukało środków uwolnienia się od tej wyprawy, przewidując złe jej skutki. Nagość żołnierza, łatwość dezercyi nieukontentowanych, była pozornym powodem, a istotnym niechęć do jenerała Książewicza. Podobno byli i tacy, co liczyli, że się im miejsce jego należy, jeśliby go niezdatnym uznano — posądzano o tę myśl jenerała Roźnieckiego. Gawroński się usunął; batalionem Fiszer Sierawski komenderował, Sokolnickiego lekceważono. Mówiono nawet, że te uwagi aż do głównej kwatery się dostały. Lecz żołnierze ci pod Berghheim i Bernheimem bili się przeciwko przewyższającej sile, mrowia tyralierów przedzierały się przez kawaleryą nawet. Korzystali z krzaków, kiedy ich rozbiła, z nią uciekającą przeszli Nerę, most na niej utrzymali w swem posiadaniu, tak że ich jenerał S..... z Książewiczem

wstrzymywać musieli. Kawalerya w porządku napadła batalion drugi w czworogran zbity i przełamać go nie mogła, musiano sprowadzać działa, a przed ich przyjściem batalion korzystając z padającego mroku, w porządku cofnął się opodal od strzałów kartaczowych, jakimi go okryć pragnęli. Kawalerya ścigała go po nocy, zastała gotowym do boju i rażona silnym ogniem uciekła, a dwie armaty zdobyte zostały. Książęwicz wszędzie jak wódz i jako

— 164 —

żołnierz przewodniczył. Świadczenia te doszły razem głównej kwatery ze smutnymi przewidzieniami, jakie ze Strassburga przywieziono, a generał Moreau okrywając nas pochwałami, radził generałowi Książęwiczowi pospieszyć do Strassburga i zniszczyć gnieźdzące się tam nieprzyjaźnie; nas zaś nie już do Strassburga, ale pod Filipsburg odesłał.

Książęwicz w istocie do Strassburga wrócił i doznał przykrego uczucia, bo w tym dniu Gawroński w Ren wskoczył i ten wojskowy komeraż życiem przypłacił. Wszystko się na tem skończyło: oficerowie malkontenci ochoczo poprzeczodlili z infanteryi do kawaleryi, którą Roźniecki, szef szwadronu, organizował, i gorliwymi się okazali.

Po oddaniu Filipsburga Francuzom wzięto bataliony nasze i niedaleko Branau rozkwaterowano; było to w celu użycia nas na pierwszą linią bojową. Przyszły też i dwie kompanie składające szwadron kawaleryi, a swą postawą, doborem ludzi i nieznanymi w armii francuskiej lancami tak zabłysnęły, że oficerowie kawaleryi przyjeżdżali z miejsc odleglejszych, aby ich manewrujących widzieć. Żołnierz wzięty z wyrobionych ułanów austriackich, oficerowie pod księciem Józefem wyćwiczeni, konie piękne, mundury nowe, nic nie brakło prócz liczby. Jabłonowski i Ostrowski kompanie prowadzili.

Rozjem ten nie trwał długo: Francuzi oczyściwszy zawady, jakie im nad Renem stawiono, przyszl nad brzegi Innu, które Ludwik XIV za ostatnią granicę zwycięstw francuskich uważał, przejście jego za trudne lub niepodobne uważając. Brzegi jego przez czas długi fortyfikowane, stawiały w każdym punkcie opór, a związek między niemi wyczerpał wszystkie środki obrony, jakie teoria i doświadczenie do zabezpieczenia z tej strony kraju przedsiębrać nakazywały. Lecz już bohater z pod Marengo dowiódł, że wszystko sile geniuszu ulega, i wskazał pole wślawienia się generałowi Moreau, który armią komenderował. Generał Moreau miał na widoku wyprowadzić Melasa z tej twierdzy dla całej

— 165 —

armii przygotowanej, czego nie dokazał. Żałował nieraz, że nie księżę Karol komenderował

Rada wojenna wiedeńska ułatwiła mu jego przedsięwzięcie: wybrała ona arcyksięcia Jana na główno-komenderującego i ułożyła plan kampanii, który miał Francuzów przegnać za Ren niezawodnie. Siły ich nisko ceniono, sądząc, że pierwszy konsul utrzymanie swych zwycięstw włoskich mieć będzie głównie na celu. Pragnęli jednak, aby Moreau pierwszy ruszył do boju. Utwierdził on ich w tem mniemaniu, czyniąc ruch wielki w wojsku swoim, tak że uwierzono, iż nie chcąc przechodzić tak mocno bronionej rzeki, udaje się ku jej źródłom, a tam ją przeszedłszy w górach, w środek kraju biec będzie musiał na zwycięstwa, zostawiwszy Wasserburg i Mühlendorf, na których Austriacy mieli przedmostowe szańce i tam swe siły skupiali. Ta ułuda zupełnie się powiodła. Austriacy widząc słabe tylko wojsko przed sobą, uderzyć na nie zapragnęli, zamierzając Francuzów w górach otoczyć góralami, a sami do Palatynatu pójść, którego opanowania byli pewni. W tym celu dwoma się szańcami przedmostowymi puścili; Francuzi bronili się ze zwykłym sobie męstwem, ale z tak małą garstką, że odparci zostali.

Gdy się wojsko na tę stronę dostało, już armia francuska, o której sędzono, że jest w marszu na przejście źródeł Innu, niedaleko cała zebrana była. Radbym jeszcze czytał ten rozkaz dzienny, jakimś w wigilią bitwy pod Hohenlinden mieli sobie dany. Onby cały sekret manewru objawił; a co dziwniejsza, cały dzień bitwy i nieprzyjacielskich poruszeń tak ściśle opisał, iż nam się zdawało, jakby oba wojska działały wedle umówionego planu.

Dzień był śnieżny i pochmurny. Austriacy szli na pewno, na opanowanie kraju. Dwie były armie, obie po sto tysięcy ludzi liczyły, każda po kilkaset armat miała: wyciągały się one na linii mil kilkunastu, którą wódz władał całą z przewidywaniem wszelkich wypadków. Korzystać ze zdarzeń było duszą całego działania i powiodło się, bo

— 166 —

instrukcje dane wszystko przewidywały. Największa siła pod Hohenlinden rozwinięta miała przed sobą znaczniejszą część armii austriackiej, która się tamtędy z Wasserburga przebiegała; cofano się powoli przed nią, bo miano na celu oddalić się od przedmostu ośmdziesięciu armatami osadzonego. Moreau tu był na czele; na prawem naszym skrzydle generał D..... leciał z dwudziestu tysiącami lasami, zwanymi świętego Krzysztofa. Jego przeznaczeniem było, przebić się tylko, chociażby nawet zostawując odłamy swe opiece naszej, bo i my za nim w pomoc ciągnęli i z sobą je zabierali. Szedł więc szybko mając okolicę Austriaków od Wasserburga, a Książęwicz pomoc mu zabezpieczał. Spotykamy się z różnemi w różnych kierunkach idącymi oddziałami i rozwijamy się do cząstkowego z niemi działania lub je od armii odcinamy. Były liczne częściowe utarczki, a bój główny pod Hohenlinden czekał rozstrzygnięcia poruszeń naszych. Tam dym od wystrzałów działowych był tak wielki, że się armie nawet widzieć nie mogły. Moreau czeka godziny, którą za stanowczą uważał, a gdy ta nadeszła, chce widzieć jej skutek, lecz mu éma tyralierów i dym armat nieprzyjaciela zasłania. Leci przed regiment saperów konnych, bo ten był na czele. Lafont, co już widział boje i do wielu zwycięstw prowadził, woła: Za mną bracia, spojrzmy w oczy nieprzyjacielowi! Sam naprzód się posuwa, oczyszcza plac z tyralierów i postrzegają, że w armii austriackiej odmianę frontu rozpoczęto. Na ten widok wszystko w ruchu, biją w bębny i trąby, do ataku wiodą, bo poznają, że od Wasserburga już odcięci zostali Austriacy. Żołnierz austriacki przejęty panicznym strachem, pojedynczo uchodzi. Decamp rozkazuje swoim biec razem aż w otwory przedmostu i zdobyć go, jeśli się uda. My porzuciwszy błakające się kolumny, przychodzimy w bojowym porządku osłonić tę strzelecką wyprawę.

Powstaje tumult wielki uciekających, którzy już nawet nie strzelają. Francuzi nie strzelają także, lecz z nimi do szańców biegną, nakoniec armaty szańcowe do całej masy

— 167 —

ognia dają, a oficerowie austriaccy na swoich wołają, że się armia inną drogą cofa. Tyralierzy nasi formują się przy nas w odległości i od nowego z okopów wypadu formujemy zasłonę. Dzień się kończy, wojsko cofa, zostawiając część dział i jeńców. Najwięcej pochwyconych było z idących różnemi drogami komend, które nie mogąc sobie wybrać kierunku, szły wskazaną rozkazem drogą i na wojsko francuskie natrafiając, chętnie się mu poddawały. Takich trzydzieści tysięcy naliczono. Armia francuska potrzebowała się uporządkować, a nie będąc w stanie opanować przedmostu w Wasserburgu, musiała obmyśleć sposób przejścia Innu, stosownie do obrotu, jakoby armia nieprzyjacielska przedsięwzięła.

Przeprowadziła się ona w Mühlendorf i ku Salzburgowi wzięła kierunek; nasza stanęła nad Innem, a tymczasem prawe skrzydło posunęło się w stronę Tyrolu, po swej przeprawie zamierzając przeciąć nieprzyjacielowi przejście przez rzekę Traun pod Lambach. Nieprzyjaciół przewidywał to zapewne, bośmy z tej strony miasta mieli spotkać świeże siły, nawet i wodza nowego. Tam się już książę Karol znajdował i miał z sobą pułki ułanów, które w Czechach przez niego uformowane, z takim wodzem miały ożywić męstwo wojska szkolanego bitwą i marszem strudzonego. Jenerał Decan i Książęwicz przez Mühlendorf przechodzić mieli, most był zniesiony wprawdzie, lecz na przeciwnym brzegu materiały jego złożone były i barki, które przeciągnięto za sobą. Straży silnej nie było, bo armia poszła już z pośpiechem, wielkich za sobą nie zostawiając oddziałów. Jenerał Decan zawołał na regiment strzelców: Przechodźmy! — Po prawej stronie było tylko kilka belek niezrzuconych bez pomostu. Jenerał siadł na nie, jak na konia; myśl ta strzelcom się podobała i ruszyli. Armaty tymczasem z tej strony dosięgając drugiego brzegu, słabą straż uprzętnęły; przebrała się z jenerałem kompania, wsiadła zaraz na rybackie barki i przewoziła swoich z dwiema armatami. Wprawdzie przybyła od straży odwodowej jakaś pomoc, aby ich odpędzić,

— 168 —

ale zastawszy armaty dobrze obsadzone i usiłowania swe próżnemi widząc, cofnęła się. Natychmiast zniesiono dyle, zrobiono kładkę, a zostawiwszy bagaże, do wieczora wszyscy już na drugiej byliśmy stronie, w ścieśnione kolumny uformowani. Szliśmy noc całą; straż tylną dognaliśmy na koniec i parliśmy ją bagnetami, czasem trupy deptać potrzeba było. Nieprzyjaciół usuwał się powoli, tak aż do Salzburga, gdzie w skale wykuta droga działami osadzona, na dłuższy czas zatrzymać miała. Armia ruszała się w różnych kierunkach jednocześnie, boczne kolumny nie znalazły tej przeszkody, te, które spotkały, przepały i do odcięcia od Lambach nieprzyjaciela dążyły; on licząc na tę silną posadę, cofał się ku niej. Nie wiem, jaki był los innych kolumn, lecz nasza je uprzedziła i do nas miał należeć bój i zwycięstwo. Przyjechał jenerał Montrichard, aby nas prowadzić: bataliony nasze zastał w porządku. Wyjechali z Książęwiczem obejrzeć położenie obozu: książę Karol rozwinął sześć tysięcy ludzi, okalając nimi lewy brzeg rzeki, na której most się jedyny znajdował. Na drugiej stronie były rezerwowe magazyny nie tylko żywności, ale i wojennych zapasów, w wielkich budowlach nad brzegiem rzeki położonych, których bronić przedsięwzięto. Wieleść dróg wiodących do miasta

potrzebowała rozciągnięcia wojsk pieszych, a cała kawaleria naprzeciw nich w skrzydle umieszczona, miała przeznaczenie atakować z boku kolumny infanteryi, gdyby się ku miastu puścić zapragnęły. W pomoc kawaleryi, kilka sztuk armat miało nas razić, ułatwiając jej napad. Z naszej strony cała bateria artyleryi konnej była przy awangardzie naszej, z samych batalionów polskich złożonej. W drodze znalazła sobie stosowne położenie, zmuszając armaty nieprzyjaciela słabnąć i na koniec zamilknąć. Od nas wymagano, byśmy szli w ścieśnionych kolumnach, nie wstrzymując się dla własnej obrony, przebili w jednym punkcie austriacką piechotę i most zdobyli wprzód, nimby rozciągnięte austriackie wojsko ściągnąć się do niego mogło. Tymczasem Montrichard awangardę rozwijał w całej swej sile. Widzieliśmy na lewej

— 169 —

stronie lasek, około którego przechodzić nam było trzeba, lecz nie wiedzieliśmy, jaki być może z niego użytek. Kawaleria nasza już go zajmowała i odważny Lafont czekał w nim na ułanów, którzy nas atakować mieli. Szliśmy rażeni kulami działowymi, na czele prowadził Książęwicz, po stronach flankierzy chcieli opóźnić marsz batalionów, które im odpowiadać strzałami nie myślały; bębny podwójny krok biły i wkrótce byliśmy na płaszczyźnie, kiedy armia nieprzyjacielska uciekała. W jej miejscu, porządnym szykiem szli ułani uderzyć w bok kolumn naszych, które się dla nich nie zatrzymały. Ułani byli to Galicyanie i Czechy, słyszeliśmy

ich słowiańskie krzyki z pogardą dla nas rzucane. Kiedy Lafont pędem orla już ich flank atakował, krzyk ten zmienił się w trwogę, a francuscy szaserzy odpłacali im za pogardę nasze. Myśmy i jednej nie posłali kuli, bośmy już pod most podchodzili, a nasze bagnety złamawszy ich słaby opór, już nas panami mostu czyniły. Brano niewolników ułanom. Lichtenstein znakomitego rodu, co ich prowadził, już do niewoli się dostał; Montrichard całą atakował siłą: Książęwicz bagnetami od mostu odpierał. To, co się wpław

nie rzuciło, poszło w niewolę, a Lichtenstein zyskał uwolnienie, jeśliby Fiszerza w zamian za niego oddano z więzienia. To przyrzeczono; lecz tak skierowano jego drogę, że dopiero od granicy pruskiej do Francyi wjechał. Choć minister z Paryża o przedstawienie naglił, nikt z kolegów nie chciał zabrać miejsca szefa infanteryi aż do powrotu jego i on wróciwszy, natychmiast je zajął z tem większą pociechą, że je szacunkowi współtowarzyszów był winien. Po przejściu Trauny była gonitwa wyprzedzających się kolumn. Co do nas, chociaż byliśmy na czele aż po opactwo Sehlerbach, które broniono jeszcze, to jednak gdyśmy pod opactwo Kremsmünster podstąpili, zastałem już tam jenerałów francuskich, co mnie uprzedzili. Wprost z przed frontu poszedłem im donieść, że awangarda na to miejsce przysła i dalszego od nich czeka rozporządzenia. Jenerałowie byli w bibliotece, właśnie w sali, gdzie się mapy znajdowały, i wynieśli

— 170 —

mi mapę Polski, ofiarując w podarunku. Przyjąłem ja i później do zbioru kart jenerała Dąbrowskiego odesłałem, jako świadectwo, żeśmy na przodzie bywali. Opactwo Kremsmünster i jego okolice wiele mają dla mnie wspomnień. Naprzód kamień przy założeniu jego wmurowany świadczył, że był kładziony przez Polaków, kiedy Jan III był pod Wiedniem i tu huk armat tej wielkiej walki miał być słyszany. Stamtąd też był wysłany adjutant jenerała Moreau, Lahorie, dla przyjęcia rozejmu, tensam, co później w Paryżu w 1812 roku narobiwszy zamieszania, został rozstrzelany. Był to żołnierz pełen talentu i mocnej woli, zdawał się od losu innego spodziewać przeznaczenia. Właśnie z rąk jego otrzymałem tę mapę, o której wyżej wspomniałem. Tu Sokolnicki stanął kwaterą, bo Książęwicz zawsze skromny, bał się kwatrować w miejscu, gdzie jenerałowie z dostatkami swemi się popisywali. Zaraz się usunął bliżej kwatery głównej i depôt formującej się kawaleryi, aby swe dalsze spełniać przeznaczenie, a być widzianym z bliska, że z wojny unosząc laury, dochował i ubóstwa, jako domowej swej cnoty. Tu się napatrzyłem na olbrzymie dostatki zakładu i zgromadzenia duchownego.

Na wierzchu budowli były wybite blachą metalową sadzawki, gdzie w świeżych z gór sprowadzonych wodach igrały ręce pstrągi; osobno pływały, do rąk karmiącego przywykłe, karpie i różne inne ryby, przeznaczone na stół poszczających prałatów. Woda z tych sadzawek zbiegała na dół i w obszernej sali jadalnej wytryskała fontaną dla letniej ochłody; szła także w naczynia, które w korytarzach paszczami smoków wylewały ją na potrzeby zakonników, a dostawała się i do kuchni. Mieli także zwierzyniec i bażantarnię; piwnica zaś dość była zasobną, aby wystarczyć oficerom całej armii po jej przybyciu. O ilości

zapłaconej przez księży kontrybucyi różnie mówiono. — Byłem przy jenerale Moreau, kiedy stam tąd jeździł na parę godzin do księcia Karola po zrobionym rozejmie, wzięwszy z sobą oficerów

— 171 —

wszelkiej broni, i widziałem księcia, który talentami swemi przynosił zaszczyt cesarskiemu nawet domowi.

Sokolnicki używał skromnie, lecz rokosznie wygod klasztoru. Zakonnicy dla rozrywki zaprowadzili go do bażantarni, gdzie on jeden strzelał, a oni szerokimi sutannami naganiali mu ptastwo ochotnie, bo byli kontenci ze swego gościa, który od nich nie wymagał nic więcej, tylko rozrywki. Ja stałem w Hall, Szwabaskiem zwanem, gdyż kilka być musi tego nazwania. Były to dobra jednego z magnatów; stałem kwaterą u burmistrza. Opowiadał mi zdarzenie, które dowodziło wysokiego poszanowania miejskiej władzy przez wojska austriackie. W nocy, kiedy ten urzędnik spokojnie odpoczywał i nie wiedział, co się działo z ich wojskiem, szturmują do domu jego, aby im rozkład na kwatery dawał. Nie mam od kreisamtu rozkazu, odparł; to swawola! ja ją uskromię: zaraz do kreisamtu piszę! Zgiełk powstał i gdy do wyłamania drzwi przychodziło, a on ciągle kreisamtem straszył, pokazało się, że to już był regiment francuskiej kawalerii z Alzatów złożony, z którego mowy on ich wziął za Austriaków. Wyciągniono burmistrza, który nie pojmował takiego z urzędnikiem postępowania. Myśmy go szanowali, a on wygody nasze dostatecznie i z ochotą zaspakał; mieszkańcy chętniej też przyjmowali rozporządzenia znanej sobie władzy i byliśmy przez ciąg cały tak dobrze z mieszkańcami, że trzewiki, których nam brakło, swoim kosztem batalionowi ofiarowali. Mnie zaś wyjednali z Wiednia od grafa swego list dziękczynny za spokojność batalionu w jego dobrach stojącego. Już po urządzeniu konsystencji i nas z tego miejsca ruszono, a jenerał Moreau do Strassburga pojechał i Książewicza wziął z sobą. Kiedy Ren przejeżdżać mieli, wyszedł lud sztrasburski powitać zwycięscę, a pierwszego dostojęstwa kobiety niosły upleciony przez siebie wieniec, który mu ofiarować przedsięwzięły. Odbłyło się to po wymownem przemówieniu krajowców; przyjął ich jenerał z uszanowaniem, a w swej odpowiedzi dodał: Winienem odwadze wojska, zdolnościom jenerałów tak pochlebny

— 172 —

dla mnie szacunek wasz. Widzicie obok mnie jednego ze współuczestników: pozwólcie, abym z nim podzielił wieniec. Niech on przyjmie część jego i podzieli się nim także ze swą bracią.

Mówiono później, że nam wyszła na złe ta odpowiedź, bo się domyślano nieporozumienia między pierwszym konsulem, a świeżym zwycięscą. Wprzód już się tego dorozumiewano z drobnego zdarzenia: pierwszy konsul uformował regiment kawalerii z ochotników paryskich, którzy go za szefa swego uważali. Dostatnia młodzież, co go składała, błyszczała mundurami i kołmi. Po uformowaniu odesłał konsul regiment ten do armii Moreau, aby się w boju wyćwiczyli. Jenerał użył ich zaraz do górętszej wyprawy, gdzieby się z męstwa swego sprawić mogli w oczach armii, co tyle już wytrzymała bojów. Ucierpiała strojna paryska młodzież, a ten, co jej przewodniczył, dopuścił się wyrzutów, że ich chcą wygubić, bo są przez Bonapartego uformowani. Doszło do jenerała, który natychmiast wyłączył ich z obozu, mówiąc, że kiedy tylko do parady są przeznaczeni, mogą powracać do Paryża, bo w jego armii bićby się ciągle musieli. Pocieszyła ta odpowiedź towarzyszyów broni; lecz jeśliby iskra niezgody od niej poczynąć się miała, żałowaćby jej przyszło. Jednakże pokazywano w głównej kwaterze list pierwszego konsula do jenerała Moreau po bitwie pod Hohenlinden pisany; zapamiętałem jedno z niego wyrażenie:

»Ja wygrałem bitwę pod Marengo z ogniem i odwagą młodości, ty swoją pod Hohenlinden dowiodłeś wytrawnego wodza, co wszystko przewidzieć umiał«.

Już się do Luneville zjeżdżać zaczęli umocowani dworów o pokój traktujący; wielu przejeżdżało przez miasteczko, w którym stałem z batalionem; nieostrożność naraziła mnie na szczególną przygodę.

Zawsze rad byłem nietylko nie dokuczać, ale nawet mieszkańców zobowiązywać sobie. W miejscu, gdzie wtedy kwaterowałem, lubiono towarzystwo moje, młodzież szczególnie mnie otaczała. Nie odgadłem, że to byli członkowie

— 173 —

towarzystwa demokratycznego, którzy przy wojnie prędzej zamiary swe do skutku doprowadzić myśleli. Mówili mi ciągle, że ucieszyłbym swój batalion, stawiać drzewo swobody na pięknym placu, któryby służył razem na ćwiczenia i musztry batalionu, żołnierz miałby więcej ochoty obok tego znamienia francuskich zwycięstw ostatnich. Przechadzka dam miejscowych i ochocze zgromadzenie się młodzieży mnożyłoby między nami a mieszkańcami stosunki; żeby zaś uroczystość okazalszą była, ofiarowali na tołożyć sami. Nie zdawało mi się to od rzeczy, bośmy to dawniej i własnym czynili nakładem: spieszenie wykonano wszystko. Jam w dniu dekady zebrał batalion, muzykę wojskową, zagrano pieśń francuską, a plac napęlniał się ciekawymi obojej płci mieszkańcami. Wtem przed pocztę zajeżdża wielki powóz, a w nim dyplomata któregoś z książąt, mający jakieś państwo w kongresie lunewilskim przedstawiać. Prędko wyskoczył z karety i do nas się zbliżył; w nas ochota się zwiększyła na widok świadka uroczystości naszej, a młodzież miejscowa coraz głośniej śpiewała. Podróżny na pocztę powrócił, a że był pewny, iż ten znak zdobyczy postawiono dla następnego przywłaszczenia kraju, posłał protestacyą kolegom zbierającym się w Luneville. Ztąd rejuwach między dyplomatami, o zdradę się posądzają, wreszcie postanawiają wysłać do jenerała en chef, aby ich o stanie rzeczy objaśnił. On nic nie wiedział o tem i przypadkowa mistyfikacya przeniosła się do kwatery jenerała Książewicza, z surowemi rozkazami do niego, których także zrozumieć nie mógł. Kossecki, co był szefem sztabu jenerała, ostrzegł mię nakoniec i zły skutek zapowiadał. Jam się tłumaczył, że żołnierz w dniu dekady był przywykły do takich obchodów i biesiady, którą ja sporządzić mu chciałem, tem bardziej, że mieszkańcy kontenci z nas nie odmawiali kosztu dla sprawienia tej przyjemności swej załodze. Dyplomaci niemieccy napsuli sobie głowy nad tem zdarzeniem napróżno. Obalać drzewo postawione urzędownie, było rzeczą jeszcze nieznaną; kazano mi naprzód odmienić kwatery, a w czasie niebytności

— 174 —

wojska w nocy je sprzątniono jak najostrożniej. Tak się skończyły kłopoty moje. Już wtedy w Paryżu rodacy nasi zaczęli utracać nadzieję, żeby zamyślany pokój powszechny mógł być dla ich interesu przyjaznym; wieść się szerzyła, że legia włoska w służbę rzeczypospolitych włoskich, a nasza w służbę króla Etrury przejść miała. Można sobie wyobrazić, ile to nas strapiło, a jenerała oburzało; przedsięwziął natychmiast do Paryża jechać i rzeczom przypatrzeć się zbliska. Po jego odejździe odebraliśmy rozkaz gotować się do marszu wprost przez Szwajcaryą, brzegiem Konstancyeńskiego jeziora, przez Zurich, Bazyleę aż do Genewy, skąd przez Mont-Cenis do Włoch nam iść kazano. Fiszer, co wtedy piechotą dowodził, szedł przy pierwszym batalionie i w ciągu

marszu wyciągnął od oficerów francuskich wiadomość, że dwa regimenty kawalerii nas okalały, na oku nas mając, a gdyby nastąpiło wzburzenie jakie między nami, dopiero okazać się miały. Nie mogło to nas nie poruszyć do żywego, lecz honor kazał odprowadzić w karność żołnierza, a zbliżenie się do legii włoskiej dawało sposobność porozumienia się z nimi, jakby w takim razie postąpić należało. Szliśmy ponuro w marszu, pomimo piękności krajów, jakieśmy przebywali. Marsz był dosyć nagły i żołnierz strudzony podróżą nie miał dosyć czasu, aby się poznać z miejscami, które przebywał. Spotkaliśmy korpus Baraguay, w środek kraju uprowadzany. Byliśmy od niego ze współluciem przyjęci, tak dalece że na spotkaniu stawały w linii ich brygady i oddawały honory przechodzącym chorągwiom naszym. W Genewie spotkaliśmy korpus Macdonalda wracający z Tyrolu, który nas także powitał, jako dawnych towarzyszków oręża; a gdyśmy w całym zebraniu oficerów cześć mu złożyć przyszli, dopuścił się nawet lekkiego wyrzutu, że o nas w ugodzie lunewilskiej zapomniano. — Wojsko, rzekł, dzieli uczucia nasze, ale dyplomaci zapomnieli, ileście nam użyteczni byli.

Gdy batalion mój w marszu przechodził Alpy, osunęła się góra prawie przed nogami naszymi; bylibyśmy zagrzebani,

— 175 —

gdybyśmy się na tem miejscu znaleźli. Dwa dniśmy czekali, nim nam mieszkańcy zdołali otworzyć drogę. Zaszliśmy w ubogą krainę, w której miasteczko St. Jean de Marien leży. Lud tutejszy ubogi i ubodzy też urzędnicy jego. Wszedłem z mym rozkazem do magistratu, od którego nam się żywność należała. Urzędnik w trzewikach bez pończoch nawet, przeglądał papiery moje i gotował swe polecenia do miasteczka, kiedy sztabsoficer od powracającej do kraju kawalerii francuskiej w podobnym przybył celu. W krajach górzystych krótkie pospolicie naznaczano marsze; a że ten był niewygodny, chciał oficer dwa przestanki w jednym umieścić ruchu, i wzięwszy tam żywność, korzystać z drugiej, jakaby mu się na noclegu należała. Spojrzał okiem pogardy na ubożego urzędnika i groźnie prędkiego zapotrzebował rozporządzenia. Poznał się na tem urzędnik, dobył z ubogiej szafy trójkolorową szarfę, w nią swój nędzny przystroił ubiór, a po przejrzeniu papierów rzekł: Dziś tu dla Wpana miejsca nie ma, jutro je prawnie mieć będziesz. — Oficer się oburzył; podniósł czoło urzędnik, a gdy mu oficer wzięcie siłą kwater zapowiadał, odparł: Każę uderzyć w dzwony i lud mój was wypędzi; jeśli do nieszczęścia jakiego przyszło, odpowiesz głową swoją, boś się porządkowi sprzeciwił. — Wchodzili właśnie podwładni, polecił im najskwapliwsze batalionu mego rozkwaterowanie. To wojsko karne, rzekł, i szanowane być powinno. — Oficer znalazł się w ambarasie i cofnął marsz do miejsca, z którego przyszedł, kląnc Szwajcarów za zuchwały opór, jakiego dawali dowody.

Przeszliśmy Mont-Cenis i aż do Turynu nie znaleźliśmy wojskowego posterunku. W tem mieście komenderował generał J.... którego widziałem w Paryżu w dniach ustanowienia konsultatu; gdziekolwiek nas spotkał, wszędzie z uczuciem dla nas się odzywał. Prosiłem go, czy korpusowi oficerów, pragnącemu złożyć mu uszanowanie, nie zechce naznaczyć dogodnej pory. Przyjął to z uprzejmością, mówiąc, że żałuje mocno, iż się jego położenie zmieniło od czasu reformy

— 176 —

rządu, na którego czele umieścić go chciano. — Wtedy, rzekł, ja bym był rozporządzał w Paryżu, a Bonaparte byłby komenderował w Turynie; nie udało mi się, dodał, podnieść dawniejszej ustawy, od której położenie kraju i moje zależało. Wtedy nie poszłyby układy na korzyść koalicji...

Szliśmy do naszego dalszego przeznaczenia. Zastaliśmy Dąbrowskiego w Medyolanie, gdzie stały bataliony legionów naszych. Z pociechą powitaliśmy swoich; zaczęli oni wątpić o bycie legii, jak my o naszym. Obawa zniszczyła niechęć tę drobną, jaką w nich odłączenie formacji naszej wzbudziło; każdy opowiadał swoje przygody, spotykał dawnych towarzyszków broni; myśmy im przyprowadzili nową jeszcze młodzież, która bliżej nas mając, ku nam się garnęła. Tu dostaliśmy rozkaz udania się do Florencji pod komendę Murata, co w nowym rzeczy stanie już i politycznej świetności nabywał, która go później do korony doprowadzić miała. Szczególniej uderzała w oczy kawaleria polska, do której we Włoszech przyjść nie zdołali, chociaż się o to kuszono. Wejście do Florencji było świetne, głównokomenderujący nie szczędził uprzejmości. Zaraz naznaczył sztabsoficerów na komendantów placu: Fiszerowi Livorno, mnie Sienna, a Lukka N. się dostała. Były to miejsca materyalnie korzystne; chciano nam dać uczuć, że to jest dowód nietylko ufności, ale nawet względów ze strony komenderującego. Lecz nie było to dla nas tak dalece wielkiem i miłym, jak sobie wyobrażano. Myśmy pragnęli okazać mieszkańcom, że dla nich nie będziemy ciężarem; każdy z nas zostawiwszy koszta kancelarii dość licznej na ich utrzymaniu, żył ze swej racji i gaży, jaką mu ranga jego przynosiła. Obywatele uczcili nas szacunkiem powszechnym. Generał en chef to postępowanie nasze za szkodliwe uważał i kazano nam się stawić do głównej kwatery. Słusznie nas zdziwiły wyrzuty, jakie nam uczynił.

— Panowie, rzekł, chcecie powiększać krnąbrność i nieukontentowanie mieszkańców. Ofiarowałem panom miejsca, któreby się zacnym francuskim oficerom należały; znaleźliby

— 177 —

w nich byt okazalszy, jaki zwycięscowi przystoi; może nie jeden ma ubogą we Francji rodzinę, którąby zasługi jego w armii przyzwoitym bytem opatrzyły, a wpanowie udajecie Spartanów. To nie jest w duchu czasu ani obecnej służby; strzeżcie się nadużyć, pracujcie gorliwie, ale sobie wygody nie odmawiajcie i nie wprowadzajcie nadzwyczajności, bo te tylko liczbę nieukontentowanych powiększać będą. Jeśli mojej nie usłuchacie rady, pomimo najlepszych chęci zmienić was będę zmuszony.

W ciągu kilku miesięcy nie zmieniono nas przecie, a bataliony kolega na służbę do głównej kwatery prowadził.

Gdyśmy do miasta wchodzili raz pierwszy, przy brzmieniu muzyki wojskowej, wiedziano, żeśmy byli z dalekiej krainy i z ludu nieznanego krajowcom, bo tam nasze legie włoskie nie zawitały; przyjście więc nasze było uroczystością. Sam generał en chef nas wprowadzał: widok lanc trzema kolorami ozdobnych, artylerja konna, wszystko to mieszkańców bawiło. Rozwinałem mój batalion na obszernym placu przed najozdobniejszą kościołem Panny Maryi, a jednej z najpiękniejszych świata budowli. Tu oczekiwałem rozkwaterowania, gdy piękny zaszedł ekwipaż i galonowani spyтали lokaje, czy to jest drugi wojska batalion. Zdziwiło mnie to zapytanie, a tembardziej żądanie służących, którzy mówili, że jedna z dam miejscowych potrzebuje widzieć się ze mną. Tłómaczyłem się nieprzyzwoitością przyjmowania kogoś przed frontem, a że mi i listę kwater przyniesiono, powiedziałem, gdzie mieszkać będę. Odszedł ekwipaż, zostawiając mi zadanie, którego rozwiązać nie umiałem.

Zaledwie się rozkwaterować zdołałem, kiedy mnie o przybyciu okazałego ekwipażu doniesiono, którego właścicielka miała potrzebę widzieć się ze mną. Prosiłem, aby weszła, nie mogąc jeszcze odgadnąć w mej myśli powodu, jaki ją przyprowadza

może. Jej postać, ubiór, wszystko uprzedzało o wyższym położeniu w społeczeństwie miejscowem. Zapytanie zdziwiło mnie mocniej jeszcze.

— 178 —

— Wszak w tym batalionie znajduje się kapitan Dziurbas? Czy jest tutaj?

— Jest w tym batalionie, odpowiedziałem, lecz dla własnej wygody uprzedza nas, kwaterunek batalionu zabezpieczając; w tej chwili jest na drodze do Sienny, gdzie stale kwatrować mamy.

Spostrzegłem lzy w oczach damy. Bojąc się, czy w zapisywaniu kwater nie dopuścił się jakiej niezgrabności, żałowałem, żem się tak łatwo przyznał do niego.

Wtem scena czulszą się jeszcze stała. Zaczęła płakać, że go może widzieć nie będzie, otwiera mi się z zaufaniem, że go sprowadzić mogę i że to natychmiast uczynię; nakoniec dodaje: Ja go ukochałam, był tak dobrym dla mnie, w mojej złej doli sercem mu ślubowałam, a terazbym go widzieć nie miała? — Tu dopiero przypomniałem sobie neapolitańską scenę, kiedy ją do Gaety odsyłał, i natychmiast rzuciłem się, aby zaspokoić jej żądanie, a ona z poleceniem mojem sztafetę do Sienny do Dziurbasa wyprawiła. Ciekawość przemogła we mnie nad delikatnością i towarzyskimi względami; przypomniawszy jej, że mi nie były obce pierwsze jej stosunki, prosiłem, aby mi opowiedzieć raczyła koniec ambarasów swoich. Powiedziała mi, jak z opuszczeniem Neapolu i rzymskiego państwa od Dziurbasa odłączoną była i z bagażami armii pozostała; po zniesieniu armii Macdonalda w opuszczonym kraju nie widziała nadziei ratunku. Gdy się ku granicy Toskańskiej zbliżyła, udała się szukając schronienia, do dzierżawcy majątku ojca swego, do czasu otrzymania od niego przebaczenia. Ten o przybyciu uwiadomiony, zamknął ją w klasztorze, w którym wychowaną była i z którego ją porwano, a sam o wydanie jej za mąż uczynił starania. W tym właśnie czasie był w domu jego kawaler Hiszpan, syn jego przyjaciela, z którym ją za pozwoleniem duchowieństwa poślubił; ona z nim do Madrytu wyjechała i do usług królowej u dworu umieszczoną została. Tu zasłużyła nie tylko na ufność, ale na powiernictwo królowej i względy księcia Pokoju, który jej męża protegował.

— 179 —

Jednej królowej zwierzyła się z nieszczęść, przez jakie przechodziła, i swoich z Dziurbasem stosunków, gwałtownej jego miłości, a swej wdzięczności dla niego. Pokazywała mi nawet bilety królowej pisywane w uciskach serca, wzywające współczucia jej lub współdziałania i pomocy. W nich ją zaklinała na pamięć własnej niedoli i kochanka; myślećby można, że go królowa sobie jako północnego Apollina wystawiała. Mówiła wkońcu, że ją oprócz chęci widzenia ojca tęsknota do Włoch przygnała, w celu dopytania się między wojskami, co się z Dziurbasem stało. Przed kilku dniami odebrała była z Mediolanu wiadomość, że w przechodzącym wojsku, w batalionie drugim, podobnego nazwiska oficer się znajdował, a odemnie dopiero dowiedziała się, że swego nie chybiła celu. Ośmieliłem się zapytać jej, co na to mąż powie?

— On się podniósł u dworu przez stosunki moje, odpowiedziała, winien mi wiele i wszystko mu wyjawić mogłam. Chce, żebyśmy Florencją opuścili, ale wierzy, że mam tylko uczucie wdzięczności dla tego pana. Ja zaś sama nie umiem rozróżnić, jakiego doznam, gdy go zobaczę na nowo.

Odtąd codziennie przychodził posłaniec z zapytaniem, czy jej znajomy nie przybył. W końcu stanął pan Dziurbas; mały, trochę ułomny, mocno siwy, twarz często rozogniana napojem miała kolor płonącej miedzi, nos pokrywały wyrostki liczne, chwiały się nogi, a źle uwiązana szabla brzękała, wlokąc się po ziemi; choć czapkę na bakier nosił, nie nadawało mu to postaci zuchwalca, ale raczej podochoconego wojaka. Ja nie pisałem mu o jego szczęściu, bo w całej służbie nad Dunajem na nowe jego patrzałem zaloty i z jej tylko oczu pragnąłem zdjąć ułudę, bom ją cierpiącą widział. Dniem przed jego przyjazdem dama poznała mnie ze swoim mężem; ten zdawał się we mnie pokładać ufność, że pracować będę z mej strony, aby uwolnić żonę jego od spazmatycznych cierpień, jakie ją na wspomnienie Dziurbasa napadały. Mogłem się podjąć tego, nazywając jej szczególnie cierpienie chorobą przesadzonej wdzięczności. Mąż prosił mnie,

— 180 —

abym go wprzód mógł poznać z kapitanem, nim o przyjeździe żonę jego uwiadomię. Znam się z Lawaterem, rzekł, i umiem czytać w twarzach, poznam, jakie uczucie wzbudzić jest w stanie.

Na to obejrzenie wstępne nieprzyjaciela wybraliśmy wenecką kawiarnię, gdzie ja z wielu oficerami przybyć miałem, a on odgadnąć rywala. Dawszy Dziurbasowi dobry obiad i dostatkiem wina, poszliśmy do kawiarni umówionej. Był tam już Hiszpan, wziął mnie na stronę i bystrym wzrokiem przychodzących mierzył, a gdy go Dziurbas mijał, rzekł: Przynajmniej nie za tym żona moja spazmuje. — Jakże się zdziwił, gdy mu powiedział, że za nim właśnie. Tak to miłość dziwaczyć umie! Pytał mnie, czy nie żartuję, alem go zapewnił; targał dłonią piękny was czarny, namiętnie w języku swoim złorzecząc. Przrzekłszy żonie, że się z nim widzieć dozwoli, pośpieszył do swego domu, a wychodząc, szepnął mi: Dopomóż mi pan, wyśmiejem ją obadwa, to będzie najlepsze lekarstwo.

Przybyła z mężem w okazałym pojeździe owa dama, gdy nieświadomy jeszcze swego losu Dziurbas spokojnie wychylał szklanicę dobrego wina. Zdrętwiał, ujrawszy ją; ona się z wejściem ociągała, potem raptem śmiało zbliżyła się do niego, pytając, czy ją poznaje. Dziurbas się do łez rozczulił, lecz uczucie, a może ostatnie szklance, zamknęły mu usta, drżał tylko i rad się był skryć pod ziemię. — Przeszliśmy koleje dziwnego losu, rzekła ona, chciałam ci podziękować jeszcze, żeś mnie wyrwał z okropnego położenia; choć twardą przeszłam drogę, Bóg mię ocalił nakoniec. Kościół i nowe śluby zniweczyły nasze dawne związki, mąż mi przebaczył przeszłość, zostaje mi zapytać ciebie, w czym ci wzajemnie użyteczną być mogę.

Zdobył się Dziurbas na odpowiedź: Chyba przeszłości powrotu mógłbym żądać, a gdy to niepodobna, dość dla mnie, że ciebie widzę szczęśliwą.

— Choć bardzo nieładny, ale to jakiś uczciwy i szlachetny człowiek, rzekł Hiszpan; widzę to po odpowiedzi

— 181 —

jego. Nie przywódź go pan jednak do nas, dodał, boby się młodzież wyśmiewała z takiej farsy. My jutro opuścimy miasto, a jeśli to zdarzenie powróci jej spokojność, miło nam będzie wspomnieć, że w części winni to jesteśmy panu.

Na tem się rzecz ta skończyła.

Zapowiedziano nam z kwatery głównej, że Toskania będzie królestwem i córka hiszpańskiego króla, zameżna synowi księcia Parmy, osiadzie z nim na nowoutworzonym tronie; a jeśli powrócone zostaną rządowi francuskiemu nakłady na legię naszą, przejdziemy w służbę tego nowego króla, jako jego gwardya i jako zakład stosunków z Francją. Bo rząd liczy nas za Francuzów

prawie, pomnąc sympatyę, jaką legie niejednokrotnie mu okazały. W nas przykre to obudziło uczucie; zdawało nam się, że się nas pozbywano, że nas zaprzędawano. Każdy myślał tylko, jakby opuścić służbę i do kraju powrócić. Rozpoczęło się panowanie cesarza Aleksandra I; łaskawość, jaką okazał wielu z naszych rodaków, były nam rękojmią spoczynku na rodzinnej ziemi. Mówiono, że traktat lunewilski ma być ogólnym Europę pokojem.

Murat komenderował nami i całą włoską armią; kwatery jego były we Florencji. Mój batalion, którego część w Orbitello w końcu błot tokańskich stała, przesiąknięty zgniłym powietrzem, tracił ludzi na febrę, jakie tam panują. Starłem się o przeniesienie go i do Florencji nas przeprowadzono. Zbliżał się nowy stan rzeczy: Toskania królestwem zostać miała; dla córki króla hiszpańskiego potrzeba było, żeby obrzędy religijne nabrały świetności, a może to i z przekonaniem pierwszego konsula się zgadzało. Przed przyjazdem królestwa Murat szukał starych oficerów, którzyby go nauczili, jak się to za czasów monarchii katolickiej dopełniało. Nie łatwo to przyszło, lecz znalazł się bogobojny starzec, co uroczystym obrzędem przytomny był w Paryżu i pamięć mu ich została. Wezwani byliśmy do nauczania się manewrów, nowymi przepisami nieobjętych, świętym obrzędem towarzyszyć mających. Murat był tym ćwiczeniom przytomnym,

— 182 —

bo i sam wyuczyć się ich starał. Było to coś w początku teatralnego, maszerowaliśmy, klękali, wstawali, prezentowali broń, a Murat poddawał się temu wszystkiemu, choć niekiedy szydersko się uśmiechał. Starzec oparty na dawnym zwyczaju, nic z niego ustąpić nie chciał. Wielu z oficerów francuskich usuwało się od tych manewrów i od obrzędu dnia koronacji; na nas się tedy skończyło, byśmy go dopełniali. Do otoczenia w czasie procesji najbliższego kapłanów miejsca odkomenderowałem kapitana Bolestę, co po mnie miał ten batalion otrzymać. Przy wyższych przymiotach miał on wzrost tak drobny, że na siebie zwracał nim oczy. Kawalerowie orderu Ś. Stefana w swych bogatych strojach, podług miejscowego zwyczaju, monstrancję w dniu tym otaczali; niektórzy byli mi znajomi i wyrzucali mi, że tak niepokąźnego naznaczył oficera. Upewniłem ich najbardziej seryo, że to jest członek rodziny naszego ostatniego króla. Ta myśl arystokratyczna niezmiernie im pochlebila i umówili się, że gdy ich wedle zwyczaju salutować będzie, każdy go pozdrowi słowy: *Evviva il sangue reale!* Nie myślałem wcale, żeby się to, co powiedziałem, tak dobrze przyjąć miało; nie mogłem ostrzec Bolesty wprzód, a gdy kilkudziesięciu ozdobnych kawalerów, mijając go, krwią królewską go zaszczyciło, on kręcił głową, aby im wskazać, że się omylili; ale wzięto ruch ten za dziękczynienie. Później wcale się już nie wzbraniał, choć go wszędzie przy każdym spotkaniu krwią królewską witano.

Królestwo wjechali w miasto, wprowadzani przez Murata, otoczeni ścisłym pospółstwem i najętymi krzykaczami, którzy ich dostojność wielkiem ogłaszały wołaniem, a pociechę powszechną wykrzykami swemi do objawienia pobudzali i zastępowali. Niewiele to musiało kosztować, jak się zdaje. Powozy były obywateli miejscowych, damy dawnego dworu albo same przytomne albo przynajmniej swych litych sukien pożyczły nowo wybranym. Nowy król, bladej twarzy, słusznego wzrostu, zdawało się, że przyjął dostojność, ale jej nie był pewien. Sama królowa, ożywiona, mówić zdawała

— 183 —

się, że królestwo dla niej utworzone zostało. Murat, władca poprzedni tej krainy, przesadzał się dla niej w grzecznościach; mówiono w kwaterze głównej o hojności jego podarków, ofiarowanych królowi w koniach, i błahem odwzajemnieniu się ze strony monarchów, których na tronie osadzał. W dni parę chciano uczcić armią w jej oficerach; wielki był obiad u dworu dla kwatery głównej i sztaboficerów garnizonu; ale skromnie bardzo wystąpiono i bankiet wcale nie był królewski, a daleki od tych, jakimi dotąd Murat przyjmował. Czekaliśmy na przyjęcie królewskie, a z naszego patrząc stanowiska, myśleliśmy, że trzy wyższe zostawione miejsca, zapewne dla N. Państwa i wprowadzającego ich na tron reprezentanta armii, Murata, przeznaczone były. Weszli

królestwo, a Murat i legat papieski z niemi; temu królowa między sobą i mężem wskazała miejsce, Muratowi narożne zostawiwszy. Niespokojność we wszystkich była widoczna, lekceważono obecność królestwa i kamrackie rozpoczęto rozmowy, brzękały nieskromnie naczyń, Murat to wzrokiem poskramiał tylko. Prałat bawił królowę, czasem się do marszałka obracając: był on duszą konwersacji w ciągu obiadu całego, po którego ukończeniu ledwieśmy salę opuścili, pełno dowcipnych żartów na tron nowo zjawiony; po wylaniu tyle krwi francuskiej żartowali z samych siebie ci, co niedawno wszystkie trony obalać chcieli. Były podobne

i w czasie procesji na Boże Ciało, bo Francuzi wołali, że ich chcą na zakrzytych obrócić, a armią w pobożne bractwo zamienić i t. p. My, cośmy się dowiedzieli, że król ze zubożałego królestwa opłacać nakłady na formację nasze uczynione nie był w stanie i przyjąć nas za swą gwardję nie pragnął, więcej na mieszkańcach niż na nas polegając — pomyśleliśmy pilniej o sobie.

Ja udałem się do Fiszerę, który był komendantem placu w Livorno, aby się z nim naradzić; pisaliśmy obaj do Paryża, prosząc o uwiadomienie, czy do nas generał Kniażewicz powróci. Stała wtenczas w Livorno na kotwicy fregata szwedzka, mająca na Wschód zeglować. Kapitan jej

— 184 —

powiedział nie tylko szacunek, ale nawet przyjaźń dla Fiszerę. Gdyśmy mu mówili o naszej chęci porzucenia służby, zachęcał nas, abyśmy z nim na Wschód płynęli, odbyli całą podróż, a gdy do Sztokholmu dopłyniemy, będziemy już blisko własnego kraju lub w Szwecji przytułek znaleźć możemy. Nie byliśmy dalecy od przyjęcia jego wniosków; ale Fiszerę męczyła żądza widzenia Rzymu i Włoch południowych, w czym mu przyrzekłem towarzyszyć. Wtem się i wojenna odkryła potrzeba. Na wyspie Elbie, Porto-Ferrajo Anglicy posiadali, a na drugim jej końcu, Porto-Longone francuskim garnizonem obsadzone było. Anglicy użyli portu, co był silnie

uzbrojony, na korzyść handlu swojego, jak zawsze zwykli. Zasypali go towarami, a tysiące barek rybackich przewoziło towary do różnych nieobronnych przystani, tak dalece że kontrabandowy handel zastępował wszelki inny. Francuzi żadnej siły morskiej w tych stronach nie mieli i przeszkodzić temu nie byli w stanie. Murat chciał wylądować i siłą Porto-Ferrajo zdobyć, składy towarów zabrać i niemi kosztą wyprawy sobie nagrodzić; brak portu byłby zniszczył handel korzystny. Lecz Porto-Ferrajo od strony lądu silnie uzbrojone, wiele kosztować mogło, gdy od strony morza wielką upatrywano łatwość. Murat zażądał z Tulonu dwóch fregat, któreby port zaatakowały, a nam zdobycie miejsc warownych od strony wyspy polecił. Przyszły dwie fregaty nowe i z całym uzbrojeniem, wzięły kilka kompanij mojego batalionu; barki zresztą zebrany mój i Fiszerę batalion do Porto-Longone wysadzić były przeznaczone. Dano nam stosowną ilość dział, a wylądowanie żadnej nie doznało przeszkody. Usypaliśmy nawet

baterie odpowiednie bateriom angielskim, które broniły dosyć jeszcze długą groble, przez którą jedynie dostać się można było. Wiedzieliśmy dobrze, że naszem było przeznaczeniem odwrócić siłę nieprzyjacielską w tę stronę, a fregaty reszty dokonać miały i wysadzić wojsko, które niosły. Garnizon angielski był tak mały, że na dwie strony do obrony nie wystarczał. Myśmy zaczęli działać, a on się zwrócił ku nam. Z jakąż pociechą

— 185 —

widzieliśmy z rozpiętemi żaglami świetne dwie fregaty podpływające ku wyspie! Zdawało się nam, że one zwycięstwo zapewnić miały. Dla ludzi, co morskiego nie widzieli boju, cóż to za powabny widok ujrzyć płynące te ogromne budowle, wirowym obracające się ruchem, z jednej strony zionące ogniem z dział swoich, gdy drugą do wystrzałów gotują, ujrzyć ich żagle białe, liny, drabinki ze sznurów, któremi są opatrzone; majtkowie zręczni z zapalem przebiegają je, słuchają głosu, wedle którego kierują żagle: temi łapia wiatry i na rozkaz wodza się niemi posługują. Gdyby nie ruch, nie armaty, które nam często zabierały towarzyszków broni, możnaby na ten widok oddać się całkiem naturalnej ciekawości. Dla żołnierza, co tylko lądowych bojów był świadkiem, rzecz była nowa i zajmująca. Nagle na tych pływających twierdzach ujrzeliśmy nadzwyczajne poruszenie; zdawały się gotować do odwrotu, choć dla nich żadnego nie widzieliśmy niebezpieczeństwa. Zdaleka coś tylko migało, jakby wylazący z łona morskiego potwór, jakby drobne statki rybackie. Oni to lepiej poznali, była to flota angielska, co do Gibraltaru wracając, chciała Porto-Ferrajo zabezpieczyć. Drobne jej żagle wzrastały coraz bardziej w oczach naszych: były to liniowe okręty, przy których drobniały fregaty francuskie; lot ich szybki nie zostawiał nawet cofnięcia się nadziei aniby ich Porto-Longone ocalić mogło. Komenderujący fregatami wysadził na pokład piechotę naszą, oni wprowadzają swoich; my na brzeg ciągniemy działa, sądząc, że one ich oddalić zdołają, lecz brzegi były opodal płytkie, fregaty zbliżyć się i z pomocy naszej korzystać nie mogły. Patrzymy, na co się ta broń stojących na pokładach przydać może przy mnóstwie armat, co zdala sięgają. Idą ku sobie okręty, nadęte żaglami jak łabędzie, kiedy z sobą igrają; ryk kilkuset armat, dym prochu, istne piekło na małej przestrzeni. Zaczyna się i broń ręczna odzywać, majtkowie postrzeleni zlatują lub opuszczają liny, okręty się chwytają bokami, mężniejsi wskakują na nie. Zwycięscy naprzód odzierają żagle, potem obalają maszty, a uwięziwszy ludzi, przywiązują

— 186 —

fregaty, jak drobne łodzie, i piękne te budowle, któreśmy niedawno podziwiali, wloką za sobą. Myśmy się do Porto-Longone cofnęli, a oni ani dbali o nas. Nasi towarzysze broni, co na fregatach byli, poszli w niewolę. Wspomógłszy Porto-Ferrajo, poszła flota do swego przeznaczenia, a nas statki do Livorno odstawiły. Po takiej stracie żołnierzy z batalionów, posłałem prosząc, aby mię od służby uwolniono, lecz to się nie zdało czynić bez wyższego zezwolenia. Tożsamo i Fiszer uczynił, położywszy mi za warunek, jeśli razem powracać mamy, żebym mu do Włoch południowych towarzyszył, które widzieć pragnął. Wzięliśmy uwolnienie tymczasowe i udaliśmy się do Rzymu. Tam niegdyś stałem, tam się za poznaniem starożytności i kunsztów więcej roku ubiegałem, wiele mi tam stosunków towarzyskich pozostało jeszcze; wreszcie Pius VII panował, któremu w niedoli będącemu byłem w Imola dodany i mojem uszanowaniem łagodziłem położenie jego, na ufność zarabiając sobie. Kraj był już uspokojony, podróż przyjemna i ułatwiona, a tak szczęśliwie stanęliśmy w Rzymie. Tam miałem protektorem duka Al... w służbie nadwornej Piusa VII zostającego; było się o kogo oprzeć. Pierwsze dni spędziliśmy na poznaniu miasta i pomników jego. Śmieszne tu dwa wspomnę zdarzenia. Byliśmy za ubodzy, aby hojnie opłacać wniście do pałaców, gdzieby co do widzenia było; jam to dobrą miną, jako oswojony z językiem, zastąpić usiłowałem; a Fiszer ciągle się niepokoił, bojąc się przykrego zawodu. Na ruinach pałacu Pompejusza stoi dziś pałac Barberinich, któryśmy obejrzeć pragnęli. Nie wiedzieliśmy, do kogo on należał; oświadczyłem służącym nasze żądanie, a jako cudzoziemcom, grzecznie to ułatwiono. Prowadził nas człek podeszły, którego obejście niekoniecznie włoskiem nam się zdawało. Fiszer się niepokoił, że go przyzwocie nie wynagrodzimy, i o tem do mnie po polsku mówił. — Jam nadgrodzony, odpowiedział Włoch, i to wiele już lat temu. — Odezwanie się po polsku, choć nieco łamanym językiem, niezmiernie nas zdziwiło; gdy on dodał: Jego Świątobliwość kardynał Saluzzo jest tego

— 187 —

domu właścicielem; ja, rządzca jego domu, byłem z nimi w Warszawie, gdzie jako nuncyusz przebywał. Jakże to u was gościnni dla cudzoziemców! jam rad, że się choć w części odwdziżyć wam mogę; kardynał mi to za najlepsze poczyta.

Lecz się tak miła przygoda cierpkim, choć nieszkodliwem doświadczeniem zatarła. Gdyśmy przed dwoma laty stali: w Rzymie, moją było rzeczą zastępować *cicerone* dla rodaków. Robiąc to po wiele razy, nabyłem wprawy, język mi nie był obcym, a wielu przyjezdnych dopiero się do niego przykładalo. Właśnie zjechał był Wybicki, tak starożytności żądny, tak z dziejami oswojony; jam się mu starał towarzyszyć, aby się czegoś nauczyć od niego. Oglądając ruiny pałaców cesarskich, weszliśmy w miejsce zwane kąpielą Livii; pod prostego gburą było dozorem, a on za swoje fatygę jak mógł najdrożej zdierał. Dostawszy się do lochu podziemnego, po swojemu poczał nam tłómacz myśl alfresków wykladać; Wybicki ją uczenie sprawdzał, jam się im przypatrywał, ale ząb miałem do chłopca, który mi wchodzącemu powiedział: Mniej, jak za skuda, wam nie pokażę. Trzeba było nagotować; chciał traf, żebym dobywając skuda z kieszeni, gdy się już przewodnik oglądał i głową kiwnął, dobył razem bajoka. Przyszła mi myśl odmienić go na tę miedzianą monetę i w papier ją obwinąć. Rzecz się wysmienicie udała i myśmy się spokojnie oddalili, gdy on te groby zapierał. Gdym teraz we dwa lata po owem zdarzeniu z Fiszerem przyszedł, spojrzął na mnie ostro i swą latarnią najwięcej Fiszerowi służył; zapłaciliśmy go: u wychodu on Fiszerowi wyniść z groty pomagał, a jam się w tyle pozostał. Gdy na mnie przyszła kolej, on puginął dobył i spokojnie rzekł: *Il mio scudo!* Pamięć mi się wróciła żartu z przed dwóch lat: musiałem mu dać skuda, a on przed wyjściem zmusił mnie, abym od niego bajoka odebrał, mówiąc: Kwita za moje.

Chciał Fiszer widzieć Neapol, lecz bezpieczeństwa w podróży nie było; dawna w pospólstwie niechęć nie była stłumioną, o paszport niełatwo. Udaliśmy się do duka Al...

— 188 —

który się nami szczerze opiekował. On przedstawił nam korzystną okazyję: wracali podtenczas zabrani w niewole oficerowie neapolitańscy, a papież im dozwolił widzieć się z sobą i przyjąć jego błogosławieństwo, na to im wyznaczwszy godzinę. Al... korzystał z tego i o nas także papieżowi wspomniął. Chętnie Ojciec św. dozwolił nam widzieć się, ale dodał: Mieszać ich z sobą nie wypada, bo może oficerowie ci francuscy formy zwykłe uznaliby za przesadzone lub starsi za złyby im mieli, żeby się im poddali. Umieść ich w przyległym pokoju, jak pierwsi odejdą, rad ich zobaczę. — Stanęliśmy na naznaczoną godzinę w wyznaczonym pokoju, kiedy liczni oficerowie neapolitańscy hołd swój składali i do ucałowania nóg papieskich przypuszczeni byli; każdy z nich poświęcony różaniec w podarunku otrzymywał. Gdy się to przyjęcie ukończyło, wszedł papież; pytał nas o

naszą podróż i czy armia odebrała już rozkazy, bo jego uwiadomiono, że generał Miolis miał się na nowo ku Rzymowi posunąć; a gdyśmy upewnili, że do naszego wyjazdu odgłosu nawet o tem nie słyszeliśmy, rzekł Ojciec św.:

— Może też wzięli to na uwagę, że dosyćby było tych napadów na bezstronne państwo, którego krzywda odbija się w całej Europie, w sercu każdego dobrego chrześcijanina.

Dodał potem, że mu duk Al.... mówił, iż o paszport mieć możemy trudność. — Ale ja, rzekł, poślę prosić kardynała Ruffo, ministra neapolitańskiego, aby wam go wydał i osobną kartą bezpieczeństwa upewnił. My sobie nie jesteśmy obcy, powiedział obracając się do mnie; Wpan mi byłeś dodany w Imola, widziałem jego dla mnie przychylną i miło mi to przypomnieć sobie.

Odszedł pożegnawszy nas Ojciec św., a nasz paszport nie doznał trudności; otrzymał go dla nas opiekun i weturynem do Neapoluśmy się puścili. W drodze, na błotach Pontyńskich, wstrzymał się na popas weturyn około oberży przy gruntach Braschiego, synowca poprzedniego papieża, położonej. Tuśmy zastali kilkunastu ludzi po myśliwsku uzbrojonych, obiadujących za stołem. Gdyśmy się do niego

— 189 —

zblżyli, bystro poczęli poglądać na nas i ciszej coś z sobą rozmawiali. Jeden z nich był intendantem majątku Braschiego i zbliżył się do nas, zapytując, dokąd jedziemy. Powiedzieliśmy mu, że do Neapolu.

— Tam wszelkie bezpieczeństwo, ale podróż, rzekł, nie zawsze równie bezpieczną bywa. Pytał, czyśmy za paszportem francuskim; a że nam wprzód powiedziano, kto był, myśleliśmy, że pytanie ma policyjne znaczenie, i pokazaliśmy mu nasze umocowania. On je przejrzał i pochwalił ostrożność nasze. — I ja, dodał, mógłbym wam dać także przychylne świadectwo, boście mi oba znajomi. Mam barki, co zawijają do portów, i w Livorno bywałem; pierwszy to był komendant placu (tu obrócił się do Fiszer), co nas nie obdzierał, nie napastował nawet. A WPana, rzekł do mnie, w Orbitello widywałem, gdzie często zawijał w nadmorskich podróżach; widziałem cię nawet w Siennie, gdzie byłeś komendantem placu, i moi znajomi dobrze mi o tobie mówili. Jednak różne były moje z wami stosunki, rzekł dalej, dobywając papierów i ukazując nam arkusz z godłami i podpisem Dąbrowskiego.

Ciekawość nasze podbudził i spytaliśmy się, co to i do kogo było pisane.

— To, rzekł, zdobycz wojenna! — I podróżowyszy się trochę, dał nam do przeczytania; był to rozkaz wydany panu pułkownikowi Chaman, prowadzenia legii pierwszej.

— Ależ choć Chaman zabity, spytaliśmy, jakże się wam ta zdobycz dostała, boć nasze wojsko spędzonem nie było?

— Służyłem w gerylasach, odpowiedział, w dniu tym nawet śniadałem razem z nim, hojnie uczęstowanym w podróży od damy, u której nocował. Trochę wcześniej z ochotnikami byłem już na jego przechodzie, spodziewając się, że kogoś pojedynczo sprzątniemy. Zasiadliśmy za jedną z oberż przydrożnych. Chaman znacznie się przed swoich wysunął, tak dalece że nie tylko był czas strzelić, ale i obedrzeć zabitego. Nie barzośmy się obłowili, bo mówiono, że to był niezamożny człowiek, ale na dowód, że komendanta sprzątnął,

— 190 —

unosłem jego pugilares i ten mi dobrą sławę między moimi ustalił.

Z tego towarzystwa nie wiele dobrego mogliśmy rokować sobie i z trwogą opuściliśmy oberżę, dążąc do Terracino; lecz się tylko na te j rozmowie i strachu skończyło. Wjeżdżając do Neapolu, udaliśmy się do ministra francuskiego, pana Alque, aby opiekę jego pozyskać. Spytał nas o cel podróży, mówiliśmy, żeśmy przybyli dla widzenia Neapolu i okolic jego. Ofiarował nam przyjemne towarzystwo generała Dampierre, który był wtenczas u niego, w celu artystycznym i naukowym podróżując. Radził nam mieszkać w tej, co on oberży i z nim razem mniejszym nakładem, na kilka osób podzielonym, wycieczki nasze odbywać. Zresztą nie tylko opiekę swoją, ale uprzejmie i dom swój i towarzystwo nam ofiarował.

Pierwszym naszym celem było dostać się na wierzchołek Wezuwiusza, który natenczas spokojny, wszelką sposobność szczegółowego obejrzenia ułatwiał. Dampierre miał przed sobą wszystkie wyciągi z podróży, uwagi naturalistów i najmocniejszą wolę odkrycia czego nowego, jeśliby się udało. W dniu do tego sposobnym ruszyliśmy nocą księżycową, jasną, aby za brzaskiem być na wierzchołku góry. W czasie mej pierwszej w Neapolu bytności widzieliśmy tylko wrażenia, jakie ta góra pałająca na mieszkańcach i podróżnych sprawia. Kiedyśmy wtedy do Neapolu dochodzili, widziałem tylko obszerną łunę, którą w niewiedomości braliśmy za jakieś stanowisko wojskowe. Lecz się wstrzęsła ziemia niespodzianie, a mieszkańcy, co byli w obozie stronnikami Francuzów, cieszyli się niezmiernie z błysnienia pierwszego światła i mówili; »Bóg Neapol od klęski ocala, Wezuwiusz ogień zewnątrz rzuca; nie uwierzcie, jak nas mieszkańcy przyjmą, gdy wołać będziemy; Bóg się rzeczpospolitą chce opiekować i lud ocalić«. Jakoż to było hasłem wejścia naszego. Nie była wtedy pora w czasie ogólnego wzburzenia odwiedzać okolice, ani być na górze, którą rozpalone lawy

— 191 —

okrywały. Byłem uszczęśliwiony, żeśmy teraz ten cel podróży przedsiębrali.

Lekki blask wydobywającego się gazu okrywał otwór krateru, lecz to było tylko światło, a żadnego śladu ognia i wybuchu. Zorza błyskała z nad morza, oświecając ruch jego; słabo przeglądało miasto, a tysiące rybaków w żaglami opatrzonych łodziach u brzegu morza za połowem ryb płynąć się gotowało. Później odkrył się niezrównany dla oka widok, o którym w zapale Neapolitanin i ledwie nie każdy Włoch powtarza: *Vedi Napoli e poi muori*. Między dwiema wyspami, co noszą nazwanie *Isole del Capri*, zaczęło wschodzić to potężne słońce, którego obwód tam się być większym zdaje, niż kiedy na nie w naszej patrzymy krainie; jego promienie ślizgały się po bałwanach morza, światło padało na gmachy miasta i równie oświecało historyczną wulkanów krainę. Tu widać górę z jednonocnego wysypu *Montagna nuova* zwaną, tu białą Solfatę, na której pasterz spotyka drobne płomyki i przy nich gotuje swą strawę; tu przebitą grotę Sybilli przed tunelem Londyńskim, uważaną za niezmierzone arcydzieło; tu Herkulanum zalane lawą wulkanu i Pompeję zasypaną popiołami. Ciekawość w nich grzebie i odkopuje ulice, teatru, świątynie, dotykając dowodów materialnych ówczesnej cywilizacji. Wszystko to przed twem okiem z obu stron się przesuwa, a przed tobą obraz nieskończoności: morze, najpiękniejsze morze, w środku którego słońce w ramie z dwóch wysp utworzonej, gdzie ludzie i wytworna roślinność obrały sobie schronienie. Jest to czarujący widok, tembardziej dla mieszkańca kraju płaskiego, co do niego nie przywykł. Nie jedno przecie uczucie wynagradza nam odjęte przez opatrność dary....

Tu nasz generał rozwinął pasmo zdobytych w historii naturalnej postrzeżeń i dziejowych wiadomości o tej krainie; byliśmy wszyscy oczarowani, a Dampierre gorąco pragnął widzieć głębię krateru. Żadnego nie było ruchu w powietrzu, coby mógł wzruszyć przepalone okruchy; szło jedynie o znalezienie brzegu, któryby nie miał gwałtownego spadku.

— 192 —

Natychmiast obiera go naturalista, przewodnikom płaci, złoto zwycięża wszystkie trudności; usuwa się z brzegu, a przewodnik za nim; chciał los, że szczęśliwą sobie otworzyli drogę, po miękkiej warstwie gruzu. Dampierre wkrótce stanął nad brzegiem dwóch otworów, któremi przed kilku laty wylaływał ogień, jeszcze stopień wyższy ciepły świadczył o jego przejściu, już i reszcie podróżnych z bezpieczeństwem potem puścić się nie było trudno. Jeden to był z rzadszych wypadków i cecha znamionująca wycieczkę naszą; mieliśmy potrzebne do doświadczeń narzędzia, które zniesiono, i generał zapisał rezultaty. Dzień spokojny zabezpieczył nam wyjście stamtąd, a tak choć utrudnieni, ale szczęśliwi, wsiedliśmy na nasze muły i uciekliśmy przed skwarem letniego słońca.

W tym dniu był wielki obiad u Alque'go; Borozdin, komendant wojsk rosyjskich, kilku urzędników wyższego rządu, kilku znakomitych uczonych, składali to zgromadzenie. Generał Dampierre świetniał wyprawą swoją dzisiejszą, rozprawiał o wnętrzu wulkanu, czynił przypuszczenia, jakiego korzyści z rozwalenia krateru dla uczonych postrzegaczy odkryć się mogły. Dowodzono, iż kilkanaście bomb lub silna mina prochu ułatwiłaby następne badania. Zapalili się uczeni, zaprzeczali spostrzeżeniom generała, zostawiając je do następnego sprawdzenia; urzędnicy zaś miejscowi mówili, że trudności są do pokonania i odwoływali się do miejscowego ludu, który się nie lękał wzruszenia wulkanu i byłby na takie usiłowanie obojętnym. Generał uczonym się bronił i wzywał ich do drugiej wyprawy nazajutrz, ofiarując się spuścić z nimi i to, o czym zapewnia, ich własnem doświadczeniem sprawdzić.

Trzy dni późniejznaczono podróż drugą, do której Alque z niejaką dumą narodową wzywał, chcąc, by przy Francuzach została wygrana zwyciężonych trudności. Nazajutrz generał umieścił w gazecie swe spostrzeżenia, nadając im nowych odkryć ważność i budząc powszechną ciekawość. Był właśnie w Neapolu podróżujący Anglik, który z Sycylii

— 193 —

wracał i korzystnie z uspokojenia wulkanu Etny, robił postrzeżenia także. Ma tu znana być skała bliska otworu; korzystał z niej, usposobił liny, przymocował je do niej i po nich spuściwszy się, we wnętrzu góry płądował. Jakże go zabolalo, że nie był pierwszym, co się spuścił w Wezuwiusz! Chciał jednak poprawić Francuza i dowieść lekkości w postrzeżeniach jego. Stanęliśmy na górze, gdzie już nas uprzedził otoczony gromadą przewodników, którzy jego liny i narzędzia nieśli. Biegał dokoła krateru, a na przyjście nasze cały był gniewem przejęty. Lecz poprzedni wicher wzruszył popioły pumeksu i te się za każdym poruszeniem sypały

masami, któreby spuszczonego się łatwo zagrzebać mogły. Porobiły się też załomy, w których sposobu przytwierdzenia liny nie było; a samo jej rzucenie dowodziło niepodobieństwa dalszego usiłowania, Generał opowiadał tymczasem bytność swą poprzedzającą, która mu do uczynienia tak ważnych spostrzeżeń drogę usłała, tem śmieiej, że ich już sprawdzić nie było podobna. Co do nas, tośmy się cieszyli, spozierając na ten zadziwiający widnokrąg, jaki nas otaczał.

W Neapolu stała gwardya cesarza Pawła, pułk Sybirski grenadyerów, który przed laty na Wołyniu konsystował; mundury i kaski gwardyi miały formy odmienne i wyłączne. Neapolitanie naśladowali je tak dalece, że po ubiorze od Rosyan ich rozemnić nie było łatwo; ruchy nawet żołnierza północnego przejąć umieli. Przechadzając się w bliskości królewskiego pałacu, spytałem po włosku Rosyanina, czyby nie wiedział, jak się pobliska ulica nazywa; on się poważnie zastanowił, a gdym mu powtórzył pytanie, odpowiedział nareszcie: *Non capisco, pascou avanti*. — Dopierom się przekonał, że się omylił.

Ciężko nam było oderwać się od tak pięknej krainy. Byliśmy w Pompei, znanej z opisów tyłu, zwiedziliśmy Casertę, Herculanium, brzeg morza: o tem wszystkim cóżby się jeszcze nowego powiedzieć dało? W końcu do odwrotu zmusiły nas finanse nasze i też samą nazad puściliśmy się drogą. Stanąwszy w Siennie, zastałem w szpitalu mnóstwo

— 194 —

grenadyerów z batalionu, którym komenderowałem; ich pąsowe kity zdobiły łoża boleści, przy których smutnie zawieszono były. Przywieziono ich z Orbitello, gdzie gorączki im różne zostawiły choroby; smutno mi było ostatni raz się z nimi pożegnać! Była to jedna z największych boleści, jakich w długim mem życiu doświadczyłem, a które ten tylko ocenić może, kto w wojennem życiu nawykł kochać żołnierza i był pewnym przywiązania jego. Jakiś ponury smutek zdawał się nam źle rokować o przyszłym losie legii naszej, którą też wkrótce do S. Domingo wysłać miano.

Usunęliśmy się do Florencyi, gdzie wielu zebranych oficerów naszych rozwiązania losu swojego czekało. Czas ten zostawił mi także po sobie drobne wspomnienia, które w pamięci utkwily. Wróciła mi się bardzo niespodzianie szkoda, jeszcze w czasie naszego do Włoch powrotu poniesiona, gdym się do Florencyi z batalionem gotował i w tym celu żołnierz się oczyszczał, a ja w nowy mundur się przystrajałem. Miałem właśnie przy sobie jedyny zasób, jedyną materyalnej wartości najlepszą rzecz: trzy pierścienie kamieniami ozdobione i drobne brylanciki w obwodzie mające; nosilem je zawsze w zanadrzu, bo w ostatniej potrzebie zastawić je można było. Miałem je w odzieniu, które zrzucąłem; oszust być musiał żołnierz, co je zdejmował, bo z pod spodu wyjął najkosztowniejszy, a dwa wierzchnie zostawił. Obejrzawszy pudełko, dalej je przy sobie wedle zwyczaju nosilem; w Siennie dopiero chciałem się w moje ubrać pierścienie i spostrzegłem, że najdroższego z nich nie było. Trudno było odgadnąć, kiedy mi go wyjęto, trudno poszukiwać, nie mając śladu ku poparciu podejrzeń, trzeba było zapomnieć o szkodzie.

Gdyśmy się do dymisy podawali, każdy w miarę możności chciał jadąc do kraju przywieść choć drobną pamiątkę swego we Włoszech pobytu; w mniemaniu, że to lepiej skuteczniej potrafię, prosili mnie, abym im do takiego kupna towarzyszył. Najlżejszym a najrzadszym w Polsce upominkiem była kamea, kamienie artystycznie rżnięte:

— 195 —

pragniono ich nabycia, poszliśmy więc do największego handlu. Jubiler pokazywał je żądającym, gdy wszedł porządnie ubrany człowiek, który go prosił, aby go oświecił o rzetelnej wartości pierścienia przyniesionego. Rzuciłem okiem na ten pierścień i pomyślałem, że bardzo do mego podobny, właśnie jak gdyby mój. Ale cóż dziwnego, może się takie wyrabiają? W tem jeden z

kupujących, co go widział u mnie, zawołał: To twój pierścień! — Odpowiedziałem: Alboż być podobny nie może? — Lecz ten niecierpliwy wyraził swe podejrzenie pokazującemu.

— Być to może, odpowiedział podróżny z podziwieniem mojem, trzeba jednak rzecz sprawdzić, nim ją za pewną uznamy.

Sądziłem, że to był żart tylko, lecz przybyły nas ściśle wyegzaminował, kiedy we Florencyi byłem, porównywał daty i sprawdziwszy dokładnie, rzekł:

— Jeśli WPan tak ze mną szlachetnie postąpisz, jak ja z nim chcę postąpić, najłatwiej dojdziemy prawdy. Ja za ten pierścień nie więcej dałem, jak dziesięć dukatów; wiem, że on jest znacznie większej wartości, lecz ja go panu za to, co dałem, zwrócę i dowiodę, że do niego należy.

Przyjąłem tę propozycję odrazu, alem dodał, że pieniędzy przy sobie nie mam.

— Wszelka ufność z mej strony, odparł przybyły; ja tylko chciałem ocalić dzieło sztuki, żeby zmarnowaniem nie było. Szedłem właśnie w dniu waszego przez Florencję przechodu, mostem Św. Trójcy, kiedy wasz żołnierz kramarzowi ten pierścień sprzedawał; pomyślałem, że może się o właściciela dowiem i odkupiłem od niego. Spotykałem później oficerów, pytając, czyby nie wiedzieli o takiej szkodzie, ale nikt mnie oświecić nie mógł.

— Wierzę bardzo, odpowiedziałem, bo i ja czas długi o niej nie wiedziałem, a przekonawszy się, nie skarżyłem nikomu, będąc sam w podróży długiej, z której dopiero temu dni kilka wracam.

— 196 —

— Weźże go WPan, jak swoje własność, a jeśli uznasz słusznem, powróć mi moje stratę.

Kolega, który miał przy sobie pieniądze, dopomógł mi i rzecz się uczciwie dla obu stron skończyła.

Pierścienie te były mi dane przez Rzymiankę, która się dla mnie obawiała niedostatku i chciała mnie od niego uchronić; wiozłem je napowrót do Włoch, bo mi ona do Paryża przysłała, i cieszyłem się, że nie nadużyję jej wsparcia. Dwa drugie jużem był jej odwiózł do Rzymu, szczerze tem strapiiony, że nie oddałem trzeciego; przykro mi było, że pomyśleć może, iż go użyłem w potrzebie. Jakaż to była dla mnie pociecha w odzyskaniu go, tem bardziej, że ona do Florencyi dla widzenia się ze mną przybyć miała. W czasie mego przejazdu przez Rzym odwiedziłem ją i odnowiłem znajomość osoby, która w czasie naszej na garnizonie bytności tyle zajęcia się mojem dobrem dowiodła. Żywiła nas w wojnie przez posłanników swoich, czuwała nad naszym bezpieczeństwem, ocaliła mnie, gdy w nocy przez Rzym przechodząc, na placu Navonna od rozhukanego ludu był napastowany. Tu podobno każdy spyta, jak się nasze skończyły stosunki? przeczytajcież cierpliwie, co o tem powiem.

Jadąc do Neapolu, byłem z dobrocią przyjęty, chciała nawet tam być w czasie, gdy i my będziemy; oddałem jej dwa pierścienie i szczerze cierpiał nad stratą trzeciego. Ona je przyjęła, jedynie mając wzgląd na bezinteresowność moje. Krótki nasz pobyt w ulubionem jej mieście wstrzymał ją od tej podróży. Napomknąłem jej, że się zmienia nasze położenie i że służbę opuścić myślę; mówiła mi, że się to odmienić może. Powracając, wspomniłem obszerniej o potrzebie powrotu do kraju i rodziny; odpowiedziała mi, że za nami do Florencyi przyjedzie i tam się rozmówimy ostatecznie. Przybyła w istocie, właśnie kiedym jej pierścień odzyskał;

pośpieszyłem, aby go jej zwrócić. Uczuła to, że się pozbywam jej darów, i rzekła: Może dlatego, że kosztowny, przyjąć go nie chcesz, a miałabyś zostać bez pamiątki

— 197 —

odemnie? Przywiozłam ci przynajmniej pomnik artystyczny domu mojego, jest to relikwiarz ręką Berniniego wypracowany na kości słoniowej. — Straciłem ostrożność mi zwykłą nieprzyjmowania darów; zdawało mi się, że miłą przywiozę do domu pamiątkę. — Przytem, mówiła, pragnę odwlec twój powrót do kraju i dwa na to mam sposoby. Przyjechałam tu wezwana jako dama honorowa królowej Etrury i zamieszkać tu możemy; a jeśli mi tego odmówisz, mam z sobą dostateczny fundusz, pragnę Francją poznać, nie zechcesz porzucić przyjaciółki bez opieki w tak długiej podróży. Jedźmy razem; Francją i Anglię objedziemy, a potem któż wie? może ja się puszczyć za tobą w twoje zimną krainę i sama się przekonam, czy miałeś za czem tęsknić, że mnie dla niej opuścić pragniesz.

Propozycja ta spokojność moją mieszała. Chce, abym z nią jechał, a ja tak tęsknię za krajem: zdaje mi się, że to właśnie pora, osobistego nie narażając bezpieczeństwa, połączyć się z wiekiem przygniecioną matką i rodziną i na jej łonie czekać dalszych wypadków, które dziś mniej od nas, więcej od naszego zawisły przeznaczenia. Przyjadęż jak najemnik kobiety, czy przywiozę żonę z pod włoskiego nieba, matkę, co tu drobne zostawia dzieci, która kiedyś ochłonawszy z pragnienia nowości, zatęskni za krajem własnym? ja zaś zostanę, przeciąwszy w pół życie awanturniczym jakimś węzłem? Nie — tego dla niej i dla siebie uczynić mi nie należy. O jej losie pomyślę, dogodzę jej żądaniom, nie dopuszczę, by ją ktoś posiadał, obdarł i porzucił daleko od domu: to wszystko, co dla niej uczynić mogę.

Wtem gdy tak myślę, przychodzi do mnie kapitan batalionu mego Edler, rodem z Wilna, syn zegarmistrza. Był on wysłany od ojca, aby się w Genewie w domu Melli wydoskonalili; na widok rodaków porzucił rzemiosło, a wyższe usposobienia łatwy mu uczyniły przystęp w wojsku do przyzwoitego umieszczenia; lecz przewidując, jaki miał nas spotkać koniec, i on się oddalił pragnął.

— 198 —

— Wiesz kapitanie, rzekłem, rzucam służbę i wracam do domu ojczysty zagon uprawiać.

— I jabym to uczynił, gdybym miał zagon; alem odebrał wiadomość, że ojciec mój umarł, mająteczek nasz rozsypał się, i piszą mi, żebym sam myślał o sobie.

— Pozwól mi, żebym i ja myślał o tobie, odpowiedziałem; a on się rzucił w moje objęcia, mówiąc, że mnie nie opuści.

— To za mało dla ciebie, rzekłem, twe usposobienia większą ci mogą utorować drogę. Ja cię do Florencyi i Anglii wyprawię na kilkoletni pobyt zapewne, a gdy się wzniesiesz jako artysta, Wilno czy Warszawa dadzą ci byt przyzwoity. Lecz ty za to spełnisz za mnie obowiązki sumienia, pojedziesz z kobietą mozną, która chce namiętnie podróży, choć drobne dziatki w domu zostawia; ty masz być jej opiekunem, nie dasz się jej zrujnować, nie dopuścisz, aby ją jaki łotr opanował, i nazad odprowadzisz do Rzymu. Z korzyścią dla ciebie będzie poznanie tak ciekawych krajów i osobiste ukształcenie będziesz miał w zysku; ona zastąpi kosztą podróży i odeszle cię nazad do kraju.

— Złoty projekt, zawołał Edler, ja ci się zupełnie powierzam.

Na tem rozeszliśmy się, bo godzina była spóźniona.

Nazajutrz pośpieszyłem do domu rzymianki, i powitany zostałem słowy:

— Cóż, namyśliłeś się nad tem, o czemeśmy wczoraj mówili?

— Myślałem noc całą i coś mądrzejszego wydumałem, odpowiedziałem jej.

— Mówże mi tę mądrość twoje, przerwała wdowa.

— Ty masz drobne dziatki.

— Tak jest, zostawiłam je w jednym z folwarków, później pójdą na wychowanie do klasztoru, bo to są córki; mamże się nudzić dla nich?

— U was, mówiłem dalej, kobiety nie pojmują obowiązków matek, lecz że to jest krajową wadą, walczyć przeciw

— 199 —

temu się nie odważam, u nasby to ze zgrozą widziano. Każde z nas ma byt niepodległy i gdy ciebie wszystko do rozrywki nęci, mnie wszystko do kraju pociąga i do rodziny wzywa; wynajdę przeto środek.

— Mówże mi o tym środku, który tak mądrym być mniemasz.

— Mam przyjaciela, człowieka wyższych zdolności, ze znajomością języków i świata, którego ci za towarzysza podróży przydam; on nie jest możliwy, ale cię wiele kosztować nie będzie, podróżą twoją pokieruje i sumiennie cię do Rzymu odprowadzi, gdy się wożąciami nasycisz. Sumienia jego, jak mego własnego jestem pewien i do przyjęcia tej propozycji jużem go skłonił.

— A więc się ziści moje marzenie! zawołała. Paryż i Londyn widzieć będę! o Józefie, jakież jesteś mądry! I kiedyż mi go przyprowadzisz?

— Dziś, jeśli chcesz.

A ona mi się w objęcia rzuciła, wołając:

— Jadę do Paryża! jadę do Paryża!

Korzystałem z tego zapału i po Edlera posłałem. — Edler miał lat dwadzieścia kilka, mówił pięknie kilku językami i w towarzystwach genewskich dosyć się był ukształcił; przyszedłszy z nim razem, a chęć podróżowania była dla obojga tak ognistą namiętnością, że się natychmiast porozumieli. Gdy się już o plany do podróży układali, wyznaję, że ta smutna łatwość włoskiej kobiety trochę moje miłość własną urażała.

Wysunąłem się z domu; głuchy sługa powiernik zęgnął mnie z czułością, jakby odprowadzonego przyjaciela swego; odpowiedziałem mu tylko: Do zobaczenia. Spytał, czy mnie jeszcze zobaczy, czy bywać będę.

Nie wiem, czy to był gniew, czy jakieś upokorzenie wewnętrzne głęboko uczute, ale do domu wróciłem rozdrażniony, resztę dnia w niespokojności przebyłem i noc snu na powieki sprowadzić mi nie mogła. Rano, o zwykłej godzinie poszedłem do wdowy; dzwonię u drzwi zewnętrznych,

— 200 —

nikt mi nie otwiera — dzwonię ciągle, mój głuchy wychodzi i ostrzega, że z panią widzieć się nie mogę. Odrąciłem go z gniewem, a wchodząc siłą do pokoju, zastałem wygodnie spoczywającego kapitana. Ona wybiegła do mnie, a gdy groźnie poglądał na nią, powiedziała mi: Widzisz, spełniłam święcie twój rozkaz, przyjechałam go i dziękuję ci za troskliwość twoje....

Tak się tedy ukończyły stosunki nasze, a w roku dziesiątym pisał do mnie Edler, że w służbie rosyjskiej został majorem, i list mi wdowy odesłał świadczący, jak szlachetnie z nią postąpił. Ona go kosztem swoim do kraju odprawiła.

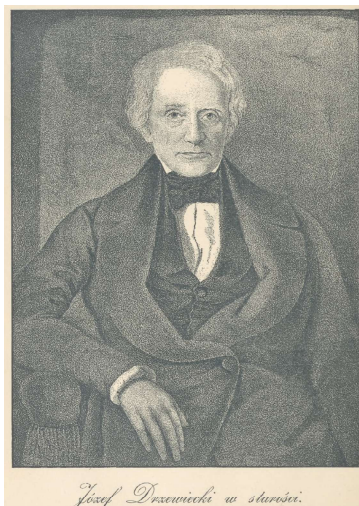
Już też dostaliśmy i uwolnienie od służby; rada administracyjna legij wydała nam piękne świadectwo służby naszej, na mocy zezwolenia ministra wojny. Pożegnaliśmy ze smutkiem towarzyszków broni. Chciałem mieć jeszcze świadectwo ze służby w legii pierwszej, która natenczas stała w Medyolanie. Między Florencją a Bolonią banda łotrów napadła podróżnych; nasi oficerowie zostali napaści ofiarą, mimo że gęsto umieszczone posterunki oczyszczały drogę patrolami. Kapitan Wodzyński z kilku towarzyszami jechał weturynem, wtem łotrzy z za krzaków strzelili do nich i on jeden mocno raniony został; odarto ich i obrano, weturyn uciekł, jak mówił, z przestachu. Z posterunków zbiegły się patrole, lecz rozbójników już nie zastały i odszukać nie mogły. To nas zmusiło prosić o konwój i dano na to stosowne polecenie, któremu spokojny przejazd winniśmy byli.

Już podtenczas wychodziła wyprawa do San Domingo przeznaczona: francuskie półbrygady i nasze legie zebrane były w Livorno. Jabłonowski, jenerał wychowany we Francji, co się chlubił, że w jednej szkole z Bonapartem poczynął, został komendantem naszych; kapitan Bolesta na mojem miejscu komenderował. Wielu oficerów uwolniło się, wielu w służbę nowych państw włoskich przeszło, a imię legij auxyliarnych wraz z tą wyprawą znikło.

— 201 —

Francuska, półbrygada, która na okręt wsadzać miano, miała znaczny żołąd zaległy i w odzyskaniu jego widziała trudność. Użyła więc właściwego sposobu, aby i karność i swemu interesowi zadośćuczynić; umówili się, że nie pójdą, póki im nie zapłacą, lecz bez najmniejszego zamieszania. Murat im się na placu uformować kazał i sam nimi komenderował; gdyby tylko z bram miasta byli wyszli, byłiby się znaleźli między okrętami portu, a postawioną baterią, coby ich spełnić rozkaz zmusiła. Murat marsz zakomenderowawszy, puścił się ku portowi; półbrygada do bramy doszedłszy i całą prawą w tył zrobiwszy, wróciła na plac i tam w linii stanęła; oficerowie tylko pozostali. Murat ich odprowadził i na swoje miejsca wstąpić kazał, nanowo brygadą zakomenderował i sam już przy kompanii grenadyerskiej siedł na jej skrzydle.

Przy bramie tensam manewr: wojsko robi odwrót, on grenadyera za szlifę chwyta, ten jego nawzajem, już niekarność gorsząca. Grenadyer pod sąd wojenny oddany i rozstrzelany być miał; brygadę odesłano do koszar. Z tego zrobiono tylko miastu sprawę, że ich mieszkańcy pobuntowali i kazano im zapłacić kontrybucją wyrównywającą zaległości, a kara na rozstrzelaniu zuchwałego ukończyć się miała. Zapłacono ich, poszli spokojnie, grenadyera na plac wyprowadzono, a po wystrzeleniu zarzucono płaszcami i uniesiono; broń nie musiała być ostro nabita, bo grenadyer, z pod płaszców wystawiwszy głowę, zawołał: Czy ze mnie żartujesz jenerale, czy z sądu, pod któryś mnie poddał, czy z prawa, co niekarnego rozstrzelać każe? — Zarzucono go płaszcem, żeby milczał, i mówiono, że na służbę w głąb Francji odesłano.



RESZTY PAMIĘTNIKA
JÓZEFA DRZEWIECKIEGO
Z PAPIERÓW PO NIM POZOSTAŁYCH.

ZEBRANE PRZEZ
J. I. Kraszewskiego.

(1806 — 1851).

Et haec olim meminisse juvabit.

PANU
KAROLOWI DRZEWIECKIEMU
W DOWÓD SZACUNKU I PRZYJAŹNI
OFIARUJE
J. I. KRASZEWSKI.

Pamiętniki szefa Drzewieckiego urwane przedwcześnie, kończą się na jego wojskowych wspomnieniach — reszta życia, niemniej pełnego zasługi i godnego pamiątki, została tylko w pamięci rodziny, tych, co go znali i cenili, i prowincyi, w której czynnie spełniał obowiązki obywatela. Zpatrując się na tę drugą część żywota zacnego wojaka, zaprawdę wyznać potrzeba, że dobrą szkołą były lata młode spędzone pod bronią w bohatyrskich pielgrzymkach nadziei. Takich ludzi dziś już nie widać, nie mamy pono i materiału, z którychby ich wykuć można. Ze wstydem i żalem powiedzmy sobie, żeśmy obok tych ojców maluczy, żeśmy chłodni i próżniacy,

Jak to oni pojmowali obowiązki ojców rodziny, synów kraju, powinności braterskie względem ludzi, jak gorąco obchodziło ich wszystko i nigdy im sił do poświęcenia nie brakło! Może jednym z najciekawszych typów pod tym względem jest właśnie Józef Drzewiecki. Od powrotu do kraju rozpoczyna się druga niemniej zajmująca epoka żywota rodzinnego i obywatelskiego, zastanawiająca niezmordowaną pracą i do ostatniej chwili nie tylko surowem, ale jakimś serdecznem młodzieńczem wylaniem się dla obowiązku obywatela, ojca, przyjaciela.

Z pozostałych papierów, z których pamiętnik jego przerwany dopełnim kilku rysami, jakie się z nich pochwycić dadzą, zdumiewający przedstawia się wizerunek tego człowieka pracującego bez wytchnienia, do ostatniej godziny, i umiającego podoleć wszystkimu.

— 208 —

Urzędowanie, interesa publiczne, opieki, własne majątkowe kłopoty, posiłkowanie przyjaciół, zajmują go nieustannie; nie ma faktu w prowincyi, w którymby udziału jakiegoś nie miał, nie ma czynności, w której by nie uczestniczył, nie ma poświęcenia, do którego by się nie napraszał. Serce zacnego człowieka bije zgodnie z sercami wybranych i w szlachetnym popędzie ku dobremu nie daje się nikomu wyprzedzić. Każda rzecz go gorąco obchodzi, cieszy się, smuci, zajmuje nie tem, co jego dotyczy, ale co ma znaczenie dla ogółu, co rokuje nadzieję dla przyszłości. Dziś wcale inni jesteśmy i przebiegając oczyma te martwe, napół zbutwiałe

papiery, pozostałość lat niedawnych, czujemy, żeśmy już od nich daleko dalej, niż w istocie wskazują daty. Świat inny, inni ludzie, inne usposobienia, a czy lepsze? nie wiem.

Wyglądamy wprawdzie rozumnie jakoś, poważnie, ale chłodno, sceptycznie, a co najgorzej, nieruchomo i z założonemi rękami. Uśmiechamy się ze złudzeń lat przeszłych i naiwnej ich wiary i krzątania ogromnej, której dziś bezskuteczność tylko bije w oczy, ale nie umiemy ocenić, ile w tem wszystkim było wielkości, prostoty, zapалу, poświęcenia, których nam niestety brakuje!

To, co w tamtej epoce było ogólnym duchem, dziś stało się wyjątkiem, na który ramionami ruszamy, z którego się śmiejemy potroszę. — Ale, powtarzam, czyśmy więcej warci od ojców? wielkie pytanie, a raczej zagadka, którą wnukowie rozwiążą.

My przy całej naiwności tej epoki, mamy cześć dla niej, jako dla chwili ostatniej, w której jeszcze wyrazi: *dobro ogólne, pożytek powszechny*, coś znaczyły. Dziś i teorie inne i pojęcia odmienne i serca nie biją do niczego większego, odczyliśmy się i

o pocziwiał starać sławę i w siebie wierzyć i siebie szanować i czuć się do czegoś zdatnymi, robim pieniądze, nic więcej; sztandar się zmienił w szyld, a wielkości godła w firmę handlową. Wprawdzie i tu prześladowają nas stare wady, nieopatrzność, porywczosć, brak wytrwania i ciągu w pracy, bankrutujemy co chwila, ale *usus plura*

— 209 —

docebit, a przy codziennem chłodnieniu jest nadzieja, że wyjdziemy na ludzi porządných, gdy ostatnią wiarę i ostatnią iskierkę zapalu stracimy.

Ta wielka różnica epok niewątpliwie sprawi, że lat ubiegłych, których tu ułamkowo przedstawim obraz pobieżny, trudno nam będzie zrozumieć, niełatwo je przyjdzie ocenić. Zdawać się nam może, żeśmy nieskończenie rozumniejsi i lepsi od poprzedników — nie zawadziłoby jednak czegoś od nich się nauczyć.

Przebieżym więc lata obywatelskiego i familijnego życia pana szefa, opierając się na pozostałych szczęściem listach i notatach, które do nas doszły ułamkowo, ale w liczbie takiej, że jakąś całość składają. Skupimy tu rysy rozpierzchłe, o ile udało nam się, a nie chcąc marzenia własnego za obraz podawać, słowy wiernymi powtórzym tylko to, co sami o sobie powiedzieli umarli. Jeżeli ta klejanka żadnej zresztą mieć nie będzie wartości, może jej choć tę zasługę przyznają, że zachowała kilka szacownych pamiątek z czasów najmniej znanych, a niesłuchanie zajmujących.

Najstarszymi listy, jakie tu naprzód spotykamy, są dwa pisma Hugona Kołłątaja z 1806 roku, nie tyle zajmujące przedmiotem, bo tu chodzi o posiadanie majątku i radę prawniczą, jak raczej charakterystycznością swoją; malują nam bowiem Kołłątaja — człowieka prywatnego — jako biegłego prawoznawcę i praktycznego jurystę. Z jaką on drobnostkowością rozbiera sprawę, podaje rady i jak jasno widzi rzeczy! Choćby dla biografii Kołłątaja i jako rys do wizerunku tego człowieka, dwa te listy w całości tu zamieścić czujemy się obowiązani:

»Dopełnię, czego JW. pan dobrodziej żądasz, i wygotuję mu memoriał do Imperatora IMci, lecz gdy ekspedycją jego dziś dopiero odbieram o godzinie jedenastej przed południem, a JW. pan dobrodziej życzy sobie jutro odjechać do Galicyi, do napisania zaś takowego memoriału trzeba wprzód przeczytać nadesłane papiery i namyślić się, jakby go najkrócej, a razem najczulej napisać: przeto darujesz,

— 210 —

że tak prędko wygotowany być nie może; lecz ułatwiwszy się z pocztą galicyjską, zaraz się wezmę do tej roboty i jak tylko wygotowana będzie, odeszlę ją przez umyślnego do Antoniego Jarkowskiego, przy którym obstatuj JW. pan dobrodziej umyślnego, aby mu moją ekspedycją natychmiast odwiózł tam, gdzie się znajdować będziesz.

»Mam pewną wiadomość, że będącemu w Krupcu gubernatorowi wojennemu Essenowi nagadał wiele skarg na JW. pana dobrodzieja, oraz na Kazienną Pałacę generał Stryk; donoszę o tem JW. panu dobrodziejowi, abyś się miał na ostrożności i myślał wcześniej o obronach, bo będziesz zapewne o późne oddanie Tetylkowiec sekowany. Ufam jego przyjaźni i dyskrecyi, że mnie przed nikim cytować nie będziesz w tem, co mu z powodu przywiązania donoszę.

»Do JP. Średnickiego piszę, aby się z JW. panem po przyjacielsku obchodził, póki tylko w Tetylkowcach zostawać będziesz miał potrzebę; oddaję się jego łasce z winnem uszanowaniem, zostając JW. pana dobrodzieja najniższym sługą

Ks. H. Kołłątaj

Stolpiec, d. 30 stycznia 1806«.

W kilka dni później gotowy już przesyłając memoriał, taką doń dodaje informacją.

»d. 4 Februarii 1806, Stolpiec.

»W poleconej mi robocie starałem się dopełnić najściślejszych przyjaciela obowiązków. Przełożyłem naprzód JW. panu dobrodziejowi moje uwagi, chcąc i sam poznać najlepiej interes, o który idzie, i zastanowić JW. pana dobrodzieja, jeżeli nie nad niepewnością, tedy przynajmniej nad trudnością dobrego wypadku. Jakoż z odpowiedzi jego przekonałem się, że chociaż prawo ś. p. ojca JW. pana dobrodzieja jest najlepszem, wszelako dla niezachowania istotnych warunków, nie może być uważane jako zaczynające się w roku 1793, lecz w roku 1804. Konsens Augusta III pozwala cesy

— 211 —

Tetylkowiec na Felicjana i Annę z Błędowskich Drzewieckich, oboje więc mieli prawożywocie. Konstytucya 1775 roku nadaje prawem emfiteutycznym też wieś ojcu JW. pana dobrodzieja i jego sukcesorom *salvo jure advitalitio* uprzywilejowanych posesorów. Nie mogło się więc zacząć prawo emfiteutyczne w głowie sukcesorów Felicjana Drzewieckiego, aż po wygaśnięciu prawie tegoż Felicjana i Anny, jego żony, a że ona umarła dopiero w r. 1804, przeto sukcesor Felicjana nie mógł zaczynać swego prawa emfiteutycznego w roku 1793, lecz w r. 1804, to jest po zgaśnięciu żywotności obojga rodziców, bo tak konstytucya zawarowała. Ani tu zarzut służyć może za kordyła, który JW. pan dobrodziej w liście swoim wypisujesz, że emfiteusis nadaną była Felicjanowi Drzewieckiemu i jego sukcesorom, nie ich matce; bo ona posiadała wieś Tetylkowce za prawem żywotniem, nie emfiteutycznym; bo konstytucya 1775 roku zawarowała jej żywotność, po zgaśnięciu którego sukcesorowie Felicjana Drzewieckiego wchodzić dopiero byli powinni w prawo emfiteutyczne. Było to w samej rzeczy dobrodziejstwo dla całej rodziny, kiedy prawo emfiteutyczne dopiero zaczynać się miało po zgaśnięciu prawa żywotniowego w dwóch głowach. Lecz gdy ukaz imperatorski przepisał: »że ci wszyscy, którzy przed rokiem 1798 nie przyszedli do posesyi prawa emfiteutycznego, prawo takowe tracą«, przeto i JW. pan dobrodziej w takim przypadku znajdujesz się, gdy dopiero w roku 1804 do posesyi Tetylkowiec przyszedłeś. Jest to przypadek, którego aż do roku 1798 nikt przewidzieć nie mógł ani JW. pan dobrodziej do niego się przygotować nie mógł; później zaś zarządzić onemu stało się niepodobna ordynaryjną prawą drogą. Emfiteusis nie zasadza się jedynie na konstytucyi 1775 roku, lecz na jej dopełnieniu, dopełnienie zaś zależało od następujących warunków: 1. Ustanie prawa żywotniowego przez śmierć matki lub jej zrzeczenie się takowego prawa. 2. Objęcie posesyi emfiteutycznej, jak mieć chce prawo. 3. Opłacanie czterech kwart, bez czego dobry nawet i prawny posesor od prawa emfiteutycznego odpadać

— 212 —

musiał. Jeżeli zatem te trzy warunki istotne przed rokiem 1798 nie były dokonane, nie ma czem dowieść posesyi emfiteutycznej Tetylkowiec przed rokiem rzeczonym. Ani ten argument wesprzeć JW. pana dobrodzieja potrafi, że jego ojciec umarł 1793 roku, jeszcze przed zaborem reszty powiatu krzemienieckiego, bo od tego roku nie zaczynała się emfiteusis, lecz prawo żywotniowe

matki, do którego stosownie opłacały się kwarty aż do czasu jej śmierci. Jeżeli więc JW. pan dobrodziej zrobiłeś ten krok o tę posesyą, zrobiłeś go pewno jako mający *jus ad rem*, nie zaś *jus in re*, bo opłata czterech kwart stanowi najrzetelniejszą posesyą prawa emfiteutycznego. Przekładam JW. panu dobrodziejowi te smutne prawdy, jak przynależy na przyjaciela, który nieszczęśliwego nie powinien łudzić fałszywemi nadziejami. Ostrzegam go więc, abyś się nie ekspensował na kosztowne popieranie tego interesu, tem bardziej, gdy w jego popieraniu nie może się obejść bez obwinienia Kazienniej Pałaty, bądź w najdyskretniejszych wyrazach. Jeżeli wszelako masz silną protekcją księcia Czartoryskiego, jak mi się z tego zwierzasz, jeżeli ta protekcją do tego punktu przynajmniej jest pewna, iż gdybyś nie zyskał nagrody, tedy za nadciągane narracje nie popadniesz w kłopot, gdy Kazienna Pałata przymuszona będzie tłumaczyć się ze swego doniesienia, w takowym przypadku radzę szczęścia próbować.

»I na ten koniec posyłam JW. panu dobrodziejowi memoriał napisany w tym sposobie, jak formalność wymaga. Każ go JW. pan dobrodziej na złamanym arkuszu holenderskim przepisać, podług tej formy, jak jest przepisany na kopii, i każ go tym sposobem złożyć, jak jest złożona kopia, i zapisać na wierzchu taki adres, jaki się na kopii znajduje; trzeba tylko dobrać charakteru czytelnego i zwięzłego, żeby memoriał wydawał się jak najkrótszy; może nawet przepisujący cokolwiek wyżej zacząć, żeby na dwóch stronach

skończył, coby było lepiej, lecz aby miejsce na etykietałne ukończenie i podpis nie było ciasne. Jeżeli JW. pan dobrodziej masz pewną drogę przesłania tego memoriału na ręce

— 213 —

księcia Czartoryskiego i ufasz, że on zrobi wszystko, tedy napisz list do księcia i przyłącz memoriał; jeżeli nie bardzo ufasz, tedy lepiej napisać list osobny do księcia po polsku, przekładając mu interes, a memoriał posłać na ręce jakiego przyjaciela, któryby go pokazał księciu, a potem oddał grafowi Murawjewowi, który jest *maître des requêtes*. Jeślibyś zaś JW. pan dobrodziej żadnego w Petersburgu przyjaciela nie miał, któremu byś ten interes śmiało mógł powierzyć, tedy napisawszy polski list do grafa Murawjewa z prośbą, aby ten memoriał Imperatorowi podał, list ten posłać prosto na pocztę za rewersem, a kopią memoriału przyłączyć do listu księcia Czartoryskiego, aby wiedział, o co idzie, donosząc oraz, że memoriał posłany jest na ręce grafa Murawjewa. Książę Czartoryski jest bardzo zatrudniony, graf Murawjew jest zarzucony niezmierną liczbą memoriałów. Aby więc memoriał JW. pana dobrodzieja prędko doszedł rąk Monarchy i z dobrym dokładem, trzebaby mieć jakiegoś ważnego przyjaciela, któryby obydwom interes ten przypomniął; ale przyjaciela nie za pieniądze, bobyś JW. pan dobrodziej wystawił się na wielki ekspens, w interesie zwłaszcza, którego skutek jest wątpliwy. Starałem się ten memoriał ułożyć ze strony najdogodniejszej interesowi, wszelako, abyś JW. pan dobrodziej wiedział, co się w nim znajduje, przyłączam polską jego kopią, ażebyś go mógł dać komu poprawić, izaliby we wszystkim nie odpowiadał życzeniu JW. pana dobrodzieja. Trzeba do niego dołożyć ekstrakt autentyczny konstytucji 1775 roku i metryki pogrzebu ś. p. ojca JW. pana dobrodzieja, a to w języku rosyjskim. Nie nadmieniam w tym memoriale o dożywociu matki JW. pana dobrodzieja; jej posesyą aż do czasu śmierci, uważam za układ rodziny, bo bez tych dwóch ostrożności nie możnaby i jednego pozornego słowa na stronę JW. pana dobrodzieja napisać. Kazienną Pałacę najbardziej menażuję i JW. pan dobrodziej starać się powinien też Pałacę jak najbardziej dla siebie ująć, bo jej eksplikacja ten interes zupełnie zgubi; a jeżeli nie będziesz miał mocnej protekcji,

— 214 —

możesz się jeszcze kłopotu nabawić za niesprawiedliwe jej oskarżenie; bo Kazienna Pałata musi mieć w registrach swoich, pod jaką rubryką znajdowały się Tetylkowce, z przyczyny samej kwart opłaty. Nie posyłam także JW. panu dobrodziej konsensu Augusta III ani cesji swego dziada, bo te dokumenta są wyraźnie przeciw niemu.

»Uczyliem zadość dwoistej powinności: wyraziłem JW. panu dobrodziejowi sumiennie, co o tym interesie myślę, mimo czego zrobiłem, czegoś odemnie żądał, abym przekonał, jak z rzetelnem poważaniem na zawsze być pragnę JW. pana dobrodzieja najniższym sługą

Ks. H. Kołłątaj. «

Drzewiecki w poufalach zostawał stosunkach z wszystkimi znakomitszymi ludźmi tej epoki, czego liczne ślady pozostały w jego korespondencji. Tak pod tym rokiem znowu natrafiamy na list T. Czackiego, pisany doń z Petersburga, a malujący założyciela krzemienieckiej szkoły równie dobrze, jak pismo poprzednie Ks. H. Kołłątaja.

»d. 8 kwietnia 1806, Petersburg.

»Kochany przyjacielu!

»Bądź spokojnym, żaden Wołynianin nie może podlegać niebezpieczeństwu, bo gubernator jest człowiek równego rozsądku, jak uczciwości. Zaręczył Monarsze za roztropność Wołyniaków. Pankratjow, gubernator kijowski, nie będzie na tem miejscu. Rozumiem, że niebawem przybędę, przynajmniej to jest moja szczerą chęć, wypada mi nagle potrzeba oddać Radziwiłłowi pożyczony dług na moją uczciwość. Proszę, daj, co możesz, na mój rachunek Gołłbiowskiemu, a reszta zostanie do kontraktów. Gdybym nie był pilnie potrzebny, nie śmiałbym cię trudzić moją prośbą. Bibliotekę książnej przypominam. Ściskam cię serdecznie, dobry i wierny przyjaciel.

Czacki. «

Czacki o wszystkim pamiętał, jak widzimy, o Wołyniu, o bibliotece książnej Sapieżyny w Teofilpolu, z którą szef zostawał w ścisłych przyjaźni stosunkach, o drzewkach

— 215 —

orzechów włoskich, o które się doprasza w przypisku, o obrazach, które były do nabycia w Tereszkach, i t. p.

»Są to (pisze mi syn zmarłego szefa) bilety, świsteczki raczej; już to że w jednym miasteczku w tych latach żyjąc, mało miał okazji do korespondencji, już to że ciąglej nie zniosłaby może żywa, elektryczna, roztargniona natura Czackiego. Dziwna też to była natura, pełna najdziwniejszych sprzeczności: i przejęta czystą wiarą przodków i filozofią swego czasu w tem, co w niej szlachetnego było; kochająca, i pańska, Stanisławowskich czasów, o najmonarchiczniejszych wyobrażeniach, i najliberalniejszy w poźniem człowiek, przesiąkły obywatelstwem dawnej Rzeczypospolitej; i pasjami w nauce zamięlowany, głęboko uczony, nawet często w wyrażeniu nadęty, i dziwnej prostoty razem, zbyt naiwny w wierze swej w ludzi, dobry jak dziecko, swawolny i roztrzępany

jak dziecko; rozerwany na wszystkie strony w interesach i przedsięwzięciach prywatnych, a jednak w życiu publicznem jedna go ciągle myśl trzyma, wykształcenie młodzieży i przyszłość kraju: nasza to właśnie natura w swym najpiękniejszym wyrazie; i

dlatego to dla nas taki pociąg miała, że i dotąd w umyśle każdego z nas, Czacki znaczy tyle, co cnota, poświęcenie, obywatelstwo. Ja w niemowlęctwie tylko go widziałem, a dotąd jak najwybitniej pamiętam ten profil rzymskiego modelu, te mimo siwego włosa młodociane ruchy i tę wibracją głosu, który tak miło było kilkadziesiąt lat później słyszeć od genialnego wnuka siostry Czackiego».

Otóż dwie kartki, o których mowa:

»7 października 1806, Poryck.

»Już podług twego rozkazu na pocztę pod kopertą... posłałem list. Cieszę się, że twoje apostołstwo tak szczęśliwy ma skutek. Pracujemy, bo jeden mamy cel, pożytek kraju.

»Nasz generał (Kniaziewicz) uczuł miłość. Ta nagradza jego nadzieje i trudy. Błogosławię wiadomemu momentowi, że ośmieliłem się mieć ten projekt, który, ile mi się zdaje,

— 216 —

pewnie nastąpi. Winienem ci zawsze dzięki, żeś mnie z nim zbliżył. Bibliotekę książnej, twojej lasce przypominam.

Twojej szanownej żony ręce całuję, już zapewne mogą winać, że jesteś ojcem».

»1806 d. 30 grudnia.

»Nikt więcej nie może być delikatnym, jak jesteś. — Ty umiesz uprzedzać przyjaciół, wiesz, że tobie być podobnym staram się. Nie przyjmuj tedy tego listu za natręctwo, ale za środek uspokojenia twojej troskliwości. Prawda, że dyabelnie dukatów potrzebuję, że nikt nie chce mi czekać, bo kapitalista chce widzieć terazniejszy rok, jak epokę, w której każdy dukat ma być dziesięciu. Lecz i to wiem, że ci, co tobie winni, tłomaczyć się będą niedostatkiem. Co tedy możesz mi dać, zrobisz mi łaskę. Będę drugiego na noc lub trzeciego w Krzemieńcu. Napisz, co i kiedy w tym czasie dasz, myśląc o mnie, nie zapomnij o sobie. Przyjaźń nasza warta znośnienia niedogodności. Jeśli być może, daj choć połowę.

»Nic i nic nowego nie mamy: gadają o bitwach, jedni naszym, drudzy Francuzom przyswajają zwycięstwo — ja rozumiem, że ważnej bitwy nie było. Ściskam pana serdecznie.

»Interes biblioteki przypominam».

Z następnego roku mamy list książnej Teofili Sapieżyny z Teofilpolu 30 września, dowodzący ścisłej przyjaźni.

— »Pamiętam (pisze mi syn pana szefa), jak w latach niemowlęcych przepędziłem z matką kilka miesięcy w Teofilpolu. Stary pałac, ogromne puste salony, w nich papuga sławna w swoim czasie, mnóstwo piesków różnego gatunku, co miały swoje pokoje i usługę, a mianowicie mopsiki białe, których odtąd nigdzie nie spotkałem, mnóstwo ptactwa rozmaitego, dwornia liczna, a sama pani dużego wzrostu, prawie po męsku ubrana w amazonce i fraku, krótko ucięte upudrowane włosy z harbajtlem, na nich męski kapelusz. Dziwnym naówczas obyczajem, dziś wróconym, około południa

— 217 —

dopiero się budziła, a nadedniem spać kładła. Mawiał mi później ojciec, że to była dama wysoce ukształcona, czynna w konfederacji barskiej, świetna na dworze Ludwika XV, z domu Jabłonowska, córka Jabłonowskiego, co założył naukową instytucję w Lipsku, siostra Jabłonowskiego, kozaka bezpotomnie zmarłego, wniosła w dom Sapieżyński obszerne dobra lachowieckie».

Oprócz tego jest list z Zieleniec datowany, generała Kniaziewicza, najserdeczniejszego przyjaciela, o którym pisze syn zmarłego pana szefa: »Jak lew potykał się pod Boruszkowcami, Włodzimierzem, Chełmem, Dubienką, Gołkowem, w oblężeniu Warszawy, pod Maciejowicami, pod Falari, Calci, Gaetą, Neapolem, w oblężeniu Filipsburga, pod Bornheim, Berghheim, Hohenlinden, przy Smoleńsku, Możajsku, Moskwie, pod Jarosławcem, Czerykowem i nad Berezyną.

(Kopiuje napis z pałasza dożgonnemu przyjacielowi ofiarowanego)».

Oto wzmiankowane pismo generała:

»d. 8 października 1807 roku z Zieleniec.

»Cher ami!

»Dnia onegdajszego oddał mi podkomorzy Sierakowski list twój i Czackiego wraz z paszportem z trudnością wyjednanym. Czaccy oboje rozumieją, że interes mój w Krakowie dobrze idzie i że bez ich pomocy rzecz daleko posunięta, nie wiedząc, że dla tego tylko paszportu żądał, abym moją matkę odwiedził, która nie doczekawszy się mnie, do wieczności się wybrała.

»Do Galicyi zatem już nie pojadę, chyba żebym mógł za tym paszportem wyjechać do Warszawy, tobym rad, bo czuję, że mi koniecznie trzeba szukać roztargnienia, humor mi się codziennie robi smutniejszy i w polowaniu rozrywki nie znajduję.

»Proszę bardzo mi donieść, jak się ma Karolka i troskliwa matka, która wiele cierpieć musi nad jej chorobą.

— 218 —

»Słyszałem, żeś był u książnej kasztelanowej, tam nowin można było nacerpać i jeżeli masz jakie, to mnie tu udziel, bo ja tu żyję między ludźmi, co tylko o psach i koniach gadają.

»Niesłusznie się paszportem moim zasmuciłeś, sądząc, że nas na zawsze rozłączy, mnie nic gorszegoby spotkać nie mogło, jak żebym był przymuszonym rozłączyć się z tobą, godny przyjacielu, który sercu mojemu te wszystkie osoby zastępujesz, do których człowieka pokrewieństwo, przyjaźń, szacunek i wdzięczność przywiązują.

»Żonki dobrodziejki rączki całuję».

Przy tym liście zawarty następujący dobrze po żołniersku napisany, tejsamej ręki:

»Bardzo panią dobrodziejkę przepraszam, że list do pani Mniszchowej tak spóźnił. Dusza żołnierza z trudnością to wyrazić umie, co czuje; przyzwyczajony zawsze tylko łajać, rozumie, że kiedy komu winny hołd oddaje, za pochlebstwo to wezmą, a tak listy tego gatunku zawsze mu z trudnością pisać przychodzi. Przyłączony posyłam niezapieczetowany, z prośbą, jeżeli go pani nie znajdzie w stylu wielkiego świata, ażebyś go JW. pani dobrodziejka spaliła. Z niecierpliwością wyglądam będę obietnicy, gdy domek mój bytnością swoją państwo uszczęśliwi. Łasce i statecznej przyjaźni polecając się obojga państwu, zostaję i t. d.

Kniaziewicz”.

Szacowne te listy są jedynymi prawie w ciągu lat, z których innych śladów czynności i stosunków pana szefa nam braknie. Następny pisze tenże przyjaciel z Zieleniec jeszcze dnia 2 kwietnia 1808 roku:

»*Cher ami!*

»Odebrałem bilet twój pod dniem 22 marca, lecz nie wiem, dlaczego z Juśkowiec datowany. Za takie omyłki, jeżeli się w raportach przytrafiają, to bez względu na przyjaźń, do aresztu zasadzą.

— 219 —

»Od dwóch niedziel już też w domu bawię; jechałem umyślnie na Jampol, sądząc, że państwa jeszcze w Juśkowcach zastanę. Z Warszawy prawie dezertował, tak mnie żadnym sposobem puścić nie chcieli i kto wie, czy na wiosnę tam nie powrócę, lecz pod kondycjami niepłonnymi, a natenczas dama, co się tak stanem wojskowym brzydzi, na rekruta przystanie (jest to aluzja do pani szefowej, a wiosna następująca była wiosną 1809 roku); lecz to są wszystko dotąd zamki na powietrzu. Moje ożenienie także między

zamki powietrzne liczę, bo to ma dopiero nastąpić po świętym Janie, jeżeli znowu w tej porze śmierć jakiego krewnego starego temu nie przeszkodzi. To mnie tylko cieszy, że już marzec przebyty.

»Sreber twoich z dwóch przyczyn przywieść nie mogłem, raz żem nie miał najmniejszego miejsca, powtórnie że to są takie antyki, które wiek Abrahama i Izaaka przypominają, które koniecznie przerobić tam trzeba.

»Cieszy mnie to niezmiernie, że żonka dobrodziejka w ciąży, ale sobie wymawiam, żeby był koniecznie syn i to zaraz zdatny na adjutanta, żeby mógł ojca miejsce zastąpić. (W rzeczy samej urodził się syn, od Kniaziewicza Karolem nazwany, ale mu Bóg nie dał doczekać tego szczęścia).

»Nikogom prawie z naszych nie widział. Wybicki, Dąbrowski, Zajączek, dobra swoje urządzają, Fiszer wojska lustruje, Kossecki jest szefem sztabu generała Zajączka, biedny książę Poniatowski męczy się ministerstwem, któreby może rad złożyć, żeby go kto chciał wyręczyć.

»Marszałek Davoust i inni francuzi mnie bardzo grzecznie przyjęli i o tem więcej ustnie opowiem.

»Twój szczerzy przyjaciel

Kniaziewicz.

Następny list już pisany tą wiosną 1809, o której w poprzedzającym wspomniał Kniaziewicz:

»Posyłam ci kopie listów pani Steckiej do księżnej kasztelanowej, zgadnij i domyślaj się, czego ona chce, *car c'est du grec pour moi*. Do niedzieli czekam wiadomości od

— 220 —

Czackiej, która wraz z mężem już z Petersburga wyjechała, a potem przyjeżdżam w poniedziałek na noc do ciebie, a stamtąd w dalszą drogę do Warszawy. Ty paszportu mieć nie będziesz prędzej, jak za sześć niedziel, bo gubernatorowie nie mają mocy dawać paszportu tylko kupcom. — Dziś jadę na obiad do Krzywina, może się tam z żonką pańską zjadę; nieźle to będzie, że ja cokolwiek prędzej do Warszawy przyjadę, to jeżeli zobaczę, że woły tam niesforne, to my tu swojemi dawnym zwyczajem orać będziemy, a tymczasem się i kobyłka da ugłaskać, która dotąd i rzy i fuka.

»Do zgonu życia przyjaciel

Kniaziewicz.

W 1810 r. nareszcie żeni się generał Kniaziewicz i tak o zbliżającym się weselu swojem donosi przyjacielowi:

»z *Porycka 11 augusta 1810 roku.*

»*Cher ami!*

»Musiałem tu wstrzymać twego posłańca do tego momentu, ażeby ci mógł dać finalną wiadomość o moim losie. Nieba wszystko szczęśliwie zrządziły, dzień dziewiąty septembra jest dzień mego ślubu, ale potrzeba, żeby mój najdroższy przyjaciel był świadkiem mego szczęścia wraz z żoną dobrodziejką, bo inaczej miałbym szczęście moje za niekompletnie doskonałe.

»W Porycku będzie nasze wesele, lecz tak partykularnie, że prócz ciebie i kochanej i szanownej twojej żonki tu nikt nie będzie; nikt nawet o dniu naszego ślubu wiedzieć nie powinien.

»Stecki, chorąży, nietylko że pozwolił na nasze zamęście, ale tak mnie polubił, że powiada, iż mnie jak własnego syna uważa.

»Jutro albo najdalej pojutrze będę w Łucku u biskupa po indult, a stamtąd jadę prosto do siebie, gdzie do dnia trzeciego septembra zabawię. Stamtąd jadąc do Porycka, wstąpić muszę jeszcze po błogosławieństwo do Międzyrzecza. Państwa czekać będę z niecierpliwością siódmego w Porycku.

— 221 —

» O koniach dasz mi wiedzieć przez umyślnego, żebym się mógł starać o inne, jeżeli te nie są zdadne, a o karetę, lubo mi Czacki mówił, że mi nie jest potrzebną, prosić jednak będę i po nią przysze za parę niedziel. Lokaja jednego przyjąłem i więcej już potrzebować nie będę, lecz jeśli gdzie furmana i forysia znajdziesz, to mi tych z łaski swojej przysze do Zieleniec.

»Zaklinam cię jeszcze raz na wszystkie świętości, ażebyś wraz z żonką był świadkiem mego szczęścia. Adieu.

Kniaziewicz.

»Do mojej łaskawej pani najżywsze zanoszę prośby, żeby chciała być na ślubie moim. Nieba wysłuchały moje modlitwy, bo mi dają żonkę podobną W. pani dobrodziejce; za dywan mocno dziękuję, bo bardzo ładny i niedrogi.

»List Czackiego przyłączam, przepraszam, że tak brzydko piszę.

Jeszcze jeden list pełen tych przygotowań weselnych, po których na lat parę stracimy z oczów wojaka, powołanego znowu pod sztandary:

»*Cher ami!*

»Czytając list twój, nie można powątpiewać, że jesteś szczęśliwym w stanie małżeńskim, bo tylko szczęśliwy tak pięknymi kolorami przysze moje szczęście odmalować zdolnym, jakieś go ty odmalował. Twój list biorę za szczęśliwą wróżbę dla siebie i rozumiem, że my odtąd na wyścigi o naszym szczęściu mówić będziemy.

»Furmankę sobie dziś kupiłem, tę wyprawiam w niedzielę do Juśkowiec po karetę, a stamtąd sobie prosto pojedą wolnym marszem tak, ażeby mogli stanąć na szóstego w Porycku, sam zaś wyjeżdżam w niedzielę po ostatnie błogosławieństwo do chorążego Steckiego, a po fałszywe komplimenta do syna jego; piątego chcę być u nóg mej bogini. Ciebie z niecierpliwością oczekiwać będę siódmego w Porycku, ażeby poprzednio wziąć niektóre nauki i przestrogi

— 222 —

potrzebne do przyszłego stanu, które mnie, jako kawalerowi, może nie są wiadome. Twój szczerzy przyjaciel,

»Daruj, że krótko piszę, bo mam tyle na głowie, że sobie rady dać nie mogę. Jak tylko się ożenię, to zaraz żonę moją do Juśkowicz zawiozę, ażeby się od pani tego domu nauczyła, jak męża szczęśliwym zrobić można, a jeżeli w tem potrafi wyrównać pani, to powiem, że i bogom nieba nie zazdroszczę«.

Na tem się przerywa korespondencya Kniaziewicza na czas jakiś i o nim, równie jak o zajęciach szefa mało wiemy w tej epoce.

Znajdujemy tylko pod 1811 rokiem list krótki księcia jenerała Ziem podolskich:

»d. 31 marca 1811 roku.

»Winszuję JM. panu Karolowi (Mniszechowi), że choć krótką przejażdżkę odbędzie w społeczeństwie WMM. pana, jeszczebym bardziej mu winszował, gdyby długi przeciąg czasu mógł strawić w towarzystwie męża słusznie szanownego z przymiotów serca i umysłu. Miałby wtedy obok siebie naukę i przykład. Szczęraży dla mnie było pociechą, gdybys stanąwszy nad granicą, chciał posunąć dalej i użyzyć Puławom ukontentowania powitania go w nich.

»Zostawam z poważaniem WMP. szczerze życzliwym bratem i sługą uniżonym

A. Ks. Czartoryski.

W 1812 nie było czasu listów pisać: parę ich tylko od przyjaciela Bystrego znajdujemy, uskarżającego się na dociskającą biedę i zbliżające się burze, potem dnia 12 marca jeszcze niewiele przyszłości przewidujący liścik Kniaziewicza:

»z Warszawy 12/24 marca 1812 roku.

»Cher ami!

»List ten jest trzeci, który stąd do ciebie piszę, od ciebie dwa listy odebrałem. O sobie donoszę, żem zdrow, równie i żona moja zdrowa. Warszawa była przez czas

— 223 —

karnawału dość wesoła, chociaż cały świat na niedostatek pieniędzy narzeka, przy tem taka drożyzna, że skromnie żyjąc, do pięciuset dukatów miesięcznie ekspensujemy. Dla wzmocnienia żony, żeby mi mogła choć jednego syna urodzić, do wód się w maju wybieramy, lecz nie wiem, czy ten projekt do skutku przyjdzie, gdyż się znowu horyzont polityczny zachmurza i zgadnąć nie można, gdzie piorun uderzy«.

W parę miesięcy potem inny kolega i przyjaciel szefa, Fiszer, który miał zginąć pod Jarosławcem, tak doń pisze z Warszawy:

»w Warszawie 30 maja 1812 roku.

»Kochany przyjacielu!

»Nigdy w lepszym momencie i stosowniejszej nie mogłeś mi wyświadczyć przysługi, jak przysyłając mi konia w tym właśnie czasie, gdzie co moment spodziewając się marszu, w największym o niego byłem ambarasie. Najżywsze ci składam podziękowanie za tę śliczną klaczkę, którą mi pan Błędowski w najlepszym odesłał stanie i która dwojako u mnie będzie faworytką, bo piękna i upominek mojego najlepszego przyjaciela.

»Znając twój szlachetny sposób myślenia, ale razem twoją czułość, wchodzę aż nadto w bolesne uczucia, któremi strata, o której mi donosisz, (śmierć żony) przejąć cię musiała, lecz przekonany także jestem, że Opatrzność umie pocieszyć innym sposobem ludzi, którzy tak, jak ty myśłą.

»Moja żona najserdeczniejsze ci zasyła ukłony i podziękowania, bo ona jeszcze bardziej, niż ja gryzła się o konia dla mnie. Z nowin nic ci nie donoszę, gdyż to jest pora, gdzie z żadnej strony o nich gadać nie wypada. Kończę zatem na bardzo stałej, lecz do powtórzenia bardzo dla mnie miłej rzeczy, że w pewnej nadziei twojej nigdy nieodmiennej dla mnie przyjaźni, najszcześniejszym się osądzę, ile razy ci potrafię okazać, że najwyższy mój szacunek dla twojej osoby i najszczerza moja przyjaźń dla ciebie chyba z życiem się skończą.

Fiszer«.

— 224 —

W sierpniu taki, jak zawsze urywany liścik pisze do niego Czacki z Krzemieńca, donosząc, że go od kandydacyi na prezesa izby kryminalnej uwolnił:

»11 augusta (1812 r.), Krzemieniec.

»Łaskawy i szanowny przyjacielu!

»Sztuką wykręciłem pana za pomocą księcia Czetwertyńskiego od kandydacyi na kryminalne prezesowstwo. Podstawili Eustachego, bronili go, a tymczasem ciebie wymazałem. Bystrego od kandydacyi wyłączyć nie mogłem; lecz kłanialiśmy się — i upadł.

»Dla pani ananas, brzoskwinie i śliwki posyłam, fundusz Lerneta przyłączam.

»Naryszkinową jeszcze zostawiłem, czuję swoją wielkość w grzecznym sposobie. Dubinę Imperator skasował za dawanie blankietów na świadectwa kupcom i śledztwo przysłane.

»Ściskam pana serdecznie, przyjaciel prawdziwy

Czacki«.

Jeszcze z tegoż roku kilka mamy takich pism starosty nowogrodzkiego:

» Kochany panie Józefie!

»Zaufany w twojej dobroci, w sobotę zjadę się z żoną, dziećmi, Platerem i Ściborskim w twoim domu. Używam tej wolności, którą mi udzieliłeś. List twój do Felicyana jest razem do Rzewuskiego, musiałeś omyłkę zrobić. Rzewuski jutro ma przyjechać. Pieniądze leżą i list do niego podpisany. Gazeta londyńska donosi o wzięciu Madrytu. Proszę Platę, aby nieodwłocznie pojechał do Dubna, abyśmy z tej niepewności wyszli. Kirgiza płaczą inne konie, Rzewuski jak przyjedzie, będzie miał mowę pogrzebową. Felicyan z Józiem, Feliksem i Witwickim repetują arytmetykę, a potem dalsze części matematyczne. Ściskam cię serdecznie, wszyscy się najpiękniej kłaniają. Jędrzejowski miał posła od apopleksyi, lecz zdrow. JW. Skibickiej i Helenki ręce całuję, pana Franciszka i Karolka uściskają«.

— 225 —

»Kochany i cnotliwy przyjacielu!

»W domu twoim oddałem się przyjemnej samotności, wspomniałem, jakie nieszczęścia padały na ciebie, i rzekłem: On nieszczęśliwy, czemuż i moja cnota nie ma cierpieć przynóg?

»W sumieniu pociecha i tej żadna władza nie odbierze. Twój Karwowski z mojej prośby jedzie. Poradz pocziwemu Platerowi w tej części, którą znasz z doświadczenia i z nabytej chwały. Róbcie, odmienicie, co wypada. Racz pilnować, aby moja żona wcześniej do Galicyi uszła. Idzie jeden twój wóz, aby jeszcze co przywieść, a stąd do Tarnorudy niech idzie. Bądź zdrow, kochaj mnie«.

»Kochany przyjacielu!

»Pan Felicjan dla widzenia matki, pojechania do ks. Maksymiliana i repetycyi matematyki chciał jechać. Nie godzi mi się wstrzymywać tego zacnego młodziana, skromność towarzyszy rozsądkowi. Jest to w teraźniejszych okolicznościach pociecha mieć takie dziecię.

»My tu nic nie wiemy. Czekamy z niecierpliwością uwiadomienia, kto był prowadzony, czy jeńcy są oddawani obywatelom za kaucyą, czy admirał awansuje, gdzie jest, co macie od wielkiego wojska z jednej i drugiej strony. Doniesienie twoje oddzielone od zboczeń, wystawi prawdę: zgoda uwiadom mnie, ściskam cię serdecznie. Rzewuski niebawem do Wiednia posyła Hübnera, dojdą tedy twoje pieniądze. Ściskam cię serdecznie. Proszę Karolowi choć w oktawę powinszować, Helenki ręce całuję«.

Po długim milczeniu ten, co ostatni swój list piorunu przeczuciem zakończył, Kniaziewicz, ranny pod Berezyną, odzywa się do szefa dnia 25 marca 1813 roku z Krakowa temi przesywającemi słowy:

»Zlituj się nademną i daj mi wiedzieć o sobie, czy ty żyjesz, bo blisko półtora roku, jak od ciebie litery jednej nie miałem (?); dla dopełnienia miary moich nieszczęść tego tylko potrzeba, żebym od ciebie więcej już nigdy wiadomości

— 226 —

nie miał. O sobie tylko tyle donoszę, że jak na złość fizyczne siły tak mocne, że moralne cierpienia tego dokazać nie mogą, ażeby się dni życia mego skończyły, któremi dziś jest ciężarem.

Kniaziewicz«.

Szczęściem bilecik ten doszedł Drzewieckiego, a prawie równocześnie list szefa niespokojnego o przyjaciela był w jego rękach: wiedzieli osobie i spokojniejsi już byli o przyszłość, którą złożyli w ręce Boga; a Kniaziewicz tak pisał ze Lwowa 28 kwietnia (1813 r.):

»List twój wraz z listem pani Czackiej w Krakowie odebrałem, rozumiem, że i ciebie doszedł mój list w marcu pisany. Dla poratowania zdrowia, które mocno skolatane, do kąpieli do Lubienia za trzy dni wyjeżdżam, tam zabawiwszy niedziel kilka, do Krakowa albo Ratysbony wyjadę.

»Pasierbicę moją wysłałem na Wołyń do jej dziada, moment rozłączenia się z nią był dla mnie okrutny.

»Jeżeli zechcesz mnie dać wiedzieć o sobie, to proszę pisać przez Lwów, Gródek, w Lubieniu. Przyjaźni się statecznej polecam i niczego tak nie pragnę, jak żebym ciebie mógł w życiu raz jeszcze uściskać.

Kniaziewicz«.

Mamy ślad tylko, że generał pisał w lipcu z Lubienia do szefa, ale dopiero listopadowy list jego umieścić tu możemy, z Tarnowa 5 listopada 1813 r.:

»Szanowny przyjacielu!

»Znając ciebie, godny przyjacielu, pewny byłem, że żadnej okazyi nie opuścisz, gdzie tylko piękna twoja dusza dowody prawdziwej przyjaźni dać może. List twój z 30 września datowany odebrałem. Olesia (pasierbica) mi pisze, żeś był w Międzyrzeczu, że się jej losem trudnisz; że tam jesteś bożkiem pokoju i że ciebie i pan chorąży i syn jego adorują.

»Idąc za twoją radą, pisałem już o paszport na Wołyń; rozumiem, że go teraz z łatwością pozyskam, po zupełnem zwycięstwie nad Francuzami i pokój w Pradze zapewne nastąpi.

— 227 —

»Zajmując się losem mojej pasierbicy, zdawać mi się będzie, że na tym świecie nie wszystko jeszcze umarło..... Pewny jestem, że i ty szanowny przyjacielu radą swoją wspierać będziesz moją pasierbicę w momencie, gdzie najbardziej rady prawdziwego przyjaciela potrzebować będzie.

»Ja dość zdrow jestem i co wieczór się tem cieszę, że się termin zbliżył do tej podróży, której uniknąć nie można, a której z upragnieniem wyglądam.

»Moje rekolekcyje tu przyjemnie przepędzam, bo mieszkam pod jednym dachem z Badenim, rzadkich cnót i rozsądku mężem, który się tobie bardzo kłania. Rozumiem, że za niedziel sześć najdalej ciebie kochany przyjacielu uściskam, a teraz twojej się przyjaźni polecam.

Kniaziewicz.

»Proszę oświadczyć moje uszanowanie księżnie krajczynie i księżnie Aleksandrowej dobrodziejce«.

Następny pisany w grudniu przez Kniaziewicza z Warszawy 28 grudnia 1813 r.:

»Szanowny przyjacielu!

»List twój ²⁶/₁₄ listopada datowany dziś przez Skibickiego odebrałem. Kawaler ten młody wyjeżdżając z Wołynia był pewnym, że tu nadzwyczajne zastanie odmiany tyżące się losu kraju naszego, a tymczasem wszystko zastał w niepewności i w najgorszej biedzie. Ja, który na nieszczęście przyszłość czarno sobie maluję, mniej na tem tracę, przysposobiony umysł mój do złego, które nastąpić ma.

»Zdaje się, że listy moje ciebie, szanowny przyjacielu, nie dochodzą, lubo zawsze przez pewną okazyję pisuję.

»Do Olesi pisałem przez księcia Radziwiłła, który stąd przed tygodniem wyjechał i zapewne szanownemu przyjacielowi opowiedział, w jakich ja tu oblotach jestem.

»Czekam z niecierpliwością na powrót kuryera z Wiednia, który zdecyduje, czy będę mógł wkrótce wyjechać na Wołyń. Mam nadzieję, że ciebie, szanowny przyjacielu, za trzy tygodnie uściskam.

Kniaziewicz«.

— 228 —

Z tegoż 1813 roku pozostała notatka przesłana Drzewieckiemu, wezwanemu, aby w komitecie Cenzury krzemienieckim wyrobił pozwolenie na wydanie tłómaczenia *Ducha chrześcijaństwa (le Génie du christianisme)*. Pan szef, którego wszelkie podobne przedsięwzięcie obchodziło, który pomagał, jako mógł, do każdej roboty pocziwej, miał się i tu postarać o *Imprimatur*. Polecano mu tak wszystko: Fiszer kupienie klaczki, Czacki bibliotekę księżnej i szczepki orzechowe, Giżycki wyjednanie pozwolenia w Cenzurze, Bystry wyszukanie pieniędzy. Nie wiem, czy to tłómaczenie *Ducha chrześcijaństwa* wydanem zostało, ale przedsięwzięcie zasługuje na pamięć, bo było w celu i myśli prawdziwie obywatelskiej i religijnej osnute. Szkoda tylko, że

tłomacze nie chcąc się na pracy swej podpisać, wybrali nie oryginał Chateaubrianda, lecz przerobienie jego dla młodzieży, nie wiem czyje, które wyszło w 1808 roku u Herhana w Paryżu. Księgę II i V-tą pierwszego tomu tłómaczył Iwanowski, kawaler maltański, księgę I, III, IV i VI-tą Giżycki, tom drugi i część not G. Bielawski, profesor w szkole pijarskiej. Druk kosztem i pod okiem pana Giżyckiego w jednej z typografij Wołynia lub Podola miał się rozpocząć w 1814 roku, a skończyć w marcu. Do bibliografów należy wskazać nam, czy przekład ten przyszedł do skutku.

Idziemy dalej po tym cmentarzu zbutwiałych papierów, na którym co krok spotykamy pamiątkę; oto ułamek listu bezimiennego:

»Co się tyczy wiadomości publicznych, nic pewnego dotąd nie mamy. Jankowski, były szef szwadronu w pułku gwardyi, co został w Paryżu dla obrachunków z rządem francuskim, powrócił dnia onegdajszego z Wiednia, gdzie jeszcze Imperatora zostawił, który mu kazał powiedzieć wszystkim współrodakom wiadomości następujące, które oficjalnie przywieść ma pan Ożarowski w następującej treści: *Dites à vos compatriotes, que je mets toute ma confiance en eux. J'ai fait ce que j'ai pu pour leur bonheur; si je n'ai pu les réunir sous un même sceptre, j'ai assuré leur nationalité.*

— 229 —

et un gouvernement libre séparé pour chaque partie. Quoique les Polonais ont combattu contre moi, j'ai su distinguer leur vrai patriotisme qui les y a engagé de la légèreté et de l'inconstance des Français. Ils auront un royaume, un roi, une constitution et une armée — c'est ce qu'ils ont désiré, je ne leur demande que d'être bons Polonais. Voilà les nouvelles du jour, które ci komunikuję. Zresztą cicho, tylko ogromne przechody wojska, które nasze okolice do reszty niszczą, bo nawet magazyny do wyżywienia nie starczą. Adieu, kochany przyjacielu, czekam z największą niecierpliwością listu od ciebie. Kniaziewicz za kilka dni tam jedzie. Łaskawym osobom będącym jeszcze w Krzemieńcu, które raczą mnie przypomnieć sobie, proszę złożyć winne me ukłony.

»Adieu encore une fois.

S. R.

»Synowie wiem, że są zdrowi, lecz są na wsi w garnizonie«.

Następny list z tegoż czasu lepiej nam jeszcze i nadzieje i trwogi ówczesne maluje:

»Kochany, szanowny panie Józefie dobrodziej! Ostatni twój list, który odebrałem, tak mi zrobił pochlebną nadzieję uściskania i oglądania cię tutaj, iż spóźniłem się dotąd z moją na niego odpowiedzią; ale gdy ani skutek obietnicy nie następuje, a po zastanowieniu się sądzę, iż ani potrzeby ani interesu nie masz tak wczesnego tu przybycia, postanowiłem te parę słów ci przesłać, jako dowód mojej pamięci i szczerego zawsze przywiązania do tak szanownego przyjaciela, jak ty nim jesteś i jakim być umiesz. Lubo w krótkości wyraziłeś mi myśl swoją, ale znając twoje serce, wiem i zdaje mi się, że rozumiem, czego chcesz, co jako przyjaciel radzę i życzę, aby ci się odechciało. Dziękuję przyjacielom, którzy ci odradzili, żeś nie poszedł na kampanię roku 12go. Jako nie będący w wojsku, nie uchybiłeś twojej powinności; jako Polak, skutek okazał, żebyś jej dopełnić nie był w stanie, jak my wszyscy; jako ojciec, byłbyś przewinił. Tem bardziej teraz zostaw czasowi, aby nam odsłonił przyszłość,

— 230 —

nie wierz łatwo wszystkiemu, trudno rzeczy idą, wiele obietnic, mało skutku. Kongres wiedeński rzecz dopiero wyjaśni, nie bez uprzątnienia wielu zawał, mniejszą daleko, ale wszelako zatrzyma i Austria i Prusy, część jakąś Polski. Może prawo, może administracją zostawią nam samym sobie do urzędzenia; ale policją, ale konstytucją krajową, ale reprezentacją narodową czy będziemy mieć mogli? wątpię. Wszyscy Polacy życzą sobie z serca i duszy, by tak dobry Monarcha, jak Aleksander mógł być królem naszym, ale czy mu na to pozwolą, czy zechcą dlatego toczyć wojny z ościennymi, kłócić się ze swoimi? wątpię bardzo. Będzie mógł kraje dawniej przyłączone wcielać do nowego królestwa? trudno. Zostanie zatem kraj mniejszy, jak było księstwo, w niem utrzymane 50.000 wojska, do którego jest oficerów więcej jak na sto tysięcy; prócz 18tu generałów dywizyj, 38 brygad, 95 pułkowników, 200 przeszło podpułkowników, jest przeszło 800 kapitanów. Połowa zasłużonych, którym sposobu do życia odmówić niepodobna; kiedy z drugiej strony dobroć serca Monarchy, widząc kraj tak wyniszczony, chce koniecznie sprawiedliwie, ażeby podatki do połowy zmniejszonymi były. Widoki zapewne polityczne nie pozwalają także usunąć wojska z księstwa. Kraj ten zatem już i tak wyniszczony, żadnej dotąd nie doznaje ulgi. W tem położeniu rzeczy, z zaciemnioną przyszłością, szczęśliwy, *qui procul negotiis* do niczego się nie wdaje; w zaciszu domowem oczekiwać może dalszych wypadków.

»Tak radzę i sam odżałować nie mogę wcześniejszego przybycia tutaj, dość było czasu dla mnie przyjechać na koniec października. Ale listy Dąbrowskiego i Zajączka znagliły wyjazd. Z ukontentowaniem nawet odsunąłbym się od wszystkiego, gdyby nie potrzeba służenia, nie mając dotąd innego sposobu utrzymania się.

»Jutro wchodzi wojsko nasze powracając z Francyi, pojutrze ciało księcia Poniatowskiego przywożą w paradzie, nazajutrz egzekwie, smutny obrządek. W niedzielę obchodzimy imieniny Imperatora, wojsko nasze przez te dni cztery

— 231 —

będzie obozowało, gdyż żadnej części miasta Rosyanie im ustąpić nie chcieli, mimo od tygodnia padających ciągle deszczów. Kniaziewicz siedzi sobie na wsi o sześć mil od Warszawy; dziatwę uściskaj serdecznie, powiedz im, żeby ciebie nie puszczali, skoro będą widoki lepsze, sam cię o nich ostrzegę. *Vale et me ama.*

Ksawery Kniaziewicz«.

Sam Kniaziewicz taką o sobie w kilka dni później daje Drzewieckiemu wiadomość:

»Szanowny przyjacielu!

»z Warszawy dnia 21 w rzeźnia 1814. r.

»Profituje z okazji, która mi się podaje, ażebym doniósł o mojem powodzeniu. Do dnia dzisiejszego bawiłem na wsi, ażeby być dalekim od kabał i intryg, których teraz pełno. Teraz, kiedy los ojczyzny naszej rozstrzygnięty być ma w Wiedniu i kiedy się wielkiego księcia za trzy dni tu spodziewamy, w Warszawie bawić będę, póki rzecz się cała nie wyjaśni. Jeżeli się iskierka jaka pomyślna dla nas okaże, to natychmiast tobie, przyjacielu, dam wiedzieć, żebyś do nas mógł przyjechać, a że ja się nadzieją ludzi nie umiem, przeto ciebie póty nie zapraszam, póki coś pewnego wiedzieć nie będę.

»Warszawa, która zawsze pełna bajek, teraz się znowu panną Aleksandrą zatrudnia« i t. d.

Prawie współcześnie powracający z Petersburga Bartłomiej Giżycki, jeden z ludzi podówczas najczynniejszych na Wołyniu, tak w swym liście pisze do pana szefa:

»Powróciwszy z Petersburga, mam za słodką powinność przypomnieć się przyjaźni JW. pana dobrodzieja, a razem uwiadomić go o wielkich nadziejach dla dobrze myślących z protekcyi i szczególniejszych względów naszego Monarchy dla wszystkich jeneralnie Polaków. To jest nietajno, z jaką energią i silnem postanowieniem wyjechał Najjaśniejszy Pan do Wiednia, wkrótce zapewne będą wiadomości pocieszające nas zupełnie. W tem oczekiwaniu

— 232 —

winszujemy sobie, że nam Opatrzność tak mocnego i wspaniałego dała protektora« (dnia 12 września).

Nareszcie natrafiamy na list samego Drzewieckiego, czwartego grudnia pisany z Krzemieńca do Fr. Skibickiego, z którego o samem życiu ówczesnem miasteczka wyjmiemy słów kilka:

»U nas wyludnione miasteczko wyjazdem tylu osób, stoi jedynie dobrocią pozostałych i skupionemi umysły mieszkańców. Obchodziliśmy tu Ksawerego, tańczono, grano, śpiewano, publiczność wcieliła się w tę dobrą familią, a życzenia były tu szczere, jak ich własnych dzieci. Wieczór nie ogromny, ale bardzo był świetny; mamy tu rosyjskich oficerów dobrze wychowanych, którzy się na nas znają, i my ich nie zapominamy i bardzo są tu szczęśliwi.

»Ledóchowski stoi u mnie teraz, ranek jestem w jego towarzystwie, które jest bardzo interesowne. Dnie życia naszego są krótkie, a częściej skrócone nawet, każdy z nich sobie i przyjaciółom ocalony, jest prawdziwą towarzyskiego długu wypłatą. Jeżeli ten odmęt, w którym się teraz znajdujesz, jest jednym z tych nieszczęśliwych momentów, jakich już wiele przebyli Polacy, gdzie samo omamienie chodziło tylko w płaszczu nadziei, — przypatrz się temu, korzystaj z epoki, nad którą zastanawiać się jest to zyskać lata doświadczenia, a kiedy rzecz w swojej już postaci widzieć będziesz, rzucaj prędko, przybywaj do nas; tu matka, tu przyjaźń da ci zatrzeć smutek, jakiego tam nabędziesz zapewne, zostanie ci się sposobniejsze serce dla uczuć przyjemnych domowego pobytu, na którym niestety podobno poprzestać należy.

»Napisz mi, jak zastałeś panią starościnę naszą (Czacką?). Tutaj każdy węgielny kamień przypomina założyciela, każda ukształcona dusza wyznaje, wiele mu winna, i czuje brak tak znakomitego domu. Zazdroszczę ci przyjacielskich godzin z panem Sedelmejerem, przypomnij mnie pamięci jego, mnie się zdaje, że widzę twarz tego cnotliwego człowieka wypogodzoną za przybyciem twojem. Sobański Michał

— 233 —

tylko co nie umarł, ma się jednak lepiej i przyjeżdżają do nas.

»Ja cię się o Nowym Roku spodziewam, bo i G. Kniaziewicz pewnym jest wtenczas powrotu do nas, a zatem normalny czas jużby upłynąć powinien. Zresztą grzech opuścić karnawał tutaj, jeżeli tamtejszy smutkiem powleczoney będzie.

»Jenerałowi Kosseckiemu złożź mój respekt, panu Kickiemu powiedz, że mi zrobił epokę swoją bytnością tutaj, niech nas nie zapomina i szacunek nasz niech przyjmie, jako winny mu i utrwalony do grobu.

»Jenerałowi Wasilewskiemu, pułkownikowi Chłusowiczowi *), jenerałowi Sieradzkiemu przypomnij dawnego ich przyjaciela i kolegę; panu jenerałowi Stanisławowi Potockiemu, jeżeli go już znasz dobrze, przypomnij i zaręcz, iż dobroć jego dla mnie jest mi zawsze pamiętną«.

Rok następny już jest bogatszy, niż poprzedzające, w listy i notatki. Jak zawsze, im mniej było do czynienia, tem więcej się w ogólności rozprawiało i pisało, rozumowało i zdawało sprawę z nadziei i marzeń.

Dnia 9 stycznia 1815 tak pisze szef do ulubionego sobie krewnego Franciszka Skibickiego:

»Krzemieniec się bawi, tańczą wiele, a co najlepiej, że gdy tańczą jedni, nie płaczą drudzy, co podobno w reszcie świata doświadczać można. Pozostawszy z nami, miałeś wprowadzić obok siebie serce matki, uczucia przywiązanej do ciebie familii i to, co domowem nazywamy szczęściem; lecz tam obok ludzi cnotą i klęskami znamienitych, aktorów na wielkiej świata scenie, masz czas uczyć się od nich, co są ludzie, co są narody, co jest honor, co są obowiązki dla ojczyzny, jak wynieść się nad poziom naszego bytu, na to może,

*) Szczególnym trafem ten pułkownik Chłusowicz był przyjacielem rodziny naszej, widziałem go razy kilka w mojej młodości, ale mało pamiętam. Ożenił się z Hiszpanką, dziedziczką krwi i pamiątek po Krzysztofie Kolumbie; przypominam sobie łańcuch Kolumba, który po niej do niego się dostał.

J.I. Kraszewski.

— 234 —

abyś go kiedyś z większą mógł lubić spokojnością; bo się przecie wszystko na tym kończy świecie«.

W lutym frasował się szef bardzo przypadkiem, który spotkał synowca jego Felicjana Drzewieckiego, z bratem wyprawionego przezeń do Warszawy, do szkoły inżynierów, któremu pod Gniewoszowem walizę skradziono, i tak pisze do Skibickiego:

»Tu się dowiaduję po zmartwieniach, jakie mam z niedojścia listu (pisanego przez Drzewieckiego do pani Mniszchowej), że oni są zdrowi w Warszawie, lecz mają ukradzioną walizę pod Gniewoszowem; walizę z sani, na których czterech ludzi się znajdowało, a z tych dwóch ma całe życie umieć myśleć przecie o sobie! Jest to przypadek, którego sam jeden Francją, Włochy, Szwajcaryą, Niemcy, Prusy przedęptawszy, mimo wady niedbalstwa przecie nigdy nie doznałem«.

Cały ten list pełen niepokoju o krewniaków, serca jego najlepszego dowodzi.

Oto inny, jenerała Kropińskiego, pisany d. 29 marca 1815 r. z Worończyna, malujący dobrze, jakim uczuciem przyjęto wówczas ogłoszenie Królestwa:

»W ten moment odebrałem sztafetę od księżny jenerałowej (Czartoryskiej), 4 kwietnia cesarz ogłosił się królem polskim przez list do wielkiego księcia. Książę Adam jedzie z aktem już podpisanym. Radość, jaka z tej okazji była w Warszawie, jest nie do wyrażenia, śpieszę się donieść o tem przyjacielowi. Bądź łaskaw powiedzieć Januszewskiemu, że ja wyjeżdżam za dni pięć, więc mnie nie zastanie. Jeżeliby potrzebował na drogę, chciej mu dać dukatów trzydzieści, które ja natychmiast powrócę. Bądź zdrów, przyjacielu, radujmy się, bo jest czego. Księstwu Czetwertyńskiemu złożź odemnie ukłony i wszystkim łaskawym.

Kropiński«.

Z kilku listów Bartłomieja Giżyckiego, ówczesnego gubernatora wołyńskiego, widać niezmierną jego czynność,

żywy umysł i temperament i najlepsze dla kraju chęci, z tą wiarą w skuteczność czynów gorącą, jakiej już dziś nikt nie ma. Trudno odmalować, jak się ten niezmordowany urzędnik krzątał, zabiegał, pracował, klócił, zaklinał, aby sobie i drugim dać rady i do jakiegoś ładu doprowadzić nieuregulowane jeszcze stosunki. Tu znowu ciekawy, choć krótki, bilet generała Chłopickiego:

»dnia 4. septembra 1815 r.

»Wieki, jakeśmy się nie widzieli, tyleż czasu, jak nie pisałem; proszę darować, żem dotąd nie napisał, a nie szukając kłamstwa na ekskuzę, szukam bardziej przebaczenia. Plater, oddawca listu, powie, co się z nami dzieje i jak wiele jesteśmy zatrudnieni, chociaż nic nie robimy, wszelako uczymy się. Jeżeli pan pamiętny na starania moje o jego przyjaźń, zapewne nie odrzuci tychże samych, które mu zaręczam.

B. Chłopicki«.

Następna odezwa bez podpisu przekonywa, jaki wpływ i udział miał Drzewiecki we wszystkich czynnościach prowincji:

»Przyjaźń, która W. pana dobrodzieja tak ściśle łączyła ze ś. p. Tadeuszem Czackim i którą tak wiernie pamięci jego dochowujesz, daje mi powód, że się do niego w niniejszej czynności udaję. Wkrótce po śmierci tego zacnego męża obywatele gubernii wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej, wywiązując się z wdzięczności, którą szczególnie mu byli obowiązani, ofiarowali na rzecz pozostałej po nim masy majątku części pewne sum, które się im ze skarbu imperatorskiego za dostawione wojsku prowianty należały. Wielu jednak z obywateli wzmiankowanych guberniach wcale się do tej składki nie przyczyniło, a ci nawet, którzy się na nią pisali, po większej części całkowitą należność za prowianty ze skarbu opłaconą sobie mieli, dlatego iż w czasie spłacenia nikt ze strony sukcesorów ś. p. Czackiego z przyzwitoj do odebrania ustąpionej im części plenipotencją w Petersburgu się nie znajdował. Gdy teraz ci sukcesorowie

znajdą się w potrzebie korzystania z tej dla obu stron chlubnej ofiary, potrzeba, aby kto z pomiędzy przyjaciół zmarłego, mający u tamecznych obywateli wziętość, starał się u jednych o ustąpioną przez nich kwotę skutecznie upomnieć, u drugich przyłożenie się w proporcjonalnej ilości wyjednać.

»Związki W. pana dobrodzieja z nieboszczykiem, sposób jego myślenia i sposobność, w której się znajdujesz, uczynienia tej przyjacielskiej posługi sukcesorom, do której go jako przyjaciel i opiekun dzieci zmarłego wzywam, każą mi się spodziewać, iż się jej chętnie podejmiesz; w tem zaufaniu łączę tu papiery niektóre, interes ten objaśnić mogące. Z mojej strony nie zaniedbam starać się, aby niezapłacone jeszcze, a sukcesorom ś. p. Czackiego ustąpione pretensje plenipotentowi ich w Petersburgu bez trudności wypłaconemi być mogły. Przyjm JW. pan dobrodziej i t. d.

w Warszawie d. 3 października 1815 r.«

Tak wszystko niemal, co kto przedsięwzięcie, co chce dokonać, o czem pomyśli, opiera się o niezmordowanego szefa: interesa pieniężne, literackie, sprawy obywatelskie, najmniejsze nawet zachcenia przyjaciół ma czas spełnić. List następny Felińskiego świadczy, jak mu pomagał do rozdawania prenumeraty (biedny pan szef! jest-li co okropniejszego?):

»Wojutyn, d. 18 października 1815 roku.

»Mój szanowny i dawny łaskawco! Z pisma, które mi oddał w ręce przed wyjazdem swoim Giżycki, dowiaduję się, że do wielu już dowodów swojej łaskawej dla mnie przyjaźni przydałeś jeszcze nowe. Raczyleś zatrudniać się rozdawaniem biletów na prenumeratę pism moich.

»Za dziesięć, które Platerowi dałeś, doszły mi pieniądze; resztę racz oddać łaskawie w ręce Rudzkiego, który mi je przesłał będącemu już na wyjeździe do Warszawy. Jeżeli jakie bilety pozostały, przyjmę je, a blankiet na kwit całkowity posyłam.

»Francuz, o którym panu mówiłem, ożenił się przed miesiącem i nie może opuszczać miejsca. Ten projekt więc upadł, ale możemy jaki inny zrobić, jeżeli się panu podoba.

»Szczęśliwym będę, jeżeli mi raczysz jakie dać rozkazy i pisywać do mnie do Warszawy. Zawsze z najczulszem i najprawdziwszem uszanowaniem, przywiązany pański sługa

Feliński«.

Z następnego listu do Skibickiego musimy choć cząstkę umieścić, bo tych słów kilka całego nam człowieka i myśl życia jego maluje:

»Proszę cię, Franiu, o długi list do mnie z Woronczyna, oświeć mnie trochę, co się dzieje na świecie. Zdaje się, że księżna nie wyjedzie stąd mimo usiłowań Warszawy..... Błędowskiemu, ojcu młodości mojej, zaręcz mój respekt, panu generałowi Kropińskiemu moje uszanowanie i *prośbę, niech mnie tam wezmą na stróża, byleby w polskim palić można piecu.*

»Będę ci od czasu do czasu przysyłał bazgraninę, w której więcej szukaj serca, niż zdatności, a jak się tego nazbiera, każ oddać restauratorowi pod ciasteczka, które zjadając, raz jeszcze przypomnij sobie przyjaciela twego do grobu.

Teofilop, d. 7 października 1815 r.

Józef Drzewiecki.«

Obszerniejszy i więcej wypracowany jest inny list do tejże należącej epoki (z 30 oktobra), który tu miejsce znaleźć powinien:

»Już tedy, kochany panie Franciszku D., opuściwszy Wołyń, gdzie cię matka czuła i przyjaźń wypieściła, stanąłeś zapewne w nowej Polsce, a w dawnej jej stolicy; tysiąc poważnych myśli zastępuje ci miejsce powtarzań jednostajnych naszego przywiązania, z którymi od dzieciństwa oswojony byłeś; uczucia prywatnego człowieka zastępują teraz uniesienia obywatela i Polaka, a dumny z odrodzenia swego, myślisz zapewne, jak się stać godnym tak wielkiego przeznaczenia. Witam cię tedy, młody obywatelu dawnej ojczyzny

mojej; patrzyłem na te ostatnie boje, którymi ona swój zdołała upadek, i niedołężną jeszcze ręką bronić jej chciałem, lecz wtenczas walczyły sieroty z potężnymi i silnymi i z własną niedołężnością swoją: opór podnosił upadek, ale od niego ochronić nie mógł.

»Zrozpaczeni, unieśliśmy bronie nasze daleko od własnej ziemi, aby je od powszechnej ochronić straty, a nawykli do swobody, szukaliśmy jej tam, gdzie ją zaledwie wymawiać byli godni. Jednak Opatrzność chciała, aby tensam Eneas, co ojczyste unosił bogi, wprowadzał uzbrojone rodaki do ich ojczystej ziemi i odrodzenia jej pierwszą przyniósł wieszczbę. Odtąd skończył się romans Polaków: okupując błędy przodków, krwawili z chlubą potomkowie tę ojczystą ziemię, którą nierząd oddał zagładzie, i

własne przewyższywszy siły, wprzód mieli udział w zemście, niżeli ocalenia swego przez nią pewnymi być mogli. Wielkie natężenia od upadku cienia tylko nie dzielić zwykła, lecz historia napróżno co moment tę powtarza prawdę, bo miłość własna nigdy jej zupełnie nie uwierzy; należeliśmy do błędu drugich i upadliśmy z nimi. Tu dopiero należy epoka, która z trudnością znalazłaby w historii przykład: wielkość ofiar, czystość pobudek, miłość kraju godna wieków pierwotnych, mało znana w ukształconych, zarabia Polakom szacunek wtedy, gdy sprawa, w której swe poświęcili życie, na nienawiść świata zarabiać się zdawała. Wnuk ukochany Katarzyny staje się opiekunem bóstwem zaledwie już wierzącego swej nadziei Polaka, a polityka narodu ustępuje cnocie monarchy. To, czegoście nie zarobili, Polacy, bijąc się za krańcami Europy pod tym, któremu świat i on sobie wierzył, że panem świata ma zostać, wymawiacie czarowne ojczyzny imię, upoważnieni cnotą zdobywcy waszego. Takowa zmiana nie może być daleką od świetniejszych jeszcze widoków, jeżeli tylko dość jest uprawną ta rola, na którą tak dobroczynne padło nasienie. Dotąd Polacy, jak męczennicy religii, zwyciężali mnogością cierpień swoich: teraz, choć w drobnym przysługę bytu zarodzie, mają swej wielkości

— 239 —

położyć zasady. Po zaburzeniach, jakie nowa wprowadziła opinia, stały porządek rzeczy jest jeszcze daleki; jest to niejaki spoczynek, pośród którego naród ludzki rozważa, czyli nieszczęścia należały do liberalnej zmiany, czy do ludzi, którym nietrafnie powierzyło ją przeznaczenie. Zmieniać się będą miejsca na kuli ziemskiej, lecz czelek ciągle usiłować będzie dążyć do postępu i to zmieniać musi stosunki teraźniejsze narodów, a z nimi i Europy postać. Na ten nowy zarodek patrzeć będą rodacy w jakiegokolwiek przybrani imię; wasze cnoty lub zepsucie będą ogniskiem opinii o sprawie podźwignienia się naszego, do was trudności, do was należeć będzie chluba pomyślnego dla kraju skutku, orężem waszym wytrwanie i praca. Jeżeli świat oswoić z powinnością myślenia o podniesieniu walecznego i cnotliwego narodu, tak jak teraz męstwem waszym upartem każecie znosić imię; które zniknąć już miało, wszystkiego natenczas i wkrótce spodziewać się należy; lecz jeśli kraj tak mały skazi łakomstwo, jeżeli broń w najemne przejdzie ręce i nie będzie jeno środkiem do ogłaszania tego zapału, który ubiegłe okoliczności podnieciły, a który tłumić nagle było niebezpieczno, — jeżeli puścić się godzi wodze marzeniom człeka, co do nich nie ma prawa, lecz mówi do krewnego, do przyjaciela, co wchodząc w tak znakomitą szkołę ludzi i okoliczności, nie utraci zapewne należącego do swej pięknej duszy pobłażania pomyłkom niepoprawnego pióra i niedoświadczonego piszącego — myślałbym, że wzięwszy tę ręką wojsko i wychowanie, resztę okoliczności przygotować mogą. Wylękała się słusznie Europa militarnego wychowania w narodzie zdobycami uzuchwalonym, lecz w drobnej krainie, która cnotą i karnością jedynie na litość świata zarobić może, potrzeba być się to zdaje: ręce te dobroczyńcy naszemu poświęcone zostaną. Niech one przejdą zdatnością i zarobią na Jego szacunek, czy on nam pod swoją opieką każe przywołać pozostałych braci za granicami państw jego, aby go wraz z nami za swego poczytały wybawcę, a wszystko duchowi temu winni będziemy — czy nakoniec on nas uważać zechce

— 240 —

jako kraj, co ma środkowe zasłonić prowincje pierśmi swemi, duch militarny zapowiadać będzie zdobywcy, na co się narażać może. Lecz z militarnym porządkiem, niech się nie wciska barbarzyństwo; sposób wojowania nie pogorszą się oświeceniem, a masa narodowego światła, zdaje mi się, że była jedną z celniejszych przyczyn pierwiastkowych zwycięstw Francuzów; i dlatego myślałbym, że szkoły przyjmując militarny duch i policję, mają prawo, aby wojsko gust do nauk od nich przynieść do siebie chciało. Korpusa wojskowe niech będą przejściem tylko do przystosować się mającej teorii do obrony ojczyzny swojej; one mają wytrawiać pasy, a nie pogardzając wszelkimi wiadomościami, oddawać w karność i honorze wyćwiczonego obywatela. Dobrze dobrane biblioteki, korpusowe ćwiczenie się oficerów w czasie pokoju za powinność położone, czytanie i pisanie za regułę dla każdego żołnierza, garnizony stałe i koszary, któreby takim samym sprzyjały ustanowieniu, nie odejmą brawury żołnierzowi, nadając mu zdatnego obywatela postać. Wtenczas to syn ojczyzny chlubnemi za nią okryty ranami, przejdzie do cywilnego stanu, niosąc mu za przykład swoją dla kraju miłość, a przecież brak oświecenia nie zrobi go niezdatnym do sprawowania swych obowiązków urzędnikiem. Legie miały militarne szkoły pod dowództwem szefów korpusu, to nie umniejszało odwagi zdobywców Neapolu, męźnych pod Trebią, ważących los bitwy pod Hohenlinden. — Przebacz tak nudnej i śmiałej bawardzie, która może nie jest zgodna z waszym duchem ani godna uwagi waszej; powiem ci, dlaczego ci tyle piszę. Przyjechałem do Dubna widzieć generała Giżyckiego, któremu oddam te listy; on spóźnił swój przyjazd chęć pisania do ciebie nie ma we mnie granic, zbyt niedawno nas opuścił, abym cię domowymi ubawił nowościami, co wcisnęło się pod pióro, przebacz, że ci to bazgrać się ośmielił».

Malutki bilet generała Kniaziewiczza kończy korespondencją z tego roku, z której dajemy te wyjątki. Bilet brzmi:

— 241 —

»Szanowny przyjacielu!

»Posyłam przez okazję list Kosseckiego i paczkę podobno z książkami. O sobie niewiele dobrego donieść mogę, jak tylko tyle, że pracą obciążony jestem, która sam nie wiem, na co się tu przyda, i że wystawiony jestem na próbę, czy się sposób myślenia z wiekiem nie odmienia; lecz spodziewam się, że się mój przyjaciel za mnie wstydzić nie będzie. Spodziewam się, że na Nowy Rok będę mógł być na Wołyniu, chyba żeby mi gdzie dalej jechać kazano. Daruj, że krótko piszę, bo mnie niezmiernie oczy bolą. — Do zgonu życia szczerzy przyjaciel
Kniaziewicz.

Warszawa, 5 grudnia 1815 roku.

Następujący list gubernatora Giżyckiego da poniekąd wyobrażenie gorliwości i temperamentu, z jakimi ten obywatel-urzędnik zajmował się wszystkim, co go obchodziło (inne nam go później dobitniej jeszcze odmalują, a typ to swojego czasu, piękny i bardzo godzien uwagi):

»Panie dobrodzieju!

»Oficyalny papier odprawiony po przesłej pocście, uwiadomił już pana o przybyciu niezawodnem Monarchy do Starego Konstantynowa na 5 aprila. Pułki schodzić się mają, a Najjaśniejszy Pan około 20go sam przybędzie. Rewia ma trwać dni 6, tymczasem odbieram partykularne wiadomości, że Monarcha sam incognito przejeżdżać będzie w marcu do Warszawy i to pod imieniem jakiegoś generała. Natenczas trzeba koniecznie przestrzec soderżateli poczt wszystkich i pisarzy, aby trzymali koni po dwanaście na każdej stacyi, nie używali tych koni na gonki, tylko pilnie uważali przejeżdżających generałów, aby im służyli jak

najlepiej. Tę przestrożę trzeba tak zrobić, aby nie skompromitować nikogo, to jest kiedy Monarcha pytać będzie, czy wiedzieli, że on przejeżdżać będzie, żeby odpowiadali, że nic nie wiedzieli. Koni tych dwanaście, to jest dla Cesarza i kamerdynera, oddzieliwszy z dobrymi jamszczykami i wybrawszy jak

— 242 —

najpiękniejsze i najlepsze, niech karmią dobrze, żeby przez ten czas nie były chude, bo Monarcha tego nie lubi. Niech na pocztach pisarze i pocztylioni proszą, aby teraz przejeżdżający niebardzo pędzili, by konie zakonserwować wszystkie; kiedy słuchać nie zechcą, można nastraszyć podaniem prośby. Panu trzeba być zawsze na przesmyku, nie w mundurze, a we fraku, pilnować, kazać, jak będzie generał jaki jechał, wniść niby z przypadku na stacyą dla opatrzenia porządku, a poznawszy Monarchę, nic się nie zdekoncertować, powiedzieć mu komplement, że tak wielkie szczęście i niespodziewane spotkanie zbawcy ludów, a szczególnie Polaków jest najcenniejszą epoką życia. Już to będziesz umiał — przestrzegam tylko, aby nie mówić *nie wiem* (*ne znaju*), bo tego nie lubi. A mieć w gotowości co zjeść i wypić i zaraz posłać czelaka, aby jak najspieszniej na stacyą przynosił, kiedy nie zechce iść lub jechać do pana. Śmiało o to prosić można. Może zajść zechce do JW. Czackiej, o której bytności zaraz powiedz. To wszystko stać się powinno tak naturalnie, z otwartym sercem i śmiałością, żeby był pewnym, że to jedynie z przywiązania do Niego pochodzi.

Gadając do niego po francusku, jak najmniej mówić *Votre Majesté*, lecz *Sire*, po rusku zaś *Gosudar*. Trzeba, żeby pan codziennie na stacyi był choć na minutę, aby było czysto, ochędożnie, a tym sposobem, gdy incognito jechać będzie i pan wpadnie, nie będzie widno, żeś pan umyślnie na ten czas przybiegł. To jest rada moja na przejazd incognito. Gdy zaś będzie jechał z Warszawy, postępować tak, jak było roku przeszłego: na każdych stacyach po 150 koni niech będzie, albo fryszyk albo obiad gotowy, reszta w instrukcyi drukowanej.

Cały dość długi list Giżyckiego zawiera najbardziej drobnostkowe przepisy na wypadek przejazdu Monarchy, przestrogi i szczegółowe przepisy postępowania.

W tym roku poczynił już pan szef myśleć o wychowaniu syna Karola. Mieszkając i marszałkując w Krzemieńcu, pisze o tem do Skibickiego:

— 243 —

»Karolowi uformowałem pensją, dałem na nią dom większy, gdzie stali Czetwertyńscy, na jej czele jest Lisiecki, wchodzi w nią Gotard Sobański, Czaplic od Maksymiliana, Sapieha syn Janusza, syn Pauszy, Gołębiowski, syn przyjaciela Czackiego, i Delarbre młody, dzieci wszystkie z wielkimi zdolnościami. Pozwoliliśmy sobie wszystkich środków i nakładów, jakich wymaga najściślejsze połączenie pożytków publicznego i prywatnego wychowania, od Opatrzności oczekujemy reszty. Staranność potrzebna do nabycia języków zachowana, emulacya utrzymana, dzieci dobrze dobrane, wybrani nauczyciele, służebni cudzoziemcy, ludzie z konduityą znaną, dzieci ani na moment losowi nie zostawione, egzamina publiczne i porządek szkolny zapewniony, spodziewamy się najpochlebniejszych skutków.

»Plater zastąpiony jest przez trzęsącego się, lecz niegłupiego literata. Malewski, którego znałeś, jest rocznym wizytatorem; trwoga, że ta szkoła wyjęta jest z pod pieczy obywatelskiej, jest tak wielka, że trzeba znacznych usiłowań, aby zatrzymać powszechną ufność. Z jej umniejszeniem potrzeba będzie czasu, aby ją wrócić — prosz, błagaj skromnemi ustami ucznia tej szkoły, niech zaradzą starsi potrzebie związku między ojcami familij a nauczycielami, niech nam powrócą urzędnika obywatela; tu nie o osobę, ale o rzecz idzie. Szkoła, co was wydała i coby ciągle obywateli wydawać mogła, bez takiego związku straci powagę, straci energią swoją; nauczyciele zejść na bakałarzy, w oczach obywateli pedantyzm szkolny zajmie miejsce panującego ducha obywatelskiego, a młodzi nawyką myśleć, że nauki ich nauczycielom nie zarobiły nawet średniego w towarzystwie uważania, i mniej im szacowne się wydadzą. Mam jeszcze w oczach ostatnie egzamina, a tę prawdę już w skutku przed oczyma miałem. Zeszła ta świetność, ta pociecha rodziców, te łzy, co je szczęśliwe wychowanie dzieci z ocz rodziców wyciskało — na zimną obojętność, na suche rozprawy. Nie wiem, co później będzie, ale teraz przytomnych wpychałem do sali, aby wejść chcieli. Możesz sobie wyobrazić,

— 244 —

ile smutnych porównań, ile uwag zakrwawiło serce moje. Dziecko moje jeszcze młode, szkoła ukochana, gdzie je wychować, wołała na mnie; nim on dorośnie, może i jej nie stanie; bo co lepszego tu jest, opuści ją, nie widząc tego szacunku, do którego nawykli.

»Gubernator stał u mnie i był na dni ostatnie; czynił, co mógł ze swej strony, chce brukować miasto, czynnie bardzo w tem postępuje, już się wznoszą stosy kamienia wszędzie, jest podobieństwo, że ta dla wygody publicznej tak ważna część załatwioną zostanie.

W tym liście i lipca szeroko się rozpisawszy o zmianach, jakie w Krzemieńcu po śmierci Czackiego zaraz uczuć się dały, a nad którymi bolał serdecznie Drzewiecki, nie zapomniał dodać pocziwy starzec wzmianki o rycinach do panowania Zygmunta III, o które u różnych się starał:

»Panu Niemcewiczowi donieś, że *Maryna* i *Dymitr* ślicznie odrysowane wyjeżdżają do Wiednia, dziś je właśnie do Mniszchów odeszł.

Kniaziewicz, przyjaciel serdeczny szefa, tego roku bawił u wód w Baden; dowiadujemy się o tem z innego listu:

»Kniaziewicz przyjechał tutaj (pisze zdaje się księżna Sapieżyna) i nie więcej ma wiadomości o Wpanu, jak i ja; tak jest zdrów i wesoły, że trzeba życzyć, aby wody żadnej mu odmiany nie sprawiły. Powiadał mi, że Radziwiłłowie chcą osiąść na wsi w Czarkowie, zdaje się, że i on sam nie bardzo się od nich oddali; będziesz teraz Wpan miał najlepszych przyjaciół swoich w Krakowskiem, serce jego dzielić się będzie między Krzemieńcem, a rzeczpospolitą krakowską. Nasze królestwo nie nabierze prawa do niego, tylko w przypadku, gdy zawojuje Wołyń. Pan Jabłonowski, który od dwóch dni przyjechał tutaj, mówił mi, że W P. byłeś na Ukrainie podczas wyjazdu jego, bardzo chwałę to poświęcenie się interesom i życzę, aby było nagrodzone spokojnością.

Oto jeszcze kilka zajmujących słów z drugiego listu, wkrótce potem pisanego z Baden:

— 245 —

»Bawi tutaj pan Kniaziewicz pełen zdrowia, zdaje się, że dla zabawy tylko bierze kąpiele, za dwa tygodnie jedzie do Karlsbadu, a stamtąd sam jeszcze nie wie, gdzie ma swe kroki skierować. Codzień jeżdżę po nowych i prześlicznych spacerach, staram się widzieć okolice tutejsze, które są nadzwyczajnej piękności, chcę oglądać niektóre fabryki i trochę rozpoznać gospodarstwo tutejsze; wiadomości te są zawsze użyteczne i mogą utworzyć niektóre myśli stosowne do naszego w kraju gospodarstwa. Kniaziewicz i Jabłonowski mają teżsame widoki; jak się zgromadzamy, rozmowy nasze są dla nas bardzo przyjemne. Miałem dawniej zamiar wydoskonalenia u siebie rolniczego gospodarstwa, lecz nadto wielki ogrom majątku i interesów nie pozwala mi się zatrudniać tym przedmiotem, któryby siedzenie na wsi bardzo mi zrobił przyjemne. Teraz przysłuchuję się tylko rozmaitym projektom osób lepiej znających odemnie gospodarstwo«.

We wrześniu Bartłomiej Giżycki znowu oczekując przybycia Monarchy i przewidując, że może zechce zwiedzić Krzemieniec, oznajmił o tem Drzewieckiemu, zapraszając zarazem do Żytomierza panią Swiejkowską i Rzysszczewską. Już po balu i przejeździe Cesarza, którym i Giżycki i Drzewiecki się zajmowali, pozostawało mnóstwo rachunków do załatwienia, o których znowu Giżycki odnosił się do szefa właściwym sobie stylem. Kilka słów tylko z tej misywy wyjmiemy:

»Odebrawszy dziś dwa listy od JW W. panów Krzemieńczanów kochanych, to jest od grafa Platera i JW. Drzewieckiego, nie piszę osobnych listów, a w jednym umieszczam, co następuje. A naprzód do JW. Platera zanoszę prośbę, aby pisząc do mnie większe litery stawiał, bo on młody sznureczkiem napisane pismo wyczytać może, a ja stary ledwo decyfruję litery, jak wołowe oka. *Tandem à force* przypatrywania się zdecyfrowałem, że mi pisze o Cyryakusie, który w tych dniach pożegnał się z Giżyckim, wyjeżdża. Lecz cyrkumfibulacya nieznaczna sznureczków, napisana

— 246 —

że jakiś dług winienem gimnazjum od roku 1815 i że od tego długu jakiś procent się należy, bardzo mnie zastanawia, bo ja nie pamiętam, co bym był winien, i choć kocham bardzo to gimnazjum, ale na prośby Czackiego nic dać nie mogłem, bo nie bardzo wiele sam mam. Proszę więc mnie te cyrkumfibulacye objaśnić«.

Księżna Sapieżyna powracająca z Baden, zatrzymała się w Warszawde i pisząc do Drzewieckiego, ten ciekawy kreśli ówczesnych usposobień umysłowych obrazek:

»W umysłach panuje powszechna chęć podniesienia kraju naszego i zrównania go z obcemi cywilizowanemi krajami: zatrudniają się rolnictwem, zakładaniem fabryk, podniesieniem handlu — w tem i ja zasadzam nadzieję moje dla ulepszenia losu naszego. Uważam, iż nieszczęścia nie były bez dobrego skutku, bo płochę pretensye próżności obróciły się do celu użytecznego; dzisiaj w Warszawie elegantka nie śmie wystąpić z nadto przepysznym ubiorem ani się sadzić na wykwintne meble, pojazdy, fety, bale; szydzenia publiczności ukarałyby ją za ten nierozsądny przepych; lecz czyta książki, rozprawy literackie i ekonomią polityczną, w kompaniach sądzi o komedjach, o nowych romansach, rozprawia o rolnictwie, o handlu, administracyi. Będziesz się Wpan śmiał z mego opisanie, ale ja zawsze utrzymuję, że lepiej, żeby próżność była obroconą do rzeczy użytecznych, niż do płochych i szkodliwych«.

Oto jeszcze jeden ciekawy urywek listu z Warszawy w grudniu tegoż roku pisany:

»Warszawa, d. 6 grudnia 1816 roku.

»Listy twoje, szanowny przyjacielu, regularnie mnie dochodzą. Wierz temu, że ja wysoko cenić umiem ten dowód twego przywiązania, lecz chciej i temu wierzyć, że chociaż nie tak często do ciebie pisuję, równie ciebie, jak ty mnie, kocham i szacuję.

»Oddawca listu tego ustnie opowie, co w Warszawie widział i słyszał, ja tylko o sobie wiadomość udzielę. Nikomu

— 247 —

się nie prezentowałem..... A żem tobie powiedział, że wolę być spektatorem, jak aktorem, więc to mnie w takim postawiło położeniu, że się może zupełnie z tego kraju wyprowadzę. Przykre to wprawdzie przedsięwzięcie oddalić się na zawsze od osób, które równie jak życie kochamy, lecz równie jest przykre być wystawionym na prześladowanie tych osób, których stałość moja pomimo ich wysokich dostojeństw upokarza. O Imperatorze wiem pewno, że powiedział, iż ma dla mnie szacunek, ale to mnie nie obroni od jego zastępców.

»Z listów księżnej Michałowej widać, że jest zupełnie szczęśliwa, listy księcia Michała są niezmiernie czułe. Do księżnej tą razą nie piszę, bo rozumiem, że już musieli wyjechać tu do rodziny. W Warszawie lub w Radziejowicach na nich czekać będę, żeby się z nimi obrachować i z opieki być skwitowanym. Gdzie moje siedlisko na starość założę, sam jeszcze nie wiem. O synowcach twoich Kossecki i Koszarski mają czułe staranie« i t. d.

Do historii Wołynia należy ciekawa postać Bartłomieja albo jak on sam siebie i drudzy go nazywali, Bartka Giżyckiego. W tym roku już poczęło się sławne jego z hrabią Platerem nieporozumienie, które przeszło w otwartą kłótnię i bój zjadły; oto list, w którym łatwo poznać i gubernatora i zarody tego sporu:

»Nie ma nieszczęśliwszego człowieka nademnie; mimo najszczerzych chęci usłużenia prowincyi, sam jeden nie dam rady, niepodobna, aby w którym zakącie świata więcej było egoizmu, jak na tej ziemi, nikt nie chce nic robić, proszę, łaję, tartasuję, a nareszcie i karzę, wszyscy przyjmują to z flegmą i mówią: A! Polak gubernator, nie ma się czego obawiać. — Między innymi pan Plater wielką gra rolę; od dwóch miesięcy nominowany wicegubernatorem, nietylko nie przyjeżdża, ale jeszcze kpi sobie. *D'abord il a commencé à faire le précieux et la petite bouche*, potem słaby pojechał do Krzemieńca chorować i stamtąd mi pisze, że się mnie nie boi. Ja nie potrzebuję, aby się mnie bano, ale gdzie

— 248 —

idzie o służbę, o dobro publiczne, tam nie wypada facecyj pisać i dawać racyi, że słaby. Bo kto przejęty jest prawdziwą cnotą, charakterem i nareszcie uczciwością, ten swoje najżywsze skłonności poświęci dla dobra kraju; a nakoniec i przyjaźńby zagadać powinna w poczciwem sercu. Ja sam jeden rzucony na to morze, już tak jestem skołatany, że mi ani sił ani zdrowia nie staje, takem się przemienił, że mnie ludzie nie poznają. Od dwóch miesięcy słaby jestem, jednak pracuję i orzeźwiam się, jak mogę. Spodziewałem się znaleźć w panu Platerze przyjaciela i pomocnika — próżna nadzieja. Dobrze to jest przysłowie: *gardez vous bien d'un homme qui n'a qu'une seule affaire dans la tête*.

»Gdzie gimnazjum, jak fura siana zajechała w głowę, tam ratunku nie ma, wszystko za nic pójdzie. Krzemieniec, Krzemieniec i więcej nic. Bardzo i ja kocham ten Krzemieniec i gdybym nie był publicznym urzędnikiem, zapewneby się do niego przywiązał, bo bardzo jest powabny i miły, ale i w Krzemieńcu o pocziwym człowieku nie zapominają, a przynajmniej zapomnieć nie powinni. Tam jest miła societa, a tu publiczna usługa.

»Tam proszą: a zostań jeszcze kilka dni, a wieczór jeszcze tam, a ówdzie balik; pamiętaj o nas; partykularnych komisów nadają, listów, rekomendacyj, wstawienia się, paszportów, podorożnych. A tymczasem zapominają, że człowiek, który się poświęcił dyabli wiedzą za co, wysycha od pracy. Upadam do nóg państwa, nie wiele takich durniów znajdziecie, a ten, któregoście najniewinniej złapali, jak drapnie, to go i piernikiem toruńskim nie zwabicie.

»O egoiści! egoiści! Boh z wami!

»Czemu Józio pocziwy, który to czuje i który przewiduje zdaleka, że ja niewiele będę miał pociechy z tego pana Platera, który podobno jest król wszystkich egoistów — nie przestrzegł mnie (pierwej? Oj widzę ja, że mnie czeka wielka bieda, ale cóż robić — człowiek jestem i chyba więcej może, jak drudzy.

d. 2 Stycznia 1817 roku«.

— 249 —

Z poufanych listów księżnej Sapieżyny we wszystkim, nawet w projektach dla postanowienia córki radzącej się przyjaciela, widać, jak ściśle dom ten z szefem łączyły stosunki. Z jednego z nich dowiadujemy się, że był projekt wydania książeczki za księcia Eustachego Sanguszkę. Księżna zapytywała o niego pana Drzewieckiego. W tym samym czasie śnać udawał się pan szef do generała Kropińskiego w interesach krzemienieckich, bo mu ten odpisuje z Woronczyna dnia 28 lutego:

»Co chcesz, panie, to dopełnić; o wszystkim, jak chcesz, będę mówił z księciem (Czartoryskim), bo i przyjacielskie rozkazy wypełnić i instytut, czyli raczej głowy naczelne instytutu sprostować radbym«.

W czerwcu Drzewiecki tam był w Radzynie, gdzie się chciał widzieć osobiście z księciem Adamem i podać mu memoriał o szkole krzemienieckiej, która go tak obchodziła. Zdaje się, że tego dopełnił, w papierach bowiem jest kopia noty, jaką miał podać, datowana w Radzynie 7 czerwca.

Nie możemy pominąć tak zajmującego materiału do historii tej szkoły:

»Środki, jakich użył Tadeusz Czacki do przywiązania obywateli Wołynia, Podola i Ukrainy do Instytutu krzemienieckiego, i co ten Instytut podnieść może.

»Wtenczas, gdy Aleksander zażądał najpiękniejszej dla panującego chwały: oświecenia kraju swojego, a J. O. W. Ks. mość obróciłeś cnotliwe usiłowania ku podniesieniu zatartej prawie oświaty w prowincjach dawniej polskich, do rosyjskiego przyłączonych berła, z twego, książę, natchnienia, szkoła krzemieniecka założoną została przez znakomitego obywatela, co wprzód, niż do tej był wezwany posługi, poświęcał się prywatnym pracom spokojność przywracającym jego w spółobywatelom, zapomniał o sobie, żyjąc dla kraju, a kochał dzieci utworzonej przez siebie szkoły, jak własną familią. Korzystał on natenczas prawie z rozpaczy rodaków swoich, bo ciągle nieszczęść krajowych pasmo zdawało się

— 250 —

grozić zagładą dla najważniejszej dla każdego obywatela potrzeby: wychowania dziecięcia swojego.

»Zaczynał od prośby, a przy prośbie przekonywał każdego o potrzebie, przerażał okropnością skutków, jeżeli ten cel dopiętym nie będzie. Ofiarujący najmniejszą cząstkę na to ważne założenie czuł się być twórcą Instytutu, którego pożytek, chwała nawet, na niego niejako i na potomków spadać się zdawała.

»Oto są przyczyny przywiązania się szczególnego obywateli do tej szkoły, to zostało źródłem wzrastających funduszy i tej obrony opinii, która w roku 1812 dopomogła Tadeuszowi Czackiemu oprzeć się przeciw złemu tłumaczeniu woli Monarszej i ocalić, przeciw usiłowaniom tak silnym miejscowego rządu, i sławę tej szkoły i tak ważne miejscowe zakłady, i to jest nakoniec źródło przywiązania, jakie w jej uczniach panuje dla ulubionego miejsca wychowania swojego.

»Utrzymać te tak ważne zarody przyszłej dla tej szkoły nadziei, zostawić obywateli w mniemaniu, że to dziecię powszechnej woli i usiłowań tych prowincyj zarabia na szczególną rządu opiekę, a dać może szlachetnej emulacji powód między ustanowieniami, które podniesienie światła i upowszechnienie jego mają na celu: jest dziełem godnym tych znakomych usiłowań, którym Polska winna będzie swoje z ucywilizowanymi narodami zrównanie, winna jest pierwsze w sercu Aleksandra dla siebie uczucie, a tym przyczynom winna być może następną swoją wielkość. Te to szczęśliwe marzenia obywatela kochającego ojczyznę swoją ośmielają mnie myśleć, coby jeszcze było potrzeba, aby szkoła krzemieniecka została tyle pożyteczną dla naszych prowincyj, ileby nią być powinna, aby wielkim celem J. O. W. Ks. M. odpowiedzieć mogła.

1. Zdaje mi się, że zatrzymać ten związek opinii między nią a obywatelami, jest rzeczą bardzo dla niej ważną; może być, że do otrzymania tego byłoby dobrze uformować dozorczą komisją, wybraną z pomiędzy najgodniejszych obywateli tych prowincyj, której celem byłoby

— 251 —

utrzymanie w całości i urządzanie dóbr i funduszy, wyzyskiwanie wspańałości obywateli, nowe onych powiększenia i urządzenie onych stosownie do woli fundatorów. Administracja bowiem funduszy zostawiona w ręku uczonych, odrywa ich od najważniejszych dla nich celów, zapala żądzę zbiorów, a w oczach mieszkańców osłabia winne poszanowanie tej tak ważnej klasie obywateli, która się dobru współczesnych i następnych pokoleń poświęcając, otrzymywać powinna od wdzięcznego jej narodu respekt i należyte swych potrzeb opatrzenie.

»2. Od lat dziesięciu słyszę o dwóch funduszach, pierwszy od JW. Olizara podczaszego koronnego, drugi od JW. hrabiny Platerowej z domu Rzewuskiej ofiarowanych na szpital przy szkole chirurgicznej wybudować się mający, lecz procent od tych sum płacić się ma od czasu założenia takowego szpitalu. Lat dziesięć procent od kilkukroć sto tysięcy gdyby był pobierany i użyty na budowę szpitalu byłby już do ukończenia jego dostateczny, szłoby tylko o prawo do rzeczy, to jest o jakiś mały fundusz do zacementa

szpitalu z jakiegokolwiek innego funduszu; po uczynieniu tego pierwszego początku pieniądze się zwrócą, a budowa dalej postępować może. Ufundowanie szkoły chirurgów i weterynarii stało się tak ogólnym obywateli marzeniem i tak ważną potrzebą, że nie ma najmniejszego zebranego zjazdu, żeby nie uważając nawet, jakim porządkiem iść trzeba, aby otrzymać skutek, nie

podawano próśb do każdego, kto ich chce słuchać, w tym dla nich ulubionym przedmiocie. Mówią ciż obywatele, że Krzemieniec dostarcza katedr na uformowanie umysłów i posunięcie narodowego oświecenia do najwyższego stopnia, a pierwsza społeczności potrzeba, mająca codzienny związek ze szczęściem mieszkańców, za którą woła cierpiąca ludzkość, która ma związek z podniesieniem się bytu kraju, przy obmyśleniu ratunku ginącemu co roku dobytкови rolnika, zapomnianą została.

»3. Nauki matematyczne są najważniejszą częścią, w jakiej się wydoskonalić w Krzemieńcu można; zdaje się, że

— 252 —

przystosowanie onych ku codziennej mieszkańców potrzebie i ozdobie kraju, zaświadczyłoby ten wpływ szczęśliwy, jaki ta nauka na cywilizację tych prowincyj otrzymać może. JW. Plater z funduszków uzbieranych założył katedrę architektury; dlaczego ona upadła, badać nie moją było rzeczą, lecz nie ma mieszkańca tych prowincyj, któryby w tej nie zostawał nadziei, że Akademia wileńska nie zniosła tej katedry w innym celu, jak aby uporządkowawszy rzecz stosownie do pożytków kraju i celów tak ważnego zgromadzenia, nazad ją Krzemieńcowi powróciła. Ale co do rysunków topograficznych, to te dotąd tak źle idą, że młodzież

się w służbę do wojennych polskich instytucyj, tej części nauki w Krzemieńcu odbytej za nic nie ma sobie policzonej. W tym roku JW. Olizar i JW. Mniszech dali do dyspozycji JW. Platera kapitału siedmdziesiąt tysięcy, spodziewam się, że onby go użył na tej katedry ustanowienie.

»4. Dotąd największa część młodzieży uczącej się w Krzemieńcu, jest z możniejszych kraju obywateli; korzy, stoją oni z pracy znamienitych nauczycieli i z talentów, które przez niepospolitych ludzi są dawane; przez wychowanie takowej młodzieży kraj zyskuje na oświecie, lecz idźmy do prawdziwego pożytku. Takowa młodzież wraca do dawnych siedlisk; nie zagnana potrzebą użycia talentów, a często nawet i umysłowych nabytków, zostaje ona najczęściej nieczynną w tej sferze, w której ją opinia i majątek pozostawia; tymczasem kraj napróżno oczekuje pożytecznych artystów, oczekuje ludzi, którychby byt osobisty był związany z ciągłą krajową usługą, którzyby się rozradzali niosąc światło w profesję rzemieślników, przystosowując je do kunsztów i ułatwiając przedmiot najważniejszy cywilizacji narodu. Nie między możnymi znajdziemy nauczyciela, co oświeci wieśniaka, chirurga, co go ocali, mechanika, co jego rolnicze ułatwi prace, architekta, co kraj upiększy i wygody jego zwiększy, malarza i snycerza, co zagrzebane u nas podniesie kunszt. Klasa ubogich ludzi zarabia, aby dla niej najwięcej ciągnąć pożytków z tych tak ważnych uczonych zakładów

— 253 —

od tych znakomitych nauczycieli i artystów, których dobroczynna J. O. Ks. Mości opieka sprowadziła do Krzemieńca. Przeto licznej i dobrze opatrzonej bursy dla ludzi ubogich o czekują prowincje nasze jako największego dobrodziejstwa, które nam książę uczynić możesz; w niej to zebrana masa młodzieży, którą ubóstwo rzuca na łono narodowej wspaniałości, od żadnych domowych nie zależąca stosunków, użyta do różnych przedmiotów w miarę postrzeżonych w nich celniejszych przymiotów, jedynie raz przyjętemu poświęcona przedsięwzięciu, przypomni ojczyźnie ową sławną krakowską bursę i odpowie celom takiego, jak JO. W. Ks. D., założyciela. Przechodzi mą możność i doświadczenie, abym mówił o urządzeniu onej, lecz jeżeli Krzemieniec jest najlepsza w naszych prowincjach szkoła, przy najlepszej zapewne szkole te dzieci kraju wychowane na jego usługę być by powinny.

»5. Idzie zatem o fundusze. Nie jest zamkniętą zapewne i hojność obywateli tych prowincyj ku tak świętemu przeznaczeniu. Daleki jestem od ducha prowincjonalizmu, lecz rad bym porównał powinności obywatela z uczuciami pocziwego człowieka: naprzód trzeba być sprawiedliwym dla swoich, zanim szlachetnym być przystoi. Te prowincje niosąc z ukontentowaniem fundusze swoje powszechnemu oświeceniu narodu, widziałyby z pociechą ułatwione te tak ważne miejscowe zakłady, któreby nas postawiły w stanie stać się krajowi użytecznymi. A kiedy jest losem tych prowincyj, że wspaniałość współczesnych i przodków daje im do tego potrzebne środki w masie ogólnej ich funduszków, nie czuły żeby się być opuszczone od opieki dobroczynnej W. Ks. mości, gdybyś pożyteczne dla nich widoki tak z dobrem publicznym zgodne, nie wziął za cel uwagi i usiłowań swoich?

»Są to myśli prywatnego człowieka, oparte jednak na mniemaniu wielu obywateli tych prowincyj; przynoszę je JO. W. Ks. M. z respektem, jakim każdy mieszkaniec prowincyj naszych jest przejęty dla tego, któremu oświecenie

— 254 —

działek naszych winniśmy, i gdy je odrzucisz, nie przestanę być równie szczęśliwy, dziękując Opatrzności, że nas Twoim powierzyła staraniom. Wtedy powiem sobie: obok dobroczynnych jego dla krajów ogólnych widoków żądania te upaść musiały.

»JO. W. Ks. dobrodzieja najobowiązańszy i najniższy sługa, obywatel powiatu krzemienieckiego

Radzyń, d. 7 czerwca 18 i y roku.

Józef Drzewiecki. «

Nie potrzeba się rozwodzić nad dobrymi chęciami człowieka, który taką notę jedynie przez gorliwość swą, nie będąc ku temu obowiązany, podawał. Szlachetne jego chęci z każdego widne są słowa; uczucie potrzeb szkoły niezmiernie trafne, uwagi sprawiedliwe, umiarkowanie wielkie, budzą ku niemu szacunek. Ciągłe to wreszcie niespokojne, niemal gorączkowe zajęcie się dobrem pospolitem, wybitne w każdej czynności, czyni Drzewieckiego jednym z najznakomitszych typów swojego czasu. Dziś już takich ludzi nie znaleźć, każdy myśli o sobie tylko, a na Opatrzność zdaje resztę, bo z tem najwygodniej.

Z teje daty jest list do Skibickiego pisany:

»Rozszerzać światło (powiada w nim), to duch panujący tutaj, a hasło i cel usiłowań pocziwych Krzemianczanów. — Proszę cię, powiadał mi książę, iż jest wyborny sztycharz w Warszawie, co sztychuje na kamieniu w miejscu blachy, i że ten kamień jest krajowy; zmiłuj się, tego kamienia przyszedł płyt z parę, będziesz ojcem krzemienieckiego sztycharstwa«.

Były to początki litografii, którą już chciał u siebie mieć zaprowadzoną Drzewiecki, i starał się zaraz gorliwie o to. Około 10 czerwca opuścił Radzyń, a pełne mając i tu serce i głowę swego ukochanego Krzemieńca, tak pisze jeszcze do pana Skibickiego: »Przeznaczony jestem do uporządkowania i wybrukowania Krzemieńca, chciałbym w tej

— 255 —

drobnej posłudze dać dowód, jak się chcę przyłożyć do dobra miejsca tego. Bruk położyć, to skutek możliwości i czasu, lecz radbym wprowadzać różne ustanowienia, któreby prawdziwie ku podniesieniu miasta tego służyć mogły i dały mu miasteczka rządne postać. Uważam, że po tak dużym przyпыłwie cudzoziemców i pożytecznej dla krajowców ich wędrówce wszystkie ustanowienia w Królestwie Polskiem zasadzają się na doświadczeniu własnem i zręcznem urządzeń zagranicznych przystosowaniu. Warszawa oprócz tego przeszła przez rząd pruski, znamienity dobrem miast urządzeniem. Chciałbym się z niej nauczyć najlepiej, jakie należałoby wziąć miary porządkowe do podniesienia miasta potrzebne. Proszę twej łaski, dopomóż mi w tem i każ skopiować rozporządzenia: 1. co się tyczy urządzenia cechów, gdzie i jakie prawidła są do nich i ich statuta; 2. jakie są prawidła utrzymania bruku; 3. jakie są środki dla umiarkowania wartości mięsa i chleba i jaką do tego przystępują drogą; 4. Jakich zachęt i jakich prawideł używają dla sprowadzenia i utrzymania zagranicznych rzemieślników..... Całą moją usługę ofiaruję temu miejscu, jako hołd mu winny za wychowanie tylu godnych osób naszej familii i tak dla mnie drogiego, jak ty, przyjaciela.

»Co do Towarzystwa dobroczynności i zachęcen, tośmy je zawiązali w czasie Wielkanocnym; nie posyłam ci statutu, bo jego egzystencya zaczyna się od potwierdzenia Monarchy. Plater je w Petersburgu prezentować będzie.....

»Położenie nasze i Warszawy jest różne. Warszawa potrzebowała oczyścić się z ubóstwa, u nas w kraju rolniczym ubóstwo w małym miasteczku próżniactwa tylko jest świadectwem. Gubernia w ogólności powiedziała sobie, że odpowiada każdy obywatel, jeśli ubogi zebrze nie w swojej wsi jedynie, od której żywiony być powinien, a ludność tak mała, jak Krzemieńca nie powinna się wyłamywać z tak ważnego ustanowienia. Wzięliśmy zatem za przedmiot fundowanie i uposażanie szpitalów, fundowanie burs dla nauki uczniów ubogich, podnoszenie przez wysyłanie w miejsca do

— 256 —

wydoskonalenia się sposobne osób, coby odkryły jakiś cenniejszy talent w sztukach lub zdolności do nauk okazały.

»Książd Cieciszewski i pani Branicka wezwani na prezydentów, a wszystko, co nasze prowincye mają najdostojniejszego i najbogatszego, na członków, reszta organizacji zostawiona zebraniu się pierwszemu po zatwierdzeniu Monarchy, a tymczasem Plater i Drzewiecki nominowani sekretarzami do utrzymania korespondencji i przygotowania projektów do następnego zgromadzenia. — Miejscem zgromadzenia się pierwszy raz Łuck zapewne będzie dla słabości biskupa, aby go nie trudzić; następnie Krzemieniec stał się siedliskiem.

Dalej obszerniej o tem jeszcze, co się podobno, powierzone Platerowi, rozchwiało, a w końcu: »Jest tu (w Radzynie) od dni dwóch książę Czartoryski, dzisiaj był minister Matuszewicz, z księciem wiele o Krzemieńcu mówiłem, nie śmiałem sam mówić o tobie, nie wiedząc, o co mu mówić mogę, lecz prosiłem księżnej, aby mu nagadała i t. d..... Książę pojutrze ma wyjechać, ja wyjadę dnia tego samego,.... ma się widzieć z Kropińskim za Brześciem« i t. d.

Widać, że i księżnej Sapieżynie powierzył pan szef starania o różne dla Krzemieńca pożyteczne wypisy, bo i ona mu o zebraniu ich donosi z Warszawy (28 czerwca): »Wyszukałam dla pana dzieła o szkołach naszego królestwa i dzieła praw. Pan Franciszek kazał przepisać rozmaite rozrządzenia administracyjne — powiesz mi pan, czy jesteś kontent z naszych zbiorów i czy jeszcze czego więcej żadasz; bardzo mi będzie miło uskutečnić jego życzenia«.

22 lipca z Puław odebrał szef wiadomość o urodzeniu księcia Witolda (w d. 6 t. m.), a zaledwie z powrotem do domu, w sierpniu, już go Giżycki wzywał na przejazd W. księcia i przyjęcie go z Ledóchowskim w Dubnie, a zarazem polecał mu księgę ofiar Siostr Miłosierdzia żytomierskich, bo wszystko musiało się opierać o niego.

Tymczasem z Radzyna za nim gonił list donoszący mu, jak tam czas przepędzano:

— 257 —

»Krzemieniec już się szczyci mieć go za marszałka; nie wiem, czyli nie więcej trzeba winszować Krzemieńcowi, niżeli Wpanu samemu. Powinszowanie moje JW. panu zatrzymuję do czasu skończenia urzędu; wtenczas dopiero, gdy się praca kończy i kiedy się widzi użytek z niej dla drugih, serce używa przyjemnej rozkoszy.

»Od dni kilku bawi u mnie w Radzynie pan Kropiński: jakże jego towarzystwo jest miłe! jego wesołość słodka nieznacznie ujmuję, zdaje się, że udziela swego dowcipu tym, którzy z nim rozmawiają, i każdy nabiera z nim rozumu. W dzień rozmawiamy, a wieczór czyta nam niektóre wiersze swoje, pełne smaku, dowcipu, wesołości i czułości. Bardzoby było przyjemnie pana Kropińskiego mieć za sąsiada — wiele z nim rozmawialiśmy o Wpanu, życzeniemy było dla mnie odebrać Wpaństwa obudwóch Wołyniowi i umieścić niedaleko Radzyna«.

Już z Drezna, dokąd się wyniósł, w sierpniu zgłasza się do Drzewieckiego listem generał Kniaziewicz:

»Szanowny przyjacielu!

»List twój przez pana Sobańskiego wręczony, z ukontentowaniem odebrałem; na każdy list poprzedzający odpisałem przez różne osoby przejeżdżające przez Drezno, a terazniejszy odbierzesz przez panią Swiejkowską, która mnie zaręcza, że go tobie sama w ręce odda.

»Z ukontentowaniem się dowiaduję, że się tobie, szanowny przyjacielu, dobrze powodzi, że Karolek i Helenka zdrowi i że już zaczynasz używać tej pociechy, która szczęście domowe stanowi na starość, kiedy komu nieba dobre dzieci dają. Nie dziwuję się bynajmniej temu, że dusza twoja czynna z energią się brukiem krzemienieckim zajmuje, któżby nie chciał należeć do tej budowli, której sławny Czacki fundamenta założył?

»Darujesz, szanowny przyjacielu, że komisu twego nie wypełnił, tyżącego się artykułu do gazet zagranicznych; wstrzymała mnie od tego następująca uwaga. Ofiara pana

— 258 —

Lerneta jest wprawdzie znakomita, lecz za to jest już wynagrodzony, jeśli w tem chluby szuka, gdyż czyn ten narodowi polskiemu przez polskie gazety znany, a i order dowodzi, że Imperator jego ofiarę ocenić umiał. Zagraniczne zaś gazety, którym nie jest wiadomo, jakim sposobem ten tak piękny instytut krzemieniecki swój wziął początek, które nie wiedzą, że większa część obywateli prowincyi tamtejszej, w miarę każdego możliwości, ogromne fundusze na ten instytut złożyła — Lernetowi całą chwałę przypisywałyby. Mnie się zdaje, że mówiąc w papierach zagranicznych o Krzemieńcu, imię Czackiego tylko wspominać się godzi, jako jedynego twórcy krzemienieckiego gimnazjum, i chętne poświęcenie Polaków w ogólności.

»O sobie donoszę, że zdrowie moje jest teraz tak dobre, jak dawno nie pamiętam, a to skutkiem jest wód karlsbadzkich. Miasto Drezno ma codziennie więcej powabu dla mnie; tu zapewne resztę dni życia zakończę. Za dni kilka wyjeżdżam, żeby część Niemiec między Elbą i Renem zwiedzić, w tej podróży zabawię do końca października, przez zimę w Dreźnie. Księżna Michałowa jest teraz w Poznaniu, zimę ma spędzać w Berlinie, gdzie ją za parę niedziel odwiedzę.

»Żałuję księżnę a szczególnie księżniczkę, że się dały wpłatać w taki pasztet« i t. d.

»Kolonja Polaków w Dreźnie codziennie się pomnaża: z Wołynia i Podola mamy państwa Jałowieckich, państwa Raciborowskich, księcia Ludwika Czetwertyńskiego i księcia Dymitra z żoną i córkami. Każdy, kto tylko tu przyjeżdża, naukom się oddaje« i t. d.

»Do wód karlsbadzkich każdego roku coraz więcej Polaków przybywa, prawie wszyscy kontenci z kuracyi powracają, rozumiem, że i tobie, szanowny przyjacielu, wody te bardzoby posłużyły. Jeżeli się na tę podróż zdecydujesz, to mnie dwojaką pociechę przyniesie: ciebie tamże uściskać i widzieć przyjaciela zdrowym, którego jak własne życie kocham.

z Drezna, 24. sierpnia 1817 roku

Kniaziewicz. «.

— 259 —

W październiku z Woronczyna zgłasza się do szefa Kropiński kilku słowami: »Skarżę ci się, żem słaby na bok od kilku niedziel: jak się wy tam macie? co robisz? co zrobiłeś? napisz kiedy«. Później nieco w listopadzie (28-go) znowu pisze do Drzewieckiego: »Stokrotne ci dzięki, panie, za wiadomość tak dobrą, tak pomyślną (?).....

»Słyszę, że formujesz towarzystwo muzyczne, chętnie do niego należeć pragnę. Jeśli cokolwiek bok mi ulży i śnieg ziemię przysypie, przylecę do Krzemieńca dla uściskania przyjaciela i podziękowania wszystkim, co się tyle interesowali księciem Adamem i mną łaskawie«.

Historia, o której tu tak pomyślną sztafetą przysłano wiadomość, była między księciem Adamem a Pacem, którzy skutkiem dawniejszego zajścia pojedynkować się z sobą mieli. Wiele ona naówczas robiła hałasu.

»Miałem już (dodaje Kropiński w innym liście) dniem przed twoją sztafetą wiadomość o aresztowaniu Paca i że obie strony na odpowiedź z Petersburga czekają, ale o zgodzie ani wzmianki, bo by o tej książę Adam sztafetą mnie uwiadomił; milczenie jego nawet jest skutkiem, że nie masz zgody, a może i jej nadziei. Ja ufam w Bogu i w przewłoce, która może upamięta Paca«.

Tymczasem w Krzemieńcu zabierano się do uroczystego obchodu żałobnego za Kościuszkę. Drzewiecki naturalnie przewodniczył temu, pierwszą myśl podał i układał jej wykonanie. Wzywał on generała Kropińskiego do uczestniczenia w obrzędzie i mienia mowy, na co mu w lutym odpisuje autor Adolfa i Julii:

»Tak jak jestem pocziwym, ta k szczerze chciałem i mojemu sercu dogodzić i przyjaciela żądaniu, mówiąc na egzekwiiach za Kościuszkę o jego cnotach, miłości kraju i całkowitem dla niego o sobie zapomnieniu. Już miałem napisaną mowę, ale czas krótki, który by mi nie wystarczył nawet do przyjechania na ten akt, i tysiączne inne moje i cudze interesa pozbawiły mnie prawdziwego ukontentowania. Czemuż przez Skibicką nie odpowiedziałeś na podany

— 260 —

ci mój projekt! czemuś mnie wprzód nie wezwał? Ale stało się. — Jak tylko ułatwię się z Puchalskim, który do Warszawy jedzie, a które go co godzina się tu spodziewam, tak natychmiast przyjadę do was, przyjadę do przyjaciela, któremu i za przyjaźń i za przyjazne wyrazy listu jeg o wdzięcznym zawsze będę i któremu w wzajemnej przyjaźni zawsze dotrwam. Nie uwierzysz, z jaką niecierpliwością oczekuję listów z Warszawy, z jaką ciekawością wyglądam tego Sejmu, który, ile mnie się zdaje, będzie miał wielki wpływ (może na później) do wielu odmian u nas i w Europie« i t. d.

»Jak się ten smutny akt odbył? a tu co się w Żytomierzu porobiło? czy będziesz ciągle w Krzemieńcu? Czy zabawi jeszcze Wielhorska? wszystko ja bym to rad wiedział. Biletu na członka muzycznego nie przyjąłem, bo nie wiem, czy się wam zdam do tego, ani też jaki jest cel towarzystwa. Odkładałem to do widzenia się z tobą.

»Pisałem najgoręcej do księcia Adama prosząc go, aby mógł być wtedy na Wołyniu, gdy Cesarz będzie. Ze wszech miar dobrzeby to było, ale wątpię, aby on wtedy mógł być«.

Jak się obchód żałobny odbył, poczęści nas uwiadomi list Drzewieckiego do Skibickiego pisany, w którym wszakże opisu szczegółowego braknie:

»Posyłam ci opisanie dnia obchodu Kościuszki, który tu był dopełniony dnia 28 lutego, prosząc cię, abys zalecił umieścić w Gazecie Warszawskiej, jeżeli jeszcze umieszczonem nie było. Nie uwierzysz, z jaką się to odbyło wspaniałością, z jak znamienitych osób publiczność złożoną była, jak czysty duch miłości cnoty skromnej, a krajowi pożytecznej zdawał się zstępować od cieniów bohatera do serc zebranych współobywateli jego, jak szła jałmużna z ochotą, jak jej użycie nastąpiło przystojne, jak to dobrze zakończyło dni rozrywki. Z pociechą donoszę tobie o tem i każdemu Krzemieńczaninowi, bo to był najlepszy świadek dobrego ducha, jaki zajmuje prowincje nasze, a w naszym miasteczku zdaje się mieć ognisko. Teatr towarzyski dwie dał nam reprezentacje, a bardziej dwie próby dobrego gustu i znajomości

— 261 —

osoby grające okazały. Jak też grała Swiejkowska w francuskim, jak Julka Czacka spełniła swą rolę, jak Anusia Karwicka okrasiała pięknoscią! W polskim Czarnecka zdawała się zapewniać scenę polską, żeby ją wzniosła, gdyby to jej zostało przeznaczeniem. Jak grali Olizar, Zbijewski i Czaccy, jakie narodowość sceny na publiczności uczyniła wrażenie! a ta publiczność złożona prawie cała z osób, którym najlepsze europejskie sceny obcemi już nie były, przecież zupełnie odchodziła kontenta. Pierwszą reprezentacją dano gratis, druga służyła na wsparcie nieszczęśliwych i sto trzydzieści dukatów uczyniła biednym, a jak dobrze była użyta! Chciałbym mieć cię świadkiem, a do pociechy, jakabyśmy mieli z przytomności twojej, dołączyć i tę, jakaby na twej pocziwej widać było twarzy. W ten moment pan Rzyaszewski był u mnie, kazał mi cię upewnić, że ukończy w tych dniach zupełnie organizacyą Towarzystwa i przesłał ci, abys ją księciu przedstawił, ponieważ w wyborze osób staramy się być trudni, dotąd nie idzie to z wielkim popędem, ale idzie jednak dobrze«.

Dochód z tych przedstawień przesłany został księciu biskupowi Cieciszewskiemu, który następnym listem Drzewieckiemu podziękował:

»Z niewymowną pociechą miałem honor odebrać razem dwa listy JW. pana dobrodzieja, w których czytałem najprzyjemniejsze i najmiłsze doniesienie, iż szanowni obywatele z wielu gubernij na obchód żałobny wielkiego w dziejach świata bohatera Tadeusza Kościuszki za przewodnictwem jego w Krzemieńcu zebrani, oddając cześć prawdziwej zasłudze i dowodząc ducha narodowego, który ożywia cnotliwe serca i zajmuje ich umysły, zrobili znaczną jałmużnę dla wsparcia i pocieszenia cierpiącej ludzkości. Część znaczna rzeczoney jałmużny na moje ręce przesłana, a na dniu wczorajszym odebrana, użyta będzie podług najświętobliwszych chęci tego zacnego obywatelstwa.

»Jakoż JW. panna starościanka Polanowska odebrała już przeznaczone dla ubogich sierót pod opieką jej będących

— 262 —

cz. zł. 20 i równie kwota cz. zł. 50 rozdana zostanie na dobroczynne uczynki i opatrzenia miejscowego ubóstwa, a szczególnie wdów nieszczęśliwych i sierót potrzebujących wsparcia. Szczęśliwy powiat krzemieniecki, że w osobie JW. pana dobrodzieja ma tak szanownego urzędnika, który dni swojego urzędowania uświetnia szlachetnymi cnotami odnawiającymi pamięć miłą przodków naszych, pełnych wspaniałości i dobroczynności.

»Przyjmij JW. pan dobrodzieju hołd ten należny cnotom swoim i racz być tłumaczem wdzięczności i uszanowania mojego dla czcigodnych obywateli naszych, zaszczycających mnie łaską i ufnością swoją: to zaś oboje mam honor szczególnie oświadczyć JW. panu dobrodziejowi, przy złożeniu mu najczulszego podziękowania za przysłane mi programy dnia tak pamiętnego, w którym tak łaskawie wspomniany zostałem. Winienem to wspomnienie JW. pana dobrodzieja łaskawej dla mnie przyjaźni, której się na zawsze oddając, mam honor być z Wysokiem poważaniem JW. pana dobrodzieja najniższym sługą

dnia 16 marca 1818 r., Luck.

Ks. Cieciszewski B. Ł. Z. «

Sprawa pojedynkowa z panem Pacem nie była jeszcze ukończona; osoba, którą to z bliska obchodziło, tak o niej panu Drzewieckiemu donosi w lutym 1818 roku: »Nie wiem, co los zdarzy z nami, bo żadnych rozsądnych mniemań nie można czynić. Wszystkie prawa honoru, wszystkie prawa rozsądku są obalone przed tworem dziwnym, który łączy w sobie dumę, głupstwo, złość, upór i niestałość.

»I cel tego człowieka i działanie jego, wszystko jest zagadką: chce się bić, a kiedy mu ofiarują się bić, nie przyjmuje; chce się zgodzić, a kiedy mu ofiarują pośrednictwo najznakomitszych wojskowych, krewnych i przyjaciół jego, odrzuca wszelkie układy, bawi się tylko ciemnem i skrytem szkalowaniem, rozsiewaniem bajek, pisanem listów. Powszechnem

— 263 —

mniemaniem militarnych, którzy znają ten spór, jest, że nie ma żadnej przyczyny honorowej przymuszającej do pojedynku i że z honorem całą rzecz można ugodzić dla obudwóch stron. Jenerałowie: Grabowski, Staś Potocki i Mokronowski, najznakomitsze teraz osoby w Warszawie i wojskowości, chcieli ułożyć ten interes, lecz dziwoląg odrzucił pośrednictwo słusznych ludzi, wyjechał i tylko szkalujące listy pisze... Takie dziwaczne postępowanie wzbudza zadziwienie i pogardę. Sądzę, że dla dogodzenia głupiej dumie będzie czekał, żeby aż N. Pan godził go. Nie można wiedzieć, jaki wystrzał wyleci z takiego serca i z takiej głowy.

»Ja mniemam, że osoby nieprzyjazne zięciowi memu zręcznie pod ręką podburzają tego człowieka, który sam nie wie, że się stał instrumentem tych, którzy chcą wytepić, co jest cnotliwego....

»Bardzo będę Wpanu wdzięczną za przysłanie mi książeczki o magnetyzmie, mamy i tu jedną śpiącą-widzącą, lecz niewiele rzeczy ciekawych wyjawia. Żal czuję, kiedy mi Wpan wspominasz o Krzemieńcu, żeśmy tego roku nie byli tam, przedsięwzięcie było stałe, wszystkie przygotowania zrobione do podróży, nieszczęśliwe zatargi z panem Pacem wstrzymały nas. Zięć mój bardzo żałuje, że nie był w Krzemieńcu, dla jego serca byłoby bardzo przyjemnie, gdyby widział, że go kochają i sprawiedliwość mu oddają.

27 Lutego 1818 w Warszawie«.

W marcu jakoś chorował tego roku Drzewiecki, może ze znużenia, gdyż go jako urzędnika wysłano z przykrą misją do śledzenia jakichś nadużyć w Radziwiłłowie; w czerwcu spodziewano się księcia Czartoryskiego i Giżycki wezwany, tak odpisywał szefowi, swoim stylem i zwyczajem:

»Trzy listy odebrawszy o przybyciu księcia, nie wiem, jak się decydować: od Kropińskiego 30 maja, że za 10 dni książę do Woronczyna spodziewany, gdzie kilka dni zabawi, a potem w Krzemieńcu będzie; od ciebie, że na 8go oczekujecie, a od Niemcewicza 10 czerwca, także z Woronczyna,

— 264 —

w którym mi nic o księciu nie donosi. A że nieraz już ta bytność obiecywana chybiła, więcem ja się wstrzymał, czy nie będę miał lepszej pewności, i dla tego chyba 18 junii do was przyjadę.

»Boję się mocno, żebym Katyliny (tak nazywał Giżycki hrabiego Platę) nie zastał i nie był molestowany, tak jak w Żytomierzu, abym się z tym prałatem godził. Naprzód ja się z nim nie kłócę, cierpię biedę tyle, ile mi natura pozwoliła, sam się gryzę, co nikomu nie szkodzi, lecz wyżej z przedstawieniem nie wchodzę, bo by już dotąd inny był skutek, jak ten, co z donosów czyli z delacji pochodzi, i jegomość dawnoby już był pod sądem, gdybym tylko w piórko dmuchnął. Kiedym dotąd tego nie zrobił, kiedy wszystkie dolegliwości, które mi P. Plater naniósł, z największą cierpliwością znoszę, robię największą ofiarę z siebie, zostawieć mnie przynajmniej w wolności przyciskania do serca tego, kogo ja szanować mogę, i nie wymagajcie odemnie tego, co jest przeciwko naturze mojej. Do ciebie się uciekam, godny i szanowny przyjacielu, żebyś mógł tak to zręcznie ułożyć, iżbym ja się na obiedzie albo gdzie na schadzce z tym człowiekiem nie zdybał, a tymczasem broń mnie od im petycji wszelkich przed księciem. Ja nic nie chcę, nie żądam i o nic nie dbam, tylko o dobrą opinią osób cnotliwych, dam tego wkrótce dowody niezawodne. Umartwienia, które ponoszę, wskroś mnie przeszywają, najnieszczęśliwszy człowiek jestem i tem więcej nad tem boleję, że najniewinniej cierpię. Nowe umartwienie pokażę ci i sam osądzisz, czy ja już dalej wytrzymać mogę.

Żytomierz, dnia 12 czerwca«.

W lipcu tegoż roku książę Adam i Niemcewicz odwiedzili Krzemieniec, jak się z innego listu Drzewieckiego dowiadujemy.

Giżycki zawsze unikał Katyliny, który we wrześniu przebywał w Dąbrowicy, spór ich coraz się rozjątrzał, a zgoda stawała niepodobieństwem.

— 265 —

Z 12 grudnia 1818 mamy jeszcze kilka słów generała Kropińskiego:

»Przez jadącego Chodakowskiego muszę choć kilka słów napisać do milczącego przyjaciela. Czy się nie gniewasz na wzór twoich sąsiadek, że się nie zatrzymał w Krzemieńcu? choć tyle miałem powodów największego pośpiechu. Nie spodziewam się jednak, abyś z podobnych przyczyn o zmianę lub oziębłość przyjaźni mnie posądzał. Nie wiem, kiedy się zobaczymy, bo przyznaję ci się, że tracę ochotę do Krzemieńca.

»Co masz o Cesarzu? czy będzie w Krzemieńcu, donieś, ja myślę, że się moment wielkich odmian zbliża..... Ściskam szanownego przyjaciela i opiekuna czynnego Krzemieńca. Vale et ama. *Kropiński*«.

Niez mordowany w pracy Drzewiecki ciągnął dalej w 1819 uporządkowanie ukochanego Krzemieńca. »W ten moment (pisze w maju) walą sklepienia krzemienieckie, które ogniem groziły liceum; wypracowawszy tę ruinę, na pociechę skłopotanej myśli zamknąłem się, aby długi list do ciebie napisać. My tu, jak dzieci natury, walczymy z chatami i szałasami, a co gorzej, z nieszczera o nich wiadomością mieszkańców i opowiadamy pożytki, których oni nie rozumieją, bez którychby się obeszlą, a dla mieszkańców, którzy być mają, klócimy się z tymi, którzy są teraz. Oni tu na mnie patrzą, jak na zdobywcę, co niszczy i któremu ulec trzeba, gdy go pokonać nie można, lecz spodziewam się, że choć mnie przeklinają teraz, oswoją się z porządkiem i później mi złorzeczyć nie będą. Słuchajmy cierpliwie, cieszymy się nadzieją, a gdy powinność wzywa, róbmy zło, byle dla dobrego. Po dwóch latach walki z okupującymi się Żydami wyгнаłem na koniec ich brudne jurty i walą ich dziś bez litości. Oczyszczę zatem część niższą rynku i wybrukuję natychmiast, lecz o to mniejsza. Brukujemy i rozszerzamy ulice, budują się niezmiernie, choć jeszcze nie bardzo

— 266 —

dobrze. Oczekujemy zatwierdzenia planu Krzemieńca, w lat kilka już będzie miastem, a teraz jest wołyńskim liceum. To słowo, jak elektryczna iskra, ożywiło publicznego ducha; wychowywać troskliwie dzieci jest hasłem powszechnem obywateli, a mieszkać w Krzemieńcu chęcią wielkiej ilości rodzin Wołynia i Podola. Więc pod stopami suchej i skalistej góry, na miejscu, na które handel poglądałby ze wstrętem, w którym rzemiosła w pierwiastkowym zostały stanie, dane schronienie naukom czarodziejską siłą wznosi

miasto, sprowadza najcelniejszych obywateli, a handlowi i rzemiosłom otwiera obszerne pole i to w biegu tak krótkim lat, bez prostego wpływu rządu.... Wiesz, że szkoły parafialne są pod bezpośrednim wpływem marszałków, ja chciałbym w tym powiecie obrócić je w szkoły lankastra, rzucę się na wszystkie strony, aby można to dobrze zrobić. Lecz Warszawa jest nasza matka, radbym wiedzieć, na jakiej stopie jest u was ten tak szczęśliwy nauczania środek, czy rząd już pracuje nad jego rozszerzeniem, czy doświadczenie już usprawiedliwiło złożone starania, jakby można dostać kogo, coby u nas podobne urządzać był w stanie. Zacząlbym od zrobienia pierwszej w Krzemieńcu, coby było najłatwiej....

»Pisałeś mi mój drogi, że nam wyrobić możesz do Sali zebrania się szlacheckiego portrety księcia Namiestnika i generała Kościuszki, wykonaj obietnicę twoją, pan Glücksberg przyrzekł mi je wykupić i dostawić....

»Cóż to za masa osób dobrego towarzystwa napełniała Krzemieniec w ubiegłym karnawale! lecz świetniejsze jeszcze obietnice na przyszłą zimę czynić sobie możemy, może też i ty nas odwiedzić zechcesz? Na lato nas opuszczają wszyscy prawie, pani Czacka, księżna Sapieżyńska wyjeżdżają do wód, Malczewscy do domu dla córki przybycia, Pius do wód za granicę«.

W sierpniu tegoż roku B. Giżycki nakłaniał obywateli, aby podrady dla wojska sami na siebie wzięli, co podobno niefortunnie skończyło się później stratami.

— 267 —

Drzewiecki dnia 1 września wprowadzał na dyrektorstwo liceum Alojzego Felińskiego. »Dnia i septembra wprowadzenia autora Barbary na dyrektora naszego (pisze) chciałbym cię mieć świadkiem; nim się ten dzień zaczął, przyjaciel twój w trwodze noc przepędził. Ledwo strudzony przygotowaniem świetności dniowi temu, wróciłem do domu, kiedy wszedł Feliński i Wyleżyński z rozkazem, abym nazajutrz mówił. Mówić obok Osińskiego, obok Felińskiego, mówić mnie, com się nigdy na to publicznie nie odważał, był to przestach dla mnie. Z pokorą ci posyłam, com tam mówił: Osiński przemawiał czule i logicznie z pamięci i zachwycał myśli doborem. Feliński bał się być poetą: w zwiezłych peryodach z surowością urzędnika karcił wady, opowiadał cnoty i złożył porękę w rękę Boga u ołtarza tym na siebie włożonym obowiązkom, które obejmował. Między te dwa ognie wzięto mnie z obywatelskim przemówieniem, bez wprawy i czasu dość długiego, aby przemyć to można, com powiedzieć zamyślał. Opowiadał Wyleżyński zwięźle, logicznie i dokładnie historią Krzemieńca pod względem wychowania, Podhorodeński celebrował. Był u mnie mnogi obiad, bo do dwóchset osób; był na nim Bogusławski, chodząca historia przywiązania do kraju w sercach naszych. W ciągu obiadu przypadkiem muzyka zagrała arya: *Nie ci mnie daję, którzy są* etc. Przeczuto autora, oklaski i łyzy towarzyszyły publicznemu toastowi. Łza czułości widziana była w oku ojca polskiej sceny i tak dobrego obywatela, który nas dni parę jak opuścił, ma jednak powrocie tutaj. Potem był bal równie ludny, jak wesoły, a współobywatele Wołynianie pięknym transparentem uwieńczyli dzień poświęcony autorowi Barbary i otwarciu nauk liceum wołyńskiego. Teraz pracujemy wszyscy, każdy w swojej części: ja brukuję, wydobywam domy, odkopuję żyły marmuru wielu kolorów, pięknego gatunku, który zdawał się leżeć w głębi gór naszych, aby się doczekać znakomitych ludzi, dla którychby go poświęcić można. Zdawałoby się, że jesteś

— 268 —

za czasów Czackiego, tak się wszystko podnosi i pragnie wydoskonalenia!

»Wpływ dobroczynny i opieka kuratora otrzymują najświetniejsze skutki, a ta opieka jest prawdziwie ojcowska, prawdziwie obywatelska dla nas, niech Bóg strzeże szczęścia i zdrowia jego i domu całego«.

W ostatnim liście z tego roku jeszcze kilka wiadomości o Krzemieńcu:

»Nasze życie idzie tu zawsze jednym biegiem, tak że oprócz powiększającej się budowy zdaje się, że nasz pobyt w każdym roku na jedną formę jest odlany. Byt Felińskiego ożywił część naukową, a tem bardziej literaturę — widoczny jest postęp, nie ma posiedzenia, żebyśmy tu ciebie nie wspominali«.

Ale niedługo cieszone się Felińskim; z jednego z mnogich z 1820 roku listów B. Giżyckiego, z urzędu i potrzeby serca znoszącego się z Drzewieckim, w lutym dowiadujemy się o jego nagłej prawie śmierci:

»Płacz i łzy moje nie pozwalają mi opisać smutku, jaki ponoszę z odebranej nieszczęśliwej wiadomości o śmierci kochanego Felińskiego naszego. Jest to nieszczęście dla Krzemieńca, nieszczęście i dla całej prowincyi, które żalobą nas wszystkich okrywa«.

»Jedzie pan Michałowski (dodaje w następnym liście Giżycki) od nieszczęśliwej wdowy kochanego Felińskiego do Krzemieńca z plenipotencją do zabrania nie rzeczy, ale papierów, a najszczególniej manuskryptów, do których wieleby się amatorów znalazło, żeby się cudzym rozumem chwalić. Dopomóż mu tam silnie i nie daj krzywdy zrobić«.

Drzewiecki pełen zawsze czci dla zasługi, przy spisywaniu pozostałości po Felińskim prosił o pozwolenie wzięcia siedmiu piór na pamiątkę po autorze Barbary dla rozesłania ich znakomitszym zmarłego przyjaciółom. Zrobiono to uroczyście, a akt podpisał zięć Felińskiego pan Edmund Michałowski, prefekt A. Jarkowski, dawny nauczyciel zmarłego

— 269 —

X. Julian Antonowicz, syn Alojzego Tomasz, Ignacy Jankowski i Kruczkowski.

Na pociechę po tej stracie przyniósł Pan Bóg chciwym wrażeń i dźwignienia Krzemieńca sławną naówczas śpiewaczkę Catalani, która przyjęcie swe tutaj całkiem winną była Drzewieckiemu. Jenerał Czyż (Jan) naprzód ze Lwowa dnia 27 lutego zgłosił się do pana szefa, proponując przybycie śpiewaczki, jeśliby jej z koncertów około tysiąca czerwonych złotych zapewniono. Sumę tę śnać marszałek zaręczył, gdyż jak wiemy, pani Catalani przybyła do Krzemieńca, gdzie (około 10 marca) z entuzjazmem przyjętą była. Tradycja do dziś dnia pozostała o uniesieniu, z jakim nasz legionista śpiewaczce wysiadującej z powozu dla suchego przejścia własny płaszcz rzucił pod nogi.

Jedne z ulic urządzającego się naówczas miasteczka nazwano na pamiątkę ulicą Catalani.

Razem prawie wezwani zostali marszałkowie do Żytomierza na przybycie senatora Baranowa. W tym roku urząd swój marszałkowski złożywszy, mając już dorastającą córkę, to swemi, to cudzemi interesami, to wychowaniem dzieci zajęty ciągle, szef podróżował i pracował w inny sposób, bo odpocząć nie umiał.

Oto ułamek z listu d. 10 sierpnia do córki pisanego:

»Wczoraj przejeżdżał przez tę okolicę (Sieniawę) Cesarz, któregoście jadącego przez Zaborol (Czarneckich) widzieli zapewne; z jego tu przyjazdu nic nie donoszę, bo nic nie słyszałem. Wczoraj miałem okropną wiadomość z Antonin księcia Eustachego Sanguszki. Była tam pani Alfredowa Potocka i pani Rzysszczewska; ułożono przejażdżkę batami na wodzie, dla muzyki nie było baty, zbito zatem dwa czołna: wtem w środku stawu jedno czołno z siedmiu ludźmi zatoniło w oczach tych dam. Byli to Czesi, pięciu muzykę składających, dwóch domowych froterów. Kapelmajster miał trzech braci, którzy wszyscy w oczach jego utonęli; rozpacz tego człowieka okropną tę scenę jeszcze powiększała«.

— 270 —

List ten do córki, jak wszystkie, pełen jest najgruntowniejszych przestróg i uwag z troskliwością ojcowską nieustannie powtarzanych. W sierpniu posłał Drzewiecki po córkę u babki przebywającą, panią Delarbre, ale nim się z nią połączył, ciągle za każdą sposobnością pisał nieustannie, to muzykę, to rysunek, to nauki jej przypominając, nie zapominając nawet przepisów zdrowia. Są w tych listach rodzicielskich pełne głębokiej prawdy natchnienia.

»Od czasu (pisze w jednym z nich) jak się poświęcono wyłącznie odkryciu tajemnic natury nas otaczających, postąpiono w naukach, stracono w tęgości duszy i zacności obyczajów. Zdaje mi się, że nauki w ogólności nie powinny służyć tylko za narzędzie do podniesienia wyżej nauki, serca i umysłu człowieka i jeżeli nas nie uczynią lepszymi, szkodliwym społeczności mogą zostać podarkiem. Pierwsze i naturalne poruszenie nasze jest obawiać się cierpień i żądać szczęścia. Szkoła zatem dobrego życia i środki otrzymania szczęścia, ile tylko to nabyć się daje, jest najważniejszą, zdaje mi się, nauką. Przeszedłem różne życia koleje; nieczyją od dzieciństwa nie prowadzony ręką, nie znałem, co to jest przyjazna rada, aż w wieku, gdy już zarobić sobie mógł przyjaciela Wypiłem niejeden gorzki kielich, ślizgałem się nieraz między występkiem i cnotą i kiedy ze drżeniem wspominam o przeszłości, o! jakże radbym, aby wasze takie nie było położenie; żebyście wprzód opatrzone być mogły, kochane dzieci, w paszport rozsądku i oświadczenia, iżbyście od tego zaczynać mogły punktu, na którym ja zapóźno stanąłem...«.

W końcu roku jeździł z Sieniawy Drzewiecki na Ukrainę i w listopadzie powrócił tam nazad z powozem całym ostawionym krzewami i szczepami do juśkowieckiego ogródka.

Do historii Wołynia doprawdy ciekawe są te impetyczne listy Bartka Giżyckiego, który gorąco czuje i nie umie też chłodno wyrażać, kiedy go co dojmie.

»Mój Drzewiecki (pisze w maju 1821 roku), nie trzeba cię prosić za Worcelami, bo wiem, żeś ich przyjaciel, więc

— 271 —

tylko do serca twego dobrego zakolać i zapukam, abyś ich dusze uwolnił z czyścica czyli z komisji (chodziło o sumę jakąś licealną). Opowie ci JW. Worcelowa, co tu Ledóchowski wyrabia: mając domy dworzańskie, żadnym sposobem do nich przenieść się nie chciał, osobiście do tego, który po wyjeździe pana Platera stoi próżny, a że cały korpus staje w Żytomierzu, kwaternicza komisya naznaczyła dom Andrejowa, który on zajmuje. Już kwatremistrze przyjechali i dla jenerała Rotta ten dom przeznaczili. Pisma, hałas wielki powstały: w niebytności mojej Pruszyński podpisał żurnał (dziennik) w gubernskim rządzie, aby L. oczyścił dom dla jenerała. Opozycja wielka następuje. L. pisze do mnie głupstwa, że ja nie słaby jestem, że w przykazie nie bywam, że po ulicach chodzę, obiady daję i na wesele Ochockiego jeżdżę. Ja zbieram szlachtę znajdującą się w Żytomierzu, odkrywam działanie nieformalne L., wszyscy idą w liczbę czterdziestu osób, na czele ich obydwa prezosiowie i marszałek Morzkowski, gromią jego postępkę, piszą adres do niego, aby poprzestał tak nieprzyzwoitych czynności. L. przyrzeka, że mnie przeprosi, że papiery odbierze, że więcej pisać nie będzie póty, póki się ze mną nie objaśni: zdawało się, że wszystko skończono. Karwicki na obiad na dzień drugi prosi, a wieczór widzimy się z L. u Karwickiego. Aliści na drugi dzień rano L. podaje papier do rządu, że się nie wyniesie z domu Andrejowa, na co rezolucję odbiera już za moim podpisem, iż ten dom już naznaczony dla jenerała uwolnionym być nie może, a policji potwierdzenie, aby spełniła ukaz. Dworzaństwo znowu do niego idzie, perswaduje, a nareszcie smutne prawdy o jego uporze i nieprzyzwoitości wymawia. Pruszyński swój dom odstępkuje, kiedy nie chce w dworzańskim stać — nic nie pomaga; oświadcza, że chyba go na rękę wyniosą. Karwicki odprasza go od obiadu i całe

dworzeństwo oświadcza nieukontentowanie za moją flegmę. Tymczasem policja przystępuje do oczyszczenia domu, L. znowu do mnie pisze, ja odpisuję, na koniec zjeżdża już pułkownik kwatermistrz i oświadcza,

— 272 —

że generał co moment spodziewany, a kwatery nie ma, idzie do L. i powróciwszy, znajduje go bez edukacji grubianinem. Stawia mu karaul z bębni; jak wprowadził barabany, L. wszedł do karety i wyjechał, na wyjeździe oddaje klucz od domu pułkownikowi, który mu odpowiada, że nie jest jego szambelanem, a może oddać komu innemu. L. przejeżdża do jakiegoś domu, w którym także postój naznaczony, a zatem stamtąd ruszać znów potrzeba. Takie to ja nieprzyjemności znosić muszę, piękna zabawka».

We wrześniu Kropiński powróciwszy z Puław, pisze jeszcze do Drzewieckiego o sobie mu donosząc:

»Wszystko się zmienia na świecie, kiedy i Drzewiecki o swoich przyjaciółach zapominał. Musieliśmy na tę karę zasłużyć, wszak tak? Dopełniając szanownych kolegów poleceń, byłem w Puławach dla widzenia się z księciem i polecenia mu funduszków tutejszych prowincji i Krzemieńca. O tem wszystkim będzie pamiętał i zrobi zapewne, co tylko w tem będzie do zrobienia. Musisz wiedzieć, że byłem bardzo słaby na oczy, a w Puławach najgorzej zapadłem. Sprowadziłem okulistę sławnego, pana Angel, który mi wiele pomógł i bez którego za kilka tygodni byłbym wzrok stracił. Kurację kontynuuję, zresztą Puchalski ci powie, co już nie dopiszę. Jakiście kom plet ułożyli, donieś mi; kończę pisać, bo mi nie wolno, a muszę jeszcze....

29 września 1821 roku«.

Ciekawym być tu może nekrolog generała Zakrzewskiego, który w papierach szefa pod tą datą znajdujemy:

»W swym dziedzicznym mieście Starej Sieniawie, w gubernii podolskiej, powiecie lityńskim umarł JW. Stanisław Eustachy Zakrzewski, generał-adjutant, w roku 98 życia swego. W pracowitej i czynnej młodości nosił broń na obronę kraju, w czasie koronacji Stanisława Augusta już krajowi znany, zarobił, że go znamienity autor dzieła o Anarchii swoim zaszczycił wspomnieniem. W roku 1763 dnia 3 nowembra pojął za żonę Maryannę Pietruszewską P. M.; w cnotliwym

— 273 —

z nią pożyciu dwie tylko dorosłe oglądał córki: Annę księciu Mateuszowi Radziwiłłowi i Różę Gostyńskiemu, marszałkowi gubernskiemu, zaślubioną, a w wieku młodym bezpotomnie zmarłą. Nominowany generał-adjutantem królewskim w roku 1767 dnia 31 marca, a buńczuczny przy hetmanie koronnym 1775 roku dnia 15 stycznia, był zawsze czynnym i znamienitym obywatelem, gorliwością dla kraju, sprawiedliwością w towarzyskim życiu, hojnością dla nieszczęśliwych, a przykładną bogobojnością zyskał powszechny szacunek i liczne błogosławieństwa otaczały cnotliwe dni jego. Fundator wielu ubogich klasztorów, aż do grobu poniósł uczucia ludzkości przychylne, wzywając testamentem swoim sukcesorkę do wystawienia i opatrzenia jednego klasztoru Sióstr Miłosierdzia, a nowe i znakomite ofiary dla wielu klasztorów ubogich zapisał. Błogosławiła Opatrzność prawym jego zabiegom, hojna jałmużna nie przeszkodziła mu do uczynienia przy cnotliwym życiu znamienitych zbiorów, które go w rządzie możliwych obywateli postawiły. Oddawszy w zamęcie córkę swojemu księciu Mateuszowi Radziwiłłowi, cieszył się wnukiem, co w kwiecie młodości, kiedy mógł zostać kraju nadzieją, umarł na łonie dziada, co w nim całe swe szczęście położył. Bronił się, jak chrześcijanin, Eustachy Zakrzewski żalowi, jaki go ucisnął, lecz serce tej obrony nie przyjęło..... Odtąd cierpienia same z religijną uległością woli Najwyższego znoszone, cechowały ostatnie dni jego..... Księżna Anna Radziwiłłowa, wzorowy miłości przykład, zagrzebawszy świetną młodość w usługach jego, co tylko serce dziecięcia, ofiara przyjaciela i uniesienia szlachetnej duszy uczynić są zdolne, wykonała w ciągu jego późnej starości. I stuletniego ojca z rozpaczą zamknęła powieki..... Świadek najpamiętniejszych w kraju zdarzeń, schodził poważny starzec z przytomną sercu swemu przeszłością..., towarzyszył młodości księcia Zajączka i przyjaciel do grobu....

»Tak w dniu 21 lutego w roku 1822 umierał ten, co okres wieku za swoje życie policzył, a jeden z niewielu, co ostatniego z obieralnych królów obierał«.

— 274 —

Szef dopełniając ostatniej powinności, ciało generała Zakrzewskiego odprowadził do grobów w Horodyszczu pod Zaslawiem u Karmelitów, gdzie i zwłoki księdza Marka spoczęły. Po powrocie długi czas jeszcze dla interesów księżnej Radziwiłłowej bawił w Sieniawie. W marcu niezmordowany jeszcze pojechał do Wilna, gdzie daleko od rodziny przepędził święta Wielkanocne. Publicznie go i tam zapędził interes, interes szkoły krzemienieckiej. Tę podróż swoją do Wilna, tak w liście opisuje:

»Księżę (Czartoryski) jest w tej chwili w Nowogródku mil siedm od Lidy, z której ja do was piszę, a Lida wiorst ośmdziesiąt od Wilna. Teraz wam moją opowieść podróży. Minąwszy Łuck, z którym pisałem, byłem w Woronczynie. Uprzejmie przyjęcie i ta pewność, że księcia wyprzedzimy jeszcze, zatrzymały nas całą dobę u Kropińskich, gdzieśmy wiele mówili o was. Z Woronczyny nocowaliśmy w Niesuchowiczach, majątku pana Ignacego Czarnieckiego, tamżeśmy się dowiedzieli, że pan krajczy z upewnieniem pani Ostrowskiej przyjechał raz jeszcze, udał się do Laszek, gdzie ma odebrać darowiznę majątku pana Ignacego. Przebyliśmy na koniec wołyńskie Polesie, a przebywając Kowel znajdowaliśmy, że Maćkowa dolina jest tylko miejscem skropionem rosą, w proporcję błota, jakieśmy przebrnęli w tej krainie. Brzeski powiat, jak oddzielony, dał nam najlepsze o sobie wyobrażenie; pocztę przy domach właścicieli przystojnie utrzymaną, grzecznymi ludźmi osadzoną, położenie piękne. Sam Brześć między dwoma spławnymi rzekami, Muchawcem i Bugiem obciążonym statkami, a okolice coś dają pogodnego umysłu. W ciągu tej całej podróży kraj aż do Różanej brzydki i ubogi.

»Z Różanej mil siedm drogi zboczyliśmy do Dereczyna, gdzie list drogiej naszej księżnej nas powołał. Radbym, żebyś widziała, jak się ksiądz Franciszek zdziwił, co tu robić możemy, i jak czule był wdzięczny za atencję naszą. U niegośmy nocowali. Miasteczko wybrukowane, przyjazd do domu obwieszcza możnego człowieka pobyt, mało kto ma

— 275 —

tylko drogich sprzętów, jak on.... Statua Kanowy, wiele marmurów, wiele bronzów, mnóstwo obrazów, naczyń etruskich, porcelany, jest czem nasycać oko, a dusza poddać się musi grzeczności gospodarza. Tak uprzejmie przyjęcie i nocleg wspaniały nie zatrzymały nas przecie... w Słonimiu byliśmy wczoraj«.

»Gościnność krzemieniecka (pisze do córki Heleny) odpłaca mi się w Wilnie. Jakiśmy tylko wysiedli, przeniesiono nas zaraz do jednego z domów uniwersyteckich, tenże sam wieczór przebyliśmy u rektora Akademii, który wczoraj sam mnie cały dzień

oprowadzał po różnych zakładach. Obszerność gmachów do uniwersytetu należących jest bardzo wielka, niektóre zakłady bardzo piękne; książę dał polecenie, aby nas w uniwersyteckich domach umieszczono. Wczoraj obiadowałem u Walickiego, gdzie widziałem mnóstwo obrazów i sprzętów bogatych. Poznałem Jana Śniadeckiego, który jest z wielką dobrocią dla mnie, a uczynił na mnie wrażenie, jakie niepospolici ludzie czynić zwykli. Byłem na sesji tutejszej komisji, skład onej jest poważny. Pan Becu, co ma córkę Januszewskiego, osobę bardzo grzeczną, i pan Mianowski, profesorowie uniwersytetu, są mojego mieszkania sąsiadami i resztę wolnego czasu jestem z nimi; jak na dwa dni, dosyć tego. Obiaduję u sąsiada Mianowskiego, a jeśli książę przyjedzie, resztę dnia zapewne zabierze nam obowiązek. Jestem zakatarzony z drogi, ale zdrow....»

Oto jeszcze wyjątki z kilku wileńskich listów:

»Wilno jest duże miasto, są piękne zabytki malarstwa krajowego; Czechowicz i Smuglewicz wsławili się tutaj. Zakłady Akademii są niektóre znamienite, lecz budowle bez gustu rozporządzone. Zostawiono Krzemieńczaninowi w tej mierze uczynić zmianę. Podczaszyński co tylko w budowlach publicznych restauruje, wszędzie widno gust i znajomość sztuki, której się na znamienitych wyuczył wzorach. Krzemieńczanie tu celują, taka jest opinia uniwersytetu, że z pod cieplejszego klimatu mają włożyć bardziej uzdolnione;

— 276 —

my wołamy, żeśmy to winni dobrej szkole, a najwięcej duchowi założyciela, który wlał w młodzież zapał, jakiego tu nie ma, i wołamy za potrzebą tak dobroczynnego wpływu, a i twarde Zmudziny uczują isierkę ognia, jaki nas ożywia. Znalazłem tu dawnego przyjaciela, generała Kossakowskiego, który mi tu pobyt osładza. Książę nas tu stara się utrzymywać na świeczniku i wiele szczególnych grzeczności czyni, do których nie jest hojny. Nie nadużywam dobroci jego, skupićbym ją rad całą dla Krzemieńca. Książę pracuje ciągle, ale jeszcze nie koło nas, bo mu litewska komisja nie oddała projektu swojego. Jak tu długo zabawimy, nie wiem, ale że i księcia woła potrzeba powrotu, nie sądzę, aby tu długo zabawił.

5 Kwietnia jeszcze z Wilna:

»Książę dziś ma wrócić z Mołodeczny od pana Ogińskiego, liczę, że się już niecierpliwi do żony i zabrawszy materyały, wyjedzie pracować w Warszawie. Wilno jest bardzo piękne, osobiwie co do okolic, które rząd najpiękniejszemu przechadzkom i bulwami ozdobił. Co to tu za pamiątki domu Sapiechów, za które różną daćby potrzeba księciu Franciszkowi, jakie pomniki znaczenia i chwały dziś na lazarety obrócone! Wiele poważnych starożytności, lecz tu więcej, niż gdzieindziej, zrujnowano je...»

»Co do mnie (dodaje w innym liście), to jestem zdrow; trudność mojej misji nie odraża mnie od pracy, ale mały skutek jej byłby mi nieprzyjemny. Opór powiększa żądzę otrzymania i to mnie męczy niezmiernie. Jużbym rad spoczął, to jest opuścić Wilno; sądzę, że 1maja jużbym być w drodze powinien; z jakąż radością ujrzę nasze góry i z jaką pociechą was uściskam! Kontrakty tutejsze niepodobne do kijowskich, przenoszą jednak terazniejsze dubieńskie; a że jest zwyczaj, że na święty Jerzy wszyscy lokatorowie, co domy opuszczają, przenoszą się w tym dniu, to robi zgiełk wielki, ludzi mnóstwo i jakby opuszczone miasto. Wszyscy są na wozach ze swymi sprzętami do nowo najętych dążąc domów. Przyjechała w ten moment z Paryża pani Choiseul

— 277 —

z domu Tyzenhauzówna, spodziewany W. Ks. Mikołaj z Petersburga. Wilno ma teraz postać wielkiego miasta pod każdym względem oprócz balów, których dla ubóstwa nikt nie daje. Pani Sulistrowska, znana w Warszawie pod nazwiskiem panny Przyłuskiej, dom tu trzyma, lecz dla słabej córki wyjeżdża do Odessy, podobno na Krzemieniec. Jest też tu osoba jasnowidząca w domu księcia Lubeckiego, lecz już hałasu nie robi z swego przepowiadania.... Kuruje prusyanem i błękitną farbą i upewnia, że jeszcze lat czterdzieści żyć będzie, kurując się tak mocnymi truciznami; jeżeli przeżyje, warta będzie uwagi; fakultet medyczny zdaje się na nią nie zwracać najmniejszej uwagi. Doktorowie od gwardji i jeden miejscowy asystują jej w paroksyzmach, a pan Lachnicki, który się tej części poświęcił, pisze o niej uwagi swoje. Byłem też tu świadkiem zaszczepienia nowego nosa: operacja poszła szczęśliwie i nos nowiuteńki wczoraj widziałem już fasonowany przez sztukatora, aby był zupełnie foremny, a biedny chory, jak go w ten nowy nos ukluto, dobrze krzyknął z bólu.

W innym jeszcze liście 19 kwietnia pisze z Wilna:

»Czas tu najpiękniejszy w kwietniu, używamy go dosyć, okolice są tak piękne, że niektóre z krakowskimi równać się mogą. Spodziewają się tu Cesarza na 15 maja. Obóz gwardji będzie pod Wilnem. Wczoraj było zebranie wszystkich generałów u W. Ks. Michała w jego kwaterze, gdzie mieli odebrać rozporządzenia. Mówią, że gwardye zaraz z obozu wrócą do Petersburga, co tu oficerów wielką pociechą napędza. Pan Zamoyski stąd jedzie wprost do Krzemieńca; jest to człek młody bardzo pięknych przymiotów, jedzie z nim Krzemieńczanin Sienkiewicz dla widzenia zakładów gospodarskich w Dąbrowicy, gospodarstwa Taera w Szpanowie i na Krzemieńcu skończy swą podróż. — Przyjedzie także i pan Twardowski, przyszły, jak tu twierdzą, rektor uniwersytetu; jest on teraz marszałkiem pińskim, człek przyjemny, równie jak uczony. Niech się Karol gotuje

— 278 —

przy takich świadkach zdać egzamin, bo tu na niego mają oko i będzie w większych, niż drudzy, obrotach.

»Pensye kobiet tu idą wybornie, bywam na ich egzaminach z pociechą, często z podziwieniem nawet, radbym, żeby u nas przy tak zachwalonej energii w Krzemieńcu panującej, nie znaleźli zawiedzionej nadziei swojej. Znajduję tu wiele śladów dawniej egzystujących kunsztów, malarstwo było tu w bardzo świetnym stanie; uczeń Karola Maratti, Czechowicz, zostawił wiele pomników, o których mniej mówiono, niż są warte, choć o Smuglewiczu, uczniu jego, gadano więcej, niż był godzien.

W maju już powrócić musiał do Krzemieńca, bo pod tą datą, znajdujemy ciekawy list Bartka Giżyckiego, w sposobie królewskiego pisany, a na kopercie mający *Mgn. Vir sincere nobis dilectus Drzewiecki*. »Jaśnie wielmożny, nam zwłaszcza miły! Na samem jechaniu do grodu naszego Żytomierza zastało mnie miłości twojej pisanie. A iż *ista Femina est indecisa, temporisatur, idque Ea habet tantum dolorem ab amore m antali*, alic *ja spem habeo*, że to przeminie; a przytem wiele innych przyczyn, które *sine magno dolore commemoran non possunt*, ku temu ją przywiodły. Wszakże udajcie się *ad castrum* Międzyboż *et perseveretur*, a my *nostran provinciam in bono statu* postawiwszy i na odpoczynek schroniwszy się, widzenie nasze mieć będziemy. *Et reliqua, quae privatim inter nos dicta actaque sunt, paucis accipias*, a zatem od Pana Boga dobrze być zdrowym żądamy.

Humoru to dobrego dowodzi, łaciny niekoniecznie, ale zaprawdę lepszy humor od łaciny. Dziś obojga już szukać ze świecą.

Na święta pan szef nie był w domu, znajdował się w Sieniawie; w lutym, zdaje mi się, w Krzemieńcu musiał pomagać pięknej koncertantce znowu, pani Szymanowskiej, która wedle słów Bartłomieja Giżyckiego, jak anioł grała na

— 279 —

fortepianie. Nieco później przysłał mu pod opiekę Giżycki swojego synowca, mającego kursa w Krzemieńcu rozpocząć. Projekt ożenienia z panną Jaroszyńską przychodzący do skutku, oderwał pana szefa na chwilę od sporów publicznych, i do interesów własnych odwrócił. Odświeżono dom w Kunce, około którego krzątał się pan Kozuchowski, robiono pierścionki ślubne; pan Drzewiecki niezmordowany przejeżdżał się ciągle.

»Chciałbym ci pisać (dodaje w liście z 22 października z Tywrowa), co tu słyszę o piękności militarnej fety, danej cesarzowi pod Klebanią w bliskości Tulczyna; było to coś czarodziejskiego; to wiem tylko, że jechałem drogą i wsiami w okolicy tak upiększonymi, że sobie wyobrazić ciężko, jak to na całej okolicy dla oka szczęśliwą uczyniło zmianę, zdaje się, że się jedzie drogami do ogrodu wiodącymi..... Cesarz kraj tutejszy miał nazwać rajem, a drogi najpiękniejszymi w imperyum. Moszyński i wąsy ogolił i polski strój zrzucił, o czym później doniosę obszerniej«.

W listopadzie widział się z księciem Czartoryskim, który tą razą do Krzemieńca nie zjechał.

»Książę nie będzie (pisze do córki) w Krzemieńcu; z ruskiej Klementyny ze Sławuty ruszy już w drogę. Bardzo mnie łaskawie przyjął, lecz go niedługo widziałem, bom go spotkał wyjechawszy z Konstantynowa, jak jechał do pani Rzewuskiej, ale wrócił od niej około piątej wieczorem i tu nocuje, przetrawiłem wieczór najmilej w towarzystwie tego zacnego i niepospolitego człowieka«.

Sam pan szef w tym roku nowe i szczęśliwe zawarł śluby w dniu 25 listopada 1823 roku z panną Konstancją Jaroszyńską, która drugą matką dla dzieci jego być miała. Wazon rozmarynu z tego ślubu przywieziony przez panią Orłowską, zachowany został na wesele córki. Projekt kupna majątku (Czarnej Kamionki lub innego jakiego) zajął przy szczęściu domowem resztę tego roku, oddalając go od dzieci, do których jednak nieustannie i najczulej pisywał.

— 280 —

W roku 1824 interesa nieulożone jeszcze go w oddaleniu od dzieci trzymały, a przyjaciele, Kropiński szczególnie, stali się niecierpliwi, dowiadując się, kiedy do nich powróci. Cały ten rok niemal przeszedł na urządzaniu się i staraniach o uregulowanie bytu dzieci i własnego.

Jakie życie prowadzono w Kunce, może dać wyobrażenie obrazek z listu pana szefa do córki z 9 maja 1824:

»Cichość Kunki, piękność miejsca i potrzeba spokojności dla duszy mojej czynią pobyt tu miłym i zdrowiu do godnym, tak żebym stąd na krok nie wyszedł. Rano wstaję, pracuję w ogrodzie, śniadamy o ósmej i czytamy w gorąco dzieło pani de Staël o literaturze, obiad o pierwszej, przechadzka, potem herbata o piątej, w wieczór koncert z tysiąca ptactwa, a czasem i żabki solo w nim mają. Teraz mam jeszcze wierzchowego konia, krówki juśkowieckie wydają mi się znajomymi, co mnie przyjechali odwiedzić w ustroniu. Salonik ubrany ślicznie, choć bez żadnej przesady, gabinecik przemienia się na biblioteczkę, lecz nie wprzód, aż biuro i szafa na suknie dla ciebie skończone zostaną i bióro dla Ksawerki«.

Strata brata zachmurzyła na chwilę to szczęśliwe i spokojne życie, którego przyszłość jeszcze się uśmiechała postanowieniem córki, mającej wyjść za krewnego i przyjaciela drogiego sercu pana szefa, P. Franciszka Skibickiego.

W lutym winszował mu tego wyboru przyjaciel Kropiński: »Józef tedy o losie córki postanowił (pisze) jak na rozumnego i dobrego ojca przystało. Od tylu lat, a co więcej, od niezmiernej liczby godzin znam Franciszka we wszystkich sytuacjach moralnych, znam go w publicznym, znam go w prywatnym życiu, znam go nawet z kamerdynerami i lokajami. — Słowem, winszuję ci, bo szczęście codzienne twej córki jest zapewnione. Winszuję ci jeszcze, że nie jest wojewodą, ksiązęciem, nawet królem, bo ci teraz wszyscy nie są szczęśliwi. Udało się więc w tem postanowieniu i Franciszkowi i Helenie twojej, a teraz i naszej«.

— 281 —

Jakie to było serce tego człowieka, domyślić się łatwo nawet tym, co go nie znali z listów pełnych uczuć najtkliwszych dla dzieci i rodziny. Dla bliskiej słabości żony odbiegłszy do Kunki, tak na przykład do córki swej pisze (dnia 30 maja 1825 roku):

»Ogródek służy mi za miłą przechadzkę, w którym najczęściej myślą błąkając się wpośród osób drogich sercu mojemu, jestem i z wami w Werbie. Z początku myśl moja was tam nie zastała, ruch jakiś domowników oczekujących waszego przybycia, ogrodnik troskliwie polewający kwiatki przed oknami pokoju twego, froter, co woskował posadzki, oczyszczał szafy, gdzie twe masz składać sukienki, były to korzyści kilkodziennego błąkania się, wszędzie was ścigającej myśli. Teraz wy tam już jesteście, ty układasz muzyczne papiery i te książki, co ci Franciszek darował, położyłaś w szafie, pokryły je bukiety kwiatów na jej zamknięciu umieszczone..... Już się przechadzasz, przypatrując się ogrodowi, szukaliście razem miejsca, gdzieby umieścić krówki, piliście z mamą herbatę w dawnej części ogródka, słuchaliście mszy w kaplicy, w ciągu której niech się pan Franciszek przyzna do grzechu, że roztargniony więcej marzył o instrumencie i połączeniu z nim głosów i o rodzaju muzyki, jakiby tam rad zaprowadził..... ja widziałem, że nie mówił pacierza, ty klęczałaś po lewej stronie, mama siedziała po prawej: a! widzisz, że ja tam byłem — ale nie przeszkadzałem roztargnieniu, nawet waszemu domowemu szczęściu, i po krótkim wojażu wróciłem do Kunki«.

Tu odnawiał się świeżo kościółek, śpiewały słowiki, rósł laszek Helenki..., a choć w Rosochowatej grad wielkie zrobił szkody, pan szef nie bardzo się takimi martwił rzeczami. Boleśniejszą była strata dziecięcia, które na świat przyszło bez życia, szczęściem nie nadwerężywający zdrowia matki. W tych latach listy całe są zajęte rodziną i kłopotami gospodarskimi, życiem domowem, którego odśłaniać nikt nie ma prawa, jakkolwiek piękny stanowi obraz, ledwie

— 282 —

gdzieniegdzie ustęp jakiś się trafi o wypadkach ogólniej zajmować mogących. Tak w liście dnia 9 lipca 1825:

»Było tu okazałe zbiegowisko w Humanu w dzień świętego Piotra, opłacali po kilkadziesiąt rubli chatkę do przenocowania. Zofijówka zdalna jest na upiększenie tej ludności. Bobrowa, która wróciła stamtąd, mówi, że przyjezdni myśleli o balach, Potocki

o gościnności tylko: sprzeczność toalet, przesada nie w miejscu, były widocznym znakiem nieporozumienia się; Zofijówka bez kwiatów nie tyle była piękną, ile być mogła. W grocie był obiad dla osób rodziny i kilku proszonych, dla tychże wieczór u pana Potockiego, reszta publiczności służyła do dekoracji ogrodu.

Listy pana szefa do dzieci z tej epoki tak częste i liczne, a pełne nauk, ostróg, rad prawdziwie ojcowskich, są obrazem poczciwej tej duszy, która tak pojmowała życie i jego obowiązki, jak mało je ludzi pojmować umie. Gospodarstwo w Werbie, apteczka córki, ogródek, krówki, wszystko go obchodziło żywo, o każdą rzecz dopytywał, napominał córkę, żeby grała i malowała, zięcia, by się brał do interesów, tłumaczył się im ze swoich, cieszył medalem pana Karola.....

Jakoż ku końcowi roku w październiku szef z żoną Werbę odwiedził i odjechawszy, tęsknym listem dzieci pożegnał jeszcze.

Nie możemy się tu powstrzymać od wyjęcia poufnego kawałka z listu w grudniu do Werby z Kunki pisanego:

»Jak wam zazdroszczę, że nigdzie nie wyjeżdżacie! Ja choć tylko dwa dni sam byłem, pędziłem życie monarsze. Rano po podziękowaniu Bogu za dziatki moje, czytał mi Massyion mszę, a po nim Skarga miał kazanie; po przechadzce, w której mnie nikt nie nudził, rozmawiałem z Fouchetem o pamiętnikach jego, łąłem go za złą wiarę, a on milczał. Zjadłszy bez pochlebców skromny obiad, układałem biblioteczkę i naazard spotkałem się z Cycleronem, który i lepiej mówi, niż Jełowicki w Hrucce. W wieczór miałem teatr, Rasyń i Molier pracowali, aby roztargnąć samotność moją, a wracając na przemiany do waszych listów,

— 283 —

zadrżałem, gdy usłyszałem kogoś, by mi szczęśliwej nie odebrał illuzji...«

Rozmaite przykrości, procesy, kłopoty nie potrafiły odjąć umysłowi jego swobody, sercu pokoju, na jaki sumienie zapracowało całym życiem. — Nowy Rok przyniósł trochę pociechy wygraną w Senacie sprawą, która przyszłości groziła... Szef gospodarował usilnie, co tydzień do córki pisał, syna wyglądał w Kuncie i w chwilach wolnych czytywał. Interesa tylko nie dawały mu użyć spokoju i szczęścia, jakie miał w domu, ale z tych pracą i rozumem wychodził. W mnogich listach do córki, zajętych życzeniami dla niej i zięcia, ledwie gdzie coś ogólniej zajmować mogącego.

D. 16 Kwietnia 1826 roku:

»Tutaj tak się pogłoska rozeszła o zaczynającej się chłopskiej czerni, że o niej policje ostrzegły obywateli, uciekało wiele z domów, lecz ani nie się okrutnego nie spełniło dotąd, oprócz że jednego posesora i z parę podstarościch wytrzepały w skórę zapalone chłopy; kilka wsi w Humańszczyźnie podniósł żołdat, a reszta kończy się na wyśledzeniach zuchwałych pogroźek; wreszcie poruszenia licznego wojska są więcej niż dostateczne na lud zwiedziony, ale łagodny i nie do obawy nie pozostaje... Piszę do was o tem, bo tu w Humańszczyźnie tak wiele zastałem bajek, iż jeżeli te powiększają się w równej proporcji u was, olbrzymie byćby powinny.... Chcę tedy was upewnić, że z powziętych już przez rząd miar rzecz ta najmniejszych następstw mieć nie może«.

Wyprawianie syna do Warszawy, słabość generała Kropińskiego i inne kłopoty nieodłączne od życia trapiły w tym roku pana szefa wszystko biorącego mocno do serca. P. Skibińska także nie bardzo była zdrową i potrzebowała rady lekarzy, ale pan Orzechowicz zaręczał, że nie widział niebezpieczeństwa; myśl podróży do wód za granicę już rzuconą została...

— 284 —

Jubileusz obchodzony po całym kraju, wiemy, jak uczucie religijne obudził — oto kilka słów o nim z listu z Kunki:

»U nas jubileusz z równym w proporcją ludności naciskiem odbywane, mają także swych, choć nie tak poważnych przewodników. W Winnicy pan Chołoniewski młody, przyszedłszy na czele procesji z Janowa pieszo, ofiarował gody wszystkim zgromadzonym kapłanom. Kapłani nasi biorą na siebie surowość dawnych wieków, upokarzają i gromią grzeszników; ksiądz Falkowski z Wilna ostrością skarg swych i napomnień się odznacza. Oczekujemy przybycia ich na pierwszy sierpnia do Kunki i poddamy z pokorą winne głowy. Wiele bardzo osób dla bliskości miejsca w Kuncie bawić będzie, aby mogli codzień dojeżdżać na ten obchód tak ważny, a tak, daj Boże, skuteczny. Poprawiony przyjadę z jubileuszu do was«.

Obzęd ten uroczysty odbył się w istocie w Kuncie z wielką gorliwością i zapalem. »Była to epoka dla każdego (pisze Drzewiecki do córki), dusza wzruszona czuła się sposobną ku poprawie, kapłani nie szczędzili ze swej strony pracy i gorliwości, z powstającym słońcem gorące modły towarzyszyły wschodowi jego, po zachodzie dopiero opuszczano kościół. Biskup codzień asystował, codzień się modlił z trzódką swoją, codzień po dwa razy sam nauczał, dwa kazania i dwie nauki misjonarzy i t. d. Człowiek niepospolitej gorliwości: Falkowski, przeor Dominikanów z Wilna, wzbudził zapal powszechny i ściągnął uwagę wszystkich na siebie...«

Zamieszawszy w Kuncie, zajęty gospodarstwem w Rosochowatej, sprawami o majątek dzieci, rodziną otaczającą go na Ukrainie, pan szef regularnie co tydzień pisywał do córki, do syna, bawiącego w Warszawie, nudzącego się tam trochę i wybierającego do Karpat. Zresztą gospodarzył troskliwie i używał szczęścia, na które sobie tylu poświęceniami zapracował, a bawił się książkami, kwiatami i ogrodem, który bardzo lubił. Córka przysyłała mu piękne rysunki, które pokój swój zdobił.

— 285 —

Ale znudzony już chorzał na nogi i reumatyzmy siarczanemi kąpielami starał się opędać.

Nowa to od ożenienia w życiu Drzewieckiego epoka, w której się zamyka w domu, zasklepia w swem szczęściu i używa dopiero po znojach spoczynku, pielęgnując żonę i kwiaty. Interesa tylko i troskliwość o dzieci z tego zacisznego wyrwywają go zakątką; korespondencja z Kropińskim, z córką, z krewnymi próżne zajmują godziny, a w niej dawna się jeszcze żywość odżywa. Wypadków prawie nie ma w tych latach; gorzelnia, urodzaje, słabość którego członka gromadki, oczekiwany przyjazd, niepokój, gdy list zalega — to ważniejsze epoki.

»Czas nasz podzielony (pisze do córki dnia 11 grudnia 1827), na małe umysłowe prace czyni domowy pobyt przyjemnym, a teraz nawet, gdy się wygląda przez okno na tak nieprzyjazną zdrowiu porę, kominek domowy i książka są wielkimi skarbami.... Wkrótce oczekujemy nowego szczęścia, listu od was.

»Czas u nas był najpiękniejszy; sadziliśmy drzewa, żalowaliśmy właśnie, że was wcześniej piękna jesień opuściła, ale w nocy 13 listopada burza ogromna, z nią śniegi i mrozy, ciągle się dotąd utrzymujące. Sanna wyborna na wielkiej drodze, małe szlaki zawiane, moje zdrowie dobre, lenistwo tylko się przywiązuje do mnie i rzadko nos na zimno wystawiam, jednak w końcu

tygodnia odbywszy bogobojnie rocznicę naszego ślubu i podziękowawszy Najwyższemu za dobro, jakim mnie opatrzył, wyjadę do Rosochowatej. W przeszłym tygodniu widziałem list z Odessy, że okręty uciekają bez transportów z Konstantynopola i kupcy są w zamieszaniu o swój handel, chociaż piszący detaliów nie wiedział. Czytając historię starożytną, spoglądamy na Arax, na miejsca zwycięstwa Alexandra, Antyocha i tyłu Rzymian potyczek i dziwujemy się kolei rzeczy, która wojska nasze w te zawiodła okolice, ale kto przeżył ubiegłe niedawno lata, wszystko podobnem być uzna».

— 286 —

Pierwszych dni stycznia Drzewiecki tak od spokojnego ogniska pisał do dzieci:

»Wszystko wyjeżdża na kontrakty, bogaci wiozą kapitały, aby powiększyć, potrzebni jadą, aby tymczasowe kłopoty ułatwiać, pomnożyć ich sobie na potem, my bardzo szczęśliwi, choć do pierwszych należeć nie mamy honoru, ale i z drugimi fałszywego nie dzielimy położenia i na mrozy okropne, jakie tu panują, pilnujemy ogniska, żałując podróżujących«.

W kilka dni później: »Baltazar K. umarł w szpitalu w Petersburgu, dziwne igrzysko losu. Chęć lepszego zawsze niszczy dobre, nie ma, jak spokój duszy i poprzestanie na swoim, którego jak żrenicy w oku pilnować należy, aby ze smutkiem nie utracić niepodległości. Mnie teraz zatrudnia tłómaczenie dziełka Louis de Blois: *Przewodnik duchowny*, w sposobie Naśladowania Jezusa Chrystusa pisany, które mi pani Jarosławowa do wytłómaczenia dała. — Oto trochę wiadomostek z kontraktów kijowskich, które do spokojnej Kunki doleciały: kontrakty były dosyć pieniądze, procenta spadły do sześciu w kasach, którym wierzą, bo mało znalazło się biorących, którymby dawać chciano. Sob. Aleks, sprzedał dobra ojczyste Hieronimowi, a nabyty od Czartoryskich Iwangrod podobno sprzeda Antoniemu Jaroszyńskiemu, robotę tę odłożono do domu. Żurowski kupił tysiąc dwieście dusz od pana Kisielowa w Targowicy. Była Szymanowska, dawała jeden koncert, liczna na nim była publiczność; mówią, że Wittgentstein ma się żenić ze Stefanią Radziwiłłówną — oto nowiny kijowskie«.

Pan Bóg pocieszył go narodzeniem córki Ewy Eleonory, krótką radością, ale wielką: »Dziś (pisze d. 1 marca 1828), gdy Kostusień wyprowadzono z łóżka, padła naprzód na kolana przy kolebce dziecka, błagając Boga tak czule o zachowanie go, żeby nie wiem kto najtwardszy od łez się nie wstrzymał; ale zaraz zrobiła votum, aby rok cały nie pocałować... przestrach strat przeszłych ciąży na niej wielki«.

— 287 —

W śród pociech domowych stary żołnierz gorąco się i wojną turecką zajmował, interesowała go granica perska i wojna z Persyą, wszystko wogóle. Tak nadchodzi wiosna. »Zdrowie moje dobre (pisze znów do dzieci), używam wiosny, która u nas wydała dnie gorące bardzo i chłodnawe naprzemian, co dla zdrowia nie najlepiej, pracuję około ogródka, bo mi robicie nadzieję, że dzieci moje po nim chodząc będą — lecz czemuż on się wyda po Werbie? Tam się do was uśmiechają kwiaty, tu dąb z uschłemi konary i potrzaskane od piorunów wiązy ponurą są ozdoba...«

10 Maja: »Dziewiątego o południu byliśmy w Semenkach, był to przejazd Cesarzowej naszej z jej okazałym dworem; miejscowość tak dozwalała, że siedząc w zagrodzie domu nad traktem leżącego i nad przykrą górą, gdzie pod ciężkimi powozami konie wolno iść musiały, widzieliśmy wygodnie i mieliśmy sposobność ugiąć czoła przed monarchinią tak rozległej części świata i odebrać z dobrocią zwykłą z jej strony uprzejme pozdrowienie. Dziewięć karet landau wiozły damy: zielone ze srebrzonym brązem należały do domu, z złożonym było dla Monarchini, kuczer ze złotym na piersiach medalem, co mógłby służyć za obraz Jowisza.... Ponieważ blisko Sitkowiec przejeżdżały powozy, wyniesiono masę bukietów najpiękniejszych, którymi ozdobiły się otwarte karety. W. księżniczka z żywością wiekowi właściwą obok pięknej matki i poważna osoba na prawej stronie zajmowały powóz monarszy. Piękna dolina Semenek, Boh i jego skały tak żywo zajmowały podróżnych przez cały czas przejazdu, że mężczyźni się podnosili, a damy w całym ciągu drogi nie spuściły z oka pięknej okolicy. N. Pani miała obiadować w Tulczynie i tam odbyć nocleg. W ogóle

dwadzieścia powozów wiozło dostojnych podróżnych. Na promie malutka księżniczka po rusku i po polsku mówiła do otaczających, między którymi, jak zazwyczaj u nas, żydek, co prom trzyma, najwięcej miał zapytań: o nazwisko właściciela, wsi, rodziny, czy nie było kiedy nieszczęścia na promie, i wiele takich pytań«.

— 288 —

W czerwcu PP. Skibiccy odwiedzili Kunkę i ożywili ojca. choć na krótko.

Ku jesieni tożsamo życie spokojne, tylko nowiny elektryzujące z teatru wojny przerywały je. »Cesarz przejechał (pisze pan szef 15 października 1828); jego reskrypt, jako mściciela śmierci Władysława Warneńczyka, i dwanaście armat odesłanych do Warszawy na pomnik dla tego monarchy, zapewne wam już gazeta odeska oznajmiła. Pan Jarosław spodziewa się co moment Matuszewicza i wielu powracających z pod Warszawy, już kampania tegoroczna ukończoną się być zdaje. Zimowe kwatery między Warną a Białowodem, jeżeli Sylistrya wziąć się nie da, gwardye w Tulczynie zimują, a może czas jakiś i książę Michał z niemi. Część wojska wejdzie na Wołoszczyznę i do nas«.

»Ja (dodaje 28 października) przy piecu siedzę, a czytając Tryumf Ewangelii, czasem pamiętniki Ségura, albo Spektatora, przypominam sobie, cośmy o nich mówili z wami, a wszystka myśl zwraca się ku wam«.

»Do wczoraj (pisze 9 listopada) w ogródku pracowałem, zasadziłem resztę ziemi na tam tej stronie stawu szczepami, mam tedy sześć morgów w jednym sadzie, w tym przecież roku ani na własną potrzebę nie mam owoców — trzeba jednak pracować dla nadziei«.

I tak przechodziły lata po latach w spokoju... Ale nie brakło i smutków przypominających nam dolę znikomą, jakiej podlegamy. W marcu zmarł pan Brunon Jaroszyński, brat żony pana szefa, i śmierć ta poruszyła boleśnie serca rodziny całej. Drzewiecki pochował go w Tywrowie. Jak zawsze, tak i teraz pocieszały starego książki, których pragnął, i w tym liście, którym donosi o pogrzebie pana Brunona, dodaje: »Ja czytam z pociechą Mały post Massyliona, a zwiodłem i siebie i Franusia, że mam Fenelona o wychowaniu, bo go nie mam, zapiszcie mi z Warszawy przez Karola i proście go odemnie, aby kupił Górnickiego, bo ten, co mnie przeznaczony był, dostał się panu Janowi; zapłaćcie

— 289 —

mu za mnie, niech mi przysze, bo do biblioteki potrzebny i dla mnie do czytania byłby miły«.

Drugi ogród go obchodzi również: »Wyjeżdżając do Hruzki (pisze dnia 5 maja 1829 roku), zostawiłem z tysiąc drzew kwitnących; ponieważ lat kilka koło nich tupczę, cieszyłem się, że przynajmniej widzieć będę, koło których wartołożyć starania,

bo dobry wydają owoc: powróciłem i zastałem je bez liścia i kwiatu. Kwiat wypila jakaś czarna muszka, a liście gąsienica objadła; ten bicz boży w tej okolicy podobno nas bez owoców pozostawi, gruszki jedne utrzymują się dotąd, nie wiem, czyli ich jeszcze nie objedzą. Wisien i czereśni potrochu zostało. — Oto macie obraz mego życia, zabiegów i straconych nadziei, w drobnej są one sferze, a zatem wyćwiczą jedynie cierpliwość. Dzięki Bogu, że wyście zdrowi, to o resztę mniejsza; koło ogródka czyszczę i pracuję, sądzę, że chwasty nie obsiada mnie tak łatwo, bo ogrodnik pilny. Kwitnie bez purpurowy z Werby, całuję listki jego, nie mogąc rączek siostry, której go winien jestem».

Koronacya odbywająca się w Warszawie, na której znajdował się właśnie zięć pana szefa, Skibicki, i kampania turecka przerywały ciszę wioski wiadomościami, które z Warszawy i z placu boju nadchodziły. Mocno ich zawsze spragnionym był Drzewiecki, domagał się u zięcia opisów, broszur, wiadomości, a w liście 7 czerwca sam mu pierwszy donosił o zwycięstwie Dybicza nad wezyrem pod wsią Kukszty.

Snać zięć namawiać już musiał w tej porze pana szefa do pisania historii legionów, z czego się on tak w liście 12 lipca wymawia: »To, co mi o historii legij piszesz, przyszło tylko z twojego dobrego serca dla mnie, które nie chce widzieć nieudolności mojej. Do tego przedsięwzięcia trzeba talentu historyka, pomocy żywej imaginacyi, godnej malować czyny owej epoki, mierność nie podoba tak pięknym pamiątkom, tak wysoko umieszczonym czynom najwyższej cnoty, o które słabe roztrąci się pióro... Sekret legij byćby

— 290 —

powinien w zostawionych Dąbrowskiego papierach, ich rozwinięcie w pamiętnikach Kniaziewiczza, kto na tych materiałach nie oprze się, próżno z pamięci marzenia swe za prawdy przedawać zechce, lecz ja sądzę, że gdy przejdzie pokolenie zbliżone do tej epoki, znajdzie prawda pisarza i legia historyka, a ten potrzebne materyały».

Syn Karol podróżował właśnie i stary cieszył się, że w Dreźnie mógł zastać generała Kniaziewiczza, rachując na przyjacielską pomoc synowi dawnego przyjaciela i kolegi. Zastraszające wieści o grasującym powietrzu uspokoiły się już: »Mówią (pisze szef 10 sierpnia), że Odessa co do powietrza spokojna, że wojska ominąwszy Adrianopol, poszły pod Stambuł: z pierwszej nowiny cieszy się ludzkość i bezpieczeństwo nasze zyskuje, drugie zbliżać się zdaje pożądaný pokój, a z nim handel na zboże, choć drobne, ale obficie w tym roku zrodzone».

O podróży Karola, o wojnie tureckiej, o zawartych traktatach, zresztą o domowych sprawach co tydzień regularnie pisze pan szef do dzieci; maluje się w tych listach cały spokój życia tego, zajętego jednak i czynnego; najmniejszy wypadek nie przechodzi bez wzmianki. »W tym tygodniu mieliśmy w niedzielę obchód drugich prymicyj księdza Obertyńskiego, który lat pięćdziesiąt spełnił w kapłańskim stanie. Bardzo to było interesujące, osobiście dla nas, bo życie jego, jako kapłana, przeszło w Kunce i przechodził tu twarde próby i ucierpiał wiele, a i teraz codziennie usługuje w kaplicy domowej. W pośrodku nabożeństwa i liczego ludzi zbioru otwarto całe drzwi kościoła, jak w czasie jubileuszu, a kapłani na cmentarzu w szatach zebrani, śpiewali hymny, wprowadzając obłubieńca do domu Bożego; nieśli przed nim koronę z kwiatów uwitą i wieńce z kwiatów mieli na ręku asystujący i on sam, te same listki rozmarynu i mirtu, co zdobią czoła obłubieńców, obwijały rękę kapłana. Po licznych pocztach księży wchodził on z krzyżem w rękę, z pogodą na czole, siwy włos zdawał się ożywiać twarz jego i uczucie pociechy malowało się na twarzy.

— 291 —

Śpiewał msze świętą tak, jakby po raz pierwszy do tej świętej ofiary był przypuszczany. Stosowne do obrzędu kazanie, procesya okwieconego kapłana mówiły do serca i imaginacyi».

W następnym liście jest wzmianka o śmierci pana Morzkowskiego, ojca pani Bobrowej, którego pogrzeb odbył się w Chodorkowie dnia 14 października. Państwo Skibiccy powracali z Puław, a te odwiedziny, do których nakłonił ich pan szef, wielce go interesowały, bo był do domu książąt szczerze przywiązany. Karol u Kniaziewiczza w Dreźnie już się znajdował. Serce ojcowskie radowało się, że go tam ludzie nie poznawali, tak wyrósł i zmężniał.

Przestraszały tylko wieści zawsze trwające o powietrzu. »Ostrożności od niego (pisze dnia 15 listopada), wprawdzie skuteczne, nie przeszkadzają zupełnie, aby się przedzierać nie mogło do Odessy po Wołoszczyznę, a nawet z jeżdżącymi generałami. Mówią, że przy Wicie ludzie pomarli, że Dunin powróciwszy odgrodzić się musiał: może to są i bajki. Dobre mrozy, co dawniej koniec kładły pomorom sztuką i ostrożnością źle strzeżonym, teraz zapewne położą koniec, tem prędzej, że się na wielką zanosi zimą».

»Pisze mi Karol z wojażu (dodaje w piśmie z dnia 9 grudnia) i wycieczki do Teplic; skarży się, że od was i Felicyana nic nie miał, a w liście swym żąda, abym podziękował generałowi Kniaziewiczowi, który go tam jak syna swego przyjął. Przesłał mi zresztą sam opis podróży po Saksonii, więcej do przeszłości należących wspomnień, jak szczegółów teraźniejszych podróży — lecz dzięki Bogu zdrow, byle się w powrocie nie przeziębł».

Życzeniami przesłanymi z Nowego Konstantynowa ukończył się rok stary, a nowy rozpoczął. W Kunce wesoło obchodzono zapusty i Ś. Konstancją, było dwadzieścia siedm kobiet, między niemi panien czternaście, siedmnastu tańczących, a pięćdziesiąt i kilka osób składało kilkodniowe zgromadzenie. »Przyjechali sobie (pisze pan szef) na stu dwudziestu koniach, trzydziestu kilku furmanów, tyleż lokajów, o wszystkich trzeba było pamiętać: oto są rozkosze wiej-

— 292 —

skiej fety. Lecz tak dobrze Kostusi główka wystarczyła w potrzebie, że wszyscy zadowolnieni wczoraj rano wyjechali, ale nas opuściły i nogi i siły. Potrzeba matką wynalazków: wszyscy stali w salonie, nie było ciasno, dobra muzyka feldmarszałka Gudowicza grała huczno, tańczyli wybornie, opisywać detaliów nie warto, trzeba to zostawić na familijną pogadankę do Werby».

»Odebrałem (pisze dnia 23 marca 1830) list od generała Kniaziewiczza, cały maluje miłe wrażenia, jakie na nim Karol uczynił; moja nadzieja widzenia go w tym roku spełzła zupełnie, bo pszenicę wypadnie podobno posyłać na swój rachunek, nie ma dotąd pretendenta, coby ją na miejscu kupił. A nakłady gruntowe wielkie, na kupno bydła dla ludzi, aby ich w należytem postawić stanie, i to z trwogą daremno kosztu, bo byłoby ginąć nie przestaje».

W marcu już były chwilki pozwalające pracować w ogródku, szef ich nie zaniedbywał, a gdy się pora popsowała, wracał do Salvandego historii Jana III i historii powszechnej Mullera, »Obdarzają nas sąsiedzi książkami, które nam zimą wiele chwil dobrych dały«.

»Wojska są w ruchu, jadą, idą na kordon zdrowia, drugie z za Dniestru wracają«.

W maju Karol wreszcie oczekiwany powrócił z podróży, a stary odżył słuchając opowiadań i wrażeń syna, zajmowała także wiadomość o obozie formującym się pod Żytomierzem i przejeździe N. Pana.

Dnia 26 maja: »W Białej Cerkwi spotkał Karol ambasadę turecką wracającą z Petersburga... Przez Kunę onegdaj przejeżdżał monarcha, a w wilią przed nim generał Rożniecki, który mnie odwiedził i parę godzin zabawił. Poseł turecki w Białej Cerkwi otrzymał nominację na kapitana baszę. Postać jego bardzo się Karolowi podobała, powiada, że mówi dobrze po francusku, a ma ruchy Kozaków lub Czerkiesów«.

W październiku znowu się rozdzielić przyszło z synem, odjeżdżającym do Warszawy. »Twarda to dla mnie godzina

— 293 —

(pisze stary), niech Bóg czuwa nad nim... zabawiało się książką, myślą i ogródkiem w tęsknocie«. »W ogródku się robi (pisze dnia 2 listopada), skała się kuje, miejsce na kapliczkę lub krzyż, pyszne planty z Werby, choć ucierpiał w drodze, ale starannie posadzone. Są to drogie dla mnie pamiątki, dumam ze łzą w oku, skąd to one przyszły«.

Tymczasem ruch wojsk w kraju był wielki, chociaż nie wiadziiano, gdzie się posuwały, suponując tylko, że na Austrią. »W tym tygodniu (pisze dnia 16 listopada pan szef, którego wojsko zajmuje zawsze) był w Kunce pułk archangielski, był ukraiński ułański; nowogródzki kirasyerski księcia Alberta i forsztadzki batalion. Mają jeszcze przechodzić i każdy przestać dzień jeden: starodubski i ordyński kirasyerskie, brygada dziewiąta artylerii i dziesiąta konna brygada artylerii. Obok nas przesuwają się armii wołoskiej część znaczna, idąca w środek kraju, tak że wsie wsio do podwód pomagać nie mogą. Co do cholery, ponieważ ona już do przestrachu panicznego należy, każda śmierć nagła obudzą bojaźń, a ta się po dniach kilku powszechnie uspokaja. Rząd czujnie w to wgląda, już oswoiliśmy się z nią, jak z tyfusem lat przeszłych, onegdaj zamknięto Tulczyn, przerwano pobór. Póki taki stan trwać będzie, nie ma, jak prosić Boga, strzec siebie i swoich i spokojnym umysłem oczekiwać wyroku. Roztropność radzi unikać komunikacji z miastami, bo niechybnie żydostwo najprędzej złapie tę biedę; zobaczymy jeszcze, niechno się ona spotka z naszym mrozem: ujdziemy biedę«.

»W Czeczelniku (dodaje dnia 23 listopada), w Tulczynie i w Balcie cholera trochę więcej narobiła rejdachu; w Ładyżynie było kilka osób chorych, ale wszyscy ocaleni. Sądzę, że zima dopomogła w tem lekarzowi. Mówią, że i Warszawa przełknięta chorobą«.

Cholera opanowywała strachem umysły wszystkich oprócz starego wojaka, który potroszę w jej zaraźliwość nie wierzył, a trochę przywykły do niebezpieczeństwa, lekce je sobie ważył. Jadącemu do N. Konstantynowa na święta słabość

— 294 —

furmana napędziła obawy, ale się pokazało, że napadów nie był wcale choleryczny. Trzeba było już jednak w Kunce świętować.

Interesa kontraktowe się zbyły. »Już tedy jestem spokojniejszy (pisze Drzewiecki) i wrócę na resztę zimy do dawnego życia, ruch mi nic nie zaszkodził, chodem się zwijał, jak mucha w ukropie, teraz mi pozostaną dni pocztowe na pociechę«.

Ale cholera straszyla zawsze jeszcze i zima ją nawet niebardzo pokonała. Skibiccy mieli się wybierać do Karlsbadu, co im silnie doradzał ojciec, który już się z Kunki coraz mniej ruszał, pochylając się powoli pod ciężarem wieku.

»Jakkolwiek mało jest materyałów na wsi do pisania (mówi dnia 7 marca 1831 w dzień swoich urodzin do córki), mało odmian, o którychby zawiadomić można, jest przecież źródło myśli, co z serca płynie, które wyobrażenia zwiększa, jest wspomnień zakład snujących się kolejną i od pierwszego dzieciństwa waszego znaczny obieg mojego życia zajęty — z temi teraz przepędzam godziny, odrzucając smutne myśli gromadzące się natłokiem, z temi żyję w samotności mojej, słowem, jedną przeszłością jeszcze«.

Smutniejsze coraz są listy z tej epoki: »A! jakżem ja pobiegał (pisze w jednym dnia 23 maja) w tych kilku niedzielach; ale zdrowie zresztą zdaje się dobre i oprócz starości nic mi nie dokucza fizycznie, wczoraj nawet po odebraniu listu waszego odżyłem całą duszą«. »Teraz (dodaje 30 maja) nie czytam Degeranda, ale Tomasza a Kempis z ręk nie wypuszczam: filozofia za mało, nie zaspokoi duszy, jedna religia ulgę choć tymczasową przynieść jej może, a! bo i ta zda się nie wystarczać jeszcze«.

Świętowano Wielkanoc w Tywrowie, powrócił Drzewiecki do Kunki, ale słaby. »Nasz ogródek poprawił się znacznie (donosi dnia 15 czerwca), przepadają deszcze, wegetacja piękna, a liść obfity barwi drzewa, zwyczajnie tępo w Kunce wegetujące; zresztą bez ogródka ciężkoby czas

— 295 —

przechodził. Głucha cisza wzywa do rozmyślenia, a myśl szuka odległych, a sercu memu ukochanych«.

Jedenastego lipca już były pierwsze żniwa na chleb, ale razem z niemi i cholera nielitościwa w samej Kunce. »Nie trwożyłem was (pisze dnia 16 sierpnia), ale cholera przed waszym z Tywrowa powrotem nielitościwie w Kunce ubijała, na ten moment nie ma już jej zupełnie. Dzięki Najwyższemu, że tak wiele złego razem zniszczyło wszelkie uczucie bojaźni, wszystko się widzi bez trwogi i łatwo pojmujemy tę obojętność, jaką mieszkańcy Wschodu okazują na zarazy, które ich niszczą. Siedmdziesiąt osób przez różne tej słabości napady utraciliśmy tutaj. Chleba mamy dosyć, pszenicy szczególnie... deszcze nam dokuczają i duży procent oddamy zgniliznie«.

W jesieni dostawszy paszport do Galicyi dla poratowania zdrowia, a może i odwiedzenia syna, wyruszył pan szef dosyć złą porą, bo w początku grudnia, wszakże ta podróż ciężka nie zaszkodziła mu wcale. »Co za masę zdrowia odkryłem w sobie (pisze dnia 29 grudnia), zwróćcie pamięć na datę listu, co za mrozy, co za gruda na wozie lub gnojowych sankach, dni kilka w zawieruchach. Zdrowszym już wyjechałem stąd (z Kamieńca) pocztą i w dobrze opatrzonych saniach, sądzę, że powrócę bez uszczerbku zdrowia do domowego zacisza, oczekując wiosny, która nas może zbliży«.

I znowu w Kunce i ogródku jesteśmy; dnia 25 stycznia 1832 pisze szef do dzieci: »Już się wiosna zbliża, będziemy sadzić planty i drzewa. Sprowadziłem krzyż cztery łokcie wysoki z białego kamienia, piedestał mieć będzie łokci cztery, a dwa w każdej ścianie obwodu swego. Postawię go na skale, uplotę gałązkami wina i cieszę się naprzód z jego widoku; dorobić chcę skałę aż do jego podstawy i napiszę na nim: *Przyjdźcie do mnie wszyscy, co w ucisku i utrapieniu żyjecie, a ja pocieszę was*.

»Gdyby się też na nas ziściła ta przepowiednia, żebyśmy kiedyś razem poszli ponad brzeg tej skały, a czytając

— 296 —

powtarzali sobie razem: już zebrani jesteśmy pod opieką Jego, już pocieszeni z woli Najwyższego — jakież to mile marzenie!«

»Nadchodzi wiosna, czy też mama już w ogródku pracuje? (pyta pan szef dnia 25 marca, niespokojny, żeby się pędzej sam jął pracy). Ja nie śmiem czynić żadnego nakładu, nie wiedząc jeszcze, dla kogo, i tak wiosna przejdzie bez wielkiego postępu, krzyż tylko przybędzie w tym roku krzyżów i na tem podobno staniemy. Moja żona chce oranżeryjki, a nowy rządca chce stodoły na zaczęcie wielkorządztwa; wielkim ideom małe ustępować muszą, chociaż przywykliśmy do tego, że się to kończy na niczem już przez lat tyle, a w latach kłopotów większe antreprzyzy zrobić się nie dają, ale, jak mówi Kropiński, puszczaj deresza, póki się rwie, a zatem my pozwalamy na wykonanie«.

»Wczoraj (pisze dnia 4 kwietnia) była Kwietnia niedziela; na samą wielką mszę przyszła smutna nowina, że z soboty na niedzielę o jedenastej w wieczór ukończył życie Michał Sobański, cóż to za przykre było wrażenie, gdy nam to niespodzianie ogłoszono! Właśnie przed kilku dniami pisał swą ręką list do Jana w interesach Ładyżyna, wyciąg z odległej i silnej pamięci czasu, dat i praw mu służących, a Chmielnickiego i bitwę pod Batowem uprzedzających. — Tak ukończył prawy człowiek, założyciel rodu swojego, syty dostatków, niezmordowany w swych usiłowaniach, który przecież przeżył swe zabiegi, widział ruinę rodziny własnej i pod jej ciosem umierał, nie mogąc nawet ani jednemu z swych dzieci, które uszczęśliwił, dać błogosławieństwa swego. Zmiana losów, trzydziestoletnia przyjaźń, tyle stosunków miłych, tyle uczuć wspólnych, przyjaciół tych samych zostawiły czarny smutek w skołataną mej duszy. Boże, zlituj się nad nami! Niedawno go widziałem i zdawało mi się, że łódka, co go przewieść miała, jeszcze nie była u brzegu, a on już w wieczności«.

Przy smutkach i kłopotach spowodowanych przeciwnym w Galicyi pobylem Karola, skąd go rad był

— 297 —

starzec z powrotem oglądać, zawsze ten ogródek i ustrojenie go zajmowały legionistę.

»Stawię krzyż w ogrodzie na skale z ciosu, przed nim idąca ścieżka potrzebuje baryery dla bezpieczeństwa przechodzących, przypominam sobie, że widział w pugilaresie rysunków u Frania deseń Ittara, na którym na żelaznych trójnogach znajdują się naczynia do palenia w nich gałek smolnych w guście starożytnych zrobione; przychodzi mi na myśl, że połączywszy takowe trójnogi łańcuchem, byłaby baryera, a trójnogi z piękną formą byłyby ozdobą i przystałyby do oświecenia krzyża w nocy..... przyslijcie mi rysunek«.

Karol nareszcie powrócił, a z nim pokój do domu i równocześnie prawie, jakby na podziękę Bogu, postawiono krzyżów na skale dnia 15 czerwca 1832. Zaledwie tem nieco uspokojony pan szef już myślał o dobru ogólnem i wołał wielkim głosem o założenie szkół w Niemirowie. Sam z synem, bo żona wyjechała była do Odessy, lato w Kunce przepędził. »W tym roku mokrym (pisze 18 sierpnia) podrósł ogródek kunczański, był ciągle zielony i kwiecisty, pomału już liść opada i ta pociecha się kończy, kończy się wszystko na świecie. Myśmy tu w szczególniejszym położeniu, bez gospodyni, częśćka domowników, a przecież znośmy ruch gościnny i codzień się mienią aktorowie, a teatr zawsze ludny«.

We wrześniu były wybory w Kamieńcu, na które pojechał pan szef, i taką nam z nich zdaje sprawę:

»Mnie tu okryto także względami, ofiarowano mi po kolei wszystkie stopnie wczoraj, których przyjąć nie mogłem dla wieku mojego, lecz chcąc choć w części wypłacić się z długu tak wielkiej i szczerzej łaski, dziś przyjąłem obowiązek gubernialnego kuratora, abym razem z Franciszkiem pracował w jednym zawodzie. Dziś wielki bal dla generała-gubernatora, który, jak mi się zdaje, nie przyjedzie, poświęcony zostanie gubernatorowi i rozjeżdżamy się do domów.

— 298 —

»Pan Rakowski upadł na głowę z Sulatyckim, bo drugi trzy części kresk, on zaledwie miał czwartą, tenże los miał z Przeździeckim, który 238 miał za sobą, a przeciw sobie 19. Dozorca honorowy dawniejszy nie chciał się kreskować ze mną, a Starzyński podawać się nie chciał, co mnie mocno bolało, bo *byłby zdatniejszym odemnie*. Posunięto nawet do tego stopnia łaskę, że nikt się nie podał, i dano mi za współubiegającego się Lipińskiego, prezesa departamentu pierwszego. R. o kamieniecki powiat oparty, bronił się żwawo i zwaleniem wyborów zagrażał, niezrównana roztropność gubernatora temu położyła tamę. Wczoraj powiat

krzemieniecki wotować nie chciał, gubernator odpowiedział, że każdy panem swej woli, na kogo żąda, wotuje, lecz wstrzymywać wyborów nikt nie może. Tak tedy się wszystko skończyło i jutro adres podpisują. Sposób, w jaki mnie wybrano, siłę usunięcia się mi odjął, chciałbym teraz tylko umieć czuć nad dobrem dzieł każdego Podolanina«.

Wybrany urzędnikiem, nim rozpoczął urzędowanie swoje, w domu niepokój przenieść musiał z powodu niebezpiecznej słabości córeczki, pocieszał go tylko pobyt syna, z którym razem krzątali się około ogródka w Kunce. »My się (pisze dnia 5 października) w ogródku krzątamy, porządkujemy owczarnią, to bawi Karola, mnie rozrywa. On z pochyloną głową biega po polach i lasach, ja zagłębiony w smutku uciekam się do tego, którego litości ufam. Tak przechodzą dni nasze, tak przechodzą na świecie dni wszystkich, z większą żądzą szukających w iluzji szczęścia, a znajdujących troski i utrapienia. Kończymy oranżeryjkę murowaną i zdaje się, że w tym roku użytkować z niej będziemy mogli. Karol misternie urządza pokój dla siebie«.

Kłopoty gospodarskie wesoło jakoś znosić umiał. »Jeszcze nas nieurodzaj trapi (pisze w październiku), zasialiśmy ludziom i żywić ich trzeba; w roku teraźniejszym posłaliśmy 1700 korcy pszenicy do Odessy i odrwiono nas okropnie na niej, teraz ledwo 600 mieć będziemy z obu folwarków. Trzeba panu wrócić do żydków, bo z Francuzami taka

— 299 —

sprawa, jak i z nimi, a nawet nie ma tak pociechy wyłajac, jak żyda«.

W ogródku listopad zamknął roboty, choć tam późno jeszcze przywiezione z nad Dniestrzu skompie (*rhus cotinus*) sadzono i w gruncie i w wazonach. Drzewiecki syna wyprawivszy do Werby, sam na otwarcie szkół się wybierał. Jaką wagę starzec przywiązywał do korespondencji utrzymywanej tak starannie, pokazuje się z listu 2 grudnia, po wyjeździe pana Karola. »Daję ci Karola na wychowanie Helenko (pisze), abyś go wprawiła listy pisywać, dni pocztowe pamiętać — wszak to są nasze domowe memoryały, a każda rodzina ma swoją historię...«

Pierwszych tedy dni grudnia pojechał nowy kurator do Winnicy, zaproszony na otwarcie gimnazjum. »Chociaż (dodaje) nie będąc urzędnikiem jeszcze, byłem tylko spektatorem tego obrzędu, chcę ci z niego zdać sprawę jako koledze. Nie było miejscowych obywateli, kilka tylko osób interesowanych, aby się przypatrzeć, lub miejscowi urzędnicy znajdowali się. Znalazłem dwóch dyrektorów, kamienieckiego i Winnickiego, pierwszy rozsądny i zdaje mi się pojmuje ważność swego stanowiska. Nie zastałem go o jedenastej, na którą mnie listem swym zaprosił, bo wszystkich do cerkwi uprzedził, a także i nauczycieli, chodzących po ulicach bez wiadomości, co czynić z sobą mają. Udałem się i ja do cerkwi, gdzie było wedle zwyczaju nabożeństwo, jako w dzień świąteczny, wojsko zacisnęło bardzo szczupłą cerkiew. Kazanie stosowne do okoliczności dnia. Nie dostrzegłszy mundurów edukacyjnych, myślałem, czy nie w parafialnym są kościele i tam się udałem. Zastałem kilku dawnych nauczycieli, którzy mnie między siebie zaprosili, a że kapelana gimnazjalnego nie było w mieście, zaśpiewaliśmy *Veni Creator* z księżmi Kapucynami i poszliśmy na sesję. Tam w klasie zgromadzeni greccy kapłani przy świetle dwóch świec odbyli nabożeństwo dość długie w przytomności generała Samoilowa, pięknej postaci człowieka, po którego ukończeniu czytał dyrektor gimnazjum Winnickiego wszystkie

— 300 —

papiery dotyczące się szkoły, co dosyć czasu zabrało, potem miał mowę do okoliczności stosowną. Za nim mówił prefekt lepiej od nich, potem ksiądz grecki, kapelan dawnego gimnazjum, a po nich łacińską miał mowę Jagiełło, profesor dawniejszy łacińskiego języka, który bieg nauk i nowe dla nich przepisy zapowiadał.... Po ukończeniu tego zaczęli kapłani śpiewy duchowne. Po nich szli błogosławić i poświęcać klasy, a ja się oddaliłem. U marszałka powiatowego byli dyrektorowie, poznałem się z nimi, mówiłem jako reprezentant ojców rodziny, może pochlebiam sobie, ale się im powinien był podobać z mojej szczerości niedrażliwej. Mówiliśmy lekko o pensjach, jak nazywają, nie chciałem dawać opinii mojej, nie będąc urzędnikiem i zachowując to sobie, jak nim będę. Teleszów, podolski, zdaje się, że mnie zrozumiał i dobrze widział me chęci, drugi jakoś bojaźliwszy. Będziemy czynić, co będziemy mogli, aby sumieniu zadość się stało, Boże nam dopomóż«.

Na tem się tedy rok skończył.

Ze zwykłą gorliwością swoją pan szef, wyczekawszy potwierdzenia na urzędzie, czynnie się zajął spełnieniem obowiązku obywatelskiego, do którego był powołany. Mniej mamy listów z tego roku, ale w nich są ślady nieustannej jego pracy. Współcześnie zięć Skibicki był kuratorem wołyńskiego gimnazjum, oba więc znosili się z sobą, wspierali i w jednym działali kierunku, dla dobra powszechnego. Pan szef odwoływał się do zięcia, dodając mu energii, oświecając się jego myślami i nie spoczywając na chwilę. W samym zaraz początku kuratorstwa przykra sprawa księdza Kujawskiego, kapelana Winnickiego, zajęła go mocno i zmusiła odwołać się do kijowskiego kuratora, hrabiego Pińskiego, co z wielką energią wykonał Drzewiecki. W tymże przedmiocie dnia 28 października pisze do zięcia:

»Błogosławię twym szlachetnym usiłowaniom, radbym, żeby wszelkie dobro pod godłem imienia twego wychodziło. Winszuję ci powiększenia szkółek parafialnych, zapewne prace W. Myckiewicza i Zbytniewa już w gubernii wołyńskiej

— 301 —

ukończone być muszą, chciejże mnie uwiadomić o środkach, jakie przedsięwzięsz, abym z nich korzystał. Tu są jedynie fundusze duchowieństwa rzymskiego. Mówił mi pan Bokszczanin, że mają być zmasowane na użytek powszechny. Ja do tego wpływać bym nie chciał, jeżeli, jak mnie zapewniał, przy kościołach szkółek nie będzie. Co do katedr języka polskiego, udam się do Kamieńca, będę szukał u marszałka gubernskiego i powiatowych obmyślenia wprzód środków na opłatę profesorów i radbym ich skłonić, aby

o to wraz ze mną prosili, bo się obawiam brać na azard ich utrzymanie, osobliwie nie wiedząc, czy wybrane osoby będą zachęcające, aby je rodzice opłacać chcieli, i mam na uwadze, że prawie tylko sama uboga młodzież składa ludność gimnazjum, a szkoły powiatowe są tylko w perspektywie. Co do W. Krzyżanowskiego, prosiłem go, aby mnie raczył uwiadomić, dla jakiego obiektu przedstawionym być pragnie, ażebym cię uwiadomił, w interesie szkoły niemirowskiej..... Oto był wczoraj u mnie Opacki, może być, że to będzie gimnazjum, przynajmniej minister na prośbę Potockiego kazał sobie przedstawić wiadomość o ilości funduszów. Ja prosiłem do tej szkoły za Godlewskim i Gązalem, dawnymi nauczycielami, Opacki prosił za panem Ferionem do języka francuskiego, za Naruszewiczem do historii i geografii, za Grudzińskim do niemieckiego, Korsakiem do łacińskiego języka«.

Pod koniec roku podał pan Drzewiecki wraz z marszałkiem gubernskim prośbę o zachowanie w szkołach języka polskiego i kłopotał się o załatwienie nieporozumień zaszłych między naczelnikami szkoły, ale zdrowie jego wymagać poczynąło kuracy i spoczynku, i dlatego począł się starać o paszport za granicę.

Rok następny smutnie się począł, bo w marcu dnia 25 ukochane dziecię państwa Drzewieckich, Ewelinka, chorująca ciągle, w nocy życie skończyła... boleść matki i ojca na długo po niej została, a było to ich dziecię jedyne; to też donosząc o tem w kilku słowach, starzec pisze: »Wejździe

— 302 —

w rozpacz matki... Cała jej przyszłość jest w grobie, moja jeszcze w dzieciach moich, to mi łatwiej znieść to nieszczęście«. Matka musiała oddać się z Kunki i miejsc przypominających jej stratę bolesną, a że i pani Skibickiej podróż do wód była potrzebna, udały się razem w drogę i do 15 października w Karlsbadzie bawiły. Starzec przez ten czas jeździł do Werby; zawadził o Krzemieniec, tyłu dla niego pamiątkami drogi... i tęsknił sam, bo syna przy sobie nie miał także; na zimę udał się do Tyrowa i do Kunki... Rok ten jakoś smutno mu przeszedł cały: zdrowie córki, żony, strata dziecięcia boleśnie go przybiły, widąc to w listach. »Ze wszech stron (pisze w grudniu) dotyka nas krzyż Pański... Nowy Rok się zbliża, a choć ubiegły przeszedł w smutku, może się następny poprawić raczy«.

Podróżni zimę mieli przepędzać w Dreźnie, a starzec cieszył się tylko ich listami, bo i Karol tam był z nimi i troskliwie czuwał nad macochą, która umiała być matką i siostrą. »Gotują tam siurpryzę (pisze Drzewiecki dnia 24 lutego) Helence na jej święto; portret Karolci od Kostusi, a Kostusi Karol wewnątrz ich salonu z osobami na Ś. Konstancję; przywiązanie naszej drogiej, trójki, wzajemna jej o siebie troskliwość, zgoda w myślach, w skinieniach nawet, jest to, co mnie po ludzku najwięcej cieszy«.

Ciągniono i jego tam, ale mu się trudno było wybrać i dla urzędowania i dla interesów własnych i cudzych. »Kostusia tęskni do powrotu (pisze 7 marca) albo z pewnością chce, żebym przyjeżdżał; lecz łatwiej chcieć, jak móc wykonać, po wyborach nawet czy zechcą to dla mnie zrobić? Pamiętam, że mnie zatwierdzono w styczniu, to paszport chyba bym miał na przyszłą wiosnę; na

przyszła wiosnę — to rok czasu jeszcze. Widząc reszty śniegu, widzę, że rok czekać mi trzeba jeszcze, nim druga nastąpi wiosna, a moje siły, a mój wiek! może nowa jaka niedoleżność!»

Pomimo tych utyskiwań na starość Drzewiecki spełniał swój obowiązek kuratora gorliwie, w maju wyjechał na objazd gubernii, spotkał się w Kamieńcu z kuratorem okręgu

— 303 —

von Bratke i z nim razem wizytował szkoły w Międzybóżu, Winnicy i Niemirowie. Przyjmował później pana von Bratke u siebie w Kunce. W maju spodziewał się powrotu żony i córki z za granicy, oczekując na uwolnienie od urzędowania. »Potem się zakopię (pisze), aż póki nie zagrzebią. Starość bierze posesyą i wysiaduje ją żywo. W środku siódmego krzyża, rachuby przebieżonego już wieku, nie można się sumiennie już podejmować niczego, bo i ciało i dusza słabiej, a ledwie małym familijnym usługom wystarczają.... Nic mi nie pozostaje, tylko was błogosławić. Pamiętam dziadunia, jak oparty na kijku mnie maleńkiego błogosławił taksamo; dobry był staruszek i kochał nas bardzo. Oto los każdego, co ma wiek memu równy, i ja się nań piszę ze spokojnością«. Nareszcie podróźni do Kunki wrócili, a z nimi pociecha; ale kiedyż to nie ma kłopotów? jedne odeszły, przyszły inne!

W kwietniu tego roku do starego przyjaciela Kropińskiego dłuższym listem odezwał się Drzewiecki; damy tu z niego wyjątki:

»Co do mnie (pisze), od straty dziecka straciłem i pokój w duszy i możność władania czasem moim, a od roku jestem, jak Wawrzyniec, ciągle na ruszcie pod coraz świeżym ogniem. To nieszczęście odebrało zdrowie i spokojność żonie. Myślałem, że się pogodzi dobrze jej podróż z potrzebą biednej Helenki i tu się nie omyliłem. Lecz jej powrót, nieostrożności, jakie mu towarzyszyły, co narobiły; to już się świat dosyć nagadał, żebym to miał powtarzać... Nowa bieda! Biedny ojciec syna nie może przytulić do łona — godzien liłości. Z położenia mego ja mu służę z sercem syna i wielą czasu, a prawie oddać mi się trudno, bo zawsze coś nowego ma do znoszenia. Pamiętam, jak się w Warszawie O...ska w ubiorze Dyany pokazała na scenie, napisano: *Tere bzdere kuku, strzela baba z łuku*, a tu, panie jenerale, matka żony Metternicha w stroju bogini miłości, w 60 roku życia, ściga swego Adonisa, a nie tak syna, jak ojca, i nie serce, ale worek chwytą. A choć znakomity

— 304 —

minister tę rzecz za niegodną swej opieki uważa, ale radby się pozbył ciężkiej i dla niego babuli, radby, żeby sobie odmieniła imię i nie jego już kosztem żyła, a tak baba nie jest bez skrytej opieki i w Kijowie siedzi. Wołają, żeby ją godzić, a baba dwakroć pięćdziesiąt tysięcy rubli asygnacyjnych za zwiędłe wdzięki pretenduje, a tak się i natura wzdyga i worek ściska na samo o tem wspomnienie, że go tak wypróbnąć pragną. W takim rzeczy stanie oddać mi się nie podobna, póki się rzeczy nie rozwiążą. Inaczej biegłbym na Wołyń ucałować ręce łaskawców moich i widzieć luby Woronczyn, gdzie Muzy, przyjaźń i wdzięki przebywają. Żona moja korzystając z trochy czasu, nim o bracie ostateczną odbierze wiadomość, wyjechała szukać roztargnienia u pani Bobrowej, a może i sprawunków w Krzemieńcu. Jestem zatem sam jeden, lecz mam miłą przyjemność oświadczyć i za żonę uszanowanie obojgu państw i t. d. Pani Lejkam, matka księżnej Metternichowej, o której tu mowa, miała się za żonę pana Henryka Jaroszyńskiego, z czego się wykupywać trzeba było.

Gdy się tu w Kunce tak dzieje, syn szefa jeździł do Nikolska w wołogodzkiej gubernii odwiedzić przyjaciela i w grudniu miał nazad powrócić, dosyć szczęśliwie tę podróż odbywszy; szef oczekiwał go niespokojnie, osamotniony, i jako zapadł na zdrowiu. Rok 1837 zastał go w łóżku. »Kilka niedziel (pisze do córki, pani Skibickiej) nie wychodząc z łóżka, pierwszy raz dziś (28 stycznia) pióro do ręki wziąć mogę... uderzony silnym katarem, a później dwoma wrzodami w uchu opatrzony, musiałem się położyć i staraniom pocziwej żony winienem, że dopiero teraz z tej biedy wyłażę potrochu i jakiegokolwiek zajęcie i możność bazgrania odzyskuję... Karol (dodaje) swą podróż nikolską odchorował«.

I w marcu jeszcze (26go) skarży się na zimowe cierpienia: »Moje zdrowie pochyliło się znacznie tej zimy, nie opuszczałem ciepłej chaty, aby przetrwać nie tylko dolegliwość, ale i obawę być na większe narażonym, nie wiem, jak prędko eskulapy dom mi opuszczać dozwolą«.

— 305 —

W kwietniu pisany bilecik Ludwika Kropińskiego, już nawet nie jego ręką, podpis na nim tylko położył:

»Kochany panie Józefie, nie wierzysz, jak się ucieszyłem, zobaczywszy twojego Karola, szczęśliwyś ojciec! obaśmy już ku zachodowi, z tą tylko różnicą, że ty jeszcze widzisz całe zachodzące słońce, a ja tylko brzeżek mały, tem przynajmniej pocieszony, że w postanowieniu mojej jedynaczki widzę jej szczęście.

»Twojej żonie do nóżek upadam, a ciebie, stary przyjacielu, najserdeczniej ściskam.

Dnia 26 kwietnia 1837 r., Woronczyn

Lud. Kropiński.«.

Pociechą dla starca było zbliżające się postanowienie syna, któremu wybrana dożgonna towarzyszka, siostra rodzona żony pana szefa, obiecywała zapewnić to spokojne szczęście domowe, familijne, które Drzewieccy oceniać, jak warto jest, umieli i kładli przed wszystkim innem, za czem drudzy się ubiegają.

Na Nowy Rok 1838 taki list z Pizy córka Helena pisała do siwowłosego ojca, który za nią tęsknił serdecznie:

»Zapadł rok — dniem jasnym, pełnym słońca i ciepła... rozstał się wdzięcznie ze światem, składając panowanie krótkie, lecz pełne małych osobistych zasług. Iluż to na ten bieg czasu narzeka, a iluż mu błogosławi! Ten mu jest obojętnym, tam ten go żałuje, a on od Boga popchnięty, niczem w biegu nie wstrzymany, spokojnie wyliczał dzień po dniu tym, co go rozmaicie rozrywać chcieli. Nie on to przynosił te biedy, któremi te kraje zasepione widział, gdyż zaszedł z czystym jakby sumieniem, z twarzą tak pogodną, że trudno było nie pożegnać go westchnieniem żalu. Chciał wyraźnie, ażeby go pożałowano i musiał się o to ułożyć z następcą, gdyż ten zajechał posępnie, dżdżysto i niweczając wiele projektów, moich nawet, choć ich tak mało wymyślał, a dla niepogody dni przeszłych w ten dzień właśnie zabierałem się do przejażdżki. Z tych skarg nie wnoście,

— 306 —

ażeby to takim złem było. Dumając nad przeznaczeniem nadeszłego roku, gdy garniecie się do ogniska lub wpatrujecie się na białą naturę przez podwójnie zaklejone szyby, o które mroźny uderza wichur, wystawcie sobie pochmurny lub dżdżysty dzień późnej naszej jesieni, kiedy powietrze jeszcze nie ostygło, kiedy z parasolem lub w przerwach deszczu można wygodnie i przejść się po ogródku i owieczki odwiedzić. O to dni straszne dla Pizy i styczniowa jej zima. Niech tylko słońce zabłyśnie, już mój mąż

ucieka z Lung-Arno, ażeby głowy nie przepalić, Karolcia wychodzi z parasolikiem, a ja od rana do zachodu słońca mam go tyle w pokojach, że w tym, gdzie siadam, okiennice przymykać muszę.

»Błogosławiona kraino, czemuż tak od naszej odległa! Wracając do Nowego Roku, zaofiarowawszy go Bogu przy rannej modlitwie, podziękowawszy za przeszły, szybko ubiegły, zasiedliśmy do listów, jakby na kołędzie przyniesionych; z nimi przeszła część ranka, między uczuciami to pociechy z osób, to niesmaku z interesów, to ciesząc się, to turbując, umysł wreszcie powrócił do spokojności, dziękując za dobre, a złe poruczając Opatrzności. Zasiadłszy potem przed oknem (choć niezaklejonym i źle zamkniętym), rysowałam ładny porcik z drugiego brzegu Arno, ratusz i pocztę otoczoną czekającymi. Ale jakże oddać tę masę uczuć, co pod postacią tego czarnego kłęбка garnie się i ciśnie do kraty listowej? Kilka wizyt przyjemnych przeciągnęło się do czwartej obiadowej godziny, na obiad zabrali mi męża Boccellowie z drugiego piętra, ażeby go zapoznać z człowiekiem rozumnym, którego mu wymienili po wstaniu od stołu. Był to syn Lucchesiniego, ostatniego przy Stanisławie Auguście posła pruskiego, Prusakiem też pozostał i zjechał tylko odwiedzić Lukkę, dawną swą ojczyznę. Niedługo trwało poobiedzie, gdyż Franus potrzebował wcześniej przebrać się na bal dworski, który białą tylko chustką różni się od partykularnych wieczorów. Wyfryzowaliśmy go i wyświeżyli, jak się należy. Jak gwiazda, zaświeciła mi pani Boccella, dla

— 307 —

pokazania mi dawno już niewidzianego balowego stroju, a jej elegancja jest z pierwszej ręki, w guście wybornym i na ślicznej osobie. Wrócili wcześniej, bo dwór tutejszy po sasku swe godziny urzęda, zaczyna bale o ósmej, a zwyczajne wieczory kończy o dziewiątej. Ja zostałam z dobrym kanonikiem, co nas często odwiedza, i z panem Coster, którego córeczka i Exnerów synek wesoło z Karolcią wieczór spędzili, a tak krzyczeli, że aż pochrypli nazajutrz. My zaś rozmawialiśmy o pizańskich komerażach, kto na bal zaproszony, a kto nie, kto rad, a kto niekontent, i o sąsiadach z Lukki, gdzie teraz bawiła zakłopotana matka króla neapolitańskiego. Jak na królową, ma kłopot wcale niepospolity. Po owdowieniu jej maggiordoma radaby węzłem małżeńskim zakończyć z nim stosunek, który się bez tego upoważnienia długo obchodził. Chciwy Niemiec, którego dla przystojnej postaci ta pani obdarzyła dostojenstwem i bogactwami, targuje się teraz z poruszonem niby jej sumieniem i nie daje się zaprząć w jarzmo małżeńskie, jak pod zapewnieniem mu rocznego dochodu 150 tysięcy neapolitańskich dukatów. Baba nie chce, czy nie może dać tyle, nie wie, co począć, i dobrze jej tak. — Dość już banialuk, któremi rozrywać mnie chciano na Nowy Rok. Rok ten płynie już z rozpiętym żaglem, gdzież z nim popłyniemy? Oby w zdrowiu i pokoju, na łono kochanej rodziny i oby po wspólnych dziś życzeniach do wspólnych powinszowań.

»W ostatnim liście papy widzę radość dla rodziny; daj Boże, ażeby różane nadzieje Karola różanym, a raczej mirtowym wieńcem uwieńczone zostały... Biedna Karolcia od dni kilku siedzi w domu, bo się zakatarzyła, pierwszy to raz zdarza się jej od naszego trzechletniego pobytu we Włoszech, gdzie nie słychać o tych porach katarowych, co kaszlami i kichaniem brzmią w domach naszych zgromadzeń. W pizańskiej katedrze raz tylko i to w przerwach kazania za wspólnem prawie wszystkich chrząknięciem dobyte chustki od nosa zlekka przypominały nam te chóry przeraźliwe, które każdej wiosny i jesieni towarzyszą u nas obrządkom

— 308 —

kościelnym. Dla Karolcinego kataru, odłożyliśmy także na oktawę Trzech Króli ulubioną jej i wszystkim dzieciom *besanę*, ażeby się z nimi lepiej ubawiła. Dziecinna ta uroczystość, świetniejsza w Rzymie, jest tu trochę dziwaczną przez wystawianie w oknach rozmaitych figlów, masek i czupiradeł czasem nieprzystojnych. Mój mąż przechodząc wczoraj przez ulicę, mocno był intrygowany czerwoną i wystrojoną damą, która nieruchomie przez okno wyglądała, a była to duża lalka.

»Dawniej w wigilię Bożego Narodzenia uczniowie uniwersytetu szczególnie tu mieli przywilej. Gdy całą masą z nauczycielami z ранnego wracali nabożeństwa, pierwszego spotkanego żyda porywali, stawili na wielkiej sklepowej szali i ile zaważył, tylu funtami łakotek wykupywać się musiał z rąk napastników. Za panowania przeszłego dziwny ten zwyczaj nie od razu dał się uchylić, a na śmielszych, bo prawem niby ubezpieczonych żydów, nacierała jeszcze szkolna młodzież, wybierając nawet samych otylszych, których ledwo donoszono do wagi, a siła zbrojna oswobadzała, odpędzając starszych gniewnych, płaczących młodszych, wszystkich połykających ślinkę. Teraz już o tem nie słychać, tylko ze świeżej tradycji.

»Ja z domu nie wychodzę, piję mleko osłe i zażywam pigułki, czuję się też lepiej, a to lepiej pielęgnować, jak mogę. Franus zdrów, Karolcia wykichuje swój katar. Czas przechodzi spokojnie, ale tak prędko, że obrachować go trudno, a jednak czas, to tęsknoty za najdroższymi dla najprzysiężniejszych.

Śliczny ten list jest jednym z wielu zapewne, któremi się pan szef pocieszał, on, co tak kochał tę córkę, którą miał przeżyć.

Pamiętne jest w tym roku Wołyniowi trzęsienie ziemi, które się w. naszych prowincjach oddawna nienawiedzanych tym fenomenem uczuć dało; szef wspomina o niem w liście z lutego 1838: »Jedenastego tego miesiąca (stycznia) po ósmej wieczornej wstrząśła się z nami ziemia i to mocno

— 309 —

nawet..... Myśleliśmy o Werbie, — powiedzcie, czy i w której godzinie i z jaką mocą ten fenomen się wam objawił.

»Nas tu (dodaje) zadziwiają osobliwością z powiatu włodzimierskiego: mówią, że jakaś panienka wewnętrznym zapaloną ogniem spłonęła, że na jej zwęglonem ciele został różowy krzyż na piersiach i trochę włosów w formie korony niedogorzałych. Bogobojni cieszą się z tych powierzchownych oznak błogosławieństwa«. Wypadek, o którym mowa, nie we włodzimierskim powiecie, ale w miasteczku łuckiego powiatu, Włodzimiercu hrabiów Krasickich, miał istotnie miejsce, tylko dziewczeczka spłonęła od kominowego ognia, a krzyże wypalone istotnie na ciele jej były widoczne.

Wśród roku córka generała Kropińskiego, księżna Zofia Czetwertyńska, odwiedziła Kunkę; pan szef pisał o tem do starego przyjaciela z właściwem sobie uczuciem: »Błysnęło słońce w wieku obleczonym chmurami i był to jeszcze dzień Anieli... Kunka nowe przybrała życie, a ja zapominałem starości mojej. Tak, panie generale, twe jedyne i tak drogie dziecię odwiedzić nas raczyło. Wieleż to wspomnień błogiej przeszłości przyniósł ze sobą ten anioł, wiele pamiątek dobroci waszej przedstawiło się duszy, wdzięcznością i uszanowaniem dla was przeniknionej! Czemuż ta odległość, coby dawniej znikła przed żądzą widzenia tak drogiej rodziny w wieku i zdrowiu mojem, wszystko czyni niedostępnem, dlaczegożbym orzeźwiony, jak dziś jestem, nie miał jeszcze widzieć Woronczyzna? Myśl nieraz szuka nietylko w jego rozkosznych gajach mojego łaskawcy, ale nawet na klasycznej ziemi śladów Julii i Ludgardy twórcy. Dlaczegoż siły duszy tak są wyższe od możności późnego już wieku? Lecz żądza wiele

przezwy-ciężyć zdoła, tymczasem może Bóg wkrótce z bogaci rodzinę moją, wyszłą syna w dniach pierwszych jego szczęścia, aby się wzmocnił błogosławieństwem waszem, a teraz przyjmcie dzięki za te godziny szczęśliwe, jakie miałem patrząc na potomstwo wasze».

W sierpniu odebrano w Kunce wiadomość, że się PP. Skibiccy z Włoch ruszyli, byli już w Ems, gdzie jeszcze

— 310 —

pani Helena wody piła, spodziewano się ich z powrotem, a pan szef z utęsknieniem oczekiwał córki.

We wrześniu opisuje w jednym z listów swych fety, jakie miały miejsce w Kijowie, a których był świadkiem. »Obóz korpusu Rüdiger'a miał szczęście mieć świadkiem i sędzią swych wojskowych obrotów księcia Paszkiewicza. Cztery dni jego bytności były ciągłą fetą, Kijów ożywiony więcej, niż zwykle. Wojsko wybrawszy śliczną posadę na swój obóz, wystawiło salę letnią naksztalt hrehorowieckiej, lecz od niej obszerniejszą, bo sześćdziesiąt kroków długą i znacznie szeroką, ubraną w broń kunsztownie ułożoną; kolumny z błyszczących w stali rur karabinowych miały kapitele z pistoletów, sztuczki drobne broni ozdabiały kornisze, z najdrobniejszych ułożono nazwiska miejsc wsławionych zwycięstw wodza. Orzeł państwa miał błyszczące skrzydła z pałaszów. Tak to wreszcie było misternie i kształtnie urządzone, że nic do świetności nie zabrakło. Tu książę obiadował pośród wojska, tu się odbył bal świetny i ochotne ognie ściągnęły całą ludność Kijowa, choć do miejsca o wiorst ośm odległego. Świetność była wielka, mało mieszkańców naszych gubernij przyjechało. Lenkiewicz i Rottermund z Wołynia byli przytomni, z Podola ci, co się w mieście znajdowali. Zdobyte Erzerum reprezentowano w iluminacji, cyfra Monarchy najświetniej błyszczała, rozlegały się narodowe pieśni, skoki gimnastyczne i młynki przez żołnierzy odbywane ruch powiększały. Książę uprzejmie dzielił tę ochotę towarzyszy oręża, zaszczytne klejnoty błyszczały na piersiach jego, tańczył wiele, gospodarze byli uprzejmi, feta zakończyła się po północy. Trzy dni manewra wojskowe 30.000 ludzi utrzymywały na nogach.

»Tak był obchodzony dzień koronacyjny; w dzień imienia Następcy tronu był bal u generała gubernatora. Ze znajomych z Wołynia był książę Lubomirski, co ma córkę księcia Maksymiliana, (Marceli) i wiele dam. W dniach pierwszych balów odbywał się w Białocerkwi pogrzeb

— 311 —

hrabiny Branickiej, okazały mnóstwem greckiego duchowieństwa i świetny zebraniem dostojnej rodziny, obcych nie było».

Zbliżało się wesele pana Karola, rok schylał ku końcowi, czekano dyspens, aby przenieść się do Tywrowa. »U nas już jest sanna (pisze pan szef w listopadzie), choć na nieumarzłej ziemi; jeżeli tylko mróz je j towarzyszyć będzie, młodzi znajdą łatwość dostania się do Werby, czego im szczerze zazdroszczę, lecz nie śmiem towarzyszyć, aby zdrowia wiekiem do odmiany skłonnego nie narazić i wam kłopotu nie przyczynić. Rozsądek bierze tu nad sercem górę«.

Wreszcie w sobotę dnia 26 listopada, nie jak projektowano, 25-go w rocznicę ślubu ojca, bo piątek przeszkadzał, odbył się ślub syna Karola, a dawał go książd Józef z Brusilowa, Kapucyn. List, którym donosi o tem ojciec córce, wesoły i młody, choć krótki. »Podczas wesela co jest roztargnienia! (dodaje w kilka dni później) wyście już zapomnieli przez dziesiątek drugi lat, który już zbiegł od wesela waszego; więc ja wam powiem, bo odnawiam już po raz czwarty, to moim, to waszym przytomny ślubom. Jest to u młodych zawrót serca, u starych zawrót głowy, bez tego się nie obeszło i na weselu Karola, a w przejazdce od zwykłej pocztu oddaleni, możemy i co uchybili«. Pierwszych dni stycznia 1839 (3go) pan Karol wyjechał do Werby na krótko; pana szefa marszałek Przeździecki ciągnął znowu do służby publicznej, a choć się od niej starym obyczajem wymawiał, czuć, że do niej zawsze i do ostatka był gotów.

»U nas (donosi później niezmordowany korespondent córce), chociaż jesteśmy w środku polskiego marca, gdzie niegdyś przodkowie nasi kwiaty polne zbierali, lody mogłyby formować głazy, a śnieg wystarczyłby na opatrzenie lodowni Rzymu i Neapolu, a z niemi może jeszcze na jakie południowe miasto. Mówię to jedynie o okolicy Kunki. Wczoraj i ja odbyłem wojaż, wyniesiony o sążę przynajmniej nad poziom ziemi, ślizgając się po wyniosłych wybojach, patrzyłem z trwogą na prawo i lewo, gdzie spaść mogłem,

— 312 —

kiedy co chwila opadające sanki zsuwały się z drobnymi konietami w przepaści. Przypominało to barkę bującą po falach morza... Ten wczorajszy wojaż był do Zjadkowiec. Hrabia Jędrzej Chołoniewski, który w swych obiegach w Kunce po kilka razy spoczywać raczył i obdarzał mnie książkami, przysyłając po nie raczył się wyrazić, że jeżeli dbam o utrzymanie z nim stosunków, przyjadę zapewne do Zjadkowiec. Że ludzkie życie krótkie, a sanna już niepewna, korzystałem z wezwania i jechałem; o dwie wersty, mijający mnie silniejszy podróżny złamał mi dyszel i piechotą powróciłem, ale że już byłem w świetnej toalecie, co mi się rzadko zdarza, puściłem się na nowo w podróż i prawem odwetu wyróciłem furę z sianem słabszemu odemnie kmiotkowi i z obciążonem sumieniem odbyłem moją wizytę. Hrabiego nie zastałem, hrabina po latach kilku niewidzenia była tak dobrą, że mnie przyjęła. Rozmowa jej wielce zajmująca, jedzie mieszkać w Kijowie dla wychowania syna, który zaczął w Wiedniu nauki, a że mu je tu kończyć potrzeba, rozpoczyna je na nowo w Kijowie, z nim matka na lat trzy osiada».

»Myśmy jeszcze pod lodem i śniegiem (pisze później), choć jest $\frac{3}{15}$ kwietnia, spóźni się zasiew wiośniany, a co z jesienno będzie, jeszcze niewiadomo, chociaż najgorzej o nim wróżą, ale bez zasady. Tak to życie idzie między troskami, a nadzieją«. Doskonale w tymże liście opowiada o gospodarstwie Karola w Rosochowatej, którą on od pani Drzewieckiej dzierżawił: »Karol puszcza się na rolnika z całą siłą imaginacji i woli, jakie go cechują; jest tedy od świętego Jana posesorem Rosochowatej i wiośnianych dla siebie zasiewów dogląda. Matematycznie wyrachowuje, nakazując każdemu ziarnu pożytki, jakie mu przynieść powinno, odprawia nieszlachetne, używa tych, których przymioty obiecują mu korzyści. Jakis tu pokazał się gość w rolnictwie, jakaś pszenica jara, której w tym roku potrzebowano w Odessie, ale że jest jeszcze rzadką, trudno się nawet zaopatrzyć w nasienie. Wszystko jest w ruchu, aby dostać *hyrhi*, jest

— 313 —

to szlachetne imię nowonarodzonego produktu, rzodkwi jakiejś, co olej daje. W tę już nowy rolnik zaopatrzony, mierzy na całe miejsce dla każdego ziarna, co mu ma dać obfite oświecenie z mnóstwa oleju, jaki otrzyma. Zresztą len łąkami siany zabezpiecza pożytki, a gdyby się i nie udało, to po żyzności ziemi w sercu dziedziczki pewność najlepsza niezawodnych korzyści; a energia w tę stronę zwrócona, gdyby tylko sama zwiększyła doświadczenie i czasowi zatrudnienie obmyśliła, to już wielką dla nowego gospodarza zostanie korzyścią. Sądzę zatem, że się będzie śpieszyć do obsiewów i ścisłego nowych planów wykonania. Oto jest jedyna gawęda z osamotnionej Kunki, którą ci przysłać mogę; ale w tych gospodarskich zmianach ucywilizowanego rolnictwa w

coż się obróćą nasi dawni znajomi? Skąd będzie kasza przyjazna grzybom i młodą słoninką omaszczona, gdy jej matkę hreczkę wymażą z posiewów; skąd perłowy krupniczek? nie wspominam o pierogach i tylu przysmaczkach lubych w młodości mojej. O czasy! o obyczaje! — a ja dodam: O rolnictwo! wszystko podległo zmianie! Czy się to da usprawiedliwić doświadczeniem, o tem wkrótce powie Ukraina, gdzie młodzi właściciele wiele podobnych przedsięwzięć rozpoczęli.

Wybierał się później z wiosną pan szef do córki i sądził, że mu zdrowie do tej podróży nie przeszkodzi. »Tej zimy (pisze 12 kwietnia) miałem serce pełne nadziei, że cię widzieć będę i ciągle gotowałem się do tego, dnia każdego uchodziłem werst kilka i zawsze parę godzin przechadzki odbywałem; odbywam ją po raz drugi ze zbliżoną wiosną, tak że będąc wiele na powietrzu, zbywałem zmiany katarem i zdaje mi się, że się nie mam czego obawiać zmian powietrza w przyjaźniejszej porze roku. Od dwóch dni dopiero widzimy wiosnianie słońce, zeszyły z pola zamrozie, nawet je wiatry osuszyły i siejba się zaczyna, gdy wielka droga jeszcze jest bardzo komicznym widokiem, bo na niej wielkie wyboje nie dają się dotąd promieniom słońca i na deszcz oczekują, do którego jednak przygotowania nie widzimy na

— 314 —

niebie. Zdaje się, że pszenica nie jest tą zimą uszkodzona i wyszła dobrze z pod śniegów, kiedy żyta potrosze ucierpiały, a co wiosna uczyni, z pokorą oczekujemy, bo w tej krainie wiosna dopiero stanowi pewność urodzajów i często najświeższa zieloność nie zapewnia trwałości, jeśli łatwej do stwardnienia roli ciągle deszcze nie odwilżają. Jeszcze żadne bydło, owca nawet listka nowej paszy do dnia dzisiejszego ku pożywieniu nie znalazła i kto nie miał zapasu paszy, o co tu mało dbają, bez szkody nie pozostanie. My dwoje w Kunce pędzimy pustelnicze życie, które jedynie czas podzielony między zatrudnieniem i przechadzką znośnym czyni,

a czasem, a raczej często jakiś zbiedzony kozaczek przywiezie listy z Tywrowa albo poczta obdarzy niemi; jednak mimo takich śniegów i lodów skalistych, tak to powolnie niknie, żeśmy wezbrania wód nie mieli wcale, a nawet lody na Bohu nie łamały się, lecz w lekką pianę obrócone zostały; ale aż do tego momentu zatrzymało się ich rozpuszczenie. Oto jest historia czasu...«

Tak to spokojnie pocziwe starca płynęło życie: dzieci, gospodarstwo, listy, trochę książki zajmowały go tylko jeszcze, zdrowie słabło jednak, a podróż do Werby z powodu paszportu odwlekała się od dnia do dnia.

Zdaje się, że w tym czasie obawiał się pan szef być znowu powołanym do marszałkowania, bo w liście jego znajdujemy o tem wzmiankę.

Paszport nadszedł, szef usiadł do powozu i oto co pisze z Werby dnia 13 czerwca: »Wróciła mi się młodość, jak dali pozwolenie jechać do Helenki we czwartek, wsiałem na wózek w piątek i zrobiłem mil trzydzieści w jednej dobie«.

Tak to się dawniej kochało i żyło!

A cóż to za śliczna odpowiedź synowi odradzającemu, ażeby kłopotu urzędowania w późnym wieku nie brał na siebie; posłuchajmy, bo to nauczające poświęcenie takie: »Co do mojego urzędowania (pisze z Werby dnia 27 czerwca), które twój gniew synowski obudzą, wspomnij, że masz ojca

— 315 —

i przyjaciela w starowiecu, co w długim życiu nic nie pragnął dla siebie, schodził i wchodził w obowiązki, jak wymagano po nim, i zajmując posadę nie targował się z powinnościami, jakie nań wkładała. Kto ma takie dzieci, ten ocenia spoczynek domowego życia, bo mu dobrze na święcie i lepiej w Werbie, jak w pierwszej świata stolicy; ale mnie szukano w ostatniej potrzebie, aby nie brakło szlachcie jakiegoś naczelnika reprezentacyi... nie potrzeba się wyłamywać, aby po burzy coś wyratować z pożaru. To ci wytłómaczy, dlaczego się nie wymawiał i dlaczego ani na chwilę nie przekroczyć urlopu, choć wejść w urzędowanie w moim wieku i położeniu nie ma już powabów«.

Dnia 30 czerwca wyjechał pan szef z Werby napowrót do domu, pożegnawszy czułym listem nieprzytomnego zięcia, na Łuck i Płoskę udając się do Kunki, a podróż mu wcale nie szkodziła, choć ją szarabanikiem po żołniersku odbywał. »Ja tyle życia nabrałem w Werbie (pisze już z Tywrowa) i tak mi posłużyła podróż, że mi winszują mojej dobrej miny. Szarabnik przesuwiał się między ulewami, wciskał się na moment między chmury, uciekał od nich śpiesznie, tak że ledwie pokropić mnie zdołały, i to tak lekko, że w dniu jednym spotykałem błoto i kurzwę po wiele razy, a chłód tak był miernym, że uniknął gorąca i wszystko poszło naładzie. Dumałem o was i często nie wiedziałem, jak mnie na inną zawieziono okolicę, byłem sercem i myślą w Werbie: nic się nie psuło w powrocie, błota nie czuły konie, poczty nieuczęszczane dawały mi wypoczęte. Słowem, Bóg czuwał i wasze życzenia towarzyszyły mej dobrej doli. Powiadam ci, że pragnę, abyś szarabanikiem jechać mogła i jak twój ojciec, przelatywać przestrzeń tylu mil z równym mojemu pośpiechem i mieć twój wiek młody, a moje stare zdrowie«.

Ledwie wróciwszy, pan szef stawiał się do przysięgi i objęcia urzędu marszałka hajsyńskiego. Śmiejemy się zwykle z tego tytułu i urzędu; ale zaprawdę, ciężki to kamień u szyi to sponiewierane marszałkowstwo, na którym się za

— 316 —

wiele odpowiadać musi, a nic prawie zrobić nie może, i wielka ofiara tego, kto czując niedogodność takiego stanowiska, ochotnem sercem na powolne i zapomniane, często wyśmiane ofiaruje się męczeństwo. Weźmyż teraz, ile wysłużył Drzewiecki, jak i gdzie, i uczynmy go sobie w myśli maluczkim marszałkiem jakimś hajsyńskim, a ocenim pocziwą serca jego obywatelskiego ofiarę. Ale na pociechę szef przywiózł sobie z Werby jakieś osobliwsze piwonie, które pod oknem posadził, a jak dziecię jeszcze naiwny staruszek bawił się niemi.

Nie zmartwił się bardzo ani gradem, co mu Kunkę trochę przetrzepała, ani ciężarem gospodarstwa na Kunce i Rosochowatej razem, bo pan Karol dezerterował do Krymu i Odessy z paniami, trochę dla zdrowia, a trochę dla żyłki podróżowania. Jednak gderze pan szef w liście trochę: »Możeby Karol był zyskał na tem, żeby się do Krymu nie oddalał, a zostawiwszy żonę swoją i moją w Odessie, dojrzał swojego zbioru, bo nie myślę, żeby w Krymie dostał żeńców, a ludność Rosochowatej za szczupłą na tak wielkie i szczęśliwe plony«. A dalej jeszcze dnia 18 lipca: »Doczekaliśmy się listu od Karolowstwa, widno nieład w tym modnym wojażu. Wyjechali dnia 13 lipca pyroskafem do Krymu, wziął Karol pieniądze i zdaje się morską wodą kwit na nie napisał, tak się domyślam, bo go przeczytać nie można. W dodatku, gdy im człek zachorował w Odessie, wzięli kogoś z szynku i puścili się tak z nim bezpiecznie, jakby brzegami Renu, gdzie są miasta i oberże, do kraju pustego. Bóg to wie, czy pójdzie dobrze, a przynajmniej wygodnie«.

Byle praca i zajęcie, nie opuści wesoło i tak pisze do córki: »Wyjeżdżam do Hajsyna, co za rozkosz! Speculatory prawniki, sędzię, czynownicy, wkrótce nawet gubernator ma odwiedzić, trzeba, aby zastał czynnego marszałka powiatowego. A w opiece

nie ma ładu, siedź marszałku bez obiadu, wlażesz w kosz, bądźże grzybem... wszak tak, czy inaczej? ale wszystko jedno, a to wszystko dla otrzymania tych biednych 28 dni, aby widzieć Helunię. Na ciebie spadają tedy

— 317 —

moje kłopoty». Nic to, że urząd wymagał podróży, staruszek umiał temu podołać, do Winnicy, do Kamieńca, do Brahiłowa jeździł niczem się nie turbując, tylko tem, że listów w porę od swych podróżnych nie odbierał. I tak o podróży donosi dnia 13 sierpnia: »Gorąca były wyżej stopni czterdziestu na tamtych skałach (w Kamieńcu); lecz dziesiątego w nocy burza z gradem tak była mocna, że zmieniła temperaturę i z jedenastego na dwunasty, gdybym był przypadkiem nie miał sławuckiej opończy, którą do flanelowego płaszcza dodać musiałem, aby nie drżeć od zimna, możebym ucierpiał na zdrowiu. Bytność jenerał-gubernatora, później wizyta powiatów i uregulowanie przez lat kilka czynionych opuszczeń, które mi polecono, odjęły mi wszelką nadzieję pozyskania uwolnienia nawet na dni 28; więc nie pochlebiam sobie, abym miał szczęście być u was, służba swobodę traci. Myśmy w Kamieńcu smutną musieli wyznać prawdę o powszechnym nieurodzaju i prosiliśmy o rozebranie połowy zsyпки w oziminnie na zasiew, a drugiej połowy na wyżywienie, prosiliśmy także o niepłacenie w tym roku podatków z rozłożeniem ich na lat trzy bez sztrafów...

»Oczekuję z upragnieniem trzech książek, które mi Helunia wskazała, potrzeba rzucić się w stronę przeszłości tak bliskiej po obiegu dość długiego życia. Kruszcie się i módlcie, powiedziano wszystkim, a nie dopieroż temu, co siódmy krzyżyk ma na ukończeniu».

Przypadek złamania ręki ukochanej krewnej, matki zięcia pana Skibickiego, mocno przejął starca, o wypadku tym dowiedział się we wrześnie i w liście do córki wyraził całą boleść, jaką uczuł po tej stracie.

»Za wiele, za wiele przykrych uczuć myśl moją tłoczy, przecież jest Bóg, wyście zarobili na jego opiekę, to jest tylko burza, co poprzedza nowy wschód słońca; nie wierze nieszczęściu, nawet kiedy to piszę. Dziś jest ósmy (dodaje), Narodzenie Matki Najświętszej, byłem w kościele i lżej mi na sercu... był ksiądz Józef, Kapucyn, dawniej prowincjał, co chrzczył Karola, oddałem Bogu nadzieje moje i jestem

— 318 —

Spokojniejszy: Bóg nas nie opuści, wytrzymaliśmy tyle prób cierpliwości, mamy jedno więcej, czas zmiłowania nastąpi po niej».

W Odessie panie podróże miały wypadek z końmi, które je poniosły i powóz pogruchotały, a stary legionista także coś podobnego w Hajsynie doznał. »Przyjechałem do Hajsyna z Przeddziekiem (pisze w tymże liście), który moim powozem pojechał na ogląd owiec księcia Anhalt-Ketten; ja potrzebując kogoś widzieć dalej mieszkającego, wziąłem wózek obywatela za interesem do mnie przybyłego i konie mnie uniosły za miasto po pięknej równinie ku Hrusce. Gdy się wstrzymały, nie chciałem ich więcej próbować i wróciłem piechotą. Rozpieczętowałem list, który mi tylko co z poczty oddano, a pierwsze słowa, jakie w nim znalazłem,

były o przypadku z ponoszenia koni. Czytałem je, tylko co sam doznawszy podobnej przygody. Alboż nie dziwny wypadek? Materyał do pamiętników, gdybyśmy je pisali, ale my czytać stare wolimy, bo i pisać mi nie wesoło, jak i żyć».

Szał urzędowania, jak go w liście jednym zowie Drzewiecki, chwycił go, ilekroć miał co do spełnienia, i nie opuszczał aż w spokojnej Kunce, do której z Hajsyna powracał oddychać w najlepszym zdrowiu, póki trwała pogoda. Ale mu tu długo odpoczywać nie dawano. »Byłem na granicy powiatu (pisze 1 listopada) rozstrzygać sprzeczki między przewrotnymi; każdy chce widzieć sprawiedliwość po swojemu, a ten najmniej stęka, którego odarli, oto cała korzyść z tej podróży. Niebo było w takim stanie, w jakim mi go malujesz, droga niewygodna, ale niemiłą podróż osłodziły po drodze odwiedziny domów gościnnych. Dziś w winnicy pańskiej zaczyna się winobranie, to jest pobór rekrutów: przykry obowiązek dla biorącego, niemalarska postać obrzędu, a jeśli się wzdygną artyści i matki zapłaczą, wąsate kapitanowie spojrzą łakomie, pragnąc szerokich łopatek. Dni 24 odbędę w Hajsynie, mieście więcej do Łokacz niż

— 319 —

do Włodzimierza podobnym, a jeśli Bóg za grzechy nie policzy, to czas gorzko stracony».

Pobór trwał dłużej podobno, niż czas zamierzony i siedmset ludzi przyjąć na nim było potrzeba; zmęczył się dobrze staruszek, ale i to wesoło przeniósł, jak wszystkie najcięższe życia obowiązki. Początek roku nowego (1840) zasmuciła wiadomość o zgonie jedynej córki jenerała Kropińskiego. Serce szefa uczuło ją tak żywo, jakby własną stratę. »Powróciłem do Kunki (pisze dnia 8 stycznia) i znalazłem list księcia Kaliksta wzywającego mnie, abym zapłakał z nim — czułem, że mi to miejsce wybrać należało, ale przyjechałem do Kunki nazajutrz po dniu smutnemu obrządkowi poświęconym i spełnić tego nie mogłem, jak tylko w oczach Boga zapłakałem na nędzę człowieka i prosiłem o litość nad resztą tej rodziny, co może nie prosi za sobą. Zresztą nic to wprawdzie nowego, ale sercu zawsze się nowem wydawać nie przestanie».

Oto kilka słów o kontraktach: »U nas jest to chwila sztucznych kłopotów przed wyjazdem do Kijowa: ci, co się pysznili kredytem, gniewają się na natarczywe żądania zwrotu, jakby pożyczać tylko umieli; ci, co coś zebrali, filtrują każdego, żeby później nie cierpieć za wiarę. Obmowa majątkowa albo odgłosy fałszywej możliwości są w ustach każdego, u jednych co krok: to magnat, u drugich każdy prawie bankrutem. Biedne ludziska, których podstęp nieuczciwy w znacznej liczbie chleba pozbawił, nie widzą jeno samych szachrajów. My dzięki Bogu spokojnie spełniwszy, co do nas należało, spokojnie poglądając na to siedzimy».

»U nas odelgi, (donosi szef córce d. 19 stycznia, regularnie raport zdając ze wszystkiego) czas lekki, nawet ciepły dla tego, co lat czterdzieści, jak widział Włochy. Wszyscy się turbują utratą sanny, stękają na brak mrozów w czasie kontraktów i samych transportów. Dogodźże tu ludziom. My właśnie w samotności czytamy wojaż do Szpicbergu, jako lekarstwo przeciw zimowym tęsknotom, w domu,

— 320 —

gdzie mrozy przenikają ściany, kiedy drudzy używają powrotu czasu tak dla nas niecznośnego».

Rok to był istotnie nadzwyczajny, w styczniu rozpoczynać się zdawała wiosna. »Nadzwyczajna zmiana w powietrzu, deszcze, ciepło, wczoraj (26go) ulewa z błyskawicą: taki stan atmosfery i wniosek, co się z drogami zrobić musiało, mocno nas niepokoi. Ta noc powiększyła przykre wrażenie, ulewa przed północą, po niej wezbranie wody, tak że wzwyż grobel na łokieć wyniesiona pędem kaskady, zdawała się, że zabierze i zmiecie wszystko na swej drodze... lecz zamarzła grobla spuściła po lodzie wody i tylko na mniejszych grobelkach porobiła szkody».

»Ksiądz Brudziński przypomina o przepowiedniach na rok czterdziesty, że go Francja uważa za największy w historii, Hiszpania za rok ostatecznego sądu, Grecja za rok nowy wielkości swojej, Niemcy za rok powszechnej klęski; ja uważam go za nadzwyczajny, sprzeczny kalendarzowi, a dla podróży pani Karolowej nieznośny. Wczoraj się u nas błyskało potężnie, dziś posyłałem do Hajsyna, przejechać ciężko dla wód w okolicy wezbranych i dla tego pocztą nie doszły jeszcze.....«

Te nadzwyczajności powietrzne z nieprzyjemną dla marszałka połączyły się klęską niedostatku powszechnego. »Ja pokaszluję (pisze dnia 6 lutego), jest to zegar, który starość donosi, że już przysła; nie daje mi to złego humoru, ale co mnie smuci, to że nieurodzaj roku przeszłego w powiecie czuć się daje, a gdy się kto do policyi skarży, że nie ma co jeść, ta go do marszałka odsyła. Noszę wprawdzie imię Józefa, ale męża Maryi, a byłoby wygodniej pochodzić od tego, co był dozorcą szpichlerzy w Egipcie... Lecz tam ten siedm lat zbierał, czegom ja nie umiał: w powiecie na polu niewiele było, kiedym nastał«.

W lutym przecie przyszło znowu wszystko do porządku, sanna wróciła, a państwa Karolowstwa oczekiwano napowrót w Kunce z podróży wołyńskiej. Marszałek około ogłodzonej części powiatu się kręcił, obmyślając mu zarobkowanie

— 321 —

i przeżywanie do nowych zbiorów. W marcu wybory na deputata do nowej komisji legitymacyjnej na 26-go naznaczone, pomimo przykrej pory wywołałyby z domu staruszka, który niczego opuścić nie chciał, ale drogi okazały się nie do przebycia, bo do Kunki na Ś. Józef przybywających gości wołami wyciągano. Wylanie rzeki Sobu, przedzielającej Kunkę od Hajsyna, nawet z tem miasteczkiem komunikacją przerwało. W kwietniu jakoś przecie oschło, stary wyszedł do ogródka oglądać wychodzące z ziemi piwonie z Werby przysłane i niemi się bawił. »Dziś dnia 26 kwietnia oglądałem (pisze), pochwalmy się naszym staraniem, wszystkie

bowiem piwonie wyszły już z ziemi, gdy te, co później przywieziono z Tulczyna, jeszcze znaku życia nie dały. Bzy się rozwijają, sądzę, że ukwiecę nadejść mającego wnuka: będę mu ich kwiaty sypał na kolebkę, aby z otwarciem oczów Werbę znać się nauczył«.

»W tym momencie (dodaje) u nas piękniejsze niebo, niż ziemia, zima wymroziła wszystkie późniejsze zasiewy, mniej od Hajsyna ku Podolowi, a więcej ku stepom, tak że tam nawet połowy ozimych zasiewów nie pozostało ocalonych. A że to już rok czwarty, jak niebo tak skąpe dla tej okolicy, cała nadzieja na jarzynie. Lud, co powszechnie później sieje, w ogólności wszędzie ucierpieć musi i na jarzynach pozostanie; daj Boże, by dopisały, bo inaczej bieda będzie«.

Dnia 12 maja starzec powitał wnukę i dał jej imię ukochanej córki: Heleny, donosząc jej o tem listem drżącą od radości pisanym ręką. Chrzcił dziecię tensam O. Józef, Kapucyn, który ojcu jej chrzest i ślub dawał. Starzec wyraźnie odżył, ogródek, o którym oddawna nie pisał, w tym roku znowu zaczął go mocniej obchodzić, a ta siwa głowa wśród zieleni i kwiatów szczególniejszej piękności jest dla nas obrazem; dlatego ilekroć się rozpiszę o swoich zielonych wychowancach, powtarzamy jego wyrazy. Ogródek daje nam zasmak piękności Werby w pokoleniu rozmnożonych krzewów, których w wielkiej części ona była matką i dobrodziejką. »Spóźniona wegetacja bzów spotkała się ze

— 322 —

spireami, włoską kaliną i piwoniami i coś miała czarodziejskiego w miejscu szczupłym i tak do domu ciasno zbliżonym. Akacje teraz jej miejsce zastąpić przyszły, a rok wilgotny przeciągając kwietnienie, ciągle ich następstwo utrzymuje. Nawet szkody zimowe w polu dotąd nie każą rozpocząć, bo się oziminy poprawiły, a jarzyny rosną szczęśliwie. Mnie się zdaje, że ten rok jest obrazem naszych zatrwożonych nadziei, które dobry skutek uwieńczy przecie, byle tylko tak wytrzymało do końca, nie jak w roku przeszłym, gdzie grad wymłócił, gdyśmy najlepszą przyszłość rokowali. Ale to tylko o tej części kraju, gdzie Kunka, mówić można, bo za Hajsynem ku Humanowi i ujściu Bohu i na Pobereżu mocno chybiło, ku Kamieńcowi urodzaj wymieniony«.

Jakżi znów piękny i pełen spokoju ustęp w liście z dnia 26 czerwca: »W ogólności więcej smutku niż przyjemności, myśleć o tej społeczności, którąśmy w tak świetnym położeniu widzieli w czasie młodości waszej, i jak mu dziękować należy, że nasz byt mierny ocalił i spokojności domowej używać jeszcze dozwala, a mnie na ten wiek czuć, myśleć i rażno włóczyć się po tej ziemi, patrzeć na was i błagać o szczęście wasze. Takie myśli są w ustronnem życiu jedynem zajęciem po przerywających się stosunkach ze społecznością, która co moment usuwa się w przeszłość przedemną. Często widzę ludzi podeszłych, co mnie doganiają siwizną, i napróżno pytam o tych, których znałem, gdy dziećmi byli, a wnuki ich nie wiedzą już, żem był przyjacielem dziadów. Za to młoda domowa społeczność zdaje się mnie zatrzymywać na ziemi«.

W liście z 18 października jest opis okolicy jednej i zamku nowo wystawionego, który pan szef prawdziwie con amore wykonał. Jeździł on na ślub pana Oktawa Jaroszyńskiego i tak tę podróż swą córce opowiada: »Szóstego października opuściliśmy Kunkę, jechaliśmy na Ładyżyn, jakby Izraelita przez zniszczony Syon, wiele to drogich sercu wspomnień snuło się w myśli! Tam Boh przebywszy i zamknąwszy oczy, wyjechaliśmy dalej, trzeba nocować

— 323 —

w Wierzchowce, noclegi w naszym kraju nie należą do rzeczy najlepszych. Stam tąd siódmego dojeżdżaliśmy do zupełnie obcej krainy, hajdamacką zwanej. Szpak jeden z osadczych łotrów zebrał gromadę, lecz nie utworzył Rzymu. Szlak wielki hajdamackich napadów nosi dotąd jego imię. W kraju górzystym i leśnym po długim ubiegu czasu nastał nowy właściciel i zawstydził się nazwiska Rozbójnej, w której zamieszkał, nazwał ją Czarnominem, ale nadzwyczaj ozdobił. Trzeba było wytrwałości, aby łożyć lat szesnaście nakłady w jednej stałej myśli i planie i doprowadzić ją do tego stopnia, na jakim zabłysły przy ślubie córki. Na wysokiej górze, panującej nad okolicą, w miejscu skąd łotrzy śledzili kraj sąsiedni, stanęła budowa w guście włoskim czworoboczna, kolumnami korynckimi ze wszech stron ozdobiona, spadek góry stał się przystępny, widoki obszerne ze czterech balkonów na rozległe okolice. Wielki las przecięto aleją, która naprzód do zamku prowadzi przez piękny zalew wody, okazując jedną jego stronę w ramie ozdobnego lasu; dalej dwie szerokie doliny, niegdyś hajdamackie łóżyska, dziś warte zdobić okolice stolicy. W odległości wieś więcej zabudowana, niż porządna, której ogrody spadają ku wodzie i razem śliczny robią widok. Zajazd przed dom obszerną ze starożytnych drzew aleją, a w okolicy Wierzchówki letnie dęby koronują wzgórza i są zostawione tak trafnie z wyciętej puszczy, jakby ją ludzka ręka sadziła za czasów Ludwika czternastego, bo w tym smaku właśnie urządzono okolicę. Nowoczesny dom zdaje się przedrzeźniać z dawnego Szpaka pomieszkania i należećby powinien do Lubomirskich, dawnych i możnych Pobereża właścicieli. Dwa salony włoskie, zdaje się, że przypłynęły morzem Czarnem wzięte gdzieś z Apeninu«.

Uwolnwszy się od nowego poboru rekrutów, na jesień siadł w domu, troszcząc się tylko gospodarstwem i dziećmi swemi. Na święta wybrali się wszyscy do Tywrowa.

Coś jednak zdrowie szwankować poczynąło, a starzec i na to poglądał z pogodą sobie właściwą. »Moje zdrowie

— 324 —

(pisze w lutym) tem bezpieczniejsze, że wraca powoli, naprzód uczyć się chodzić i choć z pomocą dla ostrożności, ale codzień po pokoju cztery wersty uchodzę. Dziś pierwszy raz jeździłem na spacer, czas był piękny, sędzę, że każda przejażdżka będzie coraz korzystniejszą i jak się napowrót oswoję z powietrzem, wygrana przy mnie zostanie, bo wewnątrz czuję zdrowie w sobie. U nas dotąd czas śliczny, pogoda, choć śnieg taje, ale drogi nie psuje«.

Wszystko go zajmowało i zdrowo umiał sądzić. Była to chwila, w której się literatura żywo rozwijać zaczynała w prowincjach naszych; oto co o niej powiada (13 lutego 1841): »Z kontraktów napłynęło książek polskich bez końca w okolicę naszą i byle oczy starczyły, możnaby rok cały opędzić, czytając je; może z nich wiele nie przetrwa próby czasu, ale jak zadziwiającą ta literacka gorączka, w której każdy nie tylko pragnie pisać, ale pisze wiele; przechodziło oświecenie i talenta kolejną po ziemskiej kuli, zdaje się, że teraz wzięły drogę przez ziemię naszą, dążąc zapewne dalej z pośpiechem, jak po żelaznej kolei, ale najdziwniejsza, że to nastąpiło w czasie, gdy właśnie język najmniej miał do rozwinięcia pomocy«.

Pomimo tak czerstwo i w pełni przechowanego życia znać jednak wiek coraz więcej ciężący na starcu.

»Ja przetrwałem dwie części zimy, jak stary dąb kunczańskiego lasku, a choć na marzec drży starzec, ja się nie boję, bo moja dobra rodzina uchwala mnie od złego. Co dzień przecież chodzę, połykając powietrze, jakim Bóg darzy, i to mnie wybornie służy; jestem sobie przygłuchy i to w czas właśnie, kiedy słuchać nie ma czego. Jak się zjadę z wami, głos wnucząt przebieje zawady«.

Oto kilka myśli o wychowaniu, które w liście lipcowym z powodu projektów PP. Skibickich kreśli:

»Im więcej wymagamy, tem się większe przedstawiają trudności, tu mi się przecie łączyć zdają: zastanowienie się przy wychowaniu nad ogólnym postępek świata i nad potrzebą niestracenia rodzinnych uczuć, związanych ze szczęściem

— 325 —

i spokojnością domowego życia — tu się jedynie łączyłyby mogły te dwa warunki. Cnotliwy przyjaciel matki nie da zapomnieć kraju, jego obyczajów, zastosuje i skieruje uczucia do potrzeby i nie zrobi dziecięcia cudzoziemcem, chociaż je oswoi z europejską oświatą, stosowując ją do przyszłych jego przeznaczeń.

»Posyłają dzieci za granicę, aby wiadomości nabyć mogły, lecz w rękę obcych nabywają razem wstrętu do swoich i przynoszą z sobą zaród niesmaków, które się w domowym życiu odbijają. Lecz (kończy z delikatnością najwyższą) chcę szanować nawet przeczcucia tak dobrego ojca«.

W tym roku skończyło się marszałkowskie urzędowanie pana szefa. Oto jak opisuje wybory nowych urzędników, które miały miejsce we wrześniu:

»Piękna jesień u nas, a ja nie w drodze, zazdrościłbym Karolowstwu przyjemności, gdybym im czego mógł zazdrościć. Kamieniec był ożywiony, wielu artystów muzyków, chcąc z przeszłego czasu korzystać, dzień i noc bawiło publiczność, zdaje mi się, obojętną na te przyjemności. Trzeba było narzucać bilety, wymagać ich przyjęcia. Śpiewaczki śpiewały o południu, konne sztuki, po nich teatr, po sztukach koncerta, w wieczór tańce..... ani chwili spoczynku. Pobożne śpiewy greckiego kościoła przed zaczęciem wyborów, mowy biskupie przy przysiedze, wszystko to jedno po drugiem bez wytchnienia znużyło nas tak, że każdy uchodził, potem szukając spoczynku przede wszystkim. Może być, że to ja moje tylko tylko opisuję uczucia, zatem przepraszam was za tak chłodną relacją. Mieliliśmy wielką rzecz pod ręką. Przysłany z Petersburga, a mieszkawiec Kurska, niegdyś wychowaniec Krzemieńca Studziński, jeśli mnie pamięć nie zwodzi, proponował w imieniu domów handlowych i asocjacji we Francji zakupno kroców czwartni pszenicy w guberniach morzu Czarnemu przyległych, na lat dziesięć, po cenie rubli asygn. piętnastu za czwart w Odessie. Brał na siebie spławnym uczynić Dniestr, rzucić do niego drogę żelazną od Tyraspoła do Odessy, słowem porobić cuda.

— 326 —

Zdawał się mieć nadzieję protekcji rządowej, okazywał listy hrabiego Czernyszewa do pryncypałów swoich i pragnął, żeby gubernia prosiła Cesarza o pozwolenie wejścia w podobne układy. Lecz że na lat dziesięć zbiorową taką propozycję uskutecznić byłoby trudno, uformowano szkic takiej umowy, do której pojedynczo każdy przystępowałby w miarę chęci i sposobności. Gubernator podolski zjechał w dniu ukończonych wyborów tylko samą przysięgę nowych urzędników przyjąć. Były przygotowania do wielu pojedynczych szarmylców, ojcem mnogich był Stanisław D. z interesu jeszcze przeszłej zimy. R. miał mieć rozprawę z Ko., Da. z De., więcej nie pamiętam. Supremacya wyborowa została przy Przeddzieckim, stronnictwo niechętnie upadło. B. sprowadzili na postrach, ale się w czas wysunął, Ru. starasowano. To nowiny dla Karola, który zna osoby i rzeczy. Bobr i Dębowski z Przeddzieckim delegowani do Petersburga z prośbą podług zwyczaju, żądano rozciągnięcia prerogatyw rosyjskich na te gubernie i wybór urzędników zastąpiony w nich przysyłanymi od korony...«

W jesieni, choć wiele chodził i jak mógł, się trzymał, przybolał jednak staruszek, ale wesoło o tem pisze, jakby nie o sobie, a starając się dzieci zabawić, w listach obok wiadomości z domu o przyjętym na nowo starym słudze Bazyliem mieści wiejskie przygody i co tylko schwycić może. Jużciż ten pan Bazyli wart wspomnienia.

»Przybyła w Kuncie (pisze) malownicza figura, a tą jest pan Bazyli — siostra go zapewne pamięta, wzrost półolbrzymi, choć dawniej odemnie żyje na świecie; starość go ozdabia, choć mu sił i czerstwości nie odebrała. Był on niegdyś ozdobą ekwipażów ślubnych, zaczynał od pana Ksawerego, był u Swiejkowskich, u Izydora Sobańskiego, zatrzymał ręką jedną powozy z krzemienieckiej góry, z wiekiem usunął się do starych, przeżył państwo Antoniowstwo w Hruszce, panią Jałowicką w Horpaczce, a rozległe koło życia obiegając, wrócił, skąd służbę zaczął, u brata mojego, i jest u nas murgrabią i powiernikiem«.

— 327 —

Zima zawsze była trudną do przebycia, ale ta zdaje się nie uszkodziła jego zdrowia.

»Byłbym doskonałą machiną człowieka (pisze w styczniu 1842), gdyby mi się kolana nie zginały bez potrzeby, a choć to lekarze za rzecz przechodnią uważają, mnie, co radbym nie zależeć od drugich i jak najmniej potrzebować usługi czeladzi, robi to nadto zawisłym od niej, a jak nie są pod ręką, brakuje mi wiele.

»Chodząc potrzebuję pomocnika przeciw zginaniu się nóg, na schodku każdym już sam nie wydołam. Niepocziwe kolana więcej od wszystkich komór stają na zawadzie do podróży; bo nieoglądając się nawet na wypadki z zimna, coby to ludzisków potrzeba, aby nie upadać: przyjechałbym z ludnością pojedynczego domu, jakiegoś dawnego magnata; przypominam sobie Gruję na Wołyniu, kiedy do Warszawy wjeżdżał, a uliczne chłopcy zdziwione taborem, ulicami go prowadziły».

Wstrzymany niemocą w domu, listami się pocieszał, a jak go każda sprawa obchodziła, z nich widać najlepiej: śmierć biskupa, wybór nowego, którym wszyscy mieć pragnęli hrabiego Stanisława Chołoniewskiego, zajmowały gorąco staruszka.

»Myśmy utracili biskupa (pisze 4 lutego), Boże świeć nad duszą jego; mówią, że go zastąpi hrabia Chołoniewski, zasoby umysłowe ma większe, majątkowe byłoby ku wsparciu, sędzę, że i gorliwośćby nie brakło, a tej właśnie potrzeba połączonej z rozumą. U nas polemika literacka trochę do kłótni podobna obudzą z letargu czytających. *Mieszaniny* ściągnęły krytyki *pomieszanie*..... Blask dowcipu i stylu R. jest wyższy, krytykę, mówią, pisał G. Olizar. Ale co mnie zabawiło, to że się znalazł między bardami: pomyślałem, że musiał piszący obawiać się być pokąsanym, kiedy taki kół ze starego płotu wyłamał, aby się nim oganiać«.

W notatkach tych, których zaprawdę bez wzruszenia i czi dla charakteru człowieka w rękę wziąć niepodobna,

— 328 —

jest na dzień 18 lutego 1842 wiersz, który zachować chcemy, pełen rozczulenia i nie bez wdzięku, który szef przejęty wdzięcznością pisał drżącą ręką do żony:

W dniu 18 lutego 1842 r.

Powiedz, jak dawno, powiedz mi, dni wiele,
Jakoś mi miłość przysięgła wzajemna,
Jak cię ślub święty, żono, złączył ze mną,
Jak w dom nasz wniosłaś wesele?

Powiedz, bo odtąd dni tak szybko płyną
I tak się mile chwila z chwilą spleta,
Że te, com obok ciebie przeżył lata,
Zdają się jedną godziną.

Znane mi czucia lotne, jak motyle,
Uciech światowych ułuda nietrwała,
Znałem rozkoszy wonią tchnące chwile,
Tyś szczęście poznać mi dała.

Bo z tobą weszły za mój próg domowy
Pokój, swoboda, przyjaźń bez odmiany,
Tyś to na czoło osiwiłaś głowy
Włożyła wieniec różany.

Zeszło nakoniec, jak zorza na niebie,
Godło nadziei i przyszłość w pogodzie,
Helenka kwitnie w rodzinnym ogrodzie,
My z nią szczęśliwi — przez ciebie.

Ile to tam było życia w tej piersi siedemdziesięcioletniego starca! ha, ha! my się tak nie dobijemy do siódmego krzyżyka, tej siły, tego spokoju, tych uczuć nie ma w piersi naszej podobno...

»Dziś Józefa (pisze w marcu), prosiłem Karola, żeby odciągnął 1772 od 1842, ale taki leniwy, że tego nie zrobił, jeśli się nie myślę, to siedemdziesiąt kończę... dosyć się nażyło«. Zabroniono mu na chłód się narażać, zamknięto w domu, co mu przykrość wielką robiło, ale i to wesoło i żartując sobie znośił, patrząc przez okno na śnieg w kwietniu padający i wyglądając ciepła, aby wyjść do ogródka.

— 329 —

W tem niespodziewany i srogi cios dotknął go, jako ojca: ukochane dziecko, Helena Skibicka, której zdrowie od dawna groziło tą katastrofą, skończyła dni swoje... Pierwszy list starca po tej stracie, pełen najgłębszego żalu: »Od zacementowania dni opłakanych pierwszy raz odrętwiały umysł i serce pozwalają mi pisać do was..... wy to pojmiecie, co się działo w sercu ojca nieszczęśliwego, wy, coście ją oceniać umieli..... Podobało się Najwyższemu dać nam krzyż do zniesienia. Dziś dopiero pozwolono mi odczytać list, w którym opisana klęska językiem żalu, i drugi, który wczorajsza poczta przyniosła....« Ta śmierć pochylała go, znać w pismach osmucenie, zubożenie, jakby przecucie niedługiego już życia.... wspomina, że stoi nad grobem, pisze krócej, snąć mu to przychodzi ciężiej. »Zdrowie moje ładajakie (mówi w liście z dnia 24 czerwca), nie poprawiła go wiosna, zdaje się, że i lato go nie powróci, wiek sprawił rumaczą, na którą widzę, że wiele stracić przyjdzie. Nie ma nóg, co tyle ziemi przeddeptały, ani zdrowia, co tyle przygód wytrwawszy przeżyło, dziś wszystko trudne, umysł przybity, siły wątłe, ale że się tego spodziewałem, przygotowany wstąpiłem w starość, a i zgrzybiałość z pokorą znośić pragnę... Nie masz już tych, co ze mnie wzięli życie; żyłem w pracy lat siedemdziesiąt, na jednego dosyć dobrego i złego«.

Mało tu już wypadków, mało nowości w listach, które są tylko przypomnieniem się rodzinie i wylaniem pocziwego serca; wszakże obchodzi go powodzenie przyjaciół, gospodarstwo, interesa cudze, kłopotuje się i chwilami jeszcze powraca mu swoboda umysłu dawniejsza; najwięcej go męczyło, że w jesieni już, a tem bardziej w zimie całkiem z domu wychodzić nie mógł. Więc powoli dni samotne płynęły...

Listy nie tak już często chodziły do osieroconej Werby, ale stary znajdował w nich pociechę i pisał jeszcze. »My tu (pisze w styczniu 1843) co do towarzyskiego życia, na dzień Trzech Króli hulaliśmy w domu naszej okolicznej królowej w Wasylowie, dni trzy balowano, a cztery tańczono

— 330 —

jeszcze; myśmy dla stanu zdrowia ledwie się na dwa dni przydać mogli, trzeciego wróciliśmy do domu. Dostatek świadczył o możliwości, a uprzejmość była gospodyni obrazem, hulano z całego serca, było do czterdziestu i więcej męszczyzn, a dwadzieścia tancerek. Zmarł w okolicy książe Godfryd Czetwertyński. Oto są i wesołe i smutne nowiny, jakieśmy tylko mieć mogli... Tych nowin jednak już w listach coraz rzadziej, a listy krótsze, często tylko przypisek. Na dopełnienie żalu i strapienia nowa przyszła klęska ze śmiercią krewnej, siostry, przyjaciółki: pani Skibickiej matki. Starzec pisał do osieroconego zięcia, chcąc znaleźć słowa pociechy, ale mu ich już brakło, wyczerpywało się męstwo... »Po kolei czasu wszyscy tam pójdziemy (woła smutnie) — korzystajmy, póki użytecznymi być możemy, a resztę zostawmy Opatrzności«. Ta myśl: być użytecznym do końca, jak widzimy, trwa najdłużej w nim i przeżywa wszystkie inne, ona go podtrzymuje.

»U nas (pisze ku końcowi tego roku) jednostajność jest życiem, a wspomnienie szczęściem...«

I tak samo dalej, i zawsze tak samo: modlitwa, westchnienie ku swoim, przywiązanie do przyjaciół starych.

»Zdrowie moje poprawia się codziennie (donosi w marcu 1844), lecz z ostrożności nie wychodzę z pokoju na marcowe chwile. Tu podobno mało jest rzeczy, o których pisaćby nam warto, bo mało kogo widzę. Zima chce nas rzucać, ale wiosna na jej miejsce nieśmiało wstępuje i jeździmy po bezdrożach«.

Wybierał się pan szef do Odessy i ta myśl go bawiła, bo choć wiek przykuwał do ulubionej Kunki, zajęcia i nowości pragnęła niezmordowana dusza. »Lekarze każą Kostusi morskie kąpiele (donosi dnia 27 maja) i kładą je za warunek zdrowia, a mnie przyrzekają sił wzmocnienie, wreszcie i miło mi być razem, gdy jej tam kilka niedziel być wypada. L at już trzydzieści, jak się tam nie znajdowałem, zobaczę zatem, ile Odessa urosła, bom znał dobrze jej niemowlęstwo, powinna mi się okazać jak rzecz nowa całkiem,

— 331 —

tak być musi od dawnej różna. Może też znajdę tam jakiego starca, co go w średnim wieku znałem; albo jakie dziecko, com je na ręku nosił, dziś już poważnym negocjantem«.

Znać z odpowiedzi, że pan Skibicki zapytywać go musiał o jakiegoś legionistę pana Zagórskiego, na co dobrze pamiętający wszystkich towarzyszków braci pan szef odpowiada: »Pamiętamy z Tomaszewskim pana Zagórskiego, on z nim nawet razem do legij wstąpił, znał jego brata, który w domu Zaleskich pod Skwirą przebywał, będąc ich domu przyjacielem, najgodniejszy człowiek, najzdolniejszy oficer, lecz od czasu wyprawy do S. Domingo nasze stosunki się przerwały, bośmy oba od niej uciekli do domu, a Tomaszewski przeniósł się z okolic, w których brata jego widywał i czy żyje, nie wiadomo«.

Projekt wyjazdu do Odessy zachwiał się był, jednakże przyszedł do skutku i Drzewiecki taki nam daje obrazek z podróży:

»Dojechałem zdrów, lecz mi się kraj wydał nowym, lat trzydzieści i kilka, jak go przejeżdżałem, miał wtedy postać tylko co opuszczonego od Turków, zaledwie poczynającego osiedlać ludem, który i u siebie niewielkie miał porządku pojęcie, któremu brakło zasobów, ani ich mieli ci, co go osiedlali, co w krainę idąc nadmorską żadnego przemysłowego nie przynosili usposobienia. Był to mało co więcej, jak lud koczujący, co przeszedł z łopaniek na nędzne chaty i brudnymi karczmami powiększył osady swoje.

»Odessę później już odemnie widziałeś, myślę, żebyś jej teraz nie poznał, cóż dopiero było ze mną, com ją widział w początkach jej osiedlenia. Zdaje mi się, że przedpotopowy, któremu po kilku wiekach dozwolono powrócić na dawniej znajomą mu ziemię, takie było moje podziwienie. Nie powiem, że równo doświadczył w podróży. Step przypomina się w wielu miejscach, że się niewiele odmienił, w niektórych błyszczą okazałszy cerkwie lub rządowe gmachy obok śladów koczującego dawniej ludu. Niezasobni właściciele mało gdzie wzniesli nawet własne pomieszkanie,

— 332 —

któreby o postępie kraju zaświadczyć mogło, chociaż nic nie jest bez wyjątku. Zastaliśmy handel zbożowy niekorzystny na ten moment, napływ zboża wielki zdaje się być przyczyną zniżenia cen, nieumiarkowanego nawet, ale to z zapotrzebowaniem ożywić się może. Miasto ożywione napływem z Podola; dotąd ze znajomych są Ignacy Plater, Ksawery Sabatyn, Jełowicki Eustachy, zresztą obcych osób wiele. Oglądając obszerne, ozdobne mieszkanie, w które nas opatrzone, myślę, czemu nie przewidziałem i nie ublażałem sobie szczęśliwych godzin, czemu my tu wszyscy nie jesteśmy razem? a czego by nie dokazały wody morza, szczęście domoweby dokonało. Stoimy w bardzo stójnym i obszernym domu księcia Kantakuzena, gotycki, cały z ciosu, wewnątrz olbrzymie zwierciadła, marmury, widok z balkonów na morze, wewnątrz zbytek nawet urządzenia. Ogródek z plant kosztownych i rzadkich, tkanki jedwabne, meble najświeższe. Aleśmy tu tak sami.... żyjemy odludnie wśród zgiełku, którego się obawiamy, oprócz do morza, nie wychylamy się z domu. Lecz po spoczynku ruszę między ludzi, z których znajomi mnie odwiedzają, wtedy będę w stanie dać ci słabe wyobrażenie towarzystwa i tego postępu miasta, co mnie dotąd zadziwia uroczą wielkością, do której w oczach mych poczęte dojść mogło«.

Żal nam bardzo, że więcej listów z Odessy nie znajdujemy. Wrócili już PP. Drzewieccy w lipcu do Kunki i kąpiele obojgu im posłużyły, a staruszek znacznie orzeźwił. W jesieni nawet objeżdżał sąsiedztwo i mógł się z domu ruszać, bo czas był bardzo pogodny i piękny. Ku końcowi tego roku rozpoczął pan szef pisać powoli pamiętniki swoje i w grudniowym liście o nich wspomina: »Na naleganie Karola piszę okruciny z przeszłości mojej, lecz nie przygotowałem do tego materiałów, trzeba wyciskać z pamięci,

dałby Bóg, żeby nie było trudniej, jak dusić cukier z buraków. Namazałem arkuszy wiele, co najpewniej, że posłużą na podpałkę cygarów dla uczonych gości, lecz kilka godzin czasu przechodzi w pracy, a to zajęcie nie dokucza mi

— 333 —

wcale; a że miłość własna już zastygła we mnie, cenię to, jako zabicie czasu. Kiedyś widziałem małą broszurę listów Kniaziewicza do Wybickiego; jeżeli ją dostać można, tobyś mi łaskę zrobił, bo nikogo się nie radząc, mogę wpaść w omyłki, na pamięć się spuściwszy«.

Na S. Józef 1845 dosyć z rodziny i przyjaciół Drzewieckiego przybyło mu powinszować starym zwyczajem, mimo zwykłych w tę porę złych dróg. Zachęcany przez wszystkich, aby pisał historią swoich czasów, starzec skromnie się z tego wymawiał.

»Zabijam tylko czas (powiada w liście 23 marca), gdy co drobnego piszę, ale porwać się na historią nie mogę, nawet od was bałbym się surowego sądu. Lecz wy, co słusznie pragniecie ocalić niknące pamiątki, wołajcie na generała Chłopickiego, wzywajcie generała Kosseckiego, oni byli zaszczytem epoki, oni przetrwali olbrzymia nowych czasów, oni widzą z bliska dążność

dzisiejszą i osądzić ją mogą z wyższego, niż ja, stanowiska. Legie są wprawdzie ważną epoką pod względem ducha narodowego, biegł do nich każdy będąc reprezentantem przekonania, które go na ziemi ojczystej owionęło, niósł ofiarę z siebie i czuł, że dopełniał powinności, rzucał kraj, krewnych i ciszę, najczęściej siedł nie umiejąc języka między obce mu ludy i to jest prawdziwą legionistów zasługą.

Śmierć biskupa Piwnickiego, zmiany powietrza, rodzinne wiadomości stanowią treść dalszych tego roku listów, coraz krótszych; pamiętniki nieco się wstrzymały, ale szef wspomina o nich w sierpniu:

»Co do pamiętników, są to rzeczy, które zwykłem bazgrać w jesieni, bo latem otwieram oczy, przypatrując się ozdobnej przyrodzie świata, z którą się pono wkrótce pożegnać przyjdzie. Niegdy dzielny, dziś upadł umysł przyciśniony wiekiem, imaginację zastępuje wielomówstwo, a doświadczenie wskazuje, aby się nie porywać za granice zdolnością każdego oznaczone. Co piszesz o pamiętnikach, bardzo mi drogie; jest to piękne ziarno rzucone na płonną

— 334 —

niwę. Kiedy każecie pisać, będę, tylko nie teraz, w jesieni znowu, gdy mi ruchu i powietrza zabronią. Teraz jak egoista, żyję dla siebie, chwytam oddech i wygrzewam się na słońcu, póki jeszcze dla mnie świeci... Krzemieniec, świadka mych dobrych czasów, tylu miłych wspomnień, z całym swym obrazem mam sobie przytomnym, wyście w nim przeskakali młodość, ja dni szczęścia przebyłem. Od jego wyjścia na scenę użyteczności aż do spełnionych ruin byłem uczestnikiem jego życia; źle robią ci, co go obmawiają, nic nie wzniosłszy lepszego. Krytyka łatwa, zawsze jest bronią zazdrosnej mierności; wydał on jednak wielu ludzi uczciwych i pożytecznych. Daj nam Boże wszystkim postępu, ja go w ustroniu siedząc nie widzę, zwłaszcza w duchu. Widzę garderobę umysłową przystrojoną w kwiatki, ale materyał zda mi się gorszy, a choć niby nowy, wytrwałości nie obiecuje...

»Do przemysłu wdawać się nie życzę, twój wiek niech się dorabia spokojnej starości, żeby dzieci miały za co ręce zacześcić. Nasz byt zależy na zbiorze odjemnym, to jest mniej wydać, niż przychodzi; byłem i ja w młodości w żądzy tego zawodu, ale w naszym kraju kończy się na tem, że zręczniejszy filut zabawi się kosztem tych, co już coś mają, i ich z sobą do utraty przywiedzie. Karol próbuje.«

Wyjmiemy tu jeszcze opis wesela (d. 24 października):

»Od Krzemieńca nie widziałem balowego zebrania, jak u Kołyski: sto trzydzieści osób w salonie, trzech marszałków gubernialnych i obywateli z trzech gubernij, mnóstwo osób młodych płci obojej. Starożytnie zwyczaję przy ślubie, po przenosinach bal u Tyszkiewicza z fajerwerkami, a stamtąd kulig po państwu młodych do Kunki. Tu myślałbyś, że jest użyte kuglarstwo, zajeżdżają psiarnie, myśliwa, gdzie o nich nigdy nie słyszano, miłe sąsiedzkiego lasowego obwodu otaczają sieci, błakają się po polach rogacie daniela, ścigają je damy, a sto jeźdźców broni, aby z pomiędzy myśliwych wysłiznąć się nie mogły. Biją wilki i chytre lisy, które tylko wskazaną drogą iść były zmuszone, bo je głos ogarów

— 335 —

i silne oblawy w samowładnym rządzie do posłuszeństwa zmuszały. Tańczą potem na zabój, młodzież upada na siłach, w starych się one wracają, a Tomaszewski i gospodarz za nich tańczyć muszą. Sześć dni takiej hulanki, po której Karol rusza na Wołyń; ponura cichość, w domu pustynia, w lesie wilki po szubienicach, daniela na pokarm dla podróżnych, a traktem psiarnie do domów wracające zdumiewają i wyrwają pytanie, co to tam było za widowisko w Kuncie, gdzie ledwie pies stróżliwy przeczuwając wilka

wył pod owczą oborą. Może to jak przy końcu balów silny taniec, tak i przy końcu życia tak świetne odbywam gody?»

Śmierć przyjaciela, pana Modzelewskiego, znowu przysła zachmurzyć ostatnie lata pocziwego człowieka, który więcej żył w drugich niż w sobie. »Smutną nowiną o śmierci Modzelewskiego (pisze w grudniu) tajono przedemną, żeby mi oszczędzić wrażenia. Modzelewski, zdawało się, że się chciał pożegnać z nami, całą okolicę tyloletniego swego pobytu objeżdżał, umysł jego zdawał się uspokojonym po tak dotkliwej stracie żony, twarz nawet powrót do zdrowia obiecywać mogła. Opuścił z domu naszego tę okolicę, Karol go do Płoski odprowadził, ale już w Lubarze był cierpiącym mocno i spoczywać musiał. Złe przeniosło się w serce; to serce, co w nim tyle szlachetnych uczuć rozwijało, pierwsze przyjęło zaród śmierci; mówią mi, że się zatrzymał krótko u córek, w domu rodziców żony, a do Kisielina nie dojechał. Oto mniej o jednego sprawiedliwego na ziemi.«

Taką znowu boleścią skończył się rok 1845, a począł 1846, bo te ostatnie lata stratami się już liczą dla starca osiwiatego, a przenoszącego mężnie życie, jak na żołnierza chrześcijańskiego przystało.

Ponurą zimą znowu doń kołatali swoi, aby pisał pamiętniki, na co odpisał dnia 9 stycznia:

»Gderasz, abym pisał pamiętniki, czulem twój duch w zachęceniach, które mi przyniósł tygodnik, lecz cię skuteczniej odeprę za twoim do nas przyjazdem, a jeżeli lekarstwo

— 336 —

będzie nudne, bo takie jedynie skutecznym być może, będę mówił, o czem tylko każesz i jak długo zechcesz. Przekonasz się, jak to mało z tego wyciągnąć można, jak to już znajome, a nawet spowszedniałe dla tych, co tak wielkie wypadki wieku mieli przed oczyma, jak ty je miałeś i współcześnie z równem twojemu usposobieniu wpatrujący się w społeczność, tak niewielu laty od siebie odległą. Nareszcie wielcy pisarze dzisiejsi opanowali już opinią i wątpię, żeby ktoś mając odmienne przekonania mógł je za sobą pozyskać. *Dawniej, gdy mniej pisano, gdy wiele brakło, każda myśl nowa zapelniająca dający się czuć niedostatek, chętnie była witana; dziś inaczej...* Dziś mnóstwo nowych pamiętników jest wymarzonych jedynie, aby dziwaczniemi wypadkami obudzić ciekawość i wyjednać trochę sławy na czas krótki dla piszącego. Oto jedyna korzyść, jaką mam z tego, że się poddał myśli, do której mnie od dwóch lat skłoniłicie, ale porzucił pisanie i wolę gotowe czytać teraz, choćby się z niego i roześmiać przyszło. Mam tę korzyść, że cofając się miłość własną od śmieszności osłonił. Oto szczere wyznanie, Karola już wyleczyłem z nalegania, a jak przyjedziesz, dam ci taką przerwatwę, że i ty uleczony zostaniesz.«

W istocie pamiętniki przerwane zostały, nakłonić się już nie dał starzec, aby je dalej pisał. Miałli słuszność? Nie sądzę. Cóż z tego, że byłby pisał ze swego punktu widzenia o epoce swojej i następującej? to właśnie pamiętniki jego uczyniłoby zajmującemi. A że żywo malować umiał, to i z pierwszej części notat i z listów dowodnie widzimy. Z każdym starcem ile to nam rzeczy, ile tajemnic niepowrotnie umiera! dobrze choć odrobinę ich ocalić.

Dla mnie i to ciekawe, gdy starzec wspomni, jakie na nim wrażenie robi literatura i to życie umysłowe, w którym on żywym współczuciem brał udział do końca. Tak w marcu wspomina w liście o chorobie Tytusa Szczeniowskiego, o utarczkach w Tygodniku, który się zabierał umrzeć

— 337 —

i konwulsyjnymi ruchy dogorywał. Smuciły go klótnie, spory, zaczepki i obrony, obawiał się wszystkiego.

A straty szły kolejną po drugiej: zwykła kolej starości, która się przedłuża ofiarą wszystkich, do których przywykła, i osamotnieniem. Umarł pan Jaroszyński (10 września 1846), zachorowała niebezpiecznie jego żona, a matka pań Drzewieckich. Każdy z tych ciosów był do starego pnia dębu przyłożoną siekierą. Stracili panią Jaroszyńską i śmierć tą razą w domu tać było potrzeba. A tu dzieci chorują, a tu pracy tyle i zajęcia, a siły tak wyczerpane. Trzeba było widzieć, jak starzec wszystkiemu sercem wystarczał!

Rok 1847 w sąsiedztwie poczynił się wesoło: wspaniałem weselem panny Lipkowskiej, chrzciniami w Andruszówce u Kołysków, balem w Wasylowie; ale z Kunki dla pory nikt być nie mógł. Pan szef tylko dopytywał ciekawie o ostatnią fetę i nawet w liście o niej zięciowi donosił.

»Bał trzechkrólewski godzien był tego nazwiska (pisze). Nie wątpię, że tak być musiało, wnosząc z gościnności pani Sobańskiej, która sama pisze, że się udał zupełnie. Wierzę fantastycznym opowiadaniom wracającego pana S., co tam był do usługi wezwany. Sto kilkadziesiąt osób pomieścić zimą na wsi z końmi i ludźmi, z okazałością i wygodą wszystkich do najmniejszego, przez kilka dni ciągle, to rzecz niełatwa. Pan S. opowiada: Służyłem po możliwych domach i znam się na balach, ale tak porządnego nie widziałem; co za ozdobne tualety dam, jaka rześka młodzież 1 jedenastu kucharzy gotowało, dziesięć pudów cukierków zjedli! sto

pięćdziesiąt butelek szampana wypili, sto pięćdziesiąt par kuropatew skonsumowali, a cietrzewi, pulard, dzików i jeleni nie brakło; z antała rumu nic nie zostało. Stary węgrzyn nie był pod moim dozorem, mówi S., ale secina butelek pewnie się wypróżniła. To dla panów; dla ludzi także przez cały dzień stały bufety otworem, a poblizsi żony i dzieci poprzywozili, by pańskiego popróbowały chleba. Dwudziestu czterech muzykantów z nóg się waliło, grając ciągle,

— 338 —

usługujący ostatniego dnia ledwie się już włoczyli. Władysław Br. zachęcał i dokazywał, Potoccy popierali sprawę, młodzież skakała niezmiernie. Co do osób, byli Potoccy z Tomaszpola z rodziną, z Peczarskich męszczyźni, Działyński i Bierzyński z Wołynia, Sułatycki z Kamieńca, domy Lipkowskich, Kołysków, Tyszkiewiczów; Szembeków dom cały, pani Sobańska z Dziuryna, pani Brzozowska z domu Zamoyska i wielu tego imienia, Jaroszyńscy; w ogólności młodzież z Kijowskiego, Podola i Wołynia. To wszystko, co mógł S. pamiętać i ja dopytać się mogłem. Pan S. admirał żałobny taniec, któremu 13 r. przewodniczył: część instrumentów muzycznych złożonych w kupę była znakiem pogrzebu; taniec chmurny, lży z szampana. A panie jakie śliczne! mówił S. Tak tedy dawna polska gościnność i uprzejmość znowu się okazała na szlacheckiej Ukrainie i to z postępem i udoskonaleniami.

»W tym roku, gdy ucywilizowane ludy błagają chleba, rolnicza Ukraina, co im go dostarcza, bierze ich kosztem postać nawet ozdobną.

»Leż że bez przypadku obejść się nie może, otóż jechał na to zebranie pięknymi końmi nasz Józef Jaroszyński i prawie u wrót, bo w Bohdanowie żydkowie, co za nim jechali, tak się zręcznie uwinęli, że mu pięć koni skradli ze stajni brata i nie ma dotąd śladu.

»Widzicie, że muszę być sam jeden, kiedy mam czas opisywać te fraszki«.

W marcu niepospolicie pamiętnym przyjechał ściągający powszechni entuzjazmy Liszt i grał w Niemirowie. »Czasy Catalani (pisze staruszek) przeniosły się nad brzegi Bohu«. Trzysta przeszło osób zjechało się słuchać europejskiej sławy artysty. Dnia 8 marca stanął Liszt z Ks. Wittgensteina mi w Niemirowie, 9-go grał, a 10-go miał do Kamieńca dalej wyruszyć, stamtąd do Lwowa, z wiosną do Odessy, Konstantynopola i Ameryki. Ale podobno ta podróż zmieniła projekta innych. — Z Kunki wszyscy byli w Niemirowie

— 339 —

prócz szefa, który się na taką porę ze swem zdrowiem ważyć nie mógł.

Po tym szale chwilowym znowu cisza wiejska. W kwietniu się wybierano do Odessy, pod Winnicą stał obóz, przyjechał Cesarz, który zajął Strzyżawkę; W. książę zaś Pietniczany, a feldmarszałek Woronowicę, majątki Grocholskich. Wojska ścigały się na ten wielki przegląd.

Snać niezrażony odmowami zięć nalegać musiał na pana szefa, aby dalej ciągnął pamiętniki, bo znowu o nich w listach jest mowa, a mimochodem i o pamiętnikach Wierzbickiego, o których szef mówi:

»Czytałem przytoczone pamiętniki Wierzbickiego, a w nich nie natrafiłem na charaktery osób tej sceny. Z rodaków naszych był tam batalion ligi, był Bolesta, co go wziął po mnie, znałem pojedynczo każdego i gdyby to istotnie pamiętniki być miały, znalazłbym w nich osoby z ich wartością, położeniem, błędami, a tu znajduję tylko popisującego się pisarza. Wolę zatem historią, a odmawiam Anioł Pański za dusze znajomych i przyjaciół, którzy tam poginęli.

»Karol uciskał Tomaszewskiego (innego legionistę, z którego wspomnień był w Athenaeum Fra-Diavolo«), zdało mi się nawet, że coś zeń dramatycznego wyciągnie; biedny mój kolega uległ pod przemocą, ale zaledwie zwycięzca ustąpił, on okrucy wrzucił w kufel, w którym stare przechowuje sprzęty...

»O Czackim, jako uczonym, wiele i dobrze powiedziano, a o jego obywatelskich pracach, które czas i powodzenie zdradziły, możeby było sądzić zawczasie. Nasi literaci powoli biorą materialniejszą postać pospolitych ludzi; wczoraj widziałem T. S., który mi więcej o cukrze, niż o filozofii mówił. Wszystko teraz w spekulacją bije...

»Jakieś tu przyszło pismo peryodyczne ze Lwowa z opisem tragicznej jakoby śmierci Liszta w czasie koncertu: od huku tonów sala na głowy słuchaczy i artysty upaść miała. Druk wiadomości był wielki i wyraźny, nikt

— 340 —

nie dostrzegł drobniauchno na boku umieszczonego doniesienia, że to był puf tylko. Każdy czytał i opowiadał tę smutną nowinę, która na pięknych i oczarowanych jego wielbicielkach, z zapalem o nim mówiących, smutne czyniła wrażenie, dopóki ktoś dopisku nie dostrzegł».

W sierpniu znów ruszono do Odessy, gdzie wkrótce przyszło do skutku nabycie znacznej przestrzeni ziemi nad brzegiem morza dla umieszczenia na niej magazynów i mieszkalnych domów. Odessa była w tym roku bardzo ożywiona: Liszt, opera nadawali jej życie nowe. Starzec widocznie tem wszystkiem także odmłodził. Nawet projektowana podróż syna, który z żoną na Wschód się udawał, nie wywołała w nim egoizmu, nie wstrzymywał ich, cieszył się tem, że oni byli szczęśliwi.

»Żał mi odjeżdżających (pisze), ale póki służą lata, używajmyż świata i niech im Pan Bóg w podróży błogosławi!«

»Wyjechali stąd (pisze 24 września) w przeszłą niedzielę z południa do Odessy, skąd pierwszego października do Konstantynopola wypłynąć mają; z brzegu morza za powrotem księżnej Czetwertyńskiej mieć od nich będziemy wiadomość«.

Z innego listu dowiadujemy się, że ci, z którymi teraz myśl ojcowska w kraj daleki płynęła, istotnie pierwszego odpłynęli, w czas przyjazny i pogodę...

Staruszek trochę sobie z tej podróży podżartowywał.

»Ma Karol (pisze) w pomoc polecające listy od Liszta do Lamartina, od B. do Jerozolimy i przybocznych papieża, bodajby tylko w drodze nie pogubił; troszkę się wstrzymawszy, byłby coś zapewne i od Balzaca wyjednał sobie, bo się koło Kijowa znajduje. Był Bóg dał zdrowie jemu i żonie, to się przewietrza doskonale, a na zaletę pary i żelaza oddadzą świadectwo, jak to prędko uskutecznić można. Myślę, że w tak naglej podróży najwięcej z powietrza korzystać się daje, bo reszta więcej czasu potrzebowała, a mają za sześć miesięcy powrócić do domu.

— 341 —

»Liszt (dodaje) po odwiedzeniu obozu pod Elisawetgrodem przyjeżdżał już do Woroniniec do księcia Wittgensteina, gdzie kilka miesięcy ma spocząć na laurach. Był w Peczarze w przejeździe, o czym nam stam tąd donoszono.

»Powracający z Rzymu przez Odesę darowali mi chustkę z portretem papieża; myśl, że na chustce ten wizerunek się znajdował, oburzyła mnie, ale świetna osłona jego głowy w promienie ubranej miała drukowany akt ogólnej amnestyi i to mnie z portretem i chustką pogodziło. Wyście odbywali jubileusz, u nas o nim nie słychać; byłem świadkiem pomyślnego skutku i wrażenia, jakie w tych okolicach sprawił poprzedzający, będę żałował, jeśli nas ten ominie. U was wystawa kwiatów i cnotliwe użycie przychodu z niej, nasze wiejskie już zwarzyły przymrozki, a choć w ten moment czas mamy najpiękniejszy, ale kwiatu ani jednego«.

Tymczasem podróżni nasi 5-go października z Odessy w Konstantynopolu stanęli i pierwszy list od nich, z oberży w Perze angielskiej na wysiadanem napisany do Kunki, pełen był zachwyty z gór okrytych cyprysami, z morza, ze stolicy, z widoku sułtana, który jakby na spotkanie ich wyjechał, dążąc do meczetu w Skutari. Stąd mieli się zabrać do Beyrutu, ale statek, na który rachowali, wyszedł był przed kilku dniami, a drugi miał dopiero za miesiąc wyruszyć.

Temi listami swoich ukochanych na nowo żył starzec. »Spokojny jestem (pisze), póki im siły i zdrowie służą; wynagrodzony trud zadziwiający mi widokami natury, bo ciepło, jak u nas w czerwcu. Opisują z żywością wspaniałości i ozdoby kościoła dawnego Ś. Zofii, gust maurytański pałacu sułtanów, błękit morza i kanałów, grobowce przy domach cyprysami ozdobione, gdzie przodkowie opuszczają rodziny i potomków swoich. Widok Azji i Europy, dwóch mórz pod okiem podróżujących, nawet z okien domu ich widocznych, rzuca urok nieopisany na nich i na mnie. Karol dodaje, że Stambuł jest to, patrząc nań, skład drogich kamieni, złota i błota. Zdaje się, że do Egiptu popłyną i przez Kair Nilem, a dalej do Ziemi świętej«.

— 342 —

Jakoż istotnie wprost ze Stambułu podróżni udali się do Aleksandryi, nie do Smyrny, jak zrazu projektowano, i listy, które wprzód do Beyrutu skierowano, z nimi się rozminęły. W Kunce podróżowano za nimi oczyma po mapie, sercem w przestrzeniach... »Nakoniec (pisze ojciec) odebraliśmy list Karolowstwa, niespokój ustąpił miejsca pociesze, a głucha cichość Kunki ożywiła się. Zdrowi stanęli w Aleksandryi«.

I dalej już w listach tylko o tej podróży. W styczniu 1848 przyszło pismo drugie z Aleksandryi, o zmianie projektów podróży, gdyż nie do Ziemi świętej z Kairu ruszyli podróżni, ale oglądać wodospady Nilu puścili się, co miało im zabrać dni około czterdziestu, a dopiero potem udać się mieli do Jerozolimy.

A gdy dzieci się wygrzewały pod ciepłym słońkiem nadnilowem, ojciec nie wyjeżdżał z domu, »nie chcąc walczyć (pisze) z tak silnym panem, jak tegoroczna zima... U mnie (kończy) wszystko zamiera powoli, tak jak się od wieku mojego spodziewać należy«.

»Pisze do nas Gołuchowski (wzmiankuje w liście z lutego), że we Lwowie wybijają okna i rzucają paszkwile domom bawiącym się, cóż to za zły duch musi przewodniczyć takim postępkom?

»U nas jest teraz czas przemiany inwentarzów, które, jak każda tak ogólna nowość, pozawracały głowy, i każdy myśli, jakby ją przystosować do swoich potrzeb i korzyści; cała okolica bawi się tylko tym przedmiotem; Niemirów nie tańczy, W. także, H. cicha, w Wasylowie tylko chrzest wspaniały obiecuja«.

Przyszły listy z Kairu, gotował się karnawał w okolicy, a Ś. Konstancja w Kunce, ale nagle roztopy, lody puszczające na Bohu i Sobie, gości nie przepuściły; każdy musiał zostać, gdzie był.

»Mówią, że kontrakty mało czynne były w Kijowie (pisze w lutym), sprzedający żądali po dawnemu ceny wysokiej, kupujący oglądali się na inwentarze, trochę z potrzebujących

— 343 —

kupna wyższym cenom ulec musiało. W ogólności cała masa przybyłych trudniła się przyszłym tylko losem swoich własności i sposobami zaradzenia niewygodom.

»Moje zdrowie, jak na tę zimę, trzyma się ostrożnością, nie wyjeżdżam, nie wychodzę, a w rozbracie zupełnym z atmosferą, czekam jej zmiany, nagradzając sobie ruchem w pokoju, poczęści spoczynkiem przeplatany, ale w ogóle na dzień dwie mile polskie wynoszącym. Kaszlę, kicham, bez gorączki, ale sen i apetyt zapewniają mnie, że się zdrowie nie rozkolatało zupełnie, a jak się przebędzie marzec, to jakoś na ten raz ujdę obawy«.

Długi czas nie było żadnej wiadomości od podróżnych, nareszcie w marcu nadszedł list upragniony.

»Dzień odebrania był dla nas dniem wielkim, bośmy przez trzy miesiące od nich żadnej wiadomości nie mieli, a jeżeli oni ucierpieli na naszym milczeniu, tośmy się i my natroskali o nich. Pojechali w styczniu do Jerozolimy i muszą już być w drodze do Rzymu«.

W istocie odebrano wkrótce potem listy znowu donoszące o pobycie w Malcie i skierowaniu się do Rzymu. Piękna wiosna, która nie zaszkodziła posiewom, wypuściła z niewoli między czterema ścianami i rozweseliła starca, choć w maju znowu, wczesne ciepło płacąc, zimna powróciły. Częstsze już wiadomości od syna uspakajały, a zbliżony powrót jego pocieszał.

»Karolowstwo (pisze w maju) przyjechali z Neapolu z panią Giżycką, która ich wzięła do domu swego, i cała ta rodzina ugościła ich serdecznie; nie mówi szczegółowo o czasie swego wyjazdu, jadą do Genui, są tak zdrowi, że ona była na kraterze Wezuwiusza w Neapolu, a mało nie potonęli odwiedzając wyspy Capri z panią Grocholską z domu Giżycką... Już tedy wracają do domu! (woła wkońcu uradowany) a wam wprzód się ich, niż nam widzieć dostanie zazdroszczę«.

Inny list z Genui oznajmił o wyjeździe do Turynu; a pani Grocholska, wstąpiwszy do Kunki, uspokoiła opowiadaniem

— 344 —

o dzieciach troskliwego i niepokojącego się o nich ojca, który mimo cierpliwości powtarzał w listach: »wracają: jest to, co mogą zrobić najlepszego«.

W okolicy zjawiała się cholera znowu, ale tą razą już takiego nie wywołała strachu, jak wprzód; staruszek zachorował na dyaryę i pięć tygodni przeleżał ciężko chory. Pierwszy list po wstaniu z łóżka ręką całkiem zmienioną i trzęsącą pisany dnia 21 sierpnia, krótki i tylko dla uspokojenia dzieci.

We wrześniu dopiero cholera ustała, ale podróży z powrotem jeszcze nie było, a starzec się o nich turbował i listy jakoś nawet opóźniały się, gdy wreszcie w październiku do Kunki zawitali pielgrzymi!

»Budząc się dnia 18-go w niedzielę w nocy, dowiedzieliśmy się (pisze ojciec), że już śpią w Kunce. Odtąd w lubym zgiełku rodzina się zbiega, dziatki wyskakują, pogoda starła chmury z mego czoła; ich przygody, opowiadania z bogactwa jeszcze tęsknota, jakąśmy czuli za nimi. Wyobraź sobie ich pociechę w objęciu dziatek i rodziny, najżywszą rozkosz w opowiadaniu postępów Karolci... zapomnieliśmy o cholery, o śmierci, ja część dawnej czerstwości odzyskałem.

»Oto obraz Kunki i jej mieszkańców«.

Wesoło jakoś mimo ostrej zimy skończył się ten rok 1848, który tyłu strachami nakarmił.

Następny mniej obfity w wypadki i listy. Na lato wybierano się do Odessy, gdzie kupiona ziemia zagospodarowania wymagała; szef bawił się jak przed laty ogródkiem, który mimo skał i suchej wyżyny troskliwie pielęgnowany zakwitał.

W pismach jego powoli, powoli, ale znać brzemień starości, nie zubożeniem, bo serce gorące, ale tem coraz większem uspokojeniem, jakie daje zapracowany w pocie czoła włos siwy. Młodzi ruszyli do Odessy na swoją nadmorską posiadłość, a starzy wedle wyrazu ojca zostali dwoje, sami, jak ptaszęta pod strzechą. Zakwitły mu oczekiwane

— 345 —

dale karmazynowe z białem, który ch sam doglądał, bo je miał od wnuczki Karoliny.

Coraz częściej jednak uskarża się na ciężar wieku; i tak w sierpniu pisze do zięcia: »Mnie zdrowie moje przypomina, że to jest właśnie rocznica, kiedy się z wami miał rozstawać na zawsze. Bronię się wszakże od tak nieprzyjemnego wrażenia, krzepię się nadzieją, że jak pierwsza, tak i terazniejsza pora nie zabierze mnie jeszcze ze świata, ale sił mi braknie oczywiście i ostatnia pora życia jest jak jesień, kiedy się do zimy gotować należy. U nas kanikuła, gorąca doszły do najwyższego stopnia, a ja mocno je czuję, będąc przez to osłabionym. Oczy, słuch chcą wziąć abszyt i zdają mi się mówić, że się już dosyć odsłużyły, nogi brzękną, alboż się nie nanosiły dosyć, że im tego za złe poczytać nie mogę. Oczekuję powrotu zupełnego z Odessy, a może mi to sił dodać niezawodnie, życie rodzinne miało na mnie zawsze wpływ dobroczynny«.

Jeszcze urywek z wrześniowego listu: »My tu bawimy się z dziećmi, pomnożono im zabawek, uczą się geografii świata, mają powycinane w kawałki karty geograficzne dla oswojenia się z ogólnym krajów obrazem. Jakże mi to przypomina dwa ostatnie lata! starsze dzieci chcą z kawałków składać całość z pewnym rodzajem zrozumienia, młodsze się tem tylko bawią, porywają kawałki i rozrzucają zabawki, a ja dumam: otóż i nasz obraz terazniejszego świata... A stojąc nad grobem myślę, że wkrótce opuszczę gwar tej oberży, a może do wygodniejszej w podróży życia schronić mi się dostanie.

»Mamy czas piękny i ciepły, na nowo pola zielenieją, wywożą produkta do Odessy i gospodarstwo zwykłym idzie trybem«.

Zdaje się, że Bóg w długim życiu przeznaczył mu i kielich szczęścia ziemskiego i kielich cierpienia wychylić do dna, przez wszystkie przejść próby, wszystko przeboleć.

Zagrożone zdrowie Karoliny Skibickiej, wnuczki szefa, jednej z tych istot wybranych, jakich mało jest na świecie,

— 346 —

zmusiło jej ojca do wyjazdu za granicę, trwoga była nieopisana; w kwietniu (1850) dopraszał się o wiadomości starzec i otrzymywał je zrazu, potem ustały... Karolcia nie żyła, uwiędła jak kwiatek... We wrześniu dopiero powiedziano o tem starcowi, a pierwszy list jego zdradza głęboki żal, jakiego doznał od tego ciosu.

»W Odessie powiedziano mi o stracie naszej, troska moja dorównała zapewne twojej... Gdy nowym ciosem podobało się Opatrzności ucisnąć serce starca przy grobie, na który oczekuje, niech się spełni woła Boga!«

Zarazem prawie zachorowała wierna towarzysza życia, żona pana szefa, a postrach tą chorobą wywołany, przyniósł jeszcze i tak już uciśnionego.

»Już też się odbył pogrzeb Karolci (pisze do jej ojca), w imieniu własnych cierpień wzywam cię do zgadzania się z wolą Najwyższego; kogo Bóg kocha, tego najwięcej nawiedza, a w cierpliwości do nowej zasługi otwiera pole«.

Do tego listu przyłączony drugi z radami dla wnuka, Karolci brata, który za granicę wysłany właśnie został przez ojca, w części tu przepisujemy:

Jeśli co (odzywa się dziad do tego Jasia, który miał także zgasnąć przedwcześnie) w Europie wzbudza starożytnością uczucie poszanowania i podziwu, to pewnie nic bardziej nad Rzym. Jeszcze łąd Europy koczującymi ludami napelniony żadnej nie obiecywał przyszłości, kiedy cała wojenna sława, cały blask sztuk, wszelkie umiejętności skupiały się w stolicy tych panów świata. Oni już rozwinęli wielkie pomysły, wydali znamienitych ludzi i groźni orężem, równie jak znamienici sławą, dawali

prawa i obyczaje świata. Z tego uważany stanowiska Rzym w każdym, że tak powiem, kamieniu zamyka pomniki wieków i do wyobraźni, zarówno jak do rozważań przemawia. Później zostawiając stolicą chrześcijaństwa, jakież dobroczynny wpływ na ułagodzenie obyczajów, a upowszechnieniem języka na upowszechnienie światła wywarł, wielu znamienitych w naszym języku pisarzy albo wychowaniem w tej krainie wziętem albo wpływem rzymskim

— 347 —

doszło do tej znakomitości, że u nas przez wiele wieków zatrzymali pierwszeństwo! Takie to są resztki z osłabionej wiekiem pamięci, którem obudził w sobie przy tym liście pisanym pod uczuciem przywiązania mojego, jakie miałem od twego dzieciństwa, a które pozostanie we mnie, już zbliżającym się do grobu. Odpłać mi wzajemnością, niech uczuję na tak drogim dla mnie wnuku wpływ dobroczynny tejże samej krainy, która mnie ożywiła. Nie będę ci mówić o znajomych, bo już ich zapewne nie ma na świecie, lecz ci przeszłe niezadługo pamiętniki mej włóczęgi i wrażeń moich; bodajby się zachowały w twym zacnem sercu i uczuciu wrażenia mego do was przywiązania: to jest ostatni grosz sierocy, który pragnę otrzymać, jako stojący nad grobem».

W tym czasie najdotkliwszy cios dotknął starca na schyłku i ten był dlań śmiertelnym: wierna towarzyszka jego życia, matka prawdziwa dzieci jego, najczulsza przyjaciółka, Konstancja z Jaroszyńskich, druga żona pana szefa, umarła po ciężkiej słabości.... Reszta listów przesiąkała tą żalostą serdeczną i przeczuciami zgonu, prosi o modlitwę dla niej, o pamięć dla niej, liczy godziny życia i nie rachuje ich już wiele dla siebie.

Jeszcze się zebrał na kilka pism do zięcia, jak zawsze pamiętając o wszystkich mu nie tylko drogich, ale nawet znajomych, zyskując im życzenia, dzieląc ich dolegliwości, polecając się ich pamięci. Dnia 19 grudnia 1850 posłał do Warszawy życzenia panu Franciszkowi; tęsknem przeczuciem bliskiej śmierci wszędzie zawiewa list każdy.

Jeszcze z tego 1851 roku, który miał być ostatnim długiego żywota, u zbierała się kupka listów staruszka, znacznie zmienioną już ręką pisanych: to ostatnie po nim pamiętki.

W jednym z nich tak mówi do zięcia, dziękując mu za przysłany wizerunek zgasłej wnuczki: »W skromnej dawniej kapliczce domowej, dziś w sypialni do gorywającego starca zawiesiłem obraz, jako pobudkę do modlitwy, jak dar

— 348 —

Opatrzności, jako przypomnienie, abyśmy przyjmowali z pokorą wyroki Najwyższego».

Jeszcze nań strapionego nalegano śnać dla rozrywki własnej, aby dalszy ciąg pamiętników, właśnie się podówczas drukujących w Athenaeum, przerwanych bez przyczyny, pisał znowu, ale już ciężko go było na to nakłonić. W liście dnia 13 lutego rzucił o tem parę myśli:

»Gdy przyjdą dni dłuższe, będęłożył usiłowania do wydobywania ze zmartwiałej pamięci wspomnień ubiegłego życia; wątpię, żeby się po utracie spokojności, po ucisku w roku przeszłym doświadczonym co godnego pobożania wysnuć dało. Jest jeszcze druga przyczyna, ale o tej zamilczę...

»Możeby coś powiedzieć można o stosunkach handlowych i w tym celu o myśli zawiazania Towarzystwa Spółki, po co mnie z Francji gorliwie wyprawiano; może Towarzystwo Przyjaciół Nauk zwrócićby powinno uwagę; może umorzona teraz dobra chęć i cel Czackiego związania władzy edukacyjnej z wpływem rodzicielskim, usunięcia szkoły z pod wpływu wdelkiego miasta i ukształcenia społeczności wyjętej z pod wrażeń różnych mniemań towarzyskich, a uformowania własnego ogniska opinii i ducha; dalej, włazłszy w tę biedną wtedy, a dziś świetną Odesę, cośby się mogło powiedzieć o przyczynach jej wzrostu, później o zmianach, których byliśmy świadkami jako kuratorowie — ale na to już sił i pamięci nie staje. Możeby serce z prywatnego życia wydobyło jakiś obraz cnót domowych, ich wpływu na te rodziny, ale to na wiek dziewiętnasty może nie dosyć żywe i ciekawe. Lepiej czytać z pokorą, co napiszą drudzy».

W tym roku, jak sam pisze, skończył pan szef osmdziesiąt lat życia, osamotniony, osierocony, myśląc jedynie o oddaniu ostatniej posługi żonie i sprowadzeniu jej ciała do familijnego grobu w Kunce.

»Już od dni kilku (pisze) marzec wdział na siebie odmienną szatę, zdaje się, że prędko opadną wody, osuszą się drogi, jeżeli takie ciepło potrwa, jak w dniu, w którym to

— 349 —

pisze. Zapewne i kapłani z łatwością spełnią naszą żalobną posługę i ci dobroczyńcy nasi, co chcą dzielić smutek i pobożną modlitwę, w pomoc naszą zjechać się łatwo potrafią. Zapewne kartę następnego listu osmucę naszym obrzędem».

»Z jaką pociechą czytałem w liście P. M. obraz przyjacielskiego przyjęcia, jakiego od rodziny Wiszniewskich (Michała) doświadczyli podróżni nasi w Genui, doświadczył go i Karol w Medyolanie w czasie swoich podróży. Jest to współczucie wywiezione ze skromnego domku mojego w Krzemieńcu, w którym Lesieccy wychowywali młodzież i tylu zacnych ludzi garnęli w pomoc wychowaniu. Bogdajby poczcwi ludzie garnęli się tak zawsze w pomoc wychowaniu publicznemu».

Z jednej z tych ostatnich kartek dowiadujemy się, że osmdziesięcioletni ów starzec, zawsze żyjący myślą pracy jakiejś użytecznej, i teraz coś zamyślał i wykonywał.

»Założyłem tu (pisze w ostatkach lutego) szkółkę czytania i pisania dla ubogiej dziatwy, jej to jest próba w przepisanu listu mojego».

A dalej: »Wczoraj właśnie (25 lutego) wyszedł do Odessy karawan ozdobiony wszystkim, co się w domu kosztowniejszego znalazło, otoczony czeladzią, co jej usługiwała, prowadzony przez pasierba, dla którego pokazała się matką najprzywiązańszą, z towarzyszeniem miejscowego kapłana, co przez lat wiele jej pobożności i cnotliwego życia był świadkiem, dla zabrania zwłok Konstancji i przewiezienia na ziemię, własnością rodziców, a dziś jej brata i serdecznego przyjaciela będącą. Tu na jej granicach czekać będzie starzec, którego chroniła w późnym wieku, a w średnim uszczęśliwiała, z jej siostrą i drobnymi wnukami, aby po raz ostatni obmyć łzami martwe zwłoki przyjaciela, żony i dobrodziejki swojej.

»Na wiosnę stanie kaplica, u nóg jej niezadługo może złożą zwłoki wdzięcznego starca, który do zgonu wołać będzie: *Miseremini mei, saltem vos amici mei, saltem vos proximi mei, miseremini mei...*»

— 350 —

Dnia 21 marca, po pogrzebie, złamany, kreśli te słowa do zięcia: »Ostatnia potrzeba serca przy obchodzie pogrzebu ciała żony i dobrodziejki naszej wstrzęsła tak zdrowiem, żem nie był w sile wziąć pióra w rękę. Odszedłszy trochę i siły odzyskawszy, biorę się dziś do napisania tych słów kilku.

»Piękna pora przez kilka dni tak nas uwiodła i całą okolicę, chcąc oddać ostatnią usługę przyjacielowi od wszystkich szacowanemu, żem już się zatrwożył, czy pogrzeb nie będzie miał miny bankietu. Lecz się inaczej stało: w wigilią właśnie, kiedy już kilkanaście osób w Kunce się zebrało, zawierucha z burzą taka się wzniosła, że wyruszyć damom było niepodobna i męszczyźni znieść tej niepogody nie mogli. Tak przepadł ten dzień, którego pamięć i na zdrowie działała i w sercu poniosę ją do grobu; zdrowie jednak utrzymuje się dotąd«.

Nieco później te słowa jeszcze pisze do książąt Czetwertyńskich, pełne najgłębszego uczucia:

»Mamy już zwłoki Kostusi w Kunce, na ziemi rodzinnej je złożyła, a duch, co ją ożywiał i cnotom jej przewodniczył, już zapewne u swego Najwyższego błaga Go i prosi o szczęście i błogosławieństwo dla rodziny swojej.

»Macie do jej modlitwy prawo w jej sercu i przywiązaniu, jakie dla was dochowała do grobu, a jeżeli sieroce prośby moje na jakikolwiek wzgląd zasługiwać mogą, ja je w codzienne obróćę, pomny na tyle drogich momentów życia, które wsparte sercem i dobrocią waszą przeżyłem; a patrząc na drogą spuściznę, jaką mi w synowej i ich działkach zostawuje, na waszą dobroć i całość rodziny, dla której wdzięczność i uszanowanie dochowam do grobu, spokojny w sumieniu z wypłaconej ku wam mej powinności, wołać będę z pokorą: Panie, puszczaj sługę Twego w pokój i niech się nademną spełni wola Twoja...«

To przedostatnie pismo, po nim jedno jeszcze i głucha poważna cisza grobowa, spokój wiekuisty... Przyszła ta chwila ostatnia po długim i pocziwym żywocie taka, na

— 351 —

jaką starzec zasłużył: zgasł we śnie, bez przestachu śmierci, bez męki, cicho, lekko, z modlitwą i błogosławieństwem na ustach...

Ale jaka po nim próżnia w domowym kółku została, jak zabrakło ojca-przyjaciela, ojca-towarzysza, tej siwizną posrebrzonej głowy — tego nikt nie wypowie. Jemu czas było pójść spocząć po gwarze i znoju, bez niego ciężko było pozostać. Tacy ludzie, jak on, długo żywi i przytomni czuć się dają, choć z między nas znikną.

Nie myśleliśmy wcale, przedstawiając ciąg tego tak zacnie użytego żywota, oceniać Drzewieckiego, jako pisarza; myliłby się, ktoby tę chęć widział w nas i w wyjątkach, jakieśmy tu ze ślicznej korespondencji jego umieścili: był to człowiek czynu przedewszystkiem i jako taki, zasługuje na bliższe poznanie, jest dla nas wzorem do naśladowania, a swej epoki reprezentantem. Cokolwiekby powiedzieć można o tych latach pierwszych XIX wieku, na których się dziś nie chcemy poznać, były to jeszcze dni poświęceń i pracy, gdy dziś — to dni niepewności, sądów, westchnień, programów, projektów i chorobliwej krzątaniny. Od tam tych lat wieje ku nam jeszcze duch obywatelstwa, pojęcie często aż do przesady posunięte obowiązków publicznych, chętniej ofiary i przeznaczeń człowieka dla dobra ogółu — dziś każdy sobie, każdy sobie!

Z tego względu, jako przedstawiciel okresu czasu, który przeżył, godzien był pan szef szczegółowej tej biografii. Za młodu żołnierz waleczny i pełen zapału, w średnich latach urzędnik i obywatel, do końca najlepszy mąż, ojciec, krewny, z sercem młodem w ośmdziesięciu leciech, ani na chwile nie przestaje być sobą i czynnym. Przedewszystkiem to człowiek czynu, nie bezmyślny, zdający sobie sprawę z pracy, ale wyżej ceniący uczynek od słowa.

Może się komuś wydać to studium obojętnem, za długiem, zbyt rozwlekłem i szczegółowem, ale ci, co je uznają mniej zajmującym, na siebie samych sąd wydadzą. Nieocenionem ono materiałem dla życia naszego, życia, jak było

— 352 —

i jak się samo maluje: nic tu rozwlekłego i obojętnego nie ma, każdy szczegół i drobnostka droga; to zdobycz na śmierci schwycona... Jeśli dziś nawet nie poznamy się na niej, jutro za nią będziemy wdzięczni.

Staraliśmy się w tym obrazku jak najmniej mówić sami, a jak najwięcej dać mówić przeszłości: to może jego zasługą.

I sądu tu nie potrzeba, lub raczej możeby był zawczesny; wytryska on z rzeczy, z aktów sprawy i na chwilę wątpliwym być nie może.

Jest to prosta karta z powszedniego życia, ale nie powszedniego człowieka. Dla ludzi myślących znajdują się w niej wielkie nasiona, reszta czytelników, szukająca zabawki i podrażnienia ciekawości, może ją obojętnie odrzucić, nie dla niej też pisaną była.

----- * -----

WSPOMNIENIE O JÓZEFIE DRZEWIECKIM

SKREŚLONE PRZEZ
J. I. Kraszewskiego.

(1857).

Boleśnie pomyśleć o stratach, jakimi nas Bóg dotyka, codziennie zabierając ludzi, co byli wielkim przykładem, którzy najpiękniejszą, zdaje się, część żywota, tak już od nas oddalonego, przedstawiali sobą i uosabiali swą cnotą. Zgon młodych odbiera tylko nadzieje niepewne, starcy unoszą do mogiły pamięć lat, których posiadanie niejako z nimi tracimy. Czemuż jest martwa książka, zeschła szmata papieru, przy żywej postaci, przy słowie żywym, co nas tak czarodziejsko przenosi w czasy ubiegłe? Ogromna zmiana, której uległa wkrótkim stosunkowo przeciągu czasu społeczność nasza, stratę tych ludzi, co żyli z przeszłością, czyni boleśniejszą jeszcze: z nimi tracimy ostatnie podania cnót starych, ostatnie ich przykłady. Cóż gdy śmierć jeszcze odbiera jednego z tych ludzi wybranych, których cześć powszechna wyświęciła! Co nagrodzi ich utratę? Nie wiem, ale Bóg wiele ma środków w swej mocy, więcej, niżeli myśl ich ludzka odgadnąć potrafi.

Do takich właśnie ludzi wybranych należał ten, któremu kilka słów tych poświęcamy, szef Józef Drzewiecki, zmarły dnia 20 stycznia 1852 roku w Hajsyńskim, w dobrach swoich, Kunce; bo cały jego żywot zamknąćby można w jednym słowie: poświęcenie. Cześć powszechna, żal

— 356 —

głęboki, jakiś wzruszenie nieokreślone w sercach towarzyszyły do grobu starcowi ośmdziesięcioletniemu, którego żywot był nieustanną myślą, pracą i pragnieniem dobra powszechnego i ofiarą zawsze chętną dla bliźnich.

Byliśmy tak szczęśliwi, że skłoniony prośbami rodziny i obcych, zmarły szef napisał przez siebie pamiętniki (obejmujące tylko część jego życia) powierzył nam do wydania. Ukazały się one w Athenaeum i odbite osobno, a ci, co je czytali, musieli w nich ocenić najszlachetniejszą rycerską duszę, serce pełne najpocziwszych uczuć, myśl jędną i zdrową. Są to, rzec można, poufale pogadanki, gawędki wieczorne wojaka, którym staranie o efekt, o wytworność zupełnie są obce, którym prostota ich i żołnierska szczerota nadają nienasładowaną barwę i wdzięk zupełnie właściwy. To też jak w nich niewiele słowy, kilku śmiałoymi zarysy maluje się dobitnie i gorąco i uprzytomnia przeszłość, jaka z nich bije prawda! Nie znamy z ostatnich czasów nic, co by z temi pamiętnikami, co do oryginalności, w porównanie iść mogło, a oryginalność zależy właśnie na zupełnym zapomnieniu siebie i prostocie. Inni piszą, ten opowiada; nie rachuje na słuchaczy swoich i dlatego musi ich ująć za serca. Nie ma tu nic przydatnego dla wywdzięczenia, nic wymuszonego, nic, co by zdradzało pisarza. Słyszymy opowiadanie żołnierza i wspomnienia jego, z całą siłą pierwszego rzutu wylane, szczerze, jak spowiedź, często prawdziwsze od tego, co się historią nazywa.

Ale ocenienie Józefa Drzewieckiego, jako pisarza, ledwie nas może na chwilę zatrzymać wobec daleko ważniejszego obowiązku: przedstawienia żywota jego, jako obywatela i wzoru nieustannego poświęcenia.

Młodsze swe lata i pierwsze kampanie sam nieodżałowany szef skreślił w pamiętniku, który nam zostawił; do niego więc po żywszy ich obraz odsyłamy czytelników, tu napomniemy tylko, że się urodził w roku 1772 w powiecie krzemienieckim, we wsi Juśkowcach, z ojca Felicjana, matki Anny z Błędowskich. W roku 1781 wszedł do szkół

— 357 —

krzemienieckich, które ukończywszy za ledwie, delegowanym został na Sejm; i to był pierwszy krok jego w życiu publicznym. Następnie służył w wojsku, a że mu kasa wojskowa powierzona była po rozsypce wojska, zwycięsko wyszedł z przygotowanych nań zarzutów, składając w całości, co mu zaufaniem było. Jakiś czas bawił w Galicyi, poznając chciwie i ludzi i kraj, a żadnej nie tracąc chwili bez owocu dla drugich i siebie; choroba ojca do kraju go nazad wrócić musiała. Wypadki nowe wywołały w młodzieńcu chętnie zawsze poświęcenie, którego o mało ciężko nie przypłacił; za ledwie potrafiwszy uciec z Galicyi, z rozkazem Naczelnika poszedł powtórnie. Powróciwszy do wojska, znajdował się w bitwie pod Maciejowicami, gdzie z innymi w niewolę wzięty, za wstawieniem się przyjaciół uwolnionym został. Niedługo zabawiwszy w kraju, wyjechał potem za granicę, uczestnicząc w pierwszym zawiązaniu się legij we Włoszech i z tej epoki właśnie najobfitszymi w pamiętnikach obdarzył nas wspomnieniami.

Nie będziemy ich tu powtarzali, spiesząc do epoki, która tylko z opowiadań zmarłego jest znana; w niej równie maluje się człowiek poświęcenia i pracy, gorliwy uczestnik każdego dobro publiczne obchodzącego przedsięwzięcia ¹⁾).

Z pamiętnikami kończy się wojskowy zawód szefa (nazwanie to do śmierci mu zostało). Pojechał do Paryża, jak w nich wspomina, po dymisję, którą mu wręczył Berthier, naówczas minister wojny, z chlubnym dopiskiem, i wsparty z kraju zasiłkiem, jako podróżny puścił się do Włoch z Fiszerem. W Imola odwiedzili dawnego znajomego, tamiecznego biskupa, później papieża Piusa VII, który im dał listy rekomendacyjne do kardynała Ruffo. Z temi spokojnie do Neapolu przybyli. Wrócili przez Rzym i Florencję, odwiedzając znajomych, zwiedzili Szwajcaryę i w Strassburgu

¹⁾ Odtąd następuje prawie dosłowny wypis z listu pana Karola Drzewieckiego, syna szefa i godnego spadkobiercy pocziwości i cnót jego, pisanego do nas z Kunki dnia 10 lutego.

— 358 —

spotkali się z generałem Kniaziewiczem, który tam osiąść w zakupionej winnicy zamierzał. Z nim razem w 1802 roku przez Drezno i Poznań do Warszawy ruszyli. Tu pod rządem pruskim wesoło i szumnie schodziły chwile bez celu, bo jeszcze rok szósty i dziewiąty były daleko. Jakiś czas zabawiwszy w gwarze tego świata dawnej stolicy, wzmocniwszy stosunki z Czackim (bo ci dwaj ludzie, jednako pojmujący obywatelstwo, pokochać się i połączyć musieli), udał się szef na Wołyń do domu. Jechali w jednym powozie z generałem Kniaziewiczem, z majorem Tomaszewskim i Cypryanem Godebskim. Godebski od komory im uciekł.

Szło naprzód o wynalezienie przyzwoitego położenia Kniaziewiczowi; rzucił tedy pan szef podróżnych u matki swojej w Juśkowcach, a sam zbiegł do Zaslavia. W drodze na szczęście spotkał księcia wojewodę wołyńskiego, który przez cesarską Katarzynę II mianowany był generałem-lejtnantem, ale służby nigdy czynnej nie pełnił, choć mundur lubił. Dowiedział się książkę, o co idzie, i mocno połażał pana szefa, że niewiedzieć gdzie szuka, co znaleźć najłatwiej było.

— Mospanie, — rzekł — nam wojskowym za ręce się trzymać!

Zaprosił tedy wszystkich podróżnych do Sławuty, mapy strategiczne porozkładał przed nimi, przyjął ich w mundurze, ale co lepsza, pańskim i szlacheckim sercem, o które niełatwo; generałowi Kniaziewiczowi wieś Zieleńce na bardzo lekkich warunkach w dzierżawę wypuścił.

Pozostawał drugi obowiązek do spełnienia zacnemu synowi: pielęgnowanie matki, staruszki już dobrze podeszłej. I życiem długim obdarzył Bóg pana szefa, bo święcie zachował czwarte przykazanie: Czcij ojca i matkę twoją. Z łagodnym ojcem obowiązek ten łatwym był do spełnienia; ale matka codziennie dumniejszą, codziennie dziwniejszą się stawała; tu pokory i cierpliwości wielkiej potrzeba było. Dzisiaj już trudno nam pojąć, w jakie to formy przeradzały się dziwactwa butniejszych przodków naszych, bo dziś cnoty

— 359 —

i wady skarłowaciały. Zgięta staruszka przechadzała się z laseczką w ręku lub pajukom na wózku wozic się kazała, a laseczki nierzadko używała i na dorosłych synów swoich. Pan szef z pokorą całował rękę zbyt porywczą matki, która z przekąsem mawiała czasem do mniej cierpliwego starszego syna:

— Widzisz waść, to szef, a cierpliwie stoi!

Przyszła jednak czas, że z domu matki wyjechać musiał, bo wręcz mu oświadczyła, że był u niej Duch Ś-ty i przestrzegł ją, że się na nią z panem Denyską zważają. Tejże nocy z majorem Tomaszewskim wyjechać musieli do Odessy, ledwie lat kilka wieku naówczas mającej, gdzie staraniem Czackiego i kilku możniejszych obywateli ukraińskich zawiązywała się handlowa kompania polska.

Myśl ta, aby właściciele produktu swoje sami do Odessy prowadzili i tam je większym negocjantom krajowym lub zagranicznym sprzedawali, dziś jest powszednią i w pełni wykonywaną, lecz wtedy była to śmiała jeszcze nowość. Bo choć kilku właścicieli odważało się o własnych siłach do Odessy je prowadzić, były to wyjątki; ogół zostawał pod monopolem żydów i kilku Greków. Stowarzyszenie właścicieli możniejszych, z których każdy obowiązał się kilka tysięcy czetwerti pszenicy rocznie dostawiać, mające swoje magazyny, stosunki z zagranicznymi domami handlowymi, zdawało się wiele rokować. Pan szef, świeżo przybyły z Włoch i Francji (naówczas pani Małty i jak zawsze, wielką mającej ochotę, choć małą możność, zawładnięcia handlem Śródziemnego morza), człowiek wymowy łatwej i pojednawczej, zacności wielkiej, charakteru pociągającego, postawiony został na czele. Za nim przybyli ludzie polityczni i rachunkowi. Michał Sobański, Antoni Jaroszyński, możni właściciele ziemscy; a Czacki tu, jak wszędzie, gdzie o dobro publiczne chodziło, czynny i przeważny brał udział.

Ale w handlu, rutyna starsza od najlepszego rozumowania, wytrwałość zaś, której nam zawsze braknie, pierwszym egzystencyjnym warunkiem. Odessa, plac zupełnie nowy, żadnej

— 360 —

wybitej drogi i rutyny nie miała; a w kraju naszym, wszelkie stowarzyszenia, trudno idące przy najpomyślniejszych okolicznościach, za pierwszym niepowodzeniem ustać muszą. I tu się tak stało; przy handlowej stagnacji, której powodem była wojna turecka, kompania się rozwiązała, zwyczajem naszym bez żadnych strat dla obcych, a szczęściem i bez znacznych strat dla stowarzyszonych. Pierwszy krok jednak był zrobiony.

W czasie tej chwilowej kariery handlowej zachciało się panu szefowi i na innym punkcie zrobić coś pożytecznego dla kraju. Dziś galar na Dniestrze jest rzeczą niedziwną; wtedy od niepamiętnych czasów nikt galaru ze zbożem, bojąc się porohów, nie spuścił. Książę de Nassau wprawdzie przepłynął sam biegiem rzeki, sondował i zapewniał, że spławna, o czym i dzieje od lat kilkuset świadczyły; ale szło o to, żeby się kto pierwszy na straty naraził i myśl widocznie znowu dokonał, i drogę otworzył. Najęto w Galicyi flotę statków rzecznych, przez cesarza Józefa na Dniestrze górnym zaprowadzonych, naładowano je pszenicą w górnym Podolu i zwycięsko salutowana przez działa tureckie w Chocimiu, minęła bez szwanku Jampolskie owe porohy, wyładowując w Majakach pod Odessą. Obchodzono świetnie tryumf bankietem, na którym był przytomny Richelieu i spełnił kielich przyszłej pomyślności handlowej miasta, siedząc na worze przybyłej niezwykłą drogą pszenicy. Statki najęte były tam i napowrót; trzeba więc było towarów na połowę ładunku, z którym odejść miały, a na to osobnego kapitału, administracji i t. d. Poradzono zakupienie

ładunku okrętu tureckiego, który przybył właśnie z rożkami. Była to rzecz tania, którą bardzo łatwo nawet po wsiach nadbrzeżnych, na pszenicę miara za miarę, z ogromnym zarobkiem wymieniać można. Tak projektowano; ale nadzieja zamiany spełzała na niczem, bo do urzeczywistnienia jej, potrzeba było nawykłości do zamian, której tu nie znaleziono. Rożki przyplłynęły aż na górne Podole i tu przepędzone zostały na spirytus. Na całej tej żegludze strata była

— 361 —

niewielka, a skutek główny zdobyty; dowiedziono spławności Dniestru, możności przepłynienia nim tam i nazad; nie posłużyło to jednak, bo blisko trzydzieści lat potem dopiero Galicyanie, tążsamą puściwszy się drogą, utorowaną ją nareszcie zostawili.

Około tego czasu przypadło ożenienie szefa z siostrą towarzysza broni, Jana Ostrowskiego, osobą żywą, wesołą i do przyszłego męża przywiązaną. Wesoło jakoś, a ochoczo przebyły się trudności zamęścia tego, jak i dalszych rodzinnych stosunków, trudności ze strony podeszłej matki pana szefa, kapryśnej trochę matki przyszłej żony, pani podkomorzyny Ostrowskiej, i najkapryśniejszej babki, kasztelanowej Czarneckiej. Dodać do tego potrzeba jej wuja, bardzo światłego lecz bardzo dziwnego także człowieka, pana Ignacego Czarneckiego, a odkrylibyśmy bogatą kopalnię anegdot, których dzisiejsze pokolenie nie zrozumiałoby może: tak obyczajem zmienione, tak rzeczy różne. Potrzeba je było słyszeć doskonale opowiadane przez tych, co składali ówczesne wesołe i świetne wołyńskie towarzystwo: Czackiego, Ignacego Ledóchowskiego, Kropińskiego, Bystrego....

Nadszedł wreszcie rok 1809 i wojna z Austrią otworzyła pole do nowych poświęceń; pan szef udał się do Krakowa i Warszawy, gdzie wierny, stary przyjaciel jego, Fiszer, był szefem sztabu przy księciu Józefie, a kapitanowie dawnych legij dowódcami pułków. Książę Józef prosił sam przybyłego, żeby do wojska nie wstępował i drugim oficerom, co chleba nie mieli, nie odbierał go. Powrócił więc na Wołyń, gdzie nowe czekały go prace. Za łaską cesarza Aleksandra, za staraniem otaczających go rozwijać się poczynąły jego myśli około wychowania publicznego w guberniach zachodnich. Wilno, oświecające Litwę, niedostateczne rzucało

blaski na trzy południowe gubernie. Otwierał się Krzemieniec, potrzeba było funduszków. Cesarz obdarzył go wspaniałe znacznymi dobrami pojezuickimi; trzeba je było wybrać, urządzić i nowymi wesprzeć datkami. To działanie komisji edukacyjnej spełniło się z zapałem obywatelskim.

— 362 —

Najczęściej niezmordowany Czacki porywał pana szefa i ubranego w mundur francuski woził z sobą, dla zebrania, a jak żartownisie wówczas mówili, dla zebrania ofiar na szkołę wołyńską.

W tych zajęciach zbliżył się rok 1812, w którym duma, chociaż na geniuszu sparta, rozbić się miała. Z tym rokiem rozpoczęło się pasmo nieszczęść dla pana szefa, bo nieszczęścia nie idą same, stadem się włoką, jak wilcy. Do publicznych przybyły dla niego bolesna śmierć żony, zabicie Fiszera, śmierć Czackiego. Czarne to były chwile; w nich się urodziła późniejsza niechęć i nieufność do spraw politycznych, która go nieopuściła już nigdy. Spytny o nie, — kuglarstwo! — odpowiadał tylko i milczał. Ze wszystkiego jedno się tylko zostały szkoły, a ze szkół najbliższy sercu Krzemieniec; jemu się tedy poświęcił. Tam jakie było znaczenie jego, działanie i wpływy! Są, co pamiętają jeszcze, jak w rozerwanym przez śmierć Czackiego ciele edukacyjnym zgodę i jedność utrzymał.

Po roku 1815, nowe odkrywały się widoki dla kraju tego; chciały osoby przeważny wpływ mające, aby obieralne urzędy marszałków ludźmi zasłużonymi zajęte były; podał się tedy pan szef i został obrany marszałkiem krzemienieckim. Przyjął on ten

urząd tem chętniej, że go od Krzemieńca i opieki szkół nie oddalał, owszem nową mu nadawał powagę i siłę. Jakkolwiek widoki inne spełzły, ale wpływ na los Krzemieńca, ulubionego dziecięcia Czackiego, wydał znakomite owoce. Potrzeba było młodzież kształcić, rodziców ściągać, a gdy to, niestety, nie dało się robić ponętą nauki, lecz zabawami, więc i do zabaw szło się z całym pędem pocziwych dla kraju chęci.

Czem były przez lat kilkanaście krzemienieckie szkoły, wieleby o tem mówić. Czy mogły być specjalne i tworzyć ludzi specjalnych, czy też w pierwszym pokoleniu (bo nie odejmując zasługi niektórym w pokoleniu poprzedzającym, masom brakło oświaty) musiały być ogólne, a więc od razu widomych owoców nie przynoszące — to rzecz nie nasza.

— 363 —

Zastanawiając się tylko nad moralną stroną Krzemieńca, przyznać potrzeba, że ta trocha zacności, bezinteresowności, wylania dla ogółu, wstrętu od wszelkiej niepocziwości i brudu, która dziś między nami świeci, stamtąd idzie i jest odbiciem zacności Czackiego, zacności tych, co go otaczali! Łatwo to krytykować teraz, owe szumne, ale nietreściwe w wyrazach, bez widocznego celu idące i często w środkach niepraktyczne, bujne pokolenie owo, ale gdy stracim (co niedługo nastąpi) te zacności i uczciwości szczątki, dopiero się dowiemy, cośmy mieli i lekceważyli, niepomni, że to bujanie było i we krwi naszej i w czasie owym i w samej pełni życia tego pokolenia, które j mu nikt nie zaprzeczy.

Po marszałkowstwie znowu zasiadał pan szef w komisji edukacyjnej i tak spłynęło szybko kilkanaście lat ciągłych poświęceń, dla wychowania publicznego, dla Krzemieńca. Dom jego był gospodą dla wszystkich przedniejszych gości, przybywających oglądać to dziecko Czackiego, tak szybko wyrastające, tę młodzież tak się nadzwyczajnie pomnażającą; był gospodą i dla tych wielu, co zabawami bawić się chcieli i dla tych, co obyczajem czasu, szydzić z tego wszystkiego przyjeżdżali tylko. Ale szyderstwo roztrącać się musiało o pokorę i poświęcenie.

Ludzie tego rodzaju, co Czacki, co pan szef, muszą z natury swojej być nieogłędni w wydatkach i rządzie majątku. Nagromadziły się interesa, obiegała go proza życia i w ciężkich latach około 1822 roku zwały się na niego całym ciężarem, przerażającym groźbą upadku. W pierwszej chwili zdawało się koniecznością nieuchronną oddać majątek pod rozbiór; zniósłby to szef spokojnie, ale niejednemu po trzeba było powiedzieć:

— Tyś mi dał w dobrej wierze pieniądze, twoją lub ojców twoich pracę; jam ci zaręczył oddanie, a oto nie powiedziałem prawdy i oddaję ci za nie kawałek ziemi, z który mnie będziesz wiedział, co zrobić.

Ciężka to była ostateczność. Upadł na zdrowiu, na swobodzie myśli; przyjaciele wołyńscy, równie jak on,

— 364 —

nieogłędni, nie mogli mu pomóc, ukraińscy twardzi żądali tego, co może było jedynym środkiem ocalenia, przesiedlenia, przejścia w inną strefę, wyrzeczenia się swoich stron i starych związków. Ciężkie to były do przetrwania chwile, gdy przyszło opuścić rodzinny kąt i nawykać do nowego, gdy przyszło tęsknić... Często szef uciekał do lasu w ogrodzie i do znużenia ściągał motyką ziemię ze skały, aby utrudzeniem fizycznym przemóc ból serdeczny; zmówił modlitwę i Bóg wracał zboląlemu choć chwilowy spokój. W tych chwilach smutku i boleści zaszło mu serce goryczą i polityczne stosunki poszły pod kategorię kuglarstwa.

Pan szef powtórnie się ożenił, a Opatrzność zawsze na niego łaskawa, dała mu przyjaciela, opiekuna, stróża, co troskliwą ręką pielęgnował długą jego starość i szczęście całej rodziny. Bez rozbioru majątku obeszło się, wierzyciele zostali zaspokojeni, a zaczęła się spokojna starość, po pracy spoczynek. Ale w roku 1832 nie było kogo wybrać na urząd w hajsyińskim powiecie; ruszono starców i pan szef został znowu kuratorem szkół gubernii podolskiej. Młodzież owego czasu przypomni sobie zapewne poważnego starca, którego sam widok był zachętą do dobrego. I na osoby u władzy będące wrażenie robiła ta sędziwa postać, ta słodka wymowa, to czyste i bezinteresowne wylanie się dla dobra powszechnego. Zrobił i tu pan szef, co na tem stanowisku mógł uczynić.

W następnych trzechleciach zmieniły się nieco okoliczności, ale nie zmienił się jeszcze brak kandydatów na urzędy i pan szef został w hajsyińskim powiecie marszałkiem obrany. Urzędnikowi, co go przyjechał wybać, czy zechce przyjąć urząd hierarchicznie niższy stanowiskiem od tego, który dopiero piastował, odpowiedział z sobie właściwą słodką ironią:

— Mój panie, ja w ośmnastym roku życia byłem brygadierem, a odtąd coraz niżej idę.

Nareszcie dorośli młodszy i mógł rzeczywiście spocząć na późnej starości. Tu Bóg coraz więcej poczał go powoływać ku sobie, pobożność jego wzmagala się codziennie. W pierwszej

— 365 —

czerstwiejszej starości żył przeszłością i Bogiem — wtedy to utworzyły się pamiętniki — ostatnimi laty samym Bogiem tylko. Już go i Pan Bóg dotknął więcej: córka w dojrzałym wieku, wnuka w samym lat kwiecie, żona, dwudziestopięcioletni przyjaciel — wszystko to jak sen przeszło i z oczów mu znikło; to też odtąd jego życie było nieprzerwaną modlitwą. Miał zwyczaj chodzić wiele i chodząc modlić się, potem spoczywał i modlił się spoczywając, czasem głośno, a wtedy w sercu słyszącego odzywały się z duszy wychodzące: *Parentes mei, proximi et amici mei, miseremini mei...* Szły długim szeregiem żalobnym pacierze za umarłych przyjaciół i dobroczyńców, których kości rozrzucone po obu światach, daleko.... Było ich osób kilkadziesiąt, nigdzie nie spisanych, w pamięci tylko. Potem za żywych — tych codziennie mniej zostawało, ale nikt, gdziekolwiek był, w modlitwie nie był zapomniany.

I tak szło spokojnie klasztorne życie; coraz dalej i obojętniej dla świata, coraz bliżej Boga. Wnuki tylko zajmowały go zawsze; często igrał z nimi, a każdego wieczora błogosławił z osobna każde. Zdawało się, że jeszcze na lat kilka przynajmniej sił mu stanie, ale Pan postanowił inaczej. Po ośmdziesięciu latach czerstwego zdrowia, nie dopuszczając go do zgrzybiałości i zdziecinienia, dziwnie łagodnemu w życiu dziwnie też łagodną śmierć zgotował.

Dziewiętnastego stycznia zwyczajem swoim uszedł jeszcze werst kilka, z południa uczuł trochę ziębienia; przyjechał lekarz, ziębienie trwało, kaszel się do niego przyłączył. Że febrы panowały, zdawało się, że to febra.

— Już to — mówił — zębami kłapać nie będę, bo ich nie mam; ale niech no jutro przyjdzie, znowu swoje dziesięć werst odchodzę.

Rzecz dziwna, że myśl śmierci, którą miał tak często, tą razą ani mu się nawet nie zamarzyła. O północy odprawił synową i lekarza, mówiąc, że się już ogrzał i chce zasnąć. W rzeczy samej puls był spokojny, sen przyszedł. O piątej z rana spał jeszcze z oddechem spokojnym:

o siódmej już nie żył. Jedną rękę miał pod głową, drugą trzymał kołdrę, którą się przykrywał, położenie ciała jak najspokojniejsze; widać mu Bóg, w nagrodę cnót chrześcijańskich, zupełnie uczucia śmierci i konania oszczędził. Nie śmierć przyszła, ale się życie skończyło: lampa się dopaliła i zgasła.

Na obrzędzie pogrzebowym kapłan z ambony zacytował wiersz z ksiąg Machabejskich: »Widziałem męża dobrego, łaskawego, wstydliwego wejrzenia, skromnych obyczajów i wymowy ozdobnej, wyćwiczonego w cnotach w dzieciństwie« etc.

Taki jest krótki rys życia człowieka, który nas zgonem swoim zasmucił. Piękne, zaprawdę, to życie. Od początku do końca jedna myśl ożywiająca, chrześcijańska, wytrwała, przebiega je i uzacnia; zniechęcony nawet cierpieniem, dla posługi współbraciom ofiaruje się do końca: wezwany do niej, nie cofa się nigdy przed świętym obowiązkiem. Kiedy pracować dla dobra ludzi nie może, modli się za nich jeszcze.

W Żytomierzu dnia 3 listopada 1857.

J. I. KRASZEWSKI.

SPIS RZECZY

	<i>Str.</i>
Przedmowa od wydawcy	V
Pamiętniki Józefa Drzewieckiego, spisane przez niego samego (1772 — 1802).	1
Reszty pamiętnika Józefa Drzewieckiego, z papierów po nim pozostałych, zebrane przez J. I. Kraszewskiego (1806 — 1851).	203
Wspomnienie o Józefie Drzewieckim, skreślone przez J. I. Kraszewskiego (1857)	353